

Bernard Werber

Tanatunauci

Les thanatonautes

Z języka francuskiego przełożył

Oskar Hedemann



Królowej poświęcam

SŁOWNIK

TANATONAUTA r. m. (z greckiego: *thanatos*, śmierć i *nautēs*, żeglarz) badacz śmierci.

PODRĘCZNIK DO HISTORII

KILKA DAT, KTÓRE WARTO ZAPAMIĘTAĆ

1492: Pierwszy krok na kontynencie amerykańskim

1969: Pierwszy krok na Księżycu

2062: Pierwszy krok na kontynencie zmarłych

2068: Pierwszy krok na drodze do reinkarnacji

Podręcznik szkolny, kurs podstawowy, 2. Rok

Epoka pierwsza:
czas majsterkowiczów

1 - PODRĘCZNIK DO HISTORII

Niegdyś wszyscy ludzie bali się śmierci. Była niczym nieustający odgłos w tle, o którym nawet przez chwilę nikomu nie udawało się zapomnieć. Każdy doskonale wiedział, że u kresu wszystkich działań on sam przestaje istnieć. Ten właśnie lęk potrafił zatruć każdą przyjemność.

Woody Allen, amerykański filozof żyjący pod koniec XX wieku, jednym zdaniem opisał panujący wówczas stan ducha: „Dopóki człowiek będzie śmiertelny, dopóty nie będzie w stanie poczuć się naprawdę wolny”.

Podręcznik szkolny, kurs podstawowy, 2. rok

2 - PAMIĘTNIK MICHAELA PINSONA

Czy mam prawo o wszystkim mówić?

Nawet teraz, z perspektywy czasu, trudno mi uwierzyć w to, co się stało i co naprawdę się wydarzyło. Zdumiewa mnie fakt, że wziąłem udział w tej niesamowitej epopei. Ciągłe nie potrafię zrozumieć, w jaki sposób udało mi się wyjść z tego cała i o tym opowiedzieć.

W istocie nikt nie przypuszczał, że wszystko potoczy się tak szybko i sprawy zajdą aż tak daleko. Naprawdę nikt.

Cóż takiego popchnęło nas do tego szaleństwa? Sam nie wiem. Może nic nadzwyczajnego, coś, co nazywamy ciekawością. Tą samą ciekawością, która skłania nas do wychylenia się nad przepaścią i skonstatowania, jak potworny byłby nasz upadek, gdybyśmy tylko wykonali ten jeden krok do przodu.

Może była to także potrzeba przeżywania przygód w coraz bardziej zastałym i pozbawionym emocji świecie.

Niektórzy zwykli mawiać: „To było gdzieś zapisane, musiało stać się właśnie tak”. Co do mnie, nie wierzę w narzucone z góry przeznaczenie. Wierzę natomiast, że ludzie dokonują wyborów i starają się ich trzymać. To wybór określa przeznaczenie i być może właśnie wybory ludzi wyznaczają wszechświat.

Pamiętam dokładnie wszystko, każdy epizod, każde wypowiedziane słowo, każde

zdanie, które padło podczas tej wielkiej przygody.

Czy mam jednak prawo opowiedzieć wam o wszystkim?

Orzeł: opowiadam. Reszka: zachowuję wszystko w tajemnicy.

Orzeł!

Gdyby przyszło mi dotrzeć do początku wszystkich wydarzeń, które po sobie nastąpiły, musiałbym cofnąć się daleko, bardzo daleko we własną przeszłość.

3 - KARTOTEKA POLICYJNA

Wniosek o udostępnienie podstawowych danych osobowych

Nazwisko: Pinson

Imię: Michael

Włosy: ciemne

Oczy: piwne

Wzrost: 175 cm

Znaki szczególne: brak

Uwagi: pionier ruchu tanatonautycznego

Słabe strony: brak pewności siebie

4 - U DUPONTA WSZYSTKO DOBRE

Podobnie jak w wypadku wszystkich innych dzieci, także dla mnie nastąpił dzień X, w którym odkryłem, czym jest śmierć. Moim pierwszym nieboszczykiem był człowiek nawykły do życia w otoczeniu trupów. Był nim pan Dupont, rzeźnik, u którego kupowaliśmy mięso. Jego dewiza, wypisana wielkimi literami na witrynie, brzmiała: „U Duponta wszystko dobre”. Jednak pewnego ranka matka obwieściła mi, że nie będziemy już mogli kupować u niego polędwicy na niedzielę, bo pan Dupont umarł. Przygniotła go tusza wołu rasy Charolais, którą niechcący strącił z haka.

Musiałem mieć wtedy jakieś cztery lata. Zupełnie niespodziewanie zapytałem matkę, co też oznacza to słowo „umarł”. Matka z jakiegoś powodu była tak samo zażenowana jak w dniu, w którym zapytałem ją, czy stosowany przez nią środek antykoncepcyjny mógłby także

wyleczyć mnie z kaszlu.

Spuściła tylko wzrok.

- No cóż, hm, umrzeć, to znaczy „już nie być tutaj”.

- To tak jak wyjść z pokoju?

- No nie tylko z pokoju. To również wyjść z domu, opuścić miasto, kraj.

- Czyli podróżować gdzieś bardzo daleko? Tak jak wyjeżdża się na wakacje?

- No... niezupełnie. Dlatego że kiedy ktoś umrze, już się nie rusza.

- To znaczy, że nie ruszamy się i wyruszamy gdzieś daleko? Super! Jak to w ogóle możliwe?

I być może właśnie przy tej nieudolnej próbie zrozumienia śmierci pana Duponta zrodziła się we mnie nieodparta ciekawość poznania tego, co znacznie później stało się przyczyną szaleństwa Raoula...

W każdym razie tak mi się przynajmniej wydaje.

Trzy miesiące później, kiedy to oświadczone mi, że także moja prababka Aglae umarła, miałem powiedzieć: „Prababcia Aglae umarła? Nie wierzę, żeby była do tego zdolna!”. Pradziadek okropnie przewracał oczami i z wściekłością wyrzucił z siebie zdanie, którego nigdy już nie zapomnę:

- Czy ty naprawdę nie zdajesz sobie sprawy z tego, że śmierć jest najbardziej przerażającą rzeczą, która może się wydarzyć?

Nie. Nie wiedziałem tego.

- Ach... bo ja myślałem, że... - wybełkotałem.

- Z takich spraw się nie żartuje! - dodał, żeby jeszcze bardziej mnie dobić. - Jeśli jest coś, z czym nie ma żartów, to właśnie śmierć!

A potem mój ojciec przejął pałeczkę. I wszyscy chcieli mi wytłumaczyć, że śmierć jest absolutnym tabu. Nie mówi się o niej, nawet się nie wspomina, a jeśli już słowo to padnie, wypowiedane musi być z lękiem i szacunkiem. W żadnym razie nie należy wypowiadać go bez powodu, bo to sprowadza nieszczęście.

Ktoś mną potrząsnął.

- Prababcia Aglae umarła. To okropne. I gdybyś nie był bez serca... rozplakałbyś się!

Trzeba przyznać, że mój brat Conrad od najmłodszych lat potrafił wylewać łzy tak, jak się wyżyma gąbkę podczas kąpieli.

A więc to tak? Kiedy ludzie umierają, trzeba płakać? Nigdy mi tego nie powiedziano. Ale okazuje się, że sprawy, o których się nie mówi, idą lepiej, kiedy się o nich mówi.

Aby pomóc mi się rozplakać, rozwścieczony moją młodzieńczą arogancją ojciec sprzął

mnie zresztą solidnie po twarzy. W ten sposób, taką przynajmniej miał nadzieję, zapamiętam na dobre: po pierwsze, zdanie „śmierć jest najbardziej przerażającą rzeczą, która może się wydarzyć” a także to, że „z tymi sprawami nie ma żartów”.

- Dlaczego się nie rozplakałeś? - dopytywał znowu ojciec, kiedy wracaliśmy z pogrzebu prababci Aglae.

- Daj mu już spokój, Michael ma dopiero pięć lat, nawet nie wie, czym jest śmierć - broniła mnie bez przekonania matka.

- On doskonale wie, ale myśli tylko o sobie, więc śmierć innych jest mu obojętna. Zobaczysz, kiedy my umrzemy, też nie będzie płakał!

W tym momencie ostatecznie zrozumiałem, że ze śmiercią nie ma żartów. Od tej chwili za każdym razem gdy powiadamiano mnie o czyjejś śmierci, zawsze starałem się na siłę myśleć o czymś bardzo, ale to bardzo smutnym... na przykład o gotowanych liściach szpinaku. Bez żadnych trudności łzy napływały same do oczu, co wszystkim sprawiało przyjemność.

Później nawiązałem jednak bardziej już bezpośredni kontakt ze śmiercią. Otóż kiedy miałem siedem lat, ja sam umarłem. A wydarzyło się to w lutym, w pewien bardzo piękny i słoneczny dzień. Trzeba też przyznać, że wcześniej mieliśmy bardzo łagodny styczeń, a często się zdarza, że po ciepłym styczniu nastaje pełen słońca luty.

5 - GDZIE BOHATER UMIERA NA POCZĄTKU

- U w a ż a j!

- Rany boskie...

- O Boże!

- Uwaga! Przecież on zaraz...

- Niiieeeee!!!!!!

Długi pisk hamulców. A potem uderzenie, głuche i przytłumione. Biegłem za piłką, która wypadła na jezdnię, a zderzak sportowego samochodu ściął mnie tuż pod kolanami, tam gdzie skóra jest najmiększa. Moje stopy oderwały się od ziemi. Wyrzuciło mnie niczym z katapulty prosto w niebo.

Powietrze świstało mi w uszach. Unosiłem się nad powierzchnią. Chłodny wiatr wtargnął do moich rozdziawionych ust. Gdzieś tam w dole, nieco dalej, gapie wpatrywali się we mnie z przerażeniem.

Jakaś kobieta zawyła, widząc, jak się wznoszę. Spod spodni wyciekała mi strużka krwi, tworząc na asfalcie kałużę.

Wszystko działo się jak w zwolnionym tempie. Leciałem na poziomie dachów, obserwując poruszające się w mansardowych oknach sylwetki. Wtedy po raz pierwszy w moim umyśle pojawiło się pytanie, które znacznie później stanie się moją nieustającą obsesją: „Co ja tutaj w ogóle robię?”.

Tak, w tej właśnie chwili, zawieszony na ułamek sekundy pod niebem, zrozumiałem, że niczego nie rozumiem.

Kim jestem?

Skąd się tu wziąłem?

Dokąd zmierzam?

Odwiecznie stawiane pytania. Każdy zadaje je sobie któregoś dnia. Ja zadałem je sobie w tej właśnie chwili, gdy umierałem.

Wzniósłem się bardzo wysoko. Spadłem także nad wyraz szybko. Plecy uderzyły o maskę sportowego samochodu w kolorze zielonym. Odbiłem się, a głowa uderzyła o krawędź chodnika. Rozległ się trzask. Głuchy odgłos. Przerazone twarze pochyliły się nade mną.

Chciałem coś powiedzieć, ale nie byłem w stanie niczego już zrobić, ani wydobyć z siebie głosu, ani poruszyć się. Słońce powoli zaczęło zachodzić. To fakt, w lutym słońce jest jeszcze nieśmiałe. I wiadomo, że tylko patrzeć, a nadejdą marcowe gwałtowne deszcze. Słońce stopniowo gasło. Wkrótce pograżyłem się w ciemnościach i ciszy. Żadnych zapachów, żadnych odczuć, nic. Kurtyna.

Miałem dopiero siedem lat i już po raz pierwszy umarłem.

6 - REKLAMA

„Życie jest piękne. Nie słuchajcie plotek. Życie jest piękne. Życie to produkt przetestowany i zatwierdzony przez ponad siedemdziesiąt miliardów ludzi od trzech milionów lat. Oto najlepszy dowód jego niepowtarzalnej wartości”.

*Komunikat KAPŻ,
Krajowej Agencji Promocji Życia*

7 - PODRĘCZNIK DO HISTORII

Do chwili pojawienia się tanatonaury śmierć uważana była za jedno z najważniejszych tabu ludzkości. Żeby skuteczniej walczyć ze związanymi z nim obawami, ludzie odwoływali się do procesów myślowych, które dzisiaj nazwalibyśmy przesadami. Niektórzy na przykład uważali, że medalik z wyobrażeniem świętego Krzysztofa przyczepiony do deski rozdzielczej uchroni kierowcę przed śmiertelnym wypadkiem samochodowym.

Zanim nastał XXI wiek, żartowano sobie dosyć powszechnie, że największe szanse, by wyjść cało z wypadku samochodowego, ma posiadacz największego medalika ze świętym Krzysztofem.

Podręcznik szkolny, kurs podstawowy, 2. rok

8 - GDZIE BOHATER UMIERA MNIEJ, NIŻBY SIĘ WYDAWAŁO

Oczekiwanie. Nic strasznego się nie wydarzyło.

Pradziadek nie miał racji. Śmierć nie była wcale aż tak przerażająca. Po prostu nic się nie działo. I to wszystko.

Ciemność i cisza trwały bardzo długo.

Wreszcie otworzyłem oczy. Drobną sylwetką pojawiła się w mglistej otoczce światła. Zapewne anioł.

Anioł pochylił się nade mną. Dziwnie przypominał kobietę, ale bardzo piękną kobietę, taką, jakiej nigdy nie ujrzymy na ziemi. Miała jasne włosy i ciemne oczy.

Pachniała morelami.

Wokół nas wszystko było białe i pogodne.

Musiałem być w raju, gdyż anioł się do mnie uśmiechnął.

- Eeem... asz.... użżżż... emp... ryyyyyy...

Anioły najwidoczniej porozumiewają się własnym językiem. Żargonem całkowicie niezrozumiałym dla nieaniołów.

- Emmm... szszszsz... pera... tuuuuuu.

Powtarzała cierpliwie tę litanię i przesunęła delikatną chłodną dłońią po moim gładkim czole dziecka, które uległo wypadkowi.

- Nie... masz... już... temperatury.

Rozejrzałem się wokół siebie lekko jeszcze nieprzytomny.

- W porządku? Rozumiesz, co do ciebie mówię? Nie masz już gorączki.

- Gdzie jestem? W raju?

- Nie, na oddziale reanimacji w szpitalu Saint-Louis. - Anioł uspokoił mnie. - Nie umarłeś. Jesteś tylko trochę pokiereszowany. Miałeś sporo szczęścia, że spadłeś na maskę samochodu, która złagodziła upadek. Masz tylko mocno rozdartą skórę na kolanach.

- Zemdlałem?

- Tak, byłeś nieprzytomny przez trzy godziny.

Straciłem świadomość na trzy godziny i w ogóle tego nie pamiętam! Kompletnie nic, żadnych, choćby najmniejszych doznań. Przez te trzy godziny zupełnie nic się nie wydarzyło.

Pielęgniarka podłożyła mi poduszkę pod plecy, żebym mógł usiąść wygodniej. Może i byłem martwy przez trzy godziny, ale czułem, że ani mnie to grzeje, ani ziębi.

Natomiast pojawienie się mojej rodziny wywołało u mnie silny ból głowy. Wszyscy byli tacy mili i pochlipywali, zupełnie jakbym rzeczywiście wyzionął ducha. Twierdzili, że strasznie się o mnie martwili. „Krew zastygła nam w żyłach”, właśnie tak się wyrazili.

Odniosłem wrażenie, że jakby trochę jest im przykro, że wyszedłem z tego cało. Gdybym umarł, strasznie by mnie żalowali. I od razu okazałoby się, że miałem wyłącznie same zalety.

9 - KARTOTEKA POLICYJNA

Wniosek o udostępnienie danych psychologicznych dotyczący Michaela Pinsona

Osobnik poddany badaniu jest ogólnie normalny. Jednakże stwierdzono u niego pewne psychiczne ułomności spowodowane nadmiernie przytłaczającym środowiskiem rodzinnym. Osobnik żyje w ciągłym stanie niepewności. Według niego ten, kto zabiera głos jako ostatni, ma zawsze rację. Nie wie, czego chce. Nie rozumie też czasów, w jakich żyje. Nieznaczące skłonności do paranoi.

Uwaga: rodzice nie uznali za wskazane, by powiedzieć mu o tym, że jest dzieckiem adoptowanym.

10 - SEP

Pierwsza wycieczka poza życie właściwie nie nauczyła mnie niczego interesującego na temat śmierci, z wyjątkiem może tego, że jeszcze przez długi czas było to źródłem kłopotów, które miałem z rodziną.

Później, kiedy miałem już osiem, a może dziewięć lat, bardziej zainteresowałem się śmiercią, tyle że tym razem śmiercią innych. Należy zaznaczyć, że w telewizji każdego wieczoru w wiadomościach o dwudziestej pokazywano zmarłych, a było tego do wyboru, do koloru. A więc byli tam najpierw ci, którzy zginęli na wojnie. Mieli na sobie zielono-czerwone mundury. Potem pokazywali tych, którzy zginęli w drodze na wakacje: ubrania wielobarwne. Wreszcie pokazywano słynnych zmarłych: ubranych w świecące stroje.

W telewizji wszystko było znacznie prostsze niż w życiu. Od razu można było zrozumieć, że śmierć jest czymś smutnym, bo obrazom towarzyszyła pogrzebowa muzyka. To co pokazywali w telewizji, zrozumieć mogły i dzieci, i debile. Ofiarom wojny przysługiwała symfonia Beethovena, ci z wakacji mieli prawo do koncertu Vivaldiego, a gwiazdom show-biznesu, które przedawkowały, towarzyszył wolny kawałek Mozarta grany na wiolonczeli.

Zauważyłem też, że kiedy zmarła jakaś gwiazda, od razu sprzedaż jej płyt szła ostro w górę, filmy z nią nie schodziły z małego ekranu i wszyscy mówili wyłącznie dobrze o zmarłym. Zupełnie jakby śmierć wymazała wszystkie grzechy. Ale było coś jeszcze lepszego: śmierć wcale nie przeszkadzała artystom pracować dalej. Najlepsze płyty Johna Lennona, Jimmy'ego Hendrixa czy Jima Morrisona pokazały się na rynku dopiero jakiś czas po ich śmierci.

Moim kolejnym pogrzebem był pogrzeb wujka Norberta. Wspaniały był z niego człowiek, jak zapewniali idący w kondukcje pogrzebowym. Wtedy zresztą usłyszałem po raz pierwszy ten jakże powszechnie stosowany zwrot: „No tak, zawsze ci najlepsi odchodzą pierwsi”. Miałem wtedy zaledwie osiem lat, ale pojawiła się natrętna myśl: „Jak to? A więc wszędzie wokół mnie pozostali już tylko ci źli?”.

Na tym pogrzebie zachowałem się jednak bez zarzutu. Gdy tylko ruszył kondukt, całym sobą skupiłem się na gotowanych liściach szpinaku. Szlochałem sobie w najlepsze, dorzucając jeszcze do tego koreczki z anchois. Nawet mojemu bratu Conradowi nie udało się wspiąć do poziomu moich łez.

Kiedy dochodziliśmy już do cmentarza Père-Lachaise, dorzuciłem do mojego płaczliwego menu brokuły i surowy mózdzek jagnięcy. Fuj!... Nieomal zemdlałem z obrzydzenia. W niewielkiej grupce usłyszałem, jak ktoś szepnął: „Nie zdawałem sobie sprawy, że Michael był aż tak związany z wujkiem Norbertem”. Matka zauważyła nawet, że jest to tym bardziej zaskakujące, iż tak po prawdzie nigdy go nie widziałem na oczy. W każdym razie odkryłem przy tej okazji przepis na udany pogrzeb: liście gotowanego szpinaku, anchois, brokuły i jagnięcy mózdzek.

Dzień jakże wart zapamiętania, tym bardziej zresztą że po raz pierwszy spotkałem wówczas Raoula Razorbaka.

Staliśmy nad trumną mojego zmarłego wujka Norberta, gdy nagle dostrzegłem nieco dalej coś, co w pierwszej chwili wyglądało jak siedzący na zwłokach sęp. Ale nie był to wcale ptak żywiący się padliną. Był to Raoul.

Korzystając z chwili nieuwagi - w końcu przecież wylałem wystarczającą porcję łez - podszedłem do mrocznej sylwetki. Coś w rodzaju wielkiej samotnej tyczki siedziało sobie na płycie grobowca, wpatrując się w niebo.

- Dzień dobry - powiedziałem grzecznie. - Co pan tu robi?

Cisza. Z bliska sęp okazał się małym chłopcem. Był chudy, z kościstej twarzy spod okularów w rogowej oprawce wystawały jedynie policzki. Smukłe delikatne dłonie spoczywały na spodniach niczym dwa pająki oczekujące spokojnie na rozkazy swojego pana. Chłopiec spuścił głowę i spojrzał na mnie wzrokiem uważnym i głębokim, którego jeszcze nigdy nie spotkałem u kogoś, kto był mniej więcej w moim wieku.

Powtórzyłem pytanie:

- No więc co pan robi?

Ręka-pająk przesunęła się szybko po północnej stronie poły płaszcza i dotknęła długiego prostego nosa.

- Możesz mi mówić „ty” - oświadczył uroczyście. Po czym wyjaśnił: - Jestem na grobie mojego ojca. Staram się dociec, czy ma mi coś do powiedzenia.

Parsknąłem śmiechem. Przez chwilę wahał się, wreszcie też się roześmiał. Nie pozostawało nic innego, jak tylko zakpić sobie z chudego dzieciaka, który godzinami przesiaduje przy grobie i patrzy w płynące po niebie chmury.

- Jak się nazywasz?

- Raoul Razorbak. Możesz mi mówić Raoul. A ty?

- Michael Pinson. Możesz mi mówić Michael.

Przyjrzał mi się uważnie.

- Pinson? Szczygieł? Jak na szczygła dziwny z ciebie ptak.

Próbowałem nie dać się zbić z tropu. Przypomniałem sobie takie zdanie, które pasuje do wszystkiego, nauczyłem się go właśnie na potrzeby tego typu delikatnych sytuacji.

- Jest nim ten, kto to mówi.

Raoul znowu głośno się roześmiał.

11 - KARTOTEKA POLICYJNA

Wniosek o udostępnienie podstawowych danych osobowych

Nazwisko: Razorbak

Imię: Raoul

Włosy: ciemne

Oczy: piwne

Wzrost: 190 cm

Znaki szczególne: okulary

Uwagi: pionier ruchu tanatonaucycznego

Słabe strony: nadmierna pewność siebie

12 - PRZYJAŹŃ

Wkrótce potem zaczęliśmy się spotykać na cmentarzu Père-Lachaise w każde środowe popołudnie. Lubiłem iść obok wysokiej chudej sylwetki Raoula. A poza tym zawsze miał ciekawe rzeczy do opowiedzenia.

- Za późno się urodziliśmy, Michael.

- A czemuż to?

- Dlatego, że wszystko już zostało wynalezione, wszystko zostało zbadane. Moim marzeniem byłoby zostać człowiekiem, który wynalazł proch albo elektryczność lub przynajmniej skonstruował łuk i strzały. Zadowolilibym się naprawdę byle czym. Tylko że wszystko już zostało odkryte. Rzeczywistość jest szybsza od science fiction. Nie ma już wynalazców, zostali tylko ci, którzy za nimi podążają i jedynie udoskonalają to, co inni odkryli dawno, dawno temu. Ostatnim, który doznał tego fantastycznego uczucia, że wdziera

się w nowy wszechświat, musiał być Einstein. Tylko sobie wyobraź, jak musiało mu się zakręcić w głowie, gdy zrozumiał, że jest w stanie obliczyć prędkość światła!

Nie, nie umiałem sobie tego wyobrazić.

Raoul przyjrzał mi się trochę rozczarowany.

- Powinieneś czytać więcej książek, Michael. Świat dzieli się na dwie kategorie ludzi: czytających książki i słuchających tych, którzy książki przeczytali. I lepiej jest, wierz mi, należeć do pierwszej kategorii.

Odparłem, że właśnie on mówi, jakby czytał z książki, i roześmialiśmy się obaj. Każdy odgrywał swoją rolę: Raoul wypowiadał jakieś podstawowe prawdy, ja z tego żartowałem, a potem wspólnie śmialiśmy się. Rzeczywiście obśmiewaliśmy się ze wszystkiego jak norki.

Niemniej prawda, że Raoul Razorbak przeczytał całą masę książek. Zresztą to on wzbudził we mnie zamiłowanie do czytania, podsuwając mi, według jego słów, „nieupierdliwych” autorów, takich jak: Rabelais, Edgar Allan Poe, Lewis Carroll, H. G. Wells, Jules Verne, Isaac Asimov, Frank Herbert, Philip K. Dick.

- Bo takich nieupierdliwych pisarzy nie ma znowu aż tak wielu - wyjaśniał. - Większość autorów wyobraża sobie, że im bardziej są niezrozumiali, tym bardziej wydają się inteligentni. Rozciągają więc te swoje zdania na dwadzieścia linijek. Potem otrzymują nagrody literackie, a ludzie kupują ich książki, żeby ładnie wyglądały w salonie i żeby osobom, które do nich przyjdą, dać do zrozumienia, że są w stanie czytać tak bardzo skomplikowane rzeczy. Przeglądałem książki, gdzie nie dzieje się nic. Kompletnie nic. Pojawia się jakiś gość, widzi jakąś kobietę, podrywa ją. Ona mu mówi, że nie wie, czy się z nim prześpi czy też nie. Po ośmiuset stronach w końcu decyduje się i oświadcza mu, że ostatecznie jednak nie.

- Ale po co pisać książki, w których kompletnie nic się nie dzieje? - zapytałem.

- Brak pomysłów. Ubóstwo wyobraźni. Stąd wszystkie biografie i autobiografie, fabularyzowane życiorysy... Pisarze, którzy nie są w stanie stworzyć innego świata, mogą jedynie opisywać własny świat, choćby był bardzo ubogi. Nawet w literaturze nie ma już wynalazców. Zatem z braku treści autorzy cyzelują styl i wygładzają formę. Opisz na dziesięciu stronach swoje nieszczęścia spowodowane czyrakiem i masz całkiem spore szanse dostać Nagrodę Goncourtów.

Wspólny rechot.

- Uwierz mi, gdyby „Odyseję” Homera wydano dzisiaj po raz pierwszy, nawet by się nie pojawiła na liście najlepiej sprzedających się książek. Umieszczono by ją w dziale fantastyki i horrorów. Tylko takie dzieciaki jak my czytałyby to ze względu na opowieści o

cyklopach, wrózkach, syrenach i różnych potworach.

Raoul miał rzadki dar oceniania według własnych odczuć. Nie powtarzał bezmyślnie powszechnie przyjętych prawd powielanych w telewizji czy w gazetach. I chyba właśnie to urzekło mnie w nim tak bardzo, ta swoboda myślenia i odporność na wszelkiego rodzaju wpływy. On z kolei był wdzięczny za ten stan rzeczy swojemu ojcu. Ojciec był nauczycielem filozofii, podkreślał Raoul, właśnie od niego przejął miłość do książek. Raoul codziennie czytał prawie jedną. Zwłaszcza książki z dziedziny fantastyki lub fantastyki naukowej.

- Tajemnicą wolności jest księgarnia - lubił mawiać.

13 - NIGDY NIE DBAMY NALEŻYCIEM O NASZE WNĘTRZNOŚCI

W którąś środę po południu, kiedy siedząc na ławce, patrzyliśmy w milczeniu na płynące nad cmentarzem chmury, Raoul wyciągnął z tornistra gruby zeszyt. Otworzył go i pokazał mi wklejoną stronę, którą musiał wcześniej wyciąć z książki poświęconej mitologii starożytnej.

Był tam obrazek przedstawiający egipską barkę i kilka różnych postaci.

Skomentował to w taki oto sposób:

- Pośrodku barki stoi Re, bóg słońca. Przed nim klęczy zmarły. Po jednej i drugiej stronie stoją dwa inne bóstwa: Izyda i Neftyda. Lewą ręką Izyda wskazuje kierunek, a w prawej ręce trzyma krzyż ankh, symbol wieczności, która czeka na wędrowca w zaświatach.

- Egipcjanie wierzyli w zaświaty?

- Oczywiście. Tutaj, po lewej stronie obrazu, można rozpoznać Anubisa z głową szakala. To on jest przewodnikiem, który towarzyszyć będzie zmarłemu, trzyma w ręku urnę zawierającą jego żołądek i wnętrzności.

Pamiętam, jak bardzo byłem przejęty. Raoul tymczasem przyjął mentorski ton:

- „Każdy zmarły musi czuwać nad tym, by nie ukradziono mu wnętrzności”, takie jest stare egipskie przysłowie.

Przewrócił kartkę, przechodząc do innych obrazów.

- A tutaj zmarły wchodzi z kolei na barkę. Tu wita go albo osobiście Re, albo wieprz. Wieprz pożera dusze przeklętych i prowadzi ich do piekła, gdzie władzę sprawują okrutni kaci, którzy torturują ich szponiastymi palcami zakończonymi długimi ostrymi pazurami.

- Okropność!

Raoul zasugerował mi, żebym był bardziej wstrzemięźliwy w ocenach.

- Lecz jeśli sam Re zgadza się przyjąć zmarłego, wszystko skończy się dobrze.

Nieboszczyk stanie u boku bogów, a barka zacznie się przesuwać wzdłuż brzegu na długiej linii, która w rzeczywistości jest żywym węzem boa.

- Super!

Raoul wzniosł oczy do nieba. Mój naprzemiennie wyrażany entuzjazm i oburzenie zaczynały go trochę irytować. Mimo wszystko mówił dalej. Ostatecznie byłem całą jego publicznością.

- Ten boa jest miłym węzem, odstrasza wrogów od światła. Stara się jak może, ale jest jeszcze inny gad, tym razem niedobry, Apofis, uosobienie Seta, boga zła. Ten z kolei krąży wokół barki i stara się ją wywrócić. Czasami wypełza z wody i pluje ogniem. Sprawia, że barka kręci się w kółko, a on wyskakuje ponad fale w nadziei, że uda mu się połknąć przerażoną duszę zmarłego. Jeżeli jednak duszy uda się odeprzeć te ataki, wtedy łódź śmierci podaży dalej swoją drogą i sunie wzdłuż podziemnej rzeki, która przemierza dwanaście wewnętrznych światów. Wiele jest przeszkód, które należy pokonać. Trzeba przekroczyć wrota piekieł, ominąć wodne monstra, obronić się przed latającymi demonami. Jeżeli jednak zmarły pokona wszystkie te przeciwności, wtedy... - Ku mojemu zdziwieniu Raoul nagle przerwał. - Wrócimy do tego w przyszłym tygodniu. Już siódma, matka będzie się niepokoić.

Moja irytacja rozbawiła go.

- Wszystko we właściwym czasie. Nie bądź taki niecierpliwy.

Następnego nocy po raz pierwszy śniło mi się, że latam i unoszę się ponad chmurami. Byłem jak ptak. Nie, byłem ptakiem. I leciałem, leciałem... I nagle, tuż za jakimś cumulusem, zauważyłem ubraną na białą kobietę. Siedziała sobie na chmurce i była bardzo piękna. Jej ciało było młode i smukłe. Zbliżyłem się do niej i dostrzegłem, że w ręku trzyma maskę. Gdy byłem znacznie bliżej, aż podskoczyłem z przerażenia. Maską była tylko szkieletem, trupią czaszką z pustymi oczodołami, ustami bez warg ułożonymi w wykrzywiony uśmiech. Obudziłem się cały zlany potem. Jednym skokiem wpadłem do łazienki i włożyłem głowę pod zimną wodę, żeby zmyć z siebie ten koszmar. Nazajutrz przy śniadaniu zapytałem matkę:

- Mamo, sądzisz, że możemy latać jak ptaki?

Czyżby przez ten wypadek coś mi się porobiło w główce? Popatrzyła na mnie dziwnym wzrokiem.

- Przestań już wygadywać takie głupoty i wsuwaj te płatki.

14 - MITOLOGIA MEZOPOTAMII

„Gilgameszu! Na co ty się porywasz? Życia, co go szukasz, nigdy nie znajdziesz! [...] Kiedy bogowie stwarzali człowieka, śmierć przeznaczyli człowiekowi, życie zachowali we własnym ręku”.¹

Epos o Gilgameszu

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

15 - RAOUL JEST NIENORMALNY

Ilekcję spotykaliśmy się na cmentarzu Père-Lachaise, rozmawialiśmy z Raoulem o śmierci. W każdym razie on mówił o śmierci, a ja go słuchałem. W tych naszych rozmowach nie było zresztą niczego odrażającego, brudnego czy makabrycznego. Rozmawialiśmy o śmierci jako o interesującym zjawisku w taki sam sposób, jak moglibyśmy rozmawiać o istotach pozaziemskich czy o motocyklach.

- Miałem sen - powiedziałem mu.

Chciałem opowiedzieć mu historię siedzącej w niebie kobiety w białej atlasowej szacie, z maską trupiej czaszki, ale nie dał mi dojść do słowa. Natychmiast przerwał:

- Mnie też się coś śniło. Powoziłem rydwanem ognia. Kiedy do niego wsiadłem, ogniste rumaki poniosły mnie ku słońcu. Musiałem przebijać się przez kolejne kręgi ognia, żeby zbliżyć się do gwiazd, a im więcej kręgów mijałem, tym silniejsze odnosiłem wrażenie, że coraz więcej rzeczy rozumiem.

Później dowiedziałem się, że zainteresowanie Raula śmiercią nie było przypadkowe. Któregoś wieczoru po powrocie ze szkoły poszedł do łazienki i zobaczył ojca, który powiesił się na spluczce. Francis Razorbak był nauczycielem filozofii w liceum Jeana Jaurès'a w Paryżu.

Czyżby Francis Razorbak odkrył coś tak bardzo interesującego, że naszła go ochota,

¹ Przeł. R. Stiller (ten przypis i następne pochodzą od tłumacza).

by opuścić ten świat?

Raoul był o tym przekonany. Jego ojciec nie zabiłby się ze smutku czy ze zmartwienia. Umarł, żeby dotrzeć do jakiejś tajemnicy. Mój przyjaciel był tego tym pewniejszy, że od kilku miesięcy ojciec pracował nad rozprawą zatytułowaną „Śmierć, ta nieznajoma”.

Z pewnością odkrył coś niezwykle istotnego, ponieważ zanim się powiesił, spalił swoją pracę. Zwęglony papier unosił się jeszcze w kominku w chwili, gdy Raoul odkrył ciało. Jednak chyba ze sto kartek można było nadal odczytać. Była tam mowa o starożytnych mitologiach i o kulcie zmarłych.

Od tej pory Raoul nie przestawał o tym myśleć. Cóż było aż tak ważnym odkryciem dla jego ojca? Czego poszukiwał, decydując się na śmierć?

W dniu pogrzebu Raoul nie płakał. Nikt jednak go za to nie skarcił. Nikt też nie robił mu z tego powodu jakichkolwiek wyrzutów. Usłyszał tylko, jak ktoś mówi: „Biedny chłopiec, przeżył tak potworny szok, kiedy jego ojciec się powiesił, że nie jest już nawet w stanie płakać”. Gdybym znał Raoula wcześniej, mógłbym dać mu ten mój przepis z gotowanym szpinakiem i jagnięcym mózdzkiem i to by mu oszczędziło tego rodzaju uwag.

Po pogrzebie ojca zachowanie matki Raoula zmieniło się diametralnie. Starła się spełniać wszelkie zachcianki syna. Kupowała mu wszystkie zabawki, wszystkie książki i wszystkie czasopisma, na jakie miał ochotę. Mógł spędzać czas, jak tylko chciał. Moja matka twierdziła, że Raoul jest niemożliwie rozpuszczonym dzieckiem, ponieważ jest jedynakiem i do tego półsierotą. Ja tam nie miałbym na pewno nic przeciwko temu, żeby mnie tak rozpuszczano, choćby i przyszło mi stracić część rodziny.

Bo mnie niczego nie odpuszczano.

- Po co ty tak się włóczysz z tym małym Razorbakiem? - zapytał mój ojciec, zapalając jedno z tych swoich cygar, które zasmradzały powietrze w promieniu trzydziestu metrów.

Podnosząc głos, zaprotestowałem:

- To mój najlepszy kolega.

- To znaczy, że nie umiesz sobie dobierać kolegów stwierdził ojciec. - Ten smarkacz nie jest normalny, to przecież widać od razu.

- Dlaczego?

- Nie zgrywaj mi tu niewiniątka. Jego ojciec miał taką depresję, że aż się powiesił. Z takim dziedzicznym obciążeniem każde dziecko stałoby się nienormalne. Poza tym jego matka nigdzie nie pracuje i zadowala się rentą po mężu. Wszystko to jakieś niezdrowe. Powinieneś przebywać z normalniejszymi ludźmi.

- Raoul jest normalny - powiedziałem z naciskiem.

Mój brat Conrad, jak zwykle wredny, uznał, że nadeszła odpowiednia chwila, by wtrącić swoje trzy grosze.

- Samobójstwo jest chorobą dziedziczną. Dzieci samobójców pociąga samobójstwo, tak jak dzieci ludzi, którzy się rozwiedli, robią wszystko, żeby ich małżeństwa też się rozpadły.

Wszyscy udawali, że nie usłyszeli uwagi wypowiedzianej przez mojego kretyńskiego brata. Lecz niestety matka pociągnęła ten wątek.

- Uważasz, że to normalne siedzieć całymi godzinami na cmentarzu, jak robi ten Raoul, z tego co wiem?

- Mamo, posłuchaj, on może robić ze swoim czasem, co chce. Jeśli tylko nikomu to nie przeszkadza...

- Tak, tak, jeszcze go broń! Kto z kim przestaje, takim się staje. Zresztą widzieli cię, jak dyskutujesz z nim o czymś między grobami!

- A jeśli tak, to co?

- Ano to, że zakłócanie spokoju zmarłych sprowadza nieszczęście. Trzeba im pozwolić spoczywać w spokoju - oświadczył stanowczym głosem Conrad, zawsze gotowy jeszcze bardziej mi dokopać, kiedy i tak byłem już skopany.

- Conrad, ty kretynie! Ty kretynie jeden! - krzyknąłem i strzeliłem go pięścią w twarz.

Zaczęliśmy się tarzać po podłodze. Ojciec odczekał, aż Conrad mi odda, i dopiero wtedy nas rozdzielił. Nie na tyle jednak wcześniej, żebym nie zdążył przyłożyć mu jeszcze raz.

- Spokój, dzieciaki, bo to ja wam spuszczę lanie. Conrad ma rację. Kto się włóczy po cmentarzach, ściąga na siebie nieszczęście.

Odcharknął z samego dna płuc i wypluł w płynnej postaci dym z cygara, po czym dorzucił:

- Są znacznie lepsze miejsca do rozmów. Kawiarnie, ogrody, kluby sportowe. A cmentarze są dla zmarłych, nie dla żywych.

- Ale, tato...

- Michael, zaczynasz mnie drażnić. Przestań wreszcie robić z siebie idiotę, bo w końcu ci przyłożę.

Ostatecznie dostałem dwa razy po twarzy i natychmiast zacząłem płakać, aby uniknąć kolejnych ciosów.

- No widzisz, kiedy chcesz, potrafisz jednak płakać - zauważył szyderczo ojciec.

Conrad był wniebowzięty. Matka kazała mi pójść do mojego pokoju.

W ten oto sposób zaczynałem się uczyć, w jaki sposób funkcjonuje świat. Trzeba oplakiwać zmarłych. Trzeba słuchać rodziców. Trzeba znosić Conrada. Nie wolno robić z siebie idioty. Nie wolno włączyć się po cmentarzach. Trzeba wybierać sobie przyjaciół spośród ludzi normalnych. Samobójstwo jest chorobą dziedziczną, a być może nawet chorobą zakaźną.

W ciemnościach pokoju, mając jeszcze w ustach słony smak łez bólu, nagle poczułem się bardzo samotny. Tego wieczoru, z odcisniętym na rozpalonym policzku śladem dłoni, żałowałem, że urodziłem się na tym świecie rządzonej przez powinności.

16 - ILE WAŻY PIÓRKO

- Zmarły musi przekroczyć bramę piekieł, ominąć wodne stwory i obronić się przed latającymi demonami. Jeżeli tylko mu się to uda, stanie przed Ozyrysem, najwyższym sędzią, i przed trybunałem, w którym zasiada czterdziestu dwóch boskich asesorów. Będzie wtedy musiał poprzez „negatywną spowiedź” udowodnić, że jego dusza jest czysta, że nie popełnił grzechów ani innych złych czynów w życiu, z którym dopiero co się pożegnał. Powie wówczas:

Nie grzeszyłem przeciw ludziom, nie szkodziłem poddanym, nie czyniłem nieprawości w miejscu prawdy, nie znałem zła, nie popełniałem grzechów. Nigdy nie starałem się być pierwszym ani też by dzieła rąk poddanych moich dawano mi wobec innych ludzi, nie stałem się przyczyną nędzy biedaków, nie robiłem tego, co jest wstrętne bogom. Nie oczerniałem sługi wobec przełożonego jego, nie stałem się przyczyną głodu, nie stałem się przyczyną płaczu, nie zabijałem sam ani nie kazałem zabijać...²

- A więc może mówić to, co chce, a nawet kłamać? - zapytałem Raoula.

- Tak. Ma prawo kłamać. Bogowie zadają mu pytania, a zmarły może próbować ich oszukać. Ale jego zadanie jest niełatwe, gdyż bogowie wiedzą o bardzo wielu sprawach. Ale to normalne, bo to przecież bogowie.

- No a potem?

² Przeł. M. Barwik.

- Jeżeli wyjdzie zwycięsko z tej próby, rozpoczyna się druga część sądu, tym razem w obecności nowych bogów.

Raoul zamilkł na chwilę, żeby wywołać jeszcze większe napięcie.

- Pojawi się Maat, bogini sprawiedliwości, oraz Thot, bóg mądrości i wiedzy z głową ibisa. To on zapisuje spowiedź zmarłego na glinianej tabliczce. A potem nadejdzie Anubis, bóg z głową szakala, z wielką wagą, która posłuży do zważenia duszy.

- Ale jak można zważyć duszę?

Raoul zignorował tak banalne pytanie, zmarszczył tylko brwi, przewrócił kartkę i ciągnął:

- Anubis kładzie na jednej szali serce zmarłego, a na drugiej pióro. Jeśli serce jest lżejsze od piórka, zmarły uznany jest za niewinnego. Jeśli serce będzie cięższe od piórka, wówczas posłuży za pokarm dla bóstwa o ciele lwa i głowie krokodyla, które pożera dusze niegodnych tego, by znalazły się w Wieczności.

- A jaki los spotka tego, kto wyjdzie obronną ręką z tej próby?

- Uwolniony od ciężaru życia dołączy do światła wschodzącego słońca.

- Super!

- Tam zaś czekać na niego będzie Chepri, bóstwo z głową złotego skarabeusza. Tutaj skończy się jego wędrówka. Rozgrzeszona dusza zaznać będzie mogła wiecznej szczęśliwości. Zaśpiewa hymn zwycięzców, którym powiodła się wędrówka na ziemi i w zaświatach. Posłuchaj tej pieśni.

Raoul stanął wyprostowany na płycie grobowca, zwrócił twarz w stronę bladego księżyca i jasnym głosem zaczął deklamować słowa antycznego hymnu:

*Oto przychodzę do was - ja,
który jestem bez grzechu i bez winy.
Nie ma we mnie zła
i nie ma świadectwa (przeciwko) mnie.³*

Raoul skończył czytać wielką księgę mitologii starożytnej. Dokonał ogromnego wyczynu. Na jego czole pojawiły się kropelki potu. Uśmiechał się, jak gdyby Anubis powiadomił go, że udało mu się odnieść zwycięstwo nad własnym życiem.

- Piękna opowieść! - wykrzyknąłem. - Myślisz, że tam w górze, w świecie zmarłych,

³ Przeł. M. Barwik.

tak się to właśnie odbywa? - Nie mam pojęcia. To alegoria. Egipcjanie musieli najwyraźniej zdobyć sporą wiedzę na ten temat, ale ponieważ nie chcieli jej ujawniać, obawiając się, że ktoś mógłby zrobić z niej niewłaściwy użytek, stosowali metafory i poetyckie określenia. Pisarz nie byłby w stanie wymyślić tego wszystkiego, nawet gdyby któregoś dnia spłynęło na niego niezwykle natchnienie. Źródła tych mitów sięgają czegoś w rodzaju powszechnego zdrowego rozsądku. Najlepszym dowodem jest to, że wszystkie religie opowiadają mniej więcej tę samą historię, tyle że stosują różne określenia. Wszystkie religie mówią o istnieniu innego świata po śmierci. Konieczne jest przejście przez pewne próby, po których następuje reinkarnacja albo wyzwolenie. Ponad dwie trzecie ludzkości wierzy w reinkarnację.

- Ale czy ty naprawdę myślisz, że istnieje taka barka z bogami, którzy...

Raoul dał mi znak, żebym zamilkł.

- Cicho! Ktoś idzie.

Była godzina dziewiąta i jak zwykle zamknięto już bramy cmentarza. Któż więc przyszedł zakłócić panujący tu spokój? Jak przedostał się przez zamkniętą bramę? My znaleźliśmy przejście, przechodząc po wysokim platanie, którego gałęzie spadają na okalający cmentarz mur w jego północno-zachodnim rogu. Byliśmy przekonani, że tylko my znamy tę drogę.

Przesunęliśmy się cicho w kierunku, z którego docierały do nas przytłumione odgłosy.

Ujrzelśmy wtedy grupę ludzi okrytych czarnymi pelerynami i przechodzących przez coś, co do złudzenia przypominało kratę.

17 - PODRĘCZNIK DO HISTORII

Nasi przodkowie wierzyli, że śmierć jest przejściem ze stanu, w którym wszystko istnieje, do stanu, w którym nie ma już nic. Żeby lepiej oswoić się z tą myślą, wynaleźli religię (zbiór rytuałów opartych na mitach). Większość z nich zapewniała, że poza życiem ziemskim istnieje inny świat, jednak nikt w to tak do końca nie wierzył. Religie były przede wszystkim symbolem przynależności do określonych grup etnicznych.

Podręcznik szkolny, kurs podstawowy 2. rok

18 - PRZECIWKO IMBECYŁOM

Cała grupa zatrzymała się przed jednym z grobów, zapaliła pochodnie i zaczęła rozkładać różnego rodzaju przedmioty na płycie grobowca. Dostrzegłem jakieś zdjęcia, książki, a nawet nieokreślone posążki.

Ukryliśmy się z Raulem za grobowcem zajęтым przez zmarłego aktora, rockmana i playboya, ofiary rybiej ości, która uwięzła mu w gardle. Dla uściślenia, gwiazdor przez ponad godzinę kasłał, starając się uwolnić od tego przedziwnego intruza, który zatrzymał się w jego głośni. Jednak nikomu nie wpadło do głowy, żeby przyjść mu z pomocą, chociaż w restauracji była masa ludzi. Wszyscy sądzili, że to zaimprovizowany przez ich idola happening, w którym przedstawia on nowy taniec i nowy sposób śpiewania. Jego ostatnim agonialnym drgawkom towarzyszyła burza oklasków.

Tak czy inaczej z miejsca, w którym staliśmy, mogliśmy bez trudu obserwować całą rozgrywającą się przed nami scenę. Ludzie w pelerynach nałożyli czarne kominiarki i zaczęli recytować dziwne zaklęcia.

- Wygłaszają modlitwę od końca - szepnął mi do ucha Raoul.

Zrozumiałem, że „Wółoina oktam, anoiwordzop źdąb” oznacza „Bądź pozdrowiona, Matko Aniołów”.

- To na pewno jakaś sekta satanistów - rzucił mój przyjaciel.

Dalszy ciąg litanii potwierdził, że się nie mylił.

O Wielki Belzebubie, oddaj nam odrobinę swojej władzy

O Wielki Belzebubie, pozwól nam ujrzeć swój świat

O Wielki Belzebubie, naucz nas, jak być niewidzialnymi

O Wielki Belzebubie, naucz nas, jak być szybkimi jak wiatr

O Wielki Belzebubie, naucz nas, jak wskrzeszać umarłych.

Poczułem na plecach dreszcz, ale Raoul Razorbak pozostał niewzruszony. Jego spokój i odwaga uspokoiły mnie. Podeszliśmy nieco bliżej. Z bliska ludzie ci robili jeszcze większe wrażenie. Niektórzy mieli wytatuowane na czole złowróżbne symbole: uśmiechnięte kozły, wirujące diabły, węże gryzące swój ogon.

Po kilku kolejnych modlitwach i zaklęciach zapalili świece ułożone w kształt

pięcioramiennej gwiazdy. Potem podpalili starte na proszek kości, które spłonęły w smugach ciemnofioletowego dymu. Wreszcie wyciągnęli z torby czarnego koguta, który mocno się szamotał i zgubił kilka piór.

- Wielki Belzebubie, tobie składamy ofiarę z tego czarnego koguta. Dusza koguta za duszę człowieka w amoku!

Wszyscy powtórzyli chórem:

- Dusza koguta za duszę człowieka w amoku!

Kogutowi poderżnięto gardło, a jego krew rozlano wzdłuż pięciu ramion gwiazdy.

Zaraz potem wyciągnęli białą kurę.

- O Wielki Belzebubie, tobie poświęcamy tę białą kurę. Dusza kury za duszę czarownicy.

I wszyscy razem:

- Dusza kury za duszę czarownicy. Dusza ptaka za duszę kata.

- Boisz się? - wyszeptał mi do ucha Raoul.

Starałem się trzymać dzielnie, ale nie potrafiłem zapanować nad ogarniającym moje członki drżeniem. Przede wszystkim nie mogłem dopuścić do tego, by usłyszano dzwonienie zębami. Hałas mógłby zaniepokoić amatorów czarnej mszy.

- Jeżeli czegoś się w życiu boimy, dzieje się tak dlatego, że nie wiemy, jaką mamy podjąć decyzję - powiedział spokojnym głosem mój młody towarzysz.

Potrząsnąłem głową, dając w ten sposób znak, że nie rozumiem.

Raoul wyciągnął dwufrankową monetę.

- W życiu - mówił dalej - zawsze mamy wybór. Działać albo uciec. Wybaczyć albo zemścić się. Kochać lub nienawidzić.

Miałem wątpliwości, czy był to czas odpowiedni na filozofowanie. On zaś nadal wydawał się niczym niewzruszony.

- Boimy się, gdy nie wiemy, za czym się opowiedzieć, ponieważ w grę wchodzi tak wiele elementów, że w końcu sami już nie rozumiemy tego, co rzeczywiście dzieje się wokół nas. Jak możemy wybierać, skoro świat jest tak bardzo złożony? W jaki sposób? Rzucając monetę. Nic nie jest w stanie wpłynąć na monetę. Jest nieczuła na złudzenia, nie słyszy podstępnych argumentów, niczego się nie obawia. Może zatem dostarczyć brakującej ci odwagi.

Powiedziawszy to, wyrzucił monetę w górę tak wysoko, jak potrafił. Spadła na ziemię - orzeł. Na twarzy Raoula pojawił się tryumfalny uśmiech.

- Orzeł! Orzeł, to oznacza: tak. Ruszajmy. Naprzód. Orzeł oznacza „zielone światło”.

No już, chodź. Ty i ja przeciwko tym imbecyloom - oświadczył.

A w pobliżu nadal toczyła się ponura ceremonia.

Z jeszcze większej torby czciciele Belzebuba wyciągnęli białą kózkę, która mezczała smętnie, oślepiiona świecami.

- Poświęcamy tę białą kózkę, abys otworzył nam wejście do krainy zmarłych. Dusza kozy za duszę...

Na cmentarzu rozbrzmiewał gardłowy głos.

- Dusza kozy za bandę nabzdyczonych idiotów.

Nóż, którym miała zostać odcięta głowa zwierzęcia, zawisnął w powietrzu.

Raoul stał wyprostowany obok mnie i wydierał się z pewnością siebie, którą tchnął w niego ten prosty fakt, że moneta spadła orzełkiem do góry.

- Precz z mych oczu, słudzy Belzebuba! Belzebub umarł już dawno temu. A ci, którzy go czczą, będą przeklęci. Jam jest Astaroth, dziewiąty książę Ciemności, i przeklinam was. Nigdy więcej nie przychodźcie tu, by zbrukać nieczystą zwierzęcą krwią święte groby. Budzicie umarłych i niepokoicie bogów!

Wyznawcy Belzebuba zamarli zupełnie zbici z tropu. Starali się dociec, skąd dobiega ten głos, ale niczego nie byli w stanie dostrzec. Raoul miał teraz przewagę. Przemawiał, ponieważ moneta dała mu pewność co do działań, które ma podjąć. Wszystko stało się jasne. Dla niego, dla mnie i dla nich także. Raoul był mocą. A oni jedynie natrętami. Raoul był tylko dzieckiem, lecz jednocześnie stał się ich panem. W obliczu tego niepokojącego incydentu zamaskowani ludzie woleli się zmyć. A mała kózka pomknęła w przeciwną stronę.

Łatwo zatem było odnieść zwycięstwo. Orzeł - będę silniejszy. Reszka - zostanie tchórzem. Pieniązku, zdecyduj o moim postępowaniu.

Raoul ścisnął mnie mocno za ramię i włożył mi do ręki dwufrankówkę.

- Daję ci ją. Od tej pory nie będziesz się już niczego bał i będziesz wiedział, jakiego dokonać wyboru. Będziesz miał u boku przyjaciółkę, która nigdy cię nie zawiedzie.

Moneta mieniła się w zagłębieniu dłoni.

19 - KARTOTEKA POLICYJNA

Wniosek o udostępnienie danych psychologicznych dotyczących Raoula Razorbaka.

Jak się wydaje, dziecko o nazwisku Raoul Razorbak cierpi na zaburzenia o podłożu psychotycznym. Już kilkakrotnie wystąpiły u niego gwałtowne napady gniewu, które stanowiły zagrożenie dla otoczenia, matka nie wyraża jednak zgody na jego hospitalizację w zakładzie psychiatrycznym. Odpowiadając na pytania specjalisty, oświadczyła, że syn był bardzo mocno poruszony śmiercią ojca. „On po prostu odczuwa silną potrzebę kompensacji”, powiedziała.

Ponieważ jednak do tej pory młody Raoul Razorbak nie popełnił żadnych wykroczeń i nie stwierdzono u niego skłonności przestępczych, nasze służby uznały, że zastosowanie jakichkolwiek aktywnych procedur wobec jego osoby byłoby przedwczesne.

20 - PODRĘCZNIK DO HISTORII

ŚMIERĆ NASZYCH DZIADKÓW

Najczęstsze przyczyny śmierci we Francji w roku 1965 (pod koniec drugiego tysiąclecia), przedstawione w kolejności od największej do najmniejszej liczby zgonów. Należy zauważyć, że niektóre choroby zostały w naszych czasach wyeliminowane.

Choroby serca	98 392
Nowotwory	93 834
Wylewy	62 746
Wypadki samochodowe	32 723
Marskość wątroby	16 325
Schorzenia dróg oddechowych	16 274
Zapalenie płuc	11 166
Grypa	9008
Cukrzyca	8118
Samobójstwa	7156
Morderstwa i zabójstwa	361
Przyczyny nieznane	87201

21 - PAN OSTRA DELIRKA

Od czasu naszego pierwszego spotkania na cmentarzu Père-Lachaise, wraz z upływem kolejnych lat, nasza przyjaźń zacieśniała się coraz bardziej. Raoul nauczył mnie tak wielu rzeczy!

- Ależ ty jesteś naiwny, Michael! Wyobrażasz sobie, że świat jest przyjazny i że w związku z tym najlepszym sposobem, aby się weń wpasować, jest uprzejmość dla innych. Ale jesteś w błędzie. Rusz trochę mózgowicą. Przyszłość wcale nie należy do ludzi miłych, tylko do wynalazców, do ludzi odważnych, do tych, którzy niczego się nie boją.

- A ty niczego się nie boisz?

- Niczego.

- Nawet fizycznego cierpienia?

- Wystarczy tylko chcieć, by tego nie odczuwać.

Aby mi to udowodnić, wyciągnął zapalniczkę, włożył palec wskazujący w środek płomienia i trzymał go tam aż do chwili, gdy w powietrzu rozszedł się zapach palonego paznokcia. Byłem jednocześnie zniesmaczony i zafascynowany.

- Ueee! Jak to zrobiłeś?

- Najpierw oczyszczam swój umysł, potem przekonuję siebie, że ktoś inny odczuwa ten ból i że ból ten w żadnym stopniu mnie nie dotyczy.

- Nie boisz się ognia?

- Ani wody, ani ziemi, ani metalu. Ten kto niczego się nie boi, jest wszechmocny i niczego nie można mu odmówić. To jest lekcja numer dwa. Pierwszą było to, że dwufrankowa moneta będzie twoim najlepszym doradcą. Druga jest taka, że lęk istnieje tylko wtedy, gdy mu na to pozwalasz.

- Ojciec cię tego nauczył?

- Mawiał, żebym nigdy nie oglądał się za siebie, kiedy wspinam się na górę. Jeśli się spojrzy w dół, można dostać zawrotu głowy i spaść. Ale jeśli będziesz bez wahania wspiął się prosto na szczyt, zawsze będziesz bezpieczny.

- Jeżeli niczego się nie boisz, to co popycha cię do tego, by iść do przodu?

- Tajemnica. Potrzeba wyjaśnienia tajemnicy śmierci ojca i śmierci w ogóle.

Kiedy wypowiadał te słowa, prawa ręka, nadal przypominająca pająka, spoczęła na jego czole, jak gdyby miało mu to pomóc w zapanowaniu nad jakimś zmartwieniem.

Wytrzeszczył oczy, jakby coś zżerało mu mózg od środka.

Zaniepokoiłem się.

- Niedobrze się czujesz?

Przez dłuższy czas nie odpowiadał. A potem, jakby odzyskawszy oddech i panowanie nad sobą, powiedział:

- To nic, to tylko migrena... Zaraz mi przejdzie - dodał twardo.

Był to jedyny raz, kiedy widziałem go na skraju załamania. Dla mnie Raoul był nadczłowiekiem. Był władcą.

Raoul wywierał na mnie wielkie wrażenie. Ponieważ był starszy ode mnie o rok, dołożyłem wszelkich starań, żeby przeskoczyć jedną klasę i siedzieć z nim w tej samej ławce. Wszystko stało się wtedy proste. Pozwalał mi odpisywać od siebie zadania, a po skończonych zajęciach nadal opowiadał niesamowite historie.

Nie wszyscy w klasie podzielali mój zachwyt.

Nauczyciel francuskiego nazwał ucznia Razorbaka „Pan Ostra Delirka”.

- A teraz uważajcie, moi drodzy. Dzisiaj Pan Ostra Delirka oddał wypracowanie, że boki zrywać. Temat, który wam zadałem, chciałbym jeszcze raz przypomnieć, brzmiał: „Napisz, jak wyobrażasz sobie idealne wakacje”. Ha! Pan Ostra Delirka nie wyruszył jednak w stronę Touquet, Saint-Tropez, La Baule czy do Barcelony albo Londynu. Nie, popędził od razu do krainy umarłych. I... wysłał nam stamtąd pocztówki.

Ogólne rozbawienie.

- Cytuję: „Kiedy moja barka pędziła w stronę światła, wczepiłem się w boa, gdyż ognisty wąż ukazał się przed dziobem statku. Bogini Neftyda poradziła mi, żebym nie wpadał w panikę i trzymał kurs. Potem księżniczka Izyda podała mi wygięty krzyż, żebym odepchnął potwora”.

Uczniowie zaczęli się głośno śmiać i poszturchiwać łokciami, gdy tymczasem nauczyciel mentorskim tonem przeszedł do konkluzji:

- Panie Ostra Delirka, mogę jedynie doradzić, aby się pan udał po poradę do dobrego psychoanalityka albo nawet do psychiatry. A tymczasem, dla pańskiej wiadomości, udało się panu uniknąć oceny zero. Dałem panu 1 na 20 wyłącznie za to, że mnie pan rozbawił, kiedy czytałem wypracowanie. Zawsze zresztą staram się zaczynać sprawdzanie prac od pana, bo jestem pewien, że nieźle się uśmieję. Tylko tak dalej, panie Razorbak, a będę się śmiał jeszcze przez długi czas, gdyż z całą pewnością będzie pan powtarzał tę klasę.

Raoulowi nawet nie drgnęła powieka. Był nieprzemakalny na tego rodzaju uwagi, zwłaszcza gdy wygłaszał je człowiek pokroju nauczyciela francuskiego, dla którego nie miał

żadnego szacunku. Ale problem pojawił się z innej strony. Ze strony klasy.

Tak jak w przypadku większości szkół, uczniowie naszego gimnazjum byli okrutnymi młodymi ludźmi i wystarczyło wskazać im palcem tak zwanego „odmieńca”, żeby natychmiast się na niego rzucili. W naszej klasie szefem bandy był arogancki gówniarz o nazwisku Martinez. On i jego akolici poszli za nami po szkole i otoczyli nas.

- Księżniczka Izyda, księżniczka Izyda - skandowali. - A chcesz dostać wygiętym krzyżem prosto w dziób?

Bardzo się wystraszyłem. Żeby się od nich odczepić, dałem mocnego kopniaka prosto w pieszczel grubego Martineza, a ten w rewanżu rozbił mi pięścią nos. W jednej chwili krew zalała mi całą twarz. Było nas tylko dwóch przeciwko sześciu, ale problem polegał na tym, że Raoul, chociaż znacznie ode mnie wyższy i silniejszy, zupełnie zrezygnował z obrony. Nie bił się. Przyjmował ciosy, nie oddając ich!

Zacząłem pisać.

- No, Raoul! Dołożymy im tak jak tym od Belzebuba. Ty i ja przeciwko imbecydom, Raoul!

Nie ruszył się. Już po chwili osunęliśmy się pod istną nawałnicą ciosów i kopniaków. Wobec całkowitego braku oporu banda grubego Martineza w końcu się znudziła i odeszła, wznosząc palce w kształcie zwycięskiego V. Podniosłem się, rozmasowując guzy.

- Przestraszyłeś się? - zapytałem go.

- Nie - odpowiedział.

- No to dlaczego się nie biłeś?

- A po co? Nie będę trwonił energii na jakieś bzdury. Zresztą i tak nie potrafię się bić z prymitywnymi umysłami - dodał, podnosząc z ziemi rozbite okulary.

- Jednak potrafiłeś zmusić do ucieczki Belzebubian!

- To była gra. A poza tym może nawet oni byli źli, ale mimo wszystko znacznie subtelniejsi od tych przygłupów. Kiedy mam przed sobą jaskiniowców, jestem po prostu bezradny.

Wsparliśmy się jeden o drugiego.

- Ty i ja przeciwko imbecydom, mówiłeś przecież.

- Przykro mi, że cię rozczarowałem. Jednak żebym mógł z nimi rozpocząć wojnę, ci imbecyle musieliby posiadać chociaż minimalną inteligencję.

Byłem trochę wystraszony.

- W takim razie goście pokroju Martineza będą nam ciągle obijać mordę.

- Możliwe - odrzekł spokojnie. - Z pewnością jednak zmęczą się szybciej niż ja.

- A jeśli cię zabiją?

Wzruszył ramionami.

- No cóż! Życie jest tylko stanem przejściowym.

Owładnęły mną makabryczne przeczucia. Przecież ci kretyni mogli odnieść zwycięstwo. Raoul nie zawsze jest najsilniejszy. Na dodatek teraz wykazał się wręcz skrajną słabością.

Ciężko westchnąłem.

- Cokolwiek by się stało, zawsze możesz na mnie liczyć, na moją pomoc, gdy będzie ciężko.

Tej nocy znowu śniło mi się, że lecę spotkać w chmurach kobietę w białych atłasowych szatach z maską trupiej czaszki.

22 - FILOZOFIA PASCALA

„Nieśmiertelność duszy to rzecz dla nas tak ważna, dotycząca nas tak głęboko, że trzeba chyba zatracić wszelkie uczucie, aby być obojętnym w tym względzie.

Toteż pierwszą sprawą i obowiązkiem jest oświecać się w tym przedmiocie, od którego zależy całe nasze postępowanie.

Dlatego to wśród ludzi nie posiadających wiary czynię ogromną różnicę między tymi, którzy pracują ze wszystkich sił, aby się oświecić, a tymi, którzy żyją, nie zadając sobie trudu i nie myśląc o tym.

Niedbałość ta w sprawie, w której chodzi o nich samych, o ich wieczność, o ich wszystko, więcej mnie drażni, niż rozczuła; zdumiewa mnie i przeraża; jest to dla mnie coś potwornego. Nie mówię tego przez nabożną zarliwość; rozumiem, przeciwnie, iż powinno się mieć to uczucie z ludzkiego interesu”.

Blaise Pascal⁴

Fragment rozprawy *Śmierć, to nieznajoma* Francisa Razorbaka

⁴ Przeł. T. Żeleński-Boy.

23 - UŚCIŚLENIE

Miałem czternaście lat, kiedy Raoul przyszedł po mnie do domu, prosząc, żebym się pośpieszył. Moi rodzice strasznie zrzędzili. Nie dość, że nadeszła pora kolacji, nadal uważali, że Raoul Razorbak wywiera na mnie bardzo zły wpływ. Ponieważ jednak ostatnimi czasy otrzymywałem doskonałe oceny z matematyki, odpisując rzecz jasna zadania od mojego przyjaciela, nie byli pewni, czy powinni mi zabronić wyjść.

Nakazali mi jednak, abym był ostrożny i czujny. Zawijając mi szalik pod szyję, ojciec szepnął mi do ucha, że najgorsze kłopoty pochodzą od najlepszych przyjaciół.

Moja matka perfidnie dorzuciła:

- Oto jak rozumiem słowo „przyjaciel”: to ten, którego zdrada wywołuje największe zaskoczenie.

Raoul prowadził mnie w stronę szpitala Świętego Ludwika, wyjaśniając po drodze, że właśnie otwarto tam oddział, na którym mieli przebywać umierający i pacjenci w stanie śpiączki. „Oddział wspomagania umierających”, jak z hipokryzją nazwano to miejsce. Oddział mieścił się w lewym skrzydle budynku przylegającego do szpitala. Zapytałem, co ma zamiar tam robić. Odpowiedział natychmiast, że taka wizyta jest znakomitą okazją, żeby dowiedzieć się czegoś więcej.

- Czegoś więcej? Ale o czym?

- O śmierci, rzecz jasna!

Pomysł pojawienia się w szpitalu nie wzbudzał we mnie przesadnego entuzjazmu. Miejsce pełne było dorosłych i zdziwiłbym się, gdyby pozwolili nam się tam bawić.

Raoulowi Razorbakowi jednak nigdy nie brakowało argumentów. Wyjaśnił, że czytał w gazetach, że gdy ludzie się wybudzają po długiej śpiączce, opowiadają niesamowite historie. Ci niejako „ocaleni” przed śmiercią twierdzili, że uczestniczyli w przedziwnych spektaklach. Nie widzieli żadnych statków ani plujących ogniem węży, za to widzieli przyciągające ich światła.

- Mówisz o doświadczeniach z pogranicza życia i śmierci? O tym, co Amerykanie nazywają NDE, *Near Death Experiences*?

- No właśnie. NDE.

Każdy wiedział doskonale, czym jest NDE. Było to bardzo modne w swoim czasie. Wydano też kilka bestsellerów na ten temat, o czym pisano w wielu czasopismach i reklamowano na okładkach. A potem, jak to się dzieje z każdą modą, także ta przeminęła.

Ostatecznie nie było żadnych dowodów, żadnych racjonalnych podstaw, ot, kilka ładnych historii zebranych tu i tam.

Czyżby Raoul wierzył w podobne bajki?

Rozłożył przede mną kilka wycinków z gazet i uklękliśmy, by się im lepiej przyjrzeć. Te fragmenty nie zostały wycięte z pism uznawanych za poważne albo za takie, które starannie dobierają informacje. Tytuły napisane wielkimi grubymi literami od razu jasno stawiały sprawę: „Podróż poza granice śmierci”, „Świadectwo po śpiączce”, „Życie po życiu”, „Wróciłem stamtąd i polubiłem to”, „Śmierć i co dalej”...

Według Raoula słowa te otaczała szczególna aureola. Poza tym był tam przecież jego ojciec...

Zamiast ilustracji w czasopismach widniały tylko niewyraźne zdjęcia z jakąś mglistą otoczką albo reprodukcje obrazów Hieronima Boscha.

W tekstach Raoul podkreślił żółtym fluorescencyjnym markerem kilka ustępów, które uznał za najistotniejsze: „Według sondażu przeprowadzonego przez amerykański Instytut Gallupa, osiem milionów Amerykanów twierdzi, że miało do czynienia z NDE”. „Badanie przeprowadzone w środowisku szpitalnym wskazuje, że 37 procent osób będących w stanie śpiączki zapewnia, iż czuło, jak unosi się poza własnym ciałem, 23 procent spośród nich twierdzi, że widziało tunel, a 16 procent, że zostało wchłonięte przez błogie światło”.

Wzruszyłem ramionami.

- Nie chciałbym pozbawiać cię złudzeń, ale...

- Ale co?

- Miałem wypadek samochodowy. Wyrzuciło mnie wysoko w powietrze i spadając, uderzyłem o ziemię. Na trzy godziny straciłem świadomość. Prawdziwa śpiączka. A nie widziałem choćby cienia tunelu ani najmniejszego błogiego światła.

Wydawał się zaskoczony.

- No to co widziałeś?

- Nic. Zupełnie nic.

Przyjaciół przyjrzał mi się, jakbym cierpiał na jakąś rzadką chorobę wywołaną wirusem, którego do tej pory jeszcze nie zidentyfikowano.

- Twierdzisz więc, że byłeś w śpiączce i nie zachowałeś z tego żadnego wspomnienia?

- Właśnie tak.

Raoul zamyślony podrapał się najpierw po brodzie, potem po policzku, a po chwili cały rozpromieniony powiedział:

- Wiem dlaczego!

Milczał przez chwilę, zanim wypowiedział zdanie, nad którym długo jeszcze będę się zastanawiał:

- Niczego nie widziałeś, bo nie byłeś... nie byłeś d o s t a t e c z n i e martwy.

24 - W KRAINIE BIAŁYCH MNICHÓW

W godzinę potem staliśmy przed szpitalem Świętego Ludwika. Wejście było jasno oświetlone. Strażnik w mundurze pilnował wchodzących i wychodzących z budynku. Raoul, wykorzystując swój wysoki wzrost, włożył jakiś stary płaszcz, żeby wyglądać na znacznie starszego. Wziął mnie za rękę. Miał nadzieję, że razem uda nam się przejść jako ojciec i syn, którzy idą odwiedzić chorą babcię.

Strażnik jednak pomimo znużenia nie był aż tak naiwny.

- Słuchajcie no, smarkacze, w okolicy są lepsze miejsca do zabawy.

- Przyszliśmy odwiedzić babcię - żalosnym głosem powiedział Raoul.

- Jak się nazywa?

Raoul nie wahał się ani przez chwilę.

- Saliapino. Jest w stanie śpiączki. Umieszczono ją na nowym oddziale wsparcia dla umierających.

Co za genialny zmysł improwizacji! Gdyby powiedział Dupuis albo Durant, od razu wydałoby się to podejrzanym, ale Saliapino było tak dziwaczne, że mogło uchodzić za prawdę.

Strażnik przybrał odpowiednią do okoliczności minę. „Wsparcie dla umierających” - określenie to wywoływało natychmiast złe samopoczucie. Na pewno wiedział o utworzeniu tego oddziału, musiało być o tym głośno na korytarzach szpitala. Zmienił więc zdanie i gestem pokazał, byśmy przeszli, nieomal przepaszając, że kazał nam czekać.

Weszliśmy do mieniącego się światłem labiryntu. Korytarze, znowu korytarze... Minęliśmy kolejne drzwi, odkrywając stopniowo niezwykle i zaskakujący świat.

Po raz drugi w życiu znalazłem się w szpitalu, wrażenia były tak samo niepokojące jak poprzednio. Przypominało to włamanie do białej świątyni, w której miotają się ubrani na biało czarownicy i młode, nagie pod nieskazitelnym kitem kapłanki.

Wszystko odbywało się jakby zgodnie z antyczną choreografią. Sanitariusze składali ofiary zapakowane w poplamione prześcieradła. Młode kapłanki odwijają pakunki przed przetransportowaniem zawartości do wyłożonych kafelkami sal, gdzie wielcy kapłani, których można było rozpoznać po kwadratowych maskach i przezroczystych rękawiczkach,

obmacywali ciała i podnosili je, jakby z nich wróżyli.

Z tej właśnie wizji zrodziły się pierwsze oznaki mojego powołania jako lekarza. Zapach eteru, pielęgniarki, białe gałgany, możliwość grzebania do woli we wnętrznościach moich współczesnych, oto co było naprawdę interesujące. W tym tkwiła prawdziwa władza! Ja też będę białym czarownikiem.

Zachwycony niczym gangster, któremu wreszcie udało się dotrzeć do pomieszczenia z sejfami, Raoul szepnął mi do ucha:

- Psst... Tędy!

Popchnęliśmy przeszklone drzwi.

Jednak o mały włos nie wycofaliśmy się po tym, cośmy ujrzeli. Większość pacjentów, których przyjęto na oddział wsparcia dla umierających, naprawdę wyglądała bardzo źle. Po naszej prawej stronie bezzębny starzec z rozdziawioną gębą zatruwał powietrze w promieniu dziesięciu metrów. Tuż obok jakaś wychudzona istota, płci nieokreślonej, wpatrywała się nieruchomo w brunatną plamę na suficie. Przezroczysty śluz spływał jej z nosa, lecz do głowy jej nawet nie przyszło, żeby to wytrzeć. Po lewej stronie łysa dama miała tylko kępkę kłaków zafarbowanych na blond na środku pomarszczonego czoła. Starła się powstrzymać bezustanne drżenie prawej ręki, zaciskając na niej lewą. Kiedy jej się to jednak nie udawało, obrzucała wyzwiskami buntującą się rękę, czyniąc to niezrozumiale ze względu na wypadającą sztuczną szczękę.

Śmierć, choćby miało się to nie spodobać Raoulowi, to nie byli bogowie, potwory i rzeki pełne węzów. Śmierć była bowiem właśnie tym: ludźmi, którzy powoli gniją.

Moi rodzice mieli rację: śmierć jest czymś okropnym. Chętnie bym stamtąd od razu zwiął, gdyby Raoul nie pociągnął mnie w stronę pani z kępką włosów w kolorze blond.

- Przepraszam bardzo, że pani przeszkadzam.

- ŻŹŹ... doobry... - wybełkotała, umysł mając tak samo rozedrgany jak całe ciało.

- Otóż obaj studiujemy dziennikarstwo i chcielibyśmy przeprowadzić z panią wywiad.

- Dla... Dlaczego ze mną? - powiedziała z trudem.

- Bo pani przypadek nas interesuje.

- Ja... nie... jestem... interesująca. Wynoście się...!

U zasmarkanego nie było najmniejszej nawet reakcji. Skierowaliśmy się więc w stronę cuchnącego dziada, który patrzył na nas niczym na dwa natrętne komary. Zdenerwował się, jakbyśmy go oderwali od jakiegoś bardzo pilnego zajęcia.

- Co, no co? Czego chcecie?

Raoul poleciał tym samym co poprzednio tekstem:

- Dzień dobry, jesteśmy studentami dziennikarstwa i przygotowujemy reportaż na temat osób, które wyszły ze śpiączki.

Stary podniósł się i z dumą w głosie powiedział:

- A pewnie, że przeżyłem śpiączkę. Pięć dni w śpiączce i sami widzicie, że wciąż tutaj jestem!

W oku Raoula pojawił się błysk.

- I jak było? - zapytał, jakby zwracał się do turysty, który dopiero co wrócił z dalekich Chin.

Mężczyzna spojrzał na niego uważnie i lekko zakłopotany odrzekł:

- Co pan właściwie chce wiedzieć?

- No więc, co pan odczuwał, kiedy był pan pogrążony w śpiączce?

Najwidoczniej jednak mężczyzna nie bardzo wiedział, o co chodzi Raoulowi.

- Byłem przez pięć dni w śpiączce, mówiłem już. Śpiączka to stan, w którym niczego się nie odczuwa!

Raoul nalegał jednak:

- Nie miał pan halucynacji? Nie przypomina pan sobie żadnego światła, korytarza, czegokolwiek?

Umierający człowiek zdenerwował się.

- No nie, śpiączka to nie kino. Po pierwsze, jest fatalne samopoczucie. Potem się budzimy i wszystko boli. Nie ma w tym żadnej przyjemności. A dla jakiej gazety piszecie?

Jak spod ziemi pojawił się pielęgniarz i od razu zaczął marudzić:

- Kim jesteście? Może przestaniecie już zadreć chorych? Kto wam pozwolił tutaj wejść? Nie umiecie czytać? Nie widzieliście napisu: „Zakaz wstępu z wyjątkiem personelu”?

- Ty i ja przeciwko imbecydom! - rzucił Raoul.

I runęliśmy do ucieczki. Zgubiliśmy się gdzieś w labiryncie wykładanych glazurą korytarzy. Przemknęliśmy przez salę, w której leżeli mocno poparzeni pacjenci, potem przez salę dla niepełnosprawnych i w końcu dotarliśmy do miejsca, do którego nie należało zaglądać. Do prosektorium.

Nagie trupy leżały jeden przy drugim w chromowanych pojemnikach z grymasem ostatecznego bólu wykrzywiającym twarze. Niektórzy mieli jeszcze otwarte oczy.

Uzbrojony w szczypcę młody student krzątał się koło nich, ściągając im pierścionki i obrączki. Jedna za nic nie chciała się zsunąć. Wokół metalu skóra była obrzmiała. Wtedy bez chwili wahania student ujął palec w szczypcę i mocno ścisnął. Klak. Palec uderzył o podłogę, wydając odgłos spadającego metalu i mięsa.

Byłem bliski omdlenia. Raoul wyciągnął mnie na zewnątrz. Byliśmy wykończeni, tak samo on, jak i ja.

Mój przyjaciel nie miał racji. Rację mieli moi rodzice. Śmierć jest czymś odrażającym. Nie należy na nią patrzeć, nie powinno się do niej zbliżać, mówić o niej, a nawet o niej myśleć.

25 - MITOLOGIA LAPOŃSKA

Dla Lapończyków życie jest miękką masą, która okrywa szkielet. Dusza kryje się wyłącznie w kościach tego szkieletu.

Dlatego też kiedy łowią ryby, starannie oddzielają mięso, uważając, by nie złamać choćby najmniejszej ości. Potem wyrzucają kościste resztki dokładnie w tym miejscu, gdzie złowili żywą rybę. Są przekonani, że Natura zajmie się tym, by obłożyć ości ciałem, i że kiedy powrócą w to samo miejsce za kilka dni, tygodni czy miesięcy, czekać tam na nich będzie nowe świeże pożywienie.

Dla nich ciało jest zwykłą ozdobą wokół kości wypełnionych prawdziwą duszą. Taki sam szacunek dla szkieletu odnajdziemy u Mongołów i Jakutów, którzy starają się odtworzyć i ustawić w pozycji pionowej niedźwiedzie, które zabili. Obawiając się złamania delikatnych kości czaszki, odmawiają sobie zjedzenia mózdzku, który jest przecież wykwintnym daniem.

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

26 - SEPARACJA

Wkrótce po naszej eskapadzie do szpitala Świętego Ludwika matka Raoula przeprowadziła się na prowincję i wiele lat upłynęło, zanim spotkaliśmy się ponownie.

Mój ojciec zmarł tego samego roku na raka płuc. Cygara po dziesięć franków nie odpuściły mu. Szpinak, brokuły i anchois, wylałem morze łez na jego pogrzebie, ale zdaje się, że nikt się tym zanadto nie przejął.

Gdy tylko wróciliśmy z pogrzebu, moja matka przeobraziła się w tyrana i wiedźmę. Raptem zachciało jej się wtrącać do wszystkiego i układać mi od początku do końca życie. W ogóle się nie krepując, grzebała w moich rzeczach i odkryła przy tej okazji mój pamiętnik,

który jak mi się wydawało, był dobrze ukryty pod materacem. Od razu zaczęła czytać najlepsze fragmenty na głos w obecności mojego brata Conrada, który był wręcz zachwycony tym całkowitym poniżeniem mnie.

Sporo czasu zajęło mi, żeby zaleczyć tę ranę. Pamiętnik zawsze był dla mnie jak przyjaciel, któremu zwierzałem się, nie obawiając się, że będę osądzany. Może i nie było w tym jego winy, ale ten przyjaciel teraz mimo wszystko mnie zdradził.

Conrad skomentował to jak zwykle złośliwie:

- No popatrz, popatrz, nie wiedziałem, że podkochujesz się w tej pretensjonalnej Béatrice. Wygląda okropnie z tymi kucykami i krostami na gębie. A ty naprawdę jesteś zboczony.

Starłem się robić dobrą minę do złej gry, lecz matka doskonale wiedziała, że w ten sposób pozbawiła mnie sprzymierzeńca. Nie chciała, żebym miał przyjaciół. A nawet przyjaznych mi przedmiotów. Uznała, że ona wystarczy, by zaspokoić wszystkie moje potrzeby w zakresie kontaktów ze światem zewnętrznym.

- Powiedz mi wszystko - rzekła do mnie. - Będę umiała zachować wszystko w tajemnicy, będę milczała jak grób. A twój zeszyt, cóż, każdy mógł go znaleźć. Całe szczęście, że nie wpadł w niepowołane ręce!

Wolałem uniknąć polemiki. Nie odpowiedziałem więc, że poza jej rękami żadne inne niepowołane ręce nie uznałyby, że mają prawo grzebać pod moim łóżkiem.

Co gorsza, nie mogłem zemścić się za chichot Conrada, ujawniając jego pamiętnik. Po prostu pamiętnika nie prowadził. W ogóle nie czuł takiej potrzeby. Nie miał niczego do powiedzenia nikomu, także sobie. Był szczęśliwy taki, jaki był, i szedł sobie przez życie, nie podejmując najmniejszego wysiłku, aby je zrozumieć.

Bez mojego powiernika nieobecność Raoula ciążyła mi jeszcze bardziej. Nikt inny w szkole nie przejawiał ani krzty zainteresowania mitologią starożytną. Dla kolegów z klasy słowo „śmierć” nie zawierało żadnej magii, a kiedy opowiadałem im o trupach, zazwyczaj stukali się palcem w czoło. „Coś ci się w główce porobiło, stary, idź lepiej do psychoanalityka!”.

- Jesteś jeszcze trochę za młody, żeby śmierć zaprzętała ci głowę - powiedziała Béatrice. - Zaczekaj, aż będziesz miał sześćdziesiąt lat. Teraz jest o wiele za wcześnie.

Natychmiast odrzekłem:

- No dobra, porozmawiajmy w takim razie o miłości! To temat, który podoba się młodym, nie?

Cofnęła się przerażona. Starłem się jej przypodobać choć trochę:

- Przecież niczego więcej nie pragnę, jak tylko ożenić się z tobą..

Uciekła od razu. Opowiadała potem na lewo i prawo, że jestem maniakiem seksualnym, a nawet że chciałem ją zgwałcić. A poza tym jestem z całą pewnością zabójcą-kryminalistą-mordercą-recydywistą, w przeciwnym razie czy w ogóle interesowałbym się tak bardzo śmiercią i trupami?

Nie miałem więc już pamiętnika, nie miałem żadnych przyjaciół ani dziewczyny, do tego kompletny brak więzi z rodziną, cóż, życie wydało mi się potwornie pozbawione sensu i blasku. Raoul do mnie nie pisał. Byłem naprawdę sam na tej planecie.

Na szczęście były jeszcze książki. Raoul nie kłamał, mówiąc, że przynajmniej one są przyjaciółmi, którzy nigdy nie zdradzają. Książki dużo wiedziały o mitologiach antyku. Poza tym nie obawiały się mówić o śmierci czy o miłości.

Za każdym razem jednak gdy moje oczy odczytywały słowo „śmierć”, myślałem o Raoulu. Zdawałem sobie sprawę, że to śmierć ojca była przyczyną jego obsesji. Chciał koniecznie dociec, co mógł mu powiedzieć, zanim zmarł. Nie to co mój ojciec, który wszystko mi powiedział jeszcze za życia: „Żebyś nie robił żadnych głupot”, „Nie garb się, popatrz, twoja matka idzie”, „Uważaj na tych, którzy twierdzą, że chcą twojego dobra”, „Bierz przykład z Conrada”, „Nie umiesz normalnie jeść? Serwetki nie są dla psów”, „Rób tak dalej, a zobaczysz, jak ci wleję”, „Podaj mi pudełko z cygarami”, „Nie dłub w nosie”, „Nie dłub w zębach biletem do metra”, „Zawsze dobrze chowaj pieniądze”, „Co ty tam znowu czytasz, po co ci to? Pomógłbyś lepiej matce sprzątnąć ze stołu”. Wspaniałe duchowe dziedzictwo. Dzięki ci, tato.

Raoul jednak nie do końca miał rację, koncentrując się wyłącznie na śmierci. Nie trzeba przecież być mędrce, żeby zrozumieć, o co w niej chodzi: to po prostu koniec życia. Kropka i od nowej linii. Tak jak film, który się kończy, gdy wyłączamy telewizor...

Wieczorem jeszcze często śniłem, że lecę i gdzieś wysoko spotykam za każdym razem tę kobietę w atlasowych szatach z maską trupiej czaszki. Jednak tego koszmaru nie zapisałem w pamiętniku.

27 - MITOLOGIA HINDUISTYCZNA

„Ci, którzy wiedzą, jak i ci, którzy w lesie wiedzą, że wiara jest prawdą, ci wejdą w płomienie, w płomienie dnia, jasnego dnia w pierwszym półmiesiącu, w pierwszym półroczu, gdy słońce wznosi się na północ, podczas tych sześciu

miesiący w świecie Bogów, w świecie słońca, słońca pośród błyskawic. Gdy dojdiesz do rejonu błyskawic, pojawi się dusza i przeniesie ich na falach brahmana: zamieszkają w odległych przestworzach. Dla nich nie masz już na ziemię powrotu".

Upaniszada Brihadaranjaka

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

28 - RAOUL WRACA

Kiedy miałem osiemnaście lat, postanowiłem, że zostanę lekarzem. Podjąłem w tym celu stosowne studia i - czy rzeczywiście przypadkiem? - wybrałem jako specjalizację anestezjologię i reanimację.

Znalazłem się w samym sercu świątyni, byłem odpowiedzialny za ludzkie życie, za ludzi, którzy bali się, czy przeżyją. Być może pragnąłem też ocierać się o kapłanki, które jak mówiono, są zupełnie nagie pod białym kitlem. W każdym razie szybko udało mi się ustalić, że i tym razem chodziło o mit. Pielęgniarki bowiem bardzo często noszą T-shirty.

Skończyłem trzydzieści dwa lata, gdy Raoul niespodziewanie ponownie pojawił się w moim życiu. Zadzwoił do mnie i jak można się było spodziewać, umówiliśmy się na cmentarzu Père-Lachaise.

Był jeszcze wyższy niż kiedyś, znacznie szczuplejszy, wręcz wychudzony w stosunku do tego, jakim go zapamiętałem. Wrócił do Paryża. Po tak wielu latach nieobecności schlebiało mi, że jego pierwszym krokiem było ponowne nawiązanie ze mną kontaktu.

Był na tyle delikatny, że nie od razu zaczął ze mną rozmawiać o śmierci. Tak jak i ja wydorósł. Już nie było mowy, żeby zaśmiewać się bez sensu z byle czego. Żadnych gier słownych, głupawych kalamburów czy półsłówek.

Teraz był biologiem i pracował naukowo w CNRS, Krajowym Centrum Badań Naukowych, nadano mu nawet tytuł profesora. Na wstępie jednak opowiedział mi o swoich kochankach. Kobiety przemykały przez jego życie, bo żadna go nie rozumiała. Uważały, że jest zbyt... ponury. Zaczął się zżymać:

- Dlaczego najładniejsze dziewczyny są zawsze najgłupsze?
- No to dlaczego nie podrywasz tych brzydkich? - odpowiedziałem.

Powinniśmy się byli roześmiać, ale dzieciństwo już przeminęło. Zadowolili się uśmiechem.

- A ty, Michael, masz kogoś?

- Niezupełnie.

Klepnął mnie mocno w plecy.

- Zanadto nieśmiały, co?

- Może za wiele sobie wyobrażam. Czasami śnię, że istnieje gdzieś jakaś cudowna księżniczka, która czeka na mnie, i tylko na mnie.

- Czyżbyś wierzył w Śpiącą Królownę? Przecież jeżeli umawiasz się z jakąś panienką, zanim ją w ogóle spotkasz, to jakbyś od razu ją zdradzał.

- No właśnie. Takie też za każdym razem odnoszę wrażenie.

Pająkowate ręce Raoula fruwały wokoło, jakby mnie chroniąc swoją obecnością. Jak mogłem żyć tak długo tak daleko od niego, z dala od jego szaleństwa?

- Ha... - westchnął tylko. - Za bardzo przypominasz mimozę, Michael. Ten świat jest za trudny dla marzycieli takich jak ty. Musisz się uzbroić i nauczyć się walczyć.

Z rozrzewnieniem wspominaliśmy czasy naszych potyczek z Belzebubianami. Potem mówił o swoich badaniach naukowych. Teraz pracował nad hibernacją świstaków. Jak wiele innych zwierząt świstaki były w stanie przeżyć trzy miesiące z sercem spowolnionym o 90 procent, nie oddychając, nie jedząc, nie ruszając się, w uśpieniu. Raoul chciał przesunąć granice tego zjawiska jeszcze dalej. Tam gdzie kończył się sen, chciał otrzeć się o granicę śmierci. Po co bowiem wywoływać sztuczną i jeszcze głębszą hibernację u świstaka, skoro wystarczy zanurzyć go w zimnej kąpieli w temperaturze 0°C? Temperatura ciała gwałtownie spadała, praca serca zwalniała do tego stopnia, że prawie całkowicie się zatrzymywało, jednak zwierzak wcale nie umierał. Można było go reanimować pół godziny później, a wystarczyło go rozetrzeć.

Podjeżdżałem, że mój przyjaciel nazywa hibernacją to, co my lekarze nazywamy „śpiączką”. Niemniej jego doświadczenia zakończyły się sukcesem i na międzynarodowych kongresach nazywano go już „tym, który budzi zamrożone świstaki”.

Spytałem go wtedy wprost, czy udało mu się dotrzeć do innych starych tekstów na temat życia po śmierci. Natychmiast się ożywił. Nie śmiał nawet łudzić się, że tak szybko poruszę jego ulubiony temat.

- Grecy! - wykrzyknął z zapalem. - Grecy wierzyli w światy okrągłe i koncentryczne. Każdy ze światów mieścił w sobie mniejszy świat, potem następny i kolejny, coś na podobieństwo tarczy. W samym środku znajdował się świat grecki, ten, w którym żyli ludzie.

Raoul już się rozkręcił.

- Tak więc w środku są Grecy i pierwszy ze światów. Dalej otaczający go barbarzyńcy z drugiego świata, ci zaś z kolei byli otoczeni przez świat trzeci, świat potworów zawierający w sobie odrażające kreatury z północnych ziem.

Postanowiłem to wszystko podsumować:

- Ludzie, barbarzyńcy, potwory, trzy warstwy, zgadza się?

- Nie - zaprzeczył zdecydowanym głosem - jest ich znacznie więcej. Zaraz za światem potworów pojawia się morze. Tam jest wyspa szczęśliwości, raj, w którym mieszkają nieśmiertelni. Tam też znajduje się Wyspa Snów, przez którą płynie tylko noc. Pokryta jest kwiatami lotosu. A na środku rzeki powstało miasto o czterech bramach. Przez dwie z nich dostają się koszmary, a dwie inne otwierają się na słodkie marzenia. Hypnos, bóg snu, kontroluje te cztery wejścia.

- Uauuuuu!

- Za morzem - ciągnął Raoul - znowu jest ziemia. To wybrzeże kontynentu umarłych. Drzewa wydają tam tylko zwiędłe owoce. Tam też rozbijają się wszystkie statki i wszystko się kończy.

Zapadła cisza, którą wypełniały raz rajskie, kiedy indziej znowu pochodzące z piekieł obrazy. Raoul przerwał w końcu ten stan zauroczenia, pytając o mój zawód, co robię jako reanimator i anestezjolog. Co chwilę wynikały bardzo techniczne kwestie. Chciał się dowiedzieć, jakie środki podaje ludziom, uważał bowiem, że mogłyby równie dobrze posłużyć jego świstakom.

29 - OPINIA DOKTORA PINSONA

A. Śpiączka

Według mojego przyjaciela, doktora Michaela Pinsona, istnieją trzy najczęściej spotykane formy śpiączki:

Śpiączka 1: *Coma vigile*. Brak świadomości, ale pacjent reaguje na zewnętrzne bodźce. Stan ten może trwać od trzydziestu sekund do trzech dni.

Śpiączka 2: Pacjent nie reaguje na zewnętrzne bodźce, na szczypanie czy klucie. Taki stan może trwać do jednego tygodnia.

Śpiączka 3: Śpiączka głęboka. Zaprzestanie wszelkich form działania. Całkowita utrata świadomości. Górne członki nie odbierają żadnych bodźców. Nierównomierna akcja serca

(migotanie). Według Michaela niemożliwe jest wyjście z tego rodzaju śpiączki.

B. Skutki zewnętrzne

- 1) Mydriaza (rozszerzenie źrenic).
- 2) Paraliż.
- 3) Wykrzywienie ust.

C. Jak wyprowadzić pacjenta ze śpiączki?

Metody stosowane przez Michaela:

- 1) Masaż serca.
- 2) Intubacja górnych dróg oddechowych.
- 3) Defibrylacja od 200 do 300 dżuli.
- 4) Wstrzyknięcie adrenaliny do mięśnia sercowego.

D. Jak wywołać śpiączkę?

Produkty stosowane przez Michaela:

- 1) Sód.
- 2) Thiopental (należy się liczyć z problemami przy wybudzaniu), propofol (szybkie zasypianie, przebudzenie bez problemów).
- 3) Droperidol (słabsze działanie, znieczulenie przejściowe, uczucie wyłączenia się na okres około godziny po przebudzeniu, ryzyko zatrzymania pracy serca i oddychania). Należy dostosować dawkowanie do wagi pacjenta.
- 4) Chlorek potasu (wywołuje zaburzenia pracy serca i migotanie przedsionków).

E. Rytm pracy ludzkiego serca

Normalny: od 65 do 80 uderzeń na minutę.

Najniższy poziom: 40 uderzeń na minutę.

Niektórzy jogini schodzą do poziomu 38 uderzeń na minutę, ale są to wyjątkowe przypadki.

Poniżej minimum: poniżej 40 uderzeń na minutę wyraźne spowolnienie pracy układu krążenia, niebezpieczeństwo wystąpienia zapaści (krótkotrwała utrata świadomości na okres poniżej dwóch minut). Pacjent zwykle niczego nie pamięta.

Maksimum: 220 uderzeń na minutę minus wiek pacjenta.

30 - PODRĘCZNIK DO HISTORII

Tanatonaucyka zrodziła się na skutek niezwykłego wydarzenia. Większość historyków datuje jej początek na dzień zamachu na prezydenta Lucindera.

Podręcznik szkolny, kurs podstawowy 2. rok

31 - PREZYDENT LUCINDER

Wyprostowany w czarnej limuzynie prezydent Lucinder pozdrowiał tłumy z cokolwiek smutnym uśmiechem na twarzy. W istocie potwornie cierpiał ze względu na paznokiec wrastający mu w duży palec u nogi. Żadną pociechą nie była dla niego świadomość, że Juliusz Cezar przeżywał z pewnością podobne męki podczas wielkich parad wojskowych. A Aleksander Wielki cierpiący na syfilis? Co więcej, w jego czasach nie wiadano, jak to leczyć...

Za Juliuszem Cezarem zawsze stał niewolnik, którego zadaniem było trzymanie wieńca laurowego i ciągle powtarzanie mu prosto do ucha: „Pamiętaj, że jesteś tylko człowiekiem”. Lucinder nie potrzebował niewolnika, żeby o tym pamiętać, gdyż wrastający paznokiec w zupełności wystarczał.

Pozdrowił witający go owacjami tłum, zastanawiając się jednocześnie, jak się od tego uwolnić. Lekarz doradzał mu operację, ale do tej pory przywódca narodu nigdy jeszcze nie leżał na stole operacyjnym. Nie podobał mu się pomysł, że będzie musiał zasnąć, podczas gdy jacyś nieznani ludzie ukryci za maskami z gazy i uzbrojeni w ostre narzędzia pastwić się będą nad jego żywym ciałem. Oczywiście mógł też skorzystać z usług osobistego pedikiurzysty. Ten ostatni bowiem obiecywał, że mógłby rozwiązać całkowicie ten problem bez konieczności poddania się zabiegowi na bloku operacyjnym, lecz trzeba by naciąć duży palec u nogi, nie stosując przy tym znieczulenia. Niezbyt zachęcająca perspektywa.

Ileż to problemów z ludzką powłoką!

Wciąż gdzieś coś tam wysiadało. A to bóle reumatyczne, a to próchnica, a to znowu zapalenie spojówek... W zeszłym tygodniu z kolei Lucindera męczył wrzód, który

niespodziewanie się uaktywnił.

- Nie przejmuj się, Jean - pocieszyła go małżonka. - Jesteś zdenerwowany ze względu na Amerykę Południową. Jutro będzie już lepiej. W moich stronach jest takie przysłowie: „Być zdrowym oznacza, że każdego dnia skarżymy się na inną dolegliwość”.

Szalenie zabawne! W każdym razie przyniosła mu trochę ciepłego mleka i ból złagodniał. Wrośnięty paznokieć jednak był znacznie bardziej uparty.

„Niech żyje Lucinder!” krzyczano wokoło. „Lucinder na prezydenta!” skandowała grupa ludzi. Ha, kolejna kadencja! Już niedługo będzie musiał zacząć o tym myśleć. Wybory zbliżały się szybko.

Gdyby nie ten przeklęty paznokieć Lucinder spędziłby całkiem przyjemne chwile wśród wiwatujących na jego cześć ludzi. Uwielbiał to zanurzanie się w tłumie. Ucałował małą dziewczynkę o zaróżowionych policzkach, którą pod sam nos podsuwała mu jakaś kobieta. Dziewczynka wręczyła mu bukietik kwiatków z tych, które bez pudła wywołują alergię.

Samochód ponownie ruszył. Starał się poruszać trochę dużymi palcami u nóg uwiecznionymi w nowych, zbyt sztywnych butach, gdy nagle wysoki facet w trzyczęściowym garniturze rzucił się w jego stronę z rewolwerem w ręce. Huk wystrzałów rozbrzmiał w jego uszach.

- Dobry Boże, mordują mnie! - pomyślał spokojnie prezydent.

Po raz pierwszy i z pewnością po raz ostatni. Ciepła krew spływała strużką na pępek. Lucinder uśmiechnął się. Był to znakomity sposób, żeby wejść do Historii przez duże H. Jego poprzednik, prezydent Congomas, zakończył kadencję, którą przedwcześnie skrócił nowotwór prostaty. Potomność będzie miała się z czego śmiać.

On zaś miał szczęście dzięki temu technokracie uzbrojonemu w czarny rewolwer. Zamordowani prezydenci zawsze mieli prawo do honorowego miejsca w podręcznikach szkolnych. Wychwalano ich tam za wspaniałe wizje, niezmiernie odważne plany i zamiary. Dzieci będą recytować peany na jego cześć. Nie istnieje inny rodzaj nieśmiertelności.

Lucinder dostrzegł swojego zabójcę, który niknął gdzieś w tłumie. Jego ochroniarze stali i nie reagowali! Niezła nauczka! Nie ma co liczyć na wszystkich tych profesjonalistów od siedmiu boleści.

Któż jednak nienawidził go do tego stopnia, żeby zgotować mu śmierć?

No cóż, teraz było mu to obojętne. Nic nie miało już znaczenia, w tym również ten przeklęty wrośnięty paznokieć. Śmierć była najlepszym lekarstwem na wszystkie drobne dolegliwości, jakie towarzyszą naszej egzystencji.

- Lekarza! Szybko, lekarza! - krzyczał ktoś tuż obok niego.

Żeby tak wszyscy ci ludzie po prostu się zamknęli... Nie było takiego praktyka, który byłby w stanie mu pomóc. Jest już za późno. Kula przeszła mu serce. Nie lekarza należało teraz szukać, a raczej nowego prezydenta, który by go zastąpił, gdy tymczasem on dołączy do Cezara, Abrahama Lincolna i do Kennedy'ego w panteonie wielkich zamordowanych mężów stanu.

Czyjeś ręce podniosły jednak i ułożyły Lucindera na noszach. Zamknięto go w karetkę, której syreny przeraźliwie wyły. Niewidzialni specjaliści przyłożyli mu do ust lusterko, masowali klatkę piersiową. Znalazł się też taki, który bez skrępowania ośmielił się zastosować metodę usta-usta.

Prezydent jednak mimo wszystko umierał. W jego umyśle przewijały się teraz w ogromnym tempie wspomnienia. Cztery lata: pierwszy niezasłużony klaps i pierwszy napad gniewu. Siedem lat: pierwszy dyplom uzyskany dzięki koledze, który pozwolił mu odpisać wypracowanie. Siedemnaście lat: pierwsza dziewczyna (potem ponownie się z nią spotkał; fatalny błąd, bo była okropna). Dwadzieścia jeden lat: licencjat z historii, tym razem bez oszustwa. Dwadzieścia trzy lata: magisterium z filozofii starożytnej. Dwadzieścia pięć lat: doktorat z historii starożytnej. Dwadzieścia siedem lat: wstąpienie do partii socjaldemokratycznej dzięki kontaktom ojca i od razu gotowe hasło wyborcze na przyszłą karierę: „Kto dobrze zna przeszłość, potrafi najlepiej budować przyszłość”.

Dwadzieścia osiem lat: ślub z pierwszym „kurczątkiem” (aktorką, której panieńskiego nazwiska nawet nie był sobie w stanie przypomnieć). Dwadzieścia dziewięć lat: pierwsze ciosy poniżej pasa i pierwsze popełnione zdrady, żeby wspiać się wyżej w aparacie partyjnym. Trzydzieści dwa lata: wybrany na burmistrza Tuluzy, fortunę zbija na sprzedaży terenów należących do miasta, pierwsze obrazy wielkich mistrzów, pierwsze antyczne rzeźby, nieprzebrana wręcz masa kochanek. Trzydzieści pięć lat: wybrany na posła do Zgromadzenia Narodowego, pierwszy zamek w Lozère. Trzydzieści sześć lat: rozwód i ślub z drugim „kurczątkiem” (niemiecką topmodelką, wprowadzie z mózgiem ptaka, ale za to z nogami tak długimi, że i święty by zgrzeszył). Trzydzieści siedem lat: gdziekolwiek spojrzeć, nagły wysyp dzieci. Trzydzieści osiem lat: chwilowa odstawka spowodowana aferą łapówkarską związaną ze sprzedażą pakistańskich samolotów.

Trzydzieści dziewięć lat: błyskotliwy powrót na scenę polityczną dzięki nowemu małżeństwu (z córką prezydenta Congomasa, tym razem wybór jest właściwy). Nominacja na stanowisko ministra spraw zagranicznych i pierwsza naprawdę odrażająca operacja: zorganizowanie zabójstwa prezydenta Peru, którego zastąpi marionetka.

Czterdzieści pięć lat: śmierć prezydenta Congomasa. Lucinder myśli o objęciu fotela

prezydenta Republiki Francuskiej, prowadząc kampanię finansowaną w całości przez Peru. Nowe hasło wyborcze: „Lucinder studiował historię, teraz sam ją pisze”. Niepowodzenie. Pięćdziesiąt dwa lata: kolejne wybory prezydenckie. Zwycięstwo. Władza. Wreszcie Pałac Elizejski. Kontrola nad tajnymi służbami. Prywatne muzeum sztuki starożytnej z dyskretnie „pozyskaną” za granicą kolekcją. Kawior na kilogramy. Pięćdziesiąt pięć lat: groźba wojny nuklearnej. Przeciwnik przestraszył się i wycofał, a Lucinder stracił pierwszą okazję, by przejść do Historii.

Pięćdziesiąt sześć lat: coraz młodsze kochanki. Pięćdziesiąt siedem lat: spotkanie z pierwszym prawdziwym przyjacielem, Wercyngetoryksem, czarnym labradorem, którego w żaden sposób nie można podejrzewać o dążenie do objęcia władzy.

Wreszcie pięćdziesiąt osiem lat i w tym właśnie momencie zakończenie tej jakże pięknej biografii: zabójstwo wielkiego człowieka podczas spotkania z tłumem w Wersalu.

Koniec baniek mydlanych. Życie, nawet prezydenta, nie jest niczym więcej. Jako pył stajesz się na powrót pyłem. Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz. A robakiem będąc, i tak skończysz w żołądku robaków.

Gdyby tylko pozwolili mu umrzeć w spokoju! W końcu nawet robaki mają prawo do ostatecznego spokoju. A tu nie: unoszą mu powieki, kładą go na stole operacyjnym... Potrzęsają nim, rozbierają go, podłączają do jakichś skomplikowanych urządzeń, a wokół niego taka wrzawa, taka wrzawa. Trzeba zrobić wszystko, żeby uratować prezydenta, powtarzają w kółko. Kretyni!

Po co wszystkie te wysiłki? On sam czuł, jak ogarnia go coraz większe znużenie. Tak jakby życie stopniowo go opuszczało. Właśnie tak. Uchodziło z niego. Czuł, że życie z niego ucieka. Niemożliwe! Jean Lucinder czuł... że wychodzi. Wychodził ze swojego ciała. Coś takiego! Naprawdę wychodził ze swojego ciała. On, naprawdę on czy coś innego? Musiało to być coś innego... jak można by to nazwać? Jego dusza? Niematerialne ciało? Ektoplazma? Zmaterializowana myśl? To był on, tyle że przezroczysty i lekki. To coś oddzielało się od niego, odłączało się, rozkładało na części. Cóż za niesamowite doznanie!

Odleciał, pozostawiając swe ciało jak stare zużyte ubranie. Unosił się, wznosił coraz wyżej i wyżej. Nie bolał go już duży palec u nogi. Był teraz taki lekki!

Jego... nowe „ja” na chwilę zatrzymało się pod sufitem. Stamtąd przyjrzał się leżącym zwłokom i wszystkim specjalistom miotającym się w terapeutycznym szale. Żadnego szacunku dla jego ciała. Otwierali mu klatkę piersiową, łamali żebra, przykładali elektrody bezpośrednio do mięśnia sercowego!

Nie było sensu dłużej się ociążać, wzywano go gdzie indziej. Przezroczysta nitka, coś

w rodzaju pępowiny, łączyła go nadal z ludzką powłoką. Wyciągała się jak srebrny elastyczny sznurek, w miarę jak oddalał się coraz bardziej.

Przeniknął przez sufit, pokonał kilka pięter wypełnionych chorymi. Wreszcie dotarł do samego dachu, ponad którym było już tylko niebo. Przyjazne światło przyciągało go gdzieś z oddali. Fantastyczne! Inni ludzie, wielu innych ludzi unosiło się wokół niego i tak jak on ciągnęli za sobą srebrzystą nić. Miał wrażenie, że uczestniczy w jakimś wspaniałym święcie.

Nagle jednak jego srebrzysta pępowina przestała się rozciągać, stwardniała, napięła się i poczuł, że coś ciągnie go w dół! Nagle uświadomił sobie, co się dzieje: Lucinder już nie umierał. Inne ektoplazmy przyglądały mu się, nie rozumiejąc: dlaczego nie unosi się wyżej? Nić naciągnęła się i skurczyła jeszcze bardziej. Znowu przeniknął przez dach, powrócił do sali operacyjnej i zobaczył pielęgniarzy, którzy prosto w serce uderzali ładunkiem o napięciu kilkuset woltów. Przecież to jest zakazane! Sam przygotowywał w tej sprawie ustawę, którą przyjęto dwa lata temu. Pamiętał o tym dobrze, artykuł 676: „Po zatrzymaniu akcji serca nie będzie podejmowane żadne działanie, ingerencja lub operacja, która mogłaby spowodować wznowienie akcji serca”. No tak, ale ponieważ był prezydentem, widocznie uznano, że jego życie jest ponad prawem. Ach, te dranie! Co za łobuzy! Po raz kolejny odkrywał nieprzyjemne strony bycia najważniejszym człowiekiem w kraju. W tej sekundzie miał tylko jedno pragnienie: być kloszardem, o którego nikt się nie zatroszczy. Kloszardem, żebrakiem, robotnikiem, gospodynią domową, kimkolwiek, byle tylko zostawiono go w spokoju. Byle pozwolono mu poprzez śmierć odnaleźć spokój. To w końcu najważniejsze prawo obywatela: umierać w spokoju.

„Pozwólcie mi zdechnąć! Dajcie mi zdechnąć!” wydierał się wniebogłosy. Ale jego ektoplazma nie miała głosu. Srebrna nić ścigała go coraz niżej. Nie mógł się już wzniesć. I nagle chlup! Z powrotem wszedł w swojego byłego trupa. Ujjjj! Cóż za nieprzyjemne doznanie! Ujjj, znowu czuł wrośnięty paznokieć! I żebra, które połamano mu, żeby dotrzeć do serca. A do tego zaaplikowano mu kolejną dawkę elektrowstrząsów i tym razem zabołało, bardzo zabołało.

Otworzył oczy. Lekarz i pielęgniarze, co oczywiste, wznosili okrzyki radości i gratulowali sobie nawzajem. Idioci...

- Udało się, udało!

- Serce znowu bije, on oddycha, jest uratowany!

Uratowany? Uratowany przed kim, przed czym? W każdym razie nie przed nimi. Cierpiał, oj, bardzo teraz cierpiał. Z wykrzywioną grymasem twarzą wybełkotał coś niezrozumiałego. „Koniec z elektrowstrząsami, zamknijcie klatkę piersiową!”.

Chciał krzyknąć: „Zamknijcie drzwi, straszny przeciąg”.

Bolało go, ból był tak silny, jakby miał wszystkie nerwy na wierzchu.

A więc znowu jesteś, moje obolałe ciało.

Uchylił jedną powiekę, wokół łóżka było pełno ludzi.

Bolało go, strasznie go bolało. Wszystkie nerwy na wierzchu. Zamknął oczy, żeby choć przez chwilę jeszcze pozostać tam, przypomnieć sobie tę cudowną świetlistą krainę, wysoko, w niebie.

32 - KARTOTEKA POLICYJNA

Wniosek o udostępnienie podstawowych danych osobowych

Nazwisko: Lucinder

Imię: Jean

Włosy: siwe

Oczy: szare

Wzrost: 178 cm

Znaki szczególne: brak

Uwagi: pionier ruchu tanatonautycznego

Słabe strony: Prezydent Republiki

33 - MINISTER MERCASSIER

Gabinet prezydenta, umeblowany w całości w stylu Ludwika XV, był ogromny. Pokój był słabo oświetlony, wystarczająco jednak, by dostrzec znakomite płótna i wyczelowane greckie rzeźby. Sztuka była dobrym sposobem, by zrobić wrażenie na prostaczkach. Benoît Mercassier, minister nauki, wiedział o tym. Wiedział także, chociaż nie widział jego twarzy, że prezydent Lucinder tutaj jest i siedzi naprzeciwko niego. Lampa stojąca na biurku oświetlała jedynie jego ręce, ale potężna sylwetka prezydenta była mu dobrze znana, podobnie jak labrador leżący u jego nóg.

Było to pierwsze spotkanie tych dwóch ludzi od czasu zamachu, którego przywódca narodu o mało nie przypłacił życiem. Dlaczego jednak prezydent skontaktował się z nim,

właśnie z nim, skoro było tak wiele innych spraw w polityce wewnętrznej i zagranicznej, znacznie pilniejszych aniżeli problemy naukowców bezustannie poszukujących subsydiów?

Ponieważ Mercassier nie był już w stanie wytrzymać przedłużającej się w nieskończoność ciszy, odważył się odezwać pierwszy. Zawahał się i spróbował zacząć od paru banalnych i odpowiednich do okoliczności stwierdzeń:

- Jak się pan czuje, panie prezydencie? Wydaje się, że szybko wraca pan do zdrowia po operacji. Lekarze dokonali prawdziwego cudu.

Lucinder pomyślał, że chętnie by się obył bez tego rodzaju cudów. Pochylił się nieco do światła. Szare błyszczące oczy przyglądały się rozmówcy, który siedział skulony na krześle pokrytym czerwonym brokatem.

- Mercassier, wezwałem pana, bo potrzebuję opinii eksperta. Tylko pan może mi pomóc.

- Będę zaszczycony, panie prezydencie. O co więc chodzi?

Odchylając się do tyłu, Lucinder ponownie zanurzył się w półmroku. Dziwne, lecz jego najdrobniejszy nawet gest przepełniony był niezwykłym majestatem. Natomiast twarz nagle wydała się bardziej... (Mercassiera zdziwił przymiotnik, który mu się nasunął) bardziej ludzka.

- Jest pan z wykształcenia biologiem, prawda? - zapytał Lucinder. - Proszę mi zatem powiedzieć, co pan sądzi o doświadczeniach tych, którzy wyszli ze śpiączki?

Mercassier przyjrzał mu się zaskoczony. Prezydent zdenerwował się trochę:

- NDE, *Near Death Experiences*, ludzie, którzy w ostatniej chwili wychodzą ze swojego ciała, a potem wracają z powodu... no, powiedzmy... dzięki postępowi, jaki dokonał się w medycynie.

Benoît Mercassier nie wierzył własnym uszom. Oto więc Lucinder, będący zawsze tak wielkim realistą, teraz zainteresował się mistycznymi zjawiskami. Oto jak się kończy otarcie się o śmierć! Zawahał się.

- Myślę, że chodzi tu o pewną modę, o zjawisko społeczne, które zniknie, tak jak wiele innych w przeszłości. Ludzie chcą wierzyć w cuda, w nadprzyrodzone siły, w to, że istnieje coś innego od naszego materialnego świata. Wykorzystują to niektórzy pisarze, jacyś guru i szarlatani, żeby zbić na tym kapitał, opowiadając różne bzdury. Taka potrzeba towarzyszy człowiekowi od zawsze. Dowodem na to są religie. Wystarczy obiecać raj w wymyślonej przyszłości, a ludziom od razu jest łatwiej przełknąć gorzką pigułkę teraźniejszości. Łatwowierność, głupota i naiwność.

- Czy naprawdę tak właśnie pan myśli?

- Oczywiście. Jakież może być piękniejsze marzenie od rajskich zaświatów? I czy może być zarazem bardziej od tego f a ł s z y w e marzenie?

Lucinder zakasłał.

- A gdyby mimo wszystko było coś prawdziwego w tych... bajdurzeniach?

Naukowiec tylko się zaśmiał.

- Przez tyle czasu znalazłyby się przecież jakieś dowody. Ale przypomina to historię człowieka, który zobaczył innego człowieka, który to człowiek ujrzał jeszcze innego człowieka, który widział niedźwiedzia. Dzisiaj wszystko funkcjonuje na odwrót. I to sceptycy muszą przedstawić dowody na to, że ich wątpliwości są uzasadnione. Wystarczy, by ktokolwiek ogłosił, że nazajutrz nastąpi koniec świata, a od razu wymaga się od specjalistów, by udowodnili, że jednak nie nastąpi.

Lucinder starał się zachować bezstronność.

- Nie ma dowodów, mówi pan? A może ich nie ma, bo nikt ich nie szukał? Czy istnieje w ogóle jakieś oficjalne opracowanie na ten temat?

- Hm, nic mi o tym nie wiadomo - odrzekł przejęty Mercassier. - Do tej pory zadowalano się spisywaniem cokolwiek wątpliwych świadectw. Ale co się dzieje? Ten temat interesuje pana prezydenta?

- O tak, Benoît! - wykrzyknął Lucinder. - I to nawet bardzo, a to dlatego, że ten człowiek, który widział niedźwiedzia, jak pan powiedział, i to na własne oczy... no cóż, to właśnie ja.

Minister nauki przyjrzał się z niedowierzaniem prezydentowi. Zastanawiał się, czy jednak mimo wszystko zamach nie spowodował u jego rozmówcy nieodwracalnych skutków. Ponieważ trafiono go w serce, do mózgu krew nie docierała przez kilka minut. Czyżby niektóre strefy mózgu obumarły? I czy teraz może on być ofiarą ataków psychozy?

- Niech pan na mnie tak nie patrzy! - zdecydowanym głosem powiedział Lucinder. - Powiedziałem panu, że przeżyłem NDE, a nie że mam zamiar stworzyć komunistyczne państwo!

- Nie wierzę panu - instynktownie zareagował naukowiec.

Prezydent wzruszył tylko ramionami.

- Sam bym w to nie uwierzył, gdyby mi się nie przydarzyło. A jednak mnie to spotkało. Dostrzegłem cudowny kontynent i chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej o nim.

- Dostrzegł pan... widział pan na własne oczy?

- Ależ tak.

Jak zawsze racjonalny Mercassier zaproponował takie wyjaśnienie:

- Przed śmiercią organizm często wytwarza duże ilości naturalnej morfiny. Wystarczy tego, by osobę w agonii oszołomić tuż przed ostateczną podróżą, to taki niewielki chemiczny kop w charakterze ostatniego pokazu sztucznych ogni... Z pewnością wystarcza do wywołania niesamowitych halucynacji pod postacią „cudownego kontynentu” czy czegokolwiek innego. I zapewne właśnie coś takiego przydarzyło się panu na stole operacyjnym.

W świetle lampy stojącej na biurku Lucinder nie wyglądał na kogoś, kto miał halucynacje. Przeciwnie. Tylko czy jego mózg nie został mimo wszystko uszkodzony? Czy nie należałoby zaalarmować innych ministrów, prasy, odsunąć prezydenta od władzy, zanim jako przywódca państwa podejmie jakieś szalone i szkodliwe działania? Benoît Mercassier nerwowo wyłamywał palce pod fotelem. Jednak siedzący naprzeciwko rozmówca znowu się odezwał, mówiąc bardzo spokojnym głosem:

- Znam skutki działania narkotyków, Benoît. Narkotyzowałem się już i potrafię odróżnić stan, w którym zaczyna się przedawkowanie, od rzeczywistości. Ileż to razy powtarzał mi pan, że wystarczy dużo zainwestować w jakąkolwiek dziedzinę nauki, żeby bardzo szybko osiągnąć rezultaty?

- Owszem, ale...

- Czy wystarczy jeden procent z budżetu Urzędu do spraw Kombatantów, który dyskretnie panu przekażę?

Mercassier czuł się jak na torturach.

- Odmawiam. Jestem prawdziwym naukowcem i nie mogę wziąć udziału w podobnym oszustwie.

- Nalegam jednak.

- W takim razie wolę się podać do dymisji.

- Naprawdę?

34 - PODRĘCZNIK DO HISTORII

ŚMIERĆ NASZYCH PRZODKÓW

Klasyfikacja według (ówczesnych) kategorii społeczno-zawodowych; oto tabela przedstawiająca liczbę osób powyżej pięćdziesiątego roku życia na tysiąc osób w danej kategorii. Dane statystyczne z 1970 roku (koniec drugiego tysiąclecia):

- nauczyciele:

732

- kadra kierownicza i wolne zawody:	719
- inżynierowie:	700
- duchowni katoliccy:	692
- rolnicy:	653
- szefowie przedsiębiorstw i sprzedawcy:	631
- pracownicy biurowi:	623
- kadra kierownicza średniego szczebla:	616
- robotnicy:	590
- robotnicy rolni:	565

Podręcznik szkolny, kurs podstawowy, 2. Rok

35 - NOWA AUSTRALIA

Benoît Mercassier długo spacerował po Polach Elizejskich, mając w głowie kompletną pustkę. Był przekonany, że NDE nie istnieje, a teraz zlecono mu udowodnienie, że jest to niezaprzeczalna prawda. To tak jak poprosić ateistę, żeby wykazał, że Bóg istnieje, albo vegetarianina publicystę, by propagował zalety mięsa.

Doskonale zdawał sobie sprawę, dlaczego Lucinder wybrał go do tego zadania. Prezydent uwielbiał zmuszać swoich ludzi do paradoksalnych działań. Wymagał od prawicowych ministrów, by realizowali lewicową politykę, od ekologów żądał, by wychwalali energię nuklearną, a od protekcjonistów, by głosili zalety wolnego handlu...

Przyznał jednak dwieście tysięcy franków na ten beznadziejny „Projekt Raj”. I tym razem nie chodziło o abstrakcję, lecz o udowodnienie, że w godzinie śmierci odlatuje się ze swojego ciała, by dostać się na „cudowny kontynent”...

Lucinder nie był pierwszym z przywódców państwa, który angażował się w szalone projekty. Mercassier pamiętał, że dawno temu, jeszcze w latach siedemdziesiątych, nieobliczalny prezydent amerykański o nazwisku Jimmy Carter wbił sobie do głowy, że trzeba nawiązać kontakt z UFO. Uwierzył w UFO jak mało kto. Zarządził więc realizację programu, w którym zebrano wszystkie świadectwa na temat osławionych Niezidentyfikowanych Obiektów Latających. Można sobie wyobrazić pełne dezaprobaty miny naukowców zmuszonych do wysłuchiwanie bredzących czy nawiedzonych ludzi! Roztrwonił pieniądze podatników, budując gigantyczną stację nadawczo-odbiorczą, która miała przechwytywać ewentualne informacje przekazywane przez istoty pozaziemskie i

nawiązywać z nimi kontakt. Na koniec jeszcze się dziwił, że nie został ponownie wybrany na prezydenta!

Lucinder również pracował na swoją zgubę, ale sam Mercassier nie miał przecież wyboru. Pozostawało mu albo spełnić zachciankę prezydenta zgodnie z jego życzeniem, albo zrezygnować z teki, a przecież w całkiem naturalny sposób zależało mu na tej odrobinie władzy. Tym gorzej dla kombatantów! Z pewnością znajdzie pomysł na to, jak wykorzystać dwieście tysięcy franków.

No dobrze, ale jak się do tego zabrać? Ilekroć opadały go wątpliwości, Mercassier natychmiast rozmyślał o tym, by zwrócić się do najlepszego i najbliższego doradcy, do swojej żony Jill.

Ku jego wielkiemu zaskoczeniu wcale nie wydała się zdziwiona, kiedy przy kolacji przedstawił jej problem, jaki miał z NDE. Nakładając na talerze purée z brokułów, zastanawiała się głośno:

- Na początek musisz przygotować konspekt tego eksperymentu. Trzeba opracować test, który pozwoliłby odpowiedzieć tak lub nie na pytanie: „Czy istnieje coś po śmierci?”. Jakimi danymi wyjściowymi dysponujesz?

- Mam tylko jedną informację - westchnął - ale za to jakże ważną. Prezydent jest przekonany, że przeżył NDE!

Jak zwykle starała się podnieść go na duchu.

- Myśl pozytywnie. Żeby odnieść sukces, już na wstępie trzeba być przekonanym o przyszłym zwycięstwie.

- Ale - biadolił - przecież nie można wymagać ode mnie, żebym wierzył w NDE. Oznaczałoby to, że gwiżdżę na to, czego uczono mnie na studiach!

Krótko ucięła jego skargi:

- Nie jesteś już naukowcem, teraz jesteś politykiem. Myśl więc jak polityk, inaczej nigdy nie znajdziemy rozwiązania. Cóż zatem opowiada ten twój prezydent?

- Twierdzi, że widział przez chwilę „cudowny kontynent”...

- „Cudowny kontynent”? - Jill zmarszczyła brwi. - Dziwne, bo dokładnie takich samych słów użyli pierwsi żeglarze z Europy, gdy odkryli kontynent, na którym się urodziłam: Australię.

- Ale jaki to ma związek? - zapytał, nalewając sobie kieliszek wina.

- Masz za zadanie zbadać nowy kontynent. Powinieneś więc osiągnąć taki sam stan ducha i przyjąć to samo podejście co odkrywcy w szesnastym wieku. Nie wiedzieli, że istnieje jakiś ląd na wschód od Indonezji. A ci, którzy tak twierdzili, mogli zostać uznani za

niegroźnych wariatów, tak jak ty uważasz opowieści prezydenta za brednie.

- No dobrze, ale mimo wszystko był to przecież jak najbardziej namacalny kontynent, były tam łąki, drzewa, zwierzęta i tubylcy!

- Łatwo to powiedzieć w dwudziestym pierwszym wieku, ale wtedy, w tamtych czasach, wyobraź sobie tylko! Mówienie o południowych ziemiach było czymś równie dziwnym jak opowieści o kontynencie w zaświatach.

Gdyby nie zależało mu tak bardzo na zachowaniu jasności umysłu, Mercassier chętnie opróżniłby całą butelkę bourgueila. Zresztą całkiem niezły rocznik. Jill tymczasem rozwijała swoją myśl:

- Spróbuj wejść w skórę ministra z tamtych czasów. Przy okazji dalekiej zamorskiej podróży król został rozbitkiem i wyobraził sobie, że widział „cudowny kontynent”. Z pomocą przypłynął inny statek z jego floty, zanim on sam na ten kontynent dotarł, a zaraz po powrocie do stolicy nakazał ministrowi transportu podjąć niezbędne kroki, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o tajemniczej wyspie.

Jeżeli spojrzeć na to z takiej perspektywy, to oczywiście... Jill Mercassier nalegała jednak:

- Wystarczy, że nazwiesz tę swoją krainę umarłych Nową Australią i że zaczniesz myśleć jak odkrywca. Wyzwanie jest naprawdę godne naszych czasów. Wyobrażasz sobie w trzydziestym pierwszym wieku ludzi, którzy żartować będą w taki oto sposób: „I pomyśleć, że te ciemniaki nie wiedziały kompletnie nic o kontynencie umarłych!”. W roku trzytyśięcznym być może będzie rządził prezydent, który spróbuje pójść jeszcze dalej w poszukiwaniach i zechce na przykład cofnąć czas. A minister, któremu powierzona zostanie ta misja, zazdrościć będzie niegdysiejszemu Mercassierowi, któremu zlecono znacznie łatwiejsze zadanie: odwiedzenie krainy umarłych...

Jego żona była tak przekonująca, że Benoît nie mógł się powstrzymać, aby jej nie zapytać:

- Ale czy ty wierzysz w ten kontynent umarłych?

- A jakież to ma znaczenie? Wiem tylko, że gdybym była żoną ministra transportu w szesnastym wieku, poradziłabym mu wynająć okręty i sprawdzić, czy Australia istnieje. Tak czy inaczej będziesz albo tym, który odkryje ten nieznaną kontynent, albo tym, który udowodni, że coś takiego nie istnieje. W obu wypadkach i tak wygrasz.

Teraz z kolei Jill chwyciła butelkę.

Wpatrując się w zielone purée, jej mąż mruknął pod nosem:

- No dobrze, ale jaki statek wysłać w takie miejsce?

Opróżniła duszkiem kieliszek.

- I znowu wracamy do metody badawczej. Chcesz może trochę sałaty?

Nie. Nie był już głodny. Wszystkie te troski odebrały mu apetyt. Zupełnie inaczej niż Jill, która poszła do kuchni po miskę sałaty z pomidorami. Mocno przejęta usiadła i podsumowała całą sprawę:

- Dobrze, postanowiliśmy więc, że nazwiemy twój nowy kontynent Nową Australią. A kogo wysyłano, żeby zasiedlić Australię? Galerników, pospolitych przestępców, najgorszych łobuzów. A dlaczego właśnie ich?

No, w tym momencie Mercassier poczuł, że jest w swoim żywiole.

- Dlatego, że sądzono, iż Australia może być niebezpiecznym krajem i że lepiej nie wysyłać tam ludzi, których strata byłaby szkodą dla społeczeństwa.

W miarę jak wypowiadał kolejne słowa, twarz mu się rozjaśniała.

Jak zwykle Jill go nie zawiodła. Podsunęła mu rozwiązanie.

- Benoît, wiesz już, jacy marynarze wyruszą na podbój nowego kontynentu. Teraz musisz dla nich znaleźć kapitana.

Minister nauki uśmiechnął się rozpogodzony:

- Co do tego, mam pewien pomysł!

36 - MITOLOGIA AZTECKA

U Azteków nie zasługi w życiu ziemskim decydują o tym, czy będzie się istnieć po śmierci, lecz okoliczności, w jakich nastąpiła śmierć.

Najlepszą formą śmierci jest poleć w walce. Śmierć ta prowadzi Quanteca (towarzyszy Orła) do Tonatiuhichanu, raju na wschodzie, gdzie zmarły będzie zasiadał u boku boga wojny.

Śmierć przez utopienie lub z powodu choroby związanej z wodą (jak na przykład trąd) prowadzi do podróży do Tlalocanu, raju Tlaloca, boga deszczu.

Ci, którzy nie zostali przyjęci przez żadnego z bogów, udają się do Mictlanu, miejsca piekielnego, gdzie przez cztery lata poddawani są próbom, zanim zapadnie ostateczna decyzja.

Tam istnieje podziemny świat Mictlantecuhtli. Dostać się do niego można przez jaskinie. Dusza musi przejść przez osiem podziemnych stref, zanim dotrze do dziewiątego świata.

Pierwsza przeszkoda: Chicnahuapan, rzeka, którą zmarły musi przebyć, wczepiwszy się w ogon rudego psa złożonego wcześniej w ofierze na jego grobie. Zwierzęta poświęcone w czasie pogrzebu służą za psychopompę, to znaczy prowadzą duszę przez Krainę Umarłych.

Druga przeszkoda: dwie góry, które uderzają o siebie w nieregularnych odstępach czasu.

Trzecia przeszkoda: wspinaczka po krętych górskich ścieżkach pokrytych kamieniami o ostrych krawędziach.

Czwarta przeszkoda: stawić czoło obsydianowej burzy, wichurze porywającej drobne kamienie.

Piąta przeszkoda: przejść pod olbrzymimi sztandarami łopocącymi na nieskończonym wietrze.

Szósta przeszkoda: uniknąć strzał, które starają się przebić zmarłego.

Siódma przeszkoda: zbiorowy atak groźnych zwierząt, które chcą pożreć jego serce.

Ósma przeszkoda: wąskie przejście, w którym zmarły może się zgubić.

Wreszcie zasłużył na to, by jego ciało się rozłożyło.

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznamoma* Francisa Razorbaka

37 - À PROPOS

Raoul Razorbak zadzwonił do mnie kilka tygodni później. Chciał się ze mną jak najszybciej zobaczyć. Jego głos brzmiał dziwnie i miałem wrażenie, że jest czymś bardzo mocno przejęty. Tym razem nie zaproponował mi spotkania na Père-Lachaise, ale u siebie w domu.

Z trudem rozpoznałem go, gdy otworzył mi drzwi. Schudł jeszcze bardziej, a jego twarz przypominała dobrze mi znane ze szpitala twarze schizofreników.

- Ach! Michael, jesteście wreszcie!

Wskazał mi fotel, prosząc jednocześnie, żebym usiadł wygodnie. Jego wywody miały mnie zaskoczyć.

Czyżby dokonał jakichś niespodziewanych odkryć w badaniach nad hibernacją świstaków? W czym mogłyby one mnie dotyczyć? Byłem przecież lekarzem, a nie biologiem.

- Czy słyszałeś o tym zamachu, którego ofiarą padł prezydent Lucinder?

Pewnie, że słyszałem. Nie było w kraju nikogo, kto by o tym nie słyszał. Prasa, telewizja, radio, wszędzie bez przerwy o tym mówiono i pisano. Strzelano do przywódcy

naszego kraju podczas spotkania z tłumami w Wersalu. Najlepszym specjalistom udało się go odratować dosłownie w ostatniej chwili. Tylko jaki związek miał ten wypadek ze stanem nerwów mojego przyjaciela?

- Zaraz po wyzdrowieniu prezydent Lucinder zlecił ministrowi nauki... - urwał i chwycił mnie za ramię: - Chodź ze mną.

38 - PODRĘCZNIK DO HISTORII

Pierwsze ksenoprzeszczepy pojawiły się w połowie XX wieku, a dokładnie w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Odtąd chory zaczął przypominać samochód, w którym wystarczy wymieść zepsute części. Tym samym śmierć przybrała postać zwykłego mechanicznego wypadku. Następowala w wyniku braku odpowiednich części zamiennych. Badacze wyhodowali serca świń charakteryzujące się cechami genetycznymi, które pozwalały na wszczepienie ich człowiekowi. Techniki ułatwiające przyjęcie obcych organów przez człowieka były wciąż udoskonalane. Wszystko można było zastąpić z wyjątkiem mózgu. Chociaż nie do końca!

Logiczne wydawało się więc, że pewnego dnia uda się zaradzić wszelkim usterkom, w tym także tej ostatecznej, a mianowicie śmierci. Stało się to kwestią czysto techniczną. Jednocześnie długość życia rosła. Starczy wygląd był synonimem zaniedbania. Każdy zobowiązany był do utrzymania swojej biologicznej mechaniki w odpowiednim stanie. Zgrzybiałych lub cokolwiek odrażających staruszków ukrywano, żeby jeszcze bardziej wyeksponować tych, którzy z promiennym uśmiechem uprawiali tenis lub jogging. W tamtym czasie uważano, że najlepszym sposobem na walkę ze śmiercią jest kamuflowanie ujawniających się pierwszych jej objawów.

Podręcznik szkolny, kurs podstawowy, 2. rok

39 - AMANDINE

Mój przyjaciel Raoul wepchnął mnie do starego renault 20 z otwieranym dachem i ruszył ostro.

- Dokąd mnie wiesz?

- Tam gdzie się to wszystko dzieje.

Nie mogłem z niego wyciągnąć nic więcej. Wiatr tłumiał zarówno moje pytania, jak i jego odpowiedzi. W każdym razie wyjeżdżaliśmy z Paryża. Nieco zadrzałem, gdy zwolnił wreszcie przed ponurym napisem: „Więzienie Fleury-Mérogis”.

Z zewnątrz miejsce to przypominało raczej niewielkie miasteczko lub szpital anizeli więzienie. Raoul zaparkował na pobliskim parkingu i skierowaliśmy się do wejścia. Tam pokazał jakieś zezwolenie, a ja dowód osobisty. Przeszliśmy przez zamykaną z obu stron komorę, potem weszliśmy w długi korytarz i w końcu zapukaliśmy do jakichś drzwi.

Otworzył nam lekko speszony człowiek. Jego twarz jeszcze bardziej stężała, gdy ujrzał Razorbaka, który z kolei był bardzo uśmiechnięty.

- Witam, panie dyrektorze. Chciałem panu przedstawić doktora Michaela Pinsona. Powinien pan wystawić mu jak najszybciej stałą przepustkę. Z góry dziękuję.

Zanim dyrektor zdążył odpowiedzieć, znowu szliśmy przez kolejne korytarze. Odniosłem wrażenie, że strażnicy, których spotykaliśmy po drodze, spoglądają na nas z niechęcią.

Weszliśmy na dziedziniec. Byliśmy teraz w samym środku więziennej wioski. Ogromna przestrzeń. Pięć wielkich budynków ciągnęło się po horyzont. A przed każdym z nich, pośrodku, boisko do piłki nożnej. Raoul wytłumaczył mi, że więźniowie bardzo chętnie uprawiają sport, lecz o tej porze muszą przebywać w swoich celach.

I całe szczęście, bo wielu z nich wyglądało na wielce niezadowolonych z naszej obecności. Wczepieni w kraty ci z pierwszego piętra wydzierali się do nas:

- Gnoje, ścierwa, dobierzemy się wam do skóry!

Strażnicy najwyraźniej wcale się nie starali uciszyć więźniów.

Usłyszałem czyjś głos:

- Wiemy, co wyrabiacie w D2. Tacy jak wy nie zasługują na to, by żyć!

Zaczynałem się trochę niepokoić. Co też uczynił mój przyjaciel Raoul, który ze stoickim spokojem szedł przed siebie, że doprowadził tych ludzi do takiej wściekłości? Zdawałem sobie jednak sprawę z tego, że emocje mogą go poprowadzić daleko, bardzo daleko, dalej nawet, niż sięga rozum.

Budynek D2. Poszedłem za tym potępieńcem nie tyle nawet po to, by dowiedzieć się czegoś więcej, ile żeby nie zostać pośród rozwścieczonych więźniów i równie wrogo nastawionych strażników. Znowu korytarze, obite blachą drzwi, zasuw i zamki. Potem schody, znowu schody. Wrażenie, jakbym zstępował do piekieł. Z dołu słychać było tubalny śmiech przemieszany z długim zawodzeniem. Czyżby zamykano tutaj wariatów?

Zeszliśmy niżej, jeszcze niżej. Było coraz ciemniej. Przyszła mi na myśl metoda

wynaleziona przez Eskulapa w celu leczenia szaleńców. Ponad trzy tysiące lat temu w zakładzie leczniczym nazywanym Asklepionem, którego pozostałości można dzisiaj jeszcze zobaczyć w Turcji, ów pionier psychiatrii zbudował labirynt pogrążonych w ciemności tuneli. Po długim oczekiwaniu, kiedy to przygotowywano ich na coś niezwykle przyjemnego, szaleńców wprowadzano do labiryntu. Przy wejściu słychać było pieśni, a im dalej zapuszczali się w ciemne korytarze, tym brzmienie było melodyjniejsze. Kiedy zachwycony szaleniec znalazł się w najmroczniejszym miejscu, zrzucano mu na głowę beczkę oślizłych węzów, pod którymi nieszczęśnik miotał się zaskoczony dokładnie w chwili, gdy przeżywał najwyższą rozkosz. Albo umierał natychmiast z przerażenia, albo wychodził z tego wyleczony. Można rzec, że Eskulap wymyślił elektrowstrząsy.

Teraz ja sam, zagubiony gdzieś w podziemiach Fleury-Mérogis, zastanawiałem się, kiedy też spadnie na mnie beczka lodowatych gadów.

W tym momencie Raoul wyciągnął mocno zardzewiały klucz, którym otworzył pokryte nitami drzwi. Przedemną ukazał się wielki hangar przypominający olbrzymią graciarnię z całą masą porzrzucanych w nieładzie rzeczy. Było tam trzech mężczyzn w dresach i młoda dziewczyna o blond włosach ubrana w czarną bluzę, która od razu wywołała we mnie wrażenie *déjà vu*.

Mężczyźni wstali i z wyraźnym szacunkiem przywitali się z moim przyjacielem.

- Przedstawiam wam doktora Michaela Pinsona, o którym już wam mówiłem.
- Dziękujemy, że pan przybył, doktorze - powiedzieli chórem.
- Pani Ballus, nasza pielęgniarka - ciągnął Raoul.

Ukloniłem się dziewczynie i spostrzegłem, że bacznie mi się przygląda. Miejsce to było chyba opuszczonym lazaretem. Po mojej prawej stronie na laboratoryjnej płycie wałały się dymiące retorty, prawdopodobnie z ciekłym azotem. Na samym środku sali stał stary fotel dentystyczny, podziurawiony w paru miejscach i otulony całą masą poskręcanych kabli elektrycznych i migoczących monitorów.

Wszystko razem przypominało garaż niedzielnego majsterkowicza. Widząc, w jakim stanie są te urządzenia, pokręta i pordzewiałe dźwignie, zastanawiałem się, czy Raoul nie przeleciał się po śmietnikach na uniwersytecie. Monitory oscyloskopów były popękane, a elektrody kardiografów szerniały ze starości.

Ponieważ jednak sam sporo czasu spędziłem w laboratoriach, wiedziałem doskonale, że nieskazitelny i nienaganny wygląd urządzeń, jak widzimy zawsze na filmach, ma niewiele wspólnego z prawdą. W rzeczywistości nie ma nigdy żadnych niklowanych płyt ani fartuchów prosto z pralni, są natomiast faceci w podziurawionych swetrach pracujący w

okropnych pomieszczeniach.

Jeden z moich przyjaciół, który pracował nad problemem tak istotnym jak przepływ myśli przez meandry mózgu, miał za jedyne lokum parking znajdujący się w podziemiach szpitala Bichat, gdzie wszystko aż drżało za każdym razem, gdy pod ziemią przejeżdżało metro. Z braku środków nie mógł pozwolić sobie na zakup metalowego statywu do receptora fal mózgowych i w końcu zmajstrował coś takiego z drewna, przyklejając części za pomocą taśmy przezroczystej umocnionej pineskami. No tak, nawet we Francji badania naukowe nie są już tym, czym były w przeszłości.

- Mój drogi Michaelu, tutaj przeprowadzane są najbardziej doniosłe doświadczenia naszych czasów - oświadczył pompatycznie Raoul, wrywając mnie z zamyślenia. - Dawno temu, na pewno pamiętasz, rozmawialiśmy o śmierci podczas naszych spotkań na cmentarzu Père-Lachaise. Nazywałem ją niezbadanym kontynentem. A teraz staramy się tam zatknąć naszą flagę.

No cóż, zdaje się, że beczka węży spadła mu jednak na głowę. Raoul, Raoul Razorbak, mój najlepszy i najstarszy przyjaciel zwariował. Teraz zatem przeprowadzał doświadczenia dotyczące śmierci! Ponieważ mnie zamurowało, tłumaczył dalej:

- Prezydent Lucinder przeżył NDE po niedawnym zamachu w Wersalu. Zlecił więc Benoît Mercassierowi, ministrowi nauki, rozpoczęcie programu badawczego na temat tego, co się dzieje, gdy ktoś zapadnie w śpiączkę. Okazało się, że w którymś z pism o zasięgu międzynarodowym minister przeczytał jeden z moich artykułów poświęconych „wprowadzaniu świstaków w stan zaawansowanej hibernacji”. Skontaktował się ze mną i zapytał, czy byłbym w stanie wykonać tego rodzaju doświadczenia na istotach ludzkich. Natychmiast skorzystałem z nadarzającej się okazji. Moje świstaki być może trafiły do innego świata, nie były jednak w stanie opowiedzieć mi, co tam zobaczyły. Ludzie mogliby to zrobić. Tak, mój drogi, rząd dał mi zielone światło na badania nad NDE, w czym mogę wykorzystać ochotników, którymi są zresztą pospolicie przestępcy. Ci właśnie panowie są naszymi pilotami w zaświatach. To... hm...

- Zastanawiał się przez chwilę, jakby szukał natchnienia. - To...

- I nagle twarz mu się rozjaśniła: - To ta-na-to-nau-ci. Z greckiego *tanatos*, śmierć, i *nautes*, żeglarz. A zatem tanatonauci. Całkiem ładne określenie, prawda? Tanatonauta. - Powtórzył raz jeszcze: - Tanatonauta. A więc słowo z tej samej rodziny co kosmonauta albo astronauta. To określenie będziemy stosować. Wreszcie udało nam się znaleźć odpowiedni termin. Wykorzystujemy tanatonautów, żeby uprawiać ta-na-to-nau-ty-kę.

Teraz wsłuchiwał się z zachwytem w wypowiedane przez siebie słowa.

- W związku z tym nasz hangar jest tanatodromem, ponieważ stąd startują nasi... tanatonauci.

W podziemiach Fleury-Mérogis narodził się nowy język. Raoul promieniał. Młoda blondynka wyciągnęła skądś butelkę musującego wina i jakieś herbatniki. Wszyscy wypili za ten chrzest. Tylko ja byłem ponury i odsunąłem kieliszek, który wyciągał w moją stronę Raoul.

- Przepraszam bardzo, nie chciałbym psuć wam zabawy, ale jeśli dobrze rozumiałem, tutaj gramy o życie. Ci panowie mają za zadanie wyruszyć na podbój krainy zmarłych, o to chodzi?

- Właśnie o to, Michael. Fantastyczne, nie? - Raoul uniósł rękę, pokazując pokryty plamami sufit. - Cóż za niesamowite wyzwanie dla nas i dla przyszłych pokoleń: eksploracja zaświatów.

Powoli zaczynałem się wycofywać.

- Drodzy państwo - oświadczyłem spokojnie - zmuszony jestem was opuścić. Nie bardzo wiem, co miałbym robić razem z wariatami samobójcami, nieważne, czy rząd dał wam swoje poparcie czy nie. I w związku z tym żegnam wszystkich.

Skierowałem się pośpiesznie ku wyjściu, lecz pielęgniarka chwyciła mnie mocno za ramię. Po raz pierwszy usłyszałem jej głos.

- Zaraz, zaraz, potrzebujemy pana. Ona wcale nie prosiła - wypowiedziała to zimnym, niemal obojętnym tonem. Takim właśnie tonem musiała się zwracać, Wykonując swój zawód, kiedy chciała, żeby podano jej wyjałowiony wacik albo skalpel o chromowanym ostrzu.

Nasze spojrzenia skrzyżowały się. Jej oczy miały rzadko spotykany odcień: ciemnoniebieski z odrobiną beżu na obwódce źrenicy przypominającej wyspę zagubioną na oceanie. Zanurzyłem się w jej oczach niczym w czarnej otchłani.

Wciąż wpatrywała się we mnie uparcie i przenikliwie, wcale się nie uśmiechając. Tak jakby już samo to, że zwróciła się do mnie, stanowiło z jej strony olbrzymie odstępstwo. Cofnąłem się. Chciałem jak najszybciej uciec z tego naznaczonego śmiercią miejsca.

40 - KARTOTEKA POLICYJNA

Wniosek o udostępnienie podstawowych danych osobowych

Nazwisko: Ballus

Imię: Amandine
Włosy, blond
Oczy: ciemnoniebieskie
Wzrost: 169 cm
Znaki szczególne: brak
Uwagi: pionierka ruchu tanatonautycznego
Słabe strony: duże zainteresowanie seksem

41 - MITOLOGIA SZCZEPÓW AMAZONII

Stwórca postanowił niegdyś uczynić ludzi nieśmiertelnymi. Nakazał im: „Udajcie się nad brzeg rzeki. Ujrzycie tam trzy płynące łodzie. Pamiętajcie, żeby w żadnym razie nie zatrzymywać dwóch pierwszych. Poczekajcie na trzecią i ucałujcie Ducha, który będzie się tam znajdował”.

Przed pierwszą łodzią wypełnioną padliną, w której aż roiło się od robaków, wydzielającą potworny smród, Indianie cofnęli się z obrzydzeniem. Kiedy jednak pojawiła się druga łódź, ujrzeli w niej Ducha umarłego pod postacią człowieka, rzucili się więc, aby go pocieszyć. Gdy w trzeciej łodzi pojawił się Duch Stwórcy było już za późno. Stwierdził on bowiem z przerażeniem, że ludzie ucałowali śmierć. Dokonali więc wyboru.

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznaną* Francisa Razorbaka

42 - STOPNIOWE ZBLIŻANIE SIĘ DO ZBRODNI

Przez mniej więcej dwa tygodnie nie miałem żadnych wieści o moim byłym przyjacielu, profesorze Razorbaku, ani o jego tanatonautycznym. Przyznaję, że byłem bardzo, ale to bardzo rozczarowany. Raoul, idol z czasów mojej młodości, osiągnął to, że mógł realizować swoje marzenia, a ja byłem z tego powodu oburzony. Zastanawiałem się nawet, czy nie zgłosić tej sprawy policji, jeśli bowiem przeprowadzał „śmiertelne” doświadczenia na ludziach jak na królikach, należało mu w tym przeszkodzić.

W imię dawnej przyjaźni powstrzymałem się jednak od tego rodzaju działań. Powtarzałem sobie, że skoro uzyskał - jak twierdził - poparcie rządu, musi to oznaczać, że

udzielił odpowiednich gwarancji.

„Potrzebujemy pana”, powiedziała tamta pielęgniarka i zdanie to nadal mnie nurtowało. Do czego mogli mnie potrzebować przy uśmiercaniu ludzi? Wystarczy odrobina cyjanku czy trutki na szczury. Przecież składałem przysięgę Hipokratesa, a jedną z podstawowych zasad w moim zawodzie jest ratowanie życia, a nie skracanie go.

Gdy Raoul do mnie zadzwonił, miałem ochotę powiedzieć mu, że nie chcę już nigdy więcej słyszeć o nim i o jego doświadczeniach, lecz coś mnie powstrzymało, być może nasza dawna przyjaźń, a może dźwięczące mi ciągle w uszach słowa wypowiedziane przez pielęgniarkę.

Raoul przyszedł do mnie do domu. Wyglądał, jakby się jeszcze bardziej postarzał, w jego spojrzeniu wyczytać można było nerwowość; na pewno nie spał od dobrych kilku dni. Zapalał jeden od drugiego cienkie cygaretki w liściu eukaliptusa, zwane bidi, które wypalał kilkoma pociągnięciami.

- Michael, nie osądzaj mnie.

- Nie osądzam. Staram się zrozumieć i nie potrafię.

- Jednostka o nazwisku Razorbak jest nieważna. Liczy się tylko projekt. To on wykracza poza istotę ludzką. Jest wyzwaniem na miarę naszego pokolenia. Wiem, że to dla ciebie szok, ale wszyscy prekursorzy szokowali swoich współczesnych. Rabelais, dobroduszny pisarz Rabelais, nocą udawał się na cmentarz, żeby wykopywać z grobów trupy i studiować anatomię po to, żeby w medycynie dokonał się postęp. W tamtych czasach tego rodzaju działania były przestępstwem. Ale dzięki niemu zrozumieliśmy, jak wygląda obieg krwi, i uratowano wiele ludzkich istnień dzięki transfuzji. Michael, gdybyś wtedy żył i gdyby Rabelais poprosił cię, żebyś towarzyszył mu w tych nocnych ekspedycjach, co byś mu odpowiedział?

Zastanawiałem się przez dłuższą chwilę.

- Zgodziłbym się - odrzekłem w końcu. - Dlatego, że jego... pacjenci byli już martwi. Ale twoje króliki doświadczalne, Raoul, ci osławieni tanatonauci są jak najbardziej żywi! A wszystkie te twoje zabiegi mają jedynie przeprowadzić ich od życia do śmierci, nie myślę się, prawda? Tak czy nie?

Raoul bawił się teraz zapalniczką, którą trzymał w długich rozbieganych dłoniach. Płomień nie pojawił się. Albo za bardzo drżały mu ręce, żeby mógł uruchomić mechanizm, albo kamień był już zanadto wytarty.

- Nie mylisz się - powiedział, zmusiwszy się do spokoju. - Na początku mieliśmy do dyspozycji pięciu tanatonautów, a już dwóch z nich umarło. Umarli w głupi sposób, po prostu

dlatego, że nie jestem lekarzem i nie umiałem ich reanimować. Wiem, jak wprowadzać świstaki w stan hibernacji i jak je przywracać do życia, ale nie jestem w stanie tego zrobić z istotami ludzkimi. Nie mam pojęcia, jakie środki usypiające należy zastosować i w jakich proporcjach. Stąd też żeby skończyć z tym marnotrawstwem, wezwałem na pomoc ciebie i twój umysł, jednocześnie bystry i pełen wyobraźni.

Podąłem mu zapalki.

- Rzeczywiście zawodowo zajmuję się usypianiem ludzi, ale wprowadzenie ich w stan śpiączki jest już czymś zupełnie innym.

Podniósł się i zaczął chodzić po pokoju.

- Zastanów się. Wymyśl coś nowego! Potrzebuję cię, Michael. Przecież mówiłeś, że jak będzie trzeba, zawsze będę mógł liczyć na ciebie. No i dzisiaj właśnie nastąpił ten dzień. Potrzebuję cię, Michael, i proszę o pomoc.

Oczywiście, że miałem ochotę mu pomóc. Jak za dawnych dobrych czasów. On i ja przeciwko imbecydom. Tym razem jednak nie mieliśmy za przeciwników imbecyli. Mieliśmy stawić czoło czemuś zinnemu i nieznanemu, co nazywane jest śmiercią. Już na samo słowo ludzie robią znak krzyża. A on wysyłał na łono Abrahama tych biednych nieszczęśników, którzy powieriali mu swoje życie. Ze zwykłej ciekawości. Żeby mógł załatwić te swoje sprawy z ojcem, żeby spełnić swoje pragnienia odkrywcy nowego świata. Raoul, mój przyjaciel Raoul mordował z zimną krwią ludzi, którzy w niczym mu nie zaszkodzili... zabijał ich w imię nauki. Wszystko we mnie krzyczało: „Łapcie wariata!”.

Przyjrzał mi się niczym starszy brat, który patrzy na młodszego.

- A znasz to chińskie przysłowie: „Kto zadaje pytanie, może przez pięć minut wyglądać na głupiego, ale kto nie zadaje pytań, pozostanie głupcem przez całe życie”?

Poruszałem się po znanym terenie.

- Jest także inne zdanie, bardziej znane, tym razem hebrajskie: „Nie zabijaj”. To jedno z dziesięciorga przykazań zapisanych w Biblii.

Przestał chodzić po pokoju i chwycił mnie mocno za nadgarstki. Jego dłonie były ciepłe i wilgotne. Spojrzał mi głęboko w oczy, żeby skuteczniej mnie przekonać.

- Trzeba było dodać jeszcze jedenaste przykazanie: „Nie umieraj w niewiedzy”. Pięć, dziesięć, pięćdziesiąt osób może przy tym zginąć, zgadzam się. Ale jak olbrzymia jest stawka! Jeżeli nam się powiedzie, będziemy wreszcie wiedzieli, czym jest śmierć, i ludzie przestaną się bać, że umrą. Wszyscy ci goście w dresach, których widziałeś w naszym laboratorium, to więźniowie, wiesz przecież, i wszyscy są ochotnikami. Wybrałem ich spośród całej masy chętnych. Wszyscy mają jedną wspólną cechę: zostali skazani na

dożywotnie więzienie i napisali do prezydenta, domagając się przywrócenia kary śmierci, by do końca życia nie gnić w celi. Przeprowadziłem rozmowę z około pięćdziesięciu zmęczonymi już życiem więźniami. Wybrałem tych, którzy wydali mi się szczerzy w pragnieniu pożegnania się z życiem, gdyż tak bardzo przerażający był dla nich własny los. Opowiedziałem im o projekcie „Raj”. Natychmiast się do tego zapalili.

- To dlatego, że ich oszukałeś - powiedziałem, wzruszając ramionami. - Oni nie są naukowcami. Nie wiedzą o tym, że mają 99,999 procent szans, żeby pożegnać się z życiem dzięki twoim doświadczeniom. Oni też obawiają się śmierci, nawet jeśli twierdzą coś przeciwnego. W ostatniej chwili życia wszyscy się boją!

Ścisnął mnie jeszcze mocniej za rękę. Bolało, ale nic sobie nie robił z tego, że próbowałem się wyswobodzić.

- Nie oszukałem ich. Nigdy. Wszyscy wiedzą, jakie jest ryzyko. Wiedzą też, że wielu z nich umrze, zanim pewnego dnia komuś uda się wrócić po świadomie wywołanym NDE. I ten właśnie będzie prawdziwym pionierem. Wykona pierwszy krok w podboju świata umarłych. Tak naprawdę to jest jak loteria, wielu przegrywa, a tylko jeden wygrywa...

Usiadł wreszcie, chwycił butelkę whisky, którą postawiłem razem ze szklankami na niskim stoliku, i obsłużył się sam, wlewając sporą porcję alkoholu. Moimi zapawkami zapalił kolejną cygaretkę.

- Michael, także ty i ja któregoś dnia umrzemy i na krótko przed śmiercią każdy z nas zada sobie pytanie, co zrobił ze swoim życiem. Może warto spróbować dokonać czegoś oryginalnego? Przetrzyjmy szlak. Jeśli nam się nie uda, nasze dzieło kontynuować będą inni. Przecież to zaledwie pierwsze kroki tanatonautyki.

Tak ogromny upór z jego strony sprawił mnie w zakłopotanie.

- Wyznaczyłeś sobie niemożliwe do zrealizowania zadanie - westchnąłem.

- Niemożliwe. Tak właśnie powiedziano Krzysztofowi Kolumbowi, gdy stwierdził, że potrafi sprawić, że jajko będzie stało prosto.

Uśmiechnąłem się cierpko.

- W tym przypadku to było proste. Wystarczyło spłaszczyć podstawę jajka.

- Owszem, ale on odkrył to pierwszy. Popatrz tylko, dam ci pewne zadanie, które zapewne wyda ci się równie niemożliwe do rozwiązania jak w swoim czasie problem jajka Kolumba. - Z kieszeni marynarki wyciągnął notes i ołówek. - Umiałbyś narysować okrąg i punkt w środku, nie odrywając długopisu?

Żeby lepiej wytłumaczyć, o jaką figurę chodzi, sam narysował okrąg i zaznaczył punkt w środku.

- Zrób to samo, tylko nie odrywając długopisu od kartki - zarządził.

- To niemożliwe i doskonale o tym wiesz!

- Nie bardziej niż ustawić jajko tak, żeby stało. Nie bardziej też niż podbój kontynentu umarłych.

Wpatrując się w okrąg i punkt pośrodku, skrzywiłem się z niedowierzaniem.

- Naprawdę znasz rozwiązanie?

- Tak, i zaraz ci to udowodnię.

W tym właśnie momencie zupełnie niespodziewanie do mieszkania wtargnął mój drogi brat Conrad. Drzwi były otwarte, więc nie zadał sobie rzecz jasna trudu, by zapukać.

- Cześć wam! - rzucił radośnie.

Nie miałem ochoty kontynuować tej rozmowy w obecności brata kretyna. Próbowałem więc ostatecznie zakończyć tę drażliwą dyskusję.

- Przykro mi, Raoul, ale to co mi proponujesz, nie interesuje mnie. A co do tego twojego zadania, to nie istnieje żaden sposób, żeby tę kwestię rozwiązać bez oszustwa.

- Człowieku słabej wiary! - wykrzyknął bardzo pewny siebie. I rzuciwszy na stół swoją wizytówkę, dodał: - Znajdziesz mnie pod tym numerem, gdybyś zmienił zdanie.

Po tych słowach zniknął, nie mówiąc nawet do widzenia.

- Wydaje mi się, że znam skądś tego gościa - zauważył mój brat.

Lepiej było zmienić temat.

- No i jak tam leci, Conradzie? - zagadnąłem z uśmiechem, jakbym był zadowolony, widząc go. - Co u ciebie słychać?

Będzie gadał bez końca, jego teksty nużyły mnie, zanim jeszcze zdążył coś powiedzieć. Wiedziałem doskonale, co się u niego dzieje. Pracował w eksporcie-imporcie „wszystkiego, co da się wrzucić do kontenera”. Dorobił się. Ożenił. Miał dwoje dzieci. Był właścicielem wspaniałego koreańskiego samochodu sportowego. Grał w tenisa. Bywał na salonach, na których rozmawia się o ważnych sprawach, a jego współpracownikiem była jednocześnie jego kochanką.

Conrad z uwielbieniem rozprawał o ostatnich epizodach swej szczęśliwej egzystencji. Zakupił jakieś obrazy wielkich mistrzów za śmieszna wręcz cenę, kupił dom w Bretanii i byłbym tam mile widziany, gdybym tylko miał ochotę pomóc mu w odnowieniu go. Jego dzieci uczą się po prostu świetnie. Uśmiechałem się do niego szeroko, ale jeszcze dwie lub trzy tego rodzaju dobre wiadomości, a nie zdołam się opanować się i strzelę go pięścią prosto w dziób. Nie ma nic bardziej denerwującego niż szczęście innych. Zwłaszcza gdy służy ono za miernik własnej porażki...

Trzy, czasem cztery razy w tygodniu dzwoniła do mnie matka.

- Posłuchaj, Michael, kiedy wreszcie będziesz miał mi coś dobrego do zakomunikowania? Już najwyższy czas, żebyś pomyślał o założeniu rodziny. Popatrz na Conrada, zobacz tylko, jaki jest szczęśliwy.

Matka nie zadowalała się zresztą wyłącznie nakłanianiem mnie do małżeństwa. Podejmowała również w tym kierunku działania. Któregoś dnia zaskoczyłem ją, gdy przygotowywała ogłoszenie matrymonialne do gazety: „Znany lekarz, bogaty, inteligentny, przystojny i dowcipny, szuka kobiety na takim samym poziomie”. To znaczy w takim mniej więcej duchu napisany był ten tekst. Ależ się wtedy wpieniłem!

Kiedy tak męczyłem się nad zagadką z okręgiem i punktem w środku, Conrad szczegółowo wyliczał wszystkie aspekty swojego szczęścia. Drobiazgowo opisywał każde pomieszczenie w domku w Bretanii i wyjaśniał, jak udało mu się orznąć tubylca i zakupić chałupę za jedną czwartą ceny.

Ach, ten uśmiech pełen wyższości! Im dłużej mówił, tym większe politowanie wyczuwałem w jego głosie. „Biedny Michael, myślał sobie, tyle lat studiów, żeby tak skończyć i żyć samotnie, smutno i nędznie”.

To prawda, w tym czasie moje życie nie wyglądało rewelacyjnie.

Byłem sam, żyłem jako stary kawaler w małym mieszkanku przy ulicy Réaumur. Najbardziej doskwierała mi samotność, na dodatek praca nie sprawiała mi żadnej satysfakcji. Rano zjawiałem się w szpitalu. Sprawdzałem karty wszystkich pacjentów, którzy mieli być operowani. Przygotowywałem środki znieczulające, wbijałem igłę i czuwałem nad tym, co dzieje się na monitorze.

Na szczęście nie miałem żadnych wypadków jako anestezjolog, ale moje istnienie jako wielkiego kapłana w białym kitlu niewiele miało wspólnego z tym, co sobie obiecywałem po krótkim pobycie w szpitalu Świętego Ludwika. Pielęgniarki wcale nie były nagie pod służbowymi kitlami. Niektóre z nich rzeczywiście były łatwe, ale oddawały się jedynie w nadziei, że wyjdą za lekarza i dzięki temu będą mogły wreszcie przestać pracować.

Ostatecznie praca przyniosła mi same rozczarowania.

Nie cieszyłem się szacunkiem przełożonych ani też podwładnych, a ci, którzy byli mi równi, nie zwracali na mnie w ogóle uwagi. Byłem tylko częścią zamienną, trybem mającym do spełnienia ściśle określoną funkcję. Przyprawiam ci pacjenta, usypiasz mi go, ja go operuję i następny proszę. Żadnych dzień dobry ani do widzenia.

Conrad wciąż trząsał i trząsał dziobem, a ja mówiłem sobie, że musi przecież istnieć coś innego niż moje obecne życie i jego, powiedzmy, „szczęście”. Musi przecież gdzieś

istnieć jakaś alternatywa.

Jak jednak narysować okrąg i punkt w jego środku, nie odrywając długopisu?

Nieemożliwe, oczywiście, że niemożliwe.

Byłem nieszczęśliwy, a Raoul poszedł sobie z całym tym swoim szaleństwem, pasją, przygodą, pozostawiając mnie w mojej samotności i obrzydzeniu.

Na stoliku wizytówka lśniła niczym miraż.

Okrąg i punkt... Niemożliwe!

43 - FILOZOFIA BUDDYJSKA

„Uczniowie moi, jak sądzicie, co jest największe:

*Wody oceanu czy łzy przez was wylane podczas tej długiej wędrówki,
gdy błądząc, rodziliście się i umierali na nowo.*

Zjednoczeni z tym, coście nienawidzili,

Oddzieleni od tego, coście kochali?

Przez długie wieki cierpieliście, był żal nieszczęścia, ból,

Zapełnialiście cmentarze,

Żyjąc tak długo, że znużyło was istnienie,

Tak długo, by chcieć od wszystkiego uciec”.

Kazanie Buddy

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznaną* Francisa Razorbaka

44 - WRESZCIE DO CZEGOŚ DOCHODZIMY

Musiałoby minąć jeszcze kilka tygodni wypełnionych drobnymi rozgoryczeniami, poniżeniami i niezmierną nudą, żebym wreszcie zdecydował się opowiedzieć po stronie Raoula i jego szaleństwa.

Uporczywe telefony od matki i niezapowiedziane wizyty brata w znacznym stopniu wpłynęły na tę decyzję. Jeżeli jeszcze dodamy do tego drobny zawód miłosny (koleżanka z pracy, która odmówiła mi i na koniec zaczęła się oprowadzać z jakimś skretyniałym

stomatołkiem) oraz brak jakiejś dobrej książki, która trochę by mnie podbudowała psychicznie, zrozumiecie bez trudu, że byłem już gotów na Fleury-Mérogis.

Jednakże nie to żalosne nagromadzenie beznadziejnych spraw przeważało szalę, gdy idzie o mój wybór, lecz zasuszonej starszej pani czekającej na decydującą operację.

Stałem obok niej z zastrzykiem znieczulającym w dłoni, gdy zjawiała się jedna z asystentek, żeby powiedzieć mi, że chirurg nie jest jeszcze gotowy. Wiedziałem doskonale, co to znaczy. Ten palant niby po to, żeby się rozluźnić, oddawał się teraz miłosnym harcom w szatni ze swoją pielęgniarką. Kiedy już skończą z tym barszkwaniem, będę mógł uspić pacjentkę, żeby chirurg usunął jej guz na pęcherzu moczowym, a ona miała pięćdziesiąt procent szans, aby się po tym obudzić.

Co za paranoja... beznadziejne to wszystko! Pięć tysięcy lat cywilizacji doprowadziło do tego, że trzeba czekać, aż chirurg będzie miał wreszcie wytrysk, aby pięć minut później próbować ratować życie jakiejś chorej!

- Czemu się pan śmieje? - zaniepokoiła się starsza pani.

- Nic takiego, to z nerwów.

- Pana śmiech przypomina mi śmiech mojego męża tuż przed śmiercią. Lubiłam słuchać, jak się śmieje. Zmarł, bo pękł mu tętniak. On to miał przynajmniej szczęście. Nie zdążył stać się zgrzybiałym staruszkiem. Zmarł, można rzec... w dobrym zdrowiu. - Jej śmiech z kolei zabrzmiał jak żałobny dzwon. - Dzięki tej operacji wreszcie do niego dołączę.

- Ale co też pani opowiada! Doktor Leveau to prawdziwy as.

Wiekowa dama pokiwała głową.

- Tyle że ja mam nadzieję tam zostać. Mam już naprawdę dość życia w samotności. Chcę znowu spotkać się z mężem. Tam, w górze. W raju.

- Wierzy pani, że jest jakiś raj?

- Oczywiście. To byłoby zbyt okropne, gdyby całe życie kończyło się tutaj. Na pewno musi gdzieś być jakieś „dalej”. A tam odnajdę mojego André, tam albo w innym życiu, wszystko mi jedno. Kochaliśmy się tak mocno i od tak dawna!

- Proszę tak nie mówić. Doktor Leveau zajmie się panią i tym pani drobnym ziaziusiem.

Oponowałem jednak bez większego przekonania, wcześniej już kilkakrotnie byłem świadkiem niekompetencji tego lekarza.

Wpiła we mnie oczy kochającego wiernego psa.

- Będę więc musiała wrócić do zbyt dużego mieszkania i żyć tam znowu sama z moimi wspomnieniami... Co za okropność!

- Życie jest jednak mimo wszystko...

- Cholernym przejściem, prawda? Bez miłości życie jest naprawdę tylko doliną łez.

- Przecież istnieje nie tylko miłość, jest też...

- Niby co? Kwiatki, ptaszki? Co za bzdury! W moim życiu był tylko André i tylko dla niego żyłam. Więc cała ta historia z pęcherzem to naprawdę szczęście!

- Nie ma pani dzieci? - zapytałem.

- Mam. Czekaając na spadek, przebierają nogami z niecierpliwości. Po operacji na pewno do pana zadzwonią, panie doktorze, żeby się dowiedzieć, czy mogą od razu zamówić nowy samochód czy też będzie trzeba jeszcze trochę zaczekać.

Nasze spojrzenia skrzyżowały się. Jakby mimo woli słowa same pojawiły się na moich ustach.

- Czy wie pani, jak narysować okrąg i punkt w jego środku, nie odrywając od kartki długopisu?

Parsknęła śmiechem.

- Co za pytanie! Uczą tego wszystkich już w przedszkolu.

Na wymiętej papierowej chusteczce pokazała mi, jak to zrobić. Wpadłem w zachwyt. Było to tak oczywiste, że nic dziwnego, iż na to nie wpadłem.

Drobna staruszka rozbawiona puściła do mnie oko. Była osobą, która mogła zrozumieć, jak wielką wagę przywiązuję do tego rodzaju błahostek.

- Wystarczyło pomyśleć - powiedziała.

Kiedy już rozumiałem, pomyślałem sobie, że Raoul jest naprawdę geniuszem. A geniusz, który potrafi narysować okrąg i jego środek bez odrywania długopisu, mógł również rzucić wyzwanie śmierci...

W tym momencie dwaj solidnie zbudowani sanitariusze urodzeni na Antylach weszli do sali, popychając wózek pełen narzędzi, a tuż za nimi kroczył wesołkowaty chirurg.

Pięć godzin później starsza pani opuściła życie i przekroczyła próg śmierci.

Leveau rzucił z wściekłością przezroczyste lateksowe rękawiczki. Zaklął szpetnie. Winę zrzucał na przestarzały sprzęt, na chorą, która za długo zwlekała, na brak szczęścia...

- A może byśmy poszli na piwo? - zaproponował mi.

Zadzwonił telefon. Jak się spodziewałem, dzwoniły dzieci zmarłej staruszki. Rzuciłem słuchawką. Moja ręka szukała już w kieszeni wizytówki Raoula.

45 - PODRĘCZNIK DO HISTORII

Nie wiemy, jakie były początki ruchu tanatonautycznego. W opinii niektórych historyków zapoczątkowała go grupa przyjaciół, którzy chcieli przeprowadzić zupełnie nowe doświadczenie. Z innych źródeł z kolei wynika, że jedynym motywem działania pierwszych tanatonautów były względy ekonomiczne. Chcieli szybko się wzbogacić dzięki wylansowaniu nowej mody.

Podręcznik szkolny, kurs podstawowy, 2. rok

46 - NO TO JEDZIEMY!

Miałem świadomość, że propozycja Raoula sprowadza się do tego, abym stał się współnikiem jego przyszłych zbrodni. Zbrodni popełnianych w imię nauki czy też nie wiadomo jakich marzeń o podboju świata umarłych.

Pomysł wysyłania z czystej ciekawości ludzi na śmierć nadal tak samo mnie szokował, ale jednocześnie całe moje wnętrze domagało się, by moje życie stało się choć trochę bardziej pasjonujące.

Żeby wreszcie podjąć decyzję, postanowiłem skorzystać z pomocy trzech dwufrankowych monet. Ulepszyłem co nieco metodę Raoula, wykorzystując teraz nie jedną, lecz trzy monety. W ten sposób uzyskiwałem opinię znacznie bardziej wiarygodną. Orzeł-orzeł-orzeł oznaczało: zdecydowanie tak. Orzeł-orzeł-reszka: raczej tak. Reszka-reszka-orzeł: raczej nie. Reszka-reszka-reszka: zdecydowanie nie.

Monety poleciały w górę, żeby zadać pytanie niebiosom. Potem po kolei wylądowały na ziemi.

Orzeł-orzeł-reszka: raczej tak.

Chwyciłem za słuchawkę telefonu. Jeszcze tego samego wieczoru zachwycony Raoul opowiedział mi szczegółowo o swoim projekcie. W pokoju jego ręce latały nad głową jak dwa szczęśliwe gołąbki.

Upajał się swoimi słowami.

- Będziemy pierwsi! Podbijemy ten „cudowny kontynent”. Cudowny kontynent wbrew

przysiędze Hipokratesa. Próbowałem jeszcze podjąć ostatnią próbę honorowego sprzeciwu. Potem, gdyby wydarzyło się najgorsze, zawsze będę mógł wmawiać sobie, że to Raoul zmusił mnie do wszystkiego.

Tym razem przywołał nowe argumenty:

- Galileusza również potraktowano jak wariata.

Po Kolumbie czas na Galileusza! No cóż, biedny Galileusz posłużył za alibi dla wielu ludzi o chorej wyobraźni. Bardzo sprytny ten numer z Galileuszem...

- Zgoda, Galileusza uważano za wariata, a tymczasem był jak najbardziej zdrowy na umyśle. Jednak ilu prawdziwych szaleńców przypada na jednego niesłusznie oskarżonego Galileusza?

- Śmierć... - zaczął.

- Śmierć widzę każdego dnia w szpitalu. Ludzie umierają i wcale nie wyglądają na tanatonautów. Po kilku godzinach zaczynają śmierdzieć, ich członki stają się sztywne. Śmierć cuchnie. To stos rozkładającego się mięsa.

- Ciało gnije, lecz dusza się unosi - odparł na to filozoficznie mój przyjaciel.

- Przecież wiesz, że byłem w śpiączce i wcale nie wystartowałem.

Wyglądał na trochę zmartwionego.

- Mój ty biedny Michaelu, nigdy nie miałeś szczęścia.

Powinienem być przypomnieć Raoulowi, że doskonale wiem, dlaczego tak bardzo interesuje go śmierć. Ciągłe ten ojciec i jego samobójstwo. Bardziej chyba potrzebował porządnej psychoanalizy niż tego swojego projektu pod nazwą „Raj”. Ale skoro wypadło orzeł-orzeł-reszka, wybór został już dokonany.

- No dobrze, przejdźmy teraz do rzeczy. Mówiłeś, że dwa pierwsze starty nie powiodły się ze względu na niewłaściwe dawkowanie substancji usypiających. Jakie środki zastosowałeś, żeby wywołać śpiączkę?

Jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. Uścisnął mnie jak niegdyś. Wybuchnął śmiechem. Wiedział już, że odniósł zwycięstwo.

47 - FILOZOFIA CHIŃSKA

„Chcesz się nauczyć dobrze żyć? Najpierw naucz się umierać”.

Konfucjusz

48 - AMANDINE JEST TAKA ŁADNA

Powieki prześlicznej pielęgniarki przysłoniły jej oczy w kolorze ciemnoniebieskim, ale milczenie z jej strony odbierałem teraz jako nieme gratulacje.

Miałem wrażenie, że znam ją od dawna, tak bardzo była podobna do Grace Kelly z filmu Hitchcocka „Okno na podwórze”. Tyle że naturalnie była znacznie ładniejsza.

W hangarze we Fleury-Mérogis wszyscy wydawali się zadowoleni, że jestem z nimi. Obecność lekarza, do tego anestezjologa, musiała wpływać uspokajająco zarówno na ekipę naukową, jak i na kandydatów na samobójców.

Raoul dokonał prezentacji. Pielęgniarka miała na imię Amandine, a przyszli tanatonauci nazywali się Clément, Marcellin i Hugues.

- Na początku mieliśmy do dyspozycji pięciu tanatonautów - przypomniał nasz kapitan. - Dwóch zmarło jako ofiary pomyłki farmakologicznej. W anestezjologii nie ma miejsca na improwizację. Witamy więc pośród nas!

Trzej więźniowie w dresach pozdrowili mnie, przyglądając mi się podejrzliwie.

Raoul pociągnął mnie w stronę stołu laboratoryjnego z całą masą próbek.

- Będziesz się uczył tak samo jak my. Wszyscy razem wkraczamy na nieznaną ziemię. Nie mamy żadnych poprzedników. Jesteśmy jak ci pierwsi ludzie, którzy postawili niegdyś stopę w Ameryce czy Australii. Do nas należy odkrycie „Nowej Australii” i zatknięcie tam naszej flagi!

Profesor Razorbak na powrót stał się całkiem poważny. W jego źrenicach chęć jak najlepszego wykonania pracy zastąpiła teraz szaleństwo w czystej formie.

- Pokażmy doktorowi Pinsonowi nasz sposób wywoływania śpiączki - powiedział.

Bez chwili wahania Marcellin, najmniejszy z ochotników, zasiadł na starym fotelu dentystycznym. Pielęgniarka pieczołowicie mocowała mu elektrody na klatce piersiowej i czole, a do tego jeszcze różnego rodzaju czujniki ciepła, wilgotności, rytmu serca. Wszystkie kable były podłączone do monitorów, na których przebiegały teraz zielone linie.

Przyjrzałem się scenie.

- Zabierzcie mi stąd cały ten bajzel!

No i stało się. Teraz byłem już uczestnikiem ich fantastycznej wizji. Przyjrzałem się temu, co leżało na blacie stołu, rzeczom, które znajdowały się na półkach, rozszyfrowywałem

napisy na naklejkach, zastanawiając się, jaka mieszanina mogłaby wywołać śpiączkę.

Roztwór soli, żeby rozszerzyć naczynia, thiopental do wywołania śpiączki i chlorek potasu, żeby zwolnić rytm pracy serca...

Niektóre stany w Ameryce wołały kiedyś tę metodę od cyjanku albo krzesła elektrycznego w celu eliminacji skazanych na śmierć. Ja miałem nadzieję, że mocniej rozcieńczając chlorek potasu, spowolnię rytm serca, nie zatrzymując jego pracy, co pozwoli stopniowo przejść do stanu śpiączki, w miarę możliwości kontrolowanej przez mózg.

No i przeze mnie...

Przy pomocy Raoula i trzech pozostałych kandydatów na tanatonautów skonstruowałem dosyć sprytne urządzenie: plastikową szubieniczkę wysokości dwudziestu centymetrów, na której w dużym pojemniku zawiesiłem roztwór soli fizjologicznej, dalej thiopental w nieco mniejszym zbiorniku i wreszcie na koniec chlorek potasu. Do rurek podłączyłem elektryczny system odmierzania czasu, aby każda substancja była podawana w momencie, który uznaję za najodpowiedniejszy. Thiopental miał zostać zaaplikowany dwadzieścia pięć sekund po wstrzyknięciu roztworu soli, a chlorek potasu trzy minuty później. Całość miała być podawana za pomocą jednej rurki, z którą łączyły się pozostałe, zakończonej jedną igłą.

Całą tę moją chemiczną aparaturę nazwałem *booster*. Tanatonauta miał sam uruchamiać urządzenie, naciskając na elektryczny włącznik w kształcie gruszki, który z kolei automatycznie włączał dozownik. Nie zdając sobie z tego sprawy, wymyśliłem w ten sposób pierwszą „maszynę do umierania”, oficjalnie stawiając sobie za cel podbój krainy umarłych. Sądzę, że znajduje się ona teraz w Smithsonian Institution w Waszyngtonie.

Moja zręczność i pewność siebie zrobiły wrażenie na zebranych. Raoul miał rację. Dla każdego problemu technicznego musiało być opracowane odpowiednie rozwiązanie. Ja z kolei byłem zadowolony przede wszystkim z włącznika. Nie będę musiał naciskać żadnego guzika. A więc nie ma mowy o bezpośredniej odpowiedzialności. Wolałem jednak nie być katem.

Zainteresowany sam zdecyduje, kiedy chce wystartować, a w razie niepowodzenia będzie to tylko jedno samobójstwo więcej.

Poprosiłem Amandine, żeby wprowadziła igłę do żyły w ramieniu Marcellina. Pewnym ruchem ścisnęła skórę w zgięciu łokcia tanatonauty, wbiła grubą igłę i pojawiła się tylko jedna kropelka krwi. Mężczyzna nawet się nie skrzywił.

Włożyłem więc gruszkę z elektrycznym włącznikiem do wilgotnej dłoni Marcellina, po czym wyjaśniłem:

- Kiedy naciśnie pan ten guzik, włączy się elektryczna pompa.

O mało nie dodałem: „I włączy pan własną śmierć”.

Marcellin przybrał rozluźniony wyraz twarzy, tak jakbym opowiadał mu o mechanizmie w silniku samochodu.

- Wszystko w porządku? - zapytał go Raoul.

- Jasne. Mam pełne zaufanie do doktora.

Próbowałem nie dać się ponieść emocjom, które wprowadzały Raoula w tak nerwowy stan.

- No a potem? - zaniepokoił się.

Wpatrywał się we mnie wzrokiem naiwnego dziecka, które za wszelką cenę chce dalej wierzyć w istnienie Świętego Mikołaja albo w czarnoksiężnika i możliwość wygrania losu na loterii.

Zakłopotalem się.

- No cóż, hm...

- Nie przejmuj się, doktora. Potem będę improwizował.

I puścił do mnie porozumiewawczo oko.

Porządny gość. Chciał nawet, żebym nie miał poczucia winy. Wiedział, że wyrusza naprzeciw niemożliwym do pokonania przeszkodom, i chciał ze mnie zdjąć ciężar wszystkich kłopotów, do których mogłoby dojść. Miałem przez chwilę ochotę powiedzieć mu: „Uciekaj stąd szybko, póki jeszcze czas”. Raoul jednak, widząc moje zażenowanie, uciął to, krótko mówiąc:

- Brawo! Brawo, Marcellin, dobrze powiedziane!

Wszyscy zaczęli klaskać, także ja.

Ale cośmy właściwie oklaskiwali? Sam nie wiem... Może to moje urządzenie o nazwie „booster do zaświatów”, a może odwagę Marcellina, może wspaniałą urodę Amandine, która nie wiadomo dlaczego znalazła się tutaj. Naprawdę taka laleczka jak ona powinna być modelką. Bo „wspólniczka morderstwa” to raczej nie był zawód z przyszłością.

- A zatem przystępujemy do wystrzelenia duszy... - powiedział Raoul.

I zaraz potem zgasił papierosa.

Marcellin był uśmiechnięty niczym niedzielny alpinista, który wyrusza na podbój Mount Everestu w nowych eleganckich półbutach. Wykonał skromny gest pożegnania, który nie miał w sobie nic z pożegnania skazańca. A my wszyscy odpowiedzieliśmy mu uśmiechem, dodając odwagi.

- No to ruszaj, przyjemnej podróży!

Amandine otuliła naszego turystę chłodzącym okryciem, a ja w tym czasie wprowadzałem ostatnie poprawki, regulując komputery.

- Gotowy?

- Gotowy!

Amandine włączyła kamerę wideo, która miała filmować całą tę scenę. Marcellin przeżegnał się. Zamknąwszy oczy, zaczął powoli odliczać:

- Sześć... pięć... cztery... trzy... dwa... jeden... Start!

A potem nacisnął mocno włącznik.

49 - MITOLOGIA MAJÓW

U Majów śmierć oznaczała wyruszenie w drogę prowadzącą do Piekła nazywanego przez nich Mitnal. Tam demony torturowały duszę zimnem, głodem, pragnieniem i nędzą.

Majowie mieli dziewięciu władców nocy, odpowiadających zapewne dziewięciu podziemnym światom Azteków.

Dusza zmarłego musiała przebyć pięć rzek pełnych krwi, pyłu i kolców. Przybywszy na rozstajne drogi, była poddawana próbie domów: domu bursztynu, domu noży, domu zimna, domu jaguarów i domu wampirów.

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

50 - MARCELLIN - LUDZKI KRÓLIK DOŚWIADCZALNY, AMANDINE - BOSKA KOBIETA

Wszyscy z natężeniem wpatrywaliśmy się w monitory kontrolne. Serce Marcellina biło może słabo, ale jednak nadal biło. Jego puls zszedł znacznie poniżej poziomu osoby pogrążonej w głębokim śnie. Temperatura spadła o blisko cztery stopnie.

- Jak dawno wyruszył? - zapytał jeden z więźniów.

Amandine spojrzała na zegarek. Ja wiedziałem, że już ponad pół godziny temu Marcellin wykonał wielki skok. Od ponad dwudziestu minut był w głębokiej śpiączce.

Miał twarz człowieka, który po prostu śpi.

- Oby tylko mu się udało, oby się udało! - przepowiadali sobie Hugues i Clément, dwaj

pozostali przyszli tanatonauci.

Chciałem dotknąć Marcellina, żeby lepiej się zorientować, w jakim stanie jest jego organizm, lecz Raoul mnie powstrzymał:

- Nie dotykaj go jeszcze. Nie wolno go obudzić za wcześnie.

- Ale jak się dowiemy, czy mu się udało?

- Jeżeli otworzy oczy, to znaczy, że mu się powiodło - powiedział twardo szef projektu „Raj”.

Co dziesięć sekund „pink” elektrokardiogramu rozbrzmiewało jak sonar w atomowym okręcie podwodnym w drodze do niezmiernych głębini. Ciało Marcellina wciąż spoczywało na fotelu dentystycznym. Gdzie też jednak mogła się teraz znajdować jego dusza?

51 - I RAZ...

Już od ponad godziny zajadłe wykonywałem masaż serca. Gdy tylko elektrokardiograf przestał wydawać charakterystyczne „pink”, wszystkich nas ogarnęła totalna panika.

Amandine rozcierała ramiona i nogi Marcellina, podczas gdy Raoul zakładał mu maskę tlenową. Razem liczyliśmy „raz, dwa, trzy” i naciskałem klatkę piersiową dwiema rękami przyłożonymi w okolice serca. Potem Raoul wdmuchiwał powietrze do dziurek w nosie, żeby uruchomić układ oddechowy.

Jedynym rezultatem było to, że Marcellin nagle otworzył oczy i usta. Oczy wypełnione pustką i milczące usta.

Pastwiąc się w ten sposób nad bezwładnym ciałem Marcellina, spływaliśmy potem.

Dusiłem natrętnie powracające w mej głowie pytanie: „Co ja tutaj robię?”. Im dłużej jednak przyglądałem się temu, czego nie można było nazwać inaczej jak trupem, tym bardziej pytanie to stawało się obsesyjne. „Co ja tutaj robię?”

No właśnie, co ja tutaj robię?

W tej chwili chciałem być zupełnie gdzie indziej, zajmować się czymś innym. I móc sobie powiedzieć, że nigdy w tej operacji nie brałem udziału.

Za późno już było, by przywrócić Marcellina do życia. Było za późno i wszyscy wiedzieliśmy o tym, ale żadne z nas nie chciało tego przyjąć do wiadomości. Zwłaszcza ja. Było to moje pierwsze „morderstwo” i mogę wam przysiąc, że naprawdę jest się kompletnie rozjechanym wewnątrz, gdy najpierw słyszy się, jak facet mówi nam „cześć”, a potem widzi się go sztywnego jak uschłe drzewo!

Raoul odsunął się na bok.

- Zaszedł za daleko - szepnął rozwścieczony. - Zaszedł za daleko i nie potrafił już wrócić.

Amandine również była wyczerpana rozcieraniem Marcellina. Na jej gładkim czole perlily się kropelki potu, które spływały wzdłuż policzków pokrytych piegami, zsuwając się dalej, za zbyt zasłonięty dekolt. Moment był dramatyczny, a jednak zaznałem być może najsilniejszych w całym moim życiu erotycznych doznań. Cóż za niesamowity widok stanowiła ta walcząca ze śmiercią cudowna młoda kobieta, która za jedyną broń miała czułe dłonie! Eros zawsze jest blisko Tanatosa! Zrozumiałem w jednej chwili, skąd bierze się to wrażenie, że znam ją od bardzo dawna. Przypominała nie tylko Grace Kelly, ale również tę pielęgniarkę, która była przy mnie, gdy się wybudziłem po wypadku w dzieciństwie. Ten sam wygląd anioła, ta sama karnacja, ten sam zapach moreli.

Jakiś facet dopiero co umarł, a ja tymczasem zerkam sobie na pielęgniarkę. Czułem niesmak do siebie.

- Co zrobimy z ciałem? - krzyknąłem.

Raoul nie odpowiedział od razu. Wpatrywał się jeszcze w Marcellina, łudząc się jakąś bezsensowną nadzieją.

A potem niemal obojętnie wytłumaczył:

- Prezydent nas kryje. W każdym więzieniu około czterech procent więźniów popełnia samobójstwo. Marcellin będzie w tej właśnie grupie.

- Ale to przecież jakieś zupełnie zbrodnicze szaleństwo! - wydarłem się na niego. Jak w ogóle mogłem dać się wpuścić w tego rodzaju ponurą aferę? - Oszukałeś mnie, Raoul, oszukałeś, zdradziłeś naszą przyjaźń, żeby dać upust swojemu szaleństwu. Wszyscy jesteście odrażający! Facet wyzionął ducha przez waszą beztroskę. Oszukałeś mnie i jego też oszukałeś.

Raoul wstał z godnością i nagle chwycił mnie za kołnierz. Z jego oczu leciały błyskawice, a mówiąc, opluwał mi twarz.

- Nie, nie oszukałem cię. Ale stawka jest tak wysoka, że nieuniknione są niepowodzenia, zanim wreszcie nam się uda. Nie od razu Rzym zbudowano. Nie jesteśmy już dziećmi, Michael. To nie jest zabawa i musimy zapłacić wysoką cenę. Wszystko ma cenę, inaczej byłoby to aż nazbyt proste. A gdyby było proste, inni osiągnęliby to już przed nami. I właśnie dlatego, że jest to trudne, sukces będziemy mogli poczytywać sobie za zasługę.

Broniłem się niemrawo.

- Jeżeli któregoś dnia nam się rzeczywiście uda. A wydaje mi się to coraz mniej

prawdopodobne.

Raoul puścił mnie. Przyglądał się Marcellinowi, którego usta były teraz szeroko otwarte. Widok rozwartych ust był nie do zniesienia, dlatego na zuchwę Marcellina założył zacisk i dokręcił śrubę, tak że zuchwa zwarła się ze szczęką i oskarżycielskie usta wreszcie się zamknęły. Wtedy odwrócił się do pozostałych.

- A może i wy myślicie tak jak Michael? Jeśli chcecie zrezygnować, jest jeszcze czas.

Raoul spojrział każdemu w oczy, czekając na reakcję. Patrzyliśmy na trupa Marcellina i byliśmy głęboko poruszeni, gdyż dzięki zaciskowi jego usta przypominały teraz dziób ptaka niknący gdzieś w zapadniętych policzkach.

- Ja rezygnuję! - wykrzyknął Clément. - Myślałem, że z doktorem wszystko będzie pewniejsze, ale i on nie jest wystarczająco silny, żeby walczyć ze śmiercią. Jeśli musicie uśmiercić dziesięć tysięcy biednych gości, zanim wam się uda, wolę, żeby mnie wśród nich nie było. Nie musicie przypominać mi o umowie. Obiecuję, że nigdy nikomu nie powiem o waszym projekcie „Raj”. Za bardzo mnie to przeraża.

- A ty, Hugues? - zapytał Raoul beznamiętnym głosem.

- Zostaję - rzucił dumnie ochotnik.

- Czy chcesz być następnym tanatonautą?

- Tak. Wolę zdechnąć, niż znaleźć się z powrotem w celi. - Podbródkiem wskazał na ciało Marcellina. - On przynajmniej nie jest już zamknięty w okropnej więziennej celi!

- W porządku - rzekł Raoul. - A ty, Amandine?

- Zostaję - powiedziała, nie okazując ani krzty emocji.

Nie wierzyłem własnym uszom.

- Jak pragnę zdrowia, wam wszystkim chyba całkiem odbiło! Clément ma rację. Istnieje niebezpieczeństwo, że zamordujemy dziesięć tysięcy ludzi, zanim cokolwiek uzyskamy. W każdym razie na mnie już nie liczcie.

Zdjąłem biały kitel i rzuciłem go na stół, tłukąc przy tym kilka fiolek, z których natychmiast zaczął się wydobywać zapach eteru.

A potem wyszedłem, trzaskając głośno drzwiami.

52 - NOTATKA SŁUŻBOWA

Do wiadomości Prezydenta Lucindera

Zgodnie z Pana zaleceniami rozpoczęto przeprowadzanie doświadczeń. W skład zespołu badawczego wchodzi profesor Raoul Razorbak, biolog specjalizujący się w hibernacji gryzoni, doktor Michael Pinson, lekarz anestezjolog, oraz pielęgniarka Amandine Ballus.

Pięciu więźniów zgłosiło się na ochotnika, by posłużyć za króliki doświadczalne. Realizacja projektu „Raj” - rozpoczęta.

Sporządził: Benoît Mercassier

53 - STAN DUCHA

Wróciłem do mieszkania mocno wstrząśnięty. W domu byłam niczym kojot w nocy przy pełni księżyca, lecz nie byłam w stanie poradzić sobie ze stresem wywołanym śmiercią Marcellina. Co robić? Ciągnięcie tego było złe, ale pozostawienie samemu sobie kolejnego tanatona było czymś równie złym. Dlatego byłam. Sąsiedzi uderzali w ściany kijem od szczotki. Udało im się osiągnąć zamierzony efekt. Przestałem wyć, jednak wcale się przez to nie uspokoiłem.

Czułem się wewnętrznie rozdarty. Nie potrafiłem zrezygnować z możliwości ujrzenia Amandine. Nie miałem też ochoty wprowadzać kolejne osoby w stan śpiączki. Pomysły Raoula fascynowały mnie. Wolałem jednak nie mieć kolejnych trupów na sumieniu. Nie mogłem też wiecznie żyć w samotności. Sama myśl o powrocie do pracy i do szpitalnej rutyny wywoływała we mnie wstręt. Raoul miał rację przynajmniej w jednej kwestii: być może jego projekt był przerażający, ale cóż to za niezwykła przygoda!

On był szaleńcem ogarniętym obsesją samobójstwa ojca. Ale co mogło skłonić Amandine, tak zachwycającą istotę, do tego, żeby władować się w tę przedziwną aferę? Może i ona była przeświadczona, że jest pionierem nowego świata? Raoul potrafił przecież nieźle mydlić oczy.

Popijałem jeden kieliszek białego portu za drugim, aż w końcu się upiłem. Starłem się zasnąć, czytając jakąś powieść. Znowu, po raz kolejny, byłam sam w łóżku, a do tego na sumieniu miałem trupa. Pościel była tak lodowata jak chłodzące okrycie.

Nazajutrz rano, pijąc kawę ze śmietanką w knajpce na rogu, zastanawiałem się, czy śmierci Marcellina nie spowodowała przypadkiem zbyt duża dawka chlorku potasu. Preparat jest przecież wysoce toksyczny, należy więc pewnie zmniejszyć dawkę.

Chyba że to kwestia środka znieczulającego.

Zazwyczaj stosujemy trzy rodzaje środków znieczulających. Narkotyki, morfiniany i kuraryny. Z przyzwyczajenia postawiłem na narkotyki. Ale na „dobrą” śmierć lepsza byłaby kuraryna.

Hm. Jednak nie. Będę próbował dalej z narkotykiem.

Stopniowo mój umysł zaczynał pochłaniać wyłącznie problemy techniczne. Zawodowe odruchy uruchomiły się automatycznie. Przypomniałem sobie zajęcia z chemii.

No tak. Powinienem być może zastosować propofol, powiedziałem sobie. To nowy narkotyk i łatwiej się po nim wybudzić. Zwykle wybudzenie następuje po pięciu minutach i przebiega bez problemów... A jednak nie, propofol wchodziłby w niewłaściwe interakcje z chlorkiem potasu. Lepiej więc pozostać przy thiopentalu. Tylko jaką dawkę zastosować? Zazwyczaj trzeba liczyć pięć miligramów na kilogram wagi. Pięć miligramów, dawka minimalna, dziesięć miligramów - maksymalna. Zaaplikowałem 850 miligramów Marcellinowi, który ważył 85 kilogramów. Może należałoby zmniejszyć dawkę...

O godzinie 14 zadzwoniłem do Raoula. O 16 byliśmy znowu wszyscy razem w naszym tanatodromie we Fleury-Mérogis. Gdy przechodziliśmy, więźniowie jak zwykle obrzucali nas strasznym mięsem. Nawet nie było sensu im wmawiać, że Marcellin popełnił samobójstwo. Dyrektor zakładu karnego przeszedł obok nas, nie witając się z nami i w ogóle na nas nie patrząc.

Natomiast Hugues powitał nas całkiem uprzejmie.

- Niech się pan nie przejmuje doktorze, uda nam się!

Nie o siebie się obawiałem, ale raczej o niego...

Zredukowałem dawkę. Dla Huguesa, który ważył 80 kilogramów, 600 miligramów. Powinno wystarczyć.

Raoul zapisywał najdrobniejsze wykonywane przeze mnie operacje. Sądzę, że po to, aby móc je odtworzyć, gdybym zdecydował się zostawić go na dobre.

Amandine podała szklankę zimnej wody Huguesowi.

- Czyżby ostatnia szklanka wody dla skazańca? - zażartował z ironią.

- Nie - odpowiedziała z powagą.

Tanatonauta zajął miejsce na fotelu dentystycznym. Najpierw przygotowania: ustawienie czujników, zbadanie pulsu, zmierzenie temperatury, nałożenie chłodzącego okrycia.

- Gotowy?

- Gotowy.

- Gotowa! - powiedziała Amandine, włączając kamerę wideo.

Hugues mamrotał po cichu modlitwę. Potem przeżegnał się i wypowiedział prędko, tak jakby chciał mieć to jak najszybciej za sobą:

- Sześć, pięć, cztery, trzy, dwa, jeden, start!

Skrzywił się, jakby połykał gorzką pigułkę, i nacisnął włącznik.

54 - MITOLOGIA JAPOŃSKA

Japończycy nazywają krainę śmierci Yomi. Legenda głosi, że bóg Izanagi wyruszył pewnego dnia do krainy Yomi, żeby odnaleźć tam Izanami, swoją siostrę, która była też jego żoną. Kiedy ją już odnalazł, błagał, by wróciła do świata żywych. „Och, mężu mój, czemu przybywasz tak późno? - powiedziała bogini. - Skosztowałam już dań smażonych w piecu bogów Yomi i od tej pory do nich należę. Jednakże spróbuję ich przekonać, by mnie uwolnili. Módl się za mnie przez ten czas i przede wszystkim nie patrz na mnie”.

Izanagi jednak ogromnie chciał ujrzeć swoją siostrę-żonę. Łamiąc zakaz, wziął grzebień, posłużył się nim jak narzędziem, by złamać sobie ząb, a potem przemienił ten ząb w pochodnię, którą zapalił. Mógł dzięki temu dostrzec Izanami. Odkrył zżerane przez robaki martwe ciało, które objęło we władanie osiem gromowładnych bóstw. Przerażony uciekł, krzycząc, że przez pomyłkę znalazł się w odrażającym i przeżartym zgnilizną miejscu. Izanami rozgniewana, że ucieknie, nie czekając na nią, poczuła się poniżona. Wystąpiła więc odrażające harpie Yomi w pościg za Izanagim, lecz udało mu się uciec.

Izanami sama więc wyruszyła w pościg. Izanagi zastawił na nią pułapkę w jaskini. W chwili gdy oba bóstwa miały już wypowiedzieć formułę oznaczającą rozwód, Izanami oświadczyła: „Każdego dnia uduszę tysiąc ludzi z twojego kraju, żebyś zapłacił za to, za co ponosisz winę. - A ja sprawię, że każdego dnia narodzi się tysiąc pięćset osób”, odparł na to niewzruszony Izanagi.

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

55 - I DZIESIĘĆ

Hugues nigdy do nas nie wrócił. Pozostał gdzieś w połowie drogi między kontynentem zmarłych a krainą żywych. Nie umarł, ale ze śpiączki wyszedł bez świadomości, ze szklistym

spojrzeniem, linia encefalogramu była prawie całkiem płaska, a elektrokardiograf pokazywał bardzo rozciągniętą sinusoidę. Stał się teraz po prostu warzywem. Jego serce i mózg funkcjonowały, to prawda, lecz nie był już w stanie poruszać się ani mówić.

Umieściłem go w moim szpitalu na oddziale dla osób nieuleczalnie chorych. Przygotowano dla niego specjalny pokój. Kilka lat później Hugues został przetransportowany, przy zachowaniu wszelkich możliwych środków ostrożności, do Smithsonian Institution w Waszyngtonie na oddział w Muzeum Śmierci. Każdy mógł na własne oczy zobaczyć, co dzieje się z tymi, którzy zaklinowali się gdzieś między dwoma światami.

Kiedy znowu myślę o tej drugiej próbie startu, wydaje mi się, że mogła ona jak najbardziej zakończyć się powodzeniem. Tak czy inaczej doświadczenie było cenne, ponieważ pozwoliło mi określić, jaką ilość thiopentalu i chlorku potasu powinno się stosować.

W każdym razie wykorzystaliśmy już nasze pięć królików doświadczalnych. Trzy zmarły, jeden zdezerterował, a jeden został warzywem. Prześliczny bilans!

Raoul natychmiast zwrócił się do ministra Mercassiera, aby ten dostarczył nam nowych ludzi. Minister uzyskał zielone światło od prezydenta Lucindera. Wtedy zaczęła się nieubłagana selekcja.

Chcieliśmy więźniów skazanych na dożywocie, którzy byliby gotowi na wszystko, byle tylko uniknąć więzienia. Mogli wykazywać skłonności samobójcze, ale ograniczone. Potrzebowaliśmy ludzi zdrowych na umyśle, a nie narkomanów czy alkoholików.

Przede wszystkim jednak koniecznie musieli być w dobrym zdrowiu, żeby byli w stanie znieść chlorek potasu. Każdy przecież doskonale wie, że umiera się wyłącznie będąc w dobrym zdrowiu, to chyba jasne.

Całkiem niespodziewanie znosił się do nas gruby Martinez, szef całej tej bandy łobuzów, którzy kiedyś atakowali nas przed bramą szkoły. Nie rozpoznał nas. Ja przypomniałem sobie zdanie Laoziego: „Jeśli ktoś cię obraził, nie staraj się szukać zemsty. Usiądź nad brzegiem rzeki i niebawem ujrzysz, jak płyną nią jego zwłoki”.

Martinez wylądował w więzieniu na skutek jakiejś mrocznej afery z napadem na bank. A ponieważ stał się strasznie opasły, nie udało mu się uciec tak szybko jak jego kompanom. Był owszem, niezły w boksie, ale beznadziejny w biegach. Policjant, który dopadł go, gdy dostał okropnej zadyszki, musiał mieć od niego zdecydowanie lepsze oceny z gimnastyki. Przy okazji tej żalostnej sprawy dwie osoby zostały zabite. Sędziowie przysięgli nie doszukali się jakichkolwiek okoliczności łagodzących i orzekli dożywocie dla Martineza.

Tenże przeszedł celująco wszystkie testy na tanatonautę. Wykazywał przy tym spore

zainteresowanie udziałem w doświadczeniu, które przyniosłoby mu sławę. Wierzył w swoją szczęśliwą gwiazdę, która pozwoli mu wyjść cało z tych eksperymentów, choćby nawet bardzo niebezpiecznych.

- Wiecie co, panowie doktorzy? - zakrzyknął Martinez. - Ja niczego się nie boję.

Przypomniałem sobie wtedy, że istotnie, kiedy rzucał się ze swoimi pięcioma kumplami na nas dwóch, sprawiał wrażenie, jakby zupełnie się nie obawiał moich drobnych piąstek.

Raoul oświadczył mi, że nie ma żadnych pretensji do Martineza i że będzie z niego bardzo dobry królik doświadczalny. Ja natomiast wolałem skreślić go z listy swoich kandydatów. Pamiętałem bowiem aż za dobrze jego ciosy, żeby nie odczuwać obaw o to, że mógłbym się pomylić w wymagających ogromnej precyzji dawkach. Martinezowi miałem ochotę odpłacić pięknym za nadobne, a nie mogąc zachować wewnętrznego spokoju, wolałem go wykluczyć.

Odrzucony przez nas gangster wymamrotał, że przyjmujemy tylko tych, co to mają plecy, i że pozbawiamy go jakiegokolwiek szansy na to, żeby stał się bogaty i sławny. A potem nam ostro nawrzucał.

I tak mieliśmy szczęście, że nas nie rozpoznał! W swojej wściekłości byłby w stanie wnieść skargę o nierówne traktowanie i brak obiektywizmu.

Tak więc Martinez nie znalazł się na liście naszych pięciu następnych królików doświadczalnych. A raczej powinienem rzec: naszych pięciu kolejnych nieboszczyków. Zgony przestały na mnie robić wrażenie. Moja wrażliwość zdecydowanie stępiała. Podchodziłem do tego tak, jakbym wysyłał rakiety w przestrzeń kosmiczną. A skoro eksplodowały przy starcie, należało wprowadzać odpowiednie poprawki, żeby następne odpalenie silników zakończyło się sukcesem.

Trzecia seria królików doświadczalnych. Wśród nich niejaki Marc.

Czujniki, zmierzenie pulsu, temperatury, chłodzące okrycie. Raoul rzucił:

- Gotowy?

Odpowiedzieliśmy chórem:

- Gotowy!

- Gotowa!

Byleby tylko nasz człowiek nie umarł ze strachu. Pocił się i jednocześnie dygotał. Bez przerwy się żegnał.

- Sześć... pięć... cztery... trzy... dwa.. - jeden i pół... jeden i jedna czwarta... st... start?

No dobra, star-tu-je-my! - wybełkotał niewyraźnie, zupełnie bez przekonania.

Dwa razy się zabierał do tego, by wcisnąć włącznik, z którego ześlizgnął się jego spocony palec.

56 - MITOLOGIA MEZOPOTAMII

W mitologii Mezopotamii kraina śmierci nazywa się „krajem, z którego nie ma powrotu”. Pieśń:

*„Ci co wstąpili, pozbawieni są światła.
Gdzie pożywieniem ich pył, a strawą ich glina.
Przyodziani jak ptaki, ubraniem ich pióra.
Gdzie na drzwiach i zasuwach zalega pył”.⁵*

Pewnego dnia piękna Isztar, bogini Miłości, zeszła do Piekieł. Królowa Ereszkigal rozkazała strażnikowi, by ten potraktował ją według dawnego zwyczaju. Za każdym razem gdy bogini przechodziła przez kolejne z siedmiorga drzwi Piekła, pozbawiano ją najpierw szat i korony, potem kolczyków, naszyjnika, pectorału, paska, bransoletek, obrączek na kostkę i wreszcie bielizny. Isztar stawiała się więc naga przed Ereszkigal, ta zaś wymierzyła jej sześćdziesiąt tortur, które miały być zadawane w różne części ciała.

A jednak to ludzie ponieśli konsekwencje tej niewoli, ponieważ bez Isztar ziemia przestała być urodzajna. Pieśń:

*„Od czasu gdy Isztar zstąpiła do Krainy Skąd Nie Ma Powrotu,
Na jałówkę nie skacze byk, nie zapładnia mężczyzna dziewczyny na ulicy”.⁶*

Ludzie wystali więc czym prędzej eunucha do Ereszkigal. Kiedy ten poprosił, by mógł się napić z bukłaka, w którym była woda życia, przeklęła go. Pieśń:

*„Ścieki kanałów miasta - twym [będą] napojem,
Cień murów niech będzie miejscem twego odpoczynku,
Próg - twym mieszkaniem,
Pijany i spragniony niech uderzą twój policzek”.⁷*

⁵ Przeł. O. Drewnowska-Rymarz.

⁶ Przeł. O. Drewnowska-Rymarz.

Wydaje się, że eunuch został wysłany do Piekieł po to, żeby wymienić go na Isztar. W tym miejscu zatem bezpłodność mogła być zastąpiona płodnością. Jakiś czas potem Ereszkigal rozkazała, żeby Isztar zanurzyła się w wodzie życia, a potem została odprowadzona do bram Piekieł. W miarę jak przechodzi przez kolejne wrota w odwrotną stronę, odzyskuje wszystko, co jej wcześniej odebrano. W ten sposób sprawy na ziemi powróciły do dawnego porządku.

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

57 - BŁĄD PODCZAS MANEWROWANIA

Rozcieranie. Rozgrzewanie. Elektrowstrząsy.

Marc otworzył oczy, a my wytrzeszczyliśmy nasze.

Czyżby wreszcie nam się udało?

Nasz bohater wyrwał nas z osłupienia, zrywając się na równe nogi, miotając się, rozbijając wszystko wokół siebie i wydzierając się wniebogłosy.

- Widziałem ich! Widziałem! One tutaj są! Są wszędzie. Nie można przed nimi uciec, są wszędzie!

- Kto? Kto taki? - dopytywał się Raoul, starając się mówić jak najbardziej stanowczym tonem.

- Diabły! Wszędzie są diabły! Chcą mnie wepchnąć do wielkiego kotła i ugotować. Nie chcę umierać. I nie chcę nigdy więcej ich widzieć. Są straszne!...

Przyjrzał mi się, wbijając we mnie mętne oczy i wykrzykując:

- Ty też jesteś diabłem! Diabły są wszędzie.

Rzucił mi prosto w twarz jakąś fiolką. Zaczął gonić Amandine, trzymając w rękach strzykawki, i jedną udało mu się wbić jej w pośladek. Przejechał mi skalpelem po czole, kiedy próbowałem ich rozdzielić. Do dzisiaj została mi blizna.

Jego zachowanie odrobinę ostudziło nasz zapał. Najpierw warzywo, a teraz wariat! Nawet Raoul był pod silnym wrażeniem agresji, jaką wykazywał Marc. Jednocześnie zadawaliśmy sobie pytanie: a może nam się udało? Czy Marc rzeczywiście dawał nam świadectwo z zaświatów? Przecież to nie jego wina, że w jego opowieści obecne były

⁷ Przeł. O. Drewnowska-Rymarz.

wyłącznie przerażające rzeczy.

Niemniej zniszczyliśmy zapis wideo, a Marc został zamknięty w zakładzie dla psychicznie chorych. A jednak był naszym pierwszym królikiem doświadczalnym, który doświadczył NDE. Może nie przywiózł stamtąd pięknych wspomnień o świetlistych korytarzach, lecz wrócił cały i zdrowy, choć nie na umyśle.

Tego wieczoru odwoziłem samochodem Amandine do domu. Pielęgniarka bez przerwy przekładała jedną śliczną nogę na drugą. Rana na pośladku okazała się drobnostką. Mnie jednak trzeba było założyć dwadzieścia pięć szwów.

Czarna suknia Amandine - zawsze ubierała się na czarno - szeleściła nad wyraz zmysłowo.

Za nic nie chciała się spóźnić na podmiejską kolej RER, ale po tym burzliwym seansie ani ona, ani ja nie mieliśmy ochoty spędzać wieczoru w samotności.

Kierując samochodem, wyszeptalem:

- A może powinniśmy już sobie z tym dać spokój?

Amandine i jej wieczne milczenie. Zawsze sobie mówiłem:

„Musi myśleć o przecudownych rzeczach, bo jest taka piękna i w ogóle nic nie mówi”.

Ale dzisiaj miałem dosyć jej milczenia. Nie była w końcu tylko dekoracyjnym przedmiotem. Widziała, tak jak i ja, ludzi, którzy umierali lub wariowali po tych cokolwiek przypadkowych doświadczeniach.

Nalegałem więc:

- Tylu ludzi zginęło niepotrzebnie! I jak marne są tego efekty... Co pani o tym sądzi? Od chwili kiedy się poznaliśmy, nigdy nie słyszałem, żeby pani wypowiedziała zdanie, które miałoby więcej niż trzy słowa. Przecież pracujemy razem. Musimy ze sobą rozmawiać. I musi mi pani pomóc powstrzymać Raoula. Za długo to już trwa. A bez pani pomocy nigdy nie uda mi się go przekonać.

Wreszcie łaskawie na mnie spojrzała. Wpatrywała się we mnie długo i uporczywie. Otworzyła usta. Wreszcie miała przemówić.

- Wręcz przeciwnie.

- Co wręcz przeciwnie?

- Przeciwnie, mamy obowiązek ciągnąć to. Właśnie dlatego, żeby wszystkie te zgony nie były daremne. Wszyscy nasi tanatonauci wiedzieli, jakie jest ryzyko. Wszyscy wiedzieli też, że dzięki ich śmierci następny będzie miał większą szansę, by się udało.

- To tak jak partia pokera, w której wciąż podnosimy stawkę, żeby się odegrać! - wykrzyknąłem. - I w taki właśnie sposób człowiek zmierza do własnej zguby. Piętnaście

ofiar! To nie projekt badawczy, tylko potworna masakra!

- Jesteśmy pionierami - odpowiedziała chłodno.

- Znam na ten temat niezłe przysłowie: „Łatwo rozpoznać prawdziwego pioniera. Spoczywa pośrodku prerii na Dzikim Zachodzie ze strzałą wbitą w plecy”.

Zdenerwowała się jeszcze bardziej.

- Myśli pan, że ja nie jestem przygnębiona tyloma umarłymi? Wszyscy nasi tanatonauci byli wspaniałymi ludźmi, mieli w sobie tyle odwagi...

Głos jej się załamał. Po raz pierwszy jednak wypowiedziała dwa następujące po sobie kolejno zdania. Trzeba więc było skorzystać z okazji. Prowokowałem ją dalej:

- To nie była żadna odwaga, tylko zachowania samobójcze.

- Zachowania samobójcze! A Krzysztof Kolumb nie miał skłonności samobójczych, kiedy wyruszał tak daleko tą swoją łupinką? A czy Jurij Gagarin w tym swoim metalowym pudełku w rakiecie nie był także samobójcą? Bez samobójców na świecie nie byłoby postępu...

No tak! Galileusz, Kolumb, a teraz jeszcze Gagarin, nie brakowało jej przykładów z przeszłości, żeby uzasadnić tę hekatombę!

Amandine była teraz już niezłe rozgrzana, z uporem jednak nadal zwracała się do mnie per „pan”.

- Sądę, że niczego pan nie rozumie, doktorze Pinson. Nie wydaje się panu dziwne, że tak łatwo jest nam znaleźć ochotników? Więźniowie, i to wszyscy, doskonale wiedzą o naszych niepowodzeniach, więc dlaczego się do nas zgłaszają? Powiem panu dlaczego: dlatego, że na naszym tanatodromie każdy z tych wyrzutków nagle poczuł, że przeobraził się w bohatera!

- W takim razie dlaczego pozostali wciąż nas opluwają, kiedy przechodzimy obok?

- To paradoks. Winią nas za śmierć przyjaciół, ale również gotowi są umrzeć. I któregoś dnia jednemu z nich się uda, jestem o tym przekonana.

Wszystko mnie fascynowało w osobie Amandine. Jej chłód, milczenie, tajemniczość, a teraz jeszcze zapal...

Blondynka w czerni była w moim samochodzie niczym paląca obecność, która sprawiała, że moje zmysły ogarniał popłoch. Być może przez stałe obcowanie ze śmiercią nasiliły się moje popędy życiowe! Wreszcie byłem sam na sam z Amandine, i to z Amandine przejmującą i zarazem przejętą. Zdecydowałem postawić wszystko na jedną kartę. Taka okazja mogła już nigdy się nie powtórzyć. Moja ręka zsunęła się z dźwigni zmiany biegów i wykorzystując jakiś garb na jezdni, wylądowała na jej kolanie. Jej skóra była atlasowa i wręcz

nieprawdopodobnie delikatna w dotyku.

Odsunęła jednak moją rękę niczym jakiś wzbudzający odrazę przedmiot.

- Przykro mi, Michael, ale naprawdę nie jest pan w moim typie.

A jakież to niby jest ten jej typ?

58 - I DALEJ NIC

W czwartek 25 sierpnia minister nauki złożył nam incognito wizytę w tanatodromie we Fleury-Mérogis. Mercassierowi zależało na tym, by osobiście uczestniczyć w jednym ze „startów”. Przybrał pełną troski minę człowieka, który zastanawia się, czy nie popełnia aby największego głupstwa stulecia. A gdyby tak właśnie miało być, czy jest jeszcze czas na to, by uratować, co się da, przed nieuniknioną interpelacją w parlamencie?

Uściskał mi dłoń, pogratulował bez większego zresztą przekonania, no i przede wszystkim zachęcił pięciu tanatonautów z nowej ekipy. Zapytał dyskretnie Raoula o liczbę prób zakończonych niepowodzeniem i aż podskoczył, gdy ten szepnął mu tę informację na ucho.

Wrócił do mnie i wziął mnie na bok, w kąt sali.

- A może wasze boostery są zbyt toksyczne?

- Nie. Ja też tak najpierw myślałem. Problem jednak w czymś innym.

- Mianowicie?

- No więc po tylu przeprowadzonych doświadczeniach mam wrażenie, że z chwilą gdy już zapadną w śpiączkę, stają... jak by to powiedzieć, przed... wyborem. Wyruszyć czy wracać. I wszyscy wolą odejść.

Mercassier zmarszczył czoło.

- W takim razie czy nie możecie ich odzyskać siłą? Na przykład silniejszymi elektrowstrząsami? Wie pan, oni się tam za bardzo nie przejmowali, kiedy trzeba było sprowadzić z powrotem do świata żywych prezydenta Lucindera. Przyłożyli mu elektrody prosto do serca!

Zamyśliłem się. Rozmawialiśmy jak naukowcy, którzy darzą się nawzajem szacunkiem. Starłem się dobrze ważyć słowa.

- Nie jest to takie proste. Należałoby najpierw dokładnie określić moment, w którym są już wystarczająco „odjechani”, ale jeszcze nie za bardzo. To także problem timingu. W przypadku Lucindera mieli sporo szczęścia i musieli go sprowadzić dosłownie w ostatniej

chwili, kiedy wszystko było jeszcze możliwe. Ale stało się to z pewnością wyłącznie przez przypadek.

Minister próbował wykazać się inteligencją w dziedzinie, o której tak naprawdę nie miał zbyt dużego pojęcia.

- Proszę spróbować jednak podnieść napięcie, zmniejszyć dawkę narkotyku, obniżyć proporcję chlorku potasu. A może należałoby ich wybudzać nieco wcześniej?

Próbowaliśmy już wszystkiego, lecz pokiwałem głową, jakby wreszcie ktoś przekazał mi cudowną receptę. Nie chciałem jednak go oszukiwać, więc dodałem:

- Musieliby świadomie zdecydować się na powrót wtedy, gdy jeszcze jest to możliwe. Wie pan, sporo się nad tym zastanawiałem. Nie wiemy zupełnie, co skłania ich do tego, by nadal podążać drogą ku śmierci. Co im się proponuje tam, w górze? Gdybyśmy wiedzieli, jaka jest marchewka, może bylibyśmy w stanie zaproponować im coś bardziej atrakcyjnego!

- Pana tanatonauci przypominają mi marynarzy z końca szesnastego wieku, którzy woleli zostać na rajskich wyspach na Pacyfiku, z cudownymi kobietami i pachnącymi owocami, aniżeli udać się w niebezpieczną drogę powrotną do rodzinnej Europy!

To prawda, że sytuacja w wielu aspektach przypominała na przykład buntowników z „Bounty”. Nasi tanatonauci byli ludźmi wyjętymi spod prawa tak jak ówcześni marynarze i tak jak oni mieli ochotę uciec w zupełnie inne krainy.

- Jak zatrzymać zmarłego? - zastanawiał się Mercassier. - Co skłania ludzi do tego, by podejmowali walkę, a chorych, by chcieli wyzdrowieć?

- Pragnienie szczęścia - westchnąłem.

- No tak, ale co sprawia, że ktoś czuje się szczęśliwy? W jaki sposób wpłynąć na waszych ludzi, kiedy staną przed dylematem „wyruszać” czy „wracać”? Motywy działania są przecież tak bardzo różne!

Stwierdziłem już wcześniej w szpitalu, że w przypadku nieoczekiwanych wyzdrowień zasadniczą rolę odgrywa ludzka wola. Niektórzy po prostu nie zgadzają się na śmierć i udaje im się pozostać przy życiu. W jednym z artykułów naukowych poświęconych Chińczykom mieszkającym w Los Angeles przeczytałem, że liczba zgonów spada praktycznie do zera w dniu, w którym świętują nadejście Nowego Roku. Starcy i umierający tak zaprogramowali samych siebie, żeby wtedy pozostać przy życiu i cieszyć się tym właśnie dniem. Następnego dnia liczba zgonów wraca do normy.

Możliwości ludzkiego umysłu są nieskończone. Ja sam zabawiłem się w rozwijanie możliwości mojego mózgu, zaprogramowałem go mianowicie, by nakazywał mi otwieranie oczu o godzinie ósmej rano bez korzystania z budzika. Działo to za każdym razem.

Wiedziałem też, że zgromadziłem olbrzymie ilości informacji w zakamarkach mózgu i że wystarczyłoby otworzyć tylko odpowiednie szufladki, żeby mózg mógł je wykorzystać. Na pewno zostaną niebawem przeprowadzone pasjonujące badania na temat indywidualnego programowania systemu nerwowego.

W takim razie dlaczego nie można by powrócić ze stanu śpiączki dzięki samej tylko woli?

Nasz dzisiejszy tanatonauta jednak nie opowiedział się za powrotem. Przerażeni widokiem konwulsji w chwili śmierci jego czterech kompani jak jeden mąż zrezygnowali. Postanowiliśmy, że nie będziemy już liczyć na czynnik współzawodnictwa w grupie. Od tej pory nasi pionierzy będą startowali pojedynczo i wyłącznie w naszej obecności. Może jednak było już na to za późno. Nawet bowiem we Fleury-Mérogis coraz trudniej przychodziło nam znajdowanie ochotników.

59 - MITOLOGIA TYBETAŃSKA

Według Tybetańczyków buddyjski panteon zaludniony jest dziewięcioma grupami demonów:

- 1. Gnod-sbyin: strażnik świątyni. To on wywołuje wielkie epidemie.*
- 2. Bdud: demony z wyższych sfer. Mogą występować pod postacią ryb, ptaków, traw lub kamieni. Ich przywódca zamieszkuje czarny zamek wysoki na dziewięć pięt.*
- 3. Srin-po: olbrzymie demony znane z zamiłowania do pożerania ludzkich ciał.*
- 4. Klu: bóstwa piekieł pod postacią węża.*
- 5. Btsan: demony żyjące w niebie, lasach, górach i na lodowcach.*
- 6. Lha: bóstwa o białym kolorze. Życzliwe i spoczywające najczęściej na ramieniu każdego człowieka.*
- 7. Dmu: demony zła.*
- 8. Dre: posłaniec śmierci, uważany często za wywołującego śmiertelne choroby. Sprawca całego zła, które spotyka ludzi.*
- 9. Gan-dre: grupa bóstw czyniących zło.*

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

60 - FÉLIX KERBOZ

Mówiąc wprost, Félix Kerboz nie był kimś, kogo chciałoby się mieć za sąsiada. W jego wypadku można było jednak doszukać się kilku okoliczności łagodzących.

Po pierwsze, był tak zwanym niechcianym dzieckiem. Kiedy pismo zajmujące się ochroną praw konsumentów „Testujemy dla was” wykazało, że marka prezerwatyw stosowana przez jego ojca zapewniała skuteczność jedynie w 96 procentach, Félix nie mógł przecież przewidzieć, że znajdzie się w grupie pozostałych 4 procent. Jego ojciec również nie. Fakt, że już trzydzieści pięć lat temu wyszedł z domu po papierosy, świadczy dobitnie o tym, jak bardzo się zawiódł.

Wkrótce potem Suzette, jego matka, starała się usunąć ciążę, lecz jeszcze jako płód Félix uczepił się życia jak kleszcz, który wgryzł się w skórę psa. Jedynym rezultatem kolejnych podejmowanych w tym kierunku prób przy udziale „fabrykantek aniołów” było to, że twarz przyszłego noworodka uległa poważnemu zniekształceniu.

Następnie matka dwukrotnie próbowała go utopić. Pod pretekstem spłukiwania szamponu zanurzyła go w wannie pod wodą. Źle jednak wyliczyła czas i za wcześnie wydobyła jego głowę na powierzchnię. Jeszcze później popchnęła ledwie stojącego na nogach brzdąca do rzeki. Ale Félix już wtedy posiadał rzadki dar wychodzenia cało z najgorszych opresji. O włos ominął śrubę turbiny barki, która tylko pozostawiła sporą szramę na policzku, jemu zaś udało się dopłynąć do brzegu, złapał bowiem parasol, który nieporadnie wyciągała w jego stronę matka, uderzając go mocno po głowie.

Przez całe dzieciństwo Félix Kerboz zastanawiał się, dlaczego cały świat tak bardzo źle mu życzy. Czy dlatego, że jest tak odrażający? Czy dlatego, że wszyscy zazdroszczą mu, że ma tak piękną matkę?

Przez długi czas zaciskał zęby, lecz kiedy Suzette umarła, nie wytrzymał. Stwierdził, że utracił jedyną istotę, którą kochał na tej planecie. Od tej pory miał w sobie już tylko nienawiść.

Ta zaś ujawniła się po raz pierwszy w formie frontalnego ataku na opony Bogu ducha winnego samochodu, które podziurawił nożem. Nie uspokoilo go to jednak. Dołączył więc do bandy łobuzów i zajął się ściąganiem haraczu od dzieci z bogatych rodzin, które jeszcze miały żyjące matki, szczęściarze! Zabił trójkę z nich, które ociągały się z płaceniem, i dzięki temu stał się w bandzie wykonawcą najgorszych zleceń. Ale gdy w wieku osiemnastu lat jego koledzy zaczęli okazywać pewne zainteresowanie płcią piękną, Félix odmówił wzięcia udziału w gwałtach. Jego podniecało zjawienie się u jakichś mieszczuchów i wsunięcie im noża między zębra. To była forma zemsty za ukochaną matkę, która tak ciężko pracowała, żeby go wychować.

Kiedy w wieku dwudziestu pięciu lat stanął przed sądem, nie udało mu się przekonać przysięgłych o tym, jak wiele rozkoszy może przynieść wbijanie porządnego, długiego i ostro zakończonego noża w miękki brzuch bliźniego. Jego zamiłowania do pięknych ciosów zadawanych białą bronią nie dało się przekazać innym. Zgodnie z wnioskiem prokuratora został skazany na dwieście osiemdziesiąt cztery lata więzienia z możliwością skrócenia kary do dwustu pięćdziesięciu sześciu lat za dobre sprawowanie. obrońca Féliksa wyjaśnił mu, że jest to równoznaczne z karą dożywotniego więzienia, „no chyba że postęp w medycynie umożliwi wydłużenie życia poza obecną średnią wynoszącą dziewięćdziesiąt lat”.

Praca od rana do wieczora polegająca na wykonywaniu szczotek z sierści dzika nie wystarczała jednak więźniowi do pełni szczęścia. Przysiągł więc sobie, że wyjdzie legalnie z więzienia. Już teraz zresztą dobre zachowanie pozwoliło skrócić karę do dwustu pięćdziesięciu sześciu lat. W jaki sposób przyspieszyć ten proces jeszcze bardziej?

Dyrektorowi zakładu karnego nie brakowało dobrych pomysłów. W naszych czasach wszystko jest na sprzedaż. Takie właśnie jest nowoczesne społeczeństwo. A zatem Kerboz mógł po prostu „kupić” wszystkie te lata dzielące go od wolności.

- No dobrze, tylko skąd wziąć pieniądze? - zaniepokoił się nieszczęśnik.

- A kto w ogóle mówi o pieniądzach? Takie zdrowie to wspaniały wręcz kapitał dla tak dużego i mocnego chłopca jak ty!

Wtedy rozpoczęło się makabryczne odliczanie.

Żeby zdobyć trochę lat, Félix testował produkty farmaceutyczne, które jeszcze nie miały atestu i nie znano ich skutków ubocznych.

Od czasu gdy zakazano przeprowadzania doświadczeń na zwierzętach pod naciskiem ich miłośników, przemysłowcy nie mieli innej możliwości jak korzystanie z usług więźniów.

W ten sposób Félix uzyskał skrócenie kary o trzy lata dzięki przetestowaniu na sobie defibrylatora serca, co wywołało u niego arytmie i bezsenność. Pasta do zębów z nadmierną ilością fluoru zniszczyła mu wątrobę (skrócenie kary o pięć lat). Mydła zawierające nadmierne ilości detergentów pozbawiły go kawałków skóry na przegubach (kara zredukowana o kolejne trzy lata). Aspiryna o wzmocnionej aktywności wywołała wrzód (skrócenie kary o dwa lata). Wyjątkowo żrący płyn do pielęgnacji włosów sprawił, że stracił połowę włosów (kara zmniejszona o cztery lata). Félix Kerboz trzymał się jednak dzielnie i dziwił się czasami, stwierdzając, że niektóre produkty są całkowicie niegroźne!

Podczas buntów w więzieniu walczył u boku klawiszy (skrócenie kary o dwa lata). Doniósł na dilerów narkotyków, którzy działali w więzieniu (skrócenie kary o trzy lata, a dodatkową ceną była nienawiść wielu będących na głodzie współwięźniów).

- No i coś ty, Félix, taki nadgorliwy, co?

- Dajcie mi spokój. Żaden ze mnie świr ani menda. Ja mam ambicję. Chcę stąd wyleźć z podniesioną głową.

- Jasne! Rób tak dalej z tymi parszywymi chemikaliami, a wyjdiesz stąd, ale nogami do przodu.

W każdą sobotę oddawał krew (redukcja kary o tydzień w zamian za ćwierć litra krwi). W czwartek palił dziesięć paczek papierosów bez filtra w ramach badań nad szkodliwością palenia tytoniu prowadzonych przez ministerstwo zdrowia (kara skrócona o jeden dzień za każdą wypaloną paczkę). W poniedziałek i wtorek poddawany był testom deprywacyjnym. Cały dzień spędzał w wyciszonym kompletnie białym pomieszczeniu, bez ruchu i bez jedzenia. Wieczorem panowie w białych kitlach sprawdzali, w jakim stopniu próby te oddziały na jego osobowość.

Zaliczając kolejne nieszczęścia, Félix zdołał skrócić karę do stu czterdziestu ośmiu lat. Tylko jedną nerkę miał w pełni sprawną. Środek przeciwzapalny o wyjątkowo silnym działaniu spowodował, że słyszał już tylko na jedno ucho. Bezustannie mrugał z powodu soczewek kontaktowych, które były tak miękkie i tak mocno przylegały, że kiedy już je założył, nie było sposobu, by je zdjąć. Mimo to był wciąż przekonany, że któregoś dnia uda mu się wyjść na wolność.

Kiedy dyrektor więzienia powiedział mu o projekcie „Raj” i o osiemdziesięciu latach, o które mogłaby zostać skrócona kara, nie zastanawiał się nawet przez chwilę i od razu poprosił o nieco więcej informacji na ten temat. Nigdy dotąd nie zaproponowano mu tak wspaniałego prezentu.

Owszem, w więzieniu chodziły słuchy, że już setki więźniów pożegnały się z życiem w pomieszczeniu pod piwnicami, gdzie przeprowadzano eksperymenty. Félix jednak wcale się tym nie przejął. Po tym wszystkim co połknął i mimo to nie zdechł, wciąż mocno wierzył w swoją szczęśliwą gwiazdę. Innym widocznie brakowało po prostu szczęścia i tyle! Poza tym nie ma nic za darmo, więc skrócenie kary o osiemdziesiąt lat musi kosztować sporo wysiłku.

Zasiadł więc dobrowolnie na fotelu. Wypiął tors, żeby założono mu elektrody. Przycisnął do siebie chłodzące okrycie.

- Gotów?

- No, czekam na rozkazy - odpowiedział Kerboz.

- Gotów.

- Gotowa!

Żadnej modlitwy. Żadnego żegnania się ani skrzyżowanych palców. Félix zadowolili się tym, że dobrze przycisnął prymkę tytoniu, którą zawsze trzymał pod prawym policzkiem. Zresztą niczego nie zrozumiał z tych naukowych zabiegów i było mu to kompletnie obojętne, skupiał się jedynie na zachwycającej wizji skrócenia kary, którą dzięki temu mógł uzyskać. Skrócenie kary o osiemdziesiąt lat!

Tak jak mu nakazano, wolno odliczył.

- Sześć... pięć... cztery... trzy... dwa... jeden... start.

Po czym beztrąsko nacisnął włącznik.

61 - MITOLOGIA CZIPEWEJÓW

Indianie z plemienia Czipewejów, którzy żyją w Wisconsin nad Jeziorem Górnym, wierzą, że po śmierci życie toczy się dokładnie tak jak przedtem, nie ma końca i nie następuje żaden postęp ani w jednym, ani w drugim kierunku. Tak jakby powtarzał się wciąż ten sam film, bez żadnego celu, bez przestania moralnego, bez sensu.

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

62 - KARTOTEKA POLICYJNA

Informacja skierowana do właściwych służb

Raoul Razorbak wraz z ekipą naukowców przeprowadza w tej chwili doświadczenia poświęcone śmierci. Ich ofiarą padło już ponad sto osób. Czy należy natychmiast podjąć odpowiednie działania?

Odpowiedź właściwych służb

Nie. Jeszcze nie.

63 - KOLEJNA PRÓBA

Raoul, Amandine i ja zastosowaliśmy zwyczajowe procedury w zakresie wybudzania ze śpiączki. Właściwie nie bardzo już wierzyliśmy w sukces. Tylko Raoul wpatrywał się uważnie w ciało, które stało się przedmiotem, powtarzając niczym modlitwę: „Obudź się, błagam cię, obudź się”.

Podjęliśmy działania reanimacyjne, spoglądając niezbyt uważnie na elektrokardiograf i na elektroencefalograf.

- Obudź się, no obudź się! - powtarzał monotennie Raoul.

Machinalnie wykonywałem wszystkie rutynowe czynności.

Potrzebny był jednak głośny krzyk, żebym wyrwał się z letargu.

- Poruszył palcem! - krzyknął Raoul. - Cofnijcie się, cofnijcie się wszyscy! Poruszył się!

Wolałem nie robić sobie żadnych nadziei, ale cofnąłem się.

Nagle elektrokardiograf zapiszczał nieśmiało. Potem zrobił pink, pink. Wreszcie pojawiło się zdecydowane pink, pink, pink. Palec znowu się poruszył. Później poruszały się wszystkie palce.

Najpierw zobaczyliśmy, jak na fotelu poruszyła się dłoń, potem ręka, wreszcie całe ramię. Żeby tylko się nie okazało, że znowu mamy do czynienia z jakimś wariatem. Chcąc zapobiec tego rodzaju nieprzyjemnym sytuacjom, nosiłem stale przy sobie w kieszeni kauczukową pałkę.

Zadrgały mu rzęsy. Oczy się otworzyły. Usta wykrzywił grymas, który po chwili przeobraził się w uśmiech. Pink, pink, pink, mózg i serce powróciły do normalnego rytmu pracy.

Nasz królik doświadczalny nie wyglądał ani na warzywo, ani na wariata.

I do tego był cały i zdrowy. Tanatonauta powrócił bezpiecznie na tanatodrom!

- Juhuuuuuuuuuuuu! Udało się! - zawył radośnie Raoul.

Hangar wypełniały teraz okrzyki radości. Amandine, Raoul i ja ściskaliśmy się w euforii.

Rzecz jasna Raoul pierwszy się pozbierał.

- No i jak? Jak tam było? - zapytał, nachylając się nad Félixem.

Wyczekiwaliśmy w napięciu na pierwsze słowo, jakie miało paść z ust naszego

niezwykłego podróżnika. Jakiegokolwiek będzie, wejdzie zapewne do podręczników historii jako słowo wypowiedziane przez pierwszego człowieka, któremu udało się odwiedzić krainę zmarłych i powrócić z niej.

Nagle w sali zapadła całkowita cisza. Tak długo czekaliśmy na ten moment. Do tej pory za każdym razem wszystko kończyło się niepowodzeniem, a teraz właśnie ten szaleniec o wyglądzie pitekantropa był w posiadaniu odpowiedzi na pytanie, które świat zadawał sobie od zawsze.

Otworzył usta. Zaraz będzie mówił. Nie, zamknął znowu usta. A potem otworzył je, ponownie podejmując kolejną próbę wypowiedzenia czegoś. Zamrugął. Ochryłym głosem wyrzucił z siebie z trudem:

- O... kurwa.

Patrzyliśmy na niego zdziwieni. Przesunął ręką po czole.

- Uauuuuu, kurwa, ja cię!

Później przyjrzał nam się tak, jakby był zdziwiony, że poświęcamy mu aż tyle uwagi.

- No i jak będzie? Odliczą mi te osiemdziesiąt lat odsiadki?

Chętnie byśmy uściskali tego naszego pacjenta, żeby mu pogratulować, ale zrozumieliśmy, że trzeba mu dać trochę czasu, by odzyskał do końca świadomość. Raoul jednak nalegał:

- No jak było?

Mężczyzna rozcierał nadgarstki, mrugając bez przerwy.

- No... jak by to powiedzieć... Tak jakbym wylazł ze skóry. Najpierw miałem strasznego cykora. Byłem jak mała ptica. Kurde! Odleciałem poza moje ciało... Wspiąłem się wysoko, z tymi wszystkimi świeżymi umrzykami, co to przed chwilą odwalili kite. Ale niektórzy mieli mordy! Polataliśmy tak sobie ciutkę, a potem dotarliśmy do takiego wielkiego pierścienia światła. Przypominało takie płonące kółka, przez które skaczą tygrysy, tak jak w cyrku Pindera, w telewizji widziałem.

Wziął głębszy oddech. Wsłuchiwalismy się chciwie w każde z wypowiedzianych przez niego słów. Zachwycony tym, jak uważnie go słuchamy, mówił dalej:

- To było nieprawdopodobne. W samym środku coś jakby kieszonkowa lampka. Krąg z neonów ze światłem, a światło zupełnie jakby ze mną gadało. Mówiło mi, żebym się zbliżył, żebym podszedł bliżej. No to podszedłem, wlałem do tego kręgu ognia jak tygrys w cyrku. Przysunąłem się bliżej tego światła, jak do kieszonkowej latarki...

Raoul nie mógł się powstrzymać i przerwał mu:

- A więc ognisty krąg, a w środku światelko, tak?

- No. Jak tarcza. Nie wiem, czy mówiłem, ale to coś przemawiało prosto do mojego mózgu. I mówiło mi, żebym szedł dalej. No i że wszystko jest w porządku.

- Poszedł pan dalej? - włączyła się gwałtownie Amandine.

- No jasne. A wtedy zobaczyłem jakby stożek albo lejek i jakieś rzeczy, które się kręciły wokoło.

- Jakie rzeczy?

- No takie tam pierdoły! Gwiazdy, jakieś opary, fontanny, takie cudaczne, co to kręciły się, żeby zrobić ten pieprzony lejek wielki jak sto domów ustawionych jeden na drugim.

Raoul uderzył prawą pięścią we wnętrze lewej dłoni.

- Kontynent umarłych! - wykrzyknął. - On widział kontynent umarłych!

- Niech pan mówi - poprosiłem.

- No więc poszedłem jeszcze dalej, a im dalej szedłem, tym bardziej światło mnie mamiło, i to tak mocno, aż mi się zdawało, że już nie będę mógł nigdy zawrócić. Ładnie bym wyglądał, ja i to moje skrócenie kary! A światło, które rozlewało się w mojej głowie, mówiło, że to nie ma znaczenia, że wszystko tam, na dole, to tylko głupota i dziadostwo... Ha! O tak, gadkę miało niezłą. A poza tym czułem się jak w grocie Ali Baby, gdzie pełno skarbów, to znaczy nie złoto i srebro, ale pełno takich tam przyjemnych doznań. Było fajnie i ciepło, i słodko, i mięciutko. Tak jakbym odnalazł mamusię. Nie macie szklanki wody? Zaschło mi całkiem w gardle.

Amandine pobiegła po kubek wody. Wypił ją duszkiem i zaraz znowu zaczął opowiadać:

- Nie mogłem zrobić nic innego, jak tylko posuwać się dalej, kurde! A po jakimś czasie zobaczyłem coś w rodzaju przezroczystej ściany. Ale nie ściany z cegieł, bardziej tak jakby skóra na tyłku. Jak żelatyna. Nawet sobie pomyślałem, że jestem w takim półprzezroczystym odbycie. Zrozumiałem, że zaczyna być trochę niebezpiecznie. Gdybym przelazł przez ten mur, mógłbym już nigdy nie wrócić i zegnajcie, moje osiemdziesiąt latek skrócenia odsiadki. No więc nacisnąłem ostro hamulec.

A zatem ten typ rozwiązał mój problem „wyboru”. Znalazł powód, żeby pozostać przy życiu. Byłem kompletnie oszołomiony.

On zaś westchnął:

- To nie było wcale takie łatwe. Musiałem nieźle się sprężyć, żeby zawrócić z tą moją duszą. A potem po jakimś czasie pokazała się taka cienka srebrzystobiała nitka, która sprowadziła mnie w jednej chwili tutaj, i wtedy otworzyłem oczy.

Mieliśmy wrażenie, jakbyśmy to my we trójkę, Raoul, Amandine i ja, odwiedzili

siódme niebo. A więc wszystkie te ofiary nie poszły na marne. Nasze wysiłki wreszcie zaczęły przynosić owoce. Człowiek przekroczył granicę śmierci i wrócił stamtąd, żeby nam opisać, jak wyglądają zaświaty. Ale co jest dalej jeszcze, za tym świetlistym niematerialnym światem?

Po wypiciu zimnej wody Félix poprosił o kieliszek rumu. Amandine szybko się zakrzętnęła.

Byłem bardzo przejęty.

- Trzeba zwołać konferencję prasową. Ludzie muszą się dowiedzieć, że...

Raoul uspokoił mnie zdecydowanym gestem.

- Jeszcze za wcześnie - powiedział. - Na razie nasz projekt musi pozostać taki, jaki jest, to znaczy tajne łamane przez poufne.

64 - LUCINDER

Prezydent Lucinder głąskał po karku psa Wercyngetoryksa. Był zachwycony.

- A więc udało im się, Mercassier?

- Tak. Widziałem na własne oczy kasetę wideo z zapisem stanu i powrotu tego... tanatonaudy.

- Tanatonaudy?

- Takie słowo wymyślili, żeby nazwać te króliki doświadczalne. A po grecku oznacza ono tyle co „podróżnik po krainie śmierci” czy coś takiego.

Prezydent przymrużył oczy i uśmiechnął się.

- Bardzo ładne, bardzo poetyckie. W każdym razie podoba mi się ta nazwa. Może trochę za bardzo techniczna, to prawda, ale nieco powagi z pewnością nie zaszkodzi naszemu doświadczeniu.

Lucinder był wniebowzięty. Jakakolwiek nazwa wprawiłaby go zresztą w zachwyt: truchłofile, śmierciopiloci, eksploratorzy rajów... Radość go po prostu rozpierała.

Mercassier starał się jednak zwrócić na siebie uwagę. W końcu to on zorganizował ten projekt i poczucie dumy z odniesionego sukcesu było czymś jak najbardziej uzasadnionym. Pozostając wciąż wierny linii działania, jaką wytyczyła żona, postanowił zaryzykować.

- No cóż, oni są w zasadzie jak pionierzy, którzy eksplorują Nową Australię.

- Właśnie tak, Mercassier. Wreszcie zrozumiał pan, o co mi chodzi.

Minister będzie się starał zdyskontować to odkrycie, lecz to o nim, o prezydencie

wizjonerze, będą pisać w podręcznikach do historii. Lucinder pomyślał, że właściwie już stał się nieśmiertelny. Będzie miał swój pomnik na jakimś skwerze, ulice będą nazywane jego imieniem... Podjął wielkie ryzyko. I zapłacił za to wysoką cenę: dziesiątki trupów, podobno około setki, z tego co mówiono... Ale udało się! Mercassier przerwał jednak te marzenia o sławie:

- A co teraz robimy, panie prezydencie?

65 - PODRĘCZNIK DO HISTORII

Już wyniki pierwszych startów tanatonautów przeszły najśmielsze oczekiwania. Pierwszy ochotnik, Félix Kerboz, wystartował i bez problemu wylądował. Pionierzy zdziwili się, że tak szybko udało im się osiągnąć sukces.

Podręcznik szkolny, kurs podstawowy, 2. rok

66 - MITOLOGIA CELTÓW

Według mitologii celtyckiej zaświaty są tajemniczym obszarem, w którym nieznane są ani śmierć, ani praca, ani zima. Krainę tę zamieszkują bogowie, duchy i wiecznie młodzi ludzie. Walijczycy nazywają ten kraj ANNWN. Tam znajduje się kocioł zmartwychwstania i kocioł obfitości. W kotle zmartwychwstania wskrzeszeni zostają zabici wojownicy, a kocioł obfitości dostarcza substancji, która czyni wiecznymi tych, którzy żywią się tą strawą.

Dla Walijczyków i Irlandczyków ANNWN - zaświaty - jest tak samo realny jak świat materialny. Wystarczy więc kilka magicznych zaklęć, żeby przejść z jednego świata do drugiego.

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

67 - PO ŚWIĘTOWANIU SUKCESU

- Chciałabym być Féliksem.

Amandine, zazwyczaj bardzo powściągliwa, tym razem nie kryła podniecenia. Towarzyszyłem jej tak jak po każdym seansie. Tego wieczoru byliśmy leciutko wstawieni. Na tanatodromie, z braku czegoś innego, mogliśmy oblać nasz tajemny triumf tylko musującym winem. Ale plastikowe kubki i tak poszły w ruch.

- Co za wspaniałe chwile przeżyliśmy! Jakże chciałabym być tym pierwszym człowiekiem, pierwszym tanatonautą, który postawił stopę na niezwykłym lądzie i stamtąd powrócić! O tak, bardzo chciałabym być Féliksem!

Staralem się sprowadzić ją mimo wszystko na ziemię.

- To nie takie proste. Trzeba mieć silną motywację. Zresztą słyszała pani, że jego także pociągało światło. Wahał się, czy wracać. Udało mu się tylko dlatego, że założył sobie nade wszystko, że uda mu się uzyskać skrócenie kary na ziemskim padole.

Przyspieszyłem. Za oknami w mroku przemykały ponure przedmieścia. Rzuciłem okiem w stronę Amandine, która mimo wstrząsów pudrowała sobie starannie nos.

Poznawałem ją coraz lepiej. Raoul opowiedział mi o niej. Ta piękna kobieta była też bardzo sumienną pielęgniarką. Może nawet zbyt sumienną. Nie znosiła widoku umierających w szpitalu pacjentów, których powierzono jej opiece. Już w szkole nie znosiła złych ocen. W szpitalu każdy zgon był dla niej jak pała z wykrzyknikiem. Kiedy chory umierał na stole operacyjnym, czuła się za to odpowiedzialna.

Koledzy powtarzali wprawdzie, że to nie jej wina, ale i tak nie mogła się z tym pogodzić. Była przekonana, że każda śmierć po raz kolejny świadczy o jej niekompetencji.

Amandine wyobrażała sobie, że ludzie umierają z braku miłości. Dla niej nawet osoba będąca w fazie terminalnej, cierpiącą na raka z przerzutami, sama dokonała wyboru. A taki wybór oznaczał, że otoczenie nie potrafiło jej przekonać do tego, iż należy cenić życie. Dlatego też starała się kochać jeszcze mocniej każdego ze swoich pacjentów. A ponieważ mimo wszystko pacjenci umierali, wyrzucała sobie, że nie potrafiła przekazać im wystarczająco dużo uczucia.

Nie warto chyba nawet wspominać o tym, że w takich okolicznościach Amandine Ballus lepiej by uczyniła, gdyby zmieniła zawód. Tak jak w wypadku Raoula jednak kolejne niepowodzenia pobudzały ją tylko do tego, by zaczynać od nowa, dążąc albo do perfekcji, albo do autodestrukcji. Kiedy przypadkowo znalazła ogłoszenie, w którym była mowa o projekcie związanym z towarzyszeniem osobom umierającym i gdzie potrzebna była pielęgniarka z silną motywacją, natychmiast na nie odpowiedziała. Gdy tylko Raoul Razorbak opowiedział jej o projekcie „Raj”, od razu postanowiła się poświęcić temu przedsięwzięciu ciałem i duszą i dopomóc w powracaniu zmarłych do świata żywych.

I chociaż może się to wydawać zaskakujące, fakt, że ofiary projektu były na początku tak liczne, wcale jej nie przeszkadzał. Amandine stosowała przedziwną logikę: godziła się zabić kilka osób pod rząd w nadziei, że uda jej się w jakiejś bliżej nieokreślonej przyszłości uratować wiele innych ludzkich istnień.

- Chciałabym być Féliksem - powtarzała. - Jest taki odważny. Jest nawet piękny.

Skrzywiłem się. Bez przesady. Odważny może i tak, ale żeby od razu ten pitekantrop miał być piękny?

- Musiał przejść ciężką próbę tam, w górze.

To ona była piękna, kiedy mówiła o Féliksie.

- No i co teraz robimy? - zapytałem, żeby zmienić temat.

- Zwiększymy liczbę odlotów. Raoul już przekazał dobrą nowinę ministrowi Mercassierowi. Prezydent pragnie pogratulować nam osobiście. Już skontaktował się z dyrektorem zakładu karnego, aby ten wyselekcjonował około setki nowych tanatonautów.

Była tak rozanielona, jakby chodziło o zorganizowanie jakiejś fajnej imprezy.

- Wygraliśmy - szepnęła, tłumiąc rozpierającą ją radość.

68 - KARTOTEKA POLICYJNA

Wniosek o udostępnienie podstawowych danych osobowych

Nazwisko: Kerboz

Imię: Félix

Włosy: blond i rzadkie

Wzrost: 195 cm

Znaki szczególne: wysoki, twarz pokryta bliznami

Uwagi: pierwszy tanatonauta, który powrócił do świata żywych

Słabe punkty: niski iloraz inteligencji

69 - PRZEGLĄD PRASY

SKANDAL: PREZYDENT LUCINDER POŚWIĘCA
ŻYCIE POSPOLITYCH PRZESTĘPCÓW

DLA CELÓW RZEKOMO NAUKOWYCH

Musieliśmy przeprowadzić szeroko zakrojone dochodzenie, żeby się przekonać, iż prezydent Lucinder jest ni mniej, ni więcej tylko jednym z największych przestępców naszych czasów. Bardziej jeszcze zepsuty niż Landru czy Petiot, prezydent Lucinder, przywódca naszego państwa, wybrany większością głosów Francuzów, zamordował z zimną krwią ludzi, których nawet nie znał.

Jego ofiarami są więźniowie, pospolici przestępcy, którzy oczekiwali jedynie, że w spokoju odbędą karę. Pretekstem, jakim się posłużył, a raczej motywem jego działania jest zbadanie, czym jest śmierć! Gdyż prezydent Republiki znalazł sobie dosyć szczególne hobby: nie jest nim gra w golfa, przyrządzanie dań na maśle ani też numizmatyka, lecz śmierć!

Wraz z kilkoma współpracownikami, których udało mu się pozyskać - z ministrem nauki Mercassierem, profesorem Raulem Razorbakiem, szalonym biologiem, doktorem Michaeliem Pinsonem, mocno podejrzanym lekarzem anesteziologiem, Amandine Ballus, pielęgniarką, która za wszelką cenę pragnie zrobić karierę - pan prezydent zabijał bez skrępowań.

Szacuje się, że stu dwudziestu trzech więźniów poniosło śmierć w wyniku jakże troskliwej opieki ze strony tego „komanda zaprogramowanej śmierci”, wyłącznie zresztą po to, żeby zaspokoić niezdrową ciekawość despotycznego przywódcy naszego państwa.

Można by sądzić, że wróciliśmy do barbarzyńskich czasów, gdy rzymscy cesarze decydowali o życiu lub śmierci bezbronnych niewolników. Niektórzy zabijali po kolei wybranych losowo ludzi po to tylko, żeby sprawdzić, czy zmartwychwstaną, gdy okryje się ich całunem Jezusa Chrystusa.

Niemniej w naszych czasach nie ma już imperatorów (nawet jeśli Lucinder uważa się czasami za cezara!), nie ma również niewolników. Tak przynajmniej sądziliśmy do dzisiaj. Byliśmy przekonani, że władzę nad nami sprawuje demokratycznie wybrany przez współobywateli prezydent. Prezydent, którego nadrzędnym zadaniem winna być troska o zdrowie tych, którymi zarządza, nie zaś pozbawianie ich życia!

Gdy tylko dyrektor więzienia Fleury-Mérogis, wstrząśnięty widokiem trupów, które każdego dnia zrzucane były na stos w piwnicach zakładu karnego, ujawnił przerażającą prawdę reporterom naszego dziennika, na co uzyskaliśmy zresztą wyłączność, opozycja złożyła wniosek o pozbawienie prezydenta immunitetu. Parlament w trybie nagłym powołał specjalną komisję śledczą, której zadaniem będzie sprawdzenie faktów.

Większość zapytanych przez nas ministrów odmawia przyjęcia ich do wiadomości,

lecz niektórzy już dzisiaj zapowiadają, że jeżeli komisja przedstawi dowody na to, że popełniono seryjne morderstwa, natychmiast podadzą się do dymisji.

Ze swojej strony minister Mercassier postanowił nie czekać na wyniki prowadzonego dochodzenia i uciekł do Australii razem z żoną, by w ten sposób uniknąć stawania przed sądem.

70 - SPOTKANIE Z MOTŁOCHEM

Po euforii pojawiło się rozgoryczenie. Sukces Kerboza wyniósł nas na szczyty, a teraz obrzucano nas wyzwiskami i zostaliśmy okryci hańbą.

Dyrektorowi więzienia Fleury-Mérogis udało się osiągnąć zamierzony efekt. Z każdym dniem sprawa nabierała coraz większego rozgłosu. Gazety prześcigały się w napastliwych atakach. Dziennikarze sugerowali, byśmy sami poddani zostali doświadczeniom, które przeprowadzaliśmy na innych. Sondaże wskazywały, że 78 procent społeczeństwa opowiada się za tym, by jak najszybciej nas unieszkodliwić, wsadzając za grube kraty.

Prokurator wszczął dochodzenie. Wzywał nas wszystkich po kolei. Obiecywał mi łagodniejsze traktowanie, gdybym złożył zeznania obciążające moich współników. Przypuszczam, że w taki sam sposób postąpił w stosunku do pozostałych. Nie mając jednak pewności, wolałem zachować całkowite milczenie.

Prokurator zarządził rewizję, a policjanci przeczesali moje mieszkanie, zrywając podłogę klepka po klepce, tak jakbym pod spodem mógł schować jakieś trupy!

Wspólnota mieszkańców dała mi jasno do zrozumienia, że powinienem się wynieść najdalej przed końcem kwartału. Gospodyni domu wytłumaczyła mi, że moja obecność w budynku sprawia, że spada cena za metr kwadratowy.

Wychodziłem z domu z duszą na ramieniu. Na ulicy dzieciarnia biegła za mną, krzycząc na całe gardło: „Rzeźnik z Fleury-Mérogis, rzeźnik z Fleury-Mérogis!”. Żeby jakoś znieść tę sytuację, spotykaliśmy się regularnie z Amandine u Raoula. On zdawał się podchodzić do tego z pewną nonszalancją, twierdząc, że te przejściowe kłopoty nie mogą powstrzymać biegu historii.

A w jego wypadku nie było wcale łatwo zachować spokój. Pozbawiono go stanowiska pracownika naukowego w Krajowym Centrum Badań Naukowych. Pod jego renault 20 z otwieranym dachem podłożono bombę, a do zamachu przyznał się „Komitet więźniów,

którym udało się przeżyć", organizacja do tej pory zupełnie nieznana. Na drzwiach jego domu wypisano wielkimi czerwonymi literami: „Tu mieszka morderca 123 niewinnych ludzi”.

Kiedy tak staraliśmy się podreperować nawzajem swoje morale, wspominając wyczyn Kerboza, jakiś człowiek w kapeluszu wciśniętym głęboko na uszy zadzwonił do drzwi. Był to prezydent Lucinder we własnej osobie. Widziałem go po raz pierwszy. Po krótkich prezentacjach przekazał nam ostatnie informacje w naszej sprawie. To co mówił, nie było zbyt pocieszające. Stał za stołem, oparł się o blat, jakby był na jakimś mityngu, i powiedział:

- Drodzy przyjaciele, musimy się przygotować, by stawić czoło burzy. To co przeżyliśmy do tej pory, jest niczym wobec tego, co nas czeka. Przyjaciele i wrogowie polityczni połączyli swe siły, by się ze mną rozprawić. Oczywiście zupełnie obojętny jest im los kilku więźniów wyekspediowanych na łono Abrahama, ale wielu chciałoby zająć miejsce króla. Nie dowierzam zwłaszcza przyjaciom, gdyż ci wiedzą, w jaki sposób można mnie zniszczyć. Żałuję, że wciągnąłem was w całą tę aferę, ale przecież wiedzieliśmy wszyscy, jak wielkie ryzyko podejmujemy. Żeby chociaż ten niewdzięcznik Mercassier i ten imbecyl dyrektor Fleury-Mérogis nas nie zdradzili!

Najwyraźniej prezydent poddał się. Byłem na skraju paniki. Raoul, niewzruszony, nawet nie mrugnął okiem, kiedy okno salonu rozbiła kostka brukowa.

Nalał nam whisky.

- Wszyscy jesteście w błędzie. Nigdy jeszcze okoliczności nie były dla nas równie sprzyjające - oświadczył. - Gdyby nie te nieprzewidziane przecieki, wciąż byśmy musieli majsterkować w podziemiach więzienia. Od tej pory będziemy działać w pełnym świetle. Panie prezydencie, cały świat schyli czoło przed pana odwagą i geniuszem.

Lucinder wydawał się sceptyczny.

- Skądże znowu, to nie moja zasługa. Nie warto mi tak schlebiać.

- Ależ tak - upierał się mój przyjaciel. - Michael miał rację, kiedy mówił, że o naszych wynikach trzeba jak najszybciej poinformować prasę. Félix jest bohaterem. Zasługuje na sławę i uznanie.

Prezydent nie bardzo wiedział, do czego zmierza Razorbak. Ja od razu się zorientowałem i rzuciłem:

- Trzeba zaatakować, zamiast ograniczać się do obrony. Wszyscy razem przeciwko imbecyloom!

Na początku mieliśmy wrażenie, że jesteśmy grupą spiskowców, którzy w każdej chwili mogą znaleźć się w potrzasku. A potem popatrzyliśmy na siebie. Owszem, nie było nas

zbyt wielu, ale pokazaliśmy charakter. Nie byliśmy wyjątkowo uzdolnieni, a jednak próbowaliśmy razem zmienić świat. Nie wolno nam rezygnować. Amandine, Raoul, Félix, Lucinder. Nigdy wcześniej nie czułem tak silnej więzi z innymi ludźmi.

71 - MITOLOGIA GRECKA

Uznany za martwego na placu boju Er z Pamfilii znalazł się w pomieszczeniu, w którym były cztery otwory: dwa prowadzące do nieba i dwa na ziemię. Cnotliwe dusze szły do nieba. Występne pozostawały na ziemi. Dusze zbrodniarzy przechodziły przez jedną szczelinę, a przez drugą unosiły się te pokryte brudem i kurzem.

Er zobaczył, jaka kara spotkała niesprawiedliwych. Dotarł do miejsca niezwykłego, gdzie wznosi się kolumna, która jest osią świata. Wraz z innymi duszami udał się do Doliny Zapomnienia, gdzie płynie Rzeka Beztroski.

Rozległy się grzmoty, a Er odzyskał życie, leżąc już na stosie, ku wielkiemu zdziwieniu ludzi tam zebranych. Opowiedział o tym, jak widział krainę umarłych i jak powrócił stamtąd żywy. Nikt w jego opowieść nie uwierzył i z pogardą odwrócono się doń plecami.

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

72 - CAŁA NAPRZÓD

Skandal zaczynał przybierać zupełnie niewiarygodne rozmiary. Zdjęcia tego, co nazywano „laboratorium zaprogramowanej śmierci”, widniały na pierwszych stronach wszystkich gazet. W ostrym świetle lamp błyskowych pomieszczenie wyglądało jak sala tortur.

Nieprzychylni dziennikarze dorzucili nawet na pierwszym planie zakrwawione skalpele i szczypce pokryte zaschniętymi włosami.

Potem nastąpiło odkrycie „prezydenckiego zbiorowego grobu”. A w rzeczywistości chodziło o krematorium w zakładzie karnym Fleury-Mérogis. Ponieważ nie było już śladu po ciałach naszych nieszczęsnych tanatonautów, dziennikarze zrobili fotomontaż, umieszczając na zdjęciu pomalowane na czerwono manekiny.

Fotografie były specjalnie niewyraźne, żeby uzyskać jeszcze bardziej dramatyczny i realistyczny efekt. Tak jakby zdjęcia zostały wykonane przez kogoś, kto szpiegował nas

podczas pracy. Jednemu z reporterów udało się nawet sfotografować prawdziwego samobójcę z Fleury-Mérogis. A facet się powiesił zaraz po tym, jak nam zakazano wstępu na tanatodrom. Ale niczego to nie zmieniło. Jego nabrzmiała twarz, wysunięty język i wybałuszone oczy natychmiast ukazały się na okładkach wszystkich czasopism. „A jednak się odważyli!” - taki podpis widniał pod zdjęciem tego nieszczęśnika, z którym nigdy wcześniej się nie widzieliśmy. A tuż nad zdjęciem umieszczono nasze portrety, to znaczy portrety morderców. Złożyliśmy wprawdzie pozew o zniesławienie, lecz nic to zupełnie nie dało.

Niczym szczury uciekające z okrętu ministrowie jeden po drugim podawali się do dymisji. Powołano rząd kryzysowy. Prezydent Lucinder został pozbawiony stanowiska głowy państwa do chwili wyjaśnienia wszystkich wątpliwości.

Z Australii Mercassier oskarżał Lucindera, że zmusił go do podjęcia działań, nie licząc się z jego sprzeciwem. Ale w żadnym momencie nie wspomniał o naszym eksperymencie, który zakończył się powodzeniem.

Lucinder starał się nie reagować na kolejne ataki. Zadowolił się jednym wystąpieniem w telewizji w popularnym programie, w którym stwierdził tylko, że wszyscy pionierzy byli w swoich czasach odsądzeni od czci i wiary. Mówił o niewyobrażalnym wręcz postępie, o podboju innego świata, o niezbadanym kontynencie.

Dziennikarka, która przeprowadzała z nim rozmowę, była niewzruszona jak kamień. Przypomniała, że nawet więźniowie, pospolici przestępcy są przecież ludźmi, a nie królikami doświadczalnymi i że pan prezydent złamał prawo, zezwalając na eksperymenty, które prowadzą do śmierci.

Jean Lucinder zignorował te uwagi. W charakterze podsumowania spojrzął w kamerę i obwieścił prosto z mostu:

- Drodzy widzowie, drodzy rodacy, tak, przyznaję, zabijaliśmy w imię wiedzy po to, żeby wykroczyć poza kondycję ludzką. I udało nam się! Jeden z naszych ochotników wyruszył w zaświaty i wrócił stamtąd bez szwanku. Nazywa się Félix Kerboz. Jest niczym pilot, podróżnik po krainie śmierci. Nazwaliśmy go tanatonautą. Jesteśmy gotowi wykonać z nim ten eksperyment raz jeszcze na oczach kamer. Jeżeli się nie uda, poddam się waszemu osądowi i zrozumieć, gdy wyrok będzie dla mnie ciężki. Jutro, tak, już jutro, proponuję podjąć wraz z moją ekipą kolejną próbę startu w zaświaty. Wszystkie stacje telewizyjne z kraju i ze świata mogą być obecne, a eksperyment przeprowadzony zostanie w Pałacu Kongresowym o godzinie szesnastej.

73 - MITOLOGIA INDIAN Z AMAZONII

Niegdyś ludzie nie umierali.

Któregoś dnia jednak pewna dziewczyna spotkała boga Starości. Zamienił się z nią, oddając jej swoją starą pomarszczoną skórę, biorąc w zamian jej skórę, delikatną i gładką. Od tej pory ludzie starzeją się i umierają.

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

74 - GRA O WSZYSTKO

Godzina 16. 00. Pałac Kongresowy w Paryżu wypełniony był po brzegi ludźmi. Widzowie wymieniali się gazetami, komentując najnowsze obciążające relacje niestrudzonego Mercassiera i nieprzejednanego dyrektora Fleury-Mérogis, który przy tej okazji stopniowo stawał się medialną gwiazdą.

W pierwszym rzędzie zasiedli dwaj deputowani, którzy nie kryli się ze swoimi poglądami:

- Biedny Lucinder jest już skończony. Chciał poznać krainę zmarłych i udało mu się! Bo tak czy inaczej jego polityczna śmierć stała się faktem.

- Ale mimo wszystko - odparł ten drugi z wyrazem powątpiewania na twarzy - cała ta szopka... Na pewno zostawił sobie jakieś okruszki. Szczwany przecież z niego lis.

- Co też pan mówi! To łabędzi śpiew. Ma poparcie zaledwie pół procent opinii publicznej! Zresztą to normalne. Z pewnością bowiem w całym społeczeństwie jest pół procent nienormalnych, którzy wierzą w zjawiska nadprzyrodzone i w NDE.

Obaj wzruszyli ramionami.

Młoda śliczna rudowłosa dziennikarka w jaskrawym świetle reflektorów mówiła teraz, patrząc prosto w kamerę:

- Ośmiu ekspertów, naukowców, jest obecnych na sali, żeby czuwać nad prawidłowym przebiegiem całego eksperymentu i uniknąć jakichkolwiek fałszerstw. Niektórzy specjaliści wyrazili obawę, że prezydent Lucinder wykorzystuje dwóch braci bliźniaków, zabijając jednego z nich i rzekomo wskrzeszając drugiego. Jest to znany od bardzo dawna numer pokazywany przez prestidigitatorów. W obecności jednak tylu widzów i tylu kamer

skierowanych na scenę tego rodzaju sztuczka nie będzie możliwa. Nie bardzo można sobie wyobrazić, żeby przywódca państwa, który i tak jest już mocno krytykowany przez opinię publiczną, odważył się na taką próbę!

W oczekiwaniu na rozpoczęcie „spektaklu” potworzyły się małe grupki. Dyskutowano i zadawano sobie nawzajem pytania:

- Czytali państwo artykuł w dzisiejszym „Le Matin”? Jakiś naukowiec wyjaśnia bardzo prosto, dlaczego po śmierci niemożliwy jest powrót do świata żywych. „Gdy do mózgu przestaje docierać krew, mózg obumiera. Kiedy komórka nerwowa umiera, traci swoje cechy fizjologiczne, a zatem również zdolność tworzenia wyobrażeń i zapamiętywania”.

A te opowieści o pojawiającym się w nadmiarze płynie wydzielanym przez gruczoł dokrewny, który miałby wywoływać halucynację podróży... Wierzycie w to?

Rozległy się śmiechy.

- Nie bardzo rozumiem, dlaczego ciało w agonii miałoby wykorzystywać ostatnie dawki energii na tworzenie obrazów! - wykrzyknął ktoś.

Dwaj deputowani z pierwszego rzędu usadowili się wygodniej w fotelach.

- Lucinder chciał wejść do Historii przez duże H - powiedział jeden z nich. - Nie musi się już o to martwić, bo teraz na pewno do niej wejdzie. I do tego przez główną bramę! Sto dwadzieścia trzy morderstwa na sumieniu, cóż, nie co dzień głowa państwa może się czymś takim pochwalić.

- No i ładny proces w perspektywie!

Światła rampy zapaliły się. Na scenie ustawiono fotel dentystyczny. Widać też było całą masę kabli elektrycznych podłączonych do monitorów, które mrugały niczym oślepienie światłem oczy.

Wydarzenie miało być transmitowane na żywo do około sześćdziesięciu krajów. Prezydent Republiki, który na żywo wystawia się na pośmiewisko - taki spektakl nie mógł być gorszy od rockowego koncertu albo meczu piłki nożnej!

Panowie z obsługi technicznej ustawili osiem krzeseł wokół fotela dentystycznego. Na nich miało zasiąść ośmiu ekspertów wyznaczonych przez parlamentarną komisję śledczą. Czterech lekarzy, trzech biologów i jeden prestidigitator.

Gdy weszli na scenę, rozległy się burzliwe oklaski. Widzowie byli w euforii. Powitano zramolałych staruszków z Akademii niczym matadorów, którzy wkroczyli razem na arenę, żeby stoczyć walkę z potężnym przebiegłym bykiem. Byli trochę stremowani. Nigdy dotąd nie zaznali takiej popularności w życiu zawodowym. Niektórzy z nich nawet wyciągnęli ręce do tłumu. Gdyby tylko mogli obiecać widzom odcięte ucho i ogon prezydenta, z pewnością

by sobie tego nie odmówili. Zamiast banderilli wyciągnęli długopisy i zaczęli zapisywać w sztywnych karnecikach różne uwagi i komentarze na temat ustawionych na scenie urządzeń.

Słynny prezenter telewizyjny o wypomadowanych włosach wybiegł teraz na estradę w towarzystwie operatora kamery i technika dźwięku. Po kilku próbach głosu i obrazu w kamerze zapaliło się czerwone światełko.

- Witamy państwa bardzo gorąco i dziękujemy za to, że zdecydowali się państwo oglądać RTV1, telewizję, która pokazuje więcej niż inne stacje. Tutaj, w sali Pałacu Kongresowego, panuje euforyczny nastrój. Prezydent Lucinder ryzykuje całą swoją karierę i stawia wszystko na jedną niesamowitą kartę: chce udowodnić całemu światu, że jest możliwe zwiedzenie zaświatów tak, jakby chodziło o odległy kontynent. Wśród publiczności emocje sięgają zenitu. Czy będziemy jedynie bezsilnymi świadkami kolejnego samobójstwa, które dokona się bezpośrednio na naszych oczach? Czy też przeciwnie, będzie to eksperyment stulecia? Napięcie jest ogromne...

75 - MITOLOGIA GRENLANDII

Dla mieszkańców Grenlandii raj usytuowany jest w głębinach Oceanu. Świeci tam wieczne północne słońce. Ci, którym żyło się ciężko na ziemi, teraz będą mogli wreszcie odpocząć i skorzystać z owoców swojego trudu. Tam bowiem znajduje się królestwo obfitości, gdzie nie brakuje ani psów, ani reniferów, ani ryb, ani niedźwiedzi. A foki czekają już upieczone i gotowe do zjedzenia.

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

76 - RODZINA

Najpierw zadzwoniła do mnie matka:

- Synu, nie idź tam, proszę!

Conrad natomiast doradzał mi, żebym czym prędzej uciekł do Argentyny.

Wszyscy ci konformiści, którzy rzekomo chcieli mojego dobra, wywoływali we mnie odrazę i wzmacniali pragnienie, aby brnąć dalej.

Zapewniałem ich, że nie ma mowy, bym zostawił przyjaciół w potrzebie. Wiedziałem

przecież, że i ja w pewnym stopniu ponoszę odpowiedzialność za to, co się teraz dzieje. I że muszę ponieść tego konsekwencje.

- No dobrze, skoro idziesz, to i ja tam pójdę - powiedziała matka. - Zawsze będę broniła moich synów, choćby pazurami, cokolwiek by się miało stać!

Jak powiedziała, tak zrobiła. Gdy namierzył ją pewien dziennikarz ze stacji RTV1, który starał się jakoś wypełnić czas antenowy w oczekiwaniu na najważniejszy moment wieczoru, moją rodzicielka na żywo, przed milionami widzów, wylała wszystko, co jej leżało na sercu.

- Otóż widzi pan, Michael zawsze był zbyt uprzejmy i zawsze chętnie wszystkim pomagał. Owszem, ma drobne wady, ale nie jest przecież kryminalistą. A jeśli sam prezydent dał się wciągnąć w tę historię przez jakichś nawiedzonych, dlaczego mój syn nie miałby tak postąpić? Mój syn wplątał się w tę historię przez to, że jest samotny. Kiedy jest się samotnym, w końcu coś się robi z głową! Gdyby tylko mnie posłuchał, gdyby się ożenił, na pewno nie byłibyśmy w takiej sytuacji jak dzisiaj! Mój mały Michael nigdy nie miał zbyt silnej woli. Zawsze ulegał tym, którzy potrafią mówić głośno i dobitnie. Jak choćby ten Razorbak. - Po chwili dodała nieco ciszej: - Aha, proszę mi powiedzieć, bo mam jedno pytanie do pana. Czy będę mogła wysyłać mu paczki, kiedy będzie siedział w więzieniu?

Dziennikarz z włosami na żelu przyznał, że zupełnie nie wie, jak się załatwia tego typu sprawy, i uprzejmie podziękował mojej matce za rozmowę.

77 - MITOLOGIA BIBLIJNA

Według Biblii życie Adama sprowadza się do dwunastu etapów:

„W pierwszej godzinie zgromadził się pył ziemi.

W drugiej godzinie pył ziemi przeobraził się w bezkształtną masę.

W trzeciej godzinie ukształtował członki Adama.

W czwartej godzinie Pan Bóg tchnął w niego duszę.

W piątej godzinie stanął prosto.

W szóstej godzinie umiał nazwać to, co go otaczało.

W siódmej godzinie Pan Bóg dał mu Ewę za towarzyszkę.

W ósmej godzinie we dwoje weszli do łoża i w czwórkę z niego zeszedli.

W dziewiątej godzinie otrzymał rozkaz, by nie kosztować zakazanego owocu.

*W dziesiątej godzinie popełnił grzech.
W jedenastej godzinie został osądzony.
W dwunastej godzinie pan Bóg wygnał go z rajskiego ogrodu".*

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

78 - BYĆ ALBO NIE BYĆ

Wchodząc jako pierwszy na arenę - to znaczy: na scenę - czułem się zdecydowanie nieswojo. Eksperci z komitetu odmówili uścisku dłoni, a czułem, że idąca za mną Amandine jest sparaliżowana ze strachu.

Publiczność zaczęła wyć i gwizdać.

Jakiś mężczyzna w bluzie i czapeczce na głowie wysunął się do przodu.

- Ty kanalio! Zabiłeś mi syna!

Chcąc być słyszany jak najlepiej, uczepliłem się mikrofonu.

- Nikogo nie zamordowaliśmy! - wydarłem się na całe gardło. - Nikogo. Wszyscy więźniowie, którzy uczestniczyli w projekcie „Raj”, zgłosili się do nas na ochotnika. Wiedzieli, jakie ryzyko niesie eksperyment, i każdy własnoręcznie naciskał guzik, który włączał procedurę odlotu.

- Odlotu? Śmierci, to i owszem! Kto by chciał być ochotnikiem, żeby umrzeć? Jest tutaj może jakiś ochotnik? - krzyknął ktoś z sali.

- Śmierć mordercom w białych kitlach! Śmierć mordercom w białych kitlach! - skandowali rozwścieczeni widzowie.

Gwizdy przybrały jeszcze bardziej na sile, kiedy do mikrofonu podszedł prezydent Lucinder. Poleciały na niego pomidory. Do kordonu policji stojącego przed sceną dołączyły teraz wezwane w pośpiechu posiłki.

Wznosząc ręce do góry, prezydent próbował uspokoić zebranych. Długa praktyka związana z udziałem w niejednokrotnie zakłócanych politycznych wiecach nauczyła go, jak zapanować nad niespokojnym tłumem.

- Panie i panowie, drodzy przyjaciele - powiedział - proszę o spokój! Eksperyment, który będziemy chcieli przeprowadzić na waszych oczach, już wcześniej zakończył się sukcesem, ale nie było przy tym oficjalnego eksperta, który mógłby to poświadczyć. Dzisiaj poddaję się osądowi narodu, a nawet całej planety. Jeśli człowiek, którego w waszej

obecności wyślemy w zaświaty, stamtąd już nie wróci, zobowiązuję się, że stanę przed właściwym sądem, by odpowiedzieć za moje błędy.

Rozległo się jeszcze kilka przekleństw, lecz w bardzo krótkim czasie przytłaczająca cisza zastąpiła wrzawę. Félix Kerboz pojawił się na scenie. Światła natychmiast skierowały się na niego i na znakomicie skrojony garnitur, który był teraz jego nowym skafandrem tanatonaury. Twarz bandyty kontrastowała mocno z eleganckim strojem. Stał między dwoma żandarmami. Jednakże po niespokojnej twarzy Féliksa zorientowałem się, że coś nie gra.

Nadbiegł prezenter telewizyjny.

- A oto przed państwem Félix Kerboz, jedyny człowiek, któremu według prezydenta Lucindera udało się dokonać rzeczy niemożliwej: przekroczyć granicę między światem żywych i umarłych i powrócić z zaświatów. Teraz po raz drugi spróbuje dokonać tego wyczynu przed kamerami stacji telewizyjnych z całego świata, a państwo w kraju zobaczą to dzięki wyłączności naszej stacji RTV1, telewizji, która pokazuje więcej niż inne stacje!

Nasza ekipa wymieniła między sobą zatroskane spojrzenia. Wszyscy znaleźliśmy już na tyle dobrze Féliksa, żeby dostrzec jego niepokój. Czyżby onieśmiał go zgromadzony tłum?

Prezydent klepnął go mocno po ramieniu.

- Jak tam forma?

Grymas jeszcze bardziej wykrzywił twarz Féliksa. Widzowie, którzy dopiero teraz zaczęli oglądać program, zastanawiali się, czy przez pomyłkę nie włączyli przypadkiem horroru.

- Więc tego... no... mogłoby być lepiej - mruknął nasz tanatonaury.

- A co, trema?

- Gdzie tam... nie o to chodzi - zaskomlał Félix. - Mam wrośnięty paznokieć, strasznie mnie to boli i cholerny świat, nie zmrużyłem oka przez całą noc.

Lucinder aż podskoczył.

- Wrośnięty paznokieć? Trzeba było powiedzieć o tym wcześniej! - Miał ochotę go objechać, lecz moment nie był mimo wszystko odpowiedni. - Wrośnięty paznokieć? Znam to aż za dobrze. Wiem, że boli, ale łatwo to wyleczyć.

- Brałem aspirynę, mimo wszystko boli. Co za draństwo!

Zasugerowałem, by odłożyć na później nasz eksperyment. Jeśli Félix będzie cierpiał, wówczas da się raczej wciągnąć światłu i nie będzie miał ochoty wracać do swojej obolałej cielesnej powłoki.

Prezydent zaczął go błagać:

- Powróci pan do życia, Féliksie, obiecuje mi pan, prawda? Podpisałem już dla pana dekret o amnestii. Jeśli się panu uda, będzie pan wolny, ostatecznie wolny. Rozumie pan, Féliksie? Będzie pan od tej chwili szanowanym obywatelem.

Nasz człowiek nie wyglądał na przekonanego.

Publiczność wahała się między nowymi wyzwiskami, a oklaskami i wciąż wstrzymywała oddech.

Prezenter telewizyjny relacjonował, jak prezydent zachęca swojego pupila niczym trener, który przed rozpoczęciem walki na ringu przygotowuje zawodnika.

A my z ponurymi minami przygotowywaliśmy aparaturę.

Teraz Lucinder potrząsał już po prostu Féliksem.

- Będzie pan wolny! Będą zwracali się do pana nie inaczej jak „panie Kerboz” i będzie pan bogaty i sławny! Wsiądzie pan do kabrioletu, ludzie będą pana oklaskiwali i obsypywali konfetti tak jak Neila Armstronga po powrocie z Księżycy!

- No, fajnie by było, gdyby nie ten przeklęty wrośnięty pazur.

- Mój Boże, po tych wszystkich toksycznych miksturach, które pan w siebie wlał, z tym wrzodem, z bąblami i podziurawioną twarzą, przecież ten nieszczęsny bolący paznokciec nie sprawi, że zrezygnuje pan z nadziei na lepsze życie!

- Ale tam, na górze, jest tak dobrze, człowiek czuje się tam taki lekki i nie musi się o nic martwić...

Lucinder się zdenerwował.

- Féliksie, w końcu życie to nie jest ciastko z kremem!

- A tak w ogóle zastanawiam się, co jest dobrego w życiu tutaj. Problem w tym, że niczego dobrego nie pamiętam.

- Pieniądze, kobiety, perfumy, zachody słońca nad brzegiem morza, samochody, pałace... - wymieniał Lucinder.

Potem, jako przebiegły polityk próbując wejść w skórę królika doświadczalnego, dodał:

- No, jeśli woli pan alkohol, narkotyki, przemoc, szybkość... w porządku! Potrzebujemy pana. Ma pan już teraz przyjaciół: prezydenta, znamienitych naukowców, najpiękniejszą z pielęgniarek! Rzadko kto ma tyle szczęścia co pan! I wszyscy na pana liczymy.

Félix spuścił wzrok i zaczerwienił się niczym poczuwające się do winy dziecko.

- Ja wiem o tym wszystkim. Ale tam, u góry, oni też chcą dla mnie dobrze. Nie miałem na tym świecie za dużo szczęścia, a jeszcze ten wrośnięty paznokciec, ci wrogo nastawieni

ludzie przede mną... Na tym świecie nie zaznałem wiele zadowolenia. Właściwie, jak się nad tym dobrze zastanowić, w ogóle go nie zaznałem.

Lucinder przyjrzał się olbrzymowi z niedowierzaniem.

- Nie zaznał pan zadowolenia, Féliksie? Czy to znaczy... chce pan przez to powiedzieć, że... nigdy... że pan nigdy nie...

Nasz potężnie zbudowany Félix, do tej pory blady jak ściana, zrobił się teraz szkarłatny na twarzy.

- No tak. Nikt mnie nigdy nie kochał poza matką, no a matka jest właśnie tam, w górze.

Tłum zaczynał się już niecierpliwić.

- Zabić tę małpę! - rzucił jakiś żartowniś.

Prezenter telewizyjny wypełniał czas antenowy, jak potrafił:

- Félix Kerboz ma metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu i waży sto kilogramów, a zatem wymiary ma całkiem proporcjonalne jak na mężczyznę w jego wieku. Według naszego prasowego dossier waga i wzrost nie mają żadnego wpływu na jakość przejścia od życia do śmierci, jest jednak wskazane, żeby taka osoba była w dobrej formie fizycznej.

Amandine słyszała wymianę zdań między Féliksem i prezydentem. Podeszła teraz nieco bliżej.

- Jesteś prawiczką, Féliksie, o to chodzi?

Jego twarz stała się teraz bordowa.

Pielęgniarka o blond włosach zawahała się, przez chwilę się zastanawiała, po czym szepnęła coś do ucha swojemu pacjentowi. W jednej chwili twarz Féliksa zmieniła się, przechodząc przez wszystkie barwy tęczy. Wykrzywił usta w czymś, co można by nazwać bolesną karykaturą uśmiechu. Stojąc obok siebie, wyglądali teraz jak Quasimodo i Esmeralda. Quasimodo, który miał za chwilę iść na tortury...

Od tego momentu nie spuszczał wzroku z Amandine. Pozbierał się wreszcie w sobie.

- No dobra, jedziemy. Ten mój francowaty paznokieć dał mi teraz na chwilę spokój.

Lucinder zasugerował, żeby dodał trochę środka znieczulającego do moich boosterów, by Félix nie czuł bólu w dużym palcu u nogi. Ja jednak odmówiłem. Nie był to moment na eksperymentowanie z nowymi mieszankami. Podam 800 miligramów thiopentalu, taka będzie dawka, i nie zamierzam dodawać innych środków poza tymi, które stosowaliśmy do tej pory.

Prezydent Lucinder rozwiązał Kerbozowi muszkę przy koszuli do smokingu. Podwinął mu rękaw i założył elektrody. Można by przysiąc, że niczego innego w swoim życiu nie robił.

- Lucinder, zjeżdżaj stąd, jesteś tylko mordercą!

Podszedłem bliżej, żeby mu pomóc. Przecież ostatecznie wszyscy płyniemy teraz na tej samej tratwie.

Amandine krzątała się w pośpiechu.

Odbierała wszystkie drwiny jak gwałtowne ataki. Ale zdecydowała się postawić wszystko na jedną kartę. Wyregulowała elektrokardiograf, elektroencefalograf, a potem porozumiewawczo się do mnie uśmiechnęła pośród spadających na nas wyzwick.

- Mordercy! Mordercy!

Hasło podjęła cała sala, która teraz rytmicznie je skandowała.

Félix Kerboz oddychał powoli, coraz wolniej, tak jak nauczył go Raoul. Wciągał powietrze nosem i wydychał je ustami. Ta metoda oddychania została podobno wymyślona po to, żeby pomóc kobietom rodzić bez bólu.

- U mnie wszystko gotowe! - oświadczył prezydent Lucinder, który przyłożył ostatnią elektrodę do owłosionej klatki piersiowej tanatonaury.

- Ja także jestem gotów - rzekł Raoul, zaciskając czujniki pulsu.

- Gotów! - powiedziałem.

- Gotowa! - krzyknęła Amandine.

Naukowcy z komitetu podeszli bliżej, żeby lepiej przyjrzeć się całej zainstalowanej aparaturze. Sprawdzili, czy elektrody są zgodne z obowiązującymi normami. Zbadali Félixowi puls. Prestidigitator uderzył parę razy obcasem w deski na scenie, szukając jakiejś zapadni lub jakiegokolwiek innej ukrytej pochylni. Wbił też igłę w podpórkę fotela, co zachwycało publiczność, która oczekiwała być może, że znajdzie w ten sposób jakiś tajemny korytarz w naszym dentystycznym fotelu. Kiedy skończył, dał znak pozostałym. Zanotowali pośpiesznie różne informacje, a potem usiedli, na razie usatysfakcjonowani, gestem dając znać, że możemy rozpocząć eksperyment. Zapadła całkowita cisza.

W olbrzymim Pałacu Kongresowym można by usłyszeć przelatującą duszę.

- Zaczynajmy! - mruknął Raoul chwilowo zirytowany tym wrogo nastawionym tłumem.

- No to ciao, moi drodzy! - powiedział Félix, poruszając grubymi jak paróweczki palcami.

Amandine pogłaskała go po rzadkich włosach i cmoknęła go w kącik ust w chwili, gdy miał już zamknąć oczy.

- Tylko wróć! - szepnęła.

Félix uśmiechnął się, odliczając:

- Sześć... pięć... cztery... trzy... dwa... jeden... Start!

I szybko nacisnął guzik, wyruszając w podróż poza życie.

79 - PODRĘCZNIK DO HISTORII

Pod koniec XX wieku słowniki i encyklopedie podawały następujące definicje śmierci:

ŚMIERĆ: ostateczny kres życia.

Definicja potoczna: mówimy o kimś, że zmarł, kiedy jego serce przestało bić i przestał oddychać.

Definicja amerykańska, przyjęta w roku 1981: osoba uznana jest za zmarłą po nieodwracalnym ustaniu wszystkich funkcji mózgu.

Definicja medyczna: nieodwracalne zatrzymanie skurczów serca. Sztuczny charakter oddychania podtrzymywanego dzięki sztucznej płucy. Całkowity zanik odruchów. Zanik jakiegokolwiek sygnału elektroencefalograficznego. Całkowita destrukcja struktur mózgowych.

Formalności, jakich należy dopełnić w przypadku śmierci: złożenie powiadomienia o zgonie w merostwie właściwym dla miejsca zamieszkania. Dzielnicowy lekarz sądowy stwierdza zgon, a następnie sporządza akt zgonu, który przekazuje rodzinie zmarłego lub pracownikowi zakładu pogrzebowego. Akt ten musi zostać przekazany wraz z książeczką rodzinną zmarłego do urzędu stanu cywilnego w merostwie, które na tej podstawie wyda zezwolenie na pogrzeb oraz zgodę na zamknięcie trumny. W przypadku śmierci nagłej lub w podejrzanych okolicznościach lekarz sądowy powiadamia prokuratora, który może wnieść o przeprowadzenie autopsji. Rodzina nie ma obowiązku publicznego informowania o przyczynie śmierci. Pogrzeb może nastąpić po upływie dwudziestu czterech godzin.

Cena kwatery: zmienna w zależności od okresu, na jaki ją wykupiono, cmentarza i ceny gruntu. Metr kwadratowy jest rzecz jasna droższy w miastach aniżeli na wsi.

3 000 franków za trumnę zwykłą z jasnego drewna. Wyższy koszt w przypadku trumny hebanowej, mahoniowej, z pikowanym wnętrzem.

1 800 franków dla zakładu pogrzebowego i opłata dodatkowa w zależności od liczby grabarzy.

3 000 franków za wynajem karawanu.

4 800 franków na artykuły pogrzebowe, kwiaty i różnego rodzaju ozdoby.

700 franków dla kamieniarza.

1000 franków rocznie za czyszczenie i konserwację grobowca.

200 franków za klepsydry. Do tego dochodzą koszty wysyłki pocztowej.

1 000 franków podatku VAT.

1 300 franków opłaty municypalnej.

200 franków za nabożeństwo (należy przewidzieć dodatkowe opłaty w zależności od wyznania i zamówionych usług: msza, chór itd.).

Ogółem: minimum 17 000 franków bez kwatery.

Podręcznik szkolny, kurs podstawowy, 2. rok

80 - OCZEKIWANIE

Od dziesięciu już minut na monitorze elektrokardiografu biegła ciągła linia i wciąż nie było słychać nawet najmniejszego „pink”!

Wierny swoim zwyczajom Raoul Razorbak notował w brulionie wszystkie parametry: czas, temperaturę, pracę serca, mózgu, napięcie mięśni, impresje własne itd.

Potem podszedł do nas wyraźnie zaniepokojony.

- No i co? - zapytałem niepewnym głosem.

Wzruszył tylko ramionami.

Tłum trwał w milczeniu, wpatrując się bacznie w mężczyznę leżącego w świetle reflektorów. Krążąc wokół fotela niczym muchy wokół padliny, eksperci także sporządzali notatki, a ich długopisy skrzypiały głośno na kartkach kratkowanego papieru.

Wciąż podchodzili do coraz to innego monitora. Robili to głównie po to, żeby rozprostować kości, ale ich porozumiewawcze spojrzenia wskazywały, że należy się spodziewać najgorszego.

Z nich wszystkich najlepszy aktorsko był prestidigitator, gdyż znakomicie opanował szereg min wyrażających powątpiewanie.

Prezenter z RTV1 nie wiedział już, jak wypełnić czas antenowy. Mówił coś o pogodzie, sprzyjającej podobno tego rodzaju eksperymentom, a potem o historii Pałacu Kongresowego, pod którego dachem rozgrywały się jakże niezwykle wydarzenia.

Ze złożonymi dłońmi i twarzą madonny Amandine modliła się w milczeniu.

Ja również.

81 - MITOLOGIA SKANDYNAWSKA

Balder był dobrym bogiem skandynawskim. Jako syn Odyna był ceniony za współczucie i urodę. Pewnej nocy przyśniła mu się jego własna śmierć. Bogowie odczuwali z tego względu wielki niepokój, a jego matka, bogini Freya, zmusiła wszystkich i wszystko, by nigdy nikt ani nic nie szkodziło jej synowi. Rozkazała ziemi, żelazu, gładom, drzewom, chorobom, ptakom, rybom, wężom i wszystkim zwierzętom, by przysięgły, że będą mu przychylne.

Stwierdziwszy, że Balder stał się od tej chwili niezniszczalny, bogowie droczyli się z nim, rzucając w niego różnymi niebezpiecznymi przedmiotami, które jednak nigdy go nie zraniły.

Ale pewnego dnia zły bóg Loki, zazdrosny o władzę, jaką zdobył Balder, przebrał się za kobietę i udał się do Frei, aby wykraść jej tajemnicę. Dowiedział się wtedy, że bogini zapomniała zażądać złożenia przysięgi od rośliny o nazwie Mistilteinn, gdyż uważała, że jest ona zbyt delikatna i krucha, by mogła uczynić jakiegokolwiek zło synowi.

Wówczas Loki przekonał Hodra, niewidomego boga, by ten wziął do ręki tę roślinę i uderzył nią Baldera. Kierowany przez Lokiego Hodr zranił śmiertelnie Baldera, ponieważ roślina przeobraziła się w oszczep. Loki obwieścił wtedy wszystkim, że nie uniknie się śmierci nawet wtedy, gdy otrzymało się błogostawieństwo bogów.

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

82 - W PAŁACU KONGRESOWYM

Policjanci w cywilu, którzy wślizgnęli się do sali na polecenie prokuratora prowadzącego tę sprawę, powoli przysuwali się coraz bliżej sceny. Za nic nie chcieli dopuścić do tego, żebyśmy im uciekli, gdyby nasze przedstawienie zakończyło się niepowodzeniem.

Już od pięciu minut bezskutecznie rozcieraliśmy Féliksa i stosowaliśmy elektrowstrząsy.

Milczący tłum stawał się coraz mniej milczący.

Eksperci naukowci uśmiechali się coraz bardziej znacząco po każdej kolejnej dawce elektryczności, przysuwali się z mądrą miną, żeby wziąć Féliksa za nadgarstek i sprawdzić

tętno. Byli nad wyraz zadowoleni, gdyż nie wyczuwali niczego.

Zdjąłem biały kitel i w samym tylko podkoszulku, zlany potem, dalej stosowałem masaż serca. Liczyliśmy głośno: „Raz, dwa, trzy”, naciskałem dwoma rękoma na klatkę piersiową w okolicy serca, a Raoul właczał powietrze w dziurki w nosie za pomocą ręcznej pompy, żeby przywrócić funkcję oddychania.

Policjanci podeszli jeszcze bliżej.

- Raz, dwa, trzy! No, musimy wierzyć, że się uda - powtarzał wciąż mój przyjaciel.

Miał rację. Trzeba było w to wierzyć. Rękę włożoną do ognia można w nim trzymać, jeśli się wierzy, że jest niezniszczalna. Pokazał mi to przecież.

Potrącailiśmy co rusz policjantów, nie przejmując się nimi. A im większe ogarniało nas zwątpienie, tym silniej ich potrącailiśmy. Wyglądało na to, że w ogóle nie zwracają na nas uwagi. Normalną jest przecież rzeczą, że byk próbuje zranić matadorów, zanim ci zadadzą mu śmierć.

Na sali cichy jeszcze przed chwilą szmer zamieniał się teraz w głośne rozmowy i groźny pomruk. Ale dochodził do nas też powstrzymywany z trudem śmiech.

Jeszcze chwila i zrobi się potworna wrzawa.

Inni policjanci stanęli za nami tak, żeby uniemożliwić nam ucieczkę przez kulisy.

Wiara przenosi góry, więc dlaczego nie mogłaby sprawić, że ponownie dokona się ten malutki cud, dosłownie tyle, by życie powróciło do tego wielkiego worka ze skóry wypełnionego krwią i flakami?

- Jeśli w tym mięchu jest jeszcze choćby jedna żywa komórka, musi odpowiedzieć na moje wezwanie - powiedział Raoul. - Hej, hej! Jesteśmy tu, czekamy. Raz, dwa, trzy, raz, dwa trzy.

I dociskał klatkę piersiową Félixka.

- Boże ty mój, obudź się, Félix. Nie rób jaj! - teraz ja krzychałem.

Jeden z policjantów wskoczył na scenę. Wszyscy telewizzowie przyglądający się naszym wyczynom musieli uznać nas za bardzo niebezpiecznych szaleńców pastwiących się nad trupem.

- Raz, dwa, trzy! Do ciężkiej cholery, obudź się, Félix!

Policjant wyciągnął kajdanki.

- Raz, dwa, trzy! Félix, na miłość boską, przecież nie zostawisz nas tak!

Ośmiu ekspertów z pewną siebie miną podeszło, by stwierdzić zgon. Jak muchy, które przysiadają na rozgniecionym owocu.

Policjant złapał mnie za nadgarstek. Usłyszałem suchy trzask kajdanek i głos, który

wypowiadał zdanie: „W imieniu prawa aresztuję pana za zabójstwo przez otrucie”.

Raoula i Amandine także już zakuto w kajdanki. Jeszcze nie ośmielili się dobrać do Lucindera, który w aureoli prezydenta Republiki wciąż był nietykalny.

- Zabić ich! Zabić tanatonautów! - wykrzykiwał tłum, widząc swojego przywódcę w tarapatach.

Nic nie cieszy bardziej motłochu niż widok władców, których miesza się z błotem.

- Kara śmierci dla tanatonautów!

Mój brat siedzący w pierwszym rzędzie ogłaszał wszem wobec: „A nie mówiłem?”. Matka z kolei sama starała się uspokoić całą widownię. Zaczęła od siedzących najbliżej sąsiadów. Potem ruszyła między rzędy.

- Mój syn nie ma z tym nic wspólnego, przestańcie, mój syn nie ma z tym nic wspólnego, tamci go wciągnęli.

Wszystko już chyba przewidziała. Później, podczas procesu, będzie mogła wyciągnąć mój dzienniczek z dobrymi ocenami z przedszkola, by udowodnić, że byłem grzecznym i dobrym chłopcem. Już zawnocowała kupiła sobie sukienkę, aby wystąpić w niej na rozprawie.

Policjanci chwycili nas za ramiona, żeby przeprowadzić nas przez rozgorączkowany tłum. Ludzie podchodzili, żeby nas opluć i naubliżyć nam. Co za okropne doznanie, kiedy ma się ręce skute kajdankami, a ludzie złorzeczą. Ktoś rzucił zgniłym jajkiem, które rozbiło się na moim czole. Amandine dostała pomidorem. Raoul też dostał jajkiem, bardziej zgniłym i cuchnącym niż to, którym ja zostałem trafiony.

Prezydent Lucinder usiadł całkowicie załamany. Nie myślał o tym, by pomóc nam czy Féliksovi, lecz o tym, że się pomylił, miał atak szaleństwa i wszystkiego teraz żałuje. On, który tak bardzo pragnął sławy, teraz był skończony. Nie umiał odnieść zwycięstwa jak Cezar pod Alezją. W ostatniej chwili śmierć, ten ostatni bastion, okazała się nie do pokonania.

Dziennikarz z RTV1 dał znak kamerzyście, by zrobił zbliżenie nieprzeniknionej twarzy Féliksa. Lampę podsunęto na odległość zaledwie kilku centymetrów od twarzy, żeby sfilmować nieruchome pory na skórze i drobny zarost, który przypalał się teraz pod zbyt mocnym światłem.

Żegnaj, Féliksie.

Policjanci ciągnęli mnie za kajdanki.

I wtedy wydarzyło się coś zupełnie nieprzewidzianego.

Usłyszeliśmy wyraźne i donośne: „Aj”.

Wszyscy wstrzymali oddech. Stanęliśmy jak wryci. Rozpoznałem głos, który wypowiedział „Aj” - Ten głos, ten głos...

Technik odpowiedzialny za światło potknął się i upuścił lampkę, która spadła prosto na oko Féliksa.

Prezenter telewizyjny był już w stanie euforii.

- To wprost niewiarygodne, proszę państwa, po prostu nieprawdopodobne, niesamowite i zupełnie niesłychane. Tego człowieka odtąd możemy nazywać pierwszym człowiekiem, który oficjalnie postawił stopę w zaświatach i powrócił stamtąd", on bowiem jest... żywy. Félix Kerboz żyje!

Na polecenie ekspertów ogłupiali policjanci zdjęli nam szybko kajdanki. Sala ponownie zamilkła. Słysząc było tylko niestrudzonego prezentera, który komentował wydarzenia w coraz szybszym tempie, zachwycony, że wreszcie jego show stał się czymś naprawdę spektakularnym. Zdawał sobie doskonale sprawę, że od tego zależy jego dalsza kariera, i nie miał wcale ochoty przepuścić takiej niebywałej okazji. On także liczył teraz na to, że jego nazwisko znajdzie się w podręcznikach do historii, a przynajmniej do historii dziennikarstwa.

- Mogę powiedzieć, że emocje ogarnęły wszystkich. Gdy po raz pierwszy usłyszeliśmy dźwięk „pink”, który zadźwięczał w elektroencefalografie, najpierw pojawiło się niedowierzanie, a po chwili w całej sali podniosła się potężna wrzawa. I proszę państwa, najpierw słysząc było potężny krzyk przerażenia, gdyż wszyscy uświadomiliśmy sobie, że to nieboszczyk powraca między żywych. RTV1, kanał, który pokazuje więcej niż inne stacje, przedstawi raz jeszcze, tym razem w zwolnionym tempie, zapis pierwszych ruchów powiek Féliksa Kerboza. Ruch powiek, który nastąpił długo po tym, jak zatrzymana została akcja serca. Ruch powiek, który nastąpił, trzeba to przyznać, dzięki nam, dzięki... RTV1, telewizji, która potrafi wskrzesić nawet umarłych. Spróbuję, proszę państwa, natychmiast przeprowadzić wywiad, rzecz jasna mamy na to wyłączność, z Féliksem, a zaraz potem chwila przerwy na reklamy. Pragniemy również przypomnieć przy okazji, że dzisiejszy wieczór jest sponsorowany przez firmę produkującą pastę do butów „Czarny Smok”. „Mój Czarny Smoku, gdy cię nie ma, nie wychodzę z amoku”.

Lucinder, Amandine, Raoul i ja byliśmy gdzieś między płaczem i śmiechem. Biegliśmy teraz, by znaleźć się z powrotem na scenie. *The show must go on*. Lekarze i eksperci naukowci cofali się oszołomieni i kręcili głowami, jakby nie wierzyli własnym oczom, własnym uszom, własnemu zmysłowi dotyku.

Wciąż obmacywali Féliksa, sprawdzali urządzenia kontrolne. Jeden z naukowców chciał nawet zajrzeć pod fotel. Na wypadek gdyby jednak w miejsce trupa podstawiono brata bliźniaka.

Zmierzyłem tętno Féliksa, posłuchałem pracy serca, przyjrzałem się jego źrenicom, zbadalem zęby.

Wszyscy jednak wiedzieli, widzieli i musieli to uznać za niezaprzeczalne. Udało nam się. Raoul, Félix, Amandine, Lucinder i ja przeciwko imbecyloom.

Félix zaczął mamrotać:

- Kurde, ale jazda, kurna, nigdy jeszcze czegoś takiego nie miałem. No to... jak będzie, dostanę tę amnestię czy nie?

Amandine nachyliła się nad nim i szepnęła mu coś do ucha. Jego wzrok zdawał się mówić: eureka!

Wyciągnął głowę do mikrofonu dziennikarza z RTV1 i powiedział zupełnie wyraźnie:

- Był to malutki krok dla mojej duszy, ale wielki krok dla ludzkości.

W jednej chwili napięcie opadło. Publiczność na stojąco oklaskiwała bohatera. Co jasno dowodziło, jak ważne jest dobre hasło reklamowe. Zewsząd słyhać było owacje. Wszyscy wiwatowali.

- Drodzy telewizorowicze, oglądają państwo teraz program RTV1. To historyczny moment i historyczne zdanie, które wypowiedział dla nas nasz narodowy tanatonauta. Malutki krok dla jego duszy, lecz wielki krok dla ludzkości. Cóż wspanialszego aniżeli to oko puszczzone do Historii. Ten mężczyzna poznał *Near Death Experience* na żywo, na naszych oczach. Co właściwie udało się w tę podróż? Nie znajdując innego określenia, Félix nazwał to „duszą”. Jakże poetyckie wyobrażenie. Pozostaje nam teraz znalezienie naukowego wytłumaczenia. I z wielką...

Ściskaliśmy teraz gorąco Féliksa Kerboza.

- I jak, w porządku? Eeee... a moja amnestia? Aktualna?

- Masz ją. Masz, od tej pory jesteś wolny! - ogłosił prezydent Lucinder.

- Rychło w czas. Kurna, ile dzisiaj trzeba się narobić, żeby stać się bogatym!

Amandine nie odstępowała go ani na krok.

- Jesteś tutaj! Jesteś tu... żywy.

- No... tak, widzicie przecież, że wróciłem. Wróciłem do was, moi drodzy. Tym razem dobrze się przyjrzałem, wszystko dokładnie zobaczyłem. Jeśli chcecie, mogę wam wszystko narysować, żebyście zobaczyli, jak tam jest. Kurna, no nie do wiary, tyle mogę wam powiedzieć.

Zdenerwowany Raoul Razorbak podszedł do niego bliżej.

- Mapa! Sporządzimy mapę kontynentu umarłych i za każdym razem gdy pójdziemy dalej, naniesiemy na nią nowe szczegóły.

Publiczność zachowywała się jak w transie.

Prezenter stacji RTV1 biegł za nami, krzycząc:

- Hej! Panie Kerboz, proszę o kilka słów dla RTV1. Nasi widzowie mają prawo dowiedzieć się, jak było tam w górze! Panie Kerboz, jest pan bohaterem stulecia, panie Kerboz!

Félix przystanął, przez chwilę szukał odpowiednich słów, a potem powiedział:

- No, tego... Mogę wam powiedzieć, kurna, że śmierć to coś nieprawdopodobnego i wcale nie jest tak, jak sobie niektórzy myślą, pełno tam różnych kolorów, cała masa dekoracji, pełno tych, no... Człowiek jest tam przestawiony na maksa! A zresztą nie wiem za bardzo, jak o tym mówić, za dużo tego wszystkiego.

Dziennikarz z RTV1 przyczepił się teraz do nas. Musiał jakoś wypełnić czas ze względu na sponsorów, a jeszcze nie całkiem mu się to udało. Błagał o choćby króciutki komentarz.

Raoul dał mi kuksańca pod żebro.

- Michael, walnij im jakąś przemowę!

Nie zastanawiając się, wszedłem na estradę w świetle lamp błyskowych.

- Panie i panowie, dostaliśmy najpiękniejszą z nagród. Udało nam się wysłać w podróż i sprowadzić na ziemię po pobycie w zaświatach naszego tanatonautę.

Zapadła całkowita cisza. Jeden z dziennikarzy zapytał:

- Doktorze Pinson, jest pan jednym z głównych autorów dzisiejszego sukcesu. Co ma pan zamiar teraz zrobić?

Przysunąłem się jeszcze bliżej mikrofonu.

- Ten dzień jest wielkim dniem.

Wszyscy słuchali mnie uważnie.

- Udało nam się pokonać śmierć. Od dzisiaj nic nie będzie już takie samo. Trzeba całkowicie zmienić nasz punkt widzenia. Przekroczyliśmy granicę nowego świata. Od tej pory zawsze już będzie „przed” i „po” dzisiejszym dniu. Mnie samemu trudno w to uwierzyć. A jednak przed chwilą udowodniliśmy, że... - W tym samym momencie znowu pojawiło się złowróżbne zdanie: Co ja tutaj w ogóle robię? - Udowodniliśmy więc, że...

Nagle uświadomiłem sobie, że jestem tutaj, tu i teraz, i że dokonałem czegoś o historycznym znaczeniu. Kiedy ta dziwna myśl utkwiała mi w głowie, nic nie było w stanie jej stamtąd przegonić.

Zgromadzony tłum nadal uważnie mnie słuchał, w telewizji widać było zbliżenie mojej twarzy. Miliony ludzi oglądały mnie teraz na żywo, a ja z otwartymi ustami nie byłem

w stanie wypowiedzieć słowa.

- Doktorze Pinson?

Nie potrafiłem wymówić choćby jednej sylaby więcej. Dziennikarz, wyraźnie skrepowany, starał się jakoś ratować sytuację.

- Hm... A pan, panie prezydencie... udało się panu udowodnić, że działał pan w dobrej wierze. Czy zmieni to w jakimś stopniu pana politykę przed następnymi wyborami do parlamentu?

Prezydent Lucinder nie zwrócił na niego uwagi. Szepnął do nas:

- Chodźcie, przyjaciele, nie zajmujmy się już tym motłochem. Skoro wyszliśmy z tego cała, musimy kontynuować pracę. Chodźmy przygotować pierwsze mapy kontynentu zmarłych.

- Gdzie?

- Na tanatodromie Fleury-Mérogis. Tylko tam będziemy mieli trochę spokoju.

Nasza grupka stawała się coraz bardziej zwarta.

83 - MITOLOGIA PERSKA

„Ryba rzekła do kaczki na patelni:

«Myślisz, że kiedyś woda w rzece popłynie pod prąd?»

Na to kaczka odpowiedziała: «Kiedy nas już usmażą,

Cóż nam po tym, czy świat morzem jest czy mirażem?»

Od Ziemi do Saturna

Rozwiązałem wszystkie problemy,

Uniknąłem zasadzek i pułapek,

I węzeł każdy rozsypałem prócz jednego - tajemnicy śmierci".

Omar Chajjam (1050-1123), „Rubajjaty”

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

84 - MAPA

Oklaski i gratulacje docierały do nas z więziennych cel. Więźniowie oglądali na żywo w RTV1 „podróż” Félixsa. Nasz tanatonauta pozdrawiał wszystkich wokoło, a jego oczy zdawały się mówić: „Wiedziałem dobrze, że tak będzie, przecież wam mówiłem, nie?”.

W dawnym lazarecie przekształconym na tanatodrom Raoul znalazł kawałek brystolu i kolorowe pisaki. Usiedliśmy, tworząc krąg, a Félix starał się opisać tak dokładnie, jak umiał, to co zobaczył w zaświatach.

Wzruszający był nawet widok gruboskórnego chama, który stara się znaleźć odpowiednie słowa, szuka w pamięci precyzyjnych określeń, chcąc nas zadowolić, nas właśnie, swoich pierwszych przyjaciół.

Podrapał się po czole, podrapał się po plecach, podrapał się pod pachami. Zmarszczył czoło. Raoul, który miał narysować mapę, zaczynał się niecierpliwić.

- A więc jak to wyglądało?

- No to tak... najpierw był lejek z takimi brzegami, jakby to była korona z pianki albo z waty, o właśnie, coś takiego.

Raoul zaczął rysować szkic.

- Nie - przeszkodził mu Félix. - Lejek był szerszy.

Zamknął oczy, żeby lepiej sobie przypomnieć magiczny obraz.

- Tak jakby okrągła rura neonowa postrzępiona i podziurawiona jak koronka. Coś płynnego... Jak by to powiedzieć? Potężne fale niebieskawego gwiazdnego pyłu, rozbłyśki podwodnego światła. Naprawdę ma się wrażenie, że jest się zawieszonym w powietrzu na pełnym oceanie, na oceanie, który kręci się wokół samego siebie, tworząc koronę ze światła i iskier.

Pitekanthrop najwyraźniej stawał się teraz poetą. Amandine rozczuliła się. Raoul startł to, co narysował wcześniej, i zaczął jeszcze raz, tym razem przedstawiając motyw, który przypominał oskubaną główkę sałaty.

- Tak jest lepiej - przytaknął Félix. - Rozumiecie? Pływamy w czymś w rodzaju ognistej galarety, odczuwając przy tym przyjemne wrażenie, jakby owiewała nas morska bryza. Naprawdę przypomniałem sobie moment, kiedy pierwszy raz zobaczyłem morze.

- Jaki to wszystko ma kolor?

- No, biało-niebieski... A do tego fosforyzuje i kręci się jak karuzela. To coś wciągało

całą masę innych nieboszczyków wokół mnie. Wszyscy mieli białe nitki podłączone do pępeków, które pękały, kiedy zanurzali się głębiej, wpadając we wnętrze tego stożka.

- Pękały? - zdziwił się Lucinder.

- No tak. W jednej chwili byli uwolnieni od tego co na dole i mogli od razu ostro przyspieszyć.

- A kim byli ci ludzie? - zapytała Amandine.

- Umrzyki ze wszystkich stron świata, najprzeróżniejsze rasy, młodzi, starzy, duzi, mali...

Raoul dał nam znak, żebyśmy się uciszyli. Nasze pytania mogły zdekoncentrować podróżnika. Później przekaże nam szczegóły.

- Opowiadaj dalej o tym biało-niebieskim lejku.

- No więc on się trochę zmniejsza i zaciska, żeby potem przeobrazić się w gigantyczną rurę. Tam kolor ścian ciemnieje i zmienia się wreszcie w turkusowy. Tam gdzie turkusowy, to nie dotarłem, ale widziałem miejsce, w którym nabiera tej barwy.

- A ten lejek kręci się bez przerwy?

- No, bardzo powoli na brzegach i potem coraz szybciej, w miarę jak posuwamy się coraz dalej. A jeszcze dalej kurczy się i jeszcze mocniej świeci. Cały tłum jest w tym turkusowym korytarzu, a ja nawet przybrałem inną postać.

- To znaczy jak wyglądałeś?

Félix wyprostował się dumnie.

- Miałem cały czas moje ciało tanatonaury, ale ono stało się przezroczyste, tak przezroczyste, że mogłem patrzeć przez siebie na wylot. Bardzo fajne to było. Kompletnie zapomniałem o ciele. Nie czułem już nawet wrośniętego paznokcia. Byłem jak...

- Jak piórko? - zasugerowałem mu, przypomniawszy sobie „Egipską Księgę Zmarłych”, którą cytował mi kiedyś Raoul.

- No. Albo taki trochę mocniejszy przeciąg.

Raoul pochylał się nad kartką papieru. Jego rysunek nabierał teraz wyraźniejszych kształtów. Lejek, korytarz, przezroczyści ludzie odcinający długie pępowiny... Czyżby śmierć ujawniała wreszcie swój wygląd? Z daleka przypominało to wielką rozczochraną głowę.

- Duże to było? - zapytałem.

- Olbrzymie. Największy kawałek, z tego co widziałem, musiał mieć średnicę kilkudziesięciu kilometrów! Wyobraźcie sobie tylko wszystkich nieboszczyków z całej planety, którzy łądzą się do środka z prędkością sto na godzinę! Aha, jeszcze coś! Nie było ani góry, ani dołu. Pewnie można było chodzić po ścianach, ale nie warto było, bo i tak

przecież się leciało.

- A zwierzęta też tam były? - zainteresowała się Amandine.

- Nie, żadnych zwierzątek. Tylko ludzie. Ale były ich tam całe stada. Chyba gdzieś musi się toczyć jakaś wojna, z której bierze się cała ta padlina. A wszystko razem sunęło spokojnie tym korytarzem, wcale się nie obijając pomimo prędkości. Wszystkich nas przyciągało światło, tak jak ćmy.

Raoul uniósł do góry pisak.

- Wszyscy ci przezroczyści zmarli prędzej czy później będą musieli się w którymś momencie zderzyć - zauważyłem.

- A gdzie dokładnie się zatrzymałeś? - zapytał Lucinder.

Na kartce papieru Félix wskazał palcem miejsce, gdzie brzeg biało-niebieskiego lejka rozszerzał się.

- W tym miejscu.

Zaskoczyła nas tak duża dokładność.

- Nie mogłem już iść dalej - wyjaśnił Félix. - Jeszcze centymetr, a moja srebrzysta pępownina zerwałaby się i mógłbym tylko powiedzieć: „Żegnajcie, moi mili”.

- Ale mówił pan przecież, że pępowninę można było rozciągać w nieskończoność - zauważył prezydent.

- Wszystko się dzieje w głowie. Im bardziej przyciąga nas światło, tym bardziej pępownina staje się sucha, łamliwa i krucha. Kurde, jeszcze centymetr i już nie miałbym zupełnie ochoty wracać do tego naszego świata. Ten punkt, o tu, był moją ostateczną granicą.

Położył palec raz jeszcze w tym samym miejscu. Czarnym flamastrem Raoul Razorbak zaznaczył długą przerywaną linię i Poniżej napisał: „Bariera komatyczna”.

- I cóż to niby oznacza? - zapytałem go.

- Myślę, że jest to tym, czym w swoim czasie była bariera dźwięku. Granica, której nie można na razie pokonać, nie narażając się na niebezpieczeństwo. Teraz, kiedy już mamy zarys tej mapy, możemy sobie także postawić cel, jakim jest przekroczenie tej linii.

Raoul napisał dużymi literami, zaraz za linią wyznaczającą barierę komatyczną: *Terra incognita*.

Ziemia nieznaną.

Spoglądaliśmy z uznaniem na ten rysunek. A zatem mieliśmy rozpocząć eksplorację nowego kontynentu. Pierwszy kontakt, najpierw plaża, a potem, w miarę jak pionierzy posuwali się w głąb lądu, na mapie pojawiały się góry, równiny, jeziora, a *Terra incognita* przesuwała się coraz bardziej w stronę brzegu kartki. Tak było z Afryką, Ameryką, Australią.

Stopniowo ludzie wymazywali te dwa słowa, symbol niewiedzy.

Terra incognita... Widzowie, którzy byli świadkami eksperymentu przeprowadzonego w Pałacu Kongresowym, sądzili, że uczestniczą w zwieńczeniu naukowo-politycznego projektu. Jednak my we czwórkę, Lucinder, Amandine, Raoul i ja, wiedzieliśmy dobrze, że jest odwrotnie i nie jest to wcale koniec, lecz dopiero początek.

Należało zbadać fiołkoworóżowy tunel, który dalej przechodził w kolor turkusowy. Trzeba było uzupełnić mapę i przesunąć jak najdalej dwa słowa: *Terra incognita*.

Raoul złożył ręce.

- Prosto przed siebie, wciąż prosto w nieznanne - wymamrotał, nie potrafiąc ukryć uśmiechu dumnego konkwistadora.

A zatem nowe hasło, które miało nas jeszcze bardziej zmotywować.

Spojrzeliśmy na siebie z takim samym błyskiem w oku. Tak naprawdę przygoda dopiero się zaczynała. Ruszajmy więc ku Nieznanemu.

EPOKA DRUGA:
CZAS PIONIERÓW

85 - PRZEGLĄD PRASY

Dziennik paryski: SENSACJA W PAŁACU KONGRESOWYM: FRANCUZ POSTAWIŁ STOPE NA KONTYNENCIE ZMARŁYCH

Pierwszym człowiekiem, który oficjalnie postawił nogę w zaświatach, jest Francuz o nazwisku Félix Kerboz. Od bardzo dawna w artykułach redakcyjnych wyrażaliśmy poparcie dla jakże ambitnych projektów naszego prezydenta Lucindera. Dzięki jego wysiłkom francuscy naukowcy pokonali wszystkich konkurentów na świecie i pierwsi dotarli do kontynentu umarłych. Nasze pismo ogłasza już dziś Féliksa Kerboza Człowiekiem Roku i apeluje, aby jak najszybciej nadano mu order Legii Honorowej.

Dziennik londyński: EUROPEJCZYK W ZAŚWIATACH

Śmierć można odwiedzić. Zespołowi europejskich naukowców udało się wysłać człowieka w zaświaty i sprowadzić go stamtąd całego i zdrowego. Jak niestety często bywa, sukces ten okupiony został wieloma nieudanymi próbami. Ocenia się, że około stu ludzkich królików doświadczalnych poniosło we Francji śmierć w wyniku tego niezwykłego projektu. Félix Kerboz wyszedł jednak cało i w pełnej chwale z tej hekatombi pomimo szyderstw ze strony opinii publicznej, która niemal jednomyślnie potępiała to, co nazywano „laboratorium zaprogramowanej śmierci”. Zespół brytyjskich naukowców zamierza w najbliższym czasie przystąpić do podobnych działań. Będziemy państwa o tym informować na łamach naszego dziennika.

Dziennik tokijski: W POSZUKIWANIU PRZODKÓW

Pewien mężczyzna pragnął za wszelką cenę wyruszyć na poszukiwanie przodków. Félix Kerboz, mieszkaniec Europy Zachodniej, usiłował dołączyć do swoich antenatów, podejmując próbę samobójczą przy użyciu chlorku potasu, a więc bardzo silnego preparatu toksycznego. Obudził się dwadzieścia minut później cały i zdrowy. Naukowcy japońscy starają się teraz znaleźć odpowiedź na najtrudniejsze z pytań: czy można odwiedzić kraj naszych przodków (i ewentualnie zrobić tam zdjęcia), tak jak jakikolwiek inny turystyczny zakątek na Ziemi?

Dziennik nowojorski: CI CHOLERNI FRANCUZI

Grupka francuskich naukowców metodą chałupniczą zaangażowała się w realizację przedziwnego eksperymentu polegającego na zaaplikowaniu trucizny osobom, które miały udać się w zaświaty. Od kilku tygodni Francuzi, poinformowani o tym projekcie, mieszały z błotem prezydenta Republiki, Jeana Lucindera, oskarżając go o to, że jest seryjnym mordercą, a sam projekt prowadzony pod jego patronatem pociągnął za sobą już około stu ofiar, zanim przyniósł oczekiwane rezultaty. Natomiast pomysłowemu wynalazcom groziło postępowanie sądowe, gdyż we Francji bardzo często zbyt drobiazgowo procedury administracyjne podcinają skrzydła naukowcom, (jest to zresztą powodem, dla którego najlepsi francuscy naukowcy wyjeżdżają najczęściej do Stanów Zjednoczonych, gdzie mogą pracować w spokoju i myśleć o Nagrodzie Nobla). Tym razem czterem odważnym obywatelom udało się udowodnić narodowi, jak wartościową pracę wykonali, a co więcej, uczynili to w obecności wrogo do nich nastawionych ekspertów przed kamerami wielu zagranicznych stacji telewizyjnych transmitujących na żywo wydarzenie, w którym Félix Kerboz wyruszył na kontynent śmierci i powrócił stamtąd cały i zdrowy. Kerboz jest przestępcą skazanym na dożywotnie więzienie, a następnie ułaskawionym w nagrodę za ten wyczyn. Teraz myśli o rozpoczęciu kariery jako *self-made man*. Kilka amerykańskich przedsiębiorstw zaproponowało mu już poważne kwoty, żeby zagrał samego siebie w wysokobudżetowym filmie. Do tej pory nie odpowiedział jeszcze na tę propozycję, lecz już teraz myślimy o Carol Turkson w roli pielęgniarki Amandine i o Fredzie O'Bannonie w roli prezydenta Republiki Francuskiej Lucindera. Wkrótce na ekranach kin.

Dziennik rzymski: PAPIEŻ ROZWŚCIECZONY

Jako że Francuzi wbili sobie do głowy, że zdobędą kontynent umarłych, papież wyraził swoje głębokie oburzenie tym, że nauka usiłuje wykroczyć poza to, co jej wolno. „Śmierć należy jedynie do Boga, a Bóg wypowiada się głosem Watykanu”, przypomniawszy głowa Kościoła, dodając: „Nie wolno nam wspierać wysyłania ludzi w zaświaty. Zwracamy się z gorącą prośbą do władz francuskich, żeby skontaktowały się z arcybiskupem paryskim przed podjęciem kolejnej tego rodzaju próby”. W każdej chwili spodziewane jest wydanie bulli papieskiej w tej sprawie.

Dziennik madrycki: PRZYPADEK LUCINDERA

Prezydent Republiki Francuskiej, Jean Lucinder, przez ostatnie tygodnie uważany był w swoim kraju za całkowitego wariata. Tymczasem okazuje się, że jest osobą niezwykle światłą, z której być może powinniśmy wziąć przykład. Owszem, Lucinder często dawał

dowody braku poczucia humoru i nigdy nie okazywał nadmiernego współczucia dla krajów będących w trudnej sytuacji. Zresztą wielokrotnie na naszych łamach krytykowaliśmy jego protekcyjną i krótkowzroczną politykę. Mimo to wyrażamy niekłamany podziw dla wielkiego i utrzymywanego w największej tajemnicy projektu, którym jest podbój kontynentu zmarłych! Wbrew wszelkim oczekiwaniom francuski królik doświadczalny o nazwisku Félix Kerboz z powodzeniem dotarł do Ostatecznego Kontynentu i co więcej, udało mu się stamtąd powrócić. Nasz rząd rozważa możliwość zainicjowania programu badawczego, którego celem będzie lepsze zrozumienie tego zjawiska.

Dziennik berliński: DZIAŁANIA DYWERSYJNE

Jak się okazuje, Francuzi mają znacznie większe możliwości i zasoby, niż sądziliśmy. Kiedy ich gospodarka ma się zdecydowanie nie najlepiej, kiedy po strajkach pojawiła się fala gwałtownych manifestacji, kiedy francuskie władze starają się bezskutecznie powstrzymać wzrost narkomanii i napływ nielegalnych imigrantów, prezydent Jean Lucinder próbuje odwrócić uwagę od kryzysu, oddając się eksperymentom dotyczącym śmierci. Udało mu się, jak twierdzą niektóre źródła, wysłać człowieka w zaświaty. Zespół niemieckich naukowców w najbliższym czasie sprawdzi wiarygodność tego wielce wątpliwego eksperymentu.

Dziennik pekiński: ŚMIERĆ, OSTATNIA KOLONIA

Zielone światło dla podboju kontynentu umarłych. Jak za czasów polityki kanonierek wielkie mocarstwa nawet się nie kryją ze swoimi kolonialnymi apetytami. Od kilku dni, pomimo prób utrzymania tych kwestii w tajemnicy i licznych dementi, eksperci amerykańscy, angielscy, niemieccy, włoscy i japońscy rozpoczęli budowę tanatodromów. Dowiedzieliśmy się z wiarygodnego źródła, że Francuz Félix Kerboz dotarł już do swego rodzaju punktu zero, punktu niewidzialnego i niemożliwego do przekroczenia. Ta granica miałaby być usytuowana na poziomie koma plus dwadzieścia jeden minut.

86 - PO ZWYCIĘSTWIE

Nie było już żadnych wątpliwości. Środowiska naukowe, opinia publiczna i prasa zgodnie obwieszczały sukces, jaki odniósł projekt „Raj”. Komitet ekspertów, który przybył do Pałacu Kongresowego po to, żeby nas pogrążyć, przekazał do parlamentu raport, w którym jego członkowie z uznaniem wypowiadali się o naszych dokonaniach i zasługach.

Nikt już nie miał odwagi mówić o „laboratorium zaprogramowanej śmierci” czy o „prezydenckiej zbiorowej mogile”.

„Czym jest śmierć? Czym jest śmierć? Czym jest śmierć? Czym jest śmierć? Czym jest śmierć? Czym jest śmierć?...”

Mógłbym napisać to zdanie na dwudziestu stronach. Co najmniej tyle byłoby trzeba, żeby odzwierciedlić, jak bardzo wypełniała mnie chęć poznania.

Kiedy czegoś nie wiemy, nie zadajemy zbyt wielu pytań. Kiedy jednak zaczynamy dysponować przynajmniej namiastką odpowiedzi, chcemy za wszelką cenę wszystko poznać i wszystko zrozumieć.

Śmierć stała się tajemnicą będącą w zasięgu moich neuronów, a mój mózg domagał się większej liczby informacji.

To, żeśmy się do niej zbliżyli, żeśmy ją niemal kontrolowali, powinno było mnie uspokoić. „Śmierć jest tylko tym. Krainą, do której można się udać i z której można powrócić!”. Herkules, jako prekursor, wyruszył już wcześniej do piekła, żeby stawić czoło Cerberowi. Dlaczego więc my byśmy nie mogli?

Raoulowi udał się jego numer, a mnie dręczyło teraz pragnienie dowiedzenia się, co też dzieje się z ludźmi po śmierci. Co stanie się ze mną, kiedy wszystko się skończy? Na dobrą sprawę jeśli życie jest serialem, chciałbym przynajmniej wiedzieć, kiedy skończy się ostatni odcinek.

Nadal byłem w szoku. W mojej głowie mnożyły się pytania. Czy siła wyobraźni i mocne przekonania wystarczą, aby człowiek dotarł do wszystkich wymiarów życia? Gdzie są jego granice? A zwłaszcza czym jest śmierć, śmierć, śmierć?...

Prezydent Lucinder zaprosił nas na spotkanie w Pałacu Elizejskim. Powitał nas w swoim gabinecie, w którym pełno było komputerów i monitorów, wszystko tam było zimne i nieprzyjazne, a w każdym razie wyglądało zupełnie inaczej niż w wystawnym biurze w stylu Ludwika XV, w którym zazwyczaj podejmował oficjalnych gości.

Szef państwa wyjaśnił nam, że od tej chwili powinniśmy zdecydowanie przyspieszyć. Uporaliśmy się już przecież ze sceptykami, ale pojawili się nowi przeciwnicy, mianowicie naśladowcy. Rzeczywiście, zazdroszcząc nam sławy, jaką zdobyliśmy, w różnych zakątkach na świecie budowano teraz tanatodromy.

- Nie wolno dopuścić do tego, żeby wyprzedzili nas Amerykanie lub Japończycy. Coś takiego już się wydarzyło w lotnictwie - wściekał się prezydent. - Bracia Wright twierdzili, że skonstruowali pierwszy samolot, podczas gdy wszyscy doskonale wiemy, że pierwszym, który zbudował latającą maszynę, był Clément Ader! Start wam się udał znakomicie, ale

uważajcie, bo na pewno znajdą się tacy, którzy będą twierdzić, że wyprzedzili was w eksploracji zaświatów.

Po naszym triumfie w Pałacu Kongresowym, w obecności licznie zgromadzonej publiczności, z trudem mogłem sobie wyobrazić, że jakaś nieznana zagraniczna ekipa mogłaby nas pozbawić prymatu w badaniach.

Zaprotestowałem.

- To my jesteśmy w posiadaniu ściśle określonej formuły chemicznej boostera, to my mamy „mistrza”, którego przedstawiliśmy już światu, to my wymyśliliśmy słownictwo w dziedzinie podróży między dwoma światami. Nasze historyczne dokonania są bezsporne, a nasza przewaga tak duża, że pozostali potrzebować będą sporo czasu, żeby nas dogonić.

Lucinder wznosił ręce do nieba.

- Tylko tak myślicie! Podczas gdy nasi deputowani obcinają środki budżetowe, uniwersytety amerykańskie przeznaczają ogromne kwoty dla naukowców. I oni na pewno nie będą pracowali gdzieś w podziemiach więzienia! Z fotelem dentystycznym, który bardziej zasługuje na to, żeby znaleźć się w muzeum niż w laboratorium badawczym! Nie! Oni będą pławić się w luksusie, mając do dyspozycji najnowocześniejszy sprzęt na świecie! Zresztą my także wrzucimy wyższy bieg. Widzę tylko jeden sposób na to, żeby zaspokoić wasze potrzeby: profesorze Razorbak, doktorze Pinson, pani Ballus i panie Kerboz, od tej chwili podlegacie bezpośrednio prezydentowi. Mianuję was wysokimi urzędnikami państwowymi.

Ale minę będzie miał Conrad, jak mu o tym powiem.

- Doskonale. Będziemy więc mogli ulepszyć laboratorium - ucieszył się Raoul.

Lucinder przerwał mu:

- O nie, Razorbak, koniec z chałupnictwem! Teraz chodzi o międzynarodową rywalizację. Nasz kraj musi zająć należne mu miejsce w świecie. Co więcej, nie mamy już żadnych powodów, żeby się ukrywać. Wręcz przeciwnie, teraz trzeba działać w pełnym świetle. Zbudujemy więc nowy tanatodrom, nowocześniejszy i o znacznie większej powierzchni. Trzeba stworzyć miejsce, które przejdzie do historii. Nowy Łuk Triumfalny. Łuk Triumfalny zdobywców krainy śmierci.

Jak wielu polityków Lucinder upajał się własnymi słowami. Jednocześnie znajdował przyjemność w rozbudzaniu entuzjazmu w grupie, którą uważał za swoją. Stanowiliśmy teraz jego elitarny oddział, osobiste komando eksploratorów gotowych na wszystko, żeby pomóc mu wejść do Historii.

A jednak nasze ambicje nie były wcale takie same. O ile on bowiem myślał o nieśmiertelności, o tyle my byliśmy żądni przygód i pragnęliśmy zgłębić tajemnicę tak starą

jak sama ludzkość.

Odźwierny ze złotym łańcuchem na szyi otworzył głośno drzwi. Audiencja dobiegła końca. Inne sprawy czekały na prezydenta. Czas już najwyższy wynosić się.

- Nasze służby specjalne będą mnie informowały na bieżąco o postępach naszych przeciwników - powiedział, a zamiast pożegnania dodał: - Szanowna pani, panowie, bądźcie ufni i do dzieła!

87 - FILOZOFIA ŻYDOWSKA

„Życie przyzwyczajają nas do śmierci poprzez sen.

Życie ostrzega nas poprzez sen o tym, że istnieje też inne życie”.

Eliphas Levi

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

88 - SPRAWY RODZINNE

Po burzliwych przejściach w Pałacu Kongresowym spędziłem cały tydzień w mieszkaniu. Stwierdziłem, że samotność jest łatwiejsza do zniesienia w euforii aniżeli w poczuciu klęski, ale mimo wszystko cierpiałem z jej powodu. Ostatecznie czego właściwie się spodziewałem? Całych tabunów fanów, którzy wyczekiwaliby na mnie pod domem? Wciąż byłem Michaeliem Pinsonem, człowiekiem samotnym, i czy moje zdjęcie ukazało się w prasie, czy nie, wciąż pozostawałem człowiekiem samotnym.

Zamiast epitafium na moim nagrobku wyobraziłem sobie następujący napis: „Tu spoczywa Michael Pinson, prosty i samotny jak wszyscy na świecie”.

Pocieszałem się, popijając białe porto i poświęcając całe godziny na ponowną lekturę starych ksiąg mitologicznych.

Znużony przyciężkami niejednokrotnie tekstami, brałem do ręki na chybił trafił jakieś kolorowe czasopisma. We wszystkich aż roiło się od artykułów o szczęśliwym życiu pięknych uśmiechniętych aktorów, którzy pobierają się i zdradzają tak, jak ja strzelam palcami. Na każdej stronie widniało obsceniczne zdjęcie jakiejś pary promieniejącej

szczęściem zaraz po ślubie albo po narodzinach dziecka. Gryzypiórki zapewniały czytelników, że są oni genialni, niepowtarzalni, uprzywilejowani, a mimo to skromni, rozluźnieni i bezustannie przemili. Wspierali walkę z chorobą Heinego-Medina, adoptowali dzieci z Trzeciego Świata, mówili o miłości jako o jedynej niemożliwej do zastąpienia wartości, przedstawiali swoich nowych przyjaciół, również rzecz jasna niezwykłych, genialnych i niepowtarzalnych. Wszyscy tanatonauci byli teraz szczęśliwi. Félix stał się prawdziwą gwiazdą. Raoul odnalazł drogę do ojca, prezydent Lucinder zyskał sławę, Amandine wierzyła, że może uratować ludzkość. A ja?

A ja nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. Nie było nikogo, z kim mógłbym porozmawiać, nikogo, komu mógłbym zwierzyć się ze swoich trosk i radości.

I znowu miałem ochotę wycić do księżyca jak kojot na pustyni. Auuuuuu! Przesztawałem, gdy tylko sąsiedzi dawali o sobie znać. Mocno rozbity wewnętrznie zmuszałem się do tego, by czytać artykuły o szczęśliwym życiu aktorów, artystów, polityków.

Należało się jakoś zebrać w sobie. Byłem zbyt niecierpliwy.

Godzina 10. 30. Dokładnie w tym momencie nie byłem w stanie się powstrzymać, by nie wypowiedzieć życzenia. Pragnąłem być otoczony ludźmi, z którymi mógłbym rozmawiać.

- Cześć! Jak leci?

O rany, to moja matka i brat przyszli do mnie w odwiedziny. Od razu rzucili się na mnie.

- Mój mały, mój malutki, jestem z ciebie taka dumna. Zawsze wiedziałam, że ci się uda! Matka zawsze to wyczuwa...

- Brawo, braciszku, no, tym razem, trzeba przyznać, dałeś naprawdę czadu!

Zajęli od razu całą kanapę, zupełnie jakby byli u siebie, a brat położył natychmiast łapę na tym, co mi zostało jeszcze z białego porto.

Po chwili Conrad postanowił mnie poinformować, jak powinienem dbać o swoje interesy finansowe, i oświadczył, że od tej pory powinienem zarządzać nimi, korzystając z usług doświadczonego doradcy. Matka podkreśliła, że dzięki świeżo zdobytej reputacji z pewnością będę mógł się ożenić z jakąś ładną aktorką albo spadkobierczynią dużej fortuny. Już wycięła dla mnie artykuły z kolorowych pism na temat uroczych młodych osóbek, które mogłyby mi się spodobać.

- Wszystkie kobiety padną do twoich stóp - oświadczyła, patrząc zachłannym wzrokiem.

- Tyle że... ja już mam taką znajomą - powiedziałem na wszelki wypadek, próbując się za wszelką cenę uchronić przed uciążliwą troskliwością z jej strony.

Słyszając to, moja matka się oburzyła.

- Co? Jak to? - krzyknęła. - Masz dziewczynę i ukrywasz to przed swoją matką?

- Chodzi o to, że...

- Domyślam się, o kogo chodzi - rzeki radośnie Conrad. - Przyjaciółką Michaela jest ta pielęgniarka! Fantastyczna dziewczuszka o blond włosach, ciemnoniebieskich oczach, która stała tuż obok ciebie na scenie w Pałacu Kongresowym! Moje gratulacje, braciszku, przypomina Grace Kelly, ale jest jeszcze ładniejsza. A jednak to zabawne, bo kiedy widziałem, jak rzuciła się w ramiona waszego królika doświadczalnego, pomyślałem, że to raczej w nim jest zakochana!

Jak zwykle mój cholerny brat dotknął najboleśniej dla mnie kwestii i już radował się na samą myśl, że będzie mógł rozdrapać moją ranę. Matka jednak uciszyła go;

- Pielęgniarka? A dlaczego nie? Nie ma głupich zawodów. Kiedy się z nią żenisz? Będę naprawdę szczęśliwa, kiedy się już ożenisz. Potrzebujesz kobiety, żeby wprowadziła trochę porządku do twojego życia. No popatrz na siebie, jak ty wyglądasz? Zazębisz się, bo nie ubierasz się za ciepło. Poza tym na pewno ciągle jadasz w restauracjach. A w restauracjach oszczędzają jak się da na klientach, podają zawsze resztki i produkty najgorszej jakości. Mam nadzieję, że nie jesz nigdy mielonego mięsa?

- Wiem, mam, wiem - przyznałem, próbując zrobić coś, żeby powstrzymać tę lawinę słów.

- No to tym lepiej. Ta twoja pielęgniarka nauczy cię, jak się odżywiać i jak ubierać. I zawsze mnie słuchaj. Nie zaczynaj też odgrywać ważniaka z tego powodu, że wystąpiłeś w telewizji!

- Nie, skądże znowu, co też mama... - powiedziałem.

- Co nie?

- Nie odgrywam wcale ważniaka.

- Ha! Ostrzegam cię, że nie będziemy się snobować tylko dlatego, że stałeś się międzynarodową gwiazdą! Żadnych tam takich z nami, dobrze?

Lepiej chyba skapitulować, niż wdawać się w jakieś bezsensowne dyskusje! Conrad zaśmiał się szyderczo, biorąc moje słowa za uległość.

Kartkując książki leżące na stoliku, wykrzyknął:

- Co ty, zajmujesz się teraz mistycyzmem?

- Czytam to, co mi się podoba, i nie muszę się nikomu z tego spowiadać - odpowiedziałem z irytacją w głosie.

Mogłem starać się być posłuszny matce, ale podporządkowywać się Conradowi, tego

było już za wiele.

Mruczał teraz pod nosem:

- „Popol Vuh czyli Księga „Wspólnoty”... To jakiś podręcznik dla czarowników?

Wyrwałem mu z rąk cenną książkę.

- To święta księga ludu Kicze z cywilizacji Majów w Meksyku - rzuciłem mu w twarz.

- Aha! A to? „I Ching, Księga Przemian”... I jeszcze „Bar-do Thos-grol, Księga Umarłych”. No i „Ramajana”. Słuchaj no, wszystko tu jest. Brakuje ci już tylko „Kamasutry”!

- Conrad, jeśli przyszedłeś tutaj, żeby mnie prowokować, to zjeżdżaj, zanim ci dam w łeb! Idź i szpanuj tą swoją forszą, samochodami i kobitkami, ale zostaw mnie w spokoju!

- W cmentarnym spokoju! - zanucił Conrad.

Rzuciłem się na niego z wyciągniętą już ręką, lecz matka stanęła między nami.

- Nie mów takim tonem do brata. On zawsze spełniał moje oczekiwania. Ożenił się, dał mi wnuki. Nie ma sobie nic do zarzucenia! On nie zgrywa ważniaka tak jak ty, bo wystąpiłeś w telewizji.

Naprawdę chyba należałoby sobie wyrwać włosy nożem do ostryg! Oddychałem głęboko, żeby odzyskać spokój.

- Jeżeli przyszlście tu po to, żeby się ze mną drażnić, to wolę, żebyście już sobie poszli. Baliście się, że mogę być szczęśliwy? Chcieliście mi popsuć przyjemność?

Matka zauważyła, że zgodnie z moim zwyczajem rozpiąłem guzik przy kołnierzyku koszuli, żeby czuć się trochę swobodniej, i zgodnie ze swoim zwyczajem pospieszyła, aby go zapiąć, szczypiąc mnie przy tym w szyję. Wykorzystała moment, w którym się dusiłem, by znowu przejąć inicjatywę.

- Jak śmiesz się do mnie odzywać takim tonem? - oburzyła się. - Zawsze cię popieraliśmy. Nawet gdy spędzałeś czas na wałęsaniu się po cmentarzach w towarzystwie tego Razorbaka, też nie robiłam ci żadnych wyrzutów, chociaż znam przecież wiele matek, które nie pozwoliłyby swoim dzieciom przebywać w towarzystwie wariata.

- Raoul nie jest wariatem!

- Ale jest trochę dziwny, przyznasz chyba...

- O mnie mowa?

W najbliższym czasie będę musiał pomyśleć o założeniu solidnych zamków w drzwiach. Wchodzi się tu jak do knajpy.

Zamki, judasz, dzwonek i wtedy będzie wreszcie intymnie!

A tymczasem jeśli nawet Raoul usłyszał niemiłe teksty wypowiedane przez moją matkę, to trudno! On też nie powinien był się zjawiać tak znieczeka.

- Cześć, Raoul - przywitałem go chłodno.

- Ależ tak, profesorze Razorbak - powiedział mój brat z szacunkiem w głosie - właśnie rozmawialiśmy o panu. Sądzymy, że ponieważ jesteście teraz bogaci i sławni, potrzebny wam będzie doradca finansowy, który czuwałby nad waszymi sprawami. Ostatecznie we trójkę z tą dziewczyną stworzycie coś jakby grupę rockową. Potrzebujecie impresaria, kogoś, kto zajmie się waszym wizerunkiem, kontraktami, które...

Spodziewałem się, że Raoul od razu spławi tego wesołka. Ale wcale nie, słuchał go z dużą uwagą.

- To twój brat? - zapytał.

- Tak - przyznałem żałośnie.

- A ja jestem jego matką! - zapiała dumnie moja rodzicielka.

Raoul położył rękę na podbródku.

- Ten twój brat ma niezłe pomysły - przyznał. - To fakt, że trzeba będzie teraz zarządzać bardzo precyzyjnie nowym tanatodromem.

Conrad nadymał się coraz bardziej, opisując szczegółowo swoje plany:

- No właśnie. Pomyślałem, że byłoby ciekawie otworzyć sklepik z pamiątkami tuż obok nowego tanatodromu. Można by tam sprzedawać T-shirty takie jak ten.

„Umieranie to nasz zawód" napisane było na podkoszulku, który wyciągnął z kieszeni.

Byłem załamany. A Raoul wcale nie. Przyjrzał się ciuchowi.

- Świetny pomysł! Nie kurczy się w praniu?

- Nie. Kolory gwarantowane, sama sprawdzałam - powiedziała moja matka.

Raoul miałby frymarczyć naszymi świętymi planami z handlarzami w świątyni? Nie mogłem tego pojąć.

- Ale...

Nakazał mi milczenie.

- Twój brat ma rację, Michael. Sklepik pozwoli ludziom lepiej zrozumieć, czym się zajmujemy, oraz wzmocni nasz wizerunek w oczach opinii publicznej.

- A ja będę waszym rzecznikiem prasowym! - wykrzyknęła moja kochana mamusia. - I dzięki temu będę mogła częściej widywać mojego Michaela. Będę też mogła się nim lepiej zajmować.

Przecierałem ze zdumienia oczy. Nie, to nie był sen. Zaczęliśmy od tego, by przeniknąć tajemnicę śmierci, a więc chcieliśmy zmienić życie, świat, ludzkość... A teraz zastanawiamy się nad tym, jak zorganizować otwarcie sklepiku pod nazwą „Pamiątki fanatyczne". W cudownych czasach żyjemy! Pewnie gdyby Jezus Chrystus powrócił na

ziemię, także byłby zmuszony rozpowszechniać przesłanie „Będziesz miłował bliźniego swego”, drukując tekst na fioletowych podkoszulkach. Albo: „Szczęśliwi ubodzy w duchu, albowiem ich jest królestwo niebieskie” wypisane na białych bluzach, 70% bawełny, 30% akrylu, prać w letniej wodzie. Conrad doskonale by w tym wyglądał.

Tak samo wyobraziłem sobie Laoziego, którego można by rozreklamować dzięki sklepikowi z gadżetami. „Ten kto wie, nie mówi. Ten kto mówi, nie wie”. Na przykład mogłoby się to pojawić na odjazdowych kostiumach bikini!

W każdym razie skoro Raoul, mój przyjaciel profesor Raoul Razorbak, nie miał nic przeciwko temu, jakim prawem ja miałbym się im sprzeciwić?

Brat otworzy sklep, będzie zamawiał jakieś łachy i całą tę tandetę na Tajwanie, a matka stanie za ladą.

Wzruszyłem tylko ramionami, mówiąc sobie, że śmieszność jeszcze nikogo nie zabiła.

- A kiedy mi przedstawisz tę swoją pielęgniarkę? - zapytała matka, zupełnie jakby chciała mnie dobić.

89 - MITOLOGIA AUSTRALIJSKA

W mitologii australijskich Aborygenów pojawia się Numbakulla, „Zawsze istniejący”, który powstał z nicości. Numbakulla jest istotą przybyłą znikąd, która nagle wyłania się z nagiej ziemi. Kieruje się na północ, a góry, rzeki, także rośliny i zwierzęta wyrastają na jego drodze.

Idąc, zostawia za sobą dzieci-duchy, nieśmiertelne dusze, które wyszły z jego ciała. W jednej z jaskiń wyrył święte znaki nazywane Tjurungas, które posiadają moc wyzwalania energii. Pierwszy Przodek zrodził się ze związku Tjurungi i dziecka-ducha.

Inni przodkowie pojawili się w ten sam sposób i zajęli się nauczaniem pierwszych ludzi.

Pewnego dnia Numbakulla wbił pal na środku placu. Pokrył go swoją krwią, wspiął się na niego, a potem dał znak Pierwszemu Przodkowi, by ten do niego dołączył. Ponieważ jednak krew uczyniła pal zbyt śliskim, Przodek spadł na ziemię.

Tak więc Numbakulla był jedynym, któremu udało się dotrzeć do nieba, i wciągnął za sobą pal.

Nikt nigdy więcej już go nie ujrzał.

Od tej pory ludzie wiedzą, że nieśmiertelność wymknęła im się na zawsze. Święty pal pozostaje osią, wokół której wszystko na ziemi się toczy, zgodnie z wolą Numbakulli.

90 - TANATODROM W BUTTES-CHAUMONT

Dzięki specjalnym środkom finansowym przyznanych przez prezydenta Republiki mogliśmy zbudować wspaniały tanatodrom. Nie był to łuk triumfalny, ale nowocześnie wyglądający niewielki budynek położony w spokojnej dzielnicy. Bardzo starannie wybraliśmy lokalizację. Dom znajdował się przy ulicy Botzaris, na samej górze dzielnicy Buttes-Chaumont.

Raoul uznał za zabawne, że będziemy prowadzili badania nad śmiercią niedaleko miejsca, gdzie dawno temu wznosiła się owiana ponurą sławą szubienica Montfaucon. Tutaj na rozkaz króla byli w średniowieczu wieszani zarówno bandyci, jak i ludzie niewinni.

Po dwóch miesiącach wszystko było gotowe.

Mieliśmy do dyspozycji siedem pięter, których okna wychodziły na park Buttes-Chaumont. Na czterech ostatnich piętrach było dwanaście niewielkich mieszkań, po trzy na każdym. Zburzyliśmy ściany na najwyższych poziomach. Urządziliśmy laboratorium o powierzchni 220 metrów kwadratowych na piątym piętrze i salę odlotową, o takich samych wymiarach, na szóstym. Siódme piętro przerobiliśmy na penthouse, całkowicie zamknięty szybami w zimie, będący tarasem na świeżym powietrzu w lecie.

Amandine urządziła według swojego gustu salon recepcyjny i wstawiła do niego wiele roślin i kwiatów. Do tego cokolwiek kolonialnego wnętrza dodaliśmy biały fortepian Steinwaya i czarny bar. Miejsce naprawdę było bardzo, ale to bardzo eleganckie!

Na dole budynku na bardzo skromnej tablicy widniał napis: „Tanatodrom paryski” i mniejszymi literami: „Wstęp tylko dla personelu”. Raoul zaproponował również, żeby dopisać: „Uwaga, startujący tanatonauci”, tak jak w pobliżu lotnisk ustawiane są tablice z napisem „Uwaga, pas startowy”. Pomysł bardzo się nam zresztą spodobał.

Prezydent Lucinder w klasyczny sposób dokonał otwarcia budynku, rozbijając butelkę o drzwi wejściowe. Tym razem prawdziwy szampan, a nie wino musujące. Koniec z oszczędnościami.

W penthousie zorganizowano prezentację dla prasy. Przywódca państwa wygłosił krótkie przemówienie, gratulując nam dotychczasowych osiągnięć i zachęcając nas, byśmy nadal pozostawali na czele wyścigu o podbój „Ostatecznego Kontynentu”. Stojąc na podium otoczonym bujnymi roślinami, ze smutkiem wymieniał kolonie: Kanadę, Indie, Afrykę Zachodnią, które Francja utraciła tylko dlatego, że nie potrafiła utrzymać swojej przewagi.

- Tym razem pozostaniemy pierwsi - zakończył dobitnie.

Potem w świetle fleszów fotoreporterów każdemu z nas wręczył odznaczenie, które wymyślił specjalnie dla nas: order Tanatonautycznej Legii Honorowej. Na medalu przedstawiony był mężczyzna ze skrzydłami anioła lecący w stronę ognistego kręgu.

Być może w tej właśnie chwili, kiedy grzaliśmy się w ciepłe sukcesu i sławy, śmierć przyglądała nam się z góry, tak jak pływające w błotnistej wodzie piranie lubią patrzeć na miejscowe dzieci, które z cienkich popękanych desek próbują zbudować trampolinę.

Odgoniłem od siebie te myśli i powróciłem do hałaśliwej atmosfery przyjęcia. Dziennikarz ze stacji RTV1 znowu tu był, zadawał pytania Amandine, lecz nie miała zanadto ochoty udzielać mu odpowiedzi. Amandine milcząca. Wystarczyło tylko na nią popatrzeć. Ten dziennikarz jednak nie potrafił już patrzeć. Zadawał pytania i w ogóle nie słuchał odpowiedzi, filmował, nie patrząc. Wykorzystując bez przerwy sztuczne zmysły w postaci mikrofonu i kamery, sprawił, że jego naturalne zmysły uległy atrofii. A przecież Amandine była taka piękna. Tego dnia miała na sobie obcisłą suknię z czarną lamówką, ale starałem się unikać jej ciemnoniebieskich oczu, które przyciągały mnie niczym dwie przepaści bez dna.

Matka wykorzystała moment, kiedy dziennikarz z RTV1 zrobił sobie przerwę, żeby zasypać go odpowiedziami na pytania, na które nawet nie wpadł. „Tak, niebawem będzie otwarty sklep tanatonautyczny”, „Tak, w tym sklepie oferować będziemy T-shirty i gadzety związane z eksperymentami tanatonautycznymi”, „Nie, przed wakacjami nie przewidujemy wyprzedaży”.

Prezydent dalej przemawiał na estradzie, upajając się własnymi pomysłami.

- Ten order - perorował Lucinder, wymachując medalem - będzie nagrodą dla tych wszystkich, którzy przyczynią się do postępu w tanatonautyce, także dla naszych zagranicznych kolegów, którzy dołączą do nas i będą z nami współpracować. Życzę wszystkim powodzenia!

Cholerny Lucinder. Był zdecydowany na wszystko, żeby tylko jego nazwisko znalazło się w podręcznikach do historii. Nie wystarczało mu już to, że jest prezydentem, który zainicjował eksperymenty związane ze śmiercią. Żeby mieć pewność, że wycisnął piętno na ludzkich umysłach w czasie i przestrzeni, musiał także wymyślić ten order, „Order Lucindera”, i swój tanatodrom. Miejsce, które bez wątpienia pewnego dnia nosić będzie nazwę tanatodromu Lucindera, tak jak istnieją lotniska J. F. Kennedy’ego czy Roissy-Charles de Gaulle.

Natomiast pomysł, by sprowadzić tu wszystkich zwycięskich tanatonautów, będzie gwarancją, że nigdy nie wyprzedzą nas cudzoziemcy. Nieźle rozegrane.

Wzniosłem toast na jego cześć.

91 - MITOLOGIA TYBETAŃSKA

„Pamiętaj jeszcze o tym:

Poza omamami Nie istnieje

Pan Śmierci

Ani demony

Ani zwycięzca śmierci, Mańdżuśri.

Zrozum to i bądź wolny.”

Bar-do Thos-grol (Tybetańska Księga Umarłych)

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

92 - W PRACY

Już nazajutrz po oficjalnej inauguracji rozłożyliśmy się ze wszystkimi kłopotami w naszym pałacu śmierci.

Prezydent przewidział oddzielne mieszkania dla każdego z nas. A do tego laboratorium z wieloma wejściami, żebyśmy mogli pracować również w nocy. Ponieważ przed seansem w Pałacu Kongresowym każde z nas miało problemy z sąsiadami podczas wymierzonej przeciwko nam kampanii oszczerstw, teraz z radością instalowaliśmy się w nowym miejscu.

Zdecydowałem się na mieszkanie na trzecim piętrze.

Zaraz potem udałem się do laboratorium, gdzie zastałem już Raoula, który był niezwykle przejęty tym, jak zdecydowaną wolę przyspieszenia działań wykazuje prezydent Lucinder.

- Amerykanie, Japończycy, Anglicy... Tylko takie słowa cisną mu się na usta. Nic z tego nie rozumie. Tu chodzi bowiem o długofalowe działania. Możemy posuwać się do przodu jedynie krok po kroku, do tego działając niezwykle ostrożnie.

Zdziwiłem się, widząc, że mój przyjaciel przyjął teraz tak bardzo stateczną postawę,

gdyż nie tak dawno jeszcze zachęcał nas do tego, by przeć do przodu, nie zważając na żadne przeciwności.

- Nie wolno mylić szybkości z pośpiechem.

Najpierw należało ostudzić nieco zapał Féliksa, który pragnął zwiększenia liczby startów.

Nasz tanatonauta wielce się zmienił od czasu zwycięstwa, jakie odniósł w Pałacu Kongresowym. Udzielał jednego wywiadu za drugim. Bez przerwy zapraszano go do telewizji, do udziału w różnych grach czy debatach i niezależnie od programu zawsze to uwielbiał.

Ponieważ przez trzydzieści lat był traktowany jak ktoś, kto wart jest mniej niż zero, rozumiałem jego chęć wzięcia rewanżu. Specjalista od chirurgii plastycznej przemodelował jego pokiereszowaną twarz. Słynnemu oftalmologowi udało się wyciągnąć mu z oczu szkła kontaktowe, które zmuszały go do ciągłego mrugania. Na łysiejącej głowie wszczepiono włosy. Ubierali go, rzecz jasna z myślą o własnej reklamie, najwięksi projektanci mody. Piękny elegancki Félix Kerboz uosabiał teraz doskonałego bohatera śmierci.

Wszędzie go było pełno. Brał udział we wszystkich premierach, był na wszystkich wernisażach, na wystawnych przyjęciach w najmodniejszych klubach nocnych. Zaproszenie jedynego na świecie tanatonauty do stolika było przywilejem, o który walczyły ze sobą panie z najwyższych sfer. Félix dostał się również do „Księgi rekordów Guinnessa” jako człowiek, który dotarł najdalej w świecie postwitalnym. Między najpotężniejszym wypluwaczem pestek czereśni a największym piwoszem Kerboz występował w stroju Supermana u boku przepięknej topmodelki trzymającej w ręku kosę.

Félix naprawdę stał się wielkim światowcem.

Z jednej strony byliśmy zachwyceni, ponieważ tym chętniej powinien wracać na nasz padół, a nie dać się wciągnąć tam, w górze, przez nie wiadomo jakie pokusy. Z drugiej strony denerwowały nas ustawiczne opóźnienia, które wynikały z zarywanych przez niego kolejnych nocy. Spędzał czasami całe dni w łóżku, żeby odespać, zamiast pojawić się na tanatodromie, który był jakby jego biurem. Poza tym tak bardzo przywykł do otaczającego go podziwu, że niewielką wagę przywiązywał do naszych rad i do tego, co robiliśmy.

Mimo wszystko Félix Kerboz zachował resztki profesjonalizmu. W pierwszym tygodniu, kiedy już zainstalowaliśmy się w Buttes-Chaumont, udały mu się dwie wyprawy w tę i z powrotem.

Potwierdził istnienie bariery „koma plus dwadzieścia jeden minut”. Było to coś, co przypominało wypełnioną parą membranę, którą porównał do wąskich przezroczyстых ust.

„Za tą barierą srebrna pępowina, która łączy nas ze światem, pęka i nie mamy już zupełnie ochoty wracać na ziemię”, twierdził. Wszystkie gazety podchwyciły określenie „bariera komatyczna”. Niektórzy nazywali ją również „barierą śmierci” albo nadawali jej nazwę „Moloch I” czy nawet „Moch 1”, nawiązując do liczby Macha i bariery dźwięku.

Moloch przywoływał na myśl Baala, fenickiego boga Kartaginy. Podczas podróży do Sidi Bou Said w Tunezji widziałem jego wyobrażenie. Wielki, wydrążony w środku metalowy posąg. W jego brzuchu zapalano ogień, a do szeroko otwartych ust wrzucano w ofierze dzieci i dziewice.

Matka otworzyła sklepik na parterze i sprzedawała teraz, zgodnie z ustaleniami, T-shirty, breloczki do kluczy i bejsbolówki. Jej sklep nosił skromną nazwę „U Zdobywców Śmierci”.

Można tam było znaleźć różnego rodzaju produkty, takie jak na przykład kufle do piwa z napisem „Umieranie to mój zawód”. Napisy wykonane grubymi literami widniały na wszystkich pozostałych gadżetach; na popielniczkach pojawiło się „Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz”; na zegarkach „Ostatnia zabija”; na rolkach papieru toaletowego: „Nic nie ginie, nic nie powstaje, wszystko się przeobraża”; na świeczkach: „Umieram i lubię to”; na latawcach: „Niebo nie będzie czekać”. Można też było znaleźć strój dla dzieci pod nazwą Mały Félix, kasety wideo z jego odlotu w Pałacu Kongresowym, zestawy dla małego anestezjologa tanatonauty, do których dołączono moje zdjęcie. Jeśli chodzi o gust, no cóż...

Ale co tam... wybierać można przyjaciół, rodziny się nie wybiera.

93 - KARTOTEKA POLICYJNA

Informacja skierowana do właściwych służb

Ruch tanatonautyczny zaczyna przybierać tak potężne rozmiary, że niemożliwe będzie zapanowanie nad nim przy użyciu zwykłych środków interwencyjnych. Tanatonautyka stała się czymś nieuniknionym. Wobec braku możliwości podejmowania działań w stosunku do ruchu jako takiego możemy wyeliminować tylko głównych działaczy (patrz karty identyfikacyjne), a w szczególności Raoula Razorbaka, Michaela Pinsona oraz Amandine Ballus. Uważamy, że niebezpiecznie byłoby pozwolić im działać dalej. Mogą wywołać poważne niepokoje. Prosimy o wydanie zgody na interwencję.

Odpowiedź właściwych służb

Zalecamy dalsze oczekiwanie i obserwację. Za wcześnie na interwencję.

94 - PROBLEM TEOLOGICZNY

- Bardzo fajna ta wasza „bariera komatyczna”, ale jeśli nie zaproponujecie opinii publicznej jakiegoś logicznego rozwiązania, już niebawem zostaniecie wzięci za szarlatanów. A ja przy okazji też!

W gabinecie, w którym pełno było komputerów i monitorów kontrolnych, prezydent Lucinder był bardzo podekscytowany. Miał rację: wyjaśnienie, na czym polega eksperyment, jest często ważniejsze od samego eksperymentu. W swoim czasie Pasteur zresztą chętnie interpretował wyniki swoich badań, zanim jeszcze naprawdę je zweryfikował. Dokonaliśmy niezwykłego odkrycia. Do nas więc należało teraz wyjaśnienie wszystkim, na czym ono właściwie polega.

Raoul zapalił smukłymi palcami jednego z tych swoich biddies. Zamyślony wypuścił dym, po czym oświadczył:

- Być może mam interpretację, którą mógłbym zaproponować opinii publicznej.

Prezydent zasiadł wygodnie w fotelu na kółkach. Włączył niewielkie urządzenie do masowania pleców.

- Słucham pana - powiedział łaskawie.

Raoul najpierw się zaciągnął, po chwili wypuścił z rozkoszą kółeczko dymu z eukaliptusa.

- Otóż pierwsze wyjaśnienie mogłoby być następujące: śmierć jest biologicznym regresem. W przypadku „klasycznej śmierci”, gdy neokorteks zamiera, świadomość przedostaje się do systemu limbicznego i wtedy możemy zaobserwować NDE. Między neokorteksem i systemem limbicznym zachodzą jeszcze reakcje chemiczne, co sprawia, że ludzie mogą zapamiętać tunel. Potem świadomość przechodzi do mózgu gadziego. Nadal istnieją relacje między neokorteksem i systemem limbicznym, nie ma ich już jednak między neokorteksem i mózgiem gadzim. Dlatego niczego już nie zapamiętujemy. Nikt nie opowiedział, jak wygląda ta faza. Natomiast stymulowano mózg gadzi, co wywoływało sny, halucynacje, wydarzenia, które dzieją się poza nami z udziałem postaci lilipucich. Świadomość przechodzi następnie od mózgu gadziego do komórek i od komórek do jądra

DNA. DNA ukonstytuowało się już na początku świata, tak więc w tym właśnie momencie postrzegamy, niejako w odmiennym stanie świadomości, świat pierwotny.

Lucinder podniósł rękę i odwrócił się w moją stronę.

- Nic z tego nie zrozumiałem. A może pan, Michaelu, ma do zaproponowania jakąś interpretację?

- Niedawno pojawiła się teoria tachionów. Są to nowe cząstki elementarne, których istnienie odkryto w akceleratorze jądrowym w Saclay. Tachiony posiadają niezwykle wręcz właściwość: są szybsze od światła. I być może właśnie to znajduje się w polu świadomości. Kiedy rano jesteśmy trochę niewyraźni, podobno właśnie tachiony świadomości nie całkiem jeszcze się obudziły. Zwolennicy teorii tachionów sądzą, że jest to cząsteczka, która nie ma ani przeszłości, ani przyszłości. Możliwe, że to tachiony tworzą „materię” duszy.

Lucinder pogłaskał swojego psa.

- Bardzo interesująca ta pana historia z cząsteczkami świadomości, ale słowo „tachion” nie wydaje mi się zbyt medialne. A poza tym wystarczy już naukowego bełkotu. To strasznie wszystkich znudzi. Pan, Raoulu, jeśli się nie mylę, interesuje się mistykami. A która z odmian mistycyzmu proponuje najbardziej wiarygodne rozwiązania?

- No cóż, według „Tybetańskiej Księgi Umarłych”, składamy się podobno z trzech ciał.

- Pan żartuje? Chce pan, żebym opowiadał o czymś takim moim wyborcom? - obruszył się przywódca państwa.

- Powtarzam tylko, co napisane jest w „Księdze”. A zatem mamy trzy ciała. Pierwsze z nich jest „ciałem fizycznym”. Składa się z materii stałej, fizycznej i lotnej, a wszystko razem tworzy nasz organizm. Ciało to w połączeniu z pięcioma zmysłami dostarcza nam wszystkich doznań wizualnych, słuchowych, dotykowych i tak dalej. W chwili śmierci materia rozkłada się i zamienia w pył. Drugie ciało miałoby być „ciałem witalnym”. To magnetyczna pokrywa, która otula ciało fizyczne oraz określa jego silne i słabe strony. Tam umiejscowione są energetyczne południki, o których mówią Chińczycy, oraz czakramy wymieniane przez hinduskich joginów. Tamtędy przebiega nasza naturalna energia, ta, którą wydzielamy z siebie, i ta, którą otrzymujemy z zewnątrz. Tę energię hindusi nazywają *prana*, a dla Chińczyków to jest *qi*.

Wercyngetoryks ziewnął, śliniąc się przy tym obficie. Pomyślałem wtedy, że jest czymś co najmniej dziwnym, żeby prezydent, który uważa się za Cezara, nazwał swojego psa Wercyngetoryksem. Dominować nad labradorem, cóż za żalosne zwycięstwo!

Słuchając mistyczno-naukowego wykładu mojego przyjaciela, pragmatyczny

wybraniec ludu czuł się cokolwiek nieswojo.

- Niech pan mówi dalej! - poprosił mimo wszystko.

- Od naszego „witalnego ciała” zależy jednak nasze promieniowanie, wibracje i charyzma. A więc wszystko, co sprawia, że bez widocznych powodów podobamy się ludziom lub nie. Choroba wynika w zasadzie tylko z braku równowagi między naszym ciałem fizycznym i ciałem witalnym. Stąd też wzięła się chińska akupunktura, która wyzwala energię w niektórych punktach i zmusza ją do przemieszczania się w inne miejsca...

Ciało fizyczne, ciało witalne... Zgadywałem myśli Lucindera. Czy należy jak najszybciej pozbyć się teraz tego szalonego naukowca, skoro już uporaliśmy się z czarną robotą, i zastąpić go jakąś znacznie lepiej się prezentującą postacią ze świata nauki?

W pewnym momencie wzrok prezydenta zatrzymał się na mnie, tak jakbym był możliwym następcą Raoula. W końcu byłem w to zamieszany od samego początku, a wydawałem się nadal całkiem zdrowy na umyśle.

Pochłonięty wyjaśnieniami Raoul nie dostrzegł wątpliwości u swojego rozmówcy. Niewzruszony mówił dalej:

- Zresztą Kartezjusz nie miał niczego innego na myśli, kiedy oświadczył, że różnica między ciałem i duszą polega na tym, że ciało jest podzielne, podczas gdy dusza jest niepodzielna. Co oznacza, że wszystko się łączy... No dobrze, może też się zdarzyć, że ciało witalne i ciało fizyczne będą funkcjonowały oddzielnie.

- W jakich okolicznościach?

- Hm, pod wpływem narkotyków na przykład lub w chwili omdlenia, orgazmu albo bardzo silnej traumy psychicznej.

- Lub kiedy jesteśmy pogrążeni w śpiączce?

- Właśnie. Mój ojciec, który sporo czasu poświęcił tej kwestii, uważał, że medium i niektórzy mistycy są w stanie w pełni świadomie oddzielić ciało witalne od ciała fizycznego. Był wprawdzie nauczycielem filozofii, ale miał bardzo naukowe podejście do różnych spraw... Według niego jest to jak pozbycie się przezroczystej rękawiczki, która przylepiła się do skóry.

Prezydent znowu pogłaskał psa.

- Znalazłem także teksty napisane pod koniec dwudziestego wieku przez niejakiego profesora Ruperta Sheldrake'a. Ten fizyk zapewniał, że przedmioty posiadają formę niezależną od ich materii. Przyszłe drzewo jest już niejako zapisane w ziarnie, starzec ukryty w płodzie, a formy przemieszczają się jak mobilne bazy danych. Sheldrake dostarczył dowodu na istnienie tych niematerialnych form, nie dając przy tym przekonującego

wyjaśnienia. A może jest to zjawisko elektromagnetyczne? Pomijając wszystko, każdy z nas posiada własny zapis elektromagnetyczny. Energię tę wyczuwamy delikatnie, gdy zbliżamy do siebie otwarte dłonie. Ale tutaj jest jakby kulka, którą czasami postrzegamy jako małe słońce, gdy dotykamy swoich dłoni lub gdy musnąwszy skórę obcej osoby, poczuwamy nagle wyładowanie elektryczne. Dotknęliśmy niewidzialnej otoczki. Być może otarliśmy się o czyjąś duszę!

Lucinder niecierpliwił się coraz bardziej.

- A trzecie ciało? - zapytał.

95 - WYWIAD

Przeczytane w czasopiśmie „Magazine féminin”.

M. F.: A więc dusza, mówi pan?

KERBOZ: Tak. Zupełnie jak niewidzialna rękawiczka, która nas zakrywa i którą można zdjąć.

M. F.: Czy może pan to ująć bardziej precyzyjnie?

KERBOZ: Tam moje ciało przypomina przezroczystą chmurę wypełnioną różnobarwnymi refleksami. Pokrywa się z obrysem mojego normalnego ciała, ale nie ma konsystencji, nic nie waży i przemieszcza się tak szybko, jak chce. Może przenikać przedmioty, ale i przedmioty mogą przez nią przenikać.

M. F.: To ektoplazma?

KERBOZ: Nie wiem, czym jest ektoplazma. Mówię o swoim ciele, które stało się przezroczyste. Ludzie nie mogą go już zobaczyć i nie może ono komunikować się z nimi. Za to może przechwytywać myśli ludzi żyjących. Co za przedziwne uczucie!

M. F.: A sama podróż?

KERBOZ: Podróżuje się z prędkością myśli. Kiedy jestem przezroczysty (wykonuje ruchy pływaka), mogę przejść przez panią o, tak. A jednak jestem nadal przywiązany do fizycznego ciała za pomocą srebrzystej pepowiny, czegoś w rodzaju elastycznej świecącej linki.

M. F.: I przyjemnie jest latać, kiedy jest się takim „przezroczystym ciałem”?

KERBOZ: Tak. Ma się wrażenie, że nie istnieją żadne granice. Nie boimy się, że możemy się zranić albo że się zmęczymy. Jesteśmy jedynie ideą w zawieszeniu, która może się przemieszczać z prędkością myśli.

M. F.: Trzeba mimo wszystko sporo odwagi, żeby potem znowu powrócić do swojego bolącego ciała!

KERBOZ: Zgadza się. Zwłaszcza kiedy ma się wrośnięty paznokieć!

96 - FILOZOFIA JAPONSKA

„Odkryłem, że droga Samuraja zasadza się na śmierci. W sytuacji kryzysowej, kiedy możliwości przeżycia i śmierci są sobie równe, musi on bez wahania wybrać śmierć. Nie ma w tym nic trudnego, należy po prostu uzbroić się w odwagę i działać. Niektórzy twierdzą, że umrzeć, nie spełniwszy swojej misji, to umrzeć na darmo. Rozumowanie to, którego wyznawcami są panoszący się w Osace przepętnieni pychą handlarze, nie jest niczym więcej jak obtudnym wyrachowaniem, wynaturzonym naśladownictwem etyki Samurajów.

Dokonać właściwego wyboru w sytuacji, w której możliwości przeżycia lub śmierci się równoważą, jest prawie niemożliwe. Wszyscy wolimy żyć i jest rzeczą zupełnie naturalną, że człowiek zawsze znajdzie sobie jakieś powody, żeby trwać przy życiu. Ten, który wybierze życie, nie podoławszy swojej misji, ściągnie na siebie pogardę i uznany zostanie za tchórza i nieudacznika”.⁸

Hagakure, kodeks postępowania samuraja, XVII w.

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

97 - CIAŁO MENTALNE

Prezydent Lucinder wsłuchiwał się uważnie w słowa profesora Razorbaka. Ja także byłem po raz kolejny pod wrażeniem wypowiedzi mojego przyjaciela. Raoul wiedział tyle różnych rzeczy! Ileż książek udało mu się zmagazynować w głowie?

Kiedy się słucha Raoula, można dojść do wniosku, że porządna biblioteka warta jest wszystkich guru i wszystkich wschodnich mędrców tego świata!

⁸ Cytat za: www.zrodlahistoryczne.prv.pl.

- Trzy ciała, powiedział pan - podjął na nowo Lucinder. - Ciało fizyczne, ciało witalne i co dalej?

- Ciało mentalne. To ono dostarcza nam myśli, idee, świadomość. Ciało mentalne somatyzuje i przy okazji burzy równowagę energetyczną ciała witalnego. To ono sprawia, że w tej chwili do pana mówię. Dokonuje analizy i syntezy wszystkich informacji pochodzących z naszych zmysłów i nadaje im rozumowe znaczenie. Ciało mentalne zakochuje się, śmieje i płacze.

Przywódca państwa był od tej pory najwyraźniej zafascynowany.

- Ciało fizyczne, ciało witalne, ciało mentalne. Nie takie proste, owszem, ale wyjaśniałoby to, że docieramy do zaświatów, pozornie śpiąc!

98 - KOLACJA PRZY ŚWIECACH

Odkryliśmy po drugiej stronie tanatodromu małą restaurację tajską, która z czasem stała się naszą stołówką. Prowadził ją pan Lambert, prawdziwy Taj z Chiang Mai, a jego specjalnością był makaron na parze z bazylią. Podczas gdy rozmawialiśmy z Amandine i Félixem o naszym wyjątkowym spotkaniu z prezydentem i o nowych celach, jakie stoją przed tanatonaucyką, jakiś chłopczek przykleił się do naszego stołu.

- Czy Félix Kerboz to pan? - zapytał Félix.

Nasz bohater skinął głową, rozradowany i szczęśliwy jak zawsze, gdy go rozpoznawano.

Dziecko poprosiło o autograf i od razu obiegła nas cała masa wielbicieli, a wszyscy wokoło zapewniali, że Félix jest jeszcze piękniejszy w rzeczywistości niż w telewizji.

Zapłaciłem czym prędzej rachunek i szybko się stamtąd wycofaliśmy.

Félix natomiast chętnie by tam jeszcze został. Promieniał w blasku usłyszanych komplementów. Zapisywał swoje nazwisko na menu, na papierowych serwetkach, na bloczkach restauracyjnych, a z jego oczu sypały się iskry szczęścia. Wreszcie czuł się kochany.

99 - MITOLOGIA LUDÓW KENII

Pierwotnie dla ludów Bantu człowiek był nieśmiertelny. Aby utwierdzić je w tym przekonaniu, Bóg wysłał najpierw kameleona. Potem jednak, po dłuższym namyśle, Bóg zmienił zdanie i wyznaczył drugiego posłańca, tym razem ptaka, który miał poinformować człowieka, że wcale tak nie jest i że człowiek musi umrzeć.

Kameleon zjawił się o wiele wcześniej niż ptak. Niestety strasznie się jękał i nie zdążył przekazać całego przesłania ludziom. Tak więc ptak nie miał żadnych problemów, żeby przekazać swoje przesłanie: ludzie będą umierali i nie powrócą nigdy na ziemię w postaci podobnej do tej, jaką mieli w poprzednim życiu.

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

100 - FÉLIX POSUWA SIĘ ZA DALEKO

Miesiąc po inauguracji tanarodromu w Buttes-Chaumont Amandine ogłosiła uroczyste swoje zaręczyny z Félixem. A ja, jak kompletny imbecyl, niczego nie dostrzegłem albo może nie chciałem nic widzieć.

A przecież rozmawialiśmy z Raulem o Amandine. Zgodziliśmy się co do tego, że jedyny sposób, aby spodobać się tej dziewczynie, to umrzeć. Tylko tanatonauta mógł wzbudzić jej zainteresowanie. A swoją drogą co ona mogła widzieć w tym ponurym chamie, jakim był Félix? Owszem, zgoda, był sławny, i co z tego? W każdym razie po raz kolejny nasza tajemnicza Amandine wymykała mi się całkowicie z rąk.

Przyznaję, że kiedy małżonkowie już zamieszkali razem, poczułem lekkie ukłucie w sercu. Starłem się, żeby zazdrość nie wzięła góry nad przyjaźnią.

Jeśli zaś chodzi o pracę, to chociaż Félix trąbił w prasie na lewo i prawo, że już niebawem przekroczy Moch 1, wciąż mu się to nie udawało. Co gorsza, odczuwał coraz silniejsze wahania, gdy przychodziło do startu. Teraz kiedy miał Amandine i stał się ulubieńcem paryskiej śmietanki, wcale nie miał już takiej ochoty, żeby zanurzać się w niebezpiecznych, sztucznie Wywoływanych śpiączkach.

Nie mogliśmy dłużej opierać wszystkich naszych nadziei na jednym tylko, do tego

kapryśnym tanatonaucie. Musieliśmy Czym prędzej odtworzyć naszą stajnię. Félix również był tego zdania. Na wszelki wypadek w gazetach zamieściliśmy niewielkie Ogłoszenie: „Tanatodrom w Paryżu poszukuje ochotników”.

Sądziliśmy, że kandydatów będziemy mogli policzyć na palcach jednej ręki. A tu niespodzianka: zgłosiło się ponad tysiąc desperatów. Selekcja była drakońska. Raoul, Amandine, Félix i ja przemaglowaliśmy ich na wszystkie strony. Spośród nas wszystkich Félix okazał się najbardziej wymagającym egzaminatorem. Oczywiście on najlepiej znał zagrożenia i wołał raczej studiować zapał tych entuzjastów, zamiast mówić im: „Dalej, naprzód! Lećcie w przestworza! Zobaczycie, jak was rozczocho!”.

Sportowcy wyczynowi i kaskaderzy okazali się najlepiej przygotowani, żeby zaliczyć testy podczas selekcji. Każdy z tych młodych ludzi znał doskonale możliwości własnego ciała i co więcej, wiedział, czym jest podejmowanie ryzyka i ocieranie się o śmierć. Owszem, straceńcy, choć nie do końca!

Na drugiego oficjalnego tanatonaucę wybraliśmy Jeana Bressona. Ten doświadczony kaskader wystartował i wylądował bez problemów. Zbliżył się do Moch 1 na sporą wprawdzie odległość, ale według opisu, który nam przekazał, sam Félix przyznał, że mu się udało.

Bresson osiągnął poziom „koma plus osiemnaście minut”. Trzej inni tanatonauci zatrzymali się następnie na „koma plus siedemnaście minut”. Wciąż nie byliśmy w stanie przesunąć granicy *Terra incognita* znajdującej się w odległości „koma plus dwadzieścia jeden minut”, lecz wiedzieliśmy już doskonale, co znajduje się wokoło: ogromny wielobarwny wirujący korytarz utworzony z gazów.

Na te cztery zakończone względny sukcesem próby ponieśliśmy też dwadzieścia trzy porażki. Podjęliśmy liczne środki ostrożności, a jednak młodzi i zbyt niecierpliwi kandydaci prześlizgnęli się mimo wszystko przez oczka zastawionego przez nas sita. Wyśrubowaliśmy jeszcze bardziej testy selekcyjne. Istotne było, żeby pozostali z nami wyłącznie ludzie wystarczająco dojrzały i obdarzeni wystarczająco silnym charakterem, żeby oprzeć się wabienu śmiertelnego światła.

A zatem precz ze szpanerami, którym w głowie było jedynie zrobienie wrażenia na kumplach albo na panienkach przez wstąpienie do naszego szlachetnego bractwa! Precz z ludźmi pogrążonymi w rozpacz, którzy tanatonaucę traktowali jak ostatni krzyk mody w dziedzinie samobójstwa! Precz z tymi, którzy czują się źle w swojej skórze i chcą sprawdzić, czy tam jest lepiej niż tutaj! Dobry tanatonaucą musi być człowiekiem szczęśliwym, zdrowym na ciele i na umyśle, takim który będzie czuł, że umierając, wszystko straci.

W końcu najchętniej przyjmowaliśmy kandydatury ojców wielodzietnych rodzin!

Po wielu przeprowadzonych doświadczeniach uzyskaliśmy jednak w kilku kwestiach pewność:

1. Ciało pozostaje na miejscu. W podróż wyrusza tylko dusza.
2. Oddzielając się od ciała, dusza przyjmuje postać białawej ekto plazmy, która może przenikać przez wszelkiego typu materię i przemieszczać się co najmniej z prędkością światła.
3. W chwili śmierci ekto plazma unosi się do nieba, łącząc się tam z niebieskim lejkiem, na którego końcu świeci światło.
4. Ekto plazma jest połączona z cielesną powłoką za pomocą srebrzystej pępowiny.
5. Jeśli pępowina zostaje zerwana, niemożliwy staje się powrót do życia.
6. Na poziomie „koma plus dwadzieścia jeden minut” znajduje się bariera.

Dziennikarze specjalizujący się w tematyce naukowej rozpowszechnili te kilka informacji i zaczęły się pojawiać tysiące majsterkowiczów, którzy próbowali odlecieć, wykorzystując boostery przygotowane w sposób bardziej lub mniej chałupniczy. Niektórzy lecieli na thiopentalu, inni na chlorku potasu. Nie znali jednak odpowiednich proporcji. Każdego tygodnia odnotowywano pewną liczbę wypadków tanatonautycznych. Byli tacy, co odlatywali w zaświaty po użyciu barbituranów, a nawet po zaaplikowaniu sobie herbicydów. Erotomani wykorzystywali w tym celu orgazm.

Wszystko właściwie nadawało się na paliwo: czerwone wino, grzybki halucynogenne, wódka, kokaina, skok na bungee, przeterminowane owoce morza, elektrowstrząsy... Słowem wszystko, co mogło odłączyć istotę ludzką od rzeczywistości! Nie było niczego bardziej modnego niż „tanatonaughting”. Zdanie: „Nawet nie potrafisz się odczepić od swojego ciała” stało się jedną z najczęściej stosowanych obelg. W podtekście wiadomo było, że taka osoba jest tylko ciałem czysto fizycznym i nie wie, co zrobić z ciałem witalnym lub ciałem mentalnym. Chcąc położyć kres tej hekatombie, prezydent Lucinder wydał rozporządzenie, w którym zakazywał, pod groźbą kary wieloletniego więzienia, podejmowania wszelkich prób tanatonautycznych poza obszarem tanatodromu paryskiego.

Po okresie, w którym Félix poszedł niejako w odstawkę, postanowił podjąć próbę pobicia własnego rekordu. Kilkakrotnie zaprosił dziennikarzy i kamerzystów, ale pomimo wielokrotnie ponawianych prób nie udało mu się przekroczyć bariery Moch 1. Z czasem prasa się zniechęciła. Za każdym razem gdy powracał między żywych, Félix widział wyraźnie, jak topnieje grupa jego admiratorów. Żeby całkowicie się nie zniechęcił, Amandine, Raoul i ja posuwaliśmy się do tego, że opłacaliśmy statystów, którzy wypełniali rzędy przeznaczone dla

prasy. Félix jednak nie był aż tak naiwny: nauczył się bowiem rozróżniać, kto jest kim w świecie mediów.

Ponieważ stawał się coraz bardziej smutny i melancholijny, podsunęliśmy mu myśl, żeby przeszedł na emeryturę. Ostatecznie wystarczająco dużo zrobił dla rozwoju tanatonauryki. On jednak nie chciał się z tym pogodzić i twierdził, że wycofa się dopiero wtedy, gdy przekroczy barierę Moch 1. Z czasem stało się to jego *idée fixe*.

101 - MITOLOGIA WEDYJSKA

*„Idź, idź po drogach pierwszych, najdawniejszych,
po których dawni nasi ojce poszli,
Zobaczysz Jamę i boga Warunę, obydwu królów,
radosnych w swej chwale”.*

Hymny Rigwedy, Mandala 10, Hymn 14⁹

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznaną* Francisa Razorbaka

102 - CHWIŁA WYTCHNIENIA

Nieoczekiwanie wszystko zaczęło iść nam źle. Félix stawał się coraz bardziej porywczy. Odłożył ślub z Amandine na bliżej nieokreślony termin. Podejrzane wybroczyzny wskazywały na to, że ją bije. Zresztą wieczorem odgłosy ich kłótni docierały do sąsiednich mieszkań.

Zarzucając jej pazerność, która i jego cechowała, Félix oskarżał Amandine, że zależy jej tylko na jego pieniądzach. Prawdą jest, że jego dochody były teraz naprawdę spore, zwłaszcza odkąd prezydent Lucinder przyznał mu stypendium tanatonauryczne. Wywiady także przynosiły nadal spore zyski. Zaangażował agenta literackiego, żeby sprzedać swoje wspomnienia temu wydawcy, który da najwięcej, a umowa miała opiewać na naprawdę wysoką kwotę. Mój brat przekazywał mu procent od wszystkich T-shirtów z jego podobizną. Rzeczywiście było z czego odłożyć niezłą sumkę w banku!

⁹ Przeł. F. Michalski.

Amandine zbierała ciosy i upokorzenia, ale postanowiła zacisnąć zęby. Jej podziw dla tanatonaudy był nadal ogromny. Dopiero gdy Félix zaczął się afiszować z „zawodowo lekkomyślnymi panienkami”, jej pancerz stoicyzmu pękł. Przyszła wyplakać się na moim ramieniu.

Pocieszałem ją, jak umiałem. Od pierwszej chwili byłem w niej przecież szaleńczo zakochany, lecz unikałem jednocześnie wypowiedzania jakichkolwiek nieprzyjaznych zdań na temat jej narzeczonego. Nie wybaczyłaby mi niemiłych uwag, których sama nie szczędziła, gdy szliśmy do tajskiej restauracji pana Lamberta.

Między dwoma kieliszkami alkoholu ryżowego z wody mineralnej wyłaniały się ciemnoniebieskie otchłanie jej oczu.

- Weź się wreszcie w garść.

- Jest taki niesprawiedliwy. Można by sądzić, że ma do mnie pretensje o to, że nie jest w stanie pokonać pierwszej bariery śmierci. Chcę mu pomóc, ale najpierw musiałby mi powiedzieć, jak mam to zrobić.

- Trzeba starać się go zrozumieć - powiedziałem.

Nie miała już ochoty rozmawiać. Amandine skrywała w sobie cały świat tłumionych wyznań. W dniu, w którym ta dziewczyna otworzy wreszcie szufladki swego umysłu, zobaczymy jedną wielką graciarnię. Na razie wołała wszystko gromadzić i niczego po sobie nie pokazywać. Tylko ten kryzys i lży świadczyły o chwili słabości.

Zaproponowałem, żebyśmy poszli na spacer. Godzinę później znaleźliśmy się na cmentarzu Père-Lachaise.

- Tutaj właśnie po raz pierwszy spotkałem Raoula.

- Jesteście prawdziwymi przyjaciółmi, to bardzo piękne - westchnęła Amandine.

- Gdy byliśmy mali, dostawaliśmy po głowie od najsilniejszych wyrostków w klasie.

Niepostrzeżenie przysunęła się do mnie.

- Wydaje mi się, że nie chcę już wychodzić za mąż za Féliksa - powiedziała.

- Nie żartuj, w życiu by się po tym nie pozbierał.

- Nie przejmuj się. Ma cały tłum panienek, które kręcą się wokół niego. Na pewno nie będzie długo sam. Félix był prawiczkiem i dopiero ja nauczyłam go, co to jest kobieta. Poznał jednocześnie, czym jest miłość i śmierć. Teraz może już latać na własnych skrzydłach. Ja tylko pomogłam mu w inicjacji.

- Żałujesz tego?

- Nie. Ale wiem, że nie jesteśmy stworzeni, żeby razem żyć.

- Mylisz się. Jeśli nawet Félix robi różne numery na prawo i lewo, to tak naprawdę

kocha tylko ciebie. Tak bardzo przewyższasz wszystkie inne kobiety. Masz niesamowitą klasę, która...

Roześmiała się żałośnie.

- Słuchaj no, czy ty przypadkiem mnie nie podrywasz?

Teraz ja z kolei powinienem być zasznurować usta i ukryć swoją tajemnicę.

Przytuliła się do mnie z ufnością i trwaliśmy w zimnym ogrodzie pośród grobowców, niedaleko grobu Nerval'a, wpatrując się w gwiazdy. Jej ciepłe serduszko biło tuż przy mojej piersi. Jej spokojny oddech nucił w moich uszach. Chętnie spędziłbym tak resztę życia z nosem wtulonym w złotą grzywę jej włosów.

Brutalne światło latarki elektrycznej i strażnik czyhający na wandalach wyrwały mnie nagle z zauroczenia, a ją z odrętwienia. Otrząsnęła się.

- Masz rację, Michael. Nie wolno przejmować się tak bardzo kilkoma przelotnymi kłótniami ani jakimiś historiami, z których nic nie wyniknie. Jestem niesprawiedliwa dla Féliksa i wyjdę za niego, kiedy tylko zechce.

W taksówce, gdy wracaliśmy, nie mieliśmy już ochoty rozmawiać, ani ona, ani ja.

103 - ROZRÓBA

Nazajutrz na tanatodromie w Buttes-Chaumont atmosfera była bardzo napięta. Félix wrócił jak zwykle kompletnie pijany, do tego w towarzystwie prostytutki. Zmogło ich i padli jak nieżywi na wykładzinę, przy czym wcześniej Félix zdążył jeszcze zarzygać tron startowy.

Zjawiwszy się o świcie, Raoul przegonił dziewczynę, żeby Amandine jej nie zobaczyła, i przy pomocy Jeana Bressona posprzątał na tyle, na ile się dało.

Mimo kilku kubków gorącej kawy Félix nadal miał potężnego kaca.

- Przestańcie mnie, kurde, pouczać! Wiecie, kim ja jestem? Pierwszym tanatonautą na świecie. Na świecie!... Wbijcie sobie to do łbów. Pozostali są tylko asystentami, tandetnymi niby-pilotami.

Zupełnie przypadkowo zjawiłem się w tym samym czasie co Amandine. Félix w oskarżycielskim geście wyciągnął w naszą stronę palec wskazujący.

- A oto i nasze turkaweczki! Jeśli myślicie, że nie pojąłem waszej gierki, to znaczy, że uważacie mnie za kompletnego wała!

Raoul westchnął poirytowany.

- Zamknij się, Félix! Mam złe wiadomości dla wszystkich. Dzisiaj rano przyszedł faks:

Anglikom udało się dotrzeć do Moch 1. Są na etapie „koma plus dziewiętnaście minut”. Więc Félixie, przestań opowiadać bzdury i zabieramy się do pracy z takim samym nastawieniem jak na początku. Pobudka o godzinie siódmej. Śniadanie: owoce i płatki zbożowe. Pełny check-up przed każdym startem. Dyscyplina, dyscyplina i jeszcze raz dyscyplina, tylko w ten sposób nie damy się prześcignąć rywalom.

- Angolom?... Zdziwiłbym się bardzo - wybełkotał Félix. - Luzik, już jutro dotrę do „koma plus dwadzieścia trzy”.

- Aha! Ale tymczasem, pierwszy tanatonauto na świecie, idź wytrzeźwieć u siebie - zarządził oschle Raoul.

Kiedy Raoul przybierał władczy ton, nawet Félix przestawał zgrywać się na gwiazdę i słuchał niekwestionowanego szefa zespołu. Chyląc kark, czknał głośno i wyszedł pośpiesznie.

Tego samego wieczoru Raoul wezwał do siebie Amandine i mnie; wyznaczył nam spotkanie w penthousie. W tropikalnym otoczeniu, wśród gęstych traw wszystkie problemy wydawały nam się znacznie mniej poważne. Tym razem jednak Raoul był bardzo poważny.

- Félix coraz gorzej funkcjonuje - powiedział na wstępie. - A wy uważajcie. Doskonale wiem, że nic między wami nie ma, ale on nakładł sobie różnych rzeczy do głowy i to zakłóca mu spokój!

Nie chciałem wdawać się w dyskusję, która mogłaby być nieprzyjemna dla Amandine, więc czym prędzej postanowiłem skierować uwagę w inną stronę.

- To prawda, co nam powiedziałaś rano? Anglicy rzeczywiście dotarli do Moch 1?

- Tak, to oficjalnie potwierdzona wiadomość. Niejaki Bill Graham depcze po piętach Félixowi, mając na koncie „koma plus dziewiętnaście minut”. Więc chyba rozumiecie, że nadeszła trudna chwila.

Zapalił tego swojego cieniutkiego papierosa i mówił dalej:

- Stawka jest ogromna. Trwa teraz światowy wyścig i nie ma już miejsca na jakiegokolwiek błędy. Dlatego Amandine, bądź tak dobra i rozmów się szczerze z Félixem. Pokaż mu, że wspierasz go i że nawet kiedy jest pijany, nie wzbudza w tobie obrzydzenia.

- Ale... ale... - zaczęła się bronić.

- Zrób to dla tanatonautyki, jeśli nie chcesz tego zrobić z miłości.

Zgodziła się zrezygnowana. Następnego dnia o świcie wyjaśnili sobie wszystko. Przede wszystkim Félix prosił, aby mu wybaczyła, że tak okropnie się zachowywał poprzedniego dnia. Postanowili, że się jednak pobiorą, i mogliśmy przejść do procedur związanych z odlotem.

Kiedy Félix siedział już na tronie startowym, Raoul poprosił go, żeby był ostrożny.

- Nie bój się, staruszk. Jak ty to mawiasz: „Prosto przed siebie, wciąż prosto w nieznane”.

Sam sobie wprowadził boostery w żyły. A potem rozpoczął odliczanie:

- Sześć... pięć... cztery... trzy... dwa... jeden. Start.

Zanim zamknął oczy, rzucił jeszcze krótkie zdanie w stronę Amandine:

- Wybacz mi, proszę.

104 - MITOLOGIA CHIŃSKA

„Na dalekiej wyspie Kouziji żyją przezroczyści ludzie, biali jak śnieg i świeży jak niemowlęta. Nie jedzą nic, tylko wdychają wiatr i piją rosę. Wędrują po przestrzeni, chmury służą im za rydwany, a smoki za wierzchowce. Nie lękają się chorób i monsunów. Są obojętni na wszystko. Powszechny potop nie mógłby ich zatopić. Pożar, który objąłby cały świat, ominąłby ich. Wzniesli się ponad wszystko. Wspinają się w przestworza tak, jakby stąpali po schodach, a w pustce wyciągają się jak na łożu. Lot duszy zaprowadzi ich wszędzie”.

Zhuangzi

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

105 - PUNKT KOŃCOWY

Félix nigdy już nie powrócił na ten padół. Nie ożenił się i nie opowiedział nigdy, co ujrzał za murem Moch 1. Wielka Kostucha zapewne nie pozwoliła mu wbić nowych banderilli. Cerber pożarł go. Wchłonął go Baal. Śmierć... go zabiła.

Tam, w górze, zerwał maskę Gorgonie. Być może zobaczył twarz kobiety w białych atłasach ukrytą za maską z trupią czaszką. Zobaczył ją i nie wrócił, żeby nam opowiedzieć o tym, co ujrzał. Być może nie mógł albo nie pragnął tego wystarczająco mocno. Kuszące światło w głębi niebieskiego korytarza okazało się zapewne silniejsze od naszej przyjaźni. Było też silniejsze od sławy, od miłości do Amandine, silniejsze od alkoholu, prostytutek, od tanatonautycznej przygody. Śmierć nadal zatem strzegła swojej tajemnicy.

Pojawiły się jakieś artykuły w kolorowych pismach, w których sugerowano, że coś pozmieniałem w boosterach, żeby pozbyć się niewygodnego rywala. Ale chociaż byłem do szaleństwa wręcz zakochany w naszej pielęgniarkę, nigdy nie byłbym w stanie świadomie kogoś zabić, a już zwłaszcza Féliksa.

Natomiast zadawałem sobie pytanie, czy Félix świadomie nie wybrał takiego właśnie rozwiązania. Wiedział przecież, że wpadł w pułapkę sławy i powoli unicestwia sam siebie. A bardziej niż cegokolwiek bał się, że straci Amandine. Pomimo tych historii z paniami kochał ją naprawdę, swoją pierwszą i jedyną kobietę.

Pod koniec poczuł, że nie jest jej godzien. Z prostytutkami czuł się swobodnie, gdyż odnajdywał wtedy swój beznadziejny niegdysiejszy stan. A piękna wykształcona Amandine robiła na nim olbrzymie wrażenie. Félix sądził zapewne, że nie zasłużył na tak czułą i miłą żonę.

„Wybacz mi”. Takie były okrutne ostatnie słowa, jakie skierował do Amandine.

Człowiekowi roku, a nawet całego dziesięciolecia zorganizowano państwowy pogrzeb. Jego ciało pochowano na cmentarzu Père-Lachaise w okazałym marmurowym grobowcu. Na kamiennej płycie wyryto napis: „Tu spoczywa pierwszy na świecie tanatonauta”.

106 - MITOLOGIA INDIAN AMERYKI PÓŁNOCNEJ

Jedną z najdziwniejszych postaci w mitologii Indian Ameryki Północnej jest trickster czyli bóg Kojot. Cyniczny klaun, a jednocześnie sprośny i przynoszący śmierć bożek jest często przedstawiany z wielkim penisem i wnętrznościami oplatającymi ciało.

W indiańskich żartach bóg Kojot występuje zazwyczaj jako kozioł ofiarny. Wielki Duch pozwala mu także popełniać głupstwa i czynić zło, a potem sam zaczyna działać, żeby naprawić sytuację. Najczęściej trickster wyobraża sobie, że szkodzi, ale w rzeczywistości jego czyny wywołują skutek odwrotny do tego, który przewidywał. Tym samym trickster, diablę będące rywalem Wielkiego Ducha, okazuje się wcale nie taki zły, jak można by sądzić.

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

107 - BILL GRAHAM

Jean Bresson stał się drugim wielkim francuskim tanatonautą. Po zniknięciu Féliksa Kerboza postanowił wykorzystać środki bezpieczeństwa, które dopracował z myślą o występach kaskaderskich w kinie, zanim przystąpił do próby wykonania wielkiego skoku.

I tak zainstalował w fotelu startowym elektroniczny licznik, który umożliwił natychmiastowy powrót z zaświatów. System funkcjonował jak pasy bezpieczeństwa. Przed startem tanatonauta mógł zaprogramować na przykład licznik na poziomie „koma plus dwadzieścia minut”. Licznik miał następnie wywołać małe wstrząs elektryczny o wyznaczonej porze i spowodować, że pępowina nagle się skurczy, dzięki czemu tanatonauta powróci na ziemię.

Jean Bresson był prawdziwym profesjonalistą. Z dużą dokładnością wskazywał na mapie strefę, w którą celował, a potem wykonywał bardzo dokładne rysunki tego, co zaobserwował.

Wykorzystałem tego niezawodnego pilota, by udoskonalić formułę boostera. Testowałem nową procedurę.

Zamiast podawać od razu całą dawkę narkotyku, dozowałem go teraz w mniejszych dawkach, za to w sposób ciągły. Stosowałem propofol (100 mikrogramów na kilogram ciała i na minutę) w połączeniu z morfiną i gazem (desflurane, od 5 do 10 procent na początku, ale uzyskałem lepsze wyniki, podając isoflurane, między 5 a 15 procent). Wreszcie, żeby ustabilizować czynności biologiczne, zastosowałem pochodną valium, mianowicie hypnovel (0,01 mg/kg). Te nowe rozwiązania sprawiły, że odloty były teraz nieco bezpieczniejsze.

Byliśmy przekonani, że każdy jest w stanie odłączyć się od ciała i uzyskać odcieleśnienie. To po prostu kwestia odpowiedniego dozowania. A Jean Bresson radził sobie doskonale ze wszystkimi moimi miksturami.

Podążał własnym rytmem. Zbadał najpierw poziom „koma plus osiemnaście minut i dwadzieścia sekund”, potem „koma plus osiemnaście minut i trzydzieści osiem sekund”, „koma plus dziewiętnaście minut i dziesięć sekund”. Pracował też nad muskulaturą, zwracał baczną uwagę na odżywianie, badał stale swój rytm biologiczny. Brał pod uwagę wszystkie czynniki, które mogłyby wpłynąć na odcieleśnienie, w tym również panującą w pomieszczeniu temperaturę. (Najlepsze odloty następują w temperaturze 21°C przy wilgotności nieco poniżej średniej.)

Jego odloty były bez zarzutu. Sprawdzał dokładnie boostery i przez długie minuty koncentrował się na celu, jaki miał osiągnąć zgodnie z naszymi mapami.

- Sześć... pięć... cztery... trzy... dwa... jeden. Start!

Czekaliśmy na jego powrót z oczyma wbitymi w monitory elektrokardiografów i elektroencefalografów. Potem włączał się licznik, a urządzenia kontrolne informowały nas o mającym niebawem nastąpić powrocie.

- Sześć, pięć, cztery, trzy, dwa, jeden! Lądowanie.

Jean Bresson był precyzyjny i metodyczny. Krok po kroku, rygorystycznie i z pełną dyscypliną posuwał się coraz dalej na kontynencie umarłych. Odmówił udzielania jakichkolwiek wywiadów dla prasy. Zrezygnował z życia prywatnego, żeby całkowicie poświęcić się działalności zawodowej. Każdego dnia zapisywał postępy w zeszycie i z małym kalkulatorem w ręce wyznaczał rozsądny cel na dzień następny.

Tymczasem po drugiej stronie kanału La Manche Bill Graham zdawał się posiadać podobne zalety. Dotarł już do poziomu „koma plus dziewiętnaście minut i dwadzieścia trzy sekundy”.

Ci dwaj ludzie uczestniczyli teraz w niesamowitym i niebezpiecznym wyścigu. Każdy fałszywy krok mógł się okazać fatalny w skutkach, czego byli w pełni świadomi. Satyryczne pismo ukazujące się w Londynie przedstawiło Grahama i Bressona jako dwa ptaki, które czyszczą dziobami zęby krokodyla. „Słuchaj no, Bill, myślisz, że on długo jeszcze będzie miał otwartą paszczę?”, pytał Francuz. A Anglik na to odpowiadał: „Nie. I na twoim miejscu dałbym już sobie spokój”.

Jednakże centymetr po centymetrze każdego dnia te dwa ptaszki zagłębiały się coraz bardziej w gardziel wzbudzającego lęk gada.

„Koma plus dziewiętnaście minut i dwadzieścia trzy sekundy” dla Grahama.

„Koma plus dziewiętnaście minut i trzydzieści pięć sekund” dla Bressona.

„Koma plus dwadzieścia minut i jedna sekunda” dla Grahama.

Brytyjczyk osiągnął zatem ten sam poziom co Félix. Stanął teraz przed Moch 1. Był bez wątplenia zdeterminowany, żeby podczas następnego lotu pokonać tę pierwszą barierę.

Raoul był wściekły.

- Brytole nas wyprzedzą, a przecież to my jesteśmy pionierami. I to na ostatniej prostej! Fatalnie!

Jego obawy były jak najbardziej uzasadnione. Bill Graham nie był bowiem byle kim. Z punktu widzenia tanatonautyki przeszedł świetną szkołę, mianowicie pracował wcześniej w cyrku. Jako były woltyżer umiał tak się zaprogramować, żeby wykonywać akrobacje w

powietrzu bez siatki zabezpieczającej. Z wywiadu, którego udzielił gazecie „Sun”, dowiedziałem się, że swój talent przypisuje również umiejętności kontrolowania przyjmowanych narkotyków. Jako były narkoman uważał, że narkotyki same w sobie nie są ani dobre, ani złe, ale wyzwalają energię, którą po prostu wystarczy umieć kontrolować.

Graham pytał w jednym z artykułów: „Dlaczego nie wprowadzić do programów studiów uniwersyteckich zajęć z właściwego zażywania marihuany, haszyszu czy heroiny? W społecznościach nazywanych prymitywnymi wszyscy się narkotyzują przy użyciu jakichś roślin w czasie ceremonii, których celem jest sakralizacja przyjmowania środków odurzających. Na Zachodzie takie same środki niszczą narkomanów, gdyż ci stosują je byle jak. Tymczasem są pewne zasady, których należy ściśle przestrzegać: nigdy nie wolno zażywać narkotyków po to, żeby wyjść z depresji, dla rozrywki lub żeby uciec przed rzeczywistością. Zawsze musi to być rytuał! Następnie trzeba przeanalizować skutki, jakie wywołuje każdy z produktów w naszym organizmie, i dawkować go odpowiednio. Można sobie wręcz wyobrazić sytuację, w której jedynie osobom uświadomionym wydawano by pozwolenie na narkotyzowanie się”.

Wynioskowałem z tego, że brytyjski eks-woltyżer musi sporo kombinować z miksturami przed każdym odlotem. Przypuszczenie to oburzyło Jeana Bressona, który żałował, że tanatonautyka nie została uznana za jedną z dyscyplin olimpijskich. Wtedy Graham mógłby zostać wykluczony z powodu stosowania dopingu.

Amandine położyła czule dłoń na plecach Jeana.

- Jeśli mamy do czynienia z dopingiem, to ty jesteś najlepszy. Jesteś zaledwie o dwadzieścia sześć sekund za Billeem, do tego bez stosowania zakazanych substancji!

- Dwadzieścia sześć sekund! Czy ty w ogóle wiesz, co to jest dwadzieścia sześć sekund? - odpowiedział niezadowolony kaskader.

Raoul rozłożył mapę, na której wciąż widniała kreska z napisem *Terra incognita* tuż obok wielkiego lejka.

- Dwadzieścia sześć sekund tam, w górze, oznaczać musi obszar tak wielki jak Francja. Ich geograf zajmujący się Ostatecznym Kontynentem musi mieć nad nami sporą przewagę!

Amandine przyłgnęła mocniej do Bressona. Nagle oczy jej się zamgliły. Amandine kochała tanatonautów, wszystkich tanatonautów, wyłącznie tanatonautów. Sama osobowość facetów takich jak Félix Kerboz czy Jean Besson w ogóle jej nie interesowała. Pasjonowała ją jedynie osoba pioniera i eksploratora śmierci. Dopóki sam nie zostanie tanatonautą, nawet nie podniesie na mnie wzroku. Miała własne porachunki ze śmiercią, toteż miłość

zarezerwowała wyłącznie dla walecznych bojowników.

Podniecony czułym kontaktem z Amandine kaskader ogłosił:

- Jutro dotrę do poziomu „koma plus dwadzieścia minut”.

- Pod warunkiem, że będziesz wystarczająco pewny siebie... - dorzucił Raoul.

Brytyjskie pismo zamieściło nowy rysunek. Dwa ptaszki wciąż dłużyły w zębach krokodyla. „A co się stanie, jeśli wejdę zbyt głęboko w jego paszczę?”, zapytał ptaszek o imieniu Jean. „Przejdiesz reinkarnację”, odpowiedział ptak występujący w roli Billa. „Ależ nie, połknie mnie i przerobi na wielką kupę. - No właśnie, Jean. Na tym polega reinkarnacja!”.

Rysunek dał mi wiele do myślenia. Wynik takiego pojedynku nie musiał przecież być aż tak bardzo smutny.

- Po co uczestniczyć za wszelką cenę w prowadzącej do śmierci rywalizacji? Skoro Graham jest taki mocny, należałoby go po prostu do nas zaprosić niezależnie od stosowanych przez niego środków. Czyż prezydent Lucinder nie wyraził pragnienia, żebyśmy podejmowali u siebie zagranicznych tanatonautów po to, by podzielili się z nami swoimi doświadczeniami?

Twarz Raoula rozjaśniła się w jednej chwili.

- Ależ to doskonały pomysł, Michael!

Tego wieczoru Jean zamiast mnie odprowadzał Amandine. Sam w mieszkaniu miotalem się przy komputerze, żeby opracować nowy wzór chemiczny boostera.

Wszyscy zorientowaliśmy się, że Anglicy mogą w ostatniej chwili wyprzedzić nas na ostatniej prostej. I rzeczywiście, nazajutrz dowiedzieliśmy się, że Bill Graham przekroczył Moch 1.

Poranne gazety donosiły, że dokonał tego wyczynu w nocy, w czasie gdy zastanawialiśmy się nad zaproszeniem go na nasz tanatodrom. Problem jednak w tym, że Bill Graham nie zdążył wyhamować na czas. Moch 1 wchłonął go.

108 - MITOLOGIA LUDÓW AFRYKI POŁUDNIOWEJ

W czasach gdy wszystkie zwierzęta były jeszcze istotami ludzkimi, żył sobie malutki zajaczek, który bardzo płakał po śmierci mamy.

Żeby go pocieszyć, zjawił się Księżyc: „Nie martw się, twoja mama wróci. Popatrz tylko na mnie, pojawiaam się i znikam, wszystkim wydaje się, że zginąłem, ale zawsze pojawiaam się znowu. Tak samo będzie z twoją mamą”.

Zajączek nie chciał mu jednak uwierzyć. Nawet zaczął się bić z Księżycem, żeby pozwolił mu wyplakać się w spokoju. Zadrapał go tak mocno, że do dziś Księżycowi pozostał ślad. Wtedy Księżyc rozgniewał się i rozszczępił mu wargę: „Skoro tak i skoro zajac mi nie wierzy, nie będzie odradzał się tak jak ja i pozostanie martwy”.

A zajac, który był tak naprawdę istotą ludzką, został zamieniony w zastraszone zwierzątko nadające się tylko do tego, by na nie polować. Nie wolno jednak jeść pewnej jego części, gdyż przypomina o tym, że niegdyś był istotą ludzką.

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

109 - MOCH 1

Skoro Bill Graham znikł, wciąż pozostawaliśmy na czele światowej tanatonaucyki. Za nami jednak uformował się już cały peleton, który chciał nas dogonić, a nawet przegonić.

Jean Bresson toczył bój z pierwszą barierą. O ile to, co znajdowało się za barierą, pozostawało nadal *Terra incognita*, o tyle na temat korony lejka wiedzieliśmy teraz znacznie więcej. Tanatonauci z całego świata podskubywali jego ścianki centymetr po centymetrze niczym rozbiegane plemniki.

Londyńskie pismo satyryczne nadal przedstawiało pionierów śmierci jako małe ptaszki, które wydziobują resztki ze szczęki ziewającego krokodyla. „Chodźcie bliżej, moje małe, wciąż jestem głodny”, taki podpis widniał pod trzecim rysunkiem, na którym przedstawiony był gad z rozdziawioną paszczą, łuskami pokrytymi krwią i kilkoma piórkami, które miały wyobrażać biednego Billa.

Niemniej Jean Bresson nie tracił z tego powodu spokoju. Podobnie jak Raoul uważał, że tylko pomalutku zdołamy przegryźć barierę komatyczną.

Ze względów reklamowych czy też z chęci wspomaganie nauki prezydent Lucinder ufundował trofeum wraz ze sporą nagrodą, mianowicie puchar „Moch 1” i 500 000 franków dla mistrza, który pierwszy przekroczy tę barierę i powróci cały i zdrowy, żeby opowiedzieć o swojej podróży.

Sporo osób poczuło nagle powołanie.

Godzina „sportowców” wybiła. Byli to głównie młodzi ludzie przekonani o ograniczeniach i wręcz bezużyteczności oficjalnych tanatodromów, które uznawali za zbyt skostniałe. Proponowali, że wyruszą i powrócą według własnego uznania. W końcu jeżeli

nagrodą miał być puchar, tanatonautyka upodabniała się do skoku o tyczce albo biegu przez płotki. Wkroczyliśmy zatem w coś, co nazwałbym fazą „akrobatyczną”.

Różne kluby i firmy prywatne opracowywały własne pasy startowe, stosując boostery w oparciu o zdobyte przez nas doświadczenia. Pewien sprytny gość wpadł na pomysł założenia pisma pod tytułem „Mały Tanonauta Ilustrowany”, w którym udzielano różnych praktycznych rad i prezentowano najnowsze mapy kontynentu umarłych. Fani, dając drobne ogłoszenia, wymieniali się informacjami na temat tego, jak lepiej startować, sprzedawali skradzione w szpitalach fiołki z propofolem lub chlorkiem potasu, a nawet fotele dentystyczne.

Rzecz jasna oferowano również plakaty z najsłynniejszymi tanonautami: Kerbozem, Grahamem i Bressonem.

Każdego dnia potwór pochłaniał porcję nieostrożnych „sportowców”. Tanatonautyka nie była działaniem takim jak inne. Spaść można było tylko raz. Mówiliśmy o tym na różne sposoby w wywiadach prasowych, ale właśnie ryzyko pociągało najbardziej młodych ludzi.

Dla nich były to nieporównywalne z niczym emocje. Trochę jak w japońskiej sztuce walki iaido, gdzie dwóch walczących staje naprzeciw siebie, a zwycięża ten, który pierwszy zdąży błyskawicznie wyciągnąć miecz i rozpląta na pół czaszkę przeciwnika.

Wypadki wcale nie zniechęcały niedojrzałych pionierów, a sama nagroda przyciągała też wielu oszustów.

Odbieraliśmy całą masę telefonów.

Pewien człowiek utrzymywał, że przekroczył barierę Moch 1 i dostrzegł niebieski korytarz, który prowadził w kierunku białego światła. Kiedy jednak zaprosiliśmy go do nas i przepytaliśmy go, podając mu serum prawdy, przyznał, że wymyślił całą tę historię, by dostać nagrodę. Wielu innych żartownisiów próbowało symulować udany lot. Wśród najbardziej delirycznych opowieści, jakie otrzymaliśmy, był też opisany przypadek mężczyzny, który za barierą Moch 1 ujrzał swoją teściową, inny znowu ujrzał Jezusa Chrystusa bez brody, statek kosmiczny Apollo 13, połączenie z Trójkątem Bermudzkim, istoty pozaziemskie, a jeden nawet twierdził, że nie widział zupełnie nic. Ten ostatni strasznie nas rozbawił. „Za śmiercią nie ma... nic!” mówił. „A co to jest «nic»? - No, nic to nic”, odpowiedział z oburzeniem...

Podczas tych prób straciło też życie wielu porządnym ludzi.

Natomiast Jean Bresson, nie robiąc wokół siebie szumu, posuwał się do przodu sekunda za sekundą, milimetr po milimetrze. Był teraz na poziomie „koma plus dwadzieścia minut i jedna sekunda”.

Odloty w jego wykonaniu były coraz lepsze. Jego serce stopniowo zwalniało i

opracowałem znacznie łagodniejszą formułę boostera, co pozwalało na zwiększenie działania woli (udało się to dzięki nowemu produktowi o nazwie vecuronium; nie chcę was jednak nudzić zanadto wzorami chemicznymi, zapamiętajcie tylko, że vecuronium 0,01 mg na kilogram jest naprawdę czymś niezłym).

- Dzisiaj spróbuję przekroczyć barierę Moch 1 - oświadczył z powagą Jean Bresson, zasiadając po raz nie wiadomo który na fotelu startowym.

- Nie, nie, nie rób tego! - powiedziała Amandine, która już nie kryła się ze swoim uczuciem do młodego kaskadera.

Chwyliła go mocno za rękę. Całowali się długo. Wziął ją w ramiona.

- Nie bój się. Dobrze się do tego przygotowałem, znam swoje możliwości i teraz wiem, że może mi się udać.

Jego głos był spokojny i zdecydowany. Nic w jego zachowaniu nie zdradzało najmniejszego choćby wahania. Tej nocy kochali się bardzo głośno z Amandine, a rankiem wydawał się w znakomitej formie.

Sam wbił sobie igłę w żyłę i kontrolował monitory tak jak pilot, który w kokpicie przed startem sprawdza wszystkie urządzenia.

- Poczekaj - powiedziałem - skoro mówisz, że ci się uda, a sądzę, że ci się uda, musimy koniecznie ściągnąć tu prasę.

Jean Bresson przez chwilę się zastanawiał. Obojętne były mu flesze, reflektory i sława. Sam zobaczył, do czego te miraży doprowadziły biednego Féliksa. A jednak był świadomy tego, że bez reklamy nasze środki topnieją i tak czy inaczej, w imię przyszłości tanatonautyki, trzeba zapewnić sobie jak największą liczbę świadków.

Wyciągnął więc igły i czekał.

O ósmej wieczorem wysłannicy zagranicznych gazet wypełniali pomieszczenie startowe na szóstym piętrze. Zainstalowaliśmy barierki między tronem startowym a strefą dla „zwiedzających”, gdzie ustawiliśmy dla wygody naszych gości fotele kinowe. Niektórzy pojawili się zapewne tylko po to, żeby na żywo być świadkami śmierci tanatonauty.

W ciągu sekundy ktoś tutaj miał porzucić cielesną powłokę i być może nigdy już do niej nie powrócić. Na sali zapanowało duże podniecenie. Od zarania dziejów śmierć zawsze fascynowała ludzi.

Rozpoznałem bardzo poruszonego prezentera stacji RTV1, tego samego, który prowadził wieczór w Pałacu Kongresowym, oraz znacznie spokojniejszego od niego dziennikarza Villaina reprezentującego „Małego Tanatonautę Ilustrowanego”.

Raoul, Jean i ja ubraliśmy się odświętnie - w smokingi. Razem z Amandine

posprzątałśmy bardzo porządnie tanatodrom, który zaczynał już wyglądać jak zapuszczony garaż.

Jean Bresson, który już zasiadł na tronie, wydawał się bardzo skoncentrowany. Emanowała z niego siła, pewność siebie i determinacja. Rozpostarto nad nim mapę Ostatecznego Kontynentu, a on długo się w nią wpatrywał, tak jakby chciał lepiej zapamiętać swój cel, Moch 1. Przekroczyć Moch 1. Zacisnął zęby.

- Moch 1, przebiję cię - wymknęło mu się z ust.

Odetchnął jeszcze głęboko kilka razy.

Ustawił swój licznik na „koma plus dwadzieścia pięć minut”, potem usiadł w fotelu dentystycznym i wciąż z wielkim spokojem wbił sobie igłę w zgięcie łokcia.

Wszystkie kamery zostały włączone, a reporterzy komentowali wydarzenia szeptem, żeby nie przeszkadzać Jeanowi Bressonowi w koncentracji.

- A więc, proszę państwa, Jean Bresson spróbuje dokonać rzeczy niemożliwej, mianowicie postara się przekroczyć pierwszą barierę komatyczną. Jeżeli mu się powiedzie, otrzyma puchar, a do tego nagrodę w wysokości pięciuset tysięcy franków. Od kilku już dni nasz atleta przygotowywał się do tej próby i widzimy, jak bardzo jest skoncentrowany...

- *OK, ready* - powiedział Jean oschłym tonem.

Sprawdziliśmy po raz ostatni wszystkie monitory kontrolne.

- *Ready*, jak dla mnie - powiedziałem.

- Gotowa - rzuciła Amandine.

- Gotowy - rzekł Raoul.

Wyciągnął w górę kciuk jak lotnik przygotowany do startu.

- Prosto przed siebie, wciąż prosto w nieznanne - szepnął do siebie Raoul.

Jean Bresson powoli odliczał:

- Sześć... pięć (zamknięcie powiek)... cztery... trzy (odchylenie głowy do tyłu)... dwa (zaciśnięcie pięści)... jeden. Start!

Zacisnęliśmy kciuki. Powodzenia, Jean. Cholera! pomyślałem, ten farciarz wreszcie odkryje, co się kryje za granicą śmierci. Pozna największą ze wszystkich tajemnic. Wielką tajemnicę, której każdy z nas będzie musiał stawić czoło. Odkryje ją i powie: „Śmierć to jest coś takiego” albo może: „Śmierć to tylko coś takiego”. Szczęściarz z niego. Amandine pożera go oczami. Szczęściarz. Może powinienem był wyruszyć zamiast niego? Tak. Powinienem był... Tak pomyślałem, a tymczasem kamery pracowały na okrągło, by nie uronić ani milisekundy z tego spektaklu.

110 - KARTOTEKA POLICYJNA

Nazwisko: Bresson

Imię: Jean

Włosy: ciemne

Wzrost: 178 cm

Znaki szczególne: brak

Uwagi: pionier tanatonautyki

Słabe strony: brak

111 - PODRĘCZNIK DO HISTORII

Odkąd droga została przetarta przez Féliksa Kerboza, loty w kierunku krainy umarłych kontynuowane były bez przerwy. Procent niepowodzeń spadł do nieistotnego poziomu, gdyż droga prowadząca w zaświaty była teraz bezpośrednia i pewna.

Podręcznik szkolny, kurs podstawowy 2. rok

112 - PO PRZEKROCZENIU BARIERY MOCH 1

Oczekiwanie.

Spojrzałem na zegarek: Jean odleciał dwadzieścia minut i czterdzieści pięć sekund temu. Teraz musi już tam być i przyglądać się temu, co się dzieje za Moch 1. Udało mu się. Pokonał barierę i zbiera teraz zupełnie nowe informacje. Widzi, wie, odkrywa. Niecierpliwie czekaliśmy na jego powrót i opowieść o tym, co zobaczył. Kim lub czym jest śmierć?

Koma plus dwadzieścia jeden minut. Wciąż tam był, jego pępowina nie zerwała się i Jean był wciąż do odzyskania. Wspaniale.

Koma plus dwadzieścia jeden minut i piętnaście sekund. Musi teraz upajać się cudowną wiedzą. Szczęśliwy z niego gość.

Koma plus dwadzieścia jeden minut i szesnaście sekund.

Jego ziemskim ciałem wstrząsnęły nagle drgawki. Pewnie mimowolny nerwowy

odruch.

Koma plus dwadzieścia cztery minuty i trzydzieści sześć sekund. Drgawki powtarzały się coraz częściej. Tak jakby całe ciało było wstrząsane wyładowaniami elektrycznymi. Na twarzy pojawił się grymas, wyglądało na to, że odczuwa potworny ból.

- Budzi się? - zapytał jeden z dziennikarzy.

Elektrokardiograf wskazywał, że tanatonauta wciąż tam jeszcze jest. Pokonał pierwszy mur śmierci. Czynność jego mózgu wzrosła, gdy jednocześnie akcja serca wciąż pozostawała na minimalnym poziomie.

Musiał być zaskoczony po odkryciu tak wielu tajemnic. Z pewnością bowiem przeszedł przez te wrota. Z pewnością już wszystko rozumiał. Kto wie, być może nawet zdychał teraz z rozkoszy, że wie, kim jest Wielka Kostucha. A o śmierci wiedział już na pewno wszystko. Czy był zaskoczony, odkrywając tajemnicę?

Koma plus dwadzieścia cztery minuty i czterdzieści dwie sekundy. Podrygiwał teraz i robił grymasy, jakby śnił jakiś koszmar. Ręce zacisnęły się na poręczach fotela. Spod podwiniętych rękawów smokingu na przedramieniu widać było gęsią skórę.

Wykonywał szybkie nerwowe gesty. Tak jakby walczył z jakimś groźnym smokiem. Pokrzykiwał, z ust ciekła mu ślina, bił na oślep pięściami, poruszał biodrami. Całe szczęście, że pasy bezpieczeństwa unieruchomiły go w fotelu, inaczej bowiem przy całej tej gestykulacji dawno spadłby już na podłogę, odłączając przy okazji rurki i kable, którymi powiązany był z ziemią.

Dziennikarze przyglądali się tej scenie, nie kryjąc zdziwienia. Wszyscy się domyślali, że rozdzielczenie kontynentu umarłych jest z całą pewnością czymś ryzykownym, ale teraz wydawało się, że tanatonauta walczy z potwornymi wręcz zjawiskami. Na jego twarzy malowało się straszne przerażenie.

Koma plus dwadzieścia cztery minuty i pięćdziesiąt dwie sekundy. Teraz miotał się jakby nieco mniej. Wszyscy cofnęliśmy się, żeby nie dotknąć jego rąk. Nie podobało mi się takie pobudzenie. Raoul przygryzł dolną wargę. Amandine ściągnęła usta i przymrużyła oczy.

Popędziłem w stronę aparatury kontrolnej.

Koma plus dwadzieścia cztery minuty i pięćdziesiąt sześć sekund. Elektrokardiograf przeobraził się teraz w sejsmograf rejestrujący wybuch wulkanu. W jednej chwili zrozumiałem, że Jean Bresson zaraz umrze, jeśli pozostaniemy beczynni. Kontrolne lampki migały. Urządzenia rzeziły. Ale licznik elektryczny włączył się i silny ładunek sprawił, że Bresson ponownie powrócił do swojego ciała. Kolejne konwulsje, a po chwili wszystko wróciło do normy. Elektroencefalogram zwolnił. Lampki świetlne zgasły, urządzenia się

uspokoili.

Bresson był uratowany. Odzyskaliśmy go i powrócił znowu do żywych. Był niczym istota zawieszona gdzieś nad przepaścią, którą udało nam się wciągnąć jednym ruchem z powrotem na skalną półkę. Linka zabezpieczająca, a właściwie jego ektoplazmiczna pepowina, na szczęście okazała się solidna.

Przeszedł zatem przez mur przeznaczenia.

Powoli i ostrożnie zbliżyliśmy się do niego.

- Udało się! - wrzeszczał za nami dziennikarz z RTV1, który wykorzystał czas oczekiwania na przygotowanie reportażu. - Tylko w naszej telewizji, w stacji, która zawsze pokazuje najwięcej, mogli państwo być świadkami startu i lądowania pierwszego tanatonaudy, któremu dane było pokonać barierę Moch 1. Na żywo uczestniczyli państwo w historycznej chwili, której niewiarygodny opis zaraz po przebudzeniu przekaże nam Jean Bresson.

Tętno w normie. Czynności układu nerwowego prawie normalne. Temperatura w normie. Aktywność elektryczna mózgu w normie.

Jean Bresson otworzył najpierw jedno oko, potem drugie.

Nic na jego twarzy nie świadczyło o normalnym stanie, który wskazywały monitory. Gdzie podział się legendarny już spokój kaskadera? Jego nozdrza poruszały się szybko i nerwowo, czoło złane było potem, na twarzy widać było tylko przerażenie. Jednym szarpnięciem odpiął pas bezpieczeństwa i przyjrzał nam się, jakbyśmy byli dla niego zupełnie obcymi ludźmi.

Pierwszy opanował się Raoul.

- Wszystko w porządku?

Bresson drżał na całym ciele. Wcale nie było w porządku.

- Przekroczyłem Moch 1...

Sala wypełniła się oklaskami, które ucichły bardzo szybko na widok spanikowanego człowieka kręcącego się wokół własnej osi.

- Przekroczyłem barierę Moch 1... - mówił dalej. - Ale to co ujrzałem potem, jest... przerażające!

Owacje ucichły. Zaległa całkowita cisza. Jean odepchnął nas, chcąc jak najszybciej dostać się do mikrofonu. Kiedy wziął go w ręce, zaskowyczał:

- Nie... nie... nie trzeba umierać. Tam, w górze, za pierwszym murem, jest potwornie, potwornie. Nie możecie sobie nawet wyobrazić, jak bardzo potwornie. Błagam was wszystkich, błagam: nie umierajcie!

113 - POEZJA WŁOSKA

*„Cerber, zwierz dziki o potrójnym pysku,
Warczy i szczeka, i jak pies się dąsa
Na lud w okropnym pławiony bagnisku.
Wzrok toczy krwawy, czarne kudły wstrząsa,
Kłęb ma wydęty i szponiaste ręce;
Drze pazurami i targa, i kąsa.
Od deszczu, jak psi, w ciągłej wyją męce;
Jeden bok drugim ciągle zastaniają;
Prędko się zwijać muszą potępieńce!
Gdy nas gad duży ujrzał między zgrają,
Paszczkę rozwarł i zęby wyszczerzył;
Wszystkie w nim mięśnie jednym dreszczem drgają”¹⁰*

Dante Alighieri, „Boska komedia, Piekło, Pieśń VI”

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

114 - O JEDEN KROK ZA DALEKO

Nie warto nawet dodawać, że ten dziwny „sukces” mocno ochłodził naszą tanatonautyczną działalność.

Jean, wciąż ogarnięty przerażeniem, wyjaśnił dziennikarzom, że za pierwszą barierą rozciąga się kraina najczystszej trwogi. Totalne przerażenie.

- Czy to jest piekło? - zapytał któryś z dziennikarzy.

- Nie, piekło musi być znacznie milsze - odpowiedział z rozpaczliwym cynizmem.

Zgodnie z zapowiedzią prezydent Lucinder zorganizował małe przyjęcie, żeby wręczyć Jeanowi puchar oraz nagrodę w wysokości 500 000 franków, lecz Jean nie zjawił się, by je odebrać.

¹⁰ Przeł. E. Porębowicz.

Wszędzie pojawiły się wywiady, w których, rzucał na nas oszczerstwa. Nazywał nas „ptakami nieszczęścia”. Mówił, że trzeba zaprzestać eksploracji kontynentu umarłych i że poszliśmy o jeden krok za daleko. Radził wszystkim, żeby nigdy nie umierali.

Przyznawał, że jest przerażony na myśl, że będzie musiał powrócić tam któregoś dnia.

- Wiem, czym jest śmierć, i nic nie przeraża mnie bardziej niż to, że trzeba umrzeć. Ha! Gdybym tylko mógł tego uniknąć.

Zamknął się w małym domku, który przerobił na bunkier. Nie chciał już nikogo widzieć.

Od tej pory zawsze miał na sobie kamizelkę kuloodporną. Dwa razy w tygodniu zjawiał się, tak na wszelki wypadek, u lekarza. Żeby uniknąć wszelkich chorób przenoszonych drogą płciową, przestał się interesować kobietami. Ponieważ zgony spowodowane wypadkami na drogach zdarzały się bardzo często, zostawił swój samochód na jakimś niezabudowanym terenie. Obawiając się katastrofy lotniczej, zrezygnował z wszelkich zagranicznych konferencji.

Amandine daremnie dobijała się do obitych grubą blachą drzwi. Kiedy Raoul błagał go przez telefon o przekazanie kilku choćby wskazówek, które można by nanieść na mapę, rzucił: „Jest ciemno, bardzo ciemno i potwornie się tam cierpi” - a potem rzucił słuchawką.

Cała ta historia wywołała bardzo przykre konsekwencje. Do tej pory bowiem opinia publiczna pasjonowała się podbojem zaświatów, dlatego że wszyscy mieli nadzieję, iż odkryjemy krainę wiecznej szczęśliwości. Nie na darmo Lucinder i Razorbak nadali naszemu projektowi, już na samym początku, nazwę „Raj”. Rodzaj ludzki był przekonany, że za niebieskim korytarzem ekstazy odnajdziemy światło mądrości. Skoro jednak cudowny korytarz prowadził tylko do cierpienia...

Przepełnione rozpaczą wypowiedzi Bressona bardzo szybko wywarły wiadomy skutek. Niepokój ogarnął wszystkich. Lekarze nie nadążali ze szczepieniami. Sprzedaż broni nieprawdopodobnie wzrosła. Tanatodromy świeciły pustką.

Przedtem śmierć oznaczała dla niektórych zwykle zakończenie życia, coś w rodzaju wygaszenia świateł. Dla innych była obietnicą nadziei. Teraz natomiast wszyscy zdawali sobie sprawę, że to ostateczna kara. Egzystencja stała się ulotnym rajem, za który pewnego dnia przyjdzie nam słono zapłacić.

Życie było więc świętem, a dalej były tylko ciemności! To ci dopiero sukces, cały ten wyczyn Bressona! Nasze doświadczenia potwierdziły jedynie dwie okrutne prawdy, które wbijał mi do głowy ojciec: „Śmierć jest najpotworniejszą z rzeczy” oraz: „W tych sprawach się nie żartuje”...

115 - MITOLOGIA MEZOPOTAMII

„Wszystkie kraje przeszedłem, trudne góry pokonałem, przez morza wszelakie się przepawiłem, nie syciłem smem słodkim oblicza, dręczyłem się czuwaniem, ciało swe smutkiem napętniałem”.¹¹

Epos o Gilgameszu

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

116 - TANATOFOBIA

Po aferze z Bressonem nastał czas długiego powszechnego marazmu. Wszyscy bali się śmierci i nieopisanych koszmarów, o których mówił Jean.

Jednakże znaleźli się nowi tanatonauci chętni do pokonania muru. Ale ich świadectwa nie były pocieszające. Niektórzy mówili o spotkaniu z Wielką Kostuchą, ze szkieletem uzbrojonym w kosę, który świstał bronią, przecinając pępowiny wszystkich nierozważnych, którzy zapędzili się za daleko.

Pewien tanatonauta afrykański, marabut, opowiedział, że udało mu się umknąć przed ziejącym ogniem gigantycznym węzem. Islandzki szaman twierdził z kolei, że wpadł na chichoczącego smoka z zakrwawionymi zębami.

- Co ciekawe, wyobrażenie śmierci zmienia się w zależności od kultury - tylko tyle wymamrotał Raoul, udając, że jest pochłonięty obliczeniami przy użyciu kompasu.

Wiedziałem jednak, że ta uwaga wcale go nie uspokaja.

Świadectwa przekazywane przez kolejnych tanatonautów były coraz bardziej przerażające. Mówiono o setkach gigantycznych pajaków, które pluły zatrutym jadem, o latających szczurach z długimi ostrymi siekaczami. Dokładnie jak w powieściach grozy Lovecrafta. Przybywało wciąż coraz bardziej zwariowanych opisów kolejnych potworów.

Pewien portugalski tanatonauta zaraz po lądowaniu, będąc jeszcze w stanie oszołomienia, opowiedział o spotkaniu z nietoperzem, którego głowę zdobił wieniec z

¹¹ Przeł. R. Stiller.

ludzkich czaszek. Relacje stawały się z każdym dniem coraz bardziej przerażające.

Ja też zacząłem bać się śmierci. Zawładnęło mną coś, co należałoby nazwać panującą powszechnie „tanatofobią”. Pismo „Mały Tanatonauta Ilustrowany”, pełne hiperrealistycznych wyobrażeń, nadawało wszystkiemu jeszcze bardziej krwawy i odrażający wymiar. Śmierć tak naprawdę oznaczała, że umiera się ze strachu po raz drugi już po zgonie! Gdzie w takim razie podział się ten z trudem wypracowany wieczny odpoczynek, skoro trzeba było zaraz po śmierci stawić czoło wszystkim tym potworom, które schowały się za Moch 1? Jeśli bowiem wierzyć świadectwom zagranicznych tanatonautów, wydawało się, że za barierą Moch 1 one tylko na nas czekają, jakkolwiek je nazywamy: Diabłem z kopytami, mglistym Cthulhu, oślizłym Stnokiem, gorejącym Gryfem, chichoczącą Chimera, Inkubem, Sukubem, Minotaurem, Pożeraczem Dusz.

Śmierć jest pułapką. Światło przyciąga nas, a demony wyłaniają się już za pierwszą z zasłon.

Nie warto chyba nawet wspominać o tym, że z dnia na dzień niesamowicie spadła liczba samobójstw. Wszystkie dyscypliny sportowe uznawane za niebezpieczne - rajdy samochodowe, boks, spadochroniarstwo, wyścigi konne z przeszkodami, skoki narciarskie lub skoki na linie - cieszyły się coraz mniejszym powodzeniem wśród coraz mniej licznych amatorów mocnych wrażeń. Dilerzy nie byli w stanie upłynnić towaru. Sprzedawcy papierosów zamykali trafiki, za to apteki prosperowały znakomicie.

Dla większego bezpieczeństwa zmniejszono napięcie w gniazdkach elektrycznych.

Na wielu balkonach założono kraty. Na dachach zainstalowano niezliczone piorunochrony. Styliści wprowadzili na rynek ubrania, które przeobrażały ludzi w pajace, za to chroniły niezwykle skutecznie w razie upadku. Wzdłuż urwisk w Bretanii wszędzie zainstalowano barierki.

W laboratorium Raoul, usiłujący zachować spokój w całym tym zamieszaniu, za pierwszą barierą narysował na mapie ciemny korytarz, nad którym umieścił znak zapytania.

- Co może być za tym murem, że tak strasznie przeraziło Bressona i pozostałych?

Z braku choćby jednego tanatonauty ochotnika nasze eksperymenty musiały na razie zostać zawieszane. Spotykaliśmy się regularnie na cmentarzu Père-Lachaise, by odetchnąć świeżym powietrzem i wspólnie się zastanowić.

- A co o tym myśli Lucinder? - zapytała Amandine.

- Powtarza tylko bez przerwy: „A jeśli Bresson ma rację?” - odpowiedział Raoul. - On wpadł w zachwyty na widok zaświatów, ale widział je tylko z daleka. Teraz mówi, że z bliska może to być znacznie mniej interesujące.

- Ale wszyscy ci ludzie, którzy latali wokół niego, wydawali się niecierpliwie czekać na moment, żeby się tam znaleźć - zauważyłem.

- Ułuda! Dopiero gdy jesteśmy bardzo blisko, nagle rozumiemy, że nigdy nie powinniśmy byli się tam zjawić. Lucinder wcale nie jest przekonany, że śmierć jest czymś przyjemnym.

Amandine, Raoul i ja byliśmy w rozterce. Zadaliśmy sobie tyle trudu, żeby odsłonić potworność, która powinna była pozostać na zawsze niepoznana.

Wszystkie nasze uczynki, dobre czy złe, prowadziły nas do tej ohydy. Być może było to owo nieuchronne piekło, ogród zoologiczny pełen wijących się węży i chichoczących wampirów, który wszystkie religie świata starają się ukryć przed ludźmi?

Jakąż to puszkę Pandory otworzyliśmy? Jakie złowrogie siły uwolniliśmy przez naszą niezdrową ciekawość? Chcieliśmy poznać tajemnicę śmierci... a ona dała nam niezłą lekcję.

- Lucinder chce ze wszystkiego zrezygnować - powiedział Raoul. - Myśli nawet o złożeniu dymisji. Wolałby teraz, żeby podręczniki do historii nie wspominały raczej o tych posępnych wycieczkach w zaświaty.

- A ty?

Raoul czuł się równie wygodnie na płycie grobowca jak na kanapie. Oparł się o stelę.

- To byłoby zbyt proste, gdybyśmy zrezygnowali przy pierwszej pojawiającej się przeszkodzie. Lądując w Afryce, Australii czy Indonezji, pierwsi odkrywcy musieli walczyć z ludożercami, przedzierać się przez lasy pełne śmiertelnych skorpionów i innych nieznanymi dzikich zwierząt. A jednak nie cofnęli się. W każdej wyprawie jest jakiś element ryzyka. Nie wyrusza się przecież po to, żeby pospacerować sobie po ogrodzie pełnym róż i huśtawek dla dzieci. Synonimem przygody jest niebezpieczeństwo!

Niezwykle płodny umysł Raoula sam wypracował sobie racje, dla których warto było wytrwać. Wcale nie zamierzał zrezygnować z tanatonautyki. Zaczął żywo gestykulować, a jego ręce przypominały fruujące ptaki.

- Opisy tego, co jest za Moch 1, wcale się ze sobą nie pokrywają, a to, że wszystkie świadectwa są negatywne, niewiele właściwie oznacza. Jean Bresson pozostaje dosyć mętny. On, który przyzwyczał nas do poważnego metodycznego podejścia, rzucał tylko przymiotnikami: potworne, okropne, odrażające... A jedyną precyzyjną informacją było to, że wszystko jest czarne!

- Wniosek?

Zapalił tego swojego biddie, podniósł się, rozprostował długie nogi i wypuścił dym eukaliptusowy.

- Wniosek: nie możemy pozwolić na to, żeby kilku cykorów zmusiło nas do przerwania prac.

- Jean nie jest tchórzem i nie potrafi kłamać - oświadczyła lojalna jak zawsze Amandine.

- Może zmysły go oszukały - zauważył Raoul. - A być może po fazie oczarowania następuje inna faza, tym razem odrazy... Ja też myślę, że on jest szczerzy, ale niepokoją mnie te wszystkie różniące się między sobą opisy. Tak jakby po przekroczeniu pierwszej bariery zaświaty niejako indywidualizowały się. Pamiętasz „Egiptką Księżę Umarłych”, Michael? Napisano w niej, że zmarły musi stoczyć walkę z potworami, ale jeśli uda mu się je pokonać, będzie mógł spokojnie iść dalej swoją drogą. Coś w rodzaju inicjacji, z czym Jean, jak się wydaje, nie potrafił sobie poradzić! Stąd te jego trochę zbyt proste wnioski, że wszystko, co znajduje się za Moch 1, jest okropieństwem.

Przyjrzałem się Amandine. Jej wzrok był moim rajem, a ciemnoniebieskie oczy moją daleką podróżą. Po co szukać gdzieś dalej? Ukryła teraz jednak porażające mnie spojrzenie za grubymi ciemnymi okularami.

- Co dalej robimy, Raoul?

- Cóż, ograniczymy teraz trochę naszą działalność i przeczekamy. Nowa wiadomość wymazuje starą. Ludzie zapomną o tanatofobii. A my będziemy kontynuować dzieło z miłości do wiedzy!

Tymczasem Lucinder uchylił - własną zresztą - ustawę, która zakazywała podtrzymywania za wszelką cenę przy życiu osób śmiertelnie chorych. Nikt nie chciał już ryzykować odłączenia pacjenta, żeby wysłać go nie wiadomo gdzie. Przed udaniem się na blok operacyjny pacjenci zostawiali czeki na spore kwoty, by zapewnić sobie utrzymanie przy życiu nawet jako warzywa, gdyby zabieg się nie powiódł.

Amandine nigdy więcej nie zobaczyła Jeana Bressona. Zresztą nikt więcej go nie ujrzał. W końcu zainkasował premię od Lucindera, którą wykorzystał na zbudowanie schronu przeciwoatomowego. Ukrył się tam między półkami wypełnionymi konserwami i zapasem wody mineralnej i nigdy więcej o nim nie usłyszano.

117 - NAUCZANIE JOGI

Cztery wewnętrzne zachowania stanowią o ignorancji i cierpieniu ludzi:

- *Poczucie indywidualizmu. Wobec sukcesu: „Jestem inteligentny”. Wobec*

niepowodzenia: „Nigdy mi się to nie uda”.

- Przywiązanie do przyjemności: ustawiczne poszukiwanie zadowolenia jako jedyny cel.

- Znajdowanie przyjemności w pogrążaniu się w depresji: zadręczanie się przykrymi wspomnieniami, co skłania do szukania zemsty i sprzeciwu wobec otoczenia.

- Lęk przed śmiercią: chorobliwa potrzeba czepiania się życia jako dowód indywidualizmu. Należy zgodzić się żyć aż do śmierci, korzystając z życia po to, żeby lepiej rozwijać swoją osobę.

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

118 - STEFANIA

Tanatofobia trwała mniej więcej sześć miesięcy. Sześć miesięcy wymuszonej bezczynności, dyskusji i roztrząsania różnych kwestii w tajskiej restauracji pana Lamberta, wałęsania się po cmentarzu Père-Lachaise i gromadzącego się w tanatodromie kurzu. W naszym penthousie wybujałe rośliny zakryły fortepian.

Prawie nie widywaliśmy się już z Lucinderem. Nawet jego pies Wercyngetoryks był osowiały. Amandine zajęła się gotowaniem i starała się nas jakoś pocieszyć, przygotowując bardzo mocno przyprawione dania. Graliśmy w karty. Nie w brydża, bo nikt nie chciał robić za... stojącego nad grobem „dziadka”.

Iskierka nadziei, której tak niecierpliwie wyglądał Raoul, nadeszła z najmniej spodziewanej strony. Nie ze Stanów Zjednoczonych, gdzie jak wiedzieliśmy, NASA podjęła supertajne badania, ani z Wielkiej Brytanii, gdzie Bill Graham pozostawił przecież po sobie wyznawców gotowych podążać jego śladami. Nasze zbawienie nadeszło z Włoch.

Dotarły do nas wieści, że w Padwie funkcjonuje bardzo dobrze działający tanatodrom, lecz sądziliśmy, że tak jak i u nas, zawieszono na nim wszelką działalność. Tymczasem o ile Włosi postanowili trochę odczekać z realizacją swojego programu, o tyle nie zarzucili jednak całkowicie odlotów. W dniu 27 kwietnia ogłosili, że im również udało się wysłać kogoś poza pierwszą barierę komatyczną i że ich tanatonauta powrócił do swojej cielesnej powłoki, przywożąc znacznie bardziej pocieszające wieści niż te, które przekazał nam Jean Bresson.

Paradoksalnie dziennikarze, którzy natychmiast zawierzyli przerażającym opowieściom Jeana Bressona, teraz okazywali sceptycyzm wobec radosnych i

optymistycznych deklaracji Włochów.

Włoski tanatonauta okazał się tanatonautką.

Nazywała się Stefania Chichelli.

Raoul przeanalizował dokładnie jej portret opisany na pierwszej stronie „Corriere della Sera”. Młoda uśmiechnięta kobieta wyjaśniała w zamieszczonym tam artykule, że przekroczywszy Moch 1, odkryła rozległą, mroczną i ciemną strefę, gdzie musiała stoczyć walkę z wyjątkowo agresywnie zachowującymi się wobec niej bańkami wspomnień. Jej koledzy, mocno zaskoczeni, poprosili, by opowiedziała o swoich wrażeniach raz jeszcze, tym razem z zastosowaniem serum prawdy, ale okazało się, że jej opowiadanie brzmi dokładnie tak samo.

- A więc ona nie kłamie - powiedziałem.

- Oczywiście, że nie! - podskoczył nerwowo Raoul. - To co opowiada, jest jak najbardziej spójne.

Zamyśliłem się.

- Bresson został po prostu skonfrontowany ze swoją przeszłością i odkrył, że jest tak przerażająca, iż nie był w stanie tego znieść.

Amandine wiedziała, że nasz tanatonauta nigdy nie został poddany psychoanalizie. Czasami wydawało się jej, że tego potrzebuje, gdyż tak niewiele mówił o swojej przeszłości. Postanowiliśmy zgłębić nieco tę kwestię i odkryliśmy, że faktycznie Jean miał wyjątkowo traumatyczne dzieciństwo. Ukrywał je pod płaszczem milczenia, ale wszystkie te zabezpieczenia nie wytrzymały w momencie przekraczania bariery Moch 1. Nagle powróciło tak wiele potwornych wspomnień, że nie był w stanie poradzić sobie z tym wstrząsem.

Amandine pragnęła go pocieszyć, lecz Bresson raz na zawsze zrezygnował z kontaktu ze światem. Nie odpowiadał na powtarzane wielokrotnie bębnienie do wrót jego fortecy, a także wyłączył na dobre telefon.

Bardzo zaintrygowani zaprosiliśmy Włoszkę do Paryża, żeby wręczyć jej order Tanatonautycznej Legii Honorowej ufundowany przez Lucindera. Ceremonia odbyła się bez tłumów i fanfar. Woleliśmy, przynajmniej na razie, nie wywoływać zbyt dużego szumu w mediach.

Stefania Chichelli była niską otyłą kobietą o okrągłej twarzy. Długie ondulowane włosy opadały jej aż do dołu pleców. Wydawało się, że dzinsy i bluzka zaraz pękną, ale jej okrągłym policzkom i dziecinnemu uśmiechowi nie brakowało uroku.

Już na lotnisku uściskała nas tak mocno, jakby chciała tym samym dać nam do zrozumienia, że należymy do jednej wielkiej rodziny, do rodziny „tanatonautów”, którym

niestraszna jest śmierć". A po chwili wybuchła głośnym, szalonym i zaskakującym śmiechem.

Zaprowadziliśmy ją do tajskiej restauracji. Czekając na dalszy rozwój wypadków, Lucinder wolał na razie się nie pojawiać.

Ponieważ Stefania mieszkała kiedyś przez kilka lat w Montpellier, mówiła świetnie po francusku z ledwie dostrzegalnym uroczym zaalpejskim akcentem. Zdecydowała się na talerz makaronu z grzybami shiitake. Mówiąc z pełnymi ustami, przetykała zdania gromkim śmiechem. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby Raoul poświęcał komuś aż tyle uwagi.

Słuchając jej i zapomniawszy o swoim talerzu, po prostu pożerał ją wzrokiem.

Stefania podsumowała. Za pierwszą granicą rozciąga się mroczna nieprzyjazna strefa, gdzie nie należało się zatrzymywać zbyt długo. Bańki ze wspomnieniami osaczają tam niczym diabły i starają się odwieść od pięknego światła. Ponieważ jednak Stefania wyruszyła w tę podróż z silnym postanowieniem powrotu, nie dała się zwieść ani cudownemu światłu, ani demonom przeszłości.

Jak zawsze zainteresowany stroną techniczną odlotu, zapytałem ją, jakie środki stosuje do startu.

- Tybetańska medytacja, a do tego lekkie boostery na bazie chlorku potasu. Nie mam zamiaru uszkodzić sobie wątroby!

- Tybetańska medytacja! - wykrzyknął Raoul.

O mało się nie udławił, odwróciwszy się, dyskretnie wypluł do ręki trzy żółtawe pędy młodego bambusa i zapytał:

- Czy pani jest... mistyczką?

- No jasne, że tak - parsknęła śmiechem tanatonautka. - Podążanie ku śmierci stanowi akt głęboko religijny, a w każdym razie duchowy. Owszem, toksyczny preparat pozwala wystartować, ale jak podążać dalej, jeśli naszej duszy nie narzucimy dyscypliny? Jak prawidłowo odlecieć bez wiary w Boga?

Zamurowało nas całkowicie. Do tej pory udawało nam się nie mieszać religii do naukowych eksperymentów. Raoul i ja interesowaliśmy się rzecz jasna dawnymi mitologiami oraz wierzeniami z różnych zakątków świata, lecz w praktyce woleliśmy unikać wszelkiego rodzaju przesądów, jakiegokolwiek było ich pochodzenie.

Zresztą Raoul zasadniczo był ateistą. Chętnie się tym, twierdząc, że ateizm jest jedyną możliwą postawą dla nowoczesnego człowieka, który pragnie zachować w pełni naukowe podejście. Dla niego sceptycyzm stanowił postęp w stosunku do mistycyzmu. Ponieważ istnienie Boga nie zostało wykazane, wobec tego Bóg nie istnieje.

Ja natomiast byłem raczej agnostykiem i przyznawałem się do swojej ignorancji.

Nawet ateizm jawił mi się jako zachowanie religijne. Stwierdzenie, że Bóg nie istnieje, oznaczało, że i tak wypowiada się w tej materii jakąś opinię. A ja nigdy nie miałem w sobie tyle pychy. Gdyby jakiś bóg raczył objawić się nam, nędznym ziemskim kreaturom, zapewne zmieniłbym nastawienie. Na razie wolałem poczekać.

Agnostycyzm pokrywał się z moją wizją świata, która była przede wszystkim jednym wielkim znakiem zapytania. O ile bowiem nie miałem żadnego wyrobionego zdania na temat Boga, o tyle nie miałem też bardziej sprecyzowanej opinii na temat świata i ludzkości. Nigdy dobrze nie rozumiałem ludzi z mojego otoczenia, a to co mi się przydarzało, zawsze wydawało mi się dziełem przypadku. Miałem jednak wielokrotnie wrażenie, że natura jest obdarzona własną, przerastającą mnie inteligencją.

Raoul zarzucał teraz Stefanię pytaniami.

- To znaczy, kim pani jest?

- Tybetańską buddystką! A co, przeszkadza to panu?

- Nie, nie, skądże znowu! - przepraszał, starając się nie zdenerwować naszej pulchnej bratniej duszy. - Przeciwnie, pasjonuję się tybetańską mitologią. Tylko nie sądziłem, że istnieją tybetańscy buddyści tacy jak... no, jak pani!

- A ja nic nie wiem na temat tybetańskich buddystów. Jest pani pierwszą, którą spotykam - powiedziała łagodnie Amandine.

Stefania nałożyła sobie trzy duże porcje kurczaka w mleku kokosowym i kolendrze.

- My, tybetańscy buddyści, nie czekaliśmy na was, żeby się zainteresować śmiercią. Już od ponad pięciu tysięcy lat zajmujemy się tą kwestią. Bar-do Thos-grol, nasza Księga Umarłych, jest doskonałym i niewielkim zarazem podręcznikiem pozwalającym przeprowadzić na sobie *Near Death Experience*. Odcieleśniałam się już i wyruszałam w zaświaty, zanim ktokolwiek usłyszał o waszym Féliksie Kerbozie!

Nagle na twarzy Amandine pod maską łagodności dostrzegłem lekką irytację. W naszym niewielkim kręgu po raz pierwszy Amandine nie była w centrum zainteresowania. Nie była już jedyną kobietą wśród nas i najwyraźniej z zazdrością patrzyła, jak Raoul ulega urokowi Włoszko-Tybetanki, zachwycając się tym, o czym w tak niezwykły sposób opowiada.

Mimo to kolacja przebiegała nadal w miłej i przyjemnej atmosferze. Raoul Razorbak, o co nigdy wcześniej go nie podejrzewałem, był dla Stefanii po prostu przeuroczy. Wreszcie spotkał kobietę, którą tak jak i jego interesowało naprawdę tylko jedno: śmierć.

119 - KARTOTEKA POLICYJNA

Nazwisko: Chichelli

Imię: Stefania

Włosy: czarne

Oczy: czarne

Wzrost: 163 cm

Znaki szczególne: brak

Uwagi: pierwsza kobieta tanatonautka

Słabe strony: nadwaga

120 - FILOZOFIA JAPOŃSKA

Pan Naoshige miał w zwyczaju mawiać:

„Droga Samuraja jest umiłowaniem śmierci. Nawet dziesięć osób nie jest w stanie zachwiać człowiekiem, który żywi to przekonanie. Nie można dokonać wielkich czynów, zachowując normalny stan ducha. Trzeba stać się fanatykiem i rozwijać umiłowanie śmierci. Jeśli ktoś chcąc rozwinąć moc świadomości, liczy na czas, często ryzykuje tym, że nie zdąży jej uruchomić. Lojalności i miłość do rodziców są zbędne na drodze Samuraja - to czego każdy potrzebuje, to umiłowanie śmierci. Cała reszta w naturalny sposób wypływać będzie z tego uczucia”.¹²

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

121 - STEFANIA I JEJ HISTORIA

Stefania uwielbiała mówić. Najpierw z ochotą opowiedziała nam o sobie. Jako dziecko była, pod względem proporcji, jeszcze szersza niż teraz. Jej rodzice prowadzili restaurację i nie oszczędzali na jedzeniu. Wieczorem trzeba było zjeść resztki, które nie mogły być

¹² Cytat za: www.zrodlahistoryczne.prv.pl.

przechowywane do następnego dnia. Po prostu zwykła oszczędność. Niemniej jako siódme spośród czternaściorga dzieci była najgrubsza i to ona była pośmiewiskiem swoich braci i sióstr.

Przeżywali ją Karmelowa Gruszka. Jej matka nie robiła nic, żeby pomóc jej w walce z tym kompleksem. Na wszelki wypadek; kupowała córce zawsze zbyt obszerne ubrania. „Żeby było na przyszłość” - mawiała fatalistycznie.

W tych obszernych i zbyt luźnych ubraniach nigdy nie chodziła zbyt długo. Bardzo szybko bowiem jej ciało przerastało ich pojemność.

Wszyscy w szkole nabijali się z Karmelowej Gruszki, a im głośniejsze się śmiali, tym bardziej była głodna. Tymczasem miała wrażenie, że odżywia się całkiem normalnie, zadowolając się chlebem z makaronem, masłem do chleba i sosem bolognese na maśle. Kiedy jednak znienacka ogarniał ją lęk przed tym, że pozostanie na zawsze brzydka i otyła, zaczynała tak się śpieszyć, że przestała nawet podgrzewać dania. Połykała na wpół surowe spaghetti, otwierała błyskawicznie puszki z kiszoną kapustą albo z fasolką i natychmiast pochłaniała ich zawartość.

Ciało wyobrażała sobie jako olbrzymi kosz na śmieci, którego nie była w stanie wypełnić aż po brzegi. Na etapie, na którym niepokój był najsilniejszy, jej waga dochodziła do ponad stu trzydziestu kilogramów.

Oczywiście co najmniej sto razy zaczynała dietę, ale potrzeba jedzenia była silniejsza aniżeli satysfakcja, jaką dałoby jej pozbycie się kilku kilogramów.

Po okresie „przyjmowania wyłącznie surowych pokarmów” nastąpił czas niejasnych relacji z pożywieniem. Jadła i jadła, a potem zmuszała się do wymiotów, żeby opróżnić żołądek. Równocześnie faszerowała się środkami przeczyszczającymi. Zdając sobie sprawę, że naraża zdrowie, rodzice próbowali przemówić jej do rozumu, o ile jednak przygnębiała ich nienormalna waga dziecka, o tyle byli pełni zachwyty dla jej niezwykle bystrego umysłu. Mała Stefania bowiem już w przedszkolu wykazywała się niezwykle inteligentnymi zdolnościami. Zaliczała dwie klasy w rok, uzyskiwała najlepsze oceny ze wszystkich przedmiotów, od matematyki po filozofię, od geografii po historię.

Państwo Chichelli zrezygnowali w pewnym momencie z odwoływania się do rozsądku swojej córki, widząc, że jest od nich znacznie inteligentniejsza: „Skoro zachowuje się w taki sposób, to znaczy, że musi mieć powody, których my nie rozumiemy”, wzdychał jej ojciec, który przyłapał ją na zwracaniu surowego kuskusu posłodzonego syropem z granatów.

Otyłość nie pozwalała rzecz jasna Stefanii swobodnie się ruszać. W wieku dojrzewania, chcąc zauroczyć przedstawicieli płci przeciwnej, starała się chodzić w sposób

bardziej zmysłowy. Do tej pory chodziła na szeroko rozstawionych nogach jak kaczka, żeby stapać bezpiecznie po ziemi i uniknąć przewrócenia się z powodu nadwagi. Zmuszała się więc do tego, by trzymać łydki równolegle, i po pewnym czasie była w stanie włożyć czółenka na wysokim obcasie, nie obawiając się, że straci równowagę albo skręci sobie nogę w kostce. Chodziła więc bardzo pewnym krokiem.

Mężczyźni zaczęli spoglądać na nią z pożądaniem. Wszystko wynikało ze sposobu, w jaki się poruszała. Kiedy już nauczyła się chodzić zmysłowo, nauczyła się też siadać z gracją, zmysłowo półleżeć na kanapie, trzymać szyję wyciągniętą, zamiast wciskać głowę w ramiona. Każdy najmniejszy choćby ruch miał znaczenie.

Żeby jeszcze lepiej panować nad swoimi ruchami, kupiła sobie kotka i starała się naśladować wszystkie jego ruchy. Zrozumiała, że dobrze opanowana technika pozwoli jej lepiej radzić sobie z ułomnością.

Kociak nie dość, że potrafił cudownie się poruszać, to jeszcze odpoczywając, potrafił przyjąć niezwykle elegancką pozycję.

Stefania poświęciła się następnie jodze oraz dyscyplinom sportowym wymagającym sporej siły fizycznej, jak na przykład wspinaczce górskiej. Owszem, jej kości nadal dźwigały sto kilogramów tłuszczu, ale były teraz pokryte mocnymi mięśniami, a jej szkielet stał się od tego czasu bardzo elastyczny.

Kompensacja. Teraz była na etapie kompensacji.

Joga już nie wystarczała. W jej życiu nagle pojawił się buddysta z Tybetu i wkrótce potem stał się jej bliskim przyjacielem. Nie było to zresztą bardzo trudne. Mężczyzna ten bowiem lubił puszyste kobiety. W wielu krajach Trzeciego Świata grubym zazdrości się bogactwa, tego, że mogą jeść do woli, i są tam uważani za półbogów. Ponieważ jednak doceniał również umysł Stefanii i widział dobrze, iż jej kształty czynią ją nieszczęśliwą, Tybetańczyk nauczył ją, że ciało nie jest hermetycznie zamkniętym więzieniem i nie jest wcale tak trudno z niego uciec. Poprzez medytację można opuszczać ulotną „powłokę” i powracać do niej bez trudu.

Nauczył dziewczynę kilku technik odcieleśniania, które opanowała tym łatwiej, że przyzwyczała się już wcześniej do rygorystycznego przestrzegania fizycznej dyscypliny.

Wreszcie Stefania uwolniła się od tłuszczu! Medytacja ją uratowała, gdyż pozwoliła jej się odcieleśnić.

Żeby uniknąć wszelkich przejawów sceptycyzmu z naszej strony, stwierdziła, że jest jej całkowicie obojętne, czy jej wierzymy czy nie. Czym prędzej ją uspokoiłszy: tak naprawdę interesowało nas zwłaszcza to, w jaki sposób się do tego zabierała.

Śmiejąc się głośno, zgodziła się nas oświecić.

W czasie gdy mieszkańcy Półwyspu Apenińskiego zazwyczaj robią sobie sjęstę, Stefania siadała w pozycji lotosu i koncentrowała się nad swoim odlotem. Potężna zawierucha wypełniała wtedy pokój, porywając jej ektoplazmę i unosząc ją na zewnątrz. Zazwyczaj wychodziła oknem, rzadziej przez dach, nigdy zaś przez drzwi.

- Drzwi są przeznaczone do tego, by wchodziły nimi i wychodziły ciała fizyczne - wyjaśniła nam. - Nie wolno mieszać tego wszystkiego.

Na początku odczuwała pewien niepokój. Kiedy jednak wydostała się już oknem, wchodziła w kontakt z różnego rodzaju duchami, także latającymi. Istniały zarówno dobre duchy, jak i złe. Ważne było, żeby je rozróżniać.

- Najczęściej te złe unoszą się tuż nad ziemią, ale jeśli nie udaje nam się utrzymać wystarczająco wysoko nad dachami, mogą stać się groźne i zaatakować. Kiedy traci się wysokość, trzeba bardzo szybko powrócić do swojego ciała, żeby zdążyć przed nimi uciec.

Jakie dokładnie były te złe duchy? Stefania stwierdziła, że nie jest w stanie ich opisać. Trzeba więc było wierzyć jej na słowo. Mówiła też, że dzięki medytacji jest w stanie przelecieć z niewiarygodną wręcz prędkością nad całą planetą.

No dobrze, jej duch może stał się lekki, lecz ciało ważyło przecież wciąż tyle samo. Uciekała przed swoim problemem, nie chcąc stanąć z nim oko w oko. Pewnego lutowego dnia została jednak do tego zmuszona. W internacie w liceum utknęła na dnie wanny przyssana bańką powietrza, którą uwięziły jej wałeczki tłuszczu. Szamotała się jak żółw przewrócony skorupą na dół.

Zachęcane okrzykami nauczycielki wychowania fizycznego, koleżanki z internatu wykorzystały jej bezsilność i zaczęły wylewać na nią różne nieczystości.

W końcu znudziło im się i pozostawiły ją własnemu losowi, drżącą w lodowatej już wodzie, a osiągnięcia w medytacji na niewiele wtedy się zdały. Na próżno miotła się na wszystkie strony - ciało było uwięzione w muszli z białej stali, a dusza zbyt przerażona, aby się wznieść.

Sprzątaczką uwolniła ją dopiero kilka godzin później. Posłużyła się szczotką jako dźwignią i przy pomocy kilku kolegów oderwała Stefanię przyssaną do wanny.

Ta poniżająca scena naznaczyła ją na całe życie. Stefania postanowiła, że zemści się dzięki swojej tajnej broni: własnej ektoplazmie!

Skoro przechodzi przez ściany, może równie dobrze przenikać przez ciała! Każdego wieczoru wyruszała więc na łów zdecydowana uderzyć w tych wszystkich, którzy się nad nią znęcali. Wykorzystywała czas, kiedy jej ofiary spały, żeby zawładnąć nimi, zaczynając od

dużego palca u nogi aż po czaszkę. Osoby te później budziły się z potwornym bólem głowy po nocy pełnej makabrycznych koszmarów.

Ale najlepsze zachowała na deser. Na samym końcu zabrała się do nauczycielki gimnastyki, jedynej obecnej w czasie jej męki dorosłej osoby, która przyłączyła się do oprawców, zamiast ich przepędzić. Stefania wniknęła w jej serce tak głęboko, jak potrafiła, wywołując arytmie. Chwilami mięsień sercowy pracował bardzo szybko, w innych znowu momentach prawie zamierał.

Kobieta obudziła się cała złana potem. Zaczęła natychmiast wykonywać ćwiczenia, które miały uspokoić palpacje. Rozumiejąc, że dzieją się z nią jakieś dziwne rzeczy, szybko uklękła i modliła się żarliwie, by przepędzić ducha, który ją nawiedził.

Stefania zostawiła ją, zanim atak serca ostatecznie zwałił z nóg nieszczęsną kobietę. Powracała jednak regularnie, żeby ją dręczyć.

Upajała się mocą, jaką dawało jej kontrolowanie ekto plazmy. Wykorzystywała ją, żeby się mścić, a więc po to, żeby czynić zło; w wielu religiach nazywa się to czarną magią.

Chwaliła się tym przed tybetańskim przyjacielem, który błagał ją, by tego zaprzestała. Czarna magia - powiedział - w końcu pochłania nas i przytłacza w taki sposób, że nie potrafimy już nad nią zapanować. Stefania zatem powinna definitywnie zrezygnować z zemsty. Z zemsty na wrogach. Ale również z zemsty na własnym ciele.

Ona jednak uparła się. Wszystkie koleżanki w klasie brały teraz regularnie aspirynę. Nauczycielka wychowania fizycznego poroniła. A spojrzenie Stefanii było coraz bardziej ponure! Nikt nie miał odwagi spojrzeć jej prosto w oczy. W niejasny sposób wszyscy wyczuwali, że to za jej sprawą dzieją się tajemnicze rzeczy. Kiedyś oskarżono by ją o czary. Ale w XXI wieku autorzy takiego zarzutu zostaliby po prostu wyśmiani.

Kilka dziewczyn przyszło do niej z przeprosinami. Stefania jednak odtrąciła je, wruszając tylko ramionami. Nadal zadawała ciosy. Atakując układ pokarmowy, wywoływała wrzody żołądka u znienawidzonych osób.

Zrozumiawszy w końcu, że Stefania może się pogрузić ostatecznie w coś, co nazywał „wielką złością”, buddyjski kolega ujawnił jej tajemnicę reinkarnacji. Zgodnie z wyznawaną przez niego religią każdy w przyszłym życiu musi zapłacić za dobre i złe uczynki popełnione w życiu poprzednim. Każde życie ma nas czegoś nauczyć. Miłości. Pasji. Sztuki. Każdy powinien poświęcać energię na to, aby się doskonalić, zamiast niszczyć. Atakowanie innych oznacza, że przypisujemy im nazbyt duże znaczenie!

Stefania zatkała sobie uszy. Wydarzyło się jednak wtedy coś, co wstrząsnęło nią i zmusiło ją do tego, by posłuchać rad. Koleżanki z klasy zaatakowały wspólnie sprzątaczkę,

która uratowała jej życie. Wiedziały, że jest jedyną przyjaciółką Karmelowej Gruszki. Co prawda chciały tylko dać jej kilka kuksańców, ale nieszczęsna kobieta trafiła potylicą w kant ściany. Uderzenie okazało się śmiertelne. Zginęła na miejscu.

- To że zginęła, to twoja wina - stwierdził jej tybetański kolega. - To twoja wina, że jej dzieci są teraz sierotami. Uszkodziłaś jej karmę. Jeśli natychmiast nie zrezygnujesz z zemsty, zapłacisz za to cenę tysiąc razy wyższą!

Po ostatnim ostrzeżeniu rozwścieczony Tybetańczyk zostawił ją. Mocno speszona Stefania zrozumiała wtedy, że już najwyższy czas, by oczyścić duszę z czarnych myśli, które nią zawładnęły. Po bulimii nastąpiła anoreksja. Wciąż nienawidziła swojego ciała, także teraz, kiedy go ubywało na skutek niedożywienia.

Chcąc odzyskać spokój duszy, Stefania postanowiła zgłębić jeszcze bardziej mądrości buddyzmu tybetańskiego. Przyjęto ją do klasztoru lamów w Padwie. Miała nadzieję, że kiedy już odzyska spokój, przyjaciel znowu się pojawi. Nigdy więcej jednak go nie ujrzała. I znowu zaczęła tyć.

Wyszła za męża, by dzięki rodzinie wypełniać misję, jaką winna spełnić włoska kobieta. Tyle że ona nigdy nie będzie kobietą taką jak inne. Za daleko bowiem zaszła na drodze medytacji.

Minęło kilka lat, zanim usłyszała o Francuzach, którzy wynaleźli tanatonautykę. Ona również chciała wyruszyć na poszukiwanie kontynentu umarłych. Choćby po to, żeby odnaleźć sprzątaczkę, która kiedyś uratowała jej życie.

Przyjaciele lamowie, znając jej historię, wiedzieli, że najpierw oddawała się Złu, żeby potem powrócić do Dobra. Faszerowali ją lasagne i polentą, aby miała dość energii na podróż.

I w ten sposób przekroczyła barierę Moch 1!

Spoglądaliśmy na nią z podziwem. Teraz ona przyjrzała się po kolei nam wszystkim, po czym powiedziała:

- Doskonale widzę karmę każdego z was. Dla mnie jesteście wszyscy jak otwarte księgi. Raoul, ty jesteś wojownikiem. Jesteś w samym środku cyklu reinkarnacji. Wściekasz się, bo już w poprzednim życiu rozpocząłeś coś, czego nie zdążyłeś skończyć. Stąd twoja niecierpliwość w dążeniu do osiągnięcia sukcesu w obecnym życiu.

- Masz rację - przyznał Raoul. - Ale w tym życiu również mam coś do załatwienia.

Stefania stwierdziła następnie, że moja dusza jest młoda i czysta, niezdolna do czynienia zła, ponieważ nie widzę w tym żadnego sensu. Znajdowałem się dopiero na początku cyklu reinkarnacji, a zatem byłem wręcz rozbijający z powodu ignorancji.

- Jesteś wystarczająco inteligentny, żeby zdawać sobie z tego sprawę - podkreśliła. - A

to już sporo. Dlatego wybrałeś ścieżkę wiedzy i to właściwa droga.

- Możliwe - odparłem trochę poirytowany tym, że moją osobowość podsumowano w trzech byle jakich zdaniach.

Stefania osądzała ludzi trochę zbyt pośpiesznie. Zwróciła się teraz do Amandine:

- A ty najbardziej ze wszystkiego lubisz się kochać, prawda?

Amandine zaczerwieniła się po uszy.

- I co z tego? - zapytała. - Dlaczego tak cię to interesuje?

- Wiem, że to wyłącznie twoja sprawa - uspokoiła ją Stefania. - Ale widzisz, za dużo dajesz innym. Myślisz, że możesz się zrealizować w pełni tylko poprzez fizyczną miłość. Okropny błąd! Energia seksualna jest najpotężniejszą z energii. Jeśli wykorzystujesz ją tylko po to, żeby osiągnąć orgazm, roztrwonisz ją nadaremnie. Musisz nauczyć się zarządzać tym kapitałem oraz znaleźć inne ujście dla tej energii.

122 - PODRĘCZNIK DO HISTORII

Tanatonauci byli ludźmi silnymi, o zdecydowanym spojrzeniu, umiejącymi zachować zimną krew. Wiedzieli dokładnie, dokąd zmierzają. „Prosto przed siebie, wciąż prosto w nieznanne”, tak brzmiała ich dewiza wyryta na medaliku, który nosili na szyi.

Podręcznik szkolny, kurs podstawowy, 2. rok

123 - NAUCZANIE JOGI

Jak nauczyć się medytacji:

- kontrolując ciało i pracując nad nim tak, by pozostawało nieruchome;
- kontrolując oddech;
- kontrolując myśli.

Wystarczy się odizolować w jakimś pomieszczeniu, przyjąć wygodną pozycję, skoncentrować się na punkcie usytuowanym między brwiami.

Wtedy wszystkie dręczące myśli zostają wymazane. Umysł jest czysty i wsłuchuje się w otaczający świat. Możesz rozdzielić to, co jest w tobie, od tego, co należy do świata. Twoje „ja” może się wówczas wymknąć z ciała, żeby

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

124 - I ZNOWU STEFANIA

Stefania była właśnie taka.

Raoul milczał, głęboko zamyślony, zwracając uwagę tylko na nią. Po raz pierwszy widziałem, że mój przyjaciel jest zakochany. Magia działała zatem w dwie strony. Ich spojrzenia spotykały się i uciekały od siebie, zachowywali się jak para turkaweczek z nadejściem wiosny. A przy tym Raoul ukrywał dłonie mocno wciśnięte w kieszenie spodni.

Amandine najwyraźniej nie podzielała zachwyty, jaki okazywaliśmy Włoszce. Nie za bardzo przypadły jej do gustu aluzje do jej seksualności. Nieznajoma osoba nie miała prawa rzucać tego rodzaju uwag, w dodatku w obecności innych. W jej zmrużonych ciemnoniebieskich oczach ocean wchłonął czarne przepaści.

Co więcej, do tej pory w naszej grupie Amandine była jedyną przedstawicielką płci żeńskiej. Była przyzwyczajona do wyłączności. Stefania była zatem rywalką tym groźniejszą, że przekroczyła pierwszą barierę śmierci. A do tego wszystkiego Raoul, ten zimny Raoul, był nią oczarowany!

Wyszliśmy syci z tajskiej restauracji pana Lamberta, żeby udać się do naszego penthouse'u, gdzie mogliśmy swobodniej rozmawiać. Poprosiłem Stefanię, żeby pokazała nam, jak się zabiera do medytacji.

Usiadła ze skrzyżowanymi nogami i wyprostowanymi plecami. Zamknęła oczy i przez dziesięć minut siedziała nieruchomo, nie wykonując najmniejszych choćby ruchów. Wreszcie uniosła powieki.

- Tak to właśnie wygląda! - zaśmiała się. - Przerwałam burzliwy tok myśli i pozwoliłam się wchłonąć przez kolumnę wypełnioną pustką. Wystarczyło dać się ponieść, żeby odlecieć przez okno.

- Ale co pani odczuwała?

- Tego nie można zdefiniować, to trzeba odczuć. To tak, jakbyście zapytali mnie, jaki jest smak soli. Byłoby mi ciężko opisać to komuś, kto zna tylko słodki smak. Jakich słów

należałoby użyć, żeby to zdefiniować? Trzeba spróbować soli, żeby wiedzieć, o co chodzi. I trzeba medytować, żeby zrozumieć, czym jest medytacja.

Odpowiedź wydała mi się co najmniej mętna.

- Ale jak to wygląda w praktyce? - nalegałem.

- Widzieliście, co robię. Trzeba przyjąć określoną pozycję i trzymać się jej. Skoncentrować się na obrazie i nic więcej. Możecie zacząć trenować, myśląc na przykład tylko o płomieniu świeczki. Będzie tańczyła przed waszymi zamkniętymi oczami, aż wreszcie dmuchniecie, żeby ją zgasić i wyruszyć w drogę.

- Dokąd?

- Do nieba. Na kontynent umarłych. Problem tkwi oczywiście w tym, że trzeba się pogodzić z myślą o śmierci. Wahacie się, czy zostawić żonę, dzieci, przyjaciół. Wierzycie, że jesteście niezbędni, ale to straszny błąd i potworna pycha! Taki stan ducha przeszkadza w medytacji, ponieważ medytacja jest krokiem w stronę śmierci. Tymczasem należy w sposób naturalny pogodzić się ze śmiercią, ponieważ jest ona w życiu tym, co może być najbardziej interesujące.

Oczy Raoula zabłysły.

- Nie rozumiem ani jednego słowa z tego, co pani mówi - ponuro mruknęła pod nosem Amandine.

Znowu rozległ się zaraźliwy śmiech Włoszki.

- Właściwie lepiej by było, gdybym pokazała wam, w jaki sposób my, buddyści tybetańscy, nauczyliśmy się umierać. Dla nas od tysiącleci śmierć jest nauką, a nie nieuchronnym końcem. Zaprowadzę was jutro do tybetańskiej świątyni w Paryżu na seans zajęć praktycznych. Na szczęście prawie wszędzie mamy lokalne filie!

125 - FILOZOFIA CHRZEŚCIJAŃSKA

„Tak samo jak duch, który popadł w niewolę ciała, zasługuje na to, by nazywany był cielesnym, tak samo ciało ma prawo do tego, by być nazywanym duchowym, gdy jest w pełni posłuszne duchowi”.

Św. Hieronim, „Komentarz do Księgi Izajasza”

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

126 - WCIAŻ STEFANIA

W tybetańskiej świątyni w Paryżu odbywało się żałobne czuwanie. W kremowych kłębach dymu z kadzidełek wielkie otyłe postacie o przebiegłym spojrzeniu uważnie się w nas wpatrywały. W Stefanię, Raoula, Amandine i mnie. Rozumiałem teraz, dlaczego religia ta tak bardzo zachwyca naszą Włoszkę: religia buddyjska otaczała kultem ludzi grubych i uśmiechniętych.

Potem dowiedziałem się, że moje rozumowanie było jednak zbyt proste. Ci buddowie byli buddami chińskimi, a nie tybetańskimi. Tybetańscy buddowie są znacznie szczuplejsi i poważniejsi. Musiał to być błąd popełniony przez ministerstwo do spraw wyznań, ale ponieważ Tybetańczycy nie byli u siebie, nie odważyli się sprzeciwić i z czasem przyzwyczaili się do życia wśród chińskich buddów. Przeróżających buddów swoich ciemniejszych. Prześladowców. Tych, którzy unicestwili ich lud.

Wygoleni na łyso mężczyźni o czaszkach szorstkich, jakby przetartych papierem ściernym, pozdrowili nas, choć nas nie znali. Byli odziani w szafranowe togi i wszyscy obracali drewnianymi rzeźbionymi młynkami modlitewnymi. Recytowali teksty, których znaczenia nie rozumiałem.

Później nachylili się nad leżącym ciałem. Stefania dała nam znać, żebyśmy do nich dołączyli.

Jeden z lamów zaczął deklamować wiersz, który Włoszka, jako poliglotka, przetłumaczyła nam symultanicznie:

„Szlachetny synu, teraz oto przyszła na ciebie tak zwana chwila śmierci. Odchodzisz z tego świata na drugą stronę, ale nie jesteś w tym jedyny. Zdarza się to wszystkim. Nie pożądaj już i nie tęsknij do tego życia. Gdybyś jednak pożądał go i tęsknił doń, nie będziesz mógł tutaj trwać; nie wyzwolisz się z ustawicznego błędzenia po kolisku samsary. Nie hołduj przywiązaniu! Nie hołduj żądzom! Postępuj myślą za Trzema Klejnotami!

Szlachetny synu, choćby w tym Bar-do Dharmaty stanęły przed tobą najprzeróżniejsze straszliwe i okropne zjawy [czyżby obszar położony za Moch 1, gdzie atakowały nas bańki wypełnione wspomnieniami?], nie zapominaj tego, co ci powiedziano. Sens tych słów zakarbuj sobie dobrze w umyśle i stosownie do niego idź dalej. Na tym polega rozpoznawanie. [...]

Ach, teraz oto pojawia się przede mną Bar-do Dharmaty; odrzucam wszelkie gniewne, straszne i przerażające widziadła i pojmuję, że to, co widzę, to moje własne emanacje; wiem też, że w taki właśnie sposób przejawia się bar-do. W tej chwili, gdy przyszło na mnie niebezpieczeństwo, że nie osiągnę głównego celu, nie będę poddawać się lękowi przed tłumem widziadeł spokojnych i gniewnych!" [...]

Szlachetny synu, jeśli nie umiesz rozpoznać własnych emanacji, to, jakkolwiek w ludzkim świecie oddawałeś się medytacjom, teraz nie potrafisz przyswoić sobie tych pouczeń; przerażą cię te światłości, rozgniewają dźwięki, wystraszą promienie. Nie pojmiesz istoty wskazówek, nie rozpoznasz natury tych trzech - dźwięków, światłości i promieni, i nadal będziesz błąkał się w samsarze".¹³

Słowa wypowiedziane przez lamę doskonale wyjaśniały to, co stało się z Jeanem Bressonem i Stefanią, gdy przekroczyli pierwszą barierę komatyczną. On zapadł się w Bar-do Dharmaty, a ona nauczyła się, jak stamtąd uciec.

Mnich podszedł do umierającego i zaczął go dziwnie dotykać.

- Uciska teraz tętnice szyjne, aż przestaną bić i nadejdzie sen - wyjaśniła nam Stefania.
- Kiedy oddech zniknął z centralnego kanału obiegu i nie może płynąć kanałami bocznymi, musi się wznieść i wydostać otworem Brahmy.

- Mówiąc wprost, ten facet jest w tej chwili mordowany na naszych oczach! - krzyknąłem przerażony.

Na twarzy Amandine pojawił się grymas obrzydzenia.

Stefania spojrzała na mnie łagodnie. Pomyślałem nagle, że ja również zachowywałem się jak ten lama. W imię tanatonautyki zabijałem ludzi, żeby wysłać ich na kontynent umarłych. Sto dwadzieścia trzy unicestwione przeze mnie ludzkie króliki doświadczalne kazały mi zamilknąć.

- Czym jest otwór Brahmy? - zapytał Raoul.

- Otwór Brahmy to wrota, przez które dusza wymyka się z ciała. Jest to punkt znajdujący się w górnej części czaszki, w odległości ośmiu palców od nasady włosów - kontynuowała nasza przewodniczka.

Raoul zanotował umiejscowienie „otworu Brahmy" w swoim notesie. Właściwie był to

¹³ Przeł. I Kania.

port, z którego wyruszało się na Ostateczny Kontynent.

Stojąc nad konającym, lama mówił o pierwszym Bar-do, o pierwszym świecie umarłych, do którego niebawem dotrze. Opisał mu go jako „świat samoistnej prawdy”.

- Teraz właśnie, w przerwie między zatrzymaniem zewnętrznego oddechu i zatrzymaniem wewnętrznego biegu, oddech zagłębia się w kanał centralny - szepnęła do nas Stefania. - W tym ciele nie ma już świadomości. Im człowiek jest zdrowszy, tym dłuższy jest ten etap. Omdlenie może trwać aż do trzech i pół dnia u człowieka zdrowego. Dlatego nie grzebiemy ani nie przeprowadzamy sekcji na żadnym ciele przed upływem czterech dni od chwili śmierci. Z kolei jeżeli zmarły tonął w grzechu, a jego kanaliki wewnętrzne są nieczyste, chwila ta będzie trwać tylko sekundę.

- A czemu mają służyć te cztery dni? - zapytałem.

- Stopniowemu poznawaniu światła.

No cóż, buddyzm tybetański najwidoczniej znał odpowiedź na każde pytanie. Ja natomiast przypominałem sobie z przerażeniem opowieści o ludziach, którzy obudzili się zamknięci w zakopanej głęboko pod ziemią trumnie. Zostali pochowani za wcześnie! Niektórzy zrozpaczeni długo walili w ściany trumny, zanim umarli naprawdę z braku powietrza. Inni mieli na tyle szczęścia, że ich nawoływania dosłyszał jakiś przechodzień lub strażnik, i tych uważano za cudem uratowanych. Niektórzy żądali nawet, by chowano ich w trumnie wyposażonej w dzwonek, żeby ewentualnie mogli zawiadomić o swoim przebudzeniu. A jeśli ktoś obudził się w płonącym palenisku krematorium? Chyba rzeczywiście lepiej poczekać te cztery dni...

Dawniej z trudem rozróżniano śmierć i głęboką śpiączkę. Dlatego właśnie wiele osób pochowano, kiedy jeszcze żyły. A dzisiaj? Wiedziałem dobrze, że czasami pozostają wątpliwości. Zatrzymanie akcji serca, mózgu, brak reakcji na bodźce... Gdzie naprawdę szukać znaku świadczącego o ostatecznym przekroczeniu granicy śmierci?

Kiedy wyszliśmy z tybetańskiej świątyni, dla odprężenia udaliśmy się na spacer na cmentarz Père-Lachaise. Raoul i Stefania, żartując sobie, szli przodem. Amandine i ja wlekliśmy się za nimi.

- Ależ ona wręcz obleśnie prowokuje Raoula! - zżymała się moja śliczna blondyneczka. - A jest przecież mężatką! Nie wiem, co robi jej mąż we Włoszech, ale na pewno powinien lepiej pilnować żony.

Nigdy dotąd nie widziałem tak niezadowolonej Amandine. Jakby dla niej podbój zaświatów stracił kompletnie znaczenie i liczyła się wyłącznie zazdrość!

Była przecież wcześniej z Féliksem. Była też z Jeanem. Teraz pragnęła Raoula i

zwierzała mi się z tego otwarcie, gdy tymczasem ja marzyłem tylko o niej, a ona tego nie widziała!

Moja miłość była jednak tak silna, że starałem się ją jakoś uspokoić.

- Nie przejmuj się - powiedziałem - Raoul ma głowę na karku.

Wzięła mnie pod ramię.

- Myślisz, że on coś do mnie czuje i że nie widzi we mnie tylko zwykłej asystentki?

Dlaczego jest tak, że kobiety muszą zawsze mnie traktować jak swojego powiernika? I to kobiety, których pragnę!

Ale oczywiście wypowiedziałem najgorsze z możliwych zdań:

- Wydaje mi się, że w głębi serca Raoul... kocha cię.

Trzeba być naprawdę tak głupim jak ja, żeby opowiadać podobne bzdety.

Od razu się poczuła lepiej.

- Naprawdę tak myślisz? - zapytała mnie radośnie.

Brnąłem dalej. W końcu w punkcie, w jakim się znalazłem, trudno było o coś jeszcze gorszego. A jednak mi się udało.

- Jestem o tym święcie przekonany. Tyle że... nie ma odwagi się do tego przyznać.

127 - REKLAMA

„Życie jest czasami doliną pełną łez. Ale lubię je. Jeszcze wczoraj znalazłem w skrzynce na listy same rachunki do zapłacenia. W telewizji nie było nic ciekawego do oglądania. Moja żona wciąż chciała się ze mną kłócić. Straż miejska okleiła mój samochód mandatami, a jacyś wandale zarysowali mi karoserię kluczami. Już miałem wpaść w złość i nagle przeszło mi. Bo życie to nie tylko spiętrzenie się różnych draństw. Życie to radość oddychania świeżym powietrzem, odkrywanie niepowtarzalnych pejzaży, spotkanie różnych sympatycznych i inteligentnych istot. Trzeba więc wyraźnie wszystko rozgraniczyć. Życie jest mimo wszystko produktem wysokiej jakości. Ja zażywam go każdego ranka i proszę o więcej każdego wieczoru. Róbcie tak jak ja! Kochajcie życie, a życie odplaci wam z nawiązką!”

*Przestanie KAPŻ,
Krajowej Agencji Promocji Życia*

128 - MIŁOSNA HISTORIA

Zadręczałem się w mieszkaniu na tanatodromie w Buttes-Chaumont, czując się równie samotny jak w mojej dawnej kawalerce.

Stefania na pewien czas wróciła do Włoch. Amandine, Raoul i ja skorzystaliśmy z jej nieobecności, żeby sprawdzić całą aparaturę i stworzyć dla niej, gdy wróci, jak najlepsze warunki.

Wspólne posiłki stały się dla nas trudną próbą nerwów. Amandine przysuwała się blisko Raoula i wpatrywała w niego bardziej zachłannie niż w to, co miała na talerzu. Owszem, Raoul był nadal pod urokiem włoskiej tanatonautki, ale codzienne przymilanie się Amandine zdawało się przynosić efekty.

Ku mojej rozpaczy oboje za wszelką cenę chcieli informować mnie na bieżąco, jak wyglądają ich uczuciowe sprawy. Dusilem się, gotując się cały, w roli męża zaufania.

- Widziałeś? - powiedział do mnie Raoul. - Uważam, że Amandine ubiera się coraz lepiej.

- Wciąż chodzi w czerni...

W ogóle mnie nie słuchał.

- I jest coraz piękniejsza, prawda?

- Zawsze uważałem, że jest cudowna - odpowiedziałem smutno.

Tego samego wieczoru dowiedziałem się, że idą we dwójkę na kolację.

Nie wrócili na noc do tanatodromu. Byłem sam. Całkiem sam w świętym przybytku.

Zasiadłem na tronie startowym i w tym miejscu właśnie, tam gdzie koncentrowała się cała energia tanatodromu, próbowałem zastosować w praktyce rady Stefanii. Chciałem przeprowadzić skuteczną medytację transcendentálną, żeby opuścić swoją powłokę żalosego nieudacznika.

Zamknąłem oczy, starałem się wytworzyć w sobie pustkę, lecz gdy tylko opuściłem powieki, cudowna twarz Amandine ukazała mi się na panoramicznym ekranie. Była piękna jak anioł, patrzyła na mnie pobłaźliwie, a blond włosy zakrywały jej wydatne usta.

Co z tego, że byłem sławny i szanowany, skoro nie umiałem nawet zdobyć kobiety, której pragnąłem?

Wściekałem się. Okropna była myśl, że Amandine idzie bez problemu do łóżka z każdym oprócz mnie, chociaż ja ją kocham. Otworzyłem oczy. Wyobrażałem sobie, jak kocha się gdzieś, w jakimś hotelu... „Żeby nie krępować naszego biednego Michaela"... Zaśmiałem

się nerwowo. „Olać tę całą tanatonautykę!”, jak powiedziała by zapewne Félix. Jaka szkoda, że Stefania pojechała, bo tylko ona nie dopuściłaby do tego związku, gdy tymczasem ja... Właściwie tylko im pomogłem i doprowadziłem do najgorszego. Czy byłem nieprzytomny, żeby ułatwiać swojemu najlepszemu przyjacielowi spotkanie się z kobietą, której tak strasznie pragnąłem?

Nie, wiedziałem, że to się stanie tak czy inaczej, więc powiedziałem sobie, że im szybciej do tego dojdzie, tym wcześniej będę wiedział, czego się trzymać.

Z miejsca, w którym teraz siedziałem, widziałem szubienicę, na której zawieszono były fiolki z boosterem. Po co w ogóle żyć? A gdybym i ja spróbował przekroczyć drugą barierę komatyczną? W końcu nie muszę się zaniepokoić przeszłości. W najgorszym razie spotkam Félixka. Zacząłem podwijać rękaw koszuli. Na chwilę przyszło mi do głowy, że popełniam samobójstwo z miłości, zupełnie jak jakiś beznadziejny przyszczaty małolat...

Cóż za bezdenna głupota.

Wbiłem igłę w żyłę nadgarstka, która pulsowała tak mocno, jakby chciała uniknąć tej próby.

„A masz, ty gruba żyło, za karę, że nie dostarczyłaś wystarczająco krwi do mojego mózgu, abym znalazł słowa, które mogłyby zauroczyć Amandine”.

Włączyłem całą aparaturę. Wziąłem do ręki gruszkę elektrycznego włącznika.

Amandine podziwiała tanatonautów, spała z tanatonautami, chciała się dowiedzieć, czym jest śmierć, zbliżając się do tanatonautów, musiałem więc stać się tanatonautą, żeby zyskać w jej oczach.

I pomyśleć, że w całej tej historii uczestniczyłem w tak niewielkim stopniu. Byłem prawdopodobnie jak ci hiszpańscy marynarze, którzy widzieli, jak statki odpływają do Ameryki i wracają stamtąd, a sami nigdy tam nie wyruszyli. Nie można przecież poznać czegoś tylko dzięki temu, co mówią inni. Trzeba pojechać na miejsce.

Gruszka elektrycznego włącznika ślizgała się w zagłębieniu dłoni, tak bardzo była mokra od potu.

Co ja robię?

Słowa tybetańskiego mnicha dźwięczały mi w uszach niczym dziecięce wyliczanki.

„Szlachetny synu, teraz oto przyszła na ciebie tak zwana chwila śmierci. Odchodzisz z tego świata na drugą stronę, ale nie jesteś w tym jedyny. Zdarza się to wszystkim. [...] Nie hołduj przywiązaniu!”¹⁴.

¹⁴ Przeł. I. Kania.

Nie hołduj przywiązaniu... Moja karma naprawdę nie była jakaś niezwykła przez całe dotychczasowe życie. W następnym życiu spróbuję być patentowanym uwodzicielem, który będzie wrywał wszystkie panienki. Jedno życie jest po to, żeby nauczyć się panować nad miłością, a drugie po to, żeby z niej korzystać. No dobra, umrę może nieśmiały, za to odrodzę się playboyem.

Popatrzyłem raz jeszcze na gruszkę włącznika. Przełknąłem ślinę i niepewnie zacząłem rytualne odliczanie:

- Sześć... pięć... cztery... trzy... dwa... jeden. Odlatu...

W sali zabłysło światło.

- Mamo, on jest tutaj! - krzyknął Conrad. - Co ty wyprawiasz w tym fotelu? Szukaliśmy cię wszędzie.

- Zostaw brata w spokoju - powiedziała moja matka. - Na pewno sprawdza jakieś rzeczy. Nie przeszkadzaj sobie, Michael, rób swoje. Chcieliśmy po prostu zrobić z tobą bilans działalności sklepiku. Ale to może poczekać.

Conrad majstrował teraz przy potencjometrach. Zwykle nie byłem w stanie znieść tego, że wszystkiego dotyka, i szybko się denerwowałem. Tego wieczoru jednak, sam nie wiem dlaczego, Conrad, ten okropny Conrad, ukazał mi się jako wzór naprawdę idealnego gościa.

Niepostrzeżenie mój palec zsunął się z włącznika startu.

- Chcielibyśmy mieć też rysunki tego, co jest za drugą barierą, żeby przygotować T-shirty na nowy sezon - uściślił brat.

Matka podeszła bliżej i złożyła na mym czole oślizły pocałunek.

- A jeśli nie miałaś jeszcze czasu, żeby coś przekąsić, bo ty przecież zawsze zapominasz o jedzeniu, w domu jest rosół na kościach, taki jak lubisz. Żywiąc się bez przerwy w restauracjach, odchoryjesz to. Zawsze podają tylko resztki i produkty najgorszego gatunku. Nie ma porównania z tym, co przyrządzi mamusia!

Nigdy dotąd nie odczuwałem takiego przywiązania do tych dwojga. Nigdy też nie byłem tak uradowany ich widokiem. Wyrwałem igłę z nadgarstka. Pojawiła się kropla krwi, której nie zauważyli.

Jedna tylko rzecz mnie dręczyła: czy na pewno w kościach będzie dość gorącego szpiku, żebym mógł go rozsmarować na kromce świeżego chleba, którą posypię gruboziarnistą solą? I do tego trochę pieprzu. Ale nie za dużo, bo mógłby zepsuć smak.

129 - MITOLOGIA CHRZEŚCIJAŃSKA

„I [Anioł] ukazał mi rzekę wody życia, lśniąca jak kryształ, wypływającą z tronu Boga i Baranka. Po między rynkiem Miasta a rzeką, po obu brzegach, drzewo życia, rodzące dwanaście owoców - wydające swój owoc każdego miesiąca - a liście drzewa [służą] do leczenia narodów”.

Apokalipsa świętego Jana, 22¹⁵

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

130 - STEFANIA JEST TUTAJ

Zapomnieć o kłopotach osobistych. W ciągu następnych dni starałem się odsunąć na bok wewnętrzne rozterki. Żadnych pragnień, żadnych cierpień. Wiedziałem, że moje pożądanie Amandine może bardzo łatwo przeobrazić się w obsesję. Obsesję tym groźniejszą, że odtąd Amandine była poza moim zasięgiem.

Stefania wróciła z Florencji i pomyślałem sobie, że skoro Raoul interesuje się teraz inną kobietą, powinniśmy może przeżywać naszą samotność we dwoje. Zresztą podobałem się chyba trochę tej Włoszce. Klepała mnie siarczyście po plecach, wybuchała śmiechem na mój widok i zwracała się do mnie: „Mój ty *stupido Michaelese*”. Chyba taki lokalny komplement.

Problem w tym, że nie wiedziałem za bardzo, jak się do tego zabrać. Zawsze byłem beznadziejnym podrywaczem. Owszem, do tej pory poznałem dziesiątki kobiet, ale zawsze to one jakoś sobie radziły, żeby mnie zaciągnąć do łóżka, a nigdy odwrotnie. Ponadto wiedziałem, że Stefania ma męża, nawet jeśli w ogóle nie poruszała tej kwestii.

Co dziwne, Raoul i Amandine nic nie dawali po sobie poznać, jeśli chodzi o ich idyllę. Nie trzymali się za ręce i nie obściskiwali po kątach. Tylko pewien spokój w ich zachowaniu wskazywał, że na pewien czas jedno przy drugim znalazło ukojenie dla zmysłów.

Stefania niczego nie zauważyła. Nadal zachowywała się prowokująco w stosunku do

¹⁵ Wszystkie cytaty z Pisma Św. podano za Biblią Tysiąclecia.

Raoula. To normalne, że mężczyznę, który jest szczęśliwy w swoim związku, otacza swoista aura, czyniąc go jeszcze bardziej pociągającym dla innych kobiet. Ja z moim bezustannym lękiem i wieczną samotnością mogłem je tylko odstraszać.

Pozostawała mi praca. Z pasją więc rzuciłem się w jej wir. Dla naszej tanatonautki marzyłem o dokonaniu wielkich czynów.

Im gorzej wyglądały moje sprawy miłosne, tym bardziej chciałem, by powiodło mi się ze śmiercią. Zresztą mój dawny sen o kobiecie w aksamitnej szacie z trupią czaszką zamiast twarzy powracał coraz częściej. Może i nie udało mi się rozebrać Amandine, ale miałem ogromną ochotę rozprawiczyć Wielką Kostuchę.

O śmierci, chcę wiedzieć, co kryje się pod twoją maską!

O śmierci, przygotuj się, by odkryć przede mną ostatnią tajemnicę.

Moim orężem będzie zresztą kobieta, Stefania. Stefania, mój taran, którym rozbiję wrota mrocznego zamku.

Wprowadziłem dodatkowe poprawki do boostera, udoskonaliłem tron startowy, dorzuciłem też nowe czujniki sensoryczne. Równocześnie uczyłem się map czakramów joginów i akupunktury. Na podstawie ludzkich sylwetek próbowałem naszkicować kształt ciała witalnego, o którym pisano w tybetańskich księgach. Studiując dokładnie tę powłokę, z zaskoczeniem stwierdziłem jej obecność także w moim najbliższym otoczeniu.

Zajmowałem się też fizjologicznymi aspektami medytacji. Zawsze starałem się znaleźć naukowe podstawy mistycyzmu. Według niektórych opracowań mózg wysyła fale o różnej długości w zależności od poziomu jego aktywności. Mogą one być rejestrowane za pomocą zwykłego elektroencefalografu.

Kiedy na przykład zastanawiamy się „normalnie”, wysyłamy od trzydziestu do sześćdziesięciu wibracji na sekundę i nazywamy to „przebywaniem w fazie rytmu fal beta”. Im bardziej jesteśmy pobudzeni i im bardziej jesteśmy skoncentrowani, tym wyższy jest poziom wibracji.

Kiedy zamykamy oczy, natychmiast uzyskujemy emisję wolniejszych fal, ale ich amplituda jest czasami wyższa. Oscylujemy wówczas w okolicach dwunastu wibracji na sekundę. Wtedy znajdujemy się w fazie alfa.

W fazie snu, gdy nic się nie śni, wysyłamy fale delta, od pół do trzech wibracji na sekundę.

Sprawdziłem to na Stefanii, moim króliku doświadczalnym. Założyłem jej czujniki na skroniach, potylicy, ciemieniu i podczas odlotu zarejestrowałem emisję fal alfa. Oznaczało to, że mózg na całej powierzchni był w stanie spokojnego czuwania.

Jednakże odkrycia tego nie mogliśmy w żaden sposób wykorzystać. To, że u Stefanii zaobserwowaliśmy emisję fal alfa, świadczyło tylko o tym, że doskonale kontroluje medytację.

W tym czasie nasza wzmocniona ekipa funkcjonowała wręcz znakomicie. Stefania rozwiódła się z żyjącym w oddali mężem i zamieszkała w Paryżu, żeby współpracować z nami jeszcze ściślej. Na trzecim piętrze znaleźliśmy dla niej sąsiadujące z moim mieszkanie.

Każdego ranka startowała z penthouse'u, wykorzystując tylko zwykłą medytację, aby przeprowadzić, na razie z daleka, rekonesans miejsc, do których wieczorem doprowadzić ją miała ta sama medytacja, tyle że z wykorzystaniem odrobiny chemii. Była piękna, pulchna i skoncentrowana, siedząc wśród zielonej roślinności tuż przy fortepianie.

Patrzyłem, jak wyrusza w zaświaty, a potem długo z nią dyskutowałem, pochylając się nad mapami Ostatecznego Kontynentu. Wykreślałem niektóre rzeczy, kolorowałem niektóre obszary, bawiłem się słowami *Terra incognita*, tak jakbym niecierpliwie chciał tę granicę przesunąć jak najdalej.

W ciągu dwóch tygodni Stefania wykonała trzy wizyty poza pierwszą barierę i dzięki temu mogliśmy dosyć dokładnie uzupełnić mapę zaświatów, chociaż było oczywiste, że bańki wspomnień z przeszłości Stefanii nie są uniwersalne i w żadnym wypadku nie mogą posłużyć za punkt odniesienia dla innego tanatonaudy.

W oczekiwaniu na całkowicie pewne wyniki zrezygnowaliśmy z jakiegokolwiek reklamy. Tak czy inaczej po przejmujących rewelacjach Jeana Bressona większość tanatodromów na świecie została zamknięta, więc nie musieliśmy już obawiać się konkurencji z ich strony.

- Sześć... pięć... cztery... trzy... dwa... jeden. Start.

Wieczorny odlocik. Włoszka wyciągnęła się na czerwonym fotelu z okuciami z czarnego metalu. Długie kręcone włosy spływały jej po bluzce. Przypominała postać z renesansowych obrazów Tycjana.

Wypiłem mocną kawę. Loty Stefanii coraz bardziej wydłużały się w czasie.

Już od trzydziestu czterech minut była pogrążona w koma-medytacji.

- Co robimy? - zapytałem Raoula, który wszedł do laboratorium, zapinając koszulę.

Popatrzył na licznik elektrycznego budzika i zobaczył, że Stefania zaprogramowała go na „koma plus trzydzieści osiem minut"! Aż podskoczył.

- Przecież to czyste szaleństwo! Ona nigdy nie zdoła się wybudzić.

Nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Przekreślił guzik licznika, żeby wyzerować urządzenie. Od razu zaczął płynąć prąd

elektryczny podawany niewielkimi, ale stale zwiększającymi się dawkami, tak jak działa system ABS, gdy hamujemy.

- Wracaj, Stefano, dotarłeś za daleko!

Byliśmy poważnie zaniepokojeni. A jednak wszystko dobrze się potoczyło.

Powrót odbywał się stopniowo, krok po kroku.

Stefania otworzyła nagle oczy, zamrugła, jakby budziła się ze snu. Popatrzyła na nas, uśmiechnęła się, po czym ogłosiła stanowczym tonem:

- Widziałam ją.

- Co widziałas?

- Byłam na samym dnie. I widziałam ją. Istnieje druga bariera! Moch 2.

Nasza tanatonautka złapała wreszcie oddech, a Raoul w tym czasie wziął mapę Ostatecznego Kontynentu.

- Opowiadaj - powiedział.

Zaczęła mówić:

- Na początku, tak jak zwykle, dotarłam do czarnego korytarza, w którym zaatakowały mnie bańki światła. W każdej z nich zamknięte było bolesne wspomnienie i rzeczy, których nie załatwiłam najlepiej. Jeśli chcecie wszystko wiedzieć, to widziałam małą dziewczynkę, której ukradłam tornister, zobaczyłam matkę, która płakała dlatego, że miałam złe oceny w szkole, widziałam młodego mężczyznę, którego odtrąciłam, a on z rozpaczki popełnił samobójstwo. Ujrzałam też oczywiście raz jeszcze moment, w którym przypominałam leżącego na plecach żółwia, i zobaczyłam też dzień, w którym dowiedziałam się o śmierci szkolnej sprzątaczk. Stawiłam czoło wszystkim złym wspomnieniom i wytłumaczyłam się przed każdą z osób z mojego postępowania. Ukradłam tornister tej małej dziewczynce, dlatego że moi rodzice nie byli dość bogaci, żeby mi taki tornister kupić, miałam złe oceny w szkole, bo matka nie zostawiała mi ani chwili czasu na odrabianie lekcji, wciąż żądała ode mnie, żebym zmywała naczynia albo zamiatała, a człowiek, którego odtrąciłam, podrywał mnie w czasie, gdy byłam już z innym mężczyzną, który mi się podobał. Nie ponosiłam też odpowiedzialności za śmierć sprzątaczk. Wokół widziałam innych umarłych, którzy walczyli ze wspomnieniami i nie potrafili się wytłumaczyć ze swojej winy. Stopniowo wspomnienia zalewały ich, tak jak białe krwinki atakują mikroby. Ci, którzy zabili, otrzymywali ciosy od swoich ofiar, ci, którzy czegoś zaniedbali, dostawali po twarzy. Nieroby były wrzucane w błoto. Choleryków unosiły fale. Ten widok dziwnie mi przypominał „Boską komedię” Dantego... Ci, których grzechem była chciwość, mieli zaszyte oczy. Tych, których grzechem była rozpusta, palono żywcem. Śmierć jest jednak naprawdę czymś okropnym. Kiedy

pokonałam już swoje demony i przyjrzałam się walce, jaką toczyli moi sąsiedzi, podążyłam dalej ciemnym korytarzem, który teraz stał się fioletowy. Wszystko wokół mnie przywoływało na myśl dwa słowa: strach i ciemność. Ściany miały pylistą konsystencję i pachniały świeżo zaoraną ziemią...

Według niej olbrzymi korytarz stale się zwężał, ale jego średnica wciąż wynosiła kilkaset (albo kilka tysięcy?) kilometrów.

Miał formę kувety, a raczej lejka. Ludzie bili się ze wspomnieniami na urwistych występach skalnych. Przypominały klif w kształcie walca. Światło wciąż pulsowało w głębi kувety. Nie było już jednak ani góry, ani dołu.

Stefania chwyciła mapę Raoula i zwinęła ją w taki sposób, że czubek lejka skierowany był teraz do ziemi.

- Stożek nie jest w poziomie, tylko w pionie - powiedziała. - Brzegi kurczą się, w miarę jak schodzimy coraz niżej po piaszczystych urwiskach.

Nabazgrała na kartce:

1. Start.
2. Wygaszenie wszystkich oznak normalnego życia.
3. Koma.
4. Wydostanie się poza świat.
5. Osiemnaście minut lotu w przestrzeni.
6. Pojawienie się wielkiego kręgu światła wirującego wokół własnej osi, pierwsze obrazy Ostatecznego Kontynentu. Średnica w przybliżeniu: tysiące kilometrów w oświetlonej strefie. Granice. Niebieska plaża.
7. Dotarcie do plaży światła. Przybycie do terytorium numer 1.

TERYTORIUM 1

- Lokalizacja: koma plus 18 minut.
- Kolor: niebieski. Turkusowoniebieski przechodzący stopniowo w fioletowoniebieski.
- Doznania: nieodparte przyciąganie, kolor niebieski, woda. Obszar chłodny i przyjemny. Światło, które przyciąga.
- Kończy się na: Moch 1 (nieco mniejsza średnica).

TERYTORIUM 2

- Lokalizacja: koma plus 21 minut.

- Kolor: czarny.

- Doznania: otchłań, strach, ziemia. Obszar zimny i przerażający, gdzie na coraz bardziej stromych urwiskach nieboszczyk stawić musi czoło najbardziej przykrym lękom i wspomnieniom. Światło jest wciąż obecne, ale strach odwraca od niego uwagę.

- Kończy się na: Moch 2.

- Prowadzi być może do... terytorium numer 3 (?).

Stefania starła na mapie jedną kreskę, narysowała inną i przesunęła słowa *Terra incognita*. Nasza nowa granica nazwana została Moch 2. Teraz mogliśmy już zaprosić przedstawicieli prasy. Wiadomość spotkała się z szerokim oddźwiękiem międzynarodowym.

Tanatonautka wyjaśniła, że Jean Bresson został zapewne pokonany przez swoją przeszłość. Odmówił jakichkolwiek kontaktów z dziennikarzami, którzy chcieli z nim przeprowadzić wywiad. Ten biedny człowiek, żyjący w całkowitej izolacji, nigdy się nie dowiedział, co wydarzyło się tam, w górze.

Należało jednak uporać się z wywołaną przez niego tanatofobią. Poszukiwano jego rodziny, dawnych przyjaciół.

Opowiadali, że istotnie Jean miał okropne dzieciństwo, które spędził w internacie prowadzonym przez wielce podejrzanego typa molestującego uczniów. Żeby udowodnić sobie, iż pokonał dawne lęki, Jean stał się najpierw kaskaderem, a potem tanatonautą. Zrobił wszystko, żeby zapomnieć o najmłodszych latach, ale pierwsza bariera komatyczna wyrosła nagle przed nim, przypominając mu minione piekło i włączając go w nie na nowo.

Dyrektor internatu został zdemaskowany, potem aresztowany, a zakład zamknięto.

Jednakże lęk przed śmiercią wcale dzięki temu nie zniknął. Odtąd wszyscy wiedzieli, że śmierć nie jest ani czystym rajem, ani też do końca piekłem. Jest „czymś innym”. Śmierć nadal pozostawała tajemnicą.

A zatem naprzód! Prosto przed siebie, wciąż prosto w nieznanne!

Następny cel: Moch 2.

131 - MITOLOGIA ŻYDOWSKA

Kiedy Adam pojawił się na ziemi, pierwszego dnia był bardzo zaskoczony, że światło się zmienia. Gdy słońce zaszło, a ciemności zawładnęły niebem, pomyślał, że wszystko się

skończyło. Jego życie i świat cały znalazły się u swojego kresu. „Jakżem nieszczęśliwy! - krzyknął. - Pewnie zgrzeszyłem ciężko, skoro nad światem zapadły tak wielkie ciemności. Wracamy więc do pierwotnego chaosu. Oto śmierć, na którą skazują mnie Niebiosy”. Przeszedł jeść i płakał przez całą noc.

Kiedy nastał świt, krzyknął: „Taki zatem jest świat! Gaśnie, a potem zapala się na nowo”. Wtedy ciesząc się ogromnie, że nie wszystko się skończyło, wstał, pomodlił się i złożył Bogu ofiarę.

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

132 - MAJSTERKOWANIE

Podczas gdy posuwaliśmy się do przodu małutkimi kroczkami, centymetr po centymetrze eksplorując Ostateczny Kontynent, w różnych miejscach na świecie zaczęły się na nowo odradzać tanatodromy. Wyrastały także jak grzyby po deszczu nowe tego typu ośrodki.

Temat znowu stawał się modny. Gdy tylko się dowiedziano, że Stefania wpadła na pomysł połączenia mistyki z nauką, tanatodromy wznoszono nieopodal świątyń, a po wieżniach i kaskaderach pojawiło się nowe pokolenie tanatonautów, wśród których znaleźli się przede wszystkim duchowni i mnisi różnych wyznań.

Równolegle, po sceptykach i entuzjastach, mieliśmy teraz do czynienia z laikami, którzy uważali tę mieszaninę przesądów i nauki za wybuchową. Nadali nam przydomek „konkwistadorów wiary”, ponieważ wyruszyliśmy na podbój nowego terytorium w imię pewnych duchowych zasad przyjętych niejako *a priori*.

Każdy z kapłanów, który przekroczył pierwszą granicę, twierdził, że ujrzał symbole wyznawanej przez siebie religii. Było to czymś naturalnym, ponieważ na mrocznym terytorium tanatonauta był osaczony przez własne wspomnienia.

Mnisi benedyktyńscy oświadczyli na przykład, że odkryli pochodzenie aureoli świętych. Według nich było to wyobrażenie ektoplazmy wysuwającej się z górnej części czaszki. Malarze tworzący w tej epoce chcieli w ten sposób podkreślić zdolność odcieleśnienia, jaką posiadali święci.

Osoby nastawione wrogo do religii uniosły się gniewem, twierdząc, że to tylko propagowanie ciemnoty.

W grę wchodziły teraz sprzeczne interesy, świętości i wszelkiego rodzaju tabu.

Amandine, Stefania, Raoul i ja wiedzieliśmy, że majstrujemy przy bombie, która w każdej chwili może nam wybuchnąć prosto w twarz. Już „incydent” z Jeanem powinien być dla nas poważnym ostrzeżeniem.

Ciekawość jednak zawsze jest najsilniejsza. Tak bardzo przecież chcieliśmy się dowiedzieć, co się kryje za Moch 2.

Stefania opowiadała nam o tym po każdym locie. Dotknęła osławionej drugiej granicy, ale na razie nie była w stanie pokonać jej. Brakowało jej jeszcze czegoś, czego nie potrafiła wciąż zdefiniować.

Nie była w tym zresztą jedyna. O ile bowiem inni buddyści tybetańscy, a po nich mnisi taoistyczni, wirujący derwisze, zaratustrianie, Świadkowie Jehowy, trapiści z Mont-Louis, jezuici z opactwa Saint-Bertrand przekroczyli bez większego trudu pierwszą barierę komatyczną, o tyle dotąd nikomu nie udało się pokonać drugiej.

Odwiedziliśmy różne miejsca kultu i dowiedzieliśmy się dużo na temat obrzędów. Wszystkie religie zachowały w pamięci techniki odlotu. I nieistotne było to, czy nazywano je „wieczną modlitwą” czy „kontaktem z boskim światem”.

133 - ASTROLOGIA

Chcąc się rozwijać, ludzki los musi przejść przez dwanaście znaków zodiaku. Według niektórych wschodnich wierzeń należy wcielić się co najmniej dwanaście razy w każdy ze znaków, to znaczy ogółem sto czterdzieści cztery razy. To minimum. W ten sposób człowiek obejdzie wszystkie ascendenty każdego znaku i pozna dostępne w trakcie ludzkiego życia osobowości. Aby stać się czystym duchem, należy przetestować wszystkie charaktery i formy egzystencji.

Jednakże sto czterdzieści cztery reinkarnacje nie wystarczają większości ludzi. Budda miał ich poznać pięćset, zanim zrozumiał świat, a zdecydowana większość spośród nas jest gdzieś między tysięczną i dwutysięczną ludzką reinkarnacją.

Astrologia zapewnia, że dwanaście znaków zodiaku porównywalnych jest z dwunastoma godzinami na tarczy zegara. Jedna ze wskazówek odnosi się do naszego znaku, a druga, minutowa, wskazuje nasz ascendent. Razem określają one umowę, jaką mamy zrealizować w trakcie obecnego wcielenia.

Którą mamy zatem godzinę w naszym „całkowitym życiu?”

134 - INTERNACJONALIZACJA

Lucinder odwiedził nas i poradził, żebyśmy na razie zachowywali się dyskretnie. Wielu kapłanów było teraz w stanie euforii. Papież, podobnie zresztą jak niektóre wspólnoty integrystów, spoglądał nieprzychylnym wzrokiem na ingerencję tanatonaucy w sferę życia zakonnego.

Kiedy Raoul zaprotestował, mówiąc, że nie maczaliśmy w tym palców, prezydent odpowiedział mu, że mimo wszystko około setki duchownych różnych wyznań odeszło z tego świata, ponieważ chcieli kontynuować rozpoczęte przez nas doświadczenia. Mój przyjaciel stwierdził z kolei, że powinni byli zająć się głębiej aspektami naukowymi odcielesnienia, zamiast zaufać wyłącznie swojej wierze. Lucinder przyjął ten argument do wiadomości, ale wyczuwaliśmy, że najwyraźniej absorbuje go coś innego.

Czy to możliwe, żeby w połowie XXI wieku obawiał się władzy duchownych?

Na tanatodromie w Buttes-Chaumont pracowaliśmy zawzięcie nad tym, by starty stały się jeszcze bezpieczniejsze. Stefania stwierdziła, że start jest lepszy, gdy jest wyprostowana, trzyma plecy sztywno, podbródek przyciśnięty do klatki piersiowej i ma odsłonięte ramiona. W związku z tym opracowaliśmy tron, który imitował kształtem szwedzkie siedziska, które wymuszają przyjęcie takiej właśnie ergonomicznej pozycji.

Wokół fotela zainstalowaliśmy szklaną bańkę izolującą tanatonaucę od świata zewnętrznego. Istotnie bowiem spora liczba wypadków następowała wówczas, gdy ktoś przez nieuwagę przeszkodził tanatonaucie w trakcie lotu. Srebrna pępowina zaskoczonego pilota pękła, zanim zdążył ją skrócić. Niespodziewany dzwonek telefonu, drzwi zamykające się pod wpływem zwykłego przeciągu i zejście gotowe! Nie igrza się z takimi sprawami.

Żeby jeszcze bardziej usprawnić odlot, wprowadziliśmy najwyższej jakości system polifonicznego udźwiękowania, ażeby dusza wznosiła się przyjemnie przy dźwiękach muzyki liturgicznej lub sakralnej.

Pewien słynny projektant mody i naukowiec elektronik pracowali wspólnie nad koncepcją naprawę wygodnego kostiumu.

Od tej pory uniformem tanatonaucy nie będzie już ani dres, ani smoking. Będzie przypominał strój pletwonurka. W Paryżu wybraliśmy do tego celu biały materiał.

Pomysł bardzo się spodobał. Moda przyjęła się na różnych rozsianych po świecie

tanatodromach. Japończycy opowiedzieli się za czarnym kolorem, Amerykanie za fioletem, Brytyjczycy wybrali czerwień. Fotograficy prasowi byli zachwyceni: wreszcie mieli atrakcyjny wizerunek do dyspozycji.

Logicznie rozumując, po kostiumie musiał pojawić się herb. Nasz przedstawiał Feniksa, który przebija się przez coraz mniejsze ogniste kręgi.

Każdy tanatodrom miał własną specyfikę religijną i kulturową. Afrykanie wyruszali w strojach, w jakich zazwyczaj uczestniczą w obrzędach, a towarzyszyły im dźwięki tam-tamów. Ich herbem były słonie, gepardy i papugi. Jamajczycy woleli reggae i marihuanę. Rosjanie bardzo wysoko cenili pieśni prawosławne i wódkę. Peruwiańczycy żuli liście koki i odlatywali przy urokliwych dźwiękach fletni Pana. Ich emblematem była pośmiertna maska Wielkiego Inki.

Międzynarodowi mistrzowie byli obecni na pierwszych stronach gazet. Każdy miał swojego faworyta. Obstawiano swoje typy u najlepszych londyńskich bukmacherów. Kto pierwszy przekroczy drugą barierę komatyczną? Na Hiszpana (emblemat z głową byka) stawiano dwanaście do jednego w pojedynku z Amerykaninem (emblemat przedstawiający głowę orła). Świadectwa i relacje z baniek-wspomnień napływały masowo, różniąc się między sobą, ale wszystkie były pasjonujące. Sprzedaż „Małego Tanatonauty Ilustrowanego” znowu poszła niesamowicie w górę.

W sklepiku matka z bratem wystawili na sprzedaż trony startowe *made in Buttes-Chaumont* oraz boostery (opracowałem nową formułkę placebo, łagodną dla wątroby i nerek), jak również zestawy czujników elektrycznych. Zewsząd spływały naprawdę duże pieniądze.

Nie dość, że tanatonautyka rozpowszechniała się na całym świecie, to jeszcze stawała się bardziej komfortowa, praktyczna i precyzyjna. Dzięki fotelowi z ochronną szklaną kulą i kostiumowi zaświaty wydawały się dostępne dla każdego.

135 - MITOLOGIA CELTÓW

Według mitologii Celtów Tuatha De Daan, lud bogini Dany, nadszedł z wysp na północy Świata, żeby zawładnąć Irlandią. Toczyli także boje z Fomorianami, bogami demonami o jednym oku i jednej ręce. Ci musieli ukryć się w głębinach, w jeziorach, przepaściach i studniach. Żyli w podziemnym równoległym świecie, który nazywali Sid (pokój) lub też Tir Na Nog (Ziemia Młodych). Stamtąd pomagali ludziom rozwijać się. Druidowi, który przybył do nich po poradę, dali cztery magiczne talizmany: kocioł Dagdy, od którego nikt nigdy nie

odchodził głodny, włócznie Luga, która uśmiercała nawet wtedy, gdy jedynie musnęła przeciwnika, miecz Nuada, który czynił niezwyciężonym tego, kto trzymał go w ręce, i wreszcie kamień Fail, który poprzez swój „krzyk” potwierdzał królewskość tego, kto na nim położył stopę.

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

136 - DRUGA BARIERA KOMATYCZNA

Pomimo stale ponawianych prób Moch 2 nadal pozostawał niezdojony. Sukumi Yuce, mnichowi zen, udało się jednak dotknąć go i twierdził, że dostrzegł coś za czerwonymi światłami, które jak opisywał, „przypominają gejsze”. Przedziwne określenie jak na człowieka, którego powołaniem jest duchowość! Odmówił przekazania nam dokładniejszych informacji, powtarzając tylko, że pragnie czym prędzej wyruszyć raz jeszcze, żeby się z nimi spotkać.

Nie miał okazji powiedzieć na ten temat nic więcej. Jego drugi odlot był ostatnim. Leżał w kałuży spermy, z ciałem wyprężonym jak w miłosnej ekstazie, kiedy wreszcie koledzy zdecydowali się go odłączyć.

Informacja ta była ściśle tajna. Gdyby ludzie wyobrazili sobie, że znajdą w śmierci trwającą wiecznie seksualną rozkosz, tanatonaucy mogłaby wywołać kolejną hekatombę!

Wyczekiwaliśmy niecierpliwie na pioniera, który po udaniu się w zaświaty i powrocie stamtąd po raz pierwszy przekaże nam dokładniejszą relację. Okazał się nim hinduski jogin Rajiv Bintou. To co się z nim stało, opisał w książce zatytułowanej „Bliżej końca” (wydawnictwo: Nowy Kontynent), która szybko stała się światowym bestsellerem.

Tak jak niegdyś Félix, tak teraz Rajiv Bintou wpadł w pułapkę sukcesu. Nie potrafił już skupić się na swoich duchowych zdolnościach. Żeby wystartować, musiał zażywać zioła halucynogenne, a po powrocie niczego nie pamiętał.

Niestety, paryski tanatodrom nigdy nie miał okazji gościć Rajiva Bintou. Podczas ostatniego eksperymentu jego ekipa czekała na próżno przez ponad czterdzieści pięć minut, zanim ostatecznie przyjęła do wiadomości, że jego dusza została stracona. Przekazano jego cielesną powłokę do Smithsonian Institution w Waszyngtonie, gdzie jest pieczołowicie przechowywana w formalinie.

Musieliśmy więc zadowolić się wierszem, który odnosząc się do strefy położonej za

barierą Moch 2, był wyraźnie naznaczony czerwonym, erotycznym zabarwieniem.

Fragment poematu „Blżej końca”:

O niepokojący świecie, który rozciągasz się za drugą barierą komatyczną,

Perły twojej rozkoszy są niczym nenufary.

I zapowiedzią erekcji tanatonautyki!

Każdy start będzie jak miłosny orgazm.

A podbój świata zmarłych następnym rozdziałem Kamasutry.

Księga ta jest pierwszym rozdziałem świata rozkoszy, w którym śmierć zapisze sto kolejnych tomów.

O niepokojący świecie w zaświatach.

Nasze dusze utoną w ekstazie.

I jest to logiczne, gdyż zrodziliśmy się w cierpieniu.

Trzy miesiące później lista zabitych wydłużyła się. Wszystkie wyznania pozyskiwały mnichów tanatonautów, poświęcając ich na ołtarzu poznania zaświatów. Wszystkie też poczytywały to sobie za punkt honoru. Należało przecież udowodnić, że ich interpretacja świata jest jedynie słuszna. Stosowano wszelkie możliwe sposoby, żeby odloty odbywały się w uroczystej oprawie, która towarzyszy wszelkim aktom religijnym.

A jakież akt mógłby być uznany za bardziej religijny, skoro odlot oznaczał właśnie zbliżenie się do zaświatów?

Nastąpiła teraz faza „mystyczno-monumentalna” wraz ze startami spod kościoła Sacré-Cœur w Paryżu czy z piramidy Cheopsa w Egipcie. A nasza wiedza o krainie leżącej za Moch 2 sprowadzała się do tego, że jest „czerwona i wypełniona rozkoszą”.

Stefania nie mogła się już doczekać, żeby tam wyruszyć.

Dużo medytacji, ćwiczenia z kontrolowania oddechu i rytmu serca, aż wreszcie 27 sierpnia o godzinie siedemnastej wytrwała pracą i siłą woli dopięła swego.

Obudziła się w swoim fotelu pokryta potem, wydając niekontrolowane dźwięki, purpurowa i drżąca.

- Uuuuu! - wykrzyknęła wyraźnie zadowolona.

Kiedy Raoul pochylił się nad nią, żeby lepiej słyszeć jej opowieść, chwycił ją za szyję i wpiął się w jego usta. Mój przyjaciel nie bronił się za bardzo, gdy tymczasem burza gradowa zasnuwała ciemnoniebieskie spojrzenie Amandine.

- No opowiadaj, co widziałaś - rzekł Raoul, z trudem wracając do siebie.

- Uou, uou, uou - powiedziała - było nie-sa-mo-wi-cie. Za drugą barierą jest seks, przyjemność, rozkosz, odjazd całkowity, *the bigfoot*, wielka rzymska orgia, pieprzenie i w ogóle super!

Nie bardzo mogliśmy ją zrozumieć. Mówiła tylko o swoich wrażeniach. Pojęcie „absolutna rozkosz” powracało najczęściej. „Przyjemność, rozkosz, ekstaza” i nieomal obsesyjna chęć, by wrócić tam i znowu tego zaznać.

Próbowaliśmy dowiedzieć się od niej czegoś więcej.

Mówiła, że było to jak orgazm do tysięcznej potęgi. Wrażenie osiągnięcia całkowitej pełni. Nawet po narkotykach, nawet kiedy była ze swoimi najlepszymi kochankami, nigdy, jak twierdziła, nigdy nie odczuwała z taką mocą i różnorodnością rozkoszy.

Zaczerwieniłem się.

Tej samej nocy śniłem o kobiecie w białych atlasach w masce przedstawiającej trupią czaszkę. Śmierć. Wkładała pasek do pończoch i obiecywała mi nieprawdopodobne doznania. Rozkosz, która wykraczać miała poza wszelkie wyobrażenie.

137 - STEFANIA ODLATUJE

Byliśmy w tajskiej restauracji i z trudem przychodziło nam przekonywanie uwodzicielskiej Stefanii, by nie mówiła tak głośno i wreszcie zapanowała nad swoim uniesieniem. Poza tym emanowała od niej tak potężna aura seksualności, że wszyscy mężczyźni wlepiali w nią spojrzenia.

Kobiety zresztą też. Nawet Amandine nie potrafiła pozostać obojętna na wypowiedane jak w ekstazie namiętne słowa.

Stefania mówiła tylko o rozkoszy!

Rozkosz! Bo właściwie jaka jest nasza najsilniejsza motywacja tu, na ziemi? Czego szukamy w życiu? Po co pracujemy, interesujemy się innymi, co nas popycha do działania? Rozkosz!

Trzeba było kilka talerzy ryżu basmati, żeby Włoszka się trochę uspokoiła. Po powrocie do naszego penthouse'u ponownie podeszła do tych spraw w sposób naukowy i zgodziła się pochylić nad mapą.

No i co tam jest za Moch 2? A więc na poziomie mniej więcej „koma plus dwadzieścia cztery minuty” ektoplazma odczuwa przyjemne doznania. Za strefą niebieską i czarną rozciąga się strefa czerwona. Strefa Rozkoszy. Mocno podekscytowany tanatonauta

przyśpiesza lot w stronę światła. Ściany czerwonego tunelu są miękkie jak aksamit. Dusza ma wrażenie, że powróciła do łona matki i przygotowuje się do ponownych narodzin. Cudowne!

I nagle spełniają się wszystkie najgłębiej ukryte fantazje. Mężczyźni, o których śniła Stefania, nie potrafiąc ich uwieść, wyciągali do niej ręce, prześcigając się w bezwstydnym propozycjach. Oddawała się z nimi takim grom erotycznym, o jakich nigdy wcześniej nawet nie ośmieliła się marzyć. Ale nie chodziło tylko o seks. Skosztowała bowiem potraw, które zawsze ją kusily, lecz nigdy nie zdobyła się na to, aby je tknąć.

Odkryła w sobie pragnienia, o które sama siebie nie podejrzewała. Kobiety zajęły się nią, delikatnie ją pieszcząc. Musiała bardzo mocno wczepić się w tybetańskie modlitwy, by zrezygnować z tych rozkoszy i powrócić na tanatodrom. Musiała walczyć całą mocą swojej woli. Pomyślała o nas, o tym, że czekamy na nią, aby się dowiedzieć, jak tam jest. Nie to jednak było najważniejsze.

Dostrzegła kolejną barierę komatyczną, Moch 3.

Wzięła do ręki mapę, skreśliła „Prowadzi być może do terytorium 3(?)”, a potem, wysuwając język jak pilna uczennica, zapisała w tym samym miejscu:

TERYTORIUM 3

- Lokalizacja: koma plus 24 minuty.

- Kolor: czerwony.

- Doznania: rozkosz, ogień. Strefa ciepła i wilgotna, gdzie stawiamy czoło najbardziej delirycznym fantazjom. Strefa także perwersyjna, gdyż ujawniają się nasze najskrytsze pragnienia. Trzeba na nie patrzeć prosto i pozwolić, by nami zawładnęły, inaczej przykleimy się do lepkich ścian. Światło wciąż tam jest, tak jakby zachęcało do dalszej wędrówki.

- Kończy się na: Moch 3.

Po tym epizodzie nasze życie na tanatodromie nieco się zmieniło. Powróciwszy z purpurowego świata nieokiełznanych żądz, Stefania niemal się rzuciła na Raoula. Nie musiała zresztą tak bardzo się starać. Już od pierwszego spotkania bowiem mój przyjaciel nie ukrywał fascynacji krągłymi, ponętymi kształtami Włoszki.

W przeciwieństwie do historii z Amandine, tym razem afiszował się otwarcie ze swoim związkim. Nie miałem odwagi wchodzić do toalety przy sali odlotowej, obawiając się, że przeszkodzę zakochanym w miłosnych igraszkach.

Amandine była kompletnie rozbita i rzecz jasna jak zwykle szukała we mnie oparcia i

paciechy. Zostawiwszy na inną okazję tajska restaurację pana Lamberta, gdzie istniało zbyt duże ryzyko spotkania z obejmującymi się kochankami, któregoś wieczoru wprosiła się do mnie zupełnie bez żenady. W lodówce było kilka jajek. Zrobiłem w pośpiechu jajecznicę z szalotkami. Nie jestem zbyt dobrym kucharzem, toteż jajecznica była trochę przypalona, ale Amandine się tym nie przejęła.

- Ty, Michael, jesteś jedynym mężczyzną, który naprawdę mnie rozumie.

Nie cierpię tego typu zdań. Schylając głowę, wyciągnąłem dyskretnie kilka skorupki z jajka, które przez nieuwagę wpadły mi do dania.

Położyłem dwa najładniejsze talerze na stole w kuchni. Usiadła.

Podzieliłem starannie jajecznicę na dwie części. Amandine siedziała nieruchomo, spoglądając niewidzącym wzrokiem na swoją porcję.

- Nie jesz? - zapytałem. - Nie jest taka najgorsza.

- Na pewno jest przepyszna, ale nie o to chodzi. Nie jestem głodna - westchnęła.

Wzięła mnie za rękę i wpatrywała się we mnie wzrokiem zbitego, porzuconego psa.

- Biedny Michael... Ależ cię zanudzam swoimi sercowymi historiami...

Popatrzyłem na nią, smutna była jeszcze piękniejsza. Tego wieczoru musiałem wysłuchać ze szczegółami całej opowieści o jej miłosnej historii z Raoulem. Jaki to on był czuły, jaki nadskakujący i jak wiele uwagi jej poświęcał. Stwierdziła, że jest mężczyzną jej życia i nigdy dotąd nie była tak bardzo zakochana. Powiedziałem, że nie ma się czym przejmować, bo Stefania to tylko krótka przygoda i Raoul na pewno do niej wróci.

Nie rozumiałem, jak jakiś facet może nie być zakochany po uszy w tej cudownej łani o ciemnoniebieskich oczach. Nawet gdy miał tę swoją pulchną i trochę zbyt odważną Włoszkę.

- Jesteś dla mnie taki miły, Michael.

W żaden sposób jednak jej emocje nie łączyły się z moimi. Widziała we mnie tylko przyjaciela albo bezpłciowego kolegę. Być może odrzucało ją moje zbyt silne pragnienie. A może przeczuwała, jak potężne jest moje uczucie, i obawiała się jego skutków.

- Jesteś taki miły, Michaelu! Pozwól mi spać u ciebie dzisiaj, proszę. Tak strasznie boję się zostać sama w zimnym łóżku!

Zzieleniałem, po czym zaczerwieniłem się, zakasłałem.

- Zgoda - wybełkotałem.

Włożyłem bawełnianą piżamę, którą zapiąłem pod samą szyję. Ona została w jedwabnej bieliźnie. Wyczuwałem tuż obok mnie jej atlasową skórę, drobne ciało pachnące morską pianą i bursztynem. Przechodziłem niewyobrażalne męki. Nigdy wcześniej żadna kobieta nie wywoływała we mnie tak silnego wzburzenia.

Drżąc z powstrzymanej emocji, przysunąłem dłoń do jej ramienia i musnąłem delikatną skórę.

Amandine, niby to owinięta w moją pościel, była emanacją obiecaney rozkoszy. Mój mózg był w stanie wrzenia. Jeszcze jedna dziesiąta ruchu i przeżyję to, co Stefania przeżyła tam, w górze. Potężny wybuch. Chyba przysadka mózgowa wysyłała mi ten bolesny sygnał. Moje palce przebiegły jeszcze parę kroków po tej niebezpiecznej drodze.

Chwyliła mnie za rękę i odsunęła ją z przepaszającym uśmiechem na twarzy.

- Nie psujmy tak pięknej przyjaźni - szepnęła. - Jesteś moim jedynym prawdziwym przyjacielem i nie chcę cię stracić.

138 - NAUCZANIE JOGI

Ludzkie ciało składa się z siedmiu czakramów, które są centrami energetycznymi.

Pierwszy czakram usytuowany jest powyżej organów płciowych, kości ogonowej i odbytu. W dobrym stanie dostarcza energii witalnej.

Drugi czakram usytuowany jest poniżej pępka. W dobrym stanie daje moc działania.

Trzeci czakram znajduje się poniżej splotu słonecznego. W dobrym stanie pozwala energii ziemskiej i kosmicznej przenikać do ciała.

Czwarty czakram usytuowany jest w środku splotu słonecznego. W dobrym stanie pozwala dobrze czuć się we własnej skórze.

Piąty czakram znajduje się w dolnej części gardła. W dobrym stanie pozwala na doskonałe komunikowanie się.

Szósty czakram usytuowany jest między brwiami. W dobrym stanie pozwala odczuwać energię wewnętrzną i umożliwia jasnowidzenie.

Siódmy czakram znajduje się na środku sklepienia czaszki. W dobrym stanie pozwala postrzegać od razu najistotniejsze rzeczy.

Podstawy nauczania hatha-jogi

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

139 - STEFANIA PRZEŻYWA ROZKOSZ

Dziennikarzy, którzy chcieli przeprowadzić wywiad ze Stefanią, było tak wielu, że moja matka zorganizowała konferencję prasową w sali przewidzianej na ten właśnie cel w tanatodromie w Buttes-Chaumont. Moja rodzicielka znajdowała jakąś dziką satysfakcję w wyłuskiwaniu wszystkich przedstawicieli pism erotycznych i pornograficznych i natychmiast wypędzała ich z sali. „Jeszcze tego brakowało, żeby nasza Stefania znalazła się na okładkach tych świńskich pism!” - mamrotała pod nosem z wściekłością.

Niczym słynna diwa, tanatonautka zajęła miejsce na scenie i zaskoczyła od razu zgromadzonych słuchaczy, czekających na nią już ponad kwadrans, ogłaszając, że opowie o rozkoszach za drugą barierą jedynie tym, którzy potrafią to zrozumieć. Tymczasem widzi naprzeciw siebie tylko dziennikarzy o infantylnej mentalności niezdolnych do tego, by odrzucić wszelkie tabu.

- Najpierw porządna psychoanaliza dla wszystkich. Dopiero wtedy porozmawiamy! - rzuciła z donośnym śmiechem, odsyłając publiczność i całą resztę do ich pełnej hipokryzji moralności.

Rozległy się protesty i szmer zdziwienia. Matka była wyraźnie speszona, że ściągnęła tak wielu ludzi na próżno. Następnym razem nikt nie odpowie na zaproszenie, a to nie jest wskazane, gdy się prowadzi interesy!

Odkrycie obszaru, na którym panuje rozkosz, było jednak zbyt ważnym wydarzeniem, żeby mogło przez dłuższy czas pozostać w tajemnicy. Zaczęły pojawiać się różne pogłoski, które z braku dokładnych informacji jeszcze bardziej rozpałały wyobraźnię.

Partie reakcyjne i konserwatywne wykleły nas.

„Siedlisko czarownic”, wypisano na bramie tanatodromu, przed którą bez przerwy gromadzili się manifestanci z transparentami w rodzaju: „Precz z wyuzdaniem”, „Zamknąć ten lupanar” albo „Śmierć to nie burdel”.

Stefania próbowała się sprzeciwić protestującym.

- Nigdy nie powiedziałam, że śmierć to burdel! - rzuciła do wrogo nastawionego tłumu, który wymachiwał w jej stronę pięściami. - Stwierdziłam tylko, że jeden z obszarów Ostatecznego Kontynentu jest miejscem rozkoszy. Nie wiem jednak, co znajduje się za trzecią barierą. Pozostało nam jeszcze wiele rzeczy do odkrycia.

- Zamknij się, przekłeta dziewczyno! - wydzierał się jakiś starszy, nobliwie

wyglądający pan z baretkami odznaczeń na klapie marynarki.

Chciał uderzyć w twarz naszą podróżniczkę, ale Raoul i ja przeszkadziliśmy mu. Przepychanki przeobraziły się w bitwę uliczną. „My dwaj przeciwko tym imbecydom” - mruczałem do siebie, chcąc dodać sobie odwagi, lecz i tak byłem cały posiniaczony, kiedy wreszcie siły porządkowe postanowiły interweniować.

Prezydent Lucinder złożył nam kolejną wizytę.

- Ostrzegałem was, moi mili! Dyskrecja, przede wszystkim dyskrecja i raz jeszcze dyskrecja. Jeśli chcemy żyć szczęśliwi, żyjmy w ukryciu. Najwyraźniej przeszkadzamy bardzo wielu ludziom. Papież wydał bullę skierowaną przeciwko nam, a władze duchowne różnych wyznań złorzeczą mi.

- Same żalosne palanty! - wykrzykiwała Stefania. - Obawiają się usłyszeć prawdę, boją się dowiedzieć, czym naprawdę jest śmierć i co znajduje się za tymi barierami! Wyobrażacie sobie minę papieża, gdyby tak na końcu pojawił się Bóg, który opowiedziałby się za aborcją i przeciw celibatowi księży?

- Być może, Stefanio, być może. Ale na razie proszę pamiętać, że jeszcze nie spotkaliśmy Boga, a Watykan jest instytucją utworzoną w roku 1377 podczas gdy tanatonauczka ma za sobą zaledwie kilka miesięcy doświadczeń.

Włoszka podniosła się, piękna i odważna, gotowa przeciwstawić się zarówno przyjaciołom, jak i wrogom.

- Ależ panie prezydencie, nie chce nam pan chyba wmówić, że jest pan gotów ulec garstce bigotów!

- W polityce trzeba wiedzieć, kiedy należy pójść na ustępstwa, znaleźć kompromis...

- Żadnych ustępstw, żadnych kompromisów - ucięła twardo Stefania. - Jesteśmy tutaj po to, żeby walczyć z ciemnotą, i będziemy kontynuować nasze poszukiwania. Człowiek nie zna ograniczeń i to jego najważniejsza zaleta!

Prezydent Republiki zmrużył oczy. Po raz pierwszy miał do czynienia ze Stefanią Chichelli. Lepiej teraz rozumiał, jak ważne są nasze osiągnięcia. Konieczna jest przecież niezłomna wola, by spotykać się regularnie ze śmiercią, a ta dziewczyna o krągłych kształtach taką właśnie wolę posiadała. Nikt i nigdy, żadna władza, publiczna, świecka czy religijna, nie zmusi jej do tego, by się cofnęła. Ukłonił się jej z szacunkiem.

Jedynym skutkiem interwencji prezydenta było to, że Stefania stała się rozmowniejsza w kontaktach z dziennikarzami.

Bez wahania opowiadała ze szczegółami o rozkoszach, których zaznała w trzeciej strefie, tam gdzie urzeczywistniały się wszystkie pragnienia i perwersje.

Ruszyła kolejna fala manifestacji. Stolica Apostolska, grożąc ekskomuniką, zakazała tanatonautyki wszystkim sługom rzymskokatolickiego Kościoła apostolskiego. W bulli zatytułowanej „Et mortis mysterium sacrum” papież oficjalnie określił śmierć jako temat tabu. Każda próba wyruszenia przez osobę żyjącą do krainy umarłych przed zgonem była od tej pory uznawana za jeden z grzechów głównych.

„Śmierć heretykom!” - skandowano pod balkonami Watykanu. „Kosztujmy jabłko poznania!” - odpowiadali na to nasi zwolennicy.

Całe to poruszenie było nam właściwie obojętne, chociaż prezydent Lucinder wcale tego nie lekceważył. Kościół nadal posiadał duże wpływy w kraju, a on potrzebował wszystkich możliwych głosów, żeby móc niebawem na kolejną kadencję zasiąść w fotelu prezydenckim.

„Tym lepiej, jeśli śmierć prowadzi do orgazmu - zwierzyła się Stefania dziennikarzowi z „Małego Tanatonauty Ilustrowanego” - i tym gorzej, jeśli tak wielu palantów uważa ją za miejsce rozpusty!”. Nasza koleżanka nie przebierała w słowach. A jednak nie byliśmy zbyt pewni siebie.

Ludzie zawsze boją się tego co nowe. Zjawisko zamykania się w samym sobie okazało się nieodwracalne. I tak mieliśmy sporo szczęścia, że udało nam się bez przeszkód dojść aż tak daleko.

140 - PODRĘCZNIK DO HISTORII

JAK POZBYĆ SIĘ STARYCH LUDZI

Dawniej w niektórych kulturach istniała praktyka mająca na celu pozbycie się starych ludzi, którzy nie byli już w stanie funkcjonować w życiu ekonomicznym lub społecznym. U Eskimosów pozbywano się starej babci, pozostawiając ją daleko na kawałku kry, gdzie pożerał ją niedźwiedź. Zazwyczaj odchodziła sama wtedy, gdy uznała, że jest ciężarem dla społeczności. W niektórych rodzinach w Normandii starcy musieli się wspinać po drabinie, a Ostatnie szczeble były podpiłowane. Wypowiadano wtedy rytualne zdanie: „Chodź, babciu, włącz na strych”. Na strych...

141 - LUCINDER MA POMYSŁ

Lucinder postanowił tym razem spotkać się z nami na własnym terenie. Sądząc, że u niego będziemy bardziej ulegli, wezwał nas do Pałacu Elizejskiego. W swoim gabinecie nie był tym razem sam. Była tam także kobieta w skromnym komplecie z kroazy.

Głowa państwa wyjaśniła nam, że nie chce wywoływać wojny religijnej.

- Nie macie racji, nie doceniając starej władzy. Nowoczesności nie można narzucić na siłę. Musimy się porozumieć.

Stefania była zupełnie innego zdania.

- Nie wie pan, co ja widziałam, więc nie bardzo rozumiem, w jakiej sprawie mielibyśmy się porozumieć.

Lucinder uśmiechnął się.

- Owszem, nie mieliśmy tego szczęścia, żeby wylądować w Czerwonej krainie, ale powiedzmy, hm, że jesteśmy w stanie wyobrazić sobie to, co pani tam odczuwała.

- Przemądrzalec! Kto może twierdzić, że naprawdę wie, czego pragnie kobieta? - powiedziała głośno Stefania.

Amandine nie była w stanie się powstrzymać i cicho parsknęła śmiechem.

Tak czy inaczej Lucinder nie miał ochoty dać się wciągnąć w prowokację. Jego zdaniem nie było sensu otwarcie przeciwstawiać się religiom. Te bowiem nie są ani dobre, ani złe, a tylko próbują jakoś przetrwać.

Raoul przypomniał, że Darwin zyskał międzynarodową sławę właśnie dzięki temu, że atakował religię, i bez takiej prowokacji darwinizm nie mógłby tak szybko się pojawić. Lamarck, który go nie zrozumiał, zniknął gdzieś zapomniany przez historię.

Lucinder zgodził się z tym argumentem, choć nie rezygnował z chęci zjednoczenia wszystkich, reakcjonistów i zwolenników nowoczesności.

- Jest pewien sposób na to, żeby pogodzić lewe i prawe skrzydło. Trzeba sprowadzić tanatonautykę do wymiaru racjonalnego. Odpowiedzmy religii, odwołując się do nauki. Ostatnich sceptyków trzeba uciszyć. Teraz albo nigdy, stąd mój pomysł, żeby odwołać się do tej oto pani.

Przedstawił nam panią w żakiecie z kroazy.

- Pani profesor Rose Solal jest astrofizykiem i astronomem - wyjaśnił Lucinder. - Od dawna już pracuje nad szczególnym projektem o nazwie „Eden”. Projekt „Eden”, projekt „Raj”, jak sami widzicie, wasze badania są w pewnym sensie podobne, tym bardziej że celem

„Edenu" jest odkrycie i precyzyjne umiejscowienie w przestrzeni... raju.

Zlokalizowanie w przestrzeni raju wydało nam się celem co najmniej trudnym do wyobrażenia. Owszem, zawsze mówiliśmy o „kontynencie umarłych", ale był to dla nas pewien skrót myślowy. Uznawaliśmy zaświaty za coś, co istnieje w innym wymiarze, za inną rzeczywistość, do której trafia dusza po opuszczeniu ciała. Coś w rodzaju paralelnego wszechświata. Tak przynajmniej do tego podchodziliśmy.

To, że taka kraina może rzeczywiście istnieć na rozgwieżdżonym niebie, które jest nad nami, nigdy nam nie przyszło na myśl. Owszem, w dawnych czasach wiele ludów było o tym przekonanych, jednakże wszystkie te rakiety, promy, misje kosmiczne, Sputniki i Apollo wysyłane w przestrzeń kosmiczną udowodniły, że niebo jest wypełnione tylko galaktykami i gwiazdami!

Prezydent Lucinder był faktycznie istotą nietuzinkową i otwartą na najbardziej zuchwałe eksperymenty.

Już nazajutrz Rose Solal dołączyła do naszej ekipy w tanatodromie w Buttes-Chaumont. Mieliliśmy teraz pracować w piątkę.

142 - GEOGRAFIA NIEBIOS

Księga Rodzaju jest pierwszym tekstem, w którym pojawia się precyzyjna informacja na temat geograficznej lokalizacji Raju: to międzyrzecze Tygrysu i Eufratu w Mezopotamii. W roku 379 święty Bazyl, jako prekursor astronomii, umiejscawia Raj poza sklepieniem niebieskim, w świecie dawniejszym jeszcze niż świat widzialny.

Dante, chociaż był poetą, uważał, że Raj musi znajdować się w jak najbardziej konkretnym miejscu, a dokładnie w „powłoce", która według niego otacza gwiazdy. Niemiecki jezuita Jeremias Drexel (1581-1638) przeprowadził skomplikowane obliczenia, żeby wykazać, że Wybrańcy udają się dokładnie na odległość 161 884943 mil od Ziemi. Thomas Henri Martin (1813-1933) prezentuje jeszcze szerszą wizję: Raj - jak twierdzi - znajduje się we wszystkich ciałach niebieskich.

Jermain Porter (1853-1933), dyrektor Obserwatorium w Cincinnati (Ohio) i były student teologii, szukał astronomicznej lokalizacji Raju za pomocą teleskopów. Był przekonany, że badając sklepienie nieba, naukowcy wreszcie odkryją „Niebiańską Jerozolimę".

Czcigodny Thomas Hamilton (1842-1925), wykorzystując prace astronomów Maedlera

i Proctora, zapewnia, że Raj znajduje się na gwieździe Alcyon, w konstelacji Plejad, w odległości pięciuset lat świetlnych od nas. Francuski fizyk Louis Figuier (1819-1863) umieścił już to, co nazywał „Pałacem Umarłych”, na Słońcu. Logicznie jak na swoje czasy zapewniał: „Nie może być usytuowany dalej, gdyż dotarcie tam zabrałoby Wybrańcom zbyt dużo czasu”.

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

143 - ZASADZKA

Spałem sobie spokojnie w mieszkaniu na trzecim piętrze tanatodromu, gdy nagle coś mnie obudziło. Szelest, jakiś ledwo uchwytny dźwięk... Usiadłem na łóżku, a wszystkie moje zmysły nagle zostały postawione w stan najwyższego pogotowia.

Po omacku szukałem okularów na stoliku przy łóżku. Nie było ich tam. Niedobrze! Musiałem je zostawić na biurku! A jeśli do pokoju dostał się włamywacz? Powinienem iść po nie, a złoczyńca na pewno nie zostawi mi na to czasu. Wcześniej mnie pewno ogłuszy.

Co robić? Starłem się myśleć jak najszybciej. Najlepszą obroną jest atak. Ten człowiek nie może wiedzieć, że nie jestem w stanie zobaczyć go wyraźnie.

- Proszę stąd wyjść! Nie ma tu niczego, co mogłoby pana zainteresować! - krzyknąłem w ciemnościach.

Żadnej odpowiedzi. Chociaż nic nie widziałem, wyraźnie wyczuwałem czyjąś obecność. Ktoś obcy był w pokoju.

- Wynocha! - powtórzyłem, szukając światła.

Wyskoczyłem z pościeli. Całe szczęście, że śpię w pidżamie, pomyślałem, jakby mogło to mieć w takim momencie jakiegokolwiek znaczenie. Na pamięć znałem miejsce, gdzie był kontakt. Zapaliłem światło. Nie było nikogo. Nawet nie widząc wyraźnie, zobaczyłbym przecież czyjąś sylwetkę. Tym razem nie miałem żadnych wątpliwości: pokój był pusty. A jednak ktoś tutaj był, w dodatku miał wrogie zamiary, byłem tego pewien.

Wtedy wydarzyło się coś potwornego. Otrzymałem silny cios w klatkę piersiową. Uderzenie, które nadeszło znikąd albo zadane zostało przez niewidzialną istotę!

W końcu odnalazłem okulary. Szybko włożyłem je na nos. I Ciągle nic. Czyżby przyśnił mi się ten cios po jakimś koszmarze, którego nie pamiętałem, a który mnie obudził?

Otrząsnąłem się, zgasiłem światło i położyłem z powrotem do łóżka, nie zdejmując jednak okularów. Wyciągnąłem się, nasunąłem prześcieradło na ramiona i czekałem...

I w tym momencie to ujawniło się naprawdę. Przeniknęła mnie czyjaś obecność, przedostając się przez duże palce u nóg i wypełniając całe moje ciało. Obrzydliwe doznanie! Wolałbym włamywacza zamiast tej ekto plazmy, która mnie atakowała. I mówiła do mnie na dodatek!

- Przestańcie dotykać sił, które was przerastają!

Zacząłem się szamotać, ale jak tu bronić się przed duszą, zastawiła na mnie zasadzkę?

- Kim jesteś? Kim jesteś? - krzychałem.

Wiedziałem już jednak, kim jest mój przeciwnik: z pewnością był to jakiś kapłan, który za wszelką cenę chciał, byśmy przerwali nasze tanatonautyczne eksperymenty.

Walczyłem z nim, lecz on wciąż posuwał się naprzód. Ekto plazma była już w moich nogach, w moim brzuchu, obmacywała moje wnętrzości od środka.

A zatem mistyczne siły postanowiły wypowiedzieć nam wojnę. Na nasz sposób. Na ich sposób. Poprzez medytację, odcieleśnienie, za pomocą ekto plazmowego ataku. Nie doceniliśmy przeciwnika. Jak się bronić przeciw wrogom, którzy przenikają przez mury i potrafią się przedostać do naszego ciała? Moje ciało już nie należało do mnie. Było teraz nawiedzone przez fanatyka, który wściekał się jak szalony, obserwując nasze badania nad Rajem. Jeśli był to ksiądz, to czy ucieknie, gdy uklękne i będę się modlił do Matki Boskiej?

Uklęknienie byłoby jednak czymś niegodnym wojownika. Co dziwne, w tym przerażającym momencie przyszło mi do głowy wspomnienie zajęć zen ze strzelania z łuku. Żeby trafić, trzeba wyobrazić sobie tarczę. Wtedy sami stajemy się łukiem, środkiem tarczy, a nawet strzałą. A strzała wyznacza spotkanie ze środkiem tarczy.

Podniosłem się, przyjąłem pozycję do walki i zamknąłem oczy. Mój przeciwnik pojawił się natychmiast. Miałem naprzeciw siebie ekto plazmę małego chuderlawego mnicha. Kiedy unosiłem powieki - znikał. Kiedy je spuszczałem, znowu pojawiał się na wprost mnie gotowy do pojedynku, którego zasad nie znałem. Cóż za paradoks, że trzeba zamknąć oczy, żeby lepiej widzieć! Przecież dzieci postępują w ten sposób, by odpędzić niebezpieczeństwo, ale nie dorośli!

Z zamkniętymi mocno oczami wyobraziłem sobie dokładnie przeciwnika i zmniejszyłem jego rozmiary w moim umyśle. A potem wziąłem do rąk przezroczysty łuk i przyjąłem pozycję łucznika, który naciąga cięciwę.

Ekto plazma przestała się śmiać.

Dwa duchy w jednym ciele. Jego duch i mój. On także wyciągnął kuszę i wycelował we mnie. Strzeliłem. On strzelił równocześnie ze mną. Moja strzała trafiła ekto plazmę w środek czoła. Osunąłem się.

144 - FILOZOFIA PERSKA

*„Nie wiem, czy ten, który mnie stworzył,
Przeznaczył mnie dla nieba czy piekła.
Puchar, młoda niewiasta i pieśń na skraju łąki,
Raduję się tym już teraz i zostawiam dla ciebie twój raj.*

*O nieświadomy, twe ziemskie ciało jest niczym,
Boski czas i ziemi bezkres są niczym.
Uważaj więc w tej walce między życiem i śmiercią,
Przywiązani jesteśmy do tchnienia, a ono przecież jest niczym”.*

Omar Chajjam (1050-1123), „Rubajjaty”

Fragment rozprawy *Śmierć ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

145 - KARTOTEKA POLICYJNA

Informacja skierowana do właściwych służb

Poruszenie wśród osób kierujących ruchem tanatonautycznym. Pragniemy wyrwać te doświadczenia wraz z korzeniami. Tanatonautyka stanowi niebezpieczeństwo dla nas wszystkich. Sygnalizowaliśmy już kilkakrotnie konieczność podjęcia interwencji. Żądamy zgody na przeprowadzenie działań.

Odpowiedź właściwych służb

Należy czekać. Sytuacja jest pod kontrolą. Przedwczesny niepokój.

146 - WYŚCIG TRWA

Ciemność i cisza.

Wreszcie otworzyłem oczy. Niewyraźne światło. Jakaś urocza i zwiewna postać pojawiała się w jego kręgu. Bez wątpienia anioł.

Postać pochyliła się nade mną. Anioł dziwnie przypominał kobietę, ale kobietę tak piękną, jakiej nie ujrzy się nigdy na ziemi. Miał blond włosy i ciemnoniebieskie oczy. Pachniała morelami.

Wokół nas wszystko było teraz białe i spokojne.

- Jes... eś... im... te... rem.

Anioły musiały widać porozumiewać się w sobie tylko znanym języku, w anielskim żargonie kompletnie niezrozumiałym dla nieaniołów.

- Jes... eś... im... te... rem.

Powtarzając cierpliwie te słowa, przesunęła delikatną chłodną dłonią po moim gładkim czole.

- Jesteś moim bohaterem. Kocham cię.

Popatrzyłem wokół jeszcze mocno ogłupiały.

- Gdzie ja jestem? W raju?

- Nie. Na oddziale reanimacyjnym w szpitalu Saint-Louis.

Anioł uśmiechnął się uspokajająco... Rozpoznawałem tę twarz. Rozpoznałbym ją wśród tysiąca. Amandine. Aż podskoczyłem. Wszystko sobie przypomniałem. Stoczyłem bój z ektoplazmą integrystą.

- Zemdląłem?

- Tak, byłeś nieprzytomny przez trzy godziny.

Amandine włożyła mi poduszkę pod plecy, żebym mógł wygodniej usiąść. Nigdy nie widziałem jej tak przejętej moją osobą.

Obok niej Raoul, Stefania i ta astrofizyczka wyczekiwali na moją reakcję. Raoul wytłumaczył mi, że Stefanię obudził mój krzyk. Wpadła do mieszkania i była świadkiem ostatnich chwil walki.

- Wyglądało to jak w „Pojedyнку w Corralu O. K.” - westchnęła Włoszka. - Nawet nie miałam czasu, żeby interweniować, bo już go wykończyłeś.

- On... on... zginął?

Słynny już śmiech Stefanii wypełnił cały pokój.

- Ektoplazmy nie umierają w ten sposób. Twój typ musiał ciupasem wrócić do swojej cielesnej powłoki. Idę o zakład, że ten ciekawski zdążył już opowiedzieć swoim kumplom, że nasz dom jest pilnie strzeżony.

Amandine pocałowała mnie.

- Najdroższy mój! I pomyśleć, że byliśmy tak blisko siebie, jedno obok drugiego, i nigdy nie pomyślałam o tym, że to ty jesteś najlepszy. Udało ci się dokonać odcieśnienia. Czemu byłam tak ślepa i nie potrafiłam docenić tego, co miałam na wyciągnięcie ręki? Potrzebna była ta okropna historia, żeby dotarło do mnie, że jesteś prawdziwym wojownikiem!

Przytuliła się do mnie i poczułem delikatny, miękki dotyk jej piersi na moim ramieniu. Jej złakniony język przebił sobie drogę między moimi wargami.

Pocałunek ten nie pozostawił mnie rzecz jasna obojętnym. Tak długo czekałem na tę chwilę...

147 - MITOLOGIA ŻYDOWSKA

GILGULIM: Zohar, „Księga Blasku”, główne dzieło kabalistów, wymienia kilka przyczyn reinkarnacji. (Gilgul oznacza dokładnie „przeistoczenie”). Wśród nich: to, że ktoś nie miał dzieci albo że nie ożenił się lub nie wyszedł za mąż. Co więcej, jeśli ktoś ożeni się, lecz nie będzie miał dzieci, wówczas mąż i żona przejść muszą reinkarnację, zanim ponownie połączą się w dwóch nowych egzystencjach. Dla kabalistów bowiem związek między mężczyzną i kobietą obejmuje trzy wymiary: fizyczny, emocjonalny i duchowy i stanowi zasadniczą drogę ku nieskończoności.

Zgodnie z tradycją żydowską często zdarza się, iż małżonkowie poznali się już w innych życiach.

KOBIETA BEZ DZIECKA: Pewien mężczyzna nie mógł zapłodnić kobiety, jak mówi jeden z tekstów Kabały. Mędrzec wyjaśnił mu, że jego żona nie jest w rzeczywistości jego towarzyszką. Otrzymał ją na własność, gdy tymczasem nie jest jej właścicielem. A ponieważ dusza jego żony jest duszą mężczyzny, naturalna to rzecz, że nie mogła mu dać potomka.

MAŁŻEŃSTWO: Według Zoharu małżeństwo stanowi ważny obszar zdobywania doświadczeń, obszar niezwykle istotny dla duchowego rozwoju. Małżonkowie łączą się po to, żeby rozwiązywać konflikty, które mogłyby zaszkodzić ich wewnętrznemu rozwojowi. Każdemu przeznaczony jest ten, na kogo zastępuje.

WYCHOWYWANIE DZIECKA: Równoległe wychowywanie dziecka uznawane jest za czynnik niezbędny w istnieniu na ziemi. Jeżeli nie potrafilimy wychować prawidłowo dziecka w ciągu przynajmniej jednej z jego egzystencji, będziemy nadal przechodzić reinkarnację do chwili, aż kolejna próba zakończy się całkowitym sukcesem.

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

148 - WRESZCIE RAZEM

Nazajutrz po stoczonej przeze mnie walce, ledwie podleczyłem rany, Amandine zaprosiła mnie na kolację do siebie, do mieszkania na drugim piętrze. Przygotowała piękne romantyczne nakrycia, ustawiła kwiaty i pachnące świece.

- Michael, czy nie sądzisz, że przeznaczeniem niektórych osób jest to, żeby były ze sobą? - zapytała mnie prosto z mostu.

Przełykałem akurat kawałek tostu z norweskim łososiem, popijając kieliszkiem szampana.

- Tak, bez wątpienia.

Nachyliła się nade mną, nasze czoła się dotknęły.

- A czy nie myślisz, że pomimo różnych przeszkód ci, którzy mają się spotkać, w końcu się odnajdują, ponieważ ich przeznaczenie zapisane jest gdzieś w jakiejś wielkiej księdze?

Natychmiast przytaknąłem, a moja Dulcynea mówiła dalej:

- Jestem przekonana, że tam, w górze, kiedy Stefania przejdzie przez ostatnie wrota, odkryje księgę wiedzy magicznej, w której będzie kompletna lista wszystkich par, przeszłych i przyszłych.

Zastanawiałem się przez chwilę nad jej słowami.

- Czy to na pewno będzie dobre?

- Oczywiście! Nie będzie się już tracić czasu na jałowe poszukiwania. Ci, których przeznaczeniem jest spotkać się, będą od razu się kochali. Żadnych małżeństw z litości, koniec z błędnymi ocenami, koniec ze zradami i z rozwodami. Każdy klucz pasował będzie tylko do jednego zamka. Jestem o tym przekonana.

- Być może.

Uroczy uśmiech pojawił się na jej twarzy ozłoczonej światłem świec.

- Nie, żadne „być może”. Michael, nasze spotkanie nie jest przypadkowe. Od zawsze mieliśmy znaleźć się w takiej chwili. Tak było zapisane.

Nie odezwałem się. Próbowałem odwrócić uwagę.

Podeszła i usiadła mi na kolanach, obejmując mnie delikatnymi ramionami. Chwila, o której tak bardzo marzyłem, wreszcie nadeszła.

- Jesteś nieśmiały, Michael, ale ja będę umiała wyleczyć cię z nieśmiałości - szepnęła, dotykając mojej szyi.

149 - ZAŚLUBINY

Tydzień później wzięliśmy ślub.

Wszystko potoczyło się bardzo szybko. Podjąłem decyzję, Raoul także. W przepięknych ogrodach Pałacu Elizejskiego, łaskawie nam udostępnionych przez prezydenta Lucindera, obchodziliśmy nasze podwójne wesele w obecności całej śmietanki polityków i ludzi show-biznesu zaproszonych na tę ceremonię.

W czarnym smokingu zbyt szerokim w ramionach Raoul wyglądał bardziej niż kiedykolwiek na drapieżnego ptaka, który zamierza rzucić się na swoją ofiarę, w tym wypadku Stefanię, kurkę człapiącą u jego boku w minispódniczce, która jeszcze bardziej uwydatniała jej obfite kształty.

Ja byłem całkiem rozluźniony w wypożyczonym na tę okazję ciemnoniebieskim smokingu. Kobieta mojego życia ubrana była w długą suknię z trenem.

Rose tryskała radością. Za nami Amandine starała się jak mogła, żeby wypaść jak najlepiej. Wszystko potoczyło się tak szybko!

- Gratulacje, gratulacje.

Rose i ja, Raoul i Stefania uścisnęliśmy niezliczone ręce. Na świadków wybrałem rzecz jasna Raoula i Amandine, moich najbliższych przyjaciół.

A poza tym byłem to winien Amandine.

Potrzebowałem jej namiętej deklaracji, żebym pojął wreszcie, jaki błąd popełniłem, lokując na ślepo swoje miłosne pragnienia. Kobieta, której potrzebowałem, miała na imię Rose.

150 - FILOZOFIA ŻYDOWSKA

„Nasze «ja» nie jest ani jakimś szczególnym punktem, ani fragmentem przestrzeni. Nie jest ono takie samo dla wszystkich ludzi. Nie jest też identyczne u tego samego człowieka na różnych etapach jego rozwoju. Podczas pierwszych etapów życia istnienie «ja» ogranicza się prawie wyłącznie do życia ciała, podczas gdy najwyższe poziomy intelektu i ducha nie ujawniają się zanadto, chyba że nieświadomie. Rozwijając się, każda istota ludzka, w zależności od jej możliwości, staje się coraz bardziej świadoma transcendentnej istoty własnej duszy. To wznoszenie się polega na pokonywaniu kolejnych stopni w życiu duszy. Przechodzimy od duszy zwierzęcej, żeby dotrzeć do sfery życia, którą każdy z nas w sobie nosi”.

Adin Steinsaltz,

„Róża o trzynastu płatkach. Kabała judaizmu”

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

151 - JAKBY TRZASKI

Po weselu i po nocy poślubnej rozpoczęliśmy kolejne odloty. Stefania była w znakomitej formie i jej trzy kolejne starty udały się znakomicie. Naniósłem poprawki do programu komputerowego, w którym wykonaliśmy wizualizację Ostatecznego Kontynentu. Dzięki temu mogliśmy oglądać wszystkie zakamarki krainy umarłych w trójwymiarowej przestrzeni. Całość przypominała mocno rozszerzoną trąbkę. Moch 1, Moch 2, Moch 3, *Terra incognita*, nanesione informacje wskazywały drogę, którą już przebyliśmy.

Na tanatodromach całego świata poszczególne ekipy robiły co mogły, lecz te ektoplazmy, którym udało się pokonać własne wspomnienia, grzęzły mimo to gdzieś na czerwonym terytorium rozkoszy i często tam pozostawały. Tu, na ziemi, na twarzach siedzących w fotelach zmarłych tanatonautów rysował się błogi uśmiech, a to sprawiło, że zaczęto uważać, iż Moch 3 to próg śmierci, którego nikt nigdy nie będzie w stanie przekroczyć ani stamtąd powrócić. Ostateczny Kontynent nadal skrywał swoją tajemnicę, której strzegła aureola rozkoszy. Orgazm nazywano przecież często „małą śmiercią”.

Jak zwykle gdy mieliśmy do czynienia z punktem zwrotnym, Raoul zwołał spotkanie na cmentarzu Père-Lachaise.

- Moi drodzy, zapewne musimy zakończyć nasze eksperymenty w tym miejscu. Nawet nasza najlepsza zagraniczna konkurencja nie jest w stanie przekroczyć bariery Moch 3.

Podniósł oczy ku świecącym gwiazdom, jakby czekał, aż jakiś nowy pomysł spadnie mu z nieba.

- Przecież staram się jak mogę - zaprotestowała Stefania. - Kiedy jednak stoję przed trzecią barierą, moja pępowina jest tak mocno naprężona, że czuję, że jeśli jeszcze choć trochę ją naciągnę, natychmiast się zerwie.

- Potrzebujemy nowego pomysłu - powtórzył mój przyjaciel.

Rose przytuliła się do mnie i po chwili szepnęła mi do ucha:

- Może to nie ma sensu, ale któregoś dnia zauważyłam dziwne zjawisko.

- Co takiego, kochanie?

- Uczestniczyłam w starcie Stefanii, słuchając radia.

- No i co?

- W chwili gdy rytm pracy serca zwolnił, usłyszałam jakby trzaski w głośniku.

No właśnie. Zupełnie przypadkowo tego dnia Rose znalazła sposób na wykrywanie aury.

152 - POLICYJNA KARTOTEKA

Nazwisko: Solal

Imię: Rose

Włosy: czarne

Oczy: niebieskie

Wzrost: 170 cm

Znaki szczególne: brak

Uwagi: pionierka ruchu tanatonautycznego. Astronom i astrofizyk.

Żona i koleżanka Michaela Pinsona

Słabe strony: naukowiec

153 - MITOLOGIA MEZOPOTAMII

„To zioto rośnie jak cierań na dnie morza,

*kolce jego, jak u róży,
w dłoń cię kłuć będą.
Jeśli dłoń twa to ziolo posiadzie,
młodość przez nie odzyskasz".¹⁶*

Epos o Gilgameszu

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

154 - EUREKA!

Dzięki odkryciu Rose znów zaczęliśmy działać. Wkraczaliśmy na zupełnie nową drogę. Wiedzieliśmy już, że mózg emituje fale, na przykład alfa lub beta podczas poszczególnych faz snu albo faz zbliżonych do snu. Logiczna była zatem zmiana czynności radiowych mózgu w momencie odcieleśnienia.

Następny start Stefani odbywał się w pobliżu tranzystora. Usłyszeliśmy rzeczywiście słabiutkie „szszsz”, a wyjściu z ciała faktycznie towarzyszyła emisja fal.

Raoul opracował system reagujący na wysokie, niskie i średnie częstotliwości, żeby ustalić dokładne długości fal emitowanych przez ektoplazmę. Stefania oddawała się krótkiej medytacji i znowu rozbrzmiało „szszsz” podobne do pomruku tygrysa. Zbadaliśmy ten „śląd” na oscyloskopie. Były to fale bardzo krótkie i o bardzo oddalonych szczytach.

Raoul poruszył kilkoma potencjometrami. Na oscyloskopie pojawiła się linia, a tuż nad nią cyfry. Naniósł te dane na tablicę częstotliwości. Zaczął od krótkich promieni gamma, których wierzchołki są od siebie oddalone zaledwie o angstrom, przez promienie X, aż po promienie ultrafioletowe. Wyszedł poza spektrum widzialnych gołym okiem kolorów, których wierzchołki oddalone są o milimetr, potem fal telewizyjnych o długości jednego metra, fal radiowych i wreszcie doszedł do poziomu „fal mózgowych”. Potem poprawił jeszcze ustawienia.

- Mamy do czynienia z bardzo długimi falami oddalonymi od siebie o ponad kilometr - powiedział. - Chodzi o bardzo niską częstotliwość radiową, około osiemdziesięciu sześciu kiloherców.

¹⁶ Przeł. R. Stiller.

Wznieśliśmy okrzyk radości. Wreszcie dysponowaliśmy namacalnym dowodem naukowym dotyczącym pozacielesnej aktywności tanatonautów. Od tej chwili nikt nie będzie mógł negować autentyczności naszych doświadczeń.

Gdy tylko powiadomiliśmy o tym Lucindera, natychmiast postanowił przydzielić nam dodatkowy budżet z lewych oszczędności w kasie kancelarii prezydenckiej.

Wykorzystując coraz bardziej wyszukane instrumenty, zdołaliśmy precyzyjnie określić krzywą ektoplazmy Stefanii: 86,4 kiloherca. Raoul skonstruował czujnik startu pozwalający zidentyfikować moment, w którym witalne ciało Stefanii odłącza się od jej ciała fizycznego.

Od razu jednak pojawiło się pytanie: gdzie jest położony Ostateczny Kontynent? Jeżeli bowiem ektoplazma przemieszcza się w sposób możliwy do wychwycenia dzięki falom radiowym, to powinno nam się udać zarejestrować jej wędrówkę. Gdzie zatem jest Raj? Gdzie leży ten niematerialny kontynent, którego mapę kreśliliśmy od tak dawna, nie wiedząc wcale, gdzie się znajduje?

W najwyższym punkcie tanatodromu zainstalowałem antenę satelitarną, a raczej radioteleskop o średnicy pięciu metrów. Śliczna margerytka nad naszym penthouse'em.

Przed nami otwierał się nowy etap podboju kontynentu zmarłych. Rozpoczynaliśmy „fazę astronomiczną”. Szampan!

155 - MITOLOGIA TYBETAŃSKA

Wibracje: Wszystko emituje, wszystko wibruje. Wibracje zmieniają się w zależności od gatunku.

Minerały: 5 000 wibracji na sekundę.

Rośliny: 10 000 wibracji na sekundę.

Zwierzęta: 20 000 wibracji na sekundę.

Człowiek: 35 000 wibracji na sekundę.

Dusza: 49 000 wibracji na sekundę.

W chwili śmierci ciało astralne oddziela się od ciała fizycznego, gdyż nie jest w stanie znieść zbyt niskich wibracji swojej cielesnej otoczki.

Nauczanie Bar-do Thos-grol

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

156 - GDZIEŻ JEST RAJ?

Stefania usiadła na tronie startowym w pozycji lotosu. Wiedziała, że tego dnia radioteleskop będzie włączony i po raz pierwszy będziemy próbowali zarejestrować odlot jej duszy.

Zastanawiałem się, w jaki sposób zdołamy zobaczyć coś, co przemieszcza się z prędkością myśli.

Amandine wyregulowała aparaturę do monitoringu funkcji fizjologicznych. Raoul włączył system odbioru fal radiowych. Rose i ja rozłożyliśmy na wielkim stole mapę konstelacji gwiazd, które otaczają Ziemię.

I pomyśleć, że jedna z nich jest być może Rajem...

Czy był to czyn heretycki? Ujawnienie materialnej lokalizacji zaświatów z pewnością mogło wywołać wściekłość wyznawców różnych religii. Kiedy tylko dotykaliśmy najistotniejszych dla nich wartości, reagowali oburzeniem!

Stefania spuściła powieki, to był jej sposób na zamknięcie luku przed zanurzeniem.

Jej nozdrza poruszały się teraz wolniej.

Kiedy poczuła, że jest wystarczająco skoncentrowana, by tchnąć w siebie niezbędny do startu spokój, wzięła do ręki gruszkę włącznika boosterów, a jej usta wypowiedziały powoli:

- Sześć... pięć... cztery... trzy... dwa... jeden. Start!

Odbiornik radiowy ustawiony na częstotliwość 86,4 kiloherca wydał z siebie coś na podobieństwo skargi. Taki był dźwięk „startującej duszy”!

W sali panowała atmosfera nerwowości tak ciężka, że Rose mocno ścisnęła mnie za ramię. Mogliśmy wreszcie podążać śladami śmierci. Raoul nie chciał zaprosić dziennikarzy, jednak upewnił się, że kamera wideo funkcjonuje prawidłowo. Przynajmniej będziemy mieli nagranie pierwszego monitorowanego odlotu.

Oczekiwanie. Stefania pędziła z prędkością myśli, ale fale radiowe nie podróżowały tak szybko. Im bardziej się oddalała, z tym większym opóźnieniem docierały do nas fale. Po ośmiu minutach uzyskaliśmy dokładny zapis, który umożliwiał dobrą lokalizację w przestrzeni.

Teraz przyszła kolej na mnie. Podeszedłem do monitora kontrolnego przy radioteleskopie. Tam wychwytywany był sygnał emitowany przez duszę Stefani. Pokręciłem kilkoma gałkami, żeby określić odległość, kierunek, prędkość przemieszczania się. Obok Rose prowadziła własne obserwacje.

- Jest. Ja też mam sygnał.

Dwiema plastikowymi linijkami, krzyżując je ze sobą i przystawiając do strefy, w której wychwyciła emisję, oznaczyła położenie w stosunku do osi polarnej.

- Stefania pędzi ku Wielkiej Niedźwiedzicy. Właśnie minęła Saturna. Mknie tak szybko, że musi się teraz przebijać przez meteoryty.

Podróżowała rzeczywiście z prędkością myśli. Sto razy szybciej niż prędkość światła!

- Gdzie teraz jest?

Wbijając wzrok w monitor, Raoul stwierdził:

- Można powiedzieć, że opuszcza Układ Słoneczny.

Rose była jeszcze dokładniejsza:

- Minęła Uran. A teraz...

- Co się dzieje?

- Pędzi tak strasznie szybko!

- Gdzie jest?

- Opuściła właśnie Układ Słoneczny. Teraz sygnał dochodzi do nas z bardzo dużym opóźnieniem.

- Jest poza Galaktyką?

- Nie. Wręcz przeciwnie, wydaje się, że zmierza w sam środek Drogi Mlecznej.

W środek Drogi Mlecznej? A cóż tam w ogóle jest?

Rose objaśniła nam, rysując coś w kształcie spirali.

- Galaktyka składa się z dwóch ramion w kształcie spirali, każda o średnicy stu tysięcy lat świetlnych. Wszystko tam jest: planety, gazy, satelity, meteory. Galaktyka liczy sto miliardów gwiazd. Być może jej dusza chce dotrzeć do jednej z nich...

- Czego może tam szukać?

- Raju, Piekła... Układ Słoneczny usytuowany jest na jednym z zewnętrznych ramion spirali Galaktyki.

Wszyscy wsłuchiwaliśmy się w informacje płynące z urządzeń pomiarowych. Najmniejszy nawet trzask oznaczał ślad niezwyklej wędrówki naszej przyjaciółki.

- Gdzie ona jest teraz? - zaniepokoił się Raoul.

- Wciąż leci w kierunku centrum Galaktyki.

- To znaczy?

Rose znowu wzięła linijki i nakreśliła kilka linii.

- Kieruje się w stronę konstelacji Strzelca. A dokładniej na zachód tego gwiazdozbioru.

Czyżby Raj znajdował się w gwiazdozbiorze Strzelca?

Pomogłem Rose wykonać obliczenia.

- Gdzieś tutaj. Wyminęła tę gwiazdę. I leci dalej w tym samym tempie.

- Jest daleko?

- Owszem, dosyć daleko. Co najmniej pięćdziesiąt miliardów kilometrów stąd. W porównaniu z duszą Stefanii wszystkie nasze rakiety i kosmiczne promy naprawdę wloką się jak ślimaki.

- Gdzie teraz się znajduje?

- Kieruje się w stronę...

- W stronę czego?

Rose popatrzyła na ekran, na którym od kilku minut ukazywała się cała masa liczb.

- Znikła. Sygnał znikł.

- Jak to? - zaniepokoił się Raoul.

- Brak emisji.

Rose bardzo niespokojna upuściła linijki, które z głuchym i denerwującym w tej ciszy trzaskiem spadły na podłogę. Amandine, pielęgniarka, która potrafiła zachować spokój nawet w najbardziej dramatycznych chwilach, profesjonalnie sprawdziła stan fizjologiczny Stefanii.

- Żyje - szepnęła.

- Jak to możliwe, że sygnał raptem znikł? Wydawało mi się, że w kosmosie tak długie fale przemieszczają się bardzo szybko i bez żadnych ograniczeń - powiedziałem.

- To niezrozumiałe - przyznała Rose.

157 - NIEPOKÓJ

Ciało Stefanii nie poruszało się i wciąż nie wiedzieliśmy, gdzie teraz znajduje się jej dusza.

- Co robimy? Próbujemy ją wybudzić?

Rose sprawdziła wszystkie urządzenia.

- Zaczekajcie... Musi być przecież jakieś wytłumaczenie tego, że sygnał znikł.

Rose znowu wzięła do ręki linijki i usiadła przy komputerze, ponieważ obliczenia były teraz naprawdę skomplikowane. Uśmiechnęła się.

- Wydaje się, że...

Coraz bardziej rozpromieniona podeszła jeszcze bliżej do ekranu.

- Tak, wszystko się zgadza. Doskonale.

- Co odkryłaś? - zapytałem ją.

Nigdy wcześniej nie widziałem Rose tak bardzo podekscytowanej.

- Stefania nie przestała wysyłać fal.

- A więc gwiazda?

- Niezupełnie.

- Planeta?

- Też nie.

- Supernowa, gromada gwiazd?

- Nic z tych rzeczy.

Pokazała palcem mapę Ostatecznego Kontynentu. Popatrzyliśmy na ten wielobarwny zwężający się lejek. Równocześnie zrozumieliśmy, co nam pokazuje:

- Czarna dziura!

Rose przytaknęła ruchem głowy.

To wyjaśniało wszystko. Teraz łatwo było pojąć, dlaczego sygnał radiowy znikł. Czarne dziury są jak gigantyczne odkurzacze, które zasysają wszystko, co znajdzie się w ich zasięgu: materię, światło, fale... A nawet dusze, o czym dowiedzieliśmy się właśnie teraz!

- Czarna dziura...

Raoul również miał ochotę zadawać tysiące pytań. Ale zadał tylko jedno:

- Istnieją już dziesiątki zidentyfikowanych czarnych dziur. Dlaczego w chwili śmierci dusze miałyby się kierować w stronę tej, a nie innej?

- Ta czarna dziura nie jest byle jaką czarną dziurą. Leży bowiem dokładnie w samym centrum Galaktyki - wyjaśniła Rose.

158 - PODRĘCZNIK DO HISTORII

W 1932 roku, a więc na początku XX wieku, astrofizyk Jan Oort zajmował się badaniem masy wszechświata. W tym celu obserwował, z jaką prędkością na Drodze Mlecznej, swoistym dysku utworzonym przez naszą Galaktykę, oddalają się gwiazdy. Wywnioskował z tego siłę ciążenia, która wprawia je w ruch, a następnie na tej podstawie wyliczył masę całkowitą. Jakież było jego zdumienie, kiedy stwierdził, że Droga Mleczna nawet w połowie nie składa się z widocznej materii!

A zatem na niebie znajdowało się coś bardzo „ciężkiego” tak ciężkiego jak wszystkie widoczne gwiazdy, a czego nie można było zidentyfikować ani zobaczyć. To przedziwne

zjawisko nazwał „ciemną materią”.

Podręcznik szkolny, kurs podstawowy, 2. rok

159 - MITOLOGIA ŻYDOWSKA

„Centrum, z którego bierze się Prapoczątek, wytwarza najbardziej tajemne światło. Jest ono w niepojęty sposób czyste, przezroczyste i delikatne. Kiedy się rozprzestrzenia, jasny punkt przeobraża się w pałac, który otula środek. Również pałac jest przezroczysty. Pałac, jako źródło Nieznanego Punktu, jest jednak mniej przezroczysty niż punkt pierwotny. Ale to z tego pałacu rozprzestrzenia się pierwotne światło Wszechświata. I z tego miejsca, warstwa po warstwie, każda kolejna forma stanowi otoczkę dla poprzedniej, tak jak błony otulające mózg”.

Zohar, „Księga Blasku”

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

160 - TROCHĘ CIERPLIWOŚCI

Czyżby Bóg ukrywał się gdzieś w czarnej dziurze? Zaświaty miałyby być jedynie tą czarną dziurą? Któregoś dnia poświęciłem trochę czasu na dokładniejsze zbadanie zdjęcia czarnej dziury przedstawionego w jakimś naukowym piśmie. Widać było płonący pomarańczowy pierścień, a w jego środku niewielką plamkę także w kolorze pomarańczowym, ale mniej intensywnym. Obraz ten przypominał mi zagadkę Raoula: jak narysować okrąg i jego środek, nie odrywając pióra. Wiedziałem teraz, że nie jest to tylko zagadka logiczna.

Okrąg i jego środek! Czyżby było to przedstawienie Boga i wyobrażenie śmierci?

Po powrocie Stefania dowiedziała się ze zdziwieniem, że przebyła drogę o długości jednej trzeciej średnicy naszej Galaktyki, żeby na koniec wpaść do czarnej dziury znajdującej się dokładnie w jej centrum.

Raoul narysował mapę, by zlokalizować ten punkt. Nie było to zresztą trudne.

Wystarczyło za pomocą cyrkla zakreślić okrąg, który tworzą oba ramiona naszej Drogi Mlecznej, a następnie zaznaczyć punkt w samym środku. Rose musiała mu jednak w tym pomóc. Jej wiedza jako astronoma stanowiła uzupełnienie naszej wiedzy w zakresie medycyny, biologii i mistyki ze wszystkimi jej odmianami.

Wyłumaczyła nam, że czarne dziury są uważane za ostatni etap życia umierającej gwiazdy i że posiadają nieprawdopodobną gęstość.

Ciśnienie jest tam tak wielkie, że wessana w czarną dziurę Ziemia zostałaby skompresowana w kulkę o objętości jednego centymetra sześciennego i nadal ważyłaby tyle, ile waży cała nasza planeta!

- Moc czarnych dziur jest wręcz nieprawdopodobna - mówiła Rose. - Nic nie jest w stanie przed nią uciec, ani materia, ani promieniowanie. Poza tym bardzo trudno je dostrzec. Widzimy je tylko wówczas, gdy wchłaniają gwiazdę. W tym właśnie momencie wysyła ona promienie X, a to pozwala ustalić, gdzie leży czarna dziura, cmentarzysko gwiazd, dla których jest to krzyk agonii.

Źródło promieni X zostało zauważone w samym centrum naszej Galaktyki. Astrofizycy nazwali je Sagittarius A West. Wyliczyli, że czarna dziura jest potworem o masie pięć milionów razy większej od Słońca, a jej średnicę szacowali na siedemset milionów kilometrów (2,5 godziny świetlnej, a więc średnica cztery razy mniejsza od Układu Słonecznego).

Sagittarius A West! Strzelec A Zachód! Tak być może brzmi naukowa nazwa kontynentu umarłych!

Ten zakątek wszechświata był słabo poznany, mimo że to przecież jego główne skrzyżowanie.

Podzieliliśmy się tą informacją, nie podejrzewając nawet, jak wielkie wywoła emocje na całym świecie. Poprzednie doświadczenia powinny były stanowić dla nas ostrzeżenie, lecz Raoul uznał, że mamy pewne zobowiązania wobec nauki niezależnie od związanego z tym ryzyka.

W Akademgorodoku na Syberii ekipa rosyjskich kosmonautów porwała prom kosmiczny z myślą o tym, żeby spróbować dostać się do czarnej dziury Raju. Głupota, ponieważ o ile dusza tanatonauty mogła przemieszczać się szybciej od światła, o tyle zupełnie inaczej przedstawiała się sytuacja w wypadku nawet najbardziej zaawansowanych technicznie statków kosmicznych! Ci piraci niebios potrzebowaliby minimum pięciuset lat, żeby wydostać się z Układu Słonecznego, i co najmniej tysiąca lat, by dotrzeć do najbliższej czarnej dziury! A gdyby nawet udało im się dożyć tysiąca lat dzięki zastosowaniu nieznanym

do tej pory metod przeżycia, i tak zostaliby rozbici w pył i na zawsze wchłonięci przez czarną dziurę.

W tej chwili Rosjanie nadal lecą, wysyłając od czasu do czasu sygnały, które pozwalają ich zlokalizować, rejestrowane przez odbiornik zainstalowany na dachu Muzeum Śmierci w Smithsonian Institution w Waszyngtonie.

Nie byli jedynymi, którzy polecili w kosmos bez zastanowienia w taki właśnie sposób! Tylko w następnym miesiącu po odkryciu przez nas Ostatecznego Kontynentu wyruszyło I nigdy nie powróciło ponad stu pięćdziesięciu tanatonautów amatorów pragnących dotrzeć do Raju.

Co istotniejsze, mimo zakazu i wszelkich klątw na nich rzuconych, duchowni różnych wyznań szturmowali co raz Moch 3. Mieli tę przewagę, że wykorzystywali techniki startu znane im z praktyk religijnych, działali bardzo rygorystycznie, wykorzystując w pełni sposoby należące do ich mitologii. Każda metoda była dobra, byle przebić się wreszcie przez trzecią barierę komatyczną.

Pociechą było to, że nasz rodzinny sklepik u stóp tanatodromu był stale pełen ludzi. Rose stała się naszym naczelnym astronomem. Jej autografy były teraz bardzo poszukiwane.

161 - PODRĘCZNIK DO HISTORII

Przez długi czas ludzie nie wiedzieli, co znajduje się w centrum Galaktyki. Wiedzieli, że otaczający ich wszechświat obraca się z prędkością 250 milionów lat na jeden obrót, ale nie wiedzieli, wokół czego się obraca.

Podręcznik szkolny, kurs podstawowy, 2. rok

162 - MOCH 4

Ku powszechnemu zdziwieniu ekipa liberalnej jesziwy ze Strasburga pod kierunkiem rabina Freddy'ego Meyera pokonała jako pierwsza trzecią barierę komatyczną. Żydowski tanatonauci wpadli na genialny pomysł, a mianowicie postanowili pracować nie w pojedynkę, ale w grupie. Rabin Meyer stwierdził bowiem, że większość śmiertelnych zejść eksploratorów spowodowana była nadmiernym rozciągnięciem pępownicy, która była tak cienka, że pękała,

gdy zbliżali się do Moch 3. A zatem powstaje pytanie: co jest mocniejsze od jednej nitki? Odpowiedź: trzy nitki splecione w warkocz. W związku z tym nie pozostawało nic innego, jak polecieć, splótszy razem kilka ektoplazmowych pępowin.

Metoda: pierwsza grupa trzech rabinów otacza i chroni pępowinę dwóch pozostałych, którzy z kolei chronią pępowinę szefa, Meyera, dzięki czemu może on poruszać się po kontynencie umarłych bez ryzyka jej zerwania.

Rozumowanie Meyera było czysto pragmatyczne: sześć mocno ze sobą splecionych linek jest solidniejsze niż pojedyncza linka. Tak samo musiało się dziać z pępowiną.

Oczywiście związane z tym było pewne ryzyko: jedno omdlenie i cała ta struktura mogła się rozsypać! Ale strasburczykom się udało.

W przekazywanej na żywo przez amerykańskie stacje telewizyjne relacji rabin Meyer ogłosił, że za Moch 3 rozciąga się olbrzymia równina. Zmarli posuwając się wolno, czekali nie wiadomo na co w kolejce, której końca nie było widać.

- A jeśli mój ojciec nadal tam jest i wciąż stoi w kolejce? - krzyknął Raoul.

W jednej chwili opuściła go zimna krew. Chciał możliwie jak najszybciej spotkać się z rabinem tanatonautą i jego uczniami. Strasburczycy zgodzili się z ochotą na odwiedzin w tanatodromie w Buttes-Chaumont.

Rabin Meyer, mały łysy człowieczek, nosił okulary o bardzo grubych soczewkach, co sprawiało, że wyglądał cokolwiek dziwacznie. Niespodzianka: za szklami jego oczy były zamknięte. Ponieważ siedział głęboko zanurzony w jednym z foteli w naszym penthousie, pomyślałem w pierwszej chwili, że śpi, ale kiedy zaczął mówić z zamkniętymi nadal powiekami, zrozumiałem, że ten pionier nieskończoności jest niewidomy. Niewidomy!

- Nie przeszkadza to panu w tanatonaucy?

- Ektoplazma nie potrzebuje oczu.

Uśmiechnął się, zwracając twarz w moją stronę. Wystarczyło, że słyszał mój głos, żeby wiedzieć, gdzie dokładnie się znajduję.

Chwycił mnie za rękę i natychmiast zrozumiałem, że dzięki temu kontaktowi wie o mnie wszystko. Poznawał moją osobowość poprzez ciepło mojej dłoni, wilgoć potu, linie na skórze i kształt palców.

- Nie ma pan białej laski - stwierdziłem.

- Niepotrzebna mi. Może jestem niewidomy, ale nie kuleję.

Jego uczniowie parsknęli śmiechem. Widać było, że uwielbiają swojego mistrza i jego żarciki. Mnie osobiście jego poczucie humoru wprawiło w lekkie zakłopotanie. Ludzie dotknięci ślepotą powinni być raczej smutni i przybici, a nie zabawni i dowcipkujący. Poza

tym chodziło przecież o osobę duchowną, o mędrca erudytę, a zatem powinien on być człowiekiem zdecydowanie poważnym.

Raoul, jak zwykle podejrzliwy, zamachał długimi rękami w odległości kilku centymetrów przed jego okularami. Nieprzenikniony Meyer zaprotestował:

- Proszę przestać ruszać palcami. Wywołuje pan przeciąg i mogę się przez to przeziębć.

- Naprawdę nic pan nie widzi?

- Nie, ale się nie skarżę. Mógłbym przecież być na dodatek głuchy. A to dopiero musi być przykre.

Jego uczniowie byli po prostu zachwyceni. On zaś poważniejszym już tonem powiedział:

- Nie wiem, czy zdajecie sobie sprawę, że znacznie więcej interesujących informacji można znaleźć w dźwiękach niż w obrazach. Zanim straciłem wzrok i zanim zostałem rabinem, byłem choreografem i zawsze uwielbiałem grać na fortepianie. Jedna z fug Bacha podsunęła mi pomysł warkocza z pępowin.

Bez niczyjej pomocy rabin skierował się do fortepianu, wysunął taboret i usiadł. Muzyka z niemal matematyczną dokładnością rozbrzmiewała pod szklanym dachem, wprawiając w zachwyt tropikalne rośliny.

- Posłuchajcie tego fragmentu. Słyszycie dwa głosy?

Zamknąłem oczy, żeby lepiej słyszeć. Rzeczywiście, kiedy skoncentrowałem się w ten sposób, wychwyciłem dwa nakładające się głosy. Meyer skomentował to tak:

- Bach był geniuszem warkocza. Łącząc dwa głosy, stwarza iluzję, że powstaje trzeci głos, który nie istnieje, a mimo to jest pełniejszy aniżeli dwa wcześniejsze razem. Ta technika dotyczy wszystkiego: muzyki, malarstwa i wielu innych rzeczy. Proszę zamknąć oczy.

Pomyślałem o odkryciu, które pozwoliło mi pokonać mnicha ektoplazmę. Czasem oczy nie pozwalają widzieć. Zmuszając się do pozostawania w ciemności, lepiej zrozumiałem to, co mówił rabin. Oddzielał nuty od siebie. Dwa głosy współistniały, lecz melodia, którą słyszałem, nie była podobna do żadnego z nich. Do tej pory muzyka stanowiła dla mnie jedynie pewne tło egzystencji, czasem przyjemne, kiedy indziej znowu niezbyt miłe. Wstrząsem było dla mnie to, że można ją postrzegać jako czystą naukę. Do tej pory tylko słyszałem, a teraz uczyłem się słuchać.

Freddy Meyer wybuchnął śmiechem, nie przestając grać.

- Proszę mi wybaczyć, ale czuję się szczęśliwy, nie potrafię powstrzymać się od śmiechu.

Amandine postawiła szklanę z „krwawą Mary” na fortepianie. Rabin przerwał na chwilę, żeby się napić. Patrzyliśmy na niego takim samym ekstatycznym wzrokiem jak jego uczniowie. A potem opowiedział nam o swojej podróży.

Zaraz za Moch 3 rozciągał się rozległy przeludniony obszar. Na olbrzymiej cylindrycznej równinie stłoczona była cała masa ektoplazm z odciętymi pępownikami. Miliardy umarłych zdawały się czekać na pomarańczowej równinie niczym w strefie tranzytowej. Byli jak długa rzeka i powoli przesuwali się do przodu. Nie unosili się w powietrzu, a raczej wlekli powoli. Bez trudu można było lecieć ponad nimi. Pośrodku tej rzeki zmarli byli stłoczeni jak śledzie. W nieco szybszym tempie przemieszczali się ci na obrzeżach, łącząc się w małe grupy, żeby porozmawiać o minionym życiu. Naukowcy spierali się o to, kto pierwszy był autorem takiego czy innego wynalazku. Aktorki sprzeczały się o poziom swoich występów na scenie. Pisarze krytykowali bezlitośnie utwory innych twórców. Jednakże większość zmarłych zadowalała się powolnym marszem do przodu. Niektórzy sprawiali wrażenie, jakby byli tam już całą wieczność. Oczywiście, jak to w kolejce, byli też tacy, którzy używając łokci, próbowali wyminąć innych ludzi!

A więc za trzecią barierą komatyczną stoi gigantyczna kolejka. Być może zmarli są w ten sposób poddawani próbie czasu? A może chce się ich nauczyć cierpliwości? Ich gesty były jakby spowolnione. Stali tak, nic nie robiąc, po prostu czekając.

- Próba czasu... A może tak właśnie wygląda piekło? - powiedziałem.

- Tak, w każdym razie nie dla nas, nie dla tanatonautów. My byliśmy w stanie lecieć nad miriadami zmarłych tłoczących się w pomarańczowym cylindrze. Zresztą okolica jest dosyć ładna, przypomina, z tego co mi mówiono, widok Marsa. Wzdłuż wijącej się pośrodku rzeki zmarłych są tam brzegi, wzgórze, a w oddali światło podobne do cudownego słońca. Słońca, które mocno przyciąga i ku któremu płynie fala nieboszczyków. Nie mogłem jednak zapuszczać się zbyt głęboko w czwarte terytorium. Bałem się, że zapętlę się gdzieś w czasie, podczas gdy moi przyjaciele rabini, biedacy, czekali na mnie w... czerwonym korytarzu rozkoszy.

Raoul Razorbak zapisywał to, co mówił Freddy Meyer.

- Proszę nam opisać nieco dokładniej ten obszar, bardzo proszę, rabinie.

- Im jesteśmy dalej, tym bardziej podnosi się temperatura. Ściany walca także poruszają się coraz szybciej. Czułem się jak zamknięty w młynku, który pracuje w zwolnionym tempie, a ja wiem, że na dnie zostanę zmielony. Poczucie dużej prędkości pozostaje w mocnym kontraście z powolnością, jaka narzucona jest zgromadzonym tam duszom. To że ściany obracają się tak szybko, powinno raczej wywoływać chęć

przyspieszenia, a jednak nie jest to możliwe!

- Ze względu na siłę odśrodkową w czarnej dziurze - zauważyła Rose.

Amandine zdziwiła się:

- Ektoplazma odczuwa naprawdę ciepło i prędkość?

- Ależ tak, proszę pani. Nie cierpimy z tego powodu, ale odczuwamy to.

Z miną jak zwykle dziecinną rabin zdjął: i nałożył z powrotem czarną jarmułkę. Dotykał wszystkich przedmiotów wokół siebie, jakby to były grzechotki. Wyczuł, zapewne wyraźniej niż ja, nutę powabu w głosie Amandine, lecz nie zrobiło to na nim wielkiego wrażenia. Malutki Żyd uśmiechał się wesoło jak tłuściutki budda.

- Nie był pan pod wrażeniem widoku tych wszystkich zmarłych? - zapytała wyraźnie zachwycona śliczna blondynka.

- Och, po kilku pierwszych miliardach jest tak jak ze wszystkim: człowiek po prostu się przyzwyczaja - powiedział powściągliwie.

Raoul wziął do ręki mapę. Z zadowoleniem stał napis *Terra incognita* i umieścił go nieco dalej, zapisał też uwagi rabina Meyera.

Czerwone terytorium kończy się na Moch 3, a za nim zaczyna się:

TERYTORIUM 4

- Lokalizacja: koma plus 27 minut.

- Kolor: pomarańczowy.

- Doznania: walka z czasem, poczekalnia, wirujące „niebo”, olbrzymia równina. Strefa przeciągów, w której wieje silny wiatr. Miliardy umarłych poruszają się gęsiego, tworząc szeroką rzekę w kolorze szarym (co jest normalne, ponieważ składa się ona z ektoplazmy). Tam następuje zderzenie z czasem, zmarli uczą się cierpliwości. Wśród nich można spotkać wielu znanych ludzi.

- Rebe, czy wyczułeś koniec tego korytarza? - zainteresowała się Amandine.

- Proszę do mnie mówić Freddy. I proszę bez wahania używać czasownika „widzieć”. Jako ektoplazma widzę doskonale. Po opuszczeniu ciała ograniczenia wynikające z niepełnosprawności nie mają już znaczenia. Odpowiadając na pani pytanie, tak, owszem, widziałem na końcu, prosto przede mną, w odległości kilkuset metrów kolejną barierę. Moch 4?

- Czy była węższa od Moch 3? - zapytał Raoul.

- Odrobinę. Moch 4 musi mieć trzy czwarte średnicy Moch 3.

Raoul zanotował.

- A zatem krzywa lejka jest styczna. Im jesteśmy dalej, tym bardziej lejek zaczyna przypominać rurkę. Jeszcze jedno pytanie, rebe...

- Proszę do mnie mówić Freddy.

- W porządku. Proszę mi powiedzieć, Freddy, czy nie zauważył pan w tej kolejce około czterdziestoletniego mężczyzny z grzywką i w okularach, podobnej postury jak ja, z rękami w kieszeniach?

Tym razem Freddy nie zaśmiał się.

- Mówi pan o kimś bliskim?

- O moim ojcu - wyszeptał Raoul tak cicho, że z trudem go usłyszeliśmy. - Umarł już prawie trzydzieści lat temu.

- Trzydzieści lat... - westchnął ciężko Freddy. - Wydaje mi się, że nie za dobrze zrozumiał pan, co mówiłem. W tej kolejce stały miliardy zmarłych. Jak więc mogłem przyjrzeć się dokładnie każdemu z nich z osobna? Jak mógłbym rozpoznać pana ojca w tym olbrzymim tłumie?

- To prawda. - Raoul się zaczerwienił. - Pytanie było idiotyczne. Ale mój ojciec umarł tak wcześnie, kiedy byłem jeszcze taki mały... Odszedł od nas, zabierając ze sobą tajemnicę.

- A jeśli ojciec pozostawił panu w spadku właśnie tajemnicę? - powiedział rabin. - Pozostawiając pana w niepewności, dał panu siłę, która napędzała wszystkie pana późniejsze działania.

- Tak pan sądzi? Naprawdę?

Strasburczyk parsknął znowu śmiechem.

- Kto to może wiedzieć? Czasami zdarza mi się mylić psychoanalizę z Kabałą! Zresztą te dwie rzeczy są niejednokrotnie ze sobą związane. Pewnie jest pan w tym lepiej zorientowany ode mnie.

Raoul westchnął.

- Chciałbym go zapytać o tak wiele różnych spraw... To on wymyślił tanatonautykę.

Uczniowie postanowili przerwać cokolwiek niezręczną sytuację, prosząc, byśmy pokazali im tanatodrom. Przyglądali się z szacunkiem naszym urządzeniom startowym. Oni zadowalali się medytacją i przygotowywaniem wywaru z gorzkich korzonków. Pokazaliśmy im, jak uchwycić precyzyjnie moment startu dzięki odbiornikowi promieni gamma, i w jaki sposób zaprogramowaliśmy powroty, stosując elektryczny licznik, który odgrywał również rolę systemu bezpieczeństwa.

Byli niezwykle przejęci.

- Z takimi urządzeniami zdecydowanie poprawimy nasze wyniki! - wykrzyknął stary mędrzec.

A zatem jeszcze jedna synergia. Gdy połączymy nasze umiejętności, będą czymś więcej niż ich zwykłym zsumowaniem. Dwie różne szkoły myślenia. Dwie melodie, które łączą się, tworząc nową muzykę.

163 - KARTOTEKA POLICYJNA

Nazwisko: Meyer

Imię: Freddy

Włosy: siwe

Oczy: niebieskie

Wzrost: 160 cm

Znaki szczególne: rabin, zawsze nosi jarmułkę

Uwagi: pionier tanatonauryki. Wynalazca techniki splatanych w warkocz pępowin, co umożliwiło przekroczenie bariery Moch 3

Słabe strony: ślepotą

164 - ŚLEPOTA I JASNOWIDZTWO

Umieściliśmy sześciu rabinów ze strasburskiej jesziwy w mieszkaniach na pierwszym piętrze. Na parterze trenowali nowe układy choreograficzne, żeby jeszcze mocniej związać pępowiny podczas następnych odlotów.

Jedni po drugich startowali z fotela na naszym tanatodromie. Kiedy już zaznajomili się z naszymi metodami, zainstalowaliśmy nowe trony startowe i wtedy zaczęli znowu startować zbiorowo.

Stefania często wyruszała razem z nimi, stając na wierzchołku ektoplazmowej piramidy. Kiedy widziało się, jak startują, a potem razem wracają, można było odnieść wrażenie, że nieźle się tam, w górze, ubawili. Po wybudzeniu Freddy zawsze był uśmiechnięty, tak jakby naprawdę sprawiło mu to olbrzymią radość!

Ta radość trochę mnie niepokoiła. Freddy bowiem był nie tylko rabinem, ale był też ślepy i stary. A zatem trzy powody, dla których powinien zachowywać się dostojnie! Poza

tym nie rozumiałem, jak można się oddawać tanatonautyce, żartując z tego. W końcu śmierć jest czymś przerażającym.

Ja na przykład zawsze traktowałem śmierć i miłość bardzo poważnie. Obie te sprawy wymagają powagi. Na twarzach omdlewających z rozkoszy kobiet zawsze pojawia się maska cierpienia.

Pewnego razu po kolejnym lądowaniu usłyszałem, jak rabin opowiada dosyć sprośny dowcip. „Dwóch staruszków wspomina hotel, w którym po kolacji odbywa się niezwykle spektakl. Artysta wyjmuje swojego penisa i używając go jako młotka, jednym uderzeniem rozbija trzy orzechy. Kiedy staruszkowie pojawiają się w tym samym hotelu po jakimś czasie, spektakl nadal się odbywa. Artysta wprawdzie się postarzał, ale wciąż jest na miejscu. Tym razem rozbija nie trzy zwykłe orzechy, a trzy kokosy. Po spektaklu staruszkowie udają się do jego garderoby i pytają, dlaczego zdecydował się na tę zamianę. Na to artysta odpowiada: «Ha! Wiecie, o co chodzi? Z wiekiem coraz gorzej widzę». "

Wszyscy się roześmiali. Ja jednak byłem mocno zażenowany.

Oburzało mnie to, że rabin, pomimo pełnionej funkcji, podchodzi do śmierci tak lekko. Zwróciłem mu na to uwagę.

- Ktoś kiedyś źle zinterpretował słowo Boże - oświadczył. - Prorok, który był przygłuchy, zrozumiał: „Bóg jest miłością” zamiast: „Bóg jest radością"! Wszystko jest śmieszne, także śmierć. Jakże mógłbym się pogodzić ze swoją ślepotą bez poczucia humoru? Trzeba śmiać się ze wszystkiego i bez skrępowania.

- Ten facet jest trochę dziwny - powiedziałem do Stefanii.

Ona jednak nie podzielała mojego zdania. Tybetańska medytacja pozwoliła jej lepiej zrozumieć alzackiego mędrca. Freddy miał już za sobą swój cykl reinkarnacji. To co działo się teraz, miało być jego ostatnim życiem. Potem będzie już tylko czystym duchem wolnym od wszelkiego cierpienia. Nie musiał więc niczego udowadniać i teraz był już spokojny. Podczas poprzednich migracji własnej duszy rozumiał, czym jest miłość, sztuka, nauka, współczucie. A w tej chwili niemal dotykał absolutnego poznania. I właśnie z jego głębokiego spokoju emanowała ta zaraźliwa dobroduszość. A mnie szokowały te jego dowcipy dlatego, że miałem głowę nabitą różnymi zakazami.

Prawdą jest, że wokół rabina unosiła się jakby aura pozytywnych fal. A jeśli Stefania miała rację, mogłem mu tylko pozazdrościć. Ja też bardzo bym chciał zakończyć własny cykl kolejnych egzystencji. I zrozumieć wszystko, nie zważając na pozory. Mieć spokojną duszę. Niestety, na tej ziemi byłem jeszcze bardzo młody. Prawdopodobnie byłem dopiero przy mojej setnej albo dwusetnej reinkarnacji. Moja karma była wciąż spragniona poznania

nowych rzeczy i podbojów.

Całe szczęście, że Freddy bez oporów przekazywał nam swoją wiedzę! Wieczorem w penthousie siadaliśmy wokół niego, a on opowiadał nam, wtedy już bardzo poważnie, o Kabale, nauczając nas tajemnego znaczenia słów i cyfr.

- Według Kabały wszyscy jesteśmy nieśmiertelni, a śmierć jest tylko jednym z etapów wewnętrznego rozwoju, który determinuje następną fazę naszej egzystencji. Śmierć jest tylko progiem. Otwiera drzwi do innego życia. A my musimy myśleć tak jasno i spokojnie, jak potrafimy! Strach, zaburzenia umysłowe, niegodzenie się z myślą o umieraniu są najgorszą rzeczą, jaka może nas spotkać. Im spokojniejsza jest dusza, tym łatwiej jej łagodnie przejść do innego świata. W Zoharze zapisane jest: „Szczęśliwy ten, kto umiera z jasną świadomością. Śmierć jest tylko przejściem z jednego domu do drugiego. Jeśli jesteśmy mądrzy, uczynimy z naszej następnej siedziby jeszcze piękniejszy dom”. A rabin Elimelech z Leżajska, zawsze pogodny, powiedział: „Dlaczego nie miałbym się cieszyć, wiedząc, że zaraz odejdę z tego świata, żeby dostać się do wyższego świata Wieczności?”.

Amandine pożerała wręcz wzrokiem tego tanatonautę, który dotarł ze wszystkich najdalej na Ostatecznym Kontynencie. Zdziwiła się też, że wiara w reinkarnację należy do żydowskiej religii.

- To wiedza tajemna - wyjaśnił łysy człowieczek, potrząsając głową odzianą w jarmułkę. - Zresztą niewielu jest rabinów, którzy podzielają moje poglądy. Jestem reformistą, liberałem i kabalistą. Inaczej mówiąc, wprowadzam niezły bałagan na podwórku judaizmu.

- Ale jednak - nalegała Amandine - czy istnieje w tej religii jakaś procedura dotycząca umierania?

- Oczywiście. Umierający mają nakazane zamknąć drzwi swoich zmysłów, skoncentrować się na psychicznym centrum serca i ustabilizować oddech. A wtedy, jak zapisane jest w Zoharze, dusza wyruszy najwyższą ze wszystkich dróg.

Najwyższą ze wszystkich dróg... Milczeliśmy, starając się sobie to wyobrazić.

- Posługujecie się medytacją, żeby wystartować. A jaką technikę stosujecie? - zapytała Stefania. - Czy jest ona odmienna dla każdego czy też wynika ze zdobytej przez was wiedzy?

- Nasza metoda pochodzi z najdawniejszych czasów. Nazywamy ją cimcum. Już prorok Ezechiel posługiwał się nią siedem stuleci przed Chrystusem. Najpierw rabin Aaron Roth uporządkował ją w traktacie poświęconym niespokojnej duszy, a potem zajęli się tym Majmonides i rabin Izaak Luria. Cimcum oznacza „wycofanie się”. Żeby zatem osiągnąć cimcum, a więc medytować, trzeba na chwilę stać się jakby obcym dla własnego ciała, patrzeć na nie z oddali i bacznie obserwować, co się z nim dzieje.

- Ale jak wam się to udaje w praktyce?
- Koncentrujemy się na oddychaniu, a w szczególności na oddziaływaniu powietrza na naszą krew i na działaniu krwi na organizm.

- Wasza metoda niewiele się różni od mojej - wtrąciła Stefania, buddystka tybetańska.
Freddy zaśmiał się dobrotliwie.

- Tak, ale jeśli chcemy być naprawdę nowocześni, można się odcieleśnić na wiele innych sposobów. Nic nie zastąpi ostrej alkoholowej jazdy albo ostrego seksu!

Powiało jakby chłodem.

- Ach, Freddy! Czy pan nigdy nie przestanie sobie żartować? - zaprotestowała niemrawo Amandine.

- Ależ skąd - odpowiedział z powagą. - Wszystkie czynności naszego życia są świętymi działaniami: jedzenie, picie, oddychanie, kochanie się, wszystko to są sposoby, by czcić Boga i egzystencję, którą nas obdarzył!

Jak uchwycić ekspresję w pustych oczach ukrytych za ciemnymi grubymi szklami? Dziecięcy uśmiech rozjaśniał pokrytą zmarszczkami twarz rabina, gdy recytował aforyzmy, których nauczył się od swojego duchowego mistrza, rabina Nachmana z Braclawia:

- Nasz wielki obowiązek to zawsze być radosnym i odsuwać z całych sił smutek i rozgoryczenie. Wszystkie choroby, które dopadają człowieka, wynikają z nadwątlenia radości. A spowodowane to jest zniekształceniem „głębokiej pieśni” (nigun) i dziesięciu życiowych rytmów (defikim). Kiedy radość i śpiew zamierają, człowieka dosięga choroba. Radość jest najskuteczniejszym z lekarstw. Musimy więc znaleźć w sobie choćby jeden pozytywny punkt i w niego się wczepić. I tak musi być.

Co powiedziawszy, poprosił Amandine o swój ulubiony napój, „krwawą Mary”, który wypił duszkiem i oświadczył, że już najwyższy czas, żeby on i jego uczniowie położyli się spać.

165 - ODCIELEŚNIENIE

Któregoś wieczoru Rose i ja postanowiliśmy odcieleśnić się zgodnie z tym, co powiedział Freddy. Po lekkostrawnej kolacji wyciągnęliśmy się na podłodze na syntetycznej wykładzinie. Skoncentrowaliśmy się na oddychaniu i na krwi wypełniającej nasze organizmy.

Wciąż postępując zgodnie ze wskazówkami Freddy’ego, jeśli pojawiał się jakiś skurcz, pochłanialiśmy ból, po czym zapominaliśmy o nim, a ilekroć umysł błędził, ponownie go

opróżnialiśmy, myśląc tylko o tym, żeby kontrolować oddech.

Spędziliśmy w ten sposób całkowicie bez ruchu pół godziny, leżąc na podłodze z bolącymi plecami, zanim dopadł nas szaleńczy śmiech. Najwyraźniej żydowska medytacja do nas zupełnie nie przystawała.

Niesforna Rose delikatnie ugryzła mnie w ucho.

- Freddy wspominał też o przyjemniejszych sposobach wychodzenia ze swojego ciała.

Pogładziłem ją po długich czarnych włosach.

- Nie lubię za bardzo się upijać. Alkohol nie przynosi mi radości, mam przez to tylko mdłości. No i potwornego kaca!

- Pozostaje nam jeszcze inna technika - powiedziała, rozciągając zmysłowo obolałe ręce i nogi, zanim rzuciła się w moje ramiona.

Gorączkowo zrzuciliśmy ubrania.

- Jest gdzieś powiedziane, że aby medytacja była skuteczna, należy pozbyć się wszystkiego, co czyni nas ciężkimi - przypomniała moja małżonka.

- Jest też gdzieś powiedziane, że aby dobrze medytować, trzeba czuć, jak krew uderza w skroniach. A ja to czuję - odpowiedziałem, siląc się na naukowy ton.

- Jest powiedziane, że aby dobrze medytować, trzeba się wygodnie wyciągnąć na łóżku - zauważyła Rose, ciągnąc mnie w stronę mięciutkiego małżeńskiego gniazodka.

Nasze ciała splotły się i stopniowo umysły połączyły się w radości. Nasze dwie cielesne otoczki rozciągały się coraz bardziej, wydobywając się nieśmiało z rozpalonych powłok, aż złączyły się ponad naszymi głowami w ciągu trwającej kilka sekund ekstazy.

166 - FILOZOFIA ŚRI AUROBINDO

„Rozwój nie polega na tym, żeby stawać się w coraz większym stopniu świętym czy bardziej inteligentnym albo też szczęśliwszym. Rozwój polega bowiem na tym, by stawać się coraz bardziej świadomym. Wiele czasu potrzeba, żeby oswoić się z prawdą poprzednich egzystencji. Im bardziej wzrasta ciało psychiczne, tym jaśniejsze, poprzez kolejne wcielenia, stają się wspomnienia mentalne.

Śmierć przestaje być ową wykrzywioną maską, która przypomina nam, że nie odnaleźliśmy siebie, lecz jest ona jedynie spokojnym przejściem od jednej formy doświadczenia do drugiej. A dzieje się tak aż do dnia, w którym staniemy

się na tyle dojrzali, by móc przelać na tyle dużo świadomości do tego ciała, aby nasz duch stał się nieśmiertelny".

Satprem, „Śri Aurobindo albo przygoda świadomości"

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

167 - STRATY

Raoul narysował Galaktykę, umieszczając w jej środku coś w rodzaju otwartego syfonu do zlewu. Ostateczny Kontynent. Taka lokalizacja miała ten dodatkowy atut, że odpowiadała odwiecznej i naturalnej potrzebie ludzi, którzy chcieli się dowiedzieć, jak wygląda centrum świata. Najpierw myśleli, że jest nim jakieś miasto, potem kraj, potem Ziemia, a później jeszcze Słońce. Wiedzieliśmy teraz, że Układ Słoneczny to pryszcz i jesteśmy zaledwie na dalekich peryferiach olbrzymiej galaktyki, której środkiem był odkurzacz miażdżący i wysysający wszystko, także dusze.

Czyżby tam mieszkał Bóg? Czy istnieją bogowie ukryci w samym środku galaktyk, które tworzą Wszechświat? Już na samą myśl o tym kręciło mi się w głowie. Cóż za niezwykła łamigłówka!

Prezydent Lucinder pojawił się u nas, żeby zobaczyć, jakie zmiany wprowadziliśmy na tanatodromie. Teraz mieliśmy do dyspozycji osiem foteli startowych, jeden dla Stefanii, a pozostałe dla Meyera i jego uczniów.

Przedstawiwszy Zgromadzeniu Narodowemu ambitne plany dotyczące podboju Ostatecznego Kontynentu, prezydent zdołał pozyskać potężne środki finansowe na potrzeby tanatonautyki. Od tej pory nie będzie już musiał wykorzystywać lewej kasy czy funduszy zabieranych kombatantom, a nas stać będzie na zakup anteny radioastronomicznej o gigantycznych rozmiarach. Dzięki temu będziemy mogli wreszcie zobaczyć wielką liczbę dusz wyruszających w zaświaty, a nie tylko ekto plazmy naszych współtowarzyszy.

Lucinder, wyraźnie zaciekawiony, poprosił nas o to, żeby mógł być świadkiem zbiorowego odlotu. Freddy narysował mu figurę, którą jego ekipa miała wykonać tam, w górze. Prezydent zauważył, że przypomina to spadochroniarzy, którzy w powietrzu trzymają się za nogi. Freddy przytaknął, dodając, że trzeba przy tym bardzo uważać na odpowiednie splecenie warkoczy z pępowin.

- Powinien pan wyruszyć z nami, panie prezydencie.

- Dziękuję bardzo - odpowiedział nasz opiekun. - Byłem tam już raz, ale dla sprawy tanatonauryki chyba lepiej, żebym był przywódcą państwa aniżeli ektoplazmą.

Ekipa zajęła miejsca w bańkach ochronnych. Wszyscy ubrani w białe skafandry, nieruchomi w pozycji lotosu, wyglądali naprawdę imponująco.

- Sześć... pięć... cztery... trzy... dwa... jeden. Start!

Osiem trzasków (szszsz) pojawiło się jeden po drugim w odbiorniku radiowym. Stefania wyruszyła pierwsza. Normalne, bo na górze właśnie ona będzie na szczycie całego rusztowania.

Włączyłem stoper i ustawiłem licznik na poziomie „koma plus pięćdziesiąt minut”, a potem, dzięki antenie satelitarnej, śledziliśmy drogę naszego komanda dusz. Mieliśmy przed sobą blisko godzinę oczekiwania. Będący w dobrym nastroju Lucinder zaproponował rozegranie partii kart. Zasiadliśmy wokół stoliczka, żeby rozegrać partyjkę remika, spoglądając od czasu do czasu na monitory kontrolne.

Raoul pierwszy zerwał się z krzesła, omal go nie przewracając.

- Jeden z rabinów nie żyje! - krzyknął.

- Co takiego? Jak to? - wystraszył się Lucinder.

Z przerażeniem odkryłem, że krzywe na monitorach elektrokardiografu i elektroencefalografu jednego z członków strasburskiej jesziwy są całkiem płaskie.

- Coś strasznego musiało tam się stać!

- Czyżby przekroczyli czwartą barierę i zapadli się w piekielny świat?

Potrząsnąłem głową.

- Niemożliwe. Są dopiero na poziomie „koma plus dwadzieścia siedem minut”. Wciąż są na drugim terytorium, w czarnej krainie.

Podszedłem pośpiesznie do urządzeń kontrolnych. Wszystkie ciała wykazywały nerwowość. Jaki dramat rozgrywał się tam w tej chwili? Amandine sprawdzała tętno siedmiu tych, którzy przeżyli. Zadrżała. Drugi z rabinów odszedł od nas!

- Nic z tego nie rozumiem - powiedziała, wyłamując sobie dłonie. - Przecież już tyle razy przekroczyli tę strefę bez żadnych problemów. Mieli niebawem zacząć zaplatać warkocze z pępowin...

W laboratorium zapanowała pełna niepokoju atmosfera. Raoul przywarł do pulsu Stefanii. Ja skoncentrowałem się na odbiornikach radiowych. Działo się coś dziwnego. Pojawiła się cała masa sygnałów, ale nie wszystkie pochodziły od naszych przyjaciół. Czyżbyśmy mieli do czynienia z pasożytniczymi duszami? Z duszami piratów? Jaka wyższa

władza mogła podjąć decyzję o zablokowaniu „drogi w zaświaty”?

Później trzeba będzie wszystkie te hipotezy sprawdzić, a na razie musieliśmy jak najszybciej ograniczyć tę hekatombę i sprowadzić czym prędzej naszych przyjaciół, zanim odejdą na zawsze.

Pośpiesznie zaczęliśmy wyłączać liczniki. Sześciu wściekłych tanatonautów, jeden po drugim, otworzyło oczy. Wszyscy aż drżeli ze złości. Stefania zdawała się jeszcze toczyć jakąś walkę.

- Co się stało? Co się stało?

Z trudem wypowiedziała jedno słowo:

- Asasyni!

168 - HISTORIA ASASYNÓW

Byli kiedyś ludzie, którzy sądzą, że odkryli raj na ziemi: byli to asasyni.

Znani też pod nazwą „hasziszijja” izmailici byli wyznawcami poglądów religijnych Hasana ibn Sabbaha. Nazwano ich tak dlatego, że zażywali dużo haszyszu, po czym podejmowali samobójcze grupowe działania. Ich sława była tak powszechna, że od nich pochodzi francuskie słowo assassin - zabójca.

Sekta wywodzi się z jednej z gałęzi szyickiego islamu. Jej członkowie określają się jako zwolennicy siostrzeńca Mahometa, który jako potomek Proroka z linii żeńskiej nie był uznawany przez większość muzułmanów.

Według świadectw weneckiego podróżnika Marca Polo (1323) i wielu perskich historyków, asasyni zamieszkiwali twierdzę Alamut położoną na wysokości 1800 metrów, w krainie Mazanderan na południe od Morza Kaspijskiego. Ukryci w górach i nie mając możliwości prowadzenia zwykłych wojen, wpadli na pomysł wysyłania do walki oddziałów składających się z sześciu ludzi (fidais - zaprzędane dusze), których zadanie polegało na zasztyletowaniu wrogich przywódców, najczęściej w chwili gdy ci ostatni oddawali się modłom w meczetach.

Przywódca tych zabójców nazywany był „Starcem z Gór”. Pierwszym z nich był rzecz jasna Hasan ibn Sabbah, założyciel sekty.

Tych, których wyznaczono do popełnienia zabójstw, usypiano za pomocą haszyszu podawanego z jedzeniem w formie papki zmieszanej z konfiturą z róży. Starzec z Gór przemawiał do nich długo i ludzie ci zasypiali, ponieważ haszysz jest też środkiem nasennym,

a nie pobudzającym. Kiedy już zasnęli, przenoszono ich do tajemnego ogrodu położonego w głębi twierdzy Alamut. Po przebudzeniu otaczali ich niewolnicy, dziewczęta i chłopcy, którzy spełniali wszystkie ich seksualne pragnienia. Przybyli w łachmanach, a teraz byli ubrani w szaty z zielonego jedwabiu wyszywanego złotą nitką, otaczał ich zaś raj: czerwona zastawa, podawane bez przerwy wspaniałe wina, róże o delikatnym zapachu, haszysz w dowolnych ilościach. Narkotyki, seks, alkohol, zmysłowość i przepych! Byli przekonani, że znajdują się w ogrodach Allaha, tym bardziej że oazy były czymś niezmiernie rzadkim w tym suchym górskim regionie.

Później znowu ich usypiano przy użyciu haszyszu, a następnie przenoszono do punktu wyjścia, przebrawszy w stare ubrania. Starzec z Gór oświadczał im, że dzięki posiadanej przez niego mocy mogli przez chwilę zakosztować rajy Allaha. A jeśli chcą tam powrócić ostatecznie, muszą umrzeć jak prawdziwi wojownicy! Z uśmiechem na ustach wyruszali pokornie, żeby zabijać wezyrów i sułtanów. Jeżeli ich pojmano, wyruszali na śmierć z malującą się na twarzy ekstazą.

Wśród asasynów tylko wysocy rangą kapłani (szóstego stopnia) dopuszczeni byli do tajemnicy fałszywych ogrodów Allaha.

Sekta zajmowała się najpierw własnymi interesami, głosząc przestanie Hasana ibn Sabbaha. Później jednak Starcy z Gór zorientowali się, że działalność fanatycznych zbirów może przynosić pokaźne zyski. Wybierali tych, którzy proponowali najwięcej. Asasyni zgłaszali się na ochotnika, kiedy ich przywódca zwracał się z pytaniem: „Który z was pozbędzie się tego czy tamtego?”. W taki właśnie sposób zginęła między innymi poetka Asma, córka Marwana, która ośmieliła się źle wyrazić o sprzymierzeńcach z Medyny, a ci natychmiast skorzystali z usług najemników, jakimi byli asasyni.

Twierdza Alamut została zdobyta w 1253 roku przez wielkiego chana mongolskiego Hulagu, wodza wielkiego chińskiego chana Mongkego. Asasyni daremnie domagali się wsparcia ze strony sułtanów, którym wcześniej pomagali - ci nie interweniowali, ciesząc się na myśl, że wreszcie pozbędą się tych niebezpiecznych ludzi.

Zdziesiątkowani asasyni mogli się przekonać, że poznali jedynie namiastkę rajy, sztuczny święty świat stworzony przez ludzi, żeby wprowadzić ich w błąd.

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

169 - NAJEMNICY WYRUSZAJĄCY W ZAŚWIATY

- Zaatakowały nas ektoplazmy piraci - tłumaczyła Stefania, z truciem łapiąc oddech, a skafander wciąż drżał na jej ciężkich piersiach. - Było ich około dwudziestu i ukryli się za pierwszą barierą komatyczną. Wykorzystując moment zaskoczenia, przecięli zębami pępowiny Luciena i Alberta.

Freddy odkrył ze zdziwieniem, że świat ektoplazmy rządzi się własnymi prawami. We śnie ludzie walczą, krew leje się strumieniami. Podobnie na Ostatecznym Kontynencie - ektoplazmy mogą walczyć ze sobą i przecinać sobie nawzajem łączące je z ziemią pępowiny. Dopiero co dokonał tego odkrycia i nie wiedział, jak wytłumaczyć to zjawisko. Może wystarczy emisja nienawiści lub agresji, żeby wywołać przemoc? W każdym razie dwaj biedni rabini zostali wchłonięci przez światło błyszczące w głębi lejka.

Ale jak to się stało, że Stefania i Freddy z tak dużą łatwością określili swoich napastników jako „asasynów”? Polegało to na komunikacji dusz. Meyer sądził początkowo, że to bitwa wydana przez Arabów. Natychmiastowe manichejskie skojarzenie: Arabowie przeciw Żydom, byłoby jednak zbyt proste. Byli to bowiem ostatni potomkowie asasynów, którzy widzieli w tym ataku na rabinów doskonały sposób na ożywienie świętej wojny i odegranie roli forpoczty zwycięskiego islamu. I zależało im na tym, żeby ta zwykła potyczka została bardzo mocno nagłośniona w muzułmańskim świecie.

Stefania była wściekła.

- Rzucili się na nas. Złapali nas za ręce. Próbowali rozerwać pępowiny, ciągnąc za nie z całych sił lub owijając je sobie wokół łydki. Kiedy zaskoczenie minęło, zaczęliśmy się bronić!

- I to jak jeszcze! - dodał Freddy. - Wysłaliśmy na łono Abrahama trzech spośród tych piratów. Wiedzą teraz, że nie damy się biernie mordować.

Walka rozegrała się trochę jak podmorska bitwa płetwonurków, z tym że chodziło nie o odcięcie dopływu sprężonego powietrza, lecz o zerwanie srebrzystych pępowin. Wokoło najświeżsi zmarli ze zdziwieniem przyglądali się, jak tanatonauci zabijają się nawzajem!

Chociaż prezydent Lucinder postanowił trzy dni wcześniej rzucić palenie, chwycił teraz eukaliptusowy papieros Raoula.

- Patrząc perspektywicznie - powiedział, wypuszczając pachnący dym - należałoby ogłosić Ostateczny Kontynent „strefą zdemilitaryzowaną”. Każdy, kto tam wkroczy z

wrogimi zamiarami, zostanie natychmiast wygnany.

- Przez pokojowe siły ONZ-etu? - zaśmiała się Stefania.

- W tej chwili jesteśmy bezsilni. Wszyscy mają prawo się tam udać, także asasyni, a nie jesteśmy w stanie zapanować nad nimi tu, na ziemi. Nie wolno nam wywołać konfliktu, nawet na poziomie lokalnym, żeby chronić Ostateczny Kontynent, który na dobrą sprawę należy do wszystkich.

Nigdy dotąd nie zastanawiałem się nad aspektami dyplomatycznymi naszych działań. Zwykle odkrywcy wbijali flagę swojego kraju na odkrytym terytorium. W taki sposób powstawały kolonie. Najpierw pojawiali się odkrywcy, potem karczownicy, za nimi kupcy i wreszcie administracja. W trakcie kolejnych wojen wytyczano nowe granice, czasem za pomocą zwykłej linijki, jak w przypadku wielu krajów Afryki. My jednak w żaden sposób nie zaznaczyliśmy stref, które odkryliśmy, tak że Ostateczny Kontynent nie był do tej pory własnością żadnego państwa. Oczywiście zatem, że pierwsi, którzy użyją siły, by ten obszar zdobyć, mogą stać się jego władcami. Jak na Dzikim Zachodzie zwycięży ten, kto szybciej wyciągnie rewolwer!

Jako niezwykle naiwna istota, zawsze wyobrażałem sobie, że mężczyźni i kobiety oddający się medytacji i kładący na szali swoje życie, zasiadając w fotelach startowych, mogą być wyłącznie uczciwymi i porządnymi ludźmi, których jedynym celem jest przesunięcie granic poznania.

Ale przygoda się skończyła, koniec z kaskaderami śmierci, nie ma już marzycielskich mistyków! Wraz z upowszechnieniem odlotów tam, w górze, pojawiać się będą te same problemy, których rozwiązanie tu, na ziemi, zajęło nam tak wiele czasu. Okazało się, że w zaświatach jakakolwiek sekta, jakakolwiek horda fanatyków, jakakolwiek banda złoczyńców jest równie potężna jak państwo. Kilku asasynów, których moc odpowiadała sile pięćdziesięciu bezmózgich morderców, mogło przywłaszczyć sobie Raj po prostu dlatego, że pierwsi wpadli na pomysł zdobycia go siłą!

Jak można się im przeciwstawić?

Prezydent Lucinder wydawał się zniechęcony.

- Nade wszystko, moi drodzy, należy zachować ostrożność. Trzeba za wszelką cenę uniknąć incydentów dyplomatycznych lub politycznych z Libanem, Iranem, a tym bardziej z Arabią Saudyjską.

Stefania się oburzyła:

- Ale przecież ani Iran, ani Liban, ani Arabia Saudyjska nie wspierają asasynów. Oni są wrogami wszystkich Arabów.

- Nawet pozostali szyici ich nienawidzą i odnoszą się do nich z pogardą - dorzucił jeden z uratowanych rabinów.

- A kto to wie tak naprawdę? - prawie krzyknął Lucinder. - Saudyjczycy uparli się, że zbudują gigantyczny tanatodrom niedaleko Mekki. Z usług jakich najemników mogą skorzystać, żeby się znaleźć na czele tego wyścigu? A przecież to oni są głównymi dostawcami ropy naftowej i nie możemy sobie pozwolić na luksus pokłócenia się z nimi nawet z powodu kilku drobnych problemów w dziedzinie tanatonauryki.

- Ale tu chodzi o życie i śmierć - zaprotestowała Rose.

- Przykro mi, moi mili, najpierw muszę się zająć siedmioma miliardami istnień ludzkich, które na naszej planecie mają duszę mocno połączoną z ciałem, a w szczególności sześćdziesięcioma milionami osób, z czego ponad połowa to wyborcy jeżdżący dzięki ropie naftowej samochodami, noszący ubrania z tworzyw uzyskanych z ropy naftowej, ogrzewający mieszkania ropą naftową i do tego...

- No to może byśmy znaleźli saudyjskiego emira, który zgodziłby się przyłączyć do nas? - zapytałem prosto z mostu.

- W takim razie macie wolną rękę! - oświadczył prezydent, rozkładając szeroko ramiona.

170 - TEOLOGIA KORANU

„Wywyższył Bóg gorliwie walczących swoimi dobrami i swoim życiem nad tych, którzy siedzą spokojnie, o jeden stopień. Wszystkim Bóg obiecał rzeczy piękne. Lecz Bóg wyróżnił walczących gorliwie ponad tych, którzy siedzą spokojnie, nagrodą ogromną”.¹⁷

KORAN, sura TV, 95

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznaną* Francisa Razorbaka

¹⁷ Przeł. J. Bielawski.

171 - SPRAWY SIĘ KOMPLIKUJĄ

Asasyni byli nie tylko prekursorami wojny religijnej, której nie przewidzieliśmy. Owszem, na początku naszych eksperymentów spotkaliśmy się z rywalizującymi ze sobą w gorliwości duchownymi, którzy chcieli pierwsi dotrzeć do świata umarłych, ale nigdy nie wyobrażaliśmy sobie, że konflikt ten może przybrać tak wielkie rozmiary.

Hinduści przeciwko muzułmanom, protestanci przeciwko katolikom, buddyści przeciw szintoistom, żydzi przeciw muzułmanom: u wybrzeży Ostatecznego Kontynentu ścierały się najpierw główne religie. A potem do walki przystąpiły dysydenckie odłamy i bractwa pragnące zachować odrębność: irańscy szyici przeciwko syryjskim sunnitom, dominikanie przeciw jezuitom, taoiści będący zwolennikami Laoziego przeciwko adeptom Zhuangziego, luteranie przeciwko kalwinistom, liberalni żydzi przeciw ultraortodoksom i antysyjonistom, mormoni przeciwko amiszom, Świadkowie Jehowy przeciw Adwentystom Dnia Siódmego, wyznawcy sekty Moona przeciwko scjentystom!

Nie podejrzewałem nawet, że teologia ma tak wiele niuansów. Odkrywałem, że jest tak dużo rozbieżności pomiędzy religiami, iż nie ma co liczyć na to, że wyznawcy wszystkich spotkają się pewnego dnia tam, w górze, z samego tylko pragnienia ekumenizmu.

Podczas gdy ekto plazmy zastawiały na siebie pułapki i zabijały się w imię wiary, czytałem notatki, w których Raoul spisał dokładnie wszystkie mitologie i teologie świata. Stwierdziłem, że mają wiele punktów wspólnych. Wydawało mi się, że wszystkie starały się opowiedzieć tę samą historię i przekazać tę samą wiedzę, stosując tylko różne parable i słowa.

Konflikt, który zatruwał niebiosa, już wkrótce wywołał konsekwencje tu, na ziemi. Terrorysty asasyni wysłali samochód wypełniony materiałami wybuchowymi do naszego tanatodromu. Uszliśmy cało wyłącznie dzięki nieporadności pirotechnika, który źle ustawił zapalnik w bombie, przez co wybuchła razem z nim w odległości około stu metrów od budynku.

Z typowym dla siebie spokojem Raoul wezwał wszystkich do penthouse'u. Byliśmy teraz zbyt liczni, żeby się rozsiadać na płytach grobowców na cmentarzu Père-Lachaise.

Rozłożył przed nami mapę Ostatecznego Kontynentu.

- To naturalne, że religie usiłują zawładnąć krainą umarłych, ponieważ ta, która będzie kontrolować świat duchowy, będzie także mogła zapanować nad światem materialnym.

Wyobraźcie sobie tylko, że gdyby zwyciężyli pakistańscy muzułmanie, natychmiast zablokowaliby cykl reinkarnacji indyjskich buddystów!

Stefania stała się teraz specjalistką w dziedzinie walki ekto plazmicznej. Opracowała wszelkiego rodzaju fortele, żeby chronić swoją srebrzystą pępownię.

- Nie wolno nam zapominać o możliwości przymierzy, nawet tych najbardziej nieoczekiwanych - powiedziała. - Straciliśmy dwóch bliskich nam rabinów podczas ostatniego odlotu, ale dzięki wsparciu muzułmanów Beduinów, udało nam się zabić kilkunastu zjadłych asasynów. Możemy zatem wznosić się tylko w wystarczająco licznej grupie, żeby poradzić sobie z wrogami i kontynuować poszukiwania. W końcu tylko to się liczy!

- Zamiast wyruszać w sześciu lub siedmiu, trzeba odlatywać w grupie dziesięciu albo dwudziestu ludzi. - powiedział zamyślony Raoul.

- No właśnie - podkreśliła energicznie Stefania. - Zwyciężają zawsze ci, których jest najwięcej. A dlaczego by nie odlecieć w pięćdziesięciu albo nawet w stu?

- Bardzo dobrze - zauważył Freddy - tylko że nie ma stu rabinów tanatonautów.

- A dlaczego ograniczać się tylko do rabinów? - odparłem. - Może już czas, żeby się trochę zbliżyć do siebie? Zorientowałem się na przykład, że Kabała i Yi Qing mają ze sobą wiele punktów wspólnych.

Włoszka przyklasnęła. Tam, w górze, będzie mogła pełnić rolę naszego ambasadora.

Tydzień później dwudziestu młodych azjatyckich mnichów, którzy na pierwszy rzut oka byli do siebie podobni jak dwie krople wody, zapukało do drzwi naszego tanatodromu. Przybywali z klasztoru Shaolin, miejsca, w którym od tysiącleci naucza się, że religia i walka idą ze sobą w parze. Mnisi z klasztoru Shaolin są dzięki temu uznawani za największych ekspertów kung-fu. To tam należy szukać źródeł teorii i praktyki sztuk walki. I od zawsze łączą ze sobą wojnę i medytację.

Freddy przyjął z zachwytem nowe ekto plazmiczne układy choreograficzne. Kierował teraz nie oddziałem, lecz prawdziwą eskadrą wojenną zdolną tworzyć formacje w postaci latającej fortecy.

Naszej armii nadał nazwę Niebiańskiego Przymierza, przymierza wszystkich religii dobrej woli.

172 - HISTORIA CHASYDZKA

Dziecko przyglądało się tańczącemu starcowi, który zdawał się tańczyć dla wieczności.

- Dziadku, dlaczego tańczysz w ten sposób?

- Widzisz, moje dziecko, człowiek jest jak wirujący bąk. Osiąga godność, szlachetności równowagę tylko wtedy, gdy jest w ruchu. Człowiek tworzy się, rozptywając, nigdy o tym nie zapominaj.

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

173 - WOJNY

Nie my jedni szukaliśmy sprzymierzeńców. Asasyni, którzy zdawali się nienawidzić nas osobiście, także znaleźli zaskakujących współników. Nazwali swoją armię Koalicją i zgromadzili siły na tanatodromie, który powstał w samym sercu ich dawnej twierdzy Alamut. Na początek związali się z mnichami sintoistami ze świątyni Yasukuni.

Tam właśnie, w świętym miejscu położonym niedaleko Tokio, oddawana jest cześć duszom 2 464 151 wojowników, którzy zginęli we wszystkich wojnach, jakie stoczyła cesarska Japonia.

Tak czy inaczej kiedy liberalni rabini wraz z mnichami z Shaolin rozpoczęli walkę z muftymi asasynami wspieranymi przez mnichów Yasukuni, konflikt w poważnym stopniu spowolnił proces eksploracji Ostatecznego Kontynentu. Stoczone zostały ciężkie bitwy, na przykład 15 maja, gdy dwustu żołnierzy Przymierza starło się z sześciuset wojownikami Koalicji. Freddy, ten pokojowo nastawiony Freddy, wymyślił przy tej okazji coś, co bez wątplenia należałoby nazwać pierwszą strategią walki ekto plazmicznej.

Wysłał niewielką grupę złożoną z taoistów i rabinów jako zwiad, podczas gdy główne siły przyczały się za pierwszą barierą komatyczną, stawiając opór bańkom wspomnień. Walka na obrzeżach korony była tak zażarta, że koalicjanci zapomnieli o istnieniu Moch 1. Z chwilą gdy sprzymierzeni przedostali się tam, wyruszyli za nimi w pościg, trzymając się nawzajem za pępowiny, żeby skuteczniej się chronić. Nieprzyjemne spotkanie zupełnie się rozminęło z tym, czego się spodziewali. Zostali bowiem osaczeni nie przez siły

sprzymierzonych, lecz przez bańki wspomnień.

Nasi ludzie wykorzystali moment zaskoczenia, żeby możliwie jak najszybciej przerwać jak największą liczbę pępowin. Trzystu koalicjantów, z asasynami na czele, pomknęło tego dnia w stronę światła.

Po stronie sprzymierzonych straty wyniosły około stu, których należało mimo wszystko uznać za „zabitych”.

Freddy stwierdził, że zwycięstwo zostało odniesione stosunkowo łatwo dlatego, że przeszłość rabinów i ludzi z Shaolin była bez wątpienia znacznie bardziej przejrzysta niż przeszłość asasynów. W przeciwieństwie do tych ostatnich nie zachęcali bowiem do dokonywania rzezi w Libanie, nie przeprowadzali wszelkiego rodzaju zamachów terrorystycznych. Nie musieli się zatem wystrzegać jednocześnie swoich dawnych ofiar i obecnych przeciwników.

Paradoksalnie wojny ektoplazmiczne nobilitowały podbój zaświatów. Na całym świecie nastąpił wzrost zainteresowania religią, chociaż w tym samym czasie można było niestety zaobserwować wzrost liczby fanatyków. Niektóre sekty starały się nawet wykorzystać tę okazję, żeby stać się uznaną religią. Wystarczył jeden oddział, by poważnie zagrozić przedstawicielom istniejącej już i mocno osadzonej w świecie religii. Na szczęście ludzie wyruszali nago na Ostateczny Kontynent. Nie mieli możliwości zabrania ze sobą broni, karabinów maszynowych, strzelb czy choćby sztyletów. Inaczej bowiem, zważywszy na zaciętość walczących, doprowadziłoby to do masakry duchownych.

Nie mając do dyspozycji zdjęć ani filmów, gazety początkowo niewiele miejsca poświęcały wojnom ektoplazmicznym. Ale redaktorzy „Małego Tanatonauty Ilustrowanego”, pozostający zawsze w czołówce mediów zajmujących się tymi kwestiami, wpadli na pomysł, żeby wysłać swojego reportera, Maxime'a Villaina. Jako były trapista, który przez długi czas zachowywał całkowite milczenie, ten dziennikarz wyrobił sobie niezwykłą wprost pamięć wizualną. O ile niektórzy ludzie są nadawcami, o tyle on, szalenie oszczędny w słowach, stał się niejako odbiornikiem. Wychwytywał wszystko i odtwarzał to następnie swoim czytelnikom. Z myślą o nich właśnie ten pierwszy ektoplazmiczny reporter przedstawił kilka obrazów z potwornych walk, jakie toczyły się w zaświatach. Wreszcie jakaś czysta wojna, która w niczym nie zagraża zwykłemu obywatelowi. Siedząc wygodnie w fotelu, spokojni amatorzy pasjonowali się niewidzialnym konfliktem.

Potrzebna jednak była przy tym wszystkim coraz większa liczba chętnych. W tanatodromie w Buttes-Chaumont musieliśmy opuścić nasze mieszkania, żeby wygospodarować przestrzeń na dodatkowe miejsca startowe. Co najmniej pięćdziesięciu

wiernych z Przymierza miało teraz odlatywać w tym samym czasie, jeśli chcieliśmy pokonać przeciwnika.

Budynek przeobraził się w istną wieżę Babel. Wszędzie słychać było ludzi mówiących w różnych językach, często niezrozumiałych dla innych, ale wszyscy byli zjednoczeni tą samą wolą zdobycia zaświatów, a przedstawiciele różnych wyznań doskonale ze sobą współpracowali, wymieniając się wiedzą na temat różnych technik medytacji i odprawiania modłów.

Z każdym dniem Przymierze stawało się coraz bardziej zróżnicowane. Do liberalnych rabinów, mnichów taoistów i buddyjskich mędrców dołączyli animiści marabuci z Wybrzeża Kości Słoniowej, tureccy muftowie, mnisi sintoiści z wyspy Hokkaido (tradycyjnie wrogo nastawieni do sintoistów ze świątyni Yasukuni), greccy wirujący derwisze, a nawet trzej szamani inuici, sześć aborygeńskich szamanek z Australii, ośmiu czarowników Buszmenów, filipiński uzdrowiciel, Pigmej, którego wierzeń nigdy nie zrozumieliśmy, oraz mędrzec z plemienia Czejenów. Nasza armia liczyła dzięki temu ponad dwustu pobożnych żołnierzy będących żywym dowodem na to, że możliwa jest idealna harmonia między wszystkimi istniejącymi na ziemi religiami.

Spokojny nastrój panował w penthousie, miejscu spotkań całej naszej małej społeczności. Daleko od rygorystycznych zasad panujących w klasztorach, nasi wierni robili sobie nawzajem sztubackie żarty. Jeśli o mnie chodzi, starałem się do tego dopasować i zadałem im zagadkę:

- Czy wiecie, jak można narysować okrąg i punkt w środku, nie odrywając pióra?

Mnisi i rabini zainteresowali się żywo tym wyzwaniem rzuconym zdrowemu rozsądkowi.

- To niemożliwe! - oświadczyli w końcu.

- Ani bardziej, ani mniej niż tanatonautyka - odpowiedziałem spokojnie, zanim pokazałem im rozwiązanie.

Za plecami usłyszałem Raoula, który zawsze był do przodu o jedną zagadkę. Tym razem mówił do uważnie go słuchających zebranych o szaradzie, jaką wymyślił Wiktor Hugo:

- Mój pierwszy to pół baby. Mój drugi to samowar bez Sama. Mój trzeci to kapusta, choć wcale nie pusta, a wszystko razem to napój.

Można było nad tym podyskutować. Zwłaszcza że rozwiązanie wydawało się proste. Podczas gdy Freddy grał Gershwiną na fortepianie, a Amandine przygotowywała wyszukane koktajle, zastanawiałem się nad rozwiązaniem: „Mój pierwszy to pół baby?... Jakiej baby?... Mój drugi to samowar... Co ma samowar do baby?... I jeszcze ta kapusta... Pusta baba w

samowarze? Herbata?".

174 - MITOLOGIA ISLAMU

Według tradycji islamu Raj jest olbrzymi i składa się z ośmiu cylindrycznych kręgów. Nawadniany przez cztery rzeki jest miejscem rozkoszy. Tu odpoczywają czterej pierwsi kalifowie, dziesięciu pierwszych ludzi, których Prorok nawrócił na islam, oraz córka Proroka, Fatima. Wszyscy mieszkają w siedemdziesięciu domach pokrytych złotem i drogocennymi kamieniami. W każdym z domów jest siedemset łóżek zajętych przez siedemset hurys. Siedem zwierząt dostało się do Raju: wielbłąd Eliego, baranek Abrahama, wieloryb Jonasza, klacz Boraka, mrówka i dudek Salomona, pies Siedmiu Śpiących.

Prorok zapewnia wszystkim gościom najróżniejsze rozkosze, a są one zawsze nieskończenie zmysłowe.

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

175 - BITWA O RAJ

Ekumeniczna przyjazna atmosfera panująca w tanatodromie nie przesłaniała nam faktu, że w tym samym czasie toczą się ciężkie walki, które dopiero się właściwie rozpoczęły.

Przymierze i Koalicja wydały sobie bezlitosną wojnę. Każdego dnia nasi tanatonauci budzili się mokrzy od potu, wstrząsani drgawkami, zapowiadając tym samym kolejne straty. Freddy Meyer, nasz rabin choreograf wyznaczony na głównodowodzącego sił zbrojnych, postanowił, że czas już rozpocząć wielką ofensywę. Słynna „bitwa o Raj” miała miejsce w roku 2065 naszej ery. Raoul, Rose, Amandine i ja śledziliśmy jej przebieg najlepiej, jak potrafiliśmy, za pomocą anteny satelitarnej, ale mogliśmy jedynie stwierdzić ogromne poruszenie wśród dusz. Maxime Villain w swojej gazecie przedstawił później dosyć wierną relację, którą przytaczamy poniżej:

BITWA O RAJ

W mgle, jaką tworzą umierające gwiazdy, gęstniejącej wokół ziejącego otworu czarnej dziury, którą nazywamy Rajem, widzę posuwającą się do przodu armię rabina Freddy'ego Meyera, potężną siłą uprzejmych mnichów, spokojnych buddystów, niezwykle czarowników z plemienia Czejenów i radosnych afrykańskich marabutów animistów. Ich oddziały są zwarte. Legiony sprzymierzonych zwały szeregi ektooplazm, aby stawić czoło najbardziej niezwykłym przeciwnikom.

Oddziały Koalicji pojawiają się kilka minut później. W pierwszej linii unoszą się mnisi sintoiści podobni do groźnych bombowców gotowych zdziesiątkować pępowiny. Przyjąwszy postawę karateków, wymachują dłońmi niczym niezwyciężoną kosą. Tuż za nimi na obu skrzydłach śmieją się asasyni, gdy w tym samym czasie dominikanie odmawiają modlitwę.

W niebie aż roi się od dusz. Z obu stron przybywają z odsieczą wszyscy tanatonauci tego świata. Z jednej strony blisko tysiąc dwustu rabinów, animistów, buddystów, są też wśród nich kabaliści i taoiści. Po drugiej stronie dwa tysiące trzystu mnichów sintoistów, szamani, asasyni i dominikanie.

Stojący na czele Przymierza rabin Meyer przekazuje telepatycznie rozkazy swoim oddziałom. U Koalicjantów generał Shiku, znamienity japoński strateg, wydaje polecenia tą samą drogą. Zauważmy, że od dnia klęski 15 maja ich dusze nauczyły się panować nad najbardziej przykrymi wspomnieniami po to, żeby nie paść natychmiast ich ofiarą już w czarnej strefie.

Tym razem postanowili pozostać poza Rajem, żeby skuteczniej kontrolować przemarsz wrogich pępowin. Sprzymierzeni zaś zajęli pozycje u wrót, plecami do światła, które - jak wierzą - przyciągnie i oślepi ich przeciwników.

Shiku i Starzec z Gór dają sygnał do rozpoczęcia natarcia, chwytając w dłoń pępowinę. Asasyni atakują skrzydło, którego bronią głównie czarownicy animiści i Czejeni. Liberalni rabini przychodzą im z pomocą, ale są powstrzymywani przez mnichów sintoistów, którzy kantem dłoni przecinają ich pępowiny, tak jakby były to wystające w ogrodzie łodygi. Mnisi taoiści i dominikanie włączają się w wir walki.

Wydaje się, że wszelka strategia znikła. To już tylko gigantyczny tłum splecionych ze sobą ciał walczących między gwiazdami. Zewsząd nadciągają zmarłe tego dnia osoby i oddalają się, nie okazując nadmiernego zdziwienia na widok dusz, które tak zaciekle ścierają się ze sobą na obrzeżach Raju.

Sprzymierzeni stwierdzają w pewnym momencie, że ze względu na szczupłość sił zaczynają ustępować pola przeciwnikowi. Kierują więc natarcie w stronę pierwszej bariery komatycznej. Obawiając się, że znowu zastosują taktykę z 15 maja, Shiku wzywa swoje

oddziały do podjęcia pościgu.

Na coraz bardziej stromych występach skalnych drugiego świata pobożni wojownicy toczą walkę nie tylko ze sobą, ale też ze swoimi najbardziej przerażającymi wspomnieniami. Dusze drętwieją w miejscu, w którym unosi się zapach ziemi i śmierci. Wiele pępowin zostało odciętych, a ektoplazmy zabitych wojowników lecą w stronę światła. Trzej asasyni osaczają liberalnego rabina, który usiłuje im się wymknąć, wykonując żydowski taniec. Dzięki skokom w stylu kung-fu mnichowi taoiście udaje się przeciąć jednym ruchem sześć dominikańskich pępowin. Mohikanin walczy samotnie z grupą Irokezów. Wyznawcy sekty Moona w zwartej grupie stawiają opór scjentyzom. Sekty, jak się wydaje, za wszelką cenę chcą się rozprawić ze sobą. Tworzą się też zaskakujące przymierza. Afrykański marabut ratuje indonezyjskiego szamana, więźnia rzymskokatolickiego egzorcysty, który zastanawia się, co właściwie tutaj robi. Grupa mnichów zen zgubiła się na drodze nad urwiskiem. A teraz rozpoczęła się wspaniała szarża indyjskich guru, mocno przylegających do siebie w pozycji kwiatu lotosu, na wirujących derwiszów kręcących się jak bąki.

Im z kolei udało się wypracować wirującą linię defensywną, za którą mogli się schronić najbardziej wycieńczeni wojownicy. Horda jezuitów naciera na grupę szyickich ajatollahów, jednak po chwili jezuitów atakują asasyni. To, że wyszli z tego cało, zawdzięczają tylko oddziałowi druzów i niewielkiej grupie alawitów.

Tak, stało się, ostatni Mohikanin padł. Czejeni chcą go pomścić. Kontratakują wirujący derwisze wspierani przez marabutów. Mnisi zen przegrupowali się, tworząc teraz trójkąt, żeby uniemożliwić indonezyjskim szamanom przybycie z pomocą nieortodoksyjnym żydom.

Pępowiny strzelają niczym kauczukowe gumy. Przeciwnicy gryzą się, ciągną za pępowiny. Zęby wbite w nogę i zęby wbite w pępowinę. Światło dochodzące z głębi tunelu rzuca na te pojedynki białą poświatę. Twarze wyrażające przerażenie lub wściekłość bledną jak w świetle neonów. W oddali dostrzegam grupy związane pępowinami, które starają się wykonać skomplikowane i często skazane na niepowodzenie manewry. Żadnej litości. Żadnego miłosierdzia. To walka na śmierć i życie.

Sprzymierzeni wydawali się początkowo bliżsi zwycięstwa, lecz teraz coraz bardziej góruje nad nimi gniew przeciwników. To w ich obozie zostało odciętych najwięcej pępowin.

Rabin Meyer daje telepatycznie sygnał do odwrotu i spieszy teraz w stronę drugiej bariery komatycznej. Generał Shiku jest na czele, a koalicjanci podążają za nim. Kiedy jednak już przekroczyli Moch 2, odkrywają czerwone terytorium rozkoszy i przyjemności. Po bolesnych wspomnieniach wierni muszą teraz stawić czoło swoim fantazjom seksualnym.

Cóż za tytaniczna walka, w której przezroczyści mnisi próbują przecinać sobie nawzajem srebrzyste pępowiny, odpychając przy tym od siebie najbardziej wyparte pragnienia!

Nie wiadomo już, gdzie kończy się okropność, a zaczyna orgia. Dominikanie i asasyni są najmocniej przejęci seksualnymi wizjami, które zewsząd ich osaczają. Byli zapewne mocniej sfrustrowani od żydów i buddystów, gdyż ich szeregi są zdziesiątkowane, podczas gdy sprzymierzeni, którym religia pozwala mieć żony i kochać się bez żadnych tabu, stawiają skuteczny opór.

Zmagając się z poczynającą sobie śmiało gejszą, która za wszelką cenę chce trochę pogrzebać pod jego pępownią, generał Shiku i Starzec z Gór rzucają się do ucieczki, a za nimi ruszają niedobitki ekto plazmicznych wojowników.

Do kogo należy zwycięstwo w tej bitwie o Raj? Z całą pewnością zwyciężyły erotyczne wizje!

Maxime VILLAIN

176 - MITOLOGIA AZTECKA

Aztekowie byli przekonani, że ludzka krew składana w ofierze dostarcza energii niezbędnej dla prawidłowego funkcjonowania kosmosu, ruchu planet i zmian pór roku. Ofiary z rozciętą przez kapłanów klatką piersiową, z wnętrzościami wyciągniętymi na wierzch sztyletem z obsydianu, dołączały do bogów, w których imię ginęły, gdyż kiedyś już bogowie ci złożyli siebie w ofierze, żeby ratować świat. Śmierć ludzi była zatem tym, co napędzało wszechświat. Wojna była jedynie sposobem na znalezienie paliwa, to znaczy jeńców, którzy mieli zostać złożeni w ofierze. Każdy godził się chętnie z tym przeznaczeniem, do którego przygotowywano wszystkich azteckich wojowników.

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznaną* Francisa Razorbaka

177 - EKUMENIZM

Bitwa o Raj zasiała chaos wśród walecznych zdobywców zaświatów. Tak wielu sług Bożych zginęło na próżno... Umęczeni dominikanie zadawali sobie pytanie, jak mogli dać się

przekonać fanatycznym asasynom i sprzymierzyć się z nimi. Z pogardą odnosili się do niewielu ocalałych z tej sekty, którzy schronili się w twierdzy w górach, i nadal drżeli na wspomnienie krwawych czynów popełnionych u ich boku. Czyżby narazili się na papieskie gromy tylko po to, żeby zasłużyć teraz na ogień piekielny?

Przybyli więc z delegacją do tanatodromu w Buttes-Chaumont, szepcząc modlitwy i prosząc gorąco o wybaczenie.

Z całą pewnością nie poprzez kolejne wojny uda się nam przeniknąć tajemnicę Ostatecznego Kontynentu. Wierni wszystkich wyznań zrozumieli to. Bitwa o Raj okazała się historycznym punktem zwrotnym w ich stosunkach. Po epoce gwałtownych konfliktów nastął czas powszechnego zrozumienia.

Stając przed wielobarwnym tłumem zgromadzonym w naszym penthousie, Raoul zabrał głos:

- Wierzcie mi, wszystkie religie są dobre. Złe są tylko intencje niektórych ludzi podających się za jedynych depozytariuszy prawdziwej wiary. Zaratustrianie, alawici, chrześcijanie, prawosławni, muzułmanie, żydzi, protestanci, sintoiści, taoiści, szamani, czarownicy, uzdrowiacze, marabuci, a nawet członkowie sekt, wszystkie wasze religie miały w pewnym momencie dostęp do wielkiej wspólnej wiedzy. Do niezwykłej wprost wiedzy. Do wielkiej tajemnicy śmierci. Wspólnie zjednoczymy wysiłki, żeby tę tajemnicę przeniknąć, gdyż ona właśnie kryje tajemnicę życia. Razem odkrywamy, jaka jest przyczyna naszej obecności na ziemi i jaka powinna być na niej nasza postawa. Religie są tylko poszukiwaniem właściwej recepty na ludzką egzystencję.

Mnisi, czarownicy, rabini i wszyscy pozostali zebrani przyjęli te słowa owacjami.

Pewien japoński mnich zen wyjaśnił, że dawno, dawno temu, w zamierzchłych czasach, istniała tylko jedna religia, nie było też wielu dialektów, lecz tylko jeden język. Nie było różnych systemów filozoficznych, odmiennych kultur, różnych mądrości, a tylko jedna, do tego prawdziwa. Ale ludzie o tym zapomnieli. Używając niezrozumiałych dla innych języków, opisywali tę samą dawną wiedzę, która utraciła swój pierwotny sens w wyniku kolejnych interpretacji. W taki oto sposób zrodziły się antagonizmy. A wszelkie nieporozumienia wynikały wyłącznie z rozbieżności.

Uściski dłoni. Wszyscy padają sobie w objęcia. Światowe ekumeniczne porozumienie zostaje podpisane w Buttes-Chaumont i ustanawia się dwa pierwsze tanatonautyczne przykazania:

Artykuł 1: Raj nie należy do żadnego narodu ani do żadnego określonego wyznania.

Artykuł 2: Raj otwarty jest dla wszystkich i nikt nie ma prawa zakazywać do niego

dostępu.

Wraz z pierwszymi przepisami prawno-religijnymi dobiegł końca czas anarchii. Od tej pory podróże do Raju będą podlegały odpowiednim regulacjom. Nikt nie będzie mógł sobie pozwolić na to, żeby robić tam, co chce, tłumacząc się, że nie istnieje żadna kontrola.

Porozumienia z Buttes-Chaumont wytworzyły nowy klimat porozumienia między religiami.

Generał Shiku nauczył rabina Freddy'ego Meyera rytuału parzenia herbaty. Nie obraził się też, gdy Alzacyjny chciał ją wypić, wrzuciwszy do niej cytrynę.

Teraz, kiedy nasz tanatodrom stał się miejscem spotkań duchownych z całego świata, urządziliśmy z myślą o nich salę w podziemiach. W przeciwieństwie do jasnego, pełnego światła penthouse'u miejsce to było pogrążone w mroku, pełno w nim było relikwii, sztychów i przeróżnych amuletów. Mnisi, imamowie i czarownicy będący przejazdem w Paryżu lubili się tam spotykać, żeby pomodlić się lub porozmawiać. To czego żaden konflikt na ziemi nie był w stanie narzucić, udało się dzięki jednej zaledwie bitwie o Raj. Wszystkie religie postanowiły współpracować, aby iść do przodu szybciej i dalej. Aż na sam koniec kontynentu umarłych!

178 - MITOLOGIA CHRZEŚCIJAŃSKA

*„Czy w ciele? nie wiem,
Czy poza ciałem - też nie wiem, Bóg to wie.
Został porwany aż do trzeciego nieba...”*

Drugi List do Koryntian, XII, 2

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

179 - PODRĘCZNIK DO HISTORII

KILKA DAT, KTÓRE NALEŻY ZAPAMIĘTAĆ

14 maja 2065: bitwa o Raj

18 czerwca 2065: porozumienie z Buttes-Chaumont

20 czerwca 2065: pierwsze edykty tanatonautyczne

Podręcznik szkolny, kurs podstawowy, 2. rok

180 - MOCH 4

Freddy, trochę zawiany po zbyt hucznym świętowaniu porozumień z Buttes-Chaumont, opowiedział nam w barwny sposób swoją historię.

Jako uczeń szkoły baletowej chciał kiedyś stać się jeśli nie słynnym tancerzem, to przynajmniej choreografem. Lubił także wszystkie dyscypliny sportowe związane z powietrzem. Arabeski, piruety, wrażenie, że człowiek wznosi się do nieba, wszystko to szalenie mu się podobało. Jednak pewnego dnia, kiedy leciał na lotni, pękły dolne pasy bezpieczeństwa. Dwa pasy na ramionach nie wystarczyły, żeby go utrzymać, a lotnia, która nie była wyposażona w spadochron, zaczęła spadać na ziemię. W dole ujrzał rozległą równinę i jedno drzewo. Rosnące samotnie drzewo. Spadanie trwało zaledwie kilka sekund, ale Freddy miał czas na to, by pomodlić się i przysiąc, że jeśli wyjdzie z tego cało, poświęci się całkowicie religii. Na przykład żydowskiej.

Wylądował na drzewie, ale w taki sposób, że chociaż nie zginął, gałęzie wykuły mu oczy. Był uratowany, lecz od tej pory nie widział. Dotrzymał jednak złożonej obietnicy. Nie był Żydem, ale udało mu się dostać do jesziwy w Strasburgu i na szczęście okazało się, że jego nauczyciel jest lamedwownikiem. Pewnego dnia przysiągł sobie, że on także stanie się lamedwownikiem.

A kim jest lamedwownik?

Człowiekiem, który z czystego współczucia dla ludzi żyjących na świecie postanawia wejść w kolejne wcielenie, chociaż wypełniwszy wcześniej swoją misję, miał możliwość wydostania się z gilgulim, piekielnego cyklu powrotów do życia.

Lamedwownicy byli tajemnymi mędrkami w religii żydowskiej. Ich dobroć i miłosierdzie przyczyniały się do tego, by świat stawał się lepszy. Wiedzieli o poprzednich życiach, potrafili walczyć z ignorancją i obce im były osobiste ambicje.

Stefania zauważyła, że podobne postacie istnieją też w tybetańskim buddyzmie. Nazywa się ich bodhisattwami i oni również z własnej woli powracają do ziemskiego życia, chociaż są już wyzwoleni z cyklu reinkarnacji. Nie ma większego aktu miłosierdzia niż

powrót na ziemię z czystej miłości dla pozostałych ludzi przykutych do koła karmy.

- We wszystkich religiach muszą istnieć mędracy, którzy decydują się na powrót pomimo bolesnych doświadczeń, jakich doznali w kolejnych wcieleniach - powiedział Freddy. - U nas tradycja chasydzka określa ich mianem lamed wow, co odpowiada liczbie trzydzieści sześć. W każdym pokoleniu ta garstka sprawiedliwych poświęca się w tajemnicy, żeby ratować ludzkość. Nienawidzą pychy i nie szukają poklasku. Otacza się czią ich siłę psychiczną oraz wiedzę na temat życia i śmierci. Czasami myślę sobie, że być może Jezus Chrystus był również lamedwownikiem.

Wieczne libacje, do których zachęcała Amandine czuwająca nad tym, żeby szklanka wielkiego tanatonaudy nie była nigdy pusta, w niczym nie przeszkadzały Freddy'emu w pracy. Nadal wymyślał nowe podniebne choreografie. Wyobraził sobie ekto plazmiczną wieżę Eiffla, składającą się z kilku kręgów dusz ułożonych spiralnie jeden na drugim. Wszystkie srebrzyste pepowiny miały być powiązane ze sobą i umieszczone w środku konstrukcji tak, żeby wszyscy chronili wszystkich.

Na znak pojednania rabin powierzył opiekę nad szczytem swojemu dawnemu przeciwnikowi, Starcowi z Gór, gdy ten zjawił się u nas któregoś wieczoru, zmieszany i skruszony, mając teraz tak niewielu adeptów, że można ich było zliczyć na palcach jednej ręki. Dawny przywódca asasynów zgodził się z wdzięcznością. Wiedział, że w ten sposób będzie pierwszym, który przekroczy czwartą barierę komatyczną!

Nasz mistyczny balet wystartował w dniu 21 lipca. Bez żadnych problemów uczestnicy lotu pokonali pierwszą, drugą, trzecią, a nawet czwartą barierę komatyczną. Zobaczyli, co się za nią znajduje, i opowiedzieli nam o tym. Kiedy wrócili, Raoul zajął się natychmiast zaktualizowaniem mapy Ostatecznego Kontynentu.

Pomarańczowe terytorium kończy się na Moch 4. Prowadzi do:

TERYTORIUM 5

- Lokalizacja: koma plus 42 minuty.

- Kolor: żółty.

- Doznania: pasja, siła, a nawet wszechmoc. Tutaj wszystkie niewyjaśnione dotąd tajemnice mają swoje rozwiązanie. Muzułmanie tak właśnie wyobrażają sobie prawdziwy ogród Allaha. Katolicy odnajdują w nim pierwotny Raj. Żydzi odkrywają tajemnice Kabały. Jogini odnajdują znaczenie czakramów i widzą, jak pojawia się trzecie oko. Taoiści odnajdują drogę do Tao w czystej postaci.

Żółta strefa jest krainą absolutnego poznania. Wszystko co wydawało się dotąd niezrozumiałe, znajduje tutaj swoją rację bytu. Sens życia objawia się tu w całej pełni, od nieskończenie wielkiego do nieskończenie małego.

Żółte terytorium kończy się na Moch 5.

Niektórzy wierni byli tak bardzo oszołomieni objawionymi im w złotej krainie tajemnicami, że chcieli tam nawet pozostać, ale pępowiny były tak mocno splecione, że nie byli w stanie odłączyć się od współtowarzyszy.

Wszyscy powrócili więc zdrowi i cali. Otworzono szampana. Zaproszono dziennikarzy, by poinformować ludzi o tym, że powszechny ekumenizm umożliwił postawienie kolejnego kroku w odkrywaniu Raju i w samym procesie poznania.

181 - FILOZOFIA SUFICKA

*„Jestem unicestwiony i cząsteczki mego ciała rozrzucono
Na niebie, które jest moją pierwotną ojczyzną
Wszystkie są pijane, radosne, zakochane w
Winie Niewidzialnego, lękając się więzienia, którym jestem ja sam*

*Czas skrócił ten hulaśliwy żywot
Wilk unicestwienia rozszarpie na strzępy to stado
W umyśle każdego człowieka panuje pycha, a jednak
Ciosy przez śmierć zadawane sprawią, że schylą się dumne głowy”.*

Dżalal ad-Din Rumi, „Rubajjaty”, XIII wiek

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

182 - MOCH 5

W szczytowym okresie z tanatodromu w Buttes-Chaumont startowało równocześnie blisko stu dwudziestu duchownych wszystkich wyznań. Łączyli się następnie ze sobą na żółtym terytorium, żeby podjąć próbę przekroczenia bariery Moch 5.

- Sześć... pięć... cztery... trzy... dwa... jeden. Start! Pierwsze piętro. Start trzydziestu mnichów stanowiących szczyt układu choreograficznego.

- Sześć... pięć... cztery... trzy... dwa... jeden. Start! Drugie piętro, które ma ich podtrzymywać. - Sześć... pięć... cztery... trzy... dwa... jeden. Start! Trzecie piętro, kolejna podpora.

- Sześć... pięć... cztery... trzy... dwa... jeden. Start! Fundamenty budowli.

Na górze wszyscy czekali na siebie na skraju korony Raju, a potem splatali pępowiny zgodnie z układami wymyślonymi przez Freddy'ego. Pewien specjalista od węzłów marynarskich dołączył do świętych ludzi, żeby pomóc im w tworzeniu mocnych splotów, łatwych do wiązania i rozwiązywania. Instruktor spadochroniarstwa udzielił też paru rad, żeby wszyscy mogli pozostać razem przez jak najdłuższy czas zgodnie z techniką swobodnego spadania.

Połączeni niczym w długiej procesji tanatonauci pokonywali najpierw kolejne bariery. Zmarli oczekujący w pomarańczowej strefie pozdrawiali ich, gdy ich wymijali, ponieważ przyzwyczaili się już do nich, traktując to przy okazji jako rozrywkę. Tłumaczyli też nowo przybyłym, że nie ma czego się obawiać ze strony tej grupy, która wyprzedza wszystkich, nie zrywając przy tym pępowin.

W taki oto sposób mistyczna karawana w sile stu dwudziestu tanatonautów po dotarciu, a następnie po przekroczeniu Moch 5 znalazła się na szóstym terytorium. Po powrocie jednak wydawali się bardziej może rozczarowani aniżeli podnieceni. Wcale nie wyglądali na szczęśliwych, że udało im się razem dokonać tak wielkiego postępu. Wręcz przeciwnie, ich przyjaźń, a przy okazji również ideę ekumenizmu dotknął bolesny cios.

Chętnie jednak zgodzili się odpowiedzieć na wszystkie nasze pytania.

Zaraz za żółtym terytorium - powiedzieli - pojawia się terytorium zielone. Zielone jak roślinność, jak liście na drzewach. Są tam również przepiękne kwiaty, cudowne rośliny zwieńczone wielobarwnymi gwiazdami. Zielona kraina, kraina absolutnego piękna.

- No więc na czym polega trudność? - zapytał Raoul.

- Ano właśnie, tam jest zbyt pięknie. Zielona strefa jest tak piękna, że nie można tego znieść - wyszeptał rabin.

- To wspaniałe - potwierdził jego słowa jakby wbrew sobie buddyjski mnich.

Już nic z tego nie rozumiałem. W jaki sposób absolutne piękno może być przykrym doznaniem? Freddy wyjaśnił:

- Jest tam tak cudownie, że traci się wszelką ochotę bycia istotą ludzką i pragnie się już tylko zostać kwiatem o przepięknie pachnącym kielichu. Człowiek zaczyna nienawidzić siebie, widząc tak niespotykany przepych. Chciałoby się połączyć z tą niezwykłą roślinnością i nie istnieć już w żadnej innej postaci. Owszem, konfrontacja z absolutną wiedzą jest ogromnym wyzwaniem, ale zetknięcie z najbardziej idealnym pięknem stanowi dla człowieka jeszcze trudniejszą próbę.

Niewidomy rabin sprawiał tym razem wrażenie naprawdę zagubionego. Siadł do fortepianu i zagrał kilka smutnych taktów sonaty Szopena.

- Ma rację - powiedziała spokojnie Stefania. - Kiedy zetkniesz się z pięknem w czystej postaci po tym, jak dostąpiłeś wiedzy, wtedy nie masz już zupełnie ochoty wracać na ziemię. Z trudem przyszło nam się z tym pogodzić. Na szczęście nasze pępowiny znów były mocno związane!

Raoul, Amandine, Rose i ja nadal jednak nie potrafiliśmy zrozumieć, w czym wizja piękna mogła być tak dalece bolesnym doświadczeniem, ale uzupełniliśmy, rzecz jasna, mapę Ostatecznego Kontynentu, przesuwając jeszcze dalej napis *Terra incognita*.

TERYTORIUM 6

- Lokalizacja: koma plus 47 minut.

- Kolor: zielony.

- Doznania: niezwykle piękno, ale także odrzucenie samego siebie i własnej brzydoty.

Obraz piękna jest okrutnym doświadczeniem.

Kończy się na Moch 6.

Zielona kraina miała więc dla wiernych gorzki posmak. Nie byli przygotowani na taką dawkę piękna. Najpierw jedni, potem drudzy, tłumacząc się takimi czy innymi obowiązkami, zostawili nas samych. Chcieli wszystkie te cudowności zatrzymać dla własnej parafii. Nie było już mowy o tym, żeby wypowiedzieć komukolwiek wojnę, jak za czasów asasynów, ale

czas ekumenizmu minął i teraz obowiązywało raczej hasło: każdy sobie rzepkę skrobie. Wyścig się rozpoczął i niech zwycięży najlepszy!

Tylko Freddy i jego trzech uczniowie, którzy przeżyli wojny ektoplazmiczne, byli nam wierni i zdecydowali się pozostać z nami. Trzeba też powiedzieć, że dzięki sile uporu Amandine udało się zauroczyć starego ślepego mędrca. Para nie ukrywała swojej idylli. A pozostali strasburczycy tak się już przyzwyczaili do paryskiego życia, że nie mieli ochoty wracać do jesziwy, tym bardziej bez swojego mistrza.

Odloty podjęte zostały w chaotyczny sposób. Każde z wyznań liczyło na swoich zawodników. Każdy chciał być pierwszym, który odkryje „Boga” zaraz po przekroczeniu bariery piękna. Dla wielu wydawało się czymś oczywistym, że w głębi najpierw niebieskiego, potem czarnego, czerwonego, pomarańczowego, żółtego i w końcu zielonego tunelu może być jedynie „Bóg”. Piękno było ostatnią przystanią, ostateczną granicą dzielącą od Raju.

Kogóż miał tam spotkać człowiek, kiedy już stał się ze wspomnieniami, doszedł do kresu lęku, zniechęciła go rozkosz, znużyło wyczekiwanie, przepełniła absolutna wiedza, przeraziło idealne piękno, jeśli nie Wielkiego Architekta Wszechświata?

Na swoich tanatodromach mnisi, czarownicy, imamowie, księża i rabini wyciągali ręce w jego stronę.

Kto dotrze do niego pierwszy?

183 - PODRĘCZNIK SZKOLNY

NAUCZMY SIĘ SZANOWAĆ ZMARŁYCH

Nigdy nie wolno mówić o zmarłych źle. Zwłaszcza o tych, którzy niedawno odeszli. Mogą oni bowiem nadal być aktywni na naszym świecie. Umarli, którzy stoją w kolejce w pomarańczowej krainie, nie są bezczynni. Dyskretnie obserwują żyjących. Starają się komunikować z istotami, które kochali na ziemi. Jeśli wysyła się fale przyjazne dla drogiego nieobecnego, jego dusza może przybyć i wspierać nas w działaniach. Jeśli jednak odczuwamy do niego tylko pretensje, jego dusza nie może nam pomóc.

Tam, w górze, w pomarańczowej krainie, kiedy zmarły poddawany jest próbie ciepłości, stara się nawiązać kontakt z tymi wszystkimi, których kochał i którzy go kochali. Tym się właśnie zajmuje. Ta komunikacja może się udać wyłącznie wtedy, gdy żywa istota odczuwa nadal miłość do zmarłego. Widzimy czasem, że zmarły oddziałuje na ukochaną istotę tak mocno, że i ona umiera. Mówi się wówczas, że ktoś „umarł z żalu”. Nie jest to

zresztą wcale czymś złym. Dusze dwojga zakochanych mogą się dzięki temu połączyć i razem czekać w długiej kolejce w pomarańczowej krainie.

Podręcznik do wychowania obywatelskiego, kurs podstawowy, 2. rok

184 - KONKURENCYJNE TRAJEKTORIE

Faza pod nazwą „niech w tym sprincie zwycięża najlepszy” okazała się średnio interesująca. Ponieważ tanatonauci wyruszali teraz najczęściej sami lub w niewielkich grupach, nie mając wsparcia w postaci piramidy, co pomogłoby im oprzeć się urokom poznania czy idealnemu pięknu, wielu z nich z własnej woli odcinało pępowinę, żeby pozostać tam, w górze.

Dominikanie - być może ze względu na popełnione w przeszłości błędy teraz najbardziej świadomi - pierwsi dotarli do Moch 6, wykorzystując przy tym jedną z figur, których nauczył ich Freddy. Mimo to nie udało im się pokonać tej bariery.

Tak samo sprawy potoczyły się z naszą ekipą.

Z czasem publiczność zaczęła okazywać coraz mniejsze zainteresowanie naszymi ekspedycjami i przestaliśmy się już pojawiać na pierwszych stronach gazet.

Dla większości ludzi stało się teraz czymś oczywistym, że tanatonautyka jest jedynie niekończącym się wyścigiem. Moch 1, Moch 2, Moch 3, Moch 4, Moch 5, Moch 6... A dlaczego nie Moch 124 albo Moch 2018 ze wszystkimi barwami tęczy, ze wszystkimi możliwymi utrudnieniami, i dlaczego nie miałyby to być olimpijski triathlon?

„L'Osservatore Romano”, organ prasowy Watykanu, skrytykował ostro rzekomych pionierów, którzy ośmielili się podać w wątpliwość nieskończoność niebios. „Tanatonautyka - ostatnie opium dla ludu”, taki tytuł pojawił się w brytyjskiej gazecie „Times”.

Tanatonautyka stała się obiektem żartów ze strony karykaturzystów, showmanów i spektakli z marionetkami w telewizji. Straciła cały swój sakralny charakter, stając się towarem takim jak inne.

W rodzinnym sklepiku sprzedaż spadała na łeb na szyję. Matka i brat na próżno proponowali nowe plakaty, T-shirty w najpiękniejszych barwach z zaświatów, czapeczki z wytłaczanym wzorkiem, sandaalki ze skrzydełkami, obrazki fluorescencyjne, które świeciły tylko w ciemnościach, gotowe potrawy „zestaw tanatonauty” - klientów było coraz mniej. W porządku, za Moch 6 będzie pewnie Moch 7, no i cóż z tego?

Raoul złorzeczył:

- W końcu to nie nasza wina, jeśli w naszej przygodzie pewne kwestie zaczynają się powtarzać. To nie my wymyśliliśmy geografie Ostatniego Kontynentu. Staramy się tylko odkrywać i jest to nadal bardzo pasjonujące.

Nie odpuści. Jeżeli ludzie będą kpić z naszego przedsięwzięcia, środki finansowe skurczą się, a lewa kasa pana prezydenta nie jest przecież bez dna.

Lucinder jednak nadal był do nas przywiązany. Skoro publiczność czeka tylko na spektakl, dajmy jej spektakl! Zasugerował całą serię medytacji transmitowanych przez telewizję w każdą niedzielę rano zamiast tradycyjnych zajęć aerobiku. Freddy i Stefania mogliby tam wspaniale się zaprezentować.

Prezydent wymyślił nawet tytuł dla tego show: „XXII wiek będzie duchowy albo w ogóle go nie będzie”. Był z tego bardzo zadowolony.

- Bierze nas za mały w cyrku czy co? - zdenerwowała się Stefania.

- Trzeba starać się go zrozumieć - odparłem. - W końcu nic dziwnego, że ludzie znudzili się tymi niekończącymi się barierami komatycznymi. Ja sam, przyznaję, mam czasami wrażenie, że to się nigdy nie skończy!

- Błąd! - wykrzyknął Freddy. - Moch 6 będzie już ostatnią granicą.

Poprosiliśmy, żeby nam to wyjaśnił. Spokojny, schowany za czarnymi okularami rabin zaczął mówić:

- W Biblii, w Kabale, tak jak w wielu świętych tekstach napisane jest, że istnieje siedem niebios. Siedem nieb, a więc siedem terytoriów, które położone są za śmiercią. Znacze na pewno ten zwrot „być w siódmym niebie”. Siedem, ani więcej, ani mniej. Rozmawiałem o tym z kapłanami innych religii i wszyscy stwierdziliśmy, że cyfra siedem pojawia się za każdym razem w opisach krain w zaświatach. Moch 6 będzie prawdopodobnie ostatnią barierą.

- A co będzie za nią? - zapytałem.

Freddy wykonał gest bezsilności.

- Środek czarnej dziury, Bóg, los na loterii, robaczek świętojański, ślepa uliczka...
Musimy sprawdzić!

Bez entuzjazmu pochyliłem się nad boosterami.

185 - FILOZOFIA ORIENTALNA

„Wtenczas odezwała się Almitra, mówiąc: Chcielibyśmy teraz zapytać cię o śmierć.

A on odpowiedział:

Chcielibyście poznać tajemnicę śmierci.

Lecz jakże ją znajdziecie, jeśli nie poszukacie jej w sercu życia?

Sowa, której spowite ciemnością oczy ślepe są na blask dnia, nie może wyjawić tajemnicy światła.

Zaprawdę, jeśli chcecie ujrzeć ducha śmierci, otwórzcie wasze serca na przyjęcie ciała życia.

Albowiem życie i śmierć są jednym, tak jak jednym są rzeka i morze.

*W głębi waszych nadziei i pragnień spoczywa milcząca wiedza o życiu pozagrobowym. [...] Ufajcie snom, albowiem w nich ukryta jest brama do wieczności”.*¹⁸

Khalil Gibran, „Prorok”

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznaną* Francisa Razorbaka

186 - NAWET GWIAZDY PRZECHODZĄ REINKARNACJĘ

Rose wbiła wzrok w monitor odbierający sygnały ektoplazmy. Już kilka minut temu wystartowało osiemnastu mnichów taoistów. Była przekonana, że udało im się pokonać szóstą barierę. Moja żona pewnie miała rację, ponieważ po godzinie ogromnego niepokoju stwierdziliśmy, że ich cielesne powłoki nie dają żadnych oznak biologicznego życia. Niech ich dusze spoczywają w pokoju.

Freddy uznał, że należy odtworzyć karawanę złożoną ze stu dwudziestu mistyków różnych wyznań, by odnieść sukces, lecz niegdysiejsi przyjaciele nie odpowiedzieli na

¹⁸ Przeł. T. Truszczyńska.

zaproszenie rabina, gdyż wciąż chcieli działać w pojedynkę, żeby cała chwała przypadła wyłącznie ich religii.

Moja małżonka zasugerowała, żebyśmy może zostawili na boku kwestie mistyczne i ukierunkowali badania na astronomię i astrofizykę. Zgodziłem się, chociaż nie wiedziałem, czego więcej moglibyśmy się dowiedzieć poza tym, że Ostateczny Kontynent jest faktycznie czarną dziurą usytuowaną w centrum Drogi Mlecznej.

Rose miała jednak własny pomysł:

- Chcecie się dowiedzieć, co jest na dnie tej dziury. Tymczasem tak się składa, że astrofizycy wiedzą to już od dawna.

- Ach, tak? - zaśmiał się pełen sceptycyzmu Raoul.

- No i cóż tam jest? - zapytałem.

- Biała fontanna.

Biała fontanna! Freddy wstał z fotela startowego, na którym odpoczywał, i zaczął krążyć po sali. Pomimo wzburzenia niewidomemu udawało się nie wpaść na żadne z urządzeń, których spora przecież liczba wypełniała nasze laboratorium.

- Biała fontanna to przeciwieństwo czarnej dziury - wyjaśniła Rose. - Dziura wchłania światło, a fontanna je wyrzuca. Czarna dziura przyciąga materię, a biała fontanna wyrzuca ją z siebie. Niektórzy sądzą, że „wielki wybuch” był jedynie białą fontanną, która wytworzyła materię i światło. Być może dzięki białym fontanom powstały nowe światy.

Po czym Rose wygłosiła pasjonujący wykład z astrofizyki. Każda czarna dziura miałaby oznaczać śmierć jakiejś galaktyki, ponieważ pochłaniając gwiazdy, kompresuje je i przekształca w czystą energię. Środek Galaktyki składa się z wiru, który wciąga i wprawia w ruch znajdującą się wokół materię. Przewiduje się, że za kilka milionów lat Słońce także zostanie wchłonięte. A najbardziej fascynujące jest to - jak wyjaśnia znakomicie fizyka - że nic nie powstaje, nic nie umiera, a wszystko się przekształca. Śmierć jednej gwiazdy generuje energię wyrzucaną przez białą fontannę przypominającą garłacz z rozszerzającą się lufą.

A zatem nawet gwiazdy przechodzą reinkarnację! Czarne dziury i białe fontanny byłyby więc tylko kładkami prowadzącymi do równoległe istniejących wszechświatów. Rose zapewniła, że tak samo jak każda galaktyka posiada własną powierzchnię czy własnego boga, ma również własny „wielki wybuch” i własny kosmiczny odbył. Każda galaktyka może wręcz posiadać własny wymiar czasoprzestrzenny. A zatem znajdujemy się we wszechświecie Drogi Mlecznej z bogiem, czasem, śmiercią i świadomością właściwymi dla tej właśnie galaktyki.

Rose zaintrygowała nas mocno tą ideą czarnej dziury, której odpowiadałaby biała fontanna oraz odrodzenie się w innej czasoprzestrzeni. Freddy usiadł z powrotem, żeby lepiej

przetrawić tę lekcję.

- A co się dzieje z ekto plazmami po przekroczeniu białej fontanny? - zapytał.

Moja żona wiedziała też, gdzie sytuują się granice wiedzy

- Cóż, w tym miejscu koniec z nauką i czas wrócić do religii. Być może dusze są również „wypluwane” i przechodzą potem reinkarnację w innym świecie?

Amandine zaproponowała, żebyśmy poszli do penthouse'u wypić drinka i dać chwilę wytchnienia umysłom. Ponieważ byliśmy już zmęczeni, zgodziliśmy się ochoczo. Tam, wśród zielonej roślinności, odprężeni, niewidomy staruszek i uroczą blondynka ogłosili, że mają zamiar się pobrać. Amandine zapewniała, że Freddy jest mężczyzną jej życia i jest gotowa przejść na judaizm, jeśli on tego zapragnie. Jej narzeczony nie miał jednak aż tak wielkich wymagań. Miał na tyle liberalne poglądy, że zgodził się na mieszane małżeństwo.

Wzięli więc ślub, a potem świętowaliśmy wraz z uczniami strasburskiej jesziwy. Nigdy dotąd nie widziałem Amandine tak promiennej. Jej małżonek grał znane tradycyjne kawałki na fortepianie, a my tańczyliśmy w kółeczku. Freddy był starszy od niej o dwadzieścia lat, miał od niej dwoje oczu mniej, ale potrafił panować nad swoimi lękami i umiał też rozśmieszać. A cóż może być ważniejszego w małżeństwie?

187 - MITOLOGIA TAOISTYCZNA

„Daleko, na wschód od Morza Chińskiego, w miejscu gdzie niebo odkleja się od Ziemi, jest przeogromna przepaść bez dna nazywana «Splywem Wszechświata». Do niej wszystkie wody Ziemi i Mlecznej Drogi (rzeka, w której gromadzą się wody niebios) splywają, choć nigdy jej zawartość się nie zmniejsza ani nie zwiększa. Między tą przepaścią a Chinami leży pięć dużych wysp: Tai Yu, Yuan Chaio, Fang Hu, Ying Chou, P'eng-lai. U podstawy każda z tych wysp ma trzydzieści tysięcy li w obwodzie. Ich szczyty wznoszą się na okręgu położonym na wysokości dziewięciu tysięcy li. Budowle znajdujące się na wyspach są wszystkie ze złota i jaspisu. Zwierzęta są tam przyjazne, roślinność cudowna, zapach kwiatów oszałamia, a zjedzenie owoców chroni przed starością i śmiercią. Wszyscy mieszkańcy tych wysp są geniuszami i mędrkami. I każdego dnia składają sobie wizyty, unosząc się w powietrzu”.

Laozi

188 - SAME PROBLEMY

Chcieliśmy dotrzeć do końca przygody i przekroczyć tę jakże trudną szóstą barierę. Okazało się jednak, że dopiero po wielce dramatycznych wydarzeniach można było napisać ostatni rozdział o naszych poszukiwaniach.

W lipcu tego samego roku stało się coś dziwnego. Integryści znowu pojawili się na scenie. Kolejny raz na naszych drzwiach namalowano napis: „Zostawcie Boga w spokoju”, podpisano: „Strażnicy tajemnicy”. Potem były listy i telefony, w których grożono nam śmiercią. I znowu Stolica Apostolska włączyła się do gry, przypominając o zakazie odlotów pod groźbą ekskomuniki, po czym wydała słynną już bullę „*Et mysterium mysteriumque*”, nazywając heretykami wszystkich, którzy podejmą próbę zobaczenia tego, co kryje się za szóstą barierą, zanim zostaną tam wezwani przez Wszechmogącego.

„Ludzie zbyt ciekawi głupio umierają”, słychać było z głośnika w automatycznej sekretarce w naszym laboratorium. Raoula pobito na ulicy. Zgodnie ze swoim zwyczajem zapomniał, że trzeba się bronić. Księża i imamowie zjednoczyli się, żeby manifestować w otoczeniu swoich wyznawców przed naszym budynkiem. W najbliższej okolicy wyrzucono całe tony śmieci. Szyby w rodzinnym sklepiku zostały doszczętnie rozbite, na szczęście nastąpiło to już po jego zamknięciu, jacyś gapie zdziwieni tak ogromną zajadłością patrzyli z zaciekawieniem na splądrowany sklepik.

Znalazłszy się ponownie w centrum debat i sporów, znowu staliśmy się modni. W oczach młodych ludzi odzyskaliśmy status bohaterów i uczestników największej przygody tysiąclecia. Stali w kolejkach po autografy słynnych tanatonautów, Freddy'ego Meyera i Stefani Chichelli, oddawali też cześć pamięci prekursora naszego ruchu, Féliksa Kerboza. Nasz sklepik, szybko wyremontowany przez dziesiątki ochotników, znowu był pełen ludzi. Po listach z pogróżkami teraz napływały też słowa poparcia. Błagano, byśmy nie poddawali się i nie uginali przed ciemnotą i średniowiecznymi zabobonami.

Podczas burzliwych mityngów dochodziło do bijatyk między zwolennikami i przeciwnikami tanatonautyki.

Ci ostatni stawali się coraz bardziej brutalni. Pewnego dnia, gdy Rose była sama w sklepiku, zastępując moją matkę, zobaczyła, że przed budynkiem zatrzymała się nieduża ciężarówka. Wysiedli z niej trzej mężczyźni w kominiarkach z łomami w dłoniach. Od razu

zaczęli rozbijać sprzęty w sklepie i moja żona zrozumiała, że tylko ucieczka pozwoli jej wyjść z tego cało. Oni jednak zaczęli ją ścigać.

Biegła ile sił w nogach i skierowała się w stronę ulicy. Z trudem łapiąc oddech, ukryła się w pobliskiej bramie, lecz tamci byli coraz bliżej. Znowu więc zaczęła biec, mijając obojętnych jak zwykle przechodniów. Skreśliła na lewo, potem na prawo, znowu w lewo, aż znalazła się w ślepych zaułku. Delikatna młoda kobieta przeciwko trzem uzbrojonym osiłkom - Rose nie miała żadnych szans. Zostawili ją całą pokrytą siniakami i z twarzą zalaną krwią.

Dwie godziny upłynęły, zanim mieszkaniowiec sąsiedniego domu łaskawie zgodził się pochylić nad leżącą na ziemi kobietą, którą inni omijali, nie zatrzymując się, twierdząc później, że sądzili, iż jest to tylko kolejna pijaczka, która opila się tanim winem.

W szpitalu Świętego Ludwika, gdzie zawieziono ją karetką, przygnębieni lekarze oświadczyli, że było za późno, aby ją uratować. Straciła za dużo krwi. I tak dobrze się stało, że jakiś litościwy człowiek pozwolił jej umrzeć na łóżku w szpitalu, gdyż tak wielu ludzi umiera każdej nocy na chodniku, a nikomu nie przyjdzie nawet na myśl, żeby powiadomić policję!

Rose leżała nieruchomo na sali reanimacyjnej. Żyła wyłącznie dzięki podłączonej aparaturze.

Co zrobić, żeby ją uratować? Pobiegłem spotkać się z przyjaciółmi. Raoul poradził mi, żebym porozmawiał z Freddyem. W tych strasznych okolicznościach tylko stary rabin będzie wiedział, co należy zrobić.

Strasburski mędrzec wziął mnie w ramiona i wpatrywał się we mnie niewidzącym wzrokiem.

- Czy jesteś gotowy na wszystko, naprawdę gotowy na wszystko, żeby ją uratować?

- Tak.

Byłem zdecydowany. Rose była przecież moją żoną i kochałem ją.

- Na tyle, żeby zaryzykować własne życie, chcąc ją uratować?

- Tak, po tysiakkroć tak.

Rabin przyglądał mi się swoją duszą, wyczuwałem to. Za pomocą duszy starał się zorientować, czy mówię prawdę. Czekałem z bijącym mocno sercem, żeby uwierzył mi wreszcie.

- W takim razie oto rozwiązanie. Ustal z lekarzami dokładną godzinę, kiedy zostaną odłączone urządzenia. Spróbujemy wtedy wystartować w tym samym czasie co ona. Wczepimy się w jej pępówkę i postaramy się ją przytrzymać, żeby nie pękła, a wtedy być może uda nam się przywrócić ją do życia. Polecisz z nami i to ty ją uratujesz.

189 - KARTOTEKA POLICYJNA

Informacja skierowana do właściwych służb

Akty przemocy w okolicy tanatodromu w Buttes-Chaumont. Czy należy interweniować?

Odpowiedź właściwych służb

Jeszcze nie.

190 - WIELKI ODLOT

To było możliwe. Byłem przekonany, że to jest możliwe. Wielka Kostucha nie zetnie mojej Rose. Pobiegłem do szpitala.

Kierujący oddziałem reanimacji nie rozumiał za bardzo, dlaczego zależy mi tak bardzo na tym, żeby śmierć żony nastąpiła dokładnie o godzinie 17.00, ale zapewnił, że dokonałem właściwego wyboru. Lepiej zastosować eutanazję, aniżeli utrzymywać istotę ludzką przy życiu w postaci warzywa. Tak więc wyraził zgodę. Zdarzało się bowiem, że pogrążone w bólu rodziny zwracały się do niego z jeszcze dziwniejszymi prośbami. Obiecał mi, że zacznę patrzeć na zegarek już punktualnie o 16.55.

W nocy nie zmrzyłem oka. Powtarzanie sobie bez przerwy, że następnego dnia świadomie odejdziemy z tego świata, niekoniecznie jest sposobem na to, żeby mieć piękne sny. Śniąc na jawie, miałem koszmarnie wizje, starając się wyobrazić sobie, jakie bańki wspomnień osaczają mnie, żeby pociąć na kawałki, i jakie ukryte grzechy zostaną mi ujawnione w czerwonej krainie.

Zmusiłem się, żeby przełknąć śniadanie, a potem nieco solidniejszy posiłek, po południu zaś powtarzaliśmy z Freddy figure, którą mieliśmy stworzyć, żeby uratować Rose. Tym razem nie była to piramida, ale płaska struktura, coś w rodzaju siatki, w którą jak mieliśmy nadzieję, złapiemy moją żonę.

Ja miałem być w środku, trzymając dwóch strasburskich rabinów za ręce i dwóch mnichów taoistów z Shaolin (którzy powrócili z niejasnych przyczyn politycznych) za nogi. Nigdy się nie dowiedziałem, co im Freddy obiecał, żeby zgodzili się przyłączyć do nas, lecz w wielkiej sali odlotowej zobaczyłem osiemnastu innych rabinów, trzynastu buddyjskich

mnichów i oczywiście Stefanię.

Nie mając zbyt wielkiego zaufania do własnych zdolności w zakresie medytacji, bardzo dokładnie sprawdziłem chemiczne boostery.

Wszyscy włożyliśmy białe stroje tanatonautów, każdy wpatrywał się w monitory, na których widać było akcję serca i czynności elektroencefaliczne.

Moi współtowarzysze powoli zamykali oczy, gotowi nacisnąć gruszkę startową w chwili, gdy zabrzmiał dzwonek. Zegar wskazywał godzinę 16.56, potem 16.57...

Miałem umrzeć po raz drugi, ale miał to być mój pierwszy dobrowolny odlot. Przez tak długi czas wysyłałem ludzi na kontynent zmarłych, a teraz nadeszła moja kolej! Byłem przekonany, że nie uda mi się i umrę na dobre, nie miałem jednak wyboru. Chęć uratowania Rose przesłaniała wszystkie inne sprawy.

Godzina 16.57 i 10 sekund. Wilgotne dłonie na oparciu.

Godzina 16.57 i 43 sekundy. Siedzący po obu moich stronach Freddy i Stefania byli wyjątkowo spokojni. Kilkakrotnie powtarzaliśmy w basenie pozycje, jakie mamy przyjąć, żeby utworzyć idealny układ choreograficzny, który w razie konieczności pozwoli nam dotrzeć bardzo daleko. Zdaniem Freddy'ego dzięki figurom, które opracował, możemy osiągnąć piątą barierę komatyczną. Ja liczyłem na to, że uda mi się przejąć Rose przed barierą Moch 5. Nie miałem żadnego doświadczenia w lotach międzygwiazdnych.

Godzina 16.58 i 3 sekundy. W sali odlotowej panuje półmrok, który ma wpłynąć na nas uspokajająco. Coraz lepiej słyszeć chóry gregoriańskie. Rozumiem teraz, jak kojąco może działać taka muzyka na przygotowujących się do startu tanatonautów.

Godzina 16.58 i 34 sekundy. Nagle drzwi się otwierają. W formie chińskiego cienia ukazuje się nam czyjaś sylwetka. Poznaje, że to Raoul. Czyżby chciał sfilmować mój śmiertelny chrzest? Nie, puszcza do mnie oko, a potem bez wahania wkłada biały skafander i kieruje się w stronę stanowisk startowych. Tak jak my przyjmuje pozycję lotosu i bierze do ręki zestaw boosterów.

Godzina 16.58 i 56 sekund. Drzwi znowu się otwierają. Smukła sylwetka z włosami blond, które mignęły przez chwilę w świetle dochodzącym z zewnątrz, kieruje się również w stronę tronu. Tak samo jak Raoul i ja, Amandine nigdy wcześniej nie startowała. Teraz zaś uczyni to dla Rose. I dla mnie.

Wzięła jeden ze skafandrów. Po raz pierwszy, nie licząc dnia jej ślubu, widzę ją w bieli. Podłącza się do różnych urządzeń i wbija sobie w ramię igłę, przez którą wstrzyknie śmiertelny płyn.

Godzina 16.59 i 20 sekund. Uśmiecham się. Mam naprawdę najlepszych przyjaciół na

świecie. Mawia się, że poznaje się ich w biedzie, i tak właśnie w tym przypadku się stało. Ich obecność dodaje mi sił. Co za szczęście, że dane mi było ich spotkać! Naprawdę mam najlepszych przyjaciół na świecie.

Godzina 17.00 i 2 sekundy Pierwsze arpeggia toccaty Bacha. Brzmi to jak dzwonek, który powinien otworzyć wrota do niebios. Sezamie-toccatto, spraw, żebyśmy tam, w górze, nie stanęli przed niemożliwym do pokonania murem.

Godzina 17.00 i 25 sekund.

- Gotowi? - zapytał Freddy wszystkich wokoło.

Dwadzieścia osiem głosów odpowiedziało mu jednocześnie:

- Gotowi!

Ileż to już razy słyszałem te słowa, które do tej pory mnie nie dotyczyły!

Rabin rozpoczął odliczanie:

- Sześć... pięć... cztery... trzy... dwa... - Nie zadawać sobie pytania: „Co ja tutaj w ogóle robię”, zacisnąć zęby. Ścisnąć mocno pośladki. - Dwa... jeden. Start!

Spoconymi rękami zacisnąłem gruszkę do boosterów. Czuję, jak lodowata ciecz wlewa się do moich żył i... umieram!

191 - FILOZOFIA ORIENTALNA

„Wasza obawa śmierci jest tylko drżeniem pasterza, który stoi przed królem, a ten kładzie mu rękę na ramieniu na znak wyniesienia. Czyż pasterz mimo drżenia nie raduje się, iż będzie nosił znamię króla? [...]

Albowiem czymże jest śmierć jak nie staniem nago na wietrze i stąpieniem się w słońce?

A czym jest zatrzymanie oddechu jak nie uwolnieniem tegoż oddechu z niespokojnego falowania, aby mógł wznieść się, rozprzestrzenić i poszukiwać Boga bez przeszkód?

Tylko gdy napijecie się z rzeki milczenia, wtenczas będziecie mogli śpiewać. I gdy osiągniecie szczyt góry, wtenczas zaczniecie wspinać się. A gdy ziemia upomni się o wasze ciała, wtenczas naprawdę będziecie tańczyć”.¹⁹

¹⁹ Przeł. T. Truszczyńska.

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

192 - TAM, W GÓRZE

Stefania ma rację: dopóki nie jest się martwym, dopóty nie wie się, jak to jest.

Nie da się opisać tego słowami. Mimo to spróbuję przekazać wam emocje i doznania, które wtedy odczuwałem. Wiedźcie jednak, że jeżeli nigdy wcześniej nie umarliście, moje słowa tylko ocierać się będą o rzeczywistość.

Niektóre doznania są niewypowiedziane i ich właśnie doświadczyłem w dniu, kiedy wyruszyłem, by uratować moją żonę, zanim zostanie wchłonięta przez Ostateczny Kontynent, którego poznaniu poświęciłem tak wiele czasu.

Kiedy nacisnąłem guzik startowy, moim pierwszym wrażeniem było to, że zupełnie nic się nie dzieje. Ale to zupełnie nic. Miałem nawet ochotę wstać, żeby powiedzieć wszystkim wokoło, że eksperyment się nie powiódł i trzeba będzie spróbować czegoś innego. Wahałem się jednak w obawie, że narażę się na śmieszność, i postanowiłem poczekać jeszcze pięć minut, na wypadek gdyby mimo wszystko coś miało się wydarzyć. Ja jestem nowicjuszem, lecz pozostali przecież wiedzą, o co chodzi. Skoro się nie ruszają, to znaczy, że wszystko przebiega normalnie.

Ziewam. To zapewne efekt środków znieczulających, które wywołują we mnie wrażenie, jakbym był lekko pijany. Kręci mi się w głowie. Staram się jednak trzymać prosto, tak jak wielokrotnie zalecała Stefania.

Moja ostatnia świadoma myśl dotyczy Rose i powtarzam sobie, że muszę ją uratować. Teraz wiem, że zaraz umrę. Powraca jeszcze jedno wspomnienie. Byłem wtedy bardzo małym chłopcem i po raz pierwszy wsiadłem na rollercoaster. Najpierw wózek powoli wspinał się po mocno nachylonym stoku. Kiedy już znalazłem się na szczycie, pomyślałem, że lepiej byłoby znaleźć się zupełnie gdzieś indziej i zejść stamtąd, zanim będzie za późno. Po chwili wózek pędzi przed siebie, dziewczyny krzyczą z przerażenia albo z radości, zamykam oczy, modląc się, żeby te tortury skończyły się jak najszybciej. Ale zabawa trwa. Teraz skręcamy na prawo, potem gwałtowny skręt w lewo, głowa między kolanami, o mały włos nie spadliśmy w pustkę, a najgorsza jest myśl, że sami zapłaciliśmy za to, by przeżywać tak okropne chwile!

No więc dobrze, zasypiam spokojnie. Czuję się lekki. Bardzo lekki. Mam wrażenie, że

gdybym tylko chciał, mógłbym unosić się jak piórko, i rzeczywiście po chwili stwierdzam, że... płynę jak piórko! W każdym razie część mojego ciała stara się do tego zmusić, podczas gdy reszta instynktownie sprzeciwia się rezygnacji z życia. Owszem, kocham Rose całym sercem, lecz śmierć wzbudza we mnie potworny lęk. Nie mam ochoty zostawiać ot, tak mojego mieszkania, dzielnicy, kawiarni, przyjaciół. Chociaż akurat przyjaciele, a zwłaszcza mój najbliższy przyjaciel, są tutaj i towarzyszą mi w tej jakże trudnej próbie.

Wszystko co odczuwam, odczuwa także Raoul. Dzieli ze mną na pewno wszystkie moje obawy. Nagle staje się coś dziwnego. Na czubku głowy wyrasta mi guz, który naciąga strasznie mocno skórę. Jak poradzić sobie z czymś tak okropnym? Serce bije tak wolno, że nie jestem w stanie się poruszyć. Uczestniczę teraz, zupełnie bezsilny, w narodzinach innego, nieznanego mi do tej pory „ja”, które dokonują się przez czubek mojej czaszki. Moja świadomość się waha. Czy pozostanie w dole razem z moim „ja” siedzącym po turecku czy też wyruszy wraz z „ja” wydobywającym się z głowy?

Trzeba przecć, a potem ciągnąć, ciągnąć w stronę zewnątrz.

Zawroty głowy. Zamglone obrazy. Znika poczucie czasu. Najmniejszy choćby ruch trwa całą wieczność. W rzeczywistości są to z pewnością zaledwie ułamki sekund. Oszołomienie. Z czaszki wysuwa się róg. A ściślej mówiąc, róg, którego zwieńczeniem jest głowa. Moja głowa. Moja „inna” głowa. Jestem jak przecięty na pół. Jestem podwojony i jednocześnie jakbym całkowicie znikł. Umieram, podczas gdy róg stale rośnie, przepiękny, biały i przezroczysty.

Teraz z rogu wysunęły się dwa ramiona, które oparły się na ciemiaczkach, żeby łatwiej uwolnić się z mojej czaszki. Na samym jej szczycie otwierają się usta, z których wydobywa się cichy jęk. Moja druga głowa płacze, uwalniając się od ciała. Tak jak przy narodzinach. Z mojego materialnego ciała rodzi się dusza. Olśnienie. Łaskotanie. Ból i rozkosz. Świat widzę teraz na przemian zwykłymi oczami i źrenicami mej duszy. Dusza obserwuje dokładnie, co dzieje się za moimi plecami.

Przestraszony stwierdzam, że w mojej cielesnej powłoce jest nas dwóch. Ten „drugi” wciąż wychodzi na zewnątrz. Nie jest to już róg, ale rozciągnięty balon o nieokreślonym kształcie. Widzę go i on także mnie widzi.

Nieprawdopodobne jest uczucie odcieleśnienia!

Moje „ja” waha się, czy skryć się w moim ciele czy wyruszyć w stronę balonu, któremu teraz zaczęły wyrastać odnóża. „Wracaj”, szepce ciało do mojej duszy. „Ruszaj” - napominam sam siebie. Znowu myślę o Rose, o wszystkich przyjaciółach, którzy są teraz obok mnie i narażają życie, chcąc mi pomóc, toteż nadludzkim wysiłkiem woli wczepiam

swoją świadomość w przezroczysty byt wysuwający się ze szczytu czaszki. Jestem innym. Innym, który jest teraz w nowym, przezroczystym ciele.

Błysk.

Ektoplazma, stałem się teraz ektoplazmą. Pęcherz, który wysunął się z mojej czaszki i jest bardzo wierną repliką mojej głowy, wydłuża się poprzez moją przezroczystą szyję, plecy, klatkę piersiową, ramiona, miednicę, nogi i przezroczyste stopy. Jestem jak wyjęty z formy! Niczym pomięte i poplątane wnętrze od pępka zwisa przezroczysta lina łącząca mnie z tym typem na dole, który siedzi w fotelu w pozycji lotosu. A najśmieszniejsze jest to, że ten typ w dole to ja!

Stałem się duszą i widzę, jak wokół zjawiają się inne dusze wysunięte z czaszek i czół. Jest nas czterdzieścioro unoszących się tuż pod sufitem tanatodromu, a teraz odczuwam ogromną ochotę, by wyruszyć jeszcze wyżej.

Freddy, doskonale się odnajdujący w roli doświadczonego drogowca w przestrzeni, daje nam znak, byśmy się wspięli wyżej. Podążajcie za ślepcem! W porządku, ale co z sufitem... Już przebił się przez sufit, tuż za nim podążają zakonnicy, a dalej Raoul i Amandine. Jestem teraz sam i przyglądam się czterdziestu zeszywniałym, podobnym do zastygłych pomników ciałom. Jak naśladować innych? Nie umiem przechodzić przez ściany, lecz boję się zostać tutaj sam, z dala od pozostałych. Zbrojąc się w całą moją odwagę, zamykam przezroczyste oczy i hop, przeskakuję przez sufity, podłogi, mijam kolejne piętra i już jestem na tarasie na dachu.

Inni czekają tutaj na mnie i unosimy się teraz wszyscy razem. Cudowny jest Paryż widziany z lotu ptaka! Podziwiam katedrę Notre Dame i widzę, jak naddźwiękowy samolot leci prosto na nas. Za późno, żeby go ominąć, ale jakież to ma znaczenie? Przebija się, nie czyniąc nam krzywdy, przez nasze eteryczne ciała. Po drodze przenikam przez dźwignie w kokpicie i wnętrze pilota. Fantastyczne, udało mi się przeniknąć przez samolot!

Freddy wrywa mnie z zachwytu, w jakim się pogrążyłem. Musimy się śpieszyć, jeśli nie chcemy rozminąć się z Rose. Okazuje się, że zjawiamy się za późno w pionie nad szpitalem Świętego Ludwika. Rose już poleciała dalej i jest teraz gdzieś między nami a Ostatecznym Kontynentem.

To z mojej winy nie udało nam się z nią spotkać. Przez moje niezdecydowanie, kiedy byłem przed sufitem, opóźniłem całą ekipę. Dowodząc nadal wszystkimi, Freddy nakazuje nam, żebyśmy pędzili teraz pełną mocą naszych myśli. No więc lecimy z prędkością trzykrotnie większą od prędkości światła, mijając jeden promień słońca za drugim. Bzzz... Przelecieliśmy obok Jowisza, Saturna, Uranu, Neptuna, Plutona i bzzz... teraz znaleźliśmy się

w pustce międzygwiazdnej!

Całe szczęście, że ekto plazmy nie są wrażliwe ani na brak tlenu, ani na prawa ciężenia, nie odczuwają też głodu ani pragnienia. Wiemy, że panuje tutaj lodowata temperatura, lecz ani nas to grzeje, ani ziębi. Ekto plazma stanie się w przyszłości środkiem lokomocji! Dusza nie zna żadnych przeszkód, bije wszystkie rekordy prędkości i nie grożą jej (z kilkoma rzadkimi wyjątkami, jak w przypadku naszych dawnych wojen religijnych) praktycznie żadne niebezpieczeństwa.

Bawi mnie widok małego statku kosmicznego wprowadzonego przez rosyjskich kosmonautów, którzy wyruszyli, żeby odkryć centralną czarną dziurę Galaktyki, gdy Rose ujawniła jej istnienie. Załoga rzecz jasna w ogóle nie odbiera wysyłanych przeze mnie przyjaznych gestów.

Rabini, którzy są daleko przede mną, błagają, żebym się pospieszył. W porządku, ale co mam zrobić, żeby jeszcze przyspieszyć? To proste, wystarczy przez chwilę o tym pomyśleć. Wszystko jest tutaj tak nowe, tak dziwne i obce dla moich niewielkich wysepek wyobraźni.

Stefania uśmiecha się do mnie. Może i jest przezroczysta, lecz doskonale ją rozpoznaję, tak jak i pozostałych. Pędzimy jedno obok drugiego, między gwiazdami i planetami. Po mojej prawej stronie są też Raoul, Amandine i Freddy. Cała nasza eskadra tanatonautycznych ekto plazm leci, unosi się w przestrzeni, zmierzając w stronę Ostatecznego Kontynentu.

Po chwili dostrzegam Rose. Jest tam, bardzo daleko przede mną i... no tak, kieruje się prosto w stronę... śmierci. Śmierci, która przyjęła materialną postać wielobarwnej aureoli: to wlot czarnej dziury. W rzeczywistości jak na coś, co się nazywa czarną dziurą, miejsce jest raczej świetliste! Wokół całej korony wessane planety i gwiazdy obijają się o siebie w feerycznych ogniach sztucznych wirującej galaktyki. Gwiazdy, które nie zostały do tej pory wchłonięte, pod wpływem prędkości wciągającej je czarnej dziury stają się najpierw różowe, potem białe, czerwone, fioletowe, rozpadają się, tworząc rozety, kwiaty, krople mieniające się rosą. Światło, tak przecież szybkie, kieruje się teraz w inną stronę. Promienie załamują się, zaokrąglają, tańczą, a potem zbaczą przyciągane przez bezwzględny magnes.

Magiczny spektakl, który jednak należy czym prędzej ominąć.

Wokół nas ludzie, którzy umarli tego właśnie dnia, mkną w stronę przyciągającego ich światła, rozrywając w pośpiechu swoje pępowiny. Ta, którą przywiązana jest Rose, pęka wraz z kilkoma innymi. Przez chwilę wydaje mi się, że wszystko na nic. Ale nie, Freddy wierzy, że możemy jeszcze ją odzyskać. Daje nam znaki, żebyśmy bardzo uważnie strzegli własnych

pepowin.

Eskadra grupuje się, żeby lepiej je zapleść zgodnie z zaleceniami Freddy'ego. Trochę się uspokajam. To jakby wspinaczka po niebezpiecznej ścianie skalnej asekurowana solidną liną.

Cała nasza grupa wsuwa się teraz razem do rozchylonych ust czarnej dziury. Jej średnica jest olbrzymia: prawdopodobnie kilka milionów kilometrów!

Im dalej się posuwamy, tym mocniej bije łuna światła, odsłaniając nam kolejne kręgi. Félix miał rację: to nie jest korona, lecz raczej lejek. Wyraźnie widzimy teraz ścianki, które wtapiają się w bezustannie rozciągający się korytarz.

Wyciągam przezroczyste ramiona w kierunku mającej w oddali Rose.

Docieramy do płaskiej powierzchni. Wokół nas i przed nami jest jakby morze z niebieskiego neonu delikatnie rozświetlone błyszczącym zachodem słońca. Z prędkością ponad tysiąca kilometrów na godzinę ocieram się o fale. Po drodze przekazują mi łagodne, uspokajające i wzmacniające ładunki elektryczności. Jest mi tutaj dobrze. Czuję się tu nawet lepiej niż gdziekolwiek indziej w przeszłości.

Nagle przychodzi mi do głowy przerażająca myśl: Rose ma rację, że tak pędzi przed siebie. Po co mielibyśmy wracać do naszego świata?

Otrząsam się z tych myśli. Moja żona wymyka się teraz z pola widzenia. Przyspieszamy znowu siłą myśli. Wystarczy, żeby jedno z nas pomyślało coś, i od razu wszyscy pozostali wiedzą, co dzieje się w jego umyśle.

Jeszcze bardziej przyspieszam. Chętnie przemierzyłbym spokojnie tę przeogromną krainę, poświęcając na to dni i miesiące. Nigdy dotąd nie miałem tak szalonych doznań. Samochody rajdowe, motocykl, najwyższe z możliwych trampoliny, nic nie jest w stanie dorównać upojeniu zwycięstwem i prędkością.

Tonę, pędzę, zsuwam się, przenikam do położonego w środku źródła światła. Urokliwa siła wypełnia moje przezroczyste ciało. Mienię się tak samo jak otaczające nas morze. Oślepiające światła odbijają się od moich przeświecających paznokci.

Dzisiejsi zmarli, których jest bardzo wielu, tłoczą się u wlotu wiru. Z trudem dostrzegam w tym tłumie Rose.

Wsuwamy się za nią w koronę gwiazdnych kwiatów. Jest dokładnie taka, jak rysowałem wiele razy pod dyktando poprzednich tanatonautów. Wszystko wiruje, wszystko nas wciąga. Freddy rzuca się do przodu w nadziei, że uda mu się złapać Rose, zanim pokona pierwszą barierę komatyczną, lecz ona pędzi zbyt szybko. Gdyby uczniowie nie przytrzymali pepowiny rabina, pękłaby.

Rose znika.

Widząc, że jestem kompletnie przerażony, Raoul chwyta mnie za rękę, żebyśmy wspólnie, z całą grupą, przekroczyli Moch 1.

Chlup!

Po chwili pojawia się gigantyczne monstrum. Kobieta w atłasowej sukni z trupa czaszką zamiast twarzy unosi się w czarnej przestrzeni niczym sterowiec w filmie grozy. Jej przenikliwy śmiech ogłusza mnie. Jestem jak dzieciak stojący przed tą istotą, która jest dziesięć, potem sto, a później jeszcze tysiąc razy większa ode mnie.

Kobieta w białych atłasach ma przecudowne ciało. Unosi suknię, odsłania i zmysłowo wyciąga długie nogi o przepięknej linii. Jej klatka piersiowa unosi się, dekolt odsłania miejsce, gdzie zaczynają się piersi.

Wciąż się śmieje, dając mi znak, żebym zagłębił się w fałdy jej sukni z białego atłasu. Maską o wyglądzie trupiej czaszki wpija we mnie wzrok, czekając na moją reakcję, i kurczy się, jakby chciała stać się dostępniejsza.

Teraz, kiedy jej rozmiary są już rozsądne, korzystam z tego, żeby spróbować się od niej oderwać. Wysuwam ręce w stronę brzegów maski. Moje palce niczym ostrza sprawiają, że wytryska spod nich przezroczysta lepka krew. Mimo obrzydzenia nie zwalniam uścisku. Ciągnę do siebie ze wszystkich sił. Za maską schowane jest coś zasadniczego, co muszę za wszelką cenę odsłonić.

Kto ukrywa się za trupa maską tej kobiety, która tak mocno mnie pociąga?

Amandine? Rose? Matka? Raoul? Moja śmierć, ta śmierć, którą badam, żeby wypełnić nie wiem już sam jaką lukę?

Ramię unosi się powoli. Bardzo powoli, zdejmując maskę...

Maska jest już prawie całkiem zdjęta. I widzę...

To nieprawdopodobne, co widzę za maską! Tak nieoczekiwane! A przecież tak bardzo proste...

193 - FILOZOFIA BUDDYJSKA

„Oto, o mnisi, święta prawda o usuwaniu bólu, wygaszanie tego pragnienia poprzez całkowite unicestwienie pożądania, przez usunięcie pożądania, wyrzeczenie się go, wyzwolenie od niego, niepozostawienie na nie miejsca.

Oto, o mnisi, święta prawda o drodze, która prowadzi do usunięcia bólu;

jest to droga święta, mająca osiem odgałęzień, jakimi są: czysta wiara, czysta wola, czysty język, czyste działanie, czyste środki egzystencji, czyste stosowanie, czysta pamięć, czysta medytacja".²⁰

Budda, „Kazanie czterech szlachetnych prawd”

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

194 - ZE ŚMIERCIA TWARZĄ W TWARZ

Cofam się i ponownie staję się całkiem malutki.

Moja ektoplazma zastygła ze zdziwienia. Krew przestała płynąć; w moich palcach.

Za maską przedstawiającą trupa czaszkę był tylko szkielet. I kolejna trupa czaszka. Kobieta w białych atłasach zrywa kolejną maskę, pod którą ukazuje się następna maska i jeszcze jedna, i jeszcze. Zrywa tych masek ponad sto, wciąż identycznych wyobrażeń śmierci.

Śmierć jest zatem wyłącznie tym. Śmierć jest śmiercią, jest śmiercią, śmiercią, śmiercią i niczym więcej.

Ta istota czy rzecz znowu rośnie do gigantycznych rozmiarów. Jej nogi przekształcają się w macki, które obłapiają mnie, więżąc. Bronię się, jak mogę. Jakże dobrze rozumiem teraz przerażenie Bressona!

- Będziesz żałował, że dostałeś się aż tutaj! - wykrzykuje szkielet, zanosząc się znowu śmiechem.

Gdy staję się na powrót ukrytą za maską kobietą, widzę, jak różowe palce gniją, ciało rozkłada się i rozpada. Dwa wskazujące palce wnikają w moją ektoplazmę, usiłując wykluć mi oczy.

Nagle na wprost mnie stoi już tylko pajak okryty białym atłasem.

Telepatycznie powtarzam sobie magiczne zaklęcia, żeby się jej pozbyć. „*Vade retro Satanas*”. Na próżno. Przychodzi mi na myśl litania przeciw strachowi z „Diuny”: „Nie wolno się bać. Strach zabija duszę. Strach to mała śmierć, a wielkie unicestwienie. Stawię mu czoło. Niechaj przejdzie po mnie i przeze mnie, a kiedy przejdzie, obrócę oko swej jaźni na jego

²⁰ Cytat za K. Banek, *Religie Wschodu i Zachodu*, Warszawa 1992.

drogę. Któredy przeszedł strach, tam nie ma nic. Jestem tylko ja".²¹

Zamykam oczy i powtarzam w myślach każde zdanie.

Śmiech zamiera, a kobieta w bieli rozpada się na świetliste bańki.

Pozostaje tylko jedna. To światło w samym środku, które wskazuje nam drogę. Poprzez tę jasność dostrzegam chińskie cienie - sylwetki moich przyjaciół. Dołączam do nich. Wszyscy stoczyli walkę z potworem. Każdy z własnym.

Freddy potwierdza: przekroczyliśmy Moch 1. A Rose jest wciąż daleko przed nami.

Po pierwszej barierze komatycznej zmieniają się kolory. Niebieski zmienia się w fiolet, a potem przechodzi w brąz. Są też czarne odbicia. Czyżby barwy Piekła?

Zwalniamy, gdy tymczasem niczym ziarenka gradu po gwałtownej burzy osaczają nas bańki wspomnień.

Korytarz skręca i przeobraża się w sprężynę. Wciąż zmierzam w stronę światła śmierci, starając się nie zwracać uwagi na ukąszenia. Jakże potężna popycha nas siła! Minęło zaledwie dwadzieścia minut, odkąd opuściłem swoje ciało, a już jestem oddalony o setki lat świetlnych.

Nie mam wrażenia, żebym cokolwiek utracił lub był czegoś pozbawiony. Po prostu porzuciłem zardzewiałą zbroję. A przedtem wierzyłem, że to właśnie ona mnie ochroni, choć tak naprawdę przytłaczała tylko mą duszę, oddech i intelekt.

W tej zbroi odbierałem ciosy, będąc przekonanym, że rany pozostawią na niej jedynie zadrapania. Potężny błąd. Wszystko dotknęło moich wrażliwych korzeni. Wszystkie ciężkie chwile egzystencji przemknęły przede mną jedna po drugiej. Paradoksalnie te ciosy, które otrzymałem, pozostawiły mniej śladów niż te, które sam zadałem. Moja dusza jest jak drzewo, na którym wyryto nożem słowa i wspomnienia.

Wszystko dzieje się bardzo szybko. Widzę moje narodziny, matkę, która na siłę mnie karmi, ojca, który nosząc mnie, przyprawia o zawroty głowy, widzę siebie, jak bawię się w samolot, widzę, jak wyskakują mi pierwsze pryszcze i wstyd z tym związany, widzę mój wypadek samochodowy, hekatombę wśród więźniów z Fleury-Mérogis, Féliksa, który zmuszony jest popełnić samobójstwo, złorzeczący mi tłum w Pałacu Kongresowym, listy z przekleństwami pod moim adresem, listy z pogrózkami i wieczne poczucie winy. „Morderca! Zabójca!”, krzyczą mi prosto w twarz ludzie, których nazwisk nie pamiętam. „Morderca, morderca, morderca, morderca”, powtarza bez końca wewnętrzny głos. „Zabiłeś stu dwudziestu trzech niewinnych ludzi”. „Przykro mi, Michael, ale jako mężczyzna zupełnie nie

²¹ Przeł. M. Marszał.

jesteś w moim typie". Złe wspomnienia mieszają się z dawnymi koszmarami.

Kiedy weźmie się to wszystko razem, wolę już spotkanie z kobietą w białych atlasach. Trudno, muszę stawić czoło przeszłości tak uczciwie, jak to tylko możliwe.

Rose także zatrzymał grad baniek-wspomnień. Może właśnie teraz nadarzy się okazja, żeby ją doścignąć. Zbliżam się do niej, z trudem walcząc ze sztormem własnego życia. Posuwam się jednak dalej do przodu. No, wreszcie, prawie już jestem przy niej. Telepatycznie (gdyż tylko tak porozumiewają się ektoplazmy) krzyczę do niej: „Przybyliśmy po ciebie, żeby pomóc ci wrócić na ziemię”. W ogóle nie zwraca na mnie uwagi. Odnalazła swoją pierwszą miłość. Był to amerykański astronom. Kiedy odszedł od niej, próbowała go odzyskać, podejmując takie same studia. Rose nigdy mi o nim nie wspominała. Teraz rozumiem znacznie lepiej wiele z jej uczuć.

Dyskutuje ze wspomnieniami kochanka. Mówi, że nudził się z nią. Powiedział też, że w związku najważniejsze jest to, żeby nigdy się nie nudzić. Była łagodna i miła, owszem, ale nie dawała mu niczego niezwykłego. Dlatego ją zostawił.

Rose, tonąc we łzach, ucieka. Nie miałem czasu jej przysiąc, że nie można się z nią nudzić, ponieważ przekroczyła już drugą barierę komatyczną.

Nie mogę za nią pospieszyć. Freddy zatrzymuje mnie, chwyciwszy za srebrzystą pepowinę. Przypomina mi, że cel tej ekspedycji polega na tym, byśmy wszyscy wrócili żywi na ziemię, i jeśli będę śpieszył się za bardzo, moja pepowina pęknie i nie będę mógł już ani pomóc Rose, ani wrócić.

Freddy, Stefania, Raoul, Amandine i ja, trzymając się za ręce, pokonujemy razem barierę Moch 2.

Stefania wprawdzie opisywała nam wcześniej rozkosze czerwonej krainy, ale nigdy nie przypuszczałem, że mogą istnieć tak konkretne fantazje i perwersje! Inna Amandine, Amandine, której tak długo pragnąłem, pojawia się teraz w obcisłym kostiumie i kabaretkach i próbuje mnie objąć. Szukam nerwowo niczym zbawienia prawdziwej Amandine, lecz ta oddaje się miłości w ramionach pięknego czarnego efeba o potężnych mięśniach.

Młodzi chłopcy pieszczą Raoula, a nigdy bym nie przypuszczał, że może mieć ukryte homoseksualne ciagoty. Przyzwyczajona już do tego miejsca Stefania korzysta z tej chwili, by przyłączyć się do grupy dziewcząt, które znają najtajniejsze sekrety kobiecego ciała. Na tylnym siedzeniu rolls-royce'a Rose oddaje się księciu z bajki.

Mam ochotę wyciągnąć ją stamtąd, ale Amandine, ta z moich fantazji, której długie blond włosy kontrastują z czarnym strojem, łapie mnie za głowę i wciska moją twarz między rozpalone piersi, śmiejąc się przy tym jak diablica.

Freddy z kolei jest otoczony całym haremem arabskich kobiet, a każda z nich ma w pępku błyszczący diament. Jakby obrywając płatki róży, zdejmuje im po kolei jedwabne woalki.

Gdzie my w ogóle jesteśmy? Amandine z moich snów gładzi mnie po szyi koniuszkami rzęs, które poruszają się coraz szybciej. Rozedrgany motyl łaskocze mnie długimi jedwabnymi skrzydłami. Czyżbym miał już kiedyś takie fantazje? Cudowne. Amandine patrzy na mnie z szelmowskim uśmiechem. A potem ustami chwyta mnie...

195 - KARTOTEKA POLICYJNA

Informacja skierowana do właściwych służb

Dzisiaj rano wystartowała grupa doświadczonych tanatonautów. Nadal przebywają na drugim terytorium. Czy mamy interweniować?

Odpowiedź właściwych służb

Nie, jeszcze nie.

196 - FILOZOFIA BUDDYJSKA

„Jeśli pomimo naszych cnót nasze życie jest nieszczęśliwe, wynika to ze złej dawnej karmy.

Jeśli pomimo naszej niegodziwości mamy szczęśliwe życie, to również wynika z naszej poprzedniej karmy.

Nasze obecne działania wywołają jednak skutki już przy pierwszej nadarzającej się okazji”.

Narada Thera, „Doktryna odrodzenia”

Wyjątek z rozprawy naukowej *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

197 - W CHMURACH...

Delikatnie gryzie mnie w uszy. Niech to zostanie między nami, lecz bardzo mi się to podoba. Przepadam wręcz za tym. Zwłaszcza że gryzie mnie w górną część ucha. A potem w koniuszki. I kark. Nie w szyję. Ale mogą być wierzchołki ramion. I ona o tym wie. Wie wszystko o mojej zmysłowości! Wykorzystuje to. Nadużywa. A potem moja wyśniona Amandine staje się coraz odważniejsza i zaczyna mnie...

Wyrwawszy się w końcu hurysom, Freddy wzywa nas i prosi, żebyśmy zapanowali nad popędem seksualnym. Przylegamy bliżej do siebie, trzymając się nawzajem za pępowiny. Tuż obok mnie mnich taoista czuje się nieswojo. Wie, że przemierzamy cudowne, choć zarazem niebezpieczne obszary.

Kilkakrotnie próbujemy zatrzymać Rose. Wszystko na próżno. Już przekroczyła Moch 3 i dołączyła właśnie do oczekujących w kolejce zmarłych.

Tak jak i ona wchodzimy w pomarańczową krainę. Kolejka nieboszczyków ciągnie się bez końca. Niektórzy z nich dziwią się, że wciąż mamy pępowiny. Co to za dziwni turyści przybyli ze świata żywych, aby zwiedzić kontynent zmarłych? Większość z nich nie okazuje nam jednak najmniejszego zainteresowania.

W tym gęstym tłumie szukam Rose.

Są tutaj całe oddziały żołnierzy zabitych podczas egzotycznych wojen, ofiary wielkich epidemii, tłumy ludzi, którzy zginęli w wypadkach drogowych. Martwi, martwi, wciąż sami martwi, wszystkich ras i ze wszystkich krajów. Trędowaci, skazani na śmierć na krześle elektrycznym, ludzie, którzy przejechali skrzyżowanie na czerwonym świetle, torturowani więźniowie polityczni, nieostrożni fakirzy, osoby z ciągłym zatwardzeniem, podróżnicy, którzy zginęli od strzał zatrutych kurarą, amatorzy eksploracji podwodnych, którzy za bardzo zdenerwowali rekina, straż morską, osoby, które wypiły alkohol metylowy, paranoicy, którzy uciekali przed wymagowanymi wrogami, wyskakując z dziewiątego piętra, amatorzy bungee, dla których guma okazała się za długa, nazbyt ciekawscy wulkanolodzy, krótkowidze, którzy nie dostrzegli nadjeżdżającej ciężarówki, dalekowidze, którzy nie widzieli przepaści, astygmatycy, którzy na czas nie dostrzegli tarantuli, licealiści, którzy nie zrozumieli, że żmija to nie to samo co zaskroniec.

Przepychamy się przez ten tłum.

„Rose, Rose”, wysyłam telepatycznie sygnały.

Kilka kobiet o imieniu Rose odwraca się w moją stronę. Sporo tych pań o imieniu

Rose z kolcami, cierniami i urazami. Tak jak w przypadku innych zmarłych, ich ektoplazmy opowiadają o sobie. Jedna padła ofiarą zazdrosnego męża, inna to chłopka zaskoczona w stogu siana przez mściwego ojca, a kolejna to staruszka, która umarła, nie skorzystawszy ze swojego majątku trwonionego teraz na potęgę przez jej wnuczki...

Posuwam się dalej, mijając kolejnych nieboszczyków. Umarli, umarli, sami umarli. Narkomani, którzy przedawkowali, kobiety, które były bite zbyt często, ludzie, którzy poślizgnęli się na skórce od banana, ci, którzy tylko się zaziębili, ale nie mieli dość szczęścia, palacze z podziurawionymi płucami, zwycięzcy biegu maratońskiego, kierowcy Formuły 1, którzy wypadli na zakręcie, piloci, którzy nie trafili na pas startowy, turyści, którym wydawało się, że Harlem jest znacznie ciekawszy i barwny wieczorem, ofiary porachunków między klanami, odkrywcy nieznanych wirusów, konsumenci wody z Trzeciego Świata, ofiary zabłąkanych kul, kolekcjonerzy min z II wojny światowej, wymuszający haracz dresiarze, którzy wpadli na policjantów w cywilu, złodzieje samochodów pułapek.

Są też motocykliści, którzy byli przekonani, że mają wystarczająco dużo miejsca, by wyprzedzić ciężarówkę przed szczytem wzniesienia, kierowcy ciężarówek, którzy gwałtownie skręcili kierownicę, żeby ominąć motocyklistę na szczycie wzniesienia, autostopowicze, którzy zdążyli tylko zobaczyć na szczycie wzniesienia mijający ich o włos motocykl i jadącą prosto na nich ciężarówkę.

Ci, którym przeszczepiono wątrobę, dyskutują z tymi, którym wszczepiono nowe serce. Dzieci mające pretensje do rodziców, którzy ich nie znaleźli, podczas gdy one, bawiąc się w chowanego, ukryły się po prostu w lodówce.

Między zmarłymi nie ma żadnych napięć. Wszędzie panuje wieczny spokój. Bośniacy z sympatią odnoszą się do Serbów. Korsykańskie klany dochodzą do zgody. Rozbitek ze statku na morzu rozmawia z rozbitkiem z przestrzeni kosmicznej.

Freddy przypomina nam jednak, że nie możemy tracić czasu na zabawę. Zbieramy się wokół niego w gotowości do przyjęcia figury, do której przygotowaliśmy się w laboratorium. Podtrzymując jedni drugich i uważając, by nie uszkodzić pepowin, tworzymy piramidę. Na szczycie Freddy, Raoul i Amandine trzymają mnie na swoich ramionach.

Komunikuję Rose, że jesteśmy tu, by sprowadzić ją do domu. „Po co?” - odpowiada. Uważa, że jej godzina już nadeszła. Trzeba wiedzieć, kiedy skończyć z egzystencją, a ona jest zadowolona ze swojego końca: umarła po udanym życiu. Odeszła, kiedy była szczęśliwa, a jej plany się zrealizowały. Czegóż można więcej chcieć?

Odpowiedziałem, że umarła, zanim zdążyła urodzić dziecko, a ja pragnę mieć z nią potomstwo. Ona na to przypomina zdanie wypowiedziane kiedyś przez Stefanię: „Problem w

tym, że ludzie wyobrażają sobie, iż są na tej ziemi niezastąpieni i nie potrafią wszystkiego zostawić, cóż za pycha!".

Uważa, że na świecie jest wystarczająco dużo ludzi, żeby nie musiała żałować, iż nie zostawia po sobie potomstwa. W końcu, żeby już nie musieć wysłuchiwać moich napomnień, bierze nogi za pas i rozpychając się łokciami, wydostaje się z tłumu stojących w kolejce umarłych.

Moja żona i my wszyscy, którzy za nią pędzimy, przekraczamy w ten sposób czwartą barierę komatyczną, dostając się do krainy poznania.

Wcale o to nie prosząc, od razu potrafię zrozumieć, dlaczego $E=mc^2$, i uważam to za zupełnie genialne. Rozumiem też, dlaczego ludzkość wciąż rozdierana jest przez wojny. Widzę nawet, gdzie włożyłem kluczyki do samochodu, których szukam od tak dawna.

Uzyskałem odpowiedzi na pytania, których sobie nawet nigdy nie zadawałem. Na przykład jak to możliwe, że bąbelki nie ulatują z szampana, jeżeli do butelki włoży się srebrną łyżeczkę (jak to się dzieje, pozostawało dla mnie zawsze wielką tajemnicą!).

Rozumiem, że trzeba pogodzić się bez żalu z tym, że świat jest taki, jaki jest, i że nie należy nikogo oceniać ani osądzać. Rozumiem też, że jedyną ambicją człowieka może być tylko ciągłe dążenie do tego, by stawać się coraz lepszym. Moja inteligencja rozplywa się, czuję, że za chwilę rozsądzi mi mózg. Wiem wszystko - o życiu, o ludziach o przedmiotach. Jakże przyjemnie jest wszystko zrozumieć! Tak szczęśliwy musiał być Adam, gryząc jabłko poznania, i Newton, kiedy jabłko spadło mu na głowę!

O tak, spotkanie z wiedzą być może jest próbą najtrudniejszą ze wszystkich.

Podążam dalej przez krainę wiedzy. Tej wielkiej i tej całkiem małej. Wiedza absolutna i wiedza względna. Zatrzymuję się zaskoczony nagłym objawieniem: uświadamiam sobie, że nigdy nie kochałem. Owszem, odczuwałem współczucie, bywałem też wzruszony. Czułem się dobrze wśród przyjaciół, z ludźmi, z którymi lubiłem przebywać i rozmawiać. Czy jednak naprawdę ich kochałem? Czy w ogóle jestem w stanie kochać? Kochać kogoś, kto jest poza mną i kto nie jest mną? Mówię sobie, że z pewnością nie jestem w tym osamotniony i pewnie wielu jest takich ludzi, którzy nigdy naprawdę nie kochali, ale to nie jest dobre wytłumaczenie. Nie jest to dla mnie ani usprawiedliwieniem, ani pociechą. Doświadczenie śmierci otworzyło mi przynajmniej oczy na kwestię, która zawsze wydawała mi się skażona głupawym sentymentalizmem: trzeba kochać, żeby być szczęśliwym.

Kochać kogoś to największy spośród aktów egoizmu, najpiękniejszy prezent, jaki możemy sprawić samemu sobie. Do tej pory jednak nie byłem do tego zdolny!

No a Rose? W końcu wydawało mi się, że ją kocham, ponieważ umarłem dla niej.

Tymczasem nie kocham jej wystarczająco mocno. Rose, jeśli uda nam się ciebie z tego wyciągnąć, ogłuszę cię miłością. Miłością potężną i bezinteresowną! Bidulka, zdziwi się pewnie przeogromnie tym, co się jej przydarzy. Nie ma nic bardziej przerażającego niż wielka miłość, którą nagle okazuje ktoś, kto zawsze starał się ukrywać swoje uczucia. Będzie to straszne i jednocześnie cudowne! Ach, jak bardzo chciałbym jej powiedzieć, że potrafię zrozumieć, co znaczy kochać naprawdę!

Przyspieszam lot, pozostali robią to samo. Rose jest na końcu tunelu. Kiedy podobnie jak my zatankowała wiedzę do pełna, przekroczyła piątą barierę komatyczną i wchodzi teraz do krainy idealnego piękna.

Chlup!

Co za wstrząs!

Po spotkaniu ze strachem, pragnieniami, czasem i wiedzą oto roztacza się przed nami wspaniała zielona kraina pełna kwiatów, roślinności, przepięknych drzew o mieniącym się listowiu, podobnym do skrzydeł motyla. Jak inaczej jeszcze opisać to, co niemożliwe do opisania? Dostrzegam kobiecą twarz o doskonałych rysach, unoszę się nad jej ciałem, a ono przeobraża się w kwiat, którego płatki są witrażami w katedrze. W przezroczystych jeziorach uśmiechają się do nas ryby o długich kryształowych płetwach. Ciemnoczerwone gazele przeskakują nad zorzą polarną.

Nie są to żadne halucynacje. Idealne piękno sprowadza na powierzchnię wszystkie najpiękniejsze wspomnienia, doprowadzając je do ostatecznych granic. Moi współtowarzysze także przeżywają własne wizje. Czarne fosforyzujące motyle unoszą się wokół Raoula. Srebrzyste delfiny bawią się u boku Stefanii. Freddy otoczony jest zielonymi i białymi sarenkami o grzbietach pokrytych pianką. Gdzieś z oddali dochodzą dźwięki „Popołudnia Fauna” Claude’a Debussy’ego. Piękno to także muzyka. I zapachy, czuję, że wszędzie unosi się delikatny zapach mięty.

Przede mną Rose zwalnia odrobinę, a po chwili znowu wyrusza w stronę przyciągającego ją i znajdującego się w środku światła, które zachwyca także mnie, tak bardzo bowiem te świetlne fale są przyjazne.

Moja żona dotarła już do szóstej bariery. Do Moch 6, którego żadnemu tanatonaucie na świecie nie udało się jeszcze przekroczyć!

Ależ się śpieszy, nie przeszkadza jej już pępowina w biegu w nieznanne!

Chlup!

Jest już po drugiej stronie. Dotarła do *Terra incognita*!

Freddy pokazuje nam, że trzeba teraz zmienić figurę. Domaga się bardziej

rozbudowanej podstawy i bardziej zaostrego wierzchołka. Mówi nam, że tylko on i ja podejmiemy próbę przejścia na drugą stronę. On dlatego, że ma ze wszystkich największe doświadczenie, a ja dlatego, że nikt inny nie będzie w stanie przekonać mojej żony, aby wróciła.

Raoul dodaje mi otuchy.

- No, ruszaj! Prosto przed siebie, wciąż prosto w nieznanie!

198 - FILOZOFIA SUFICKA

*„Pochodzę od duszy, od której każda dusza pochodzi
Jestem z miasta tych, którzy miasta nie mają.
Droga do tego miasta nie ma końca, idź więc,
Strać wszystko, co masz, i to właśnie jest wszystkim.*

*W morzu wierności rozpływam się jak sól
Nie pozostały we mnie ani bezbożność, ani wiara, ani pewność, ani
wątpliwość*

*W moim sercu lśni gwiazda
A w gwieździe tej kryje się siedem niebios”.*

Dżalal ad-Din Rumi, „Rubajjaty”

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznanoma* Francisa Razorbaka

199 - JESTEŚMY NA MIEJSCU

Freddy wciąż mnie zaskakuje. Podąża bez żadnych kompleksów ku granicy, której dotąd nie przekroczył żaden człowiek. Z bardzo mocno naprężoną pewnością sunie śmiało do przodu, ja zaś wlokę się za nim. Jestem już trochę znużony niespodziankami, jakie sprawia nam śmierć. A jednak wyczuwam, że tam, po drugiej stronie, ukryta jest tajemnica, ostateczna tajemnica śmierci.

Poznam wreszcie najbardziej tajemną z tajemnic. Kto bowiem doprowadził do

większej liczby ofiar niż... śmierć? Tutaj za zasłoną kończą się wszystkie thrillery i wszystkie powieści o miłości. Tutaj za tą kurtyną science fiction łączy się z fantastyką, a wszystkie mitologie świata tworzą jedność z naukami ścisłymi.

Najpierw moment wahania, po czym rzucam się przed siebie.

Oto wyłania się ostateczne terytorium Ostatecznego Kontynentu.

Widzę to.

Na chwilę zapominam o Rose. Widzę teraz tajemnicę tajemnic, nigdy ludziom nie objawioną. Widzę cię, czuję, słyszę. Tutaj jest kres. Tutaj jest cmentarzysko słoń. Tutaj umiera światło, wszelkie światła, dźwięk, wszystkie dźwięki. I dusze, wszystkie dusze. A także idee, wszystkie idee.

Jestem w Raju.

Miliony niebiańskich brzmień rozsadzają mi głowę. Odpryski gwiazd mile się ze mną żegnają. Umierająca gwiazda i umierający człowiek pokonują tę samą drogę. Zmierzają do Raju.

Idę we mgle, stąpając na miękkich nogach po cennym terytorium. Moje przezroczyste ramiona unoszą się, jakby szukały zbawienia. Kolana uginają się pode mną. Składam pocałunek na tej rozmytej ziemi.

Przez pomyłkę albo z miłości znalazłem się w Raju. Jakże tu pięknie! Piękniej, niż wyglądają wszystkie idealne wizje z szóstego terytorium. One były tylko powieleniem i imitacją. Rzeczywiste piękno Raju przerasta je wszystkie.

Raj jest moim jedynym krajem, moją jedyną ojczyzną, jedynym obiektem mojego bezkrytycznego uwielbienia. Jestem tutaj. Wydaje mi się, że zawsze znałem to miejsce, zawsze wiedziałem, że stąd pochodzę i że muszę tu powrócić. Na ziemi, tam w dole, byłem tylko przejazdem. Jakby na wakacjach. Jestem ektoplazmą i nigdy tak naprawdę nie byłem Michaellem Pinsonem. Jestem ektoplazmą w czystej postaci. I nigdy nie byłem tym smutnym głupawym Michaellem Pinsonem.

Ten facet jest taki głupi, podczas gdy moje prawdziwe „ja” jest takie... lekkie. Lekkość, oto najważniejsza cnota. Moją ambicją jest pozostać myślącym oparem. Byłem przywiązany do ziemi i do ciała. Błędy młodości.

Widzę teraz Rose i kocham ją bardziej, niż kochałem na ziemi. Po co mielibyśmy wracać do wymiętej skóry, do cierpiących ciał i do mózgow nafaszerowanych bezsensownymi troskami? Jest nam dobrze tutaj we dwoje. Nie boimy się już czasu. Nie boimy się niczego.

Nie obchodzą mnie nic a nic tanatonauci, którzy czekają na mnie u wrót Raju. To

głupcy, skoro wciąż tam stoją. Odnalazłem mój kraj i mój świat. Objawienie objawień. Jestem u źródła. Widzę prawdziwe słońce. Obok to drugie słońce, słońce Ziemi, wydaje mi się żółtawe. Biel, prawdziwa biel, czysta biel może istnieć tylko w Raju.

Jestem w Raju. Przybyłem, żeby ochronić Rose, co za głupota!

Mgła rzędzie. Poda mną ukazuje się długa kolejka zmarłych. Tworzy rzekę, która gdzieś w oddali wygląda, jakby się rozdawała. Schodzę niżej, by przyjrzeć się temu zjawisku z bliska. Rzeczywiście rzeka dusz rozdziela się dalej na cztery odnóża, a pośrodku ludzkich dusz widzę teraz dusze zwierząt, a nawet dusze roślin. Pewnie do Raju prowadzą też inne wrota, przez które one się dostały. Są tu morskie anemony i algi, niedźwiedzie i róże. Rośliny też mają duszę. Wiem o tym, bo teraz wszystko już rozumiałem.

Absolutny synkretyzm. Wszyscy jesteśmy solidarni i na ziemi wszyscy razem cierpieliśmy. Trzeba żyć, unikając wszelkiej przemocy. Nie stosować przemocy wobec innych, kimkolwiek lub czymkolwiek są, i nie stawiać się samemu przemocą. Ta zasada egzystencji przenika mnie aż po czubki palców u nóg. A zatem byłem tylko nic niewiedzącą istotą ludzką, która pewnego dnia miała unieść się do Raju, żeby zdać sobie sprawę z własnej ignorancji.

Rzeka, z której aż wylewają się dusze ludzi, zwierząt i roślin, tworzy cztery odgałęzienia. Które z dzieł zgromadzonych na biurku Raoula wspominają o krainie przecinanej przez cztery rzeki? Mówili o tym hindusi, a także żydzi. Przychodzą mi na myśl zdania z pracy naukowej Raoula: „MITOLOGIA HEBRAJSKA Raj znajduje się w siódmym niebiańskim kręgu. Prowadzi doń dwoje drzwi. Tam czeka nas taniec i radość. Widać cztery rzeki, jedną płynie powietrze, drugą miód, trzecią wino, a czwartą dym kadzideł...”. „Raj oblewają cztery rzeki” - tak jest również napisane w Koranie.

Starożytni na całym świecie wiedzieli i posłużyli się metaforą, żeby opisać ten sam pejzaż.

Cztery rzeki. Cztery podziory. Cztery rodzaje dusz, nie tylko dobro i zło, a raczej cztery rodzaje dźwięku: niskie, średnie, wysokie i bardzo wysokie. Cztery sposoby bycia duszą.

Podążając za Rose, Freddy i ja posuwamy się w górę czterech rzek wypełnionych zmarłymi.

I nagle widzę anioły.

200 - FILOZOFIA CHRZEŚCIJAŃSKA

„Błogosławieni ujrzą wtedy jasno rozwiązanie tajemnic, których prawdziwość potwierdzał na ziemi rozum, z pokorą podporządkowując się wierze. Trójca, wcielenie, odkupienie, ukryte prawa Opatrzności rządzące duszą, rządzące światem i oddziałujące na narody, których historia jest dla nas często zagadką lub skandalem. Będzie im dane poznać nadprzyrodzoną moc wyroków Boskich dla uświęcenia Wybranych i nieskończenie cudowną istotę Boskości”.

Arcybiskup Élie Méric

Fragment rozprawy *śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

201 - NA KOŃCU

Z daleka wyglądały jak robaczki świętojańskie.

Anioły.

Od razu wiem, że to właśnie one.

Rajskie anioły.

Podróż warta była tego widoku.

Freddy chwyta mnie za ramiona i potrząsa mną jak śliwą. Krzyczy do mnie, że przyrzekliśmy sobie sprowadzić Rose do świata żywych, a nie że zostaniemy z nią na kontynencie umarłych. Błaga, żebym nie zapominał o naszej misji. Wychwycił wszystkie myśli, które wcześniej przyszły mi do głowy. Tak szybko można się porozumieć, będąc ektooplazmami!

Rabin mówi coś, próbuje przemówić mi do rozumu. Szaleństwo się skończyło. Śmierci, pokonałem cię już, gdy ukazywałaś mi się pod postacią kobiety w białych atłasach, nigdy nie uda ci się mnie uwieść, nawet gdy pojawisz się jako Raj.

Freddy jest zadowolony. Zdaje sobie sprawę, że przywrócił spokój w moim umyśle. Nawet Raj nie będzie tak potężny jak moja wola. Wiem, kim jestem. Czystą duszą i materialnym ciałem, które przynajmniej na razie nie zostały od siebie oddzielone. Jestem

duchem i materią, a duch musi być silniejszy od materii. Muszę zachować równowagę między sercem i rozumem.

Wiem, kim jestem. Wiem, kim jesteśmy. Nie dwiema duszami pośród innych, lecz dwoma wykonującymi misję tanatonautami. Nie jesteśmy zmarłymi, ale żywymi, którzy są w stanie zbadać Ostateczny Kontynent i stamtąd powrócić. Jesteśmy tu po to, żeby uratować Rose.

Podążamy odgałęzieniem „miód” odchodzącym od rzeki zmarłych. Wmieszaliśmy się między nich. Zmarli obserwują nas oszołomieni, ponieważ nadal mamy pępowiny. Nie wiem, dlaczego jeszcze nie pękły, w każdym razie trzymają się mocno.

Te cztery kolejki są bardzo długie. Można by pomyśleć, że jesteśmy przed stanowiskiem odpraw na przepelnionym lotnisku w okresie wakacji.

Krzyczę na całe gardło: „Rose! Rose!”, a jakiś staruszek zagryziony przez wygłodzone koty usłyszał moje wołanie i pokazuje mi, że Rose jest gdzieś z przodu. Pewnie przeszła przez punkt kontrolny i dotarła już do ważenia.

- Ano właśnie - telepatycznie mówi do mnie rozżalony staruszek. - Niektóre dusze czasami mają lepiej niż inne. Doganiają i wyprzedzają dusze, które już od wieków oczekują w zielonej krainie. Kto to wie, dlaczego tak się dzieje...

- Mówi pan, że ona jest przy ważeniu?

- No tak. Ważą teraz jej duszę. Sprawdzają, co zrobiła dobrego, a co złego za życia, zanim podejmą decyzję co do jej przyszej reinkarnacji.

- A gdzie odbywa się to ważenie?

- Tam, na wprost. Nie można nie trafić. Wciąż prosto przed siebie.

202 - FILOZOFIA TAOISTYCZNA

„Mędrzec kocha to życie, dopóki ono trwa, i zapomina o nim, gdy rozpocznie się inne życie. Ten kto z duszą powszechną stanowi jedność, zachowa swoje Ja wszędzie, dokąd pójdzie.

Ogień jest dla wiązki chrustu tym, czym dusza jest dla ciała. Ogień przechodzi od jednej wiązki do drugiej, tak jak dusza przechodzi do nowego ciała. Ogień rozprzestrzenia się, nie gasząc życia. Życie zaś trwa bez końca”.

Zhuangzi

203 - KARTOTEKA POLICYJNA

Informacja skierowana do właściwych służb

Nie zgodziliście się na interwencję, żeby ich powstrzymać. Teraz są tutaj, Miejmy nadzieję, że nie jest jeszcze za późno. Musicie sobie z tym poradzić.

Odpowiedź właściwych służb

Poradzimy sobie.

204 - WAŻENIE DUSZ

Razem z Freddym brodzimy w białej mgłę wśród ludzkich i nie tylko ludzkich dusz. Kierujemy się w stronę doliny, w której łączą się cztery odnogi rzeki zmarłych. Zmarli podążają wciąż w stronę światła. Anioły otaczają ich, przysuwając się coraz bliżej.

Anioły są *a priori* ektoplazmami takimi jak my. Nie mają wprawdzie pępowni, ale są otulone w fosforyzującą aureolę i przebiegają przez nie wielobarwne refleksy. Przyglądają się nam, a ich aureole rozświetlają się fantastycznymi odcieniami, tak jakby potrafiły wyrażać myśli, zmieniając po prostu kolory.

Wirują z dołu do góry i od lewej do prawej strony, tak samo jak płód przemieszcza się w łonie matki, i pytają nas, co tu robimy, mając wciąż nietknięte pępowniny.

- Szukamy pewnej kobiety.

Jeden z aniołów oświadcza, że właśnie on pozwala odnaleźć to, co zostało zgubione.

Opisuję mu Rose. Potwierdza, że jest już niedaleko ważenia. Pokazuje mi w oddali, gdzieś ponad doliną, w której zlewają się cztery odnogi rzeki, świetlistą górę zanurzoną we mgłę. To z jej szczytu wydobywa się światło, wskazujące nam drogę od chwili, gdy dotarliśmy do Raju.

Wraz z umarłymi podążamy ścieżką prowadzącą nas do światła.

Nad wierzchołkiem unoszą się trzy anioły, których aureole są jeszcze bardziej

jaskrawe.

- To nie są anioły takie jak inne - szepce mi do ucha Freddy. - To archanioły.

Błyszczą mocnym światłem, a tłum zmarłych zbliża się do nich z trudem, posuwając się małymi kroczkami.

Rabin pokazuje mi Rose tuż nad nami, zanurzoną w górskim świetle i w mieniących się archaniołach. Tam, na tym nasypie, gromadzą się zmarli, którzy zaraz mają się stawić przed archaniołami.

- Następny - oznajmia jeden z archaniołów.

Następna jest właśnie Rose.

- No już, idź tam, przekonaj ich, żeby pozwolili jej odejść - ponagla mnie nasz rabin.

On nie może już dalej za mną iść. Trzyma moją pępowinę, która jest tak napięta, że wydaje się, iż za chwilę pęknie. W tym momencie naprawdę igramy ze śmiercią. Muszę podążać dalej sam, gdy on w tym czasie czuwać będzie nad naszymi pępowinami.

Lecę w stronę archaniołów, nieomal krzyżąc:

- Zaczekajcie! Zanim osądzicie tę kobietę, muszę wam powiedzieć, że my, żywi, nie chcemy, żeby stanęła teraz przed wami.

Archanioł przygląda mi się bez cienia zdziwienia. Jego telepatyczny głos jest łagodny i uspokajający. Wydaje się otwarty na wszelkie argumenty. Ten pełnomocnik śmierci nie ma w sobie nic przerażającego. Stara się nawet uspokoić mnie, tak samo zresztą jak zgromadzonych wokoło umarłych.

- Proszę mi to wyjaśnić.

- Rose umarła, padając ofiarą bandy łobuzów, ale nie powinna była się tutaj znaleźć.

Dwa inne archanioły też są nad wyraz uprzejme. W otaczającej je łunie przypominają trochę te pozaziemskie istoty z filmu Stevena Spielberga „Bliskie spotkania trzeciego stopnia”.

Pytają mnie, jakim prawem znalazłem się tutaj. Przyglądają się uważnie znajdującemu się za mną rabinowi i naszym nienaruszonym pępowinom.

- Chcecie ją sprowadzić na ziemię, o to chodzi?

- Tak. Czterdziestu żywych wspięło się tu do was, żeby ją uratować.

Trzy archanioły przysunęły się bliżej do siebie i prowadzą ożywioną dyskusję. Jeden z nich rozwija przezroczystą nitkę pełną supełków i wydaje się, że odczytuje z nich całą masę interesujących informacji.

Wpatruje się we mnie, potem w Rose, rozmawia przez chwilę z pozostałymi archaniołami, wreszcie zwraca się do mnie, mówiąc:

- Jeśli czterdzieści ludzkich istot podjęło tak wielkie ryzyko, to ta kobieta rzeczywiście musi być niezbędna na waszym padole. Pozwalamy wam zatem wrócić na ziemię, ale oddamy jej pępownię pod warunkiem, że tego pragnie i sama o tym zdecyduje.

Rose waha się. Od tej chwili jej los spoczywa we własnych rękach. Widzę, że jej duch chętnie by już dał sobie spokój z grą, jaką jest życie. Tak jak i ja niewiele wcześniej, wyobraża sobie, że tutaj właśnie jest jej kraj, jej jedyna ojczyzna. Równocześnie coś, co jest w niej, być może miłość do mnie, walczy z tym odczuciem.

Wokół nas umarli i aniołowie wyczekują z zainteresowaniem, na którą stronę przechyli się szala.

- Jakież to szczęście być tak mocno kochanym przez śmiertelnika! - szepcze jakiś Japończyk, który popełnił harakiri.

Przytakuje mu zamęczone na śmierć dziecko.

Jeden z aniołów zauważa, że po raz pierwszy jest świadkiem takiego zawirowania.

Inny z kolei cieszy się, że pozwolono nam wspiać się aż tak wysoko. Sytuacja staje się coraz bardziej interesująca.

Rose patrzy na archaniołów. Oni jednak nie chcą wpływać na jej decyzję. Jeśli tego pragnie, można zważyć jej duszę. Jeśli nie, może wrócić, grając dalej w serialu własnej egzystencji, z jej radościami i smutkami, z dobrymi i złymi uczynkami. Za swój los każdy odpowiada sam.

Freddy obserwuje nas z góry, trzymając się nieco z tyłu. Z oddali wygląda to jak ślub celebrowany w przepięknej białej katedrze. Para zwrócona do siebie twarzami, Rose i ja, za nami długa szara kolejka zaproszonych gości, przed nami zaś góra światła.

Rose robi najpierw krok w stronę archaniołów, potem drugi. Wstrzymuję oddech, a ona nagle odwraca się na pięcie i wpada w moje ramiona.

- Wybaczcie mi - mówi - ale mam jeszcze tyle rzeczy do zrobienia tam, w dole.

Zaskoczeni aniołowie zmieniają kolor. Scena, która do tej pory zanurzona była w jasnożółtej poświacie, teraz przechodzi w kolor niebieski. Archaniołowie uśmiechają się do nas z rozrzewnieniem. Malutkie jak ważki cherubinki krzątają się wokół nas. Pępownina, której końca nie widzę, wysuwa się z brzucha mojej żony, kierując się w stronę wlotu czarnej dziury. Rose jest znowu podłączona. Pępownina na powrót połączyła jej duszę z ciałem.

Dołączamy do Freddy'ego. Wie, że nam się powiodło.

Umarli pozdrawiają nas:

- Dużo szczęścia w materialnym świecie, moi drodzy!

- Będą go potrzebowali - wzdycha ciężko Amerykanin, psychopata i seryjny morderca,

którego zgrillowano na krzesło elektrycznym. - Ja wolałbym już raczej zdechnąć na dobre, niż wracać do materialnego świata, życie to jedna wielka dolina łez.

Nie słuchamy go.

Powrót jest rzecz jasna przyjemniejszy niż podróż w tamtą stronę. Już nie lękamy się o pępowiny. Zsuwamy się po górze światła, lecimy wzdłuż czterech odnóg rzeki zmarłych, a potem wzdłuż jednego już tylko nurtu. Niczym łososie, które wróciły do źródeł, opuszczamy to miejsce, wiedząc, że i tak kiedyś będziemy musieli tu powrócić.

Przed szóstą barierą komatyczną czekają na nas wszyscy przyjaciele, którzy teraz oklaskują mentalnie nasz powrót. Przez cały ten czas czekali i niepokoiли się, widząc, jak mocno naprężają się nasze pępowiny, i obawiając się, że nie będziemy już w stanie zawrócić.

Raoul, Stefania, Amandine, chińscy mnisi i rabini, dzięki którym udało nam się poznać najgłębsze pokłady życia i dotknąć istoty śmierci, fruują radośnie wokół nas. Znowu przemierzamy kolejne terytoria i kolejne bariery Moch.

Przed nami przesuwają się piękno, wiedza, cierpliwość, rozkosz i strach.

Prawie już wydostaliśmy się z czarnej dziury. Na zewnątrz gwiazdy ledwie błyszczą, gdy porówna się je z potężnym światłem, które ujrzelіśmy tam, na dole, na samym dnie. Unosimy się szczęśliwi, kiedy nagle pojawia się banda podejrzanych ektoplazm.

205 - FILOZOFIA HINDUISTYCZNA

„Człowiek podobny jest do poszewki na poduszkę. Jedna poszewka może być czerwona, inna czarna i tak dalej, ale we wszystkich jest ta sama bawełna. Tak samo z ludźmi: jeden jest piękny, drugi brzydki, trzeci pobożny, a czwarty zły; w każdym z nich jednak żyje ten sam Bóg”

Ramakryszna

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajome* Francisa Razorbaka

206 - DROBNY PROBLEM

Wydawało nam się, że pogodziliśmy się już ze Starcem z Gór, którego odstąpili uśmierceni asasyni, jak i przywołani do porządku koalicjanci. Nic z tych rzeczy. Po wymianie kilku uprzejmości na naszym tanatodromie górę wzięła jego prawdziwa natura. Z braku tanatonautów muzułmanów, gdy zawarte zostało między religiami wielkie przymierze, udało mu się skrzyknąć niewielką grupę tanatonautów najemników.

Wykrzykuje do nas telepatycznie, że ekumenizm to pułapka, której celem jest uśpienie wszystkich wyznań i ułatwienie żydom opanowania Raju.

Freddy odpowiada na to, że nikt nie może stać się właścicielem Ostatecznego Kontynentu i że nic dziwnego, iż duchowni się porozumieli, aby sprzeciwić się wszelkim przejawom przemocy. Ostatni z asasynów mówi, że zna wszystkie słowne wybiegi, do których zdolni są rabini, i nie da się na nie już nigdy nabrać.

Z rozbawieniem zauważam w tej grupie grubego Martineza, naszego wroga z czasów dzieciństwa, który potem zgłosił się jako kandydat na tanatonaute, w czasach gdy trup ścielił się gęsto, a my mu odmówiliśmy, zanim zdążył nas rozpoznać. Nie cierpi nas teraz tym bardziej, że uratowaliśmy go od pewnej wówczas śmierci. To dziwne, ale ludzie, którzy wam szkodzili, mają do was pretensje o to, co sami wam zrobili. A jeśli oddacie im jeszcze jakąś przysługę, wtedy ich nienawiść nie zna wręcz granic.

Najemników jest więcej niż nas i bardzo się boją. Głupio byłoby teraz zginąć w taki sposób po tak niezwyklej wyprawie!

Freddy jednak doskonale wie, że Starzec z Gór tak naprawdę poluje tylko na niego. Właśnie dlatego, że starał się go zrozumieć i stać się jego przyjacielem, po tym jak Starzec usiłował zabić zarówno jego, jak i jego bliskich. Asasyn reaguje dokładnie tak samo, jak by zareagowała każda istota pokroju Martineza.

Zanim cokolwiek udaje nam się zrobić, rabin pragnąc nas chronić, odwiązuje swoją pępowinę i odłącza się od nas. Próbuje wykonać manewr w celu zmylenia przeciwnika.

- Uciekajcie szybko - rozkazuje nam. - Jeśli zostaniemy razem, nikomu nie uda się wrócić.

Wahamy się, nie chcąc zostawiać go samego, ale jego telepatyczny nacisk jest tak kategoriyczny, że w końcu zgadzamy zabierając siłą Amandine, która za wszelką cenę chciałyby walczyć u boku męża.

- Freddy! - krzyczy Amandine.

- Wyruszajcie, zostawcie mnie, stanę się lamedwownikiem.

Wymachuje ektoplazmicznym lassem, a jego srebrzysta pępowina okręca się wokół zbliżających się do niego najemników.

- Freddy!

Stary mędrzec daje nam uspokajające znaki.

Do naszych uszu dociera ostatnie przesłanie:

- Odejdźcie stąd! Przejdę reinkarnację, gdy tylko będzie to możliwe. Czekać na narodziny dziecka, które będzie miało te same inicjały co ja. Rozpozna należące do mnie przedmioty. Uciekajcie i pamiętajcie: F. M.!

Freddy otrzymuje kolejne ciosy. Broni się zajadle. Bogaty w doświadczenie wojen stoczonych w Raju stary niewidomy rabin zdąży jeszcze odciąć pośpiesznie pępowiny kilku napastników, zanim zniknie pod ich masą.

Zbierając wszystkie siły, Stefania chce szturmować ten stos. Podążamy za nią, lecz jest już za późno. Starzec z Gór przeciął pępowinę Freddy'ego.

Ostatni rozpaczliwy gest i rabin zostaje wchłonięty przez światło.

Najemnicy ruszają teraz w naszą stronę.

- Ty i ja przeciwko imbecydom - mówi Raoul.

Pierś w pierś Amandine odważnie stawia czoło Martinezowi. Rose ściera się z dwiema wrogimi duszami. Raoul naciera na kilku płatnych zabójców. A ja nie mam szczęścia, bo muszę walczyć sam jeden ze Starcem z Gór we własnej osobie!

Ten gość nie życzy mi dobrze, jestem tego więcej niż pewien.

Wyprowadzam kilka ciosów, jak potrafię najlepiej. Lecz on świetnie się czuje, potykając się z tak marnym przeciwnikiem. Okręca mi pępowinę wokół szyi, jakby chciał mnie udusić. Zaciska i dławi moją duszę. Napina moją pępowinę do granic możliwości. Tylko czekam, aż usłyszę trzask, który odeśle mnie do archaniołów, gdy nagle napięcie słabnie. Gdy Amandine bez większego trudu poradziła sobie z Martinezem, zaszła go od tyłu i przecięła wreszcie pępowinę upartego asasyna. Mężczyzna jest przerażony tym, co go spotkało: został pokonany przez kobietę!

Jako że wysyłał wcześniej tak wielu ludzi do sztucznych rajów, asasyn zdaje sobie sprawę, że ten prawdziwy musi być znacznie mniej przyjemny. Próbuje rozpaczliwie powiązać poszarpaną w strzępy srebrzystą nić, gdzie aż roi się od podwójnych i zabezpieczających węzłów. Ale w śmierci, tak jak i w życiu, nie ma żadnych dzokerów. Koty być może żyją dziewięć razy, lecz ludzie z pewnością nie. Przegrana to przegrana. Żaden z

węzłów asasy na nie wytrzymał.

Chlup!

Starzec z Gór wchłonięty zostaje przez światłość jak okruchy przez odpływ w zlewie. Wśród najemników, którzy pozostali przy życiu, powstaje całkowity chaos.

Z naszych piersi wydobywa się westchnienie ulgi. Amandine błaga nas, byśmy spróbowali uratować jej męża tak jak Rose, wiemy jednak wszyscy, że dla Freddy'ego jest już za późno i że już nic nie możemy uczynić.

Pogrążeni w smutku oddaliśmy się od wlotu do Raju. Docieramy do poszarpanych brzegów czarnej dziury, gdzie rozżarzone do białości gwiazdy wysyłają w naszą stronę ostatnie agonalne promienie, zanim zostaną wchłonięte.

Zjazd. Znowu jesteśmy w Układzie Słonecznym. Slalom między planetami. Ponownie witamy się z rosyjskimi kosmonautami, którzy właściwie prawie się nie posunęli do przodu od naszego ostatniego spotkania. Przebijamy się przez pole meteorytów. Hamujemy nieco w pobliżu Księżyca. Pod naszymi brzuchami już zarysowuje się turkusowa Ziemia. Już jest Europa, teraz Francja, no i Paryż. Nie sposób się zgubić. Pępowina zawsze doprowadzi was do punktu wyjścia.

Unosząc się bezpiecznie nad stolicą, rozsypujemy pępowiny i towarzyszymy ekto plazmie Rose do samego szpitala Świętego Ludwika. Wbija się w dach tak, jakby to były mokradła. Żeby tylko ta nasza długa wyprawa nie pozostawiła u niej jakichś nieodwracalnych zmian!

My zaś wracamy na tanatodrom. I pomyśleć, że moje *alter ego* tutaj pozostało, siedząc sobie spokojnie, gdy tymczasem ja wykonałem tak wiele akrobacji!

Przenikamy przez dach, potem kolejne piętra, podłogi, aż wreszcie odnajdujemy nasze podatne na cierpienie ciała.

Moja ekto plazma i cielesna powłoka są teraz naprzeciw siebie. To co przeźroczyste i to co wielobarwne. Stałe i lotne. Lekkie i ciężkie. Teraz ważne jest, by połączyć je razem. Wracam do siebie jak do obszernego narciarskiego skafandra. Nikt nie nauczył mnie, jak wraca się do swojej starej skóry. Nic to, improwizuję. Na wszelki wypadek przechodzę przez górę czaszki, gdyż tędy przecież wyszedłem.

Spotkanie z materialnym ciałem nie jest aż tak przyjemne. Od razu odczuwam dawne bóle reumatyczne, pryszcze, zadrapania, próchnicę, jednym słowem wszystko to, co stale nas prześladowuje.

A zatem znowu jestem połączony ze sobą. Jestem znowu tylko jedną, duszą i ciałem. W dużych palcach u nóg wyczuwam mrowienie.

Powoli unoszę powieki. Odkrywam na nowo „normalny” świat i w tym „normalnym” świecie pierwszą rzeczą, jaką widzę, jest monitor elektrokardiografu i wydawane przez niego dźwięki. Rytm serca stopniowo się podnosi.

Kiedy otrząsnęliśmy się z odrętwienia, od razu zadzwoniłem do szpitala. No tak, właśnie mieli do mnie telefonować. Lekarze są mocno podekscytowani. Cud, stał się prawdziwy cud! Rose nagle się obudziła. Odzyskała świadomość. Ma się dobrze.

Wróciłem do pozostałych otaczających ze smutkiem fotel, gdzie Freddy leży z rozchylonymi ustami, jakby powtarzał nam inicjały dziecka, w które się wcieli. F. M.

Jego szkliste niewidzące oczy były szeroko otwarte. Podeszedłem bliżej, delikatnie zamknąłem mu powieki. W tym życiu nigdy się już nie zobaczymy.

EPOKA TRZECIA:
CZAS ZAWODOWCÓW

207 - NAUCZANIE TAROTA

Śmierć jest trzynastą kartą w tarocie. Nie ma ona żadnej nazwy. Jest właściwie jakby pauzą w całej serii obrazków tarota. Dwanaście pierwszych kart jest jak dwanaście pierwszych godzin dnia. Są to tak zwane „małe arkana”.

Kiedy już jednak minie dwunasta, a więc południe, zjawia się śmierć i zanurzamy się w innym wymiarze, w „wielkich arkanach”, to znaczy w dwunastu pozostałych godzinach dnia.

W głębokim ezoterycznym sensie trzynaste arkanum oznacza śmierć profana, który odrodzi się już jako wtajemniczony. Karta nie przynosi więc nieszczęścia.

Jeżeli nie uda się przekroczyć stadium śmierci, nie można dalej się rozwijać.

Znaczenie tarota marsylskiego

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

208 - PODRĘCZNIK DO HISTORII

WIERZENIA NASZYCH PRZODKÓW

Sondaż przeprowadzony w Europie w 1981 roku (pod koniec drugiego tysiąclecia) dotyczący wierzeń mieszkańców; klasyfikacja według wyznań. (Źródło: *Les Valeurs du temps présent*, Jean Stoetzel, PUF, 1983).

Na 100 osób wierzy w:	Katolicy	Protestanci	Niepraktykujący
Życie po śmierci	52	38	13
Raj	45	43	8
Pieękło	30	16	3

Reinkarnację	23	21	12
Oddzielenie duszy od ciała	66	56	24
Boga	87	75	23

Podręcznik szkolny, kurs podstawowy, 2. rok

209 - WIARA W ANIOŁY

- Mam uwierzyć w istnienie... aniołów? I w co jeszcze?

Tego akurat Rubikonu mój brat Conrad nie chciał przekroczyć. Jego sceptycyzm i wrodzony materializm i tak zostały już poddane ciężkiej próbie. Odmawiał pójścia o choćby jeden krok dalej we współczesnym szaleństwie, które nazwaliśmy tanatonautyką.

Prawdą jest, że anioły były cokolwiek trudne do przełknięcia. Zresztą gdyby ktoś powiedział mi wcześniej, że po śmierci podejmują nas aniołowie, tylko bym się obśmiał. Uczciwie mówiąc, nigdy nie byłem w stanie uwierzyć w połowę połówki jednej dziesiątej wszystkich tych rzeczy, które przeżyłem dzięki moim zmysłom.

Wszystko było bowiem tak bardzo zadziwiające.

Jednakże przyjęcie do wiadomości, że śmierć jest kontynentem, było dla nas najtrudniejszym z etapów, a mimo wszystko etap ten mieliśmy już za sobą. Zgodziliśmy się z tym, że mamy duszę, która potrafi podróżować. Zgodziliśmy się również z tym, że dusza ta jest niematerialna. I zgadzaliśmy się także co do tego, że jest ona przywiązana srebrzystą pępowiną do naszej cielesnej powłoki. A więc czemu miałyby nie być aniołów? W końcu wszystkie religie o nich wspominają w taki czy inny sposób.

Prezydent Lucinder poprosił nas, żebyśmy utrzymali w absolutnej tajemnicy ostatnie odkrycia. Na razie musieliśmy więc zachować dla siebie wiedzę na temat najdalszych zakątków Raju.

- A te anioły, co za historia! Jeszcze tego nam brakowało. Dlaczego nie miałyby się pojawić Bóg, skoro już o tym mówimy?

Uważał, że znaleźliśmy się w posiadaniu bomby, której wybuch należy odsunąć jak najdalej w czasie. Prezydent wpadł potem w złość, dowiedziawszy się, że rabin Meyer został zamordowany przez Starca z Gór i jego najemników.

- Co on sobie myśli, ten facet w turbanie, który zna tylko język przemocy i wykluczenia? Czyżby chciał wypowiedzieć wojnę Niewiernym tam, w górze? Nie pozwolimy

tym piratom zawładnąć Rajem.

- On już nie żyje - powiedział Raoul. - Odbył się okrutny pojedynek, ale Michael i Amandine zwyciężyli i zabili go.

- To nieistotne - huczał Lucinder zza mahoniowego biurka. - Mam już powyżej uszu tych wojen religijnych! Żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku, a nie w średniowieczu. Nie możemy bez przerwy tolerować nietolerancji. Pozwólcie mi działać.

210 - MITOLOGIA HINDUISTYCZNA

„Człowiek dąży do uwolnienia się.

Powtarzanie mantry «Hare Kryszna» trzydzieści pięć milionów razy pozwala uwolnić się od najcięższych grzechów, którymi są:

- zabicie człowieka należącego do wysokiej kasty braminów;

- przywłaszczenie sobie czyjegoś dobra;

- ukradzenie komuś złota;

- stosunek z kobietą należącą do niskiej kasty pariasów. A gdyby nawet odrzucono wszystkie zasady Dharmy, w ten sposób i tak osiągnie się oczyszczenie i uwolnienie”.

Upaniszada Kalisamtarana

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

211 - NARODY ZJEDNOCZONE

Już tydzień później Jean Lucinder, prezydent Republiki Francuskiej, wygłosił przemówienie przed Zgromadzeniem Ogólnym Narodów Zjednoczonych. Położył szczególny nacisk na konieczność pokojowego zagospodarowania Ostatecznego Kontynentu właśnie teraz, kiedy tanatonauryka została powszechnie zaakceptowana. Po erze majsterkowania, po erze medycyny, po erze strachu, pożądania, ekonomii, astronomii i po erze przemocy, nadszedł czas, by wejść w epokę prawa.

To legislatorzy muszą wziąć na siebie odpowiedzialność. Tanatonauryka powinna

podlegać postanowieniom karty, być ujęta w odpowiednie przepisy prawne, należy ustanowić konkretne zasady i wprowadzić w życie kodeks etyczny, który musi być tam stosowany. W przeciwnym wypadku nad naszymi głowami rozciągać się będzie po wsze czasy Dzikie Zachód.

- Przyjęliśmy już dwie ustawy dotyczące tanatonautyki, a jakie są tego skutki, sami widzimy! - zauważył rozczarowany przedstawiciel Gwinei Równikowej.

- Są niewystarczające, potrzebne są zatem nowe regulacje - dowodził Lucinder.

Wobec niezbyt uważnie słuchającej go publiczności nalegał na przyjęcie dwóch nowych artykułów, które później będą znane pod nazwą trzeciego i czwartego prawa tanatonautyki.

Artykuł 3. Zakazuje się odcinania pepowiny jakiegokolwiek ektoplazmy.

Artykuł 4. Każde ciało fizyczne ponosi odpowiedzialność za działania swojej ektoplazmy.

Dalej zamieszczono wykaz sankcji w postaci pozbawienia wolności lub nałożenia grzywny, których wysokość była proporcjonalna do przestępstw popełnionych przez ektoplazmy.

Prezydent Republiki Francuskiej był kategoryczny: Ostateczny Kontynent powinien pozostać obszarem neutralnym, podobnie jak Antarktyda. Obowiązywać powinien zakaz prowadzenia walk i podejmowania działań zmierzających do zawładnięcia tym terytorium.

Sekretarz generalny ONZ poparł tę propozycję:

- Raj należy do wszystkich. Jeśli będzie to konieczne, wyślemy tam „niebieskie hełmy”, których zadaniem będzie utrzymanie pokoju i zapewnienie swobodnego przepływu zmarłych oraz tanatonautów.

Pomruk zdziwienia przebiegł przez salę. Przedstawiciel Fidżi podniósł głowę znad gazety, a reprezentant Surinamu podskoczył wyrwany nagle z letargu.

- No tak, a dlaczego nie? - kontynuował sekretarz generalny. - Ostatecznie Starzec z Gór utworzył prywatną armię, chcąc przywłaszczyć sobie to miejsce. Możemy zatem jak najbardziej wysłać tam siły rozjemcze, a konkretnie jednostki ektoplazmicznych „niebieskich hełmów”. Coś w rodzaju karmicznej policji.

Trzecia i czwarta ustawa zostały przyjęte zdecydowaną większością głosów. Około dwudziestu krajów opowiedziało się przeciw lub wstrzymało się od głosu, żeby nie ściągnąć

na siebie niezadowolenia Arabii Saudyjskiej, która jak wszystkim było wiadomo, nieoficjalnie popierała i finansowała działania Starca z Gór.

Odrzucona została natomiast propozycja powołania karmicznej policji. Na razie nie dochodziło w Raju do aktów przemocy, których skala uzasadniałaby utworzenie takich struktur, w dodatku niezwykle kosztownych. Ponadto stale powracała jak najbardziej „ziemska” kwestia misji powierzanych „niebieskim hełmom”: czy będą mieli prawo zabijać w razie konieczności czy też będą tam wysłani tylko po to, żeby uniemożliwić zabijanie? A takie miejsce wydawało się prawdziwą łamigłówką! Delegaci woleli zatem zrezygnować z projektu powołania ekto plazmicznej armii ONZ-et.

Lucinder miał rację, sprowadzając problem walk ekto plazmicznych do wymiaru prawnego. W ten sposób ci, którzy zechcą zakłócić spokój na Ostatecznym Kontynencie, znajdą się niejako na marginesie ludzkości. Co więcej, wraz z przyjęciem ustaw tanatonautycznych nasze działania mogły wreszcie zostać oficjalnie uznane. Wielu podejrzewało, że przekroczyliśmy granicę Moch 6, lecz na wszelkie kierowane do nas pytania odpowiadaliśmy całkowitym milczeniem.

W sklepiu na dole matka rozpoczęła teraz sprzedaż kompletnej mapy Ostatecznego Kontynentu, z sześciorgiem wrót i siedmioma zidentyfikowanymi terytoriami. Wszystko razem przypominało nieco trąbkę z poszarpaną podstawą i zaostrzonym czubkiem. W odpowiedniej kolejności naniesione zostały kolory: niebieski, czarny, czerwony, pomarańczowy, żółty, zielony i biały. Mapa wyglądała dosyć ładnie i świetnie się nadawała do tego, żeby zdobić ścianę u początkującego naukowca albo u niepoprawnego marzyciela.

Zamiast podpisów na dole mapy Conrad przekreślił jednym pociągnięciem słowa *Terra incognita*. Czyż nie odkryliśmy już wszystkiego (naprawdę wszystkiego?) na tym odległym terytorium?

Oczywiście zaznaczyliśmy białe terytorium, ale nie wspominaliśmy o aniołach ani o świetlistej górze. Było na to zdecydowanie za wcześnie.

W penthousie tanatodromu w Buttes-Chaumont nasza ekipa tanatonautów zebrała się po raz nie wiadomo który.

Jako że Freddy’ego nie było już wśród nas, wszyscy zarzucali mnie pytaniami o to, czym jest „ważenie duszy”, i rzecz jasna pytali też o dokonującą się po ważeniu reinkarnację.

Opowiadałem i opisywałem, jak dotarliśmy do samego dna Raju, o niekończącej się kolejce zmarłych, która dzieli się na cztery odnogi, o rozległej białej równinie, gdzie odbywa się ważenie dusz, i o trzech sędziach archaniołach.

- Widziałem to wszystko, lecz nie wystarczy widzieć. Trzeba to jeszcze zrozumieć.

A mając w głowie tylko jeden cel, uratowanie żony, nie pomyślałem o tym, żeby zasięgnąć informacji lub zadać pytania aniołom. Wydawało mi się, że kiedy się tam już dotarło, odbywa się „ważenie” dobrych i złych uczynków, zanim nastąpi reinkarnacja uzależniona od poprzedniego życia.

- Może pan sobie wyobrazić, jak wielka jest waga tego stwierdzenia? - zwrócił się do mnie zdecydowanym głosem prezydent Lucinder.

Trzymając w ręce fotografię mężczyzny o siwych skroniach i głębokim spojrzeniu, którą zawsze przy sobie nosił, Raoul zapytał mnie, czy nie zauważyłem tam jego ojca.

Skrzywiłem się tylko. Tam, w górze, był naprawdę niesamowicie gęsty tłum umarłych. Nie, nie widziałem jego ojca, tak jak i nie zobaczyłem mojego. Mój przyjaciel sam stwierdził, że rzeka zmarłych rozszerza się na pomarańczowym terytorium. Nasze dusze w mocno ściśniętym stadzie posuwały się powoli do przodu. Nie sposób było rozpoznać kogokolwiek w tym potężnym nurcie wędrujących milionów dusz...

Amandine, ubrana jak zwykle w czarną suknię, która teraz kojarzyła się z żałobą, zapytała:

- Jesteś naprawdę przekonany, że tam jest koniec? I że dalej nie ma już nic?

Westchnąłem. Jak można być tego pewnym?

- W głębi wznosi się góra światła. I właśnie góra, na której odbywa się ważenie dusz, wysyła przyciągające nas już od pierwszych wrót światło. A nie bardzo mogę sobie wyobrazić, co mogłoby się jeszcze stać dalej, kiedy przejdzie się już przez karmiczny sąd. Nie widziałem zresztą niczego nadzwyczajnego za tą górą, a to z tej prostej przyczyny, że świeci tak mocnym światłem, iż zasłania cały horyzont.

- A zatem być może jest coś jeszcze za tą górą... - zauważyła moja żona, która podczas swojej wędrówki była w rozterce i zastanawiała się, czy wracać na ziemię czy nie, a więc w ogóle nie pomyślała o tym, by dokładniej przyjrzeć się temu miejscu.

Chcąc przede wszystkim odnaleźć ojca, Raoul zaproponował kolejny zbiorowy lot w celu przeprowadzenia dokładniejszych badań. Ja sam nie podchodziłem do pomysłu wyruszenia w zaświaty zbyt entuzjastycznie, ale pozostali byli najwyraźniej podekscytowani na myśl, że mogliby spotkać się z aniołami, zrozumieć sens własnego życia, ujrzyć kres świadomości i tak dalej, i tak dalej.

Amandine, Stefania i Rose od razu podniosły ręce, zgłaszając się na ochotnika. Moja żona stwierdziła, że już całkowicie doszła do siebie po pobycie w szpitalu i czuje się teraz świetnie. Chciała wrócić w przestworza, żeby sprawdzić, czy jej hipoteza z białą fontanną po drugiej stronie czarnej dziury jest do przyjęcia. Natomiast wydaje mi się, że mimo śmierci

Freddy'ego Amandine tak bardzo zachwyił odlotowy „chrzest”, iż była zdecydowana wziąć udział w nowej przygodzie.

Chcąc nie chcąc, zgodziłem się posłużyć im za przewodnika.

Wystartowaliśmy wszyscy razem w piątek trzynastego. Pamiętam doskonale, był to piątek 13 maja. Dzień był niezwykle wietrzny. Na zewnątrz drzewa uginały się pod naporem wiatru, a chmury goniły jedna za drugą. Nie za bardzo lubię wiatr, ale cóż było robić!

Cała nasza piątka ustawiła się w plastikowych kapsułach, podłączyliśmy specjalne kombinezony do komputerów. Wideo zamruczało.

Sześć... pięć... cztery... trzy... dwa... jeden. Start...

Nacisnąłem gruszkę. W drogę do krainy aniołów.

212 - MITOLOGIA ŻYDOWSKA

Trzy dusze odpowiadają trzem mózgom:

- *Hipotalamus: Ruach. Na poziomie naszych potrzeb niezbędnych do przeżycia: jedzenie, picie, spanie, prokreacja.*

- *System limbiczny: Nefesz. Na poziomie naszych emocji: strach, pragnienie, pożądanie, wzruszenie.*

- *Cortex: Nechamat. Na poziomie naszego rozumu: logika, strategia, filozofia, estetyka i zdolność kontrolowania dwóch pozostałych mózgow.*

Według Kabały w momencie fizycznej śmierci zachodzi kilka zmian mentalnych i fizjologicznych. Zohar wyjaśnia, że Nefesz, albo inaczej nasza bioenergia, rozmywa się wraz z rozkładem ciała. Ruach, związany z energią witalną, funkcjonuje nieco dłużej, ale i on w końcu się rozplywa. Część transcendentna, Nechamat, opuszcza zaś całkowicie postać cielesną. Owa wyższa część „ja” dołącza do dusz tych, którzy kochali ją w czasie życia na ziemi. Jej ojciec i zmarli już członkowie rodziny gromadzą się wokół Nechamat, a ona rozpoznaje ich jako tych, których znała na ziemi, wszyscy razem zaś towarzyszą duszy w drodze do miejsca, gdzie ma ona przebywać.

W chwili śmierci można ujrzeć swoich rodziców i przyjaciół w zaświatach. Jeżeli zmarły był pełen cnót, cieszą się i radośnie go witają. Jeżeli nie, rozpoznają go tylko ci, którzy zostali wrzuceni do Gehinomu (czyściec). Tam dusze są obmywane z grzechów.

Gehinom ukazuje się dopiero po tym, jak nastąpi fizyczna śmierć. Jest ona tak samo konieczna, jak konieczny jest porządnym prysznic po wyczerpującym meczu albo przejście przez

komorę dekompresyjną dla płetwonurka, zanim wyjdzie na powierzchnię.

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

213 - U ANIOŁÓW

Moja druga podróż ekto plazmiczna okazała się mniej udana od pierwszej. Podczas pierwszego odlotu myślałem tylko o tym, żeby ratować Rose, a myślenie o innych pozwala zapomnieć o własnych lękach.

Tym razem w drodze myślałem o zbyt wielu rzeczach naraz. Czy będą na nas czyhać najemnicy innego asasy na albo czy nie zastawią na nas pułapki jacyś wyznawcy Belzebuba, gotowi zaatakować zniecka i przeciąć nasze pępowiny?

Bałem się.

Ukrywałem jednak mój strach przed innymi.

W zwartej eskadrze pędziliśmy w przestrzeni z prędkością myśli. Minęliśmy Słońce, które ze względu na ruch obrotowy Ziemi znalazło się dokładnie na drodze prowadzącej do samego środka Galaktyki.

Odrzucałem od siebie dręczące mnie bezustannie pytanie („Co ja tutaj... robię?“). A zresztą sami doskonale wiecie, jakie pytanie mam na myśli.

Nie rozbawiło mnie nawet ponowne spotkanie z rosyjskimi kosmonautami. Kiedy przemykaliśmy obok meteorów, miałem gęsią skórkę, a gdy zbliżaliśmy się do kolejnej planety, wydawało mi się, że to znakomita okazja, by odłożyć gdzieś na bok moją ekto plazmę.

Przyglądałem się bacznie otaczającej mnie Galaktyce. Była taka olbrzymia! Gwiazd było tam, ile dusza zapagnie. Ktoś powinien się wspiąć i zrobić trochę porządku z gwiazdami, które wałęsają się po Drodze Mlecznej. Droga Mleczna! Grecy nazwali ją tak dlatego, że smuga gwiazd przypominała im mleko wylewające się z piersi bogini Hery, żony Zeusa.

Skapani w matczynym mleku wędrujemy niczym turyści w stronę krainy zmarłych.

Żeby zapomnieć o lękach, próbuję cieszyć się rozgrywającym się przede mną spektaklem wciąż odnawiającego się międzygwiazdowego świata. Lecąc, moja ekto plazma wszystko widzi.

Mgławica Oriona przypomina muszelkę świętego Jakuba, która za chwilę się

rozpadnie. Zauważam w niej chmurę gwiazd nazywaną Końską Głową, która rzeczywiście przypomina koński łeb z zakrzywioną na końcu szyją. Nieco dalej po lewej widzę odbijający w górę gwiazdozbiór Łabędzia, a dalej zmieniające się gwiazdy Wielkiego Obłoku Magellana, podobne do odwróconej do góry dnem solniczki. Nadciąga też gwiazda supernowa Wega. Wszystkie te nazwy przychodzą mi całkiem naturalnie na myśl, ale w rzeczywistości to Rose podszeptuje mi je z oddali. Zrozumiała, że ten gwiazdny spektakl zachwyił mnie, dlatego dzieli się swoją wiedzą. Cudowna z niej kobieta!

A teraz gwałtowny zakręt. Daleko przed nami po prawej stronie zauważam galaktykę Andromedy. Jest siostrą naszej Galaktyki i dzielą je zaledwie dwa miliony lat świetlnych. Wokół centralnej osi gwiazdy Andromedy są bardziej żółte od naszych. Zapewne dlatego, że są młodsze. Można by z tego wywnioskować, że nasza stara pocziwa Droga Mleczna jest starsza od podobnej do niej Andromedy.

Wykład z astronomii w przestrzeni kosmicznej, fantastyczna sprawa! To bardziej pasjonujące niż safari.

Ale także tutaj jest dzika zwierzyna. W gwiazdozbiórze Psów Gończych (czysty przypadek) dwie galaktyki niemal się dotykają. Ta mniejsza, w formie kolczatki, przyciągana jest przez tę większą, która ma formę spirali.

- To galaktyka spiralna M 51, galaktyka drapieżna - wyjaśnia mi telepatycznie Rose. - Jest tak ogromna, że wchłania wszystkie galaktyki, które znajdują się w jej zasięgu. Teraz wchłania właśnie galaktykę NGC 5195. Kiedy obie masy znajdują się wystarczająco blisko, jedno ze spiralnych ramion M 51 przysunie się bliżej, żeby przechwycić NGC 5195.

- I ją „pożreć”?

- Nie. Połączą się, żeby utworzyć jeszcze potężniejszą galaktykę, która będzie jeszcze mocniej przyciągać i która też będzie drapieżna.

A zatem drapieżność jest obecna wszędzie. Nawet w nieożywionej materii rozgrywają się prawdziwe tragedie.

Lecimy wciąż dalej, zmierzając w stronę naszego głównego celu. Mijamy egzotyczne układy planet, obłoki czerwonych i białych pyłów gwiazdnych, zamrożone meteory z zaczątkiem życia gotowego rozwinąć się na planecie, która pozwoli im istnieć. Wielkie skupiska gwiazd ustępują teraz miejsca olbrzymim obszarom pustki, gdzie jest tylko czerń, zimno i nicość.

Ale oto wreszcie korona czarnej dziury śmierci. Gwiazdy obijają się o jej brzegi, okalając wejście do gigantycznego tunelu fosforyzującym kręgiem.

Zawiązujemy mocno pięć srebrzystych pępowin, a potem, Wykorzystując jeden z

ektoplazmicznych układów Freddy'ego, przygotowujemy się do szturm na ostatnią strefę.

Pierwsze terytorium: wciągnięci jesteśmy przez wir, podobnie jak „światlisty sok” z pobliskich gwiazd i różnego rodzaju fale i cząsteczki. Docieramy wreszcie do brzegów Ostatecznego Kontynentu. Membrana pierwszej bariery komatycznej wibruje jak bębenek w uchu, gdy przebije się go na wylot. Coś takiego, świat umarłych przypomina też ludzkie ucho. Chlup! Przechodzę przez miękką barierę.

Drugie terytorium: znowu lęk przed przeszłością i walka z niestrudżonymi potworami. Ci cerberzy zawsze już będą na mnie czekać tutaj, w krainie końca.

Trzecie terytorium: ponownie pojawiają się fantazje, coraz bardziej czerwone i coraz bardziej czarne. Podoba mi się, że znowu je odnajduję. Jakże okropne musi być życie bez fantazji! Ale nie daję się wciągnąć ani przez pragnienia, ani przez rozkosze.

Czwarte terytorium: cierpliwość. Rzeka umarłych płynie powoli po pomarańczowej równinie. Unoszę się nad kłębiącym się tłumem, lecz tym razem zwracam większą uwagę na tych, którzy tam są. Cud, rozpoznaję bowiem tyle osób, które tak bardzo pragnąłem kiedyś spotkać! Marilyn Monroe, Philip K. Dick, Jules Verne, Rabelais, Leonardo da Vinci. Przeciska się też kilka mitycznych postaci z podręczników do historii: Karol Wielki, Wercyngetoryks, George Washington, Winston Churchill, Lew Trocki.

Ależ ten tłum jest przemieszany. Widzę też, że jest James Dean, Fred Astaire (który nie może się powstrzymać, żeby co rusz nie wykonać kilku kroków i postępować przez chwilę, by szybciej mijał czas), Molière, Gary Cooper, królowa Margot, Lilian Gish, Louise Brooks, Zola, Houdini, Mao Zedong, Ava Gardner, Borgiowie (trzymający się razem i otaczający Lukrecję).

Najbardziej niecierpliwi próbują trzymać się środka rzeki, żeby jak najszybciej dostać się do światła. Mniej zdyscyplinowani wałęsają się po obrzeżach. Wielu wykorzystuje przerwę na nawiązanie niezwykłych znajomości.

Strasznie się kłóca w kręgu rodziny ostatniego cara Rosji, wyrzucając sobie nawzajem, że nie przewidzieli rewolucji. Ludwik XVI stara się ich jakoś pogodzić: on też nie dostrzegł nadciągającej burzy. Odwraca się, żeby porozmawiać o mapach z Markiem Polo. To była bowiem prawdziwa pasja tej sympatycznej królewskiej ektoplazmy: kartografia. Interesował się też trochę ślusarstwem, ale nanoszenie na mapę kanadyjskich rzek i przesuwanie słów *Terra incognita* było naprawdę ulubionym i nieznanym hobby Ludwika XVI.

Raj to naprawdę ostatni elegancki salon, w którym prowadzi się dyskusje! O! Widzę tam, w górze, jak Wiktor Hugo z wielką brodą podrywa Dianę, boginię łowów. Raoul jest może i sympatyczny, ale zawsze proponuje jakieś zgadywanki i nie podaje później

rozwiązania. Łąduję obok Wiktora Hugo i korzystam z okazji, prosząc, żeby podał mi rozwiązanie tej szarady dotyczącej ciastek. Najpierw jest poirytowany, bo przeszkadzam mu w podbojach, lecz kiedy przedstawiam mu swoje racje, wybucha śmiechem i wyjaśnia mi wszystko.

„Mój pierwszy to pół baby. Mój drugi to samowar bez Sama. Mój trzeci to kapusta, choć wcale nie pusta, a wszystko to razem: angielska herbata w niemieckim wydaniu. Rozwiązanie: chodzi o bawarkę". Rzeczywiście rozwiązanie było tak proste, że nie wpadłem na nie.

Co za szczęście, że można zadawać pytania tym, którzy są najlepiej zorientowani. Gdybym miał więcej czasu, poszukałbym Stradivariusa, żeby poznać recepturę kleju, którego używał do wyrobu swoich drogocennych skrzypiec. Spróbowałbym się dowiedzieć, gdzie dokładnie zginął Saint-Exupéry, i dlaczego tylko z góry można zobaczyć gigantyczne rysunki w Chile i Peru.

Lecz nagle dostrzegam znajomą twarz. Moja prababcia Aglaé! Zmierzam szybko w jej stronę. Od razu mnie rozpoznaje i rozumie też natychmiast, dlaczego tak szybko do niej podszedłem. Tak, widziała, jak się zachowywałem, gdy umarła, i nie ma do mnie o to pretensji, ponieważ wyczytała w moim sercu, jakie są moje prawdziwe uczucia. Tak wielu innych, którzy wtedy płakali, było tylko hipokrytami pragnącymi za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę!

Jestem tak zadowolony, że chciałbym odnaleźć ojca i opowiedzieć mu o tym. Od prababci Aglaé dowiaduję się jednak, że już mu o tym powiedziała, a w ogóle to on już jest gdzieś daleko z przodu.

Ponownie wznoszę się do lotu, nieco lżej mi teraz na duszy.

Poniżej Raoul bezskutecznie szuka swojego ojca, Amandine wpada na Féliksa i udaje, że go nie poznaje, pomimo rozpaczliwych krzyków pierwszego tanatonauty. Stefania unosi się spokojnie nad tłumem umarłych, kontynuując drogę w stronę światła. Moja żona astronom jest na czele naszej grupy, chcąc jak najszybciej sprawdzić, czy dno czarnej dziury prowadzi do białej fontanny.

Piąte terytorium: wiedza. Przypadkowo i mimowolnie odkrywam przepis na domową babkę maślaną. Jedna czwarta masła, jedna czwarta mąki, jedna czwarta cukru i jedna czwarta jajek. To również należy do obszaru wiedzy. Żebym tylko nie zapomniał tego przepisu, kiedy wrócę na ziemię.

Szóste terytorium: czas na piękno. Kolejne pokłady fioletowych koronek. Pojawia się nieskończona ilość obrazów-fraktali w bordowym, brunatnożółtym, czerwonym i żółtym

kolorze. Tęczowe motyle wylatują z dziobów różowych jaskółek. Niebieskie, czarne i białe żaby rozpościerają skrzydła podobne do skrzydeł ważek. Żółty koziorożec podnosi się na tylnych nogach. Piękno jest polimorficzne. Tak jak strach.

Siódme terytorium: docieramy wreszcie wszyscy razem do Moch 6, a nasze pępowiny nadal trzymają się mocno.

Podróż ta była może mniej ekscytująca, jako że nie była pierwszą, ale nigdy odloty nie staną się czymś rutynowym. Czyż kosmiczny prom Challenger nie eksplodował, chociaż po tak wielu dokonaniach zaczęto wierzyć, że loty kosmiczne stały się zupełnie bezpieczne? We wszystkim tkwi jakieś niebezpieczeństwo, nawet jeśli odcieleśnienie okazało się naprawdę niegroźną metodą odkrywania wszechświata. W żadnym momencie nie wolno nam zapomnieć o ostrożności. Latamy daleko, bardzo daleko, i szybko, bardzo szybko. Przy takich prędkościach najdrobniejszy incydent może mieć katastrofalne skutki.

Tego co teraz odkrywaliśmy, nie bylibyśmy nigdy w stanie zaobserwować nawet przez najlepszy teleskop zainstalowany na satelicie! Byliśmy pośród gwiazd, w samym środku Galaktyki, na dnie czarnej dziury, z możliwością wydostania się stamtąd. Który z astronomów mógłby oczekiwać czegoś równie wspaniałego?

Dla naszej piątki, pięciu muszkieterów śmierci, nadszedł teraz kres podróży. Dotarliśmy do wielkiej kurtyny zasłaniającej ostatnią tajemnicę śmierci. Posuwałem się naprzód, gdy tymczasem pozostali wahali się, czy podążać za mną. Widzieli doskonale, że rzeka umarłych przebija się przez membranę Moch 6, ale perspektywa ujżenia ostatniej twarzy życia wypełnia lękiem każdą myślącą istotę. Wzruszyłem ramionami. Ostatecznie przecież tam już byłem. Uniosłem odrobinę kawałek wzbudzającej przerażenie kurtyny i zachęciłem moich przyjaciół, by podążyli za mną.

Uderzyło nas najpierw agresywne i magnetyczne płomieniste światło. Zaskoczony zdałem sobie sprawę, że jestem zadowolony, iż znalazłem się na tej rozległej równinie w kształcie białego walca otoczonego woalem mgły. Poniżej rzeka umarłych rozwidła się na cztery odnogi.

Ukazały się nam wtedy pierwsze aureole aniołów, tak barwne i tak świetliste w porównaniu z naszymi jakże szarymi ektoplazmami! Jeśli zapyta mnie ktoś pewnego dnia, co jest najwyższym celem człowieka, będę wiedział, co odpowiedzieć: najwyższym celem jest uczynienie duszy tak piękną, jak piękna jest dusza życzliwego anioła. Ale jak dokonać tak bohaterskiego czynu?

Anioł o wysportowanej sylwetce nadleciał do nas i zapytał, co tu robimy, w dodatku z nietkniętymi pępowinami. Ciekawość? Postęp w nauce? Nawet Stefania, którą przecież tak

trudno zbić z tropu, milczała. Sam anioł odpowiedział więc na swoje pytanie:

- Jesteście Wielkimi Wtajemniczonymi, prawda?
- Kim jesteście? - zdziwił się Raoul.
- Wielkimi Wtajemniczonymi - powtórzył cierpliwie anioł.

Nasze wtargnięcie najwyraźniej zanadto go nie zdziwiło. „Wielcy Wtajemniczeni” - oni mieli swoje określenie dla „żywych”, którzy dotarli aż tu. Oznaczało to, że inni byli tu już przed nami i wiedzę tę zachowali w ścisłej tajemnicy. Inni tanatonauci? Czyżby jacyś mnisi, szamani, rabini, mędrcy dyskretnie i bez pomocy nowoczesnej techniki mieli odbywać tego rodzaju podróże już od najdawniejszych czasów?

Anioł uśmiechał się. Zrozumiałem wtedy, dlaczego on i jego współtowarzysze nie zadawali mi pytań, gdy zjawiłem się w Raju po raz pierwszy. „Wielcy Wtajemniczeni”, no cóż, aniołowie przyzwyczaili się już do ich wizyt, nawet jeśli - jak dowiedzieliśmy się później - nie zdarzały się często.

214 - MITOLOGIA SYBERYJSKA

Według filozofii syberyjskiego szamanizmu po śmierci wszystko zostaje odwrócone. Wstępujemy do krainy, w której to co było na górze, jest teraz na dole, a co było jasne, staje się ciemne.

Zdarza się, że zstępujemy do krainy umarłych podczas szamańskich obrzędów, w czasie choroby, zatrucia lub podczas snu. Zdarza się też, że zjawiamy się w krainie zmarłych, nawet tego nie zauważając.

Dlatego też należy zdobyć wiedzę na temat kilku precyzyjnie określonych elementów.

W krainie zmarłych drzewa rosną w odwrotną stronę, wysuwając w górę swoje korzenie, rzeki płyną w stronę gór, noc jest jasna dzięki czarnemu światłu Księżycy, a dzień jest ciemny w bladych odbiciach Słońca.

To tych kilka drobnych szczegółów pozwala nam się zorientować, że z całą pewnością nie jesteśmy już pośród żywych.

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznamoma* Francisa Razorbaka

215 - ASALIAH

Nasz gospodarz nazywał się po francusku święty Hieronim, a po hebrajsku nosił imię Asaliah, co oznacza „ten, kto wskazuje prawdę”. Nazywał się jeszcze inaczej w wielu innych językach. Dla Egipcjan był to Ptah, Enki dla Sumerów, Apollo dla Rzymian, Mapanos dla Galów, Dianceht dla irlandzkich Celtów, Freyr dla Germanów, Swaróg dla Słowian, Sawitri dla Hindusów, Xochipilli dla Azteków, Illapa dla Inków...

Jego zadaniem było ujawnianie prawdy i pomaganie duszom w doskonaleniu duchowym. Bardzo chętnie odpowiadał na pytania Raoula dotyczące organizacji Raju. Otóż były tam siedemdziesiąt dwa anioły główne i siedemset tysięcy aniołów podrzędnych. Hierarchia była prosta. Pierwsza triada obejmowała Serafyny, Cherubiny i Trony, druga aniołów Panowania, Potęgi i Mocy. I wreszcie do trzeciej, najwyższej triady należeli aniołowie Księstwa, Archaniołowie i Aniołowie. Trzej główni archaniołowie: archanioł Gabriel (posłaniec i przewodnik), archanioł Michał (pogromca smoków), archanioł Rafał (przewodnik lekarzy i wędrowców).

Mieliśmy wybór: mogliśmy uznać aniołów za świętych, za lamedwowników albo też za bodhisattwów, za buddów, wybrańców albo za cadyków. Ich nazwa zmienia się w zależności od religii. Były to jednak zawsze istoty doskonałe, które miały udane życie i mogły wyrwać się z cyklu reinkarnacji, lecz mimo to postanowiły poświęcić się pomaganiu wciąż wędrującym duszom. Żeby się w tym wszystkim nie pogubić, zdecydowaliśmy się przyjąć ogólne i pojemne określenie „anioł”.

W tym momencie Hieronim-Ptah-Xochipilli opuścił nas. Gdy popatrzyło się na kłębiący się w dole tłum, można było szybko się zorientować, że czeka go ogrom pracy. Sami zatem kontynuowaliśmy wizytę.

Zastanawiałem się, czy ponad tymi kohortami jest jeszcze jakiś bóg albo bogowie. Żydzi twierdzą wprawdzie, że jest jeden tylko Bóg, ale przecież Freddy powiedział mi kiedyś, że po hebrajsku Bóg nosi imię Elohim i że jest to liczba mnoga. A więc?

Siedemdziesiąt dwa główne anioły... ta liczba również mi coś przypominała.

- Taką właśnie liczbę szczebli miała Drabina Jakubowa - przypomniał mi telepatycznie Raoul.

216 - ANIOŁY GŁÓWNE

Kilka przykładów imion głównych aniołów pojawiających się w Biblii, ale które również dobrze mogłyby być aniołami greckimi, chińskimi, indyjskimi itd.

Pierwszy anioł: VEHUIA, czuwa nad medytacją i duchowym objawieniem.

Drugi anioł: JELIEL, tłumia niestuszny bunt.

Trzeci anioł: SITAEL, chroni przed wrogiem.

Czwarty anioł: ELEMIAH, pomaga ujawniać zdrajców.

Piąty anioł: MAHAASIAH, pozwala żyć w pokoju z otoczeniem.

Szósty anioł: LELAHHEL, pomaga wyleczyć chorobę.

Siódmy anioł: ACHAIAH, pomaga zgłębić tajemnice przyrody i wprowadzać nowe technologie.

Ósmy anioł: CAHETHEL, przegania złe duchy.

Dziewiąty anioł: HAZIEL, pomaga uzyskać przychyłność ze strony Wielkich i pozwala dotrzymać obietnic.

Dziesiąty anioł: ALADIAL, chroni tych, którzy obawiają się, że ich tajemnice zostaną ujawnione.

Do najbardziej pożytecznych zalicza się także:

Dwunasty anioł: HAHAIHAH, panuje nad światem snów i ujawnia czasami w onirycznej formie święte tajemnice.

Trzynasty anioł: IEZALEL, odpowiada za przyjaźń, pojednanie i małżeńską wierność.

Czternasty anioł: MEBAHEL, chroni przed fałszywymi świadkami.

Szesnasty anioł: HAKAMIAH, chroni przed złą wolą zdrajców.

Siedemnasty anioł: LAUVIZH, odsuwa od nas smutek i nocne lęki.

Osiemnasty anioł: CALIEL, udziela szybkiej pomocy w nieprzewidzianych losowych przypadkach.

Dwudziesty anioł: PAHALIAL, chroni duchownych i czarowników.

Dwudziesty trzeci anioł: MELAHHEL, czuwa nad naszym bezpieczeństwem w podróży.

Dwudziesty szósty anioł: HAAIAH, pomaga nam wygrać proces.

Trzydziesty ósmy anioł: HAAMIAH, pomaga nam odkrywać skarby.

Czterdziesty drugi anioł: MIKAEL, chroni polityków i rządzących.

Pięćdziesiąty anioł: DANIEL, daje natchnienie tym, którzy wahają się przed dokonaniem wyboru.

Pięćdziesiąty trzeci anioł: NANAEL, wspiera naukowców.

Pięćdziesiąty dziewiąty anioł: HARAEL, przekonuje dzieci, by okazywały więcej szacunku swoim rodzicom.

Sześćdziesiąty dziewiąty anioł: ROCHEL, pomaga w odnajdywaniu przedmiotów, które zgubiliśmy lub które zostały nam ukradzione.

Siedemdziesiąty drugi anioł: MUMIAH, pomaga przedsiębiorstwom w odniesieniu sukcesu, a ludzi wspiera, by żyli dłużej.

N. B. W przypadku konkretnych problemów, w przeciwieństwie do znanego ludowego porzekadła, zgodnie z którym „lepiej jest zwrócić się do Boga niż do świętych” zalecane jest odwołanie się do wyspecjalizowanego anioła aniżeli do bóstwa traktowanego globalnie.

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

217 - W DOBRYM TOWARZYSTWIE

Stefania, która odzyskała całą swoją werwę, zaczepiła pewnego anioła, który wyglądał i na kobietę, i na mężczyznę. Jego współtowarzysze nie odzywali się do niego, a i on zdawał się nie mieć ochoty na ich towarzystwo.

- Jakie jest twoje imię?

On także nie zdziwił się za bardzo, widząc nas tutaj. Chętnie odpowiedział:

- Samael. Ale w waszym świecie najczęściej nazywają mnie Szatanem albo aniołem Śmierci, Hadesem lub Wielkim Hermafrodytą. Sumerowie nadali mi imię Nergal, dla Egipcjan zaś noszę imię Seth. Muszę być też znany pod całą masą innych imion, lecz przykro mi, nie przychodzą mi teraz wszystkie na myśl.

Lśnił zagadkowym światłem... Czarnym światłem! Trochę jak lampy w dyskotekach, które nadają białym ubraniom surową fosforyzującą poświatę.

Stefania z trudem powstrzymała się, by nie okazać mu odrazy.

- I tolerują cię tutaj, w Raju?

Rozległ się jego gromki śmiech.

- No pewnie. Raj, Piekło, to jedno i to samo. Tolerują mnie zarówno tutaj, jak i tam na dole, w tym waszym świecie. Jestem zresztą najpotrzebniejszym ze wszystkich aniołów. Oczarowuję ignorantów i popycham ich do złych uczynków, żeby jeszcze bardziej udowodnić im niewiedzę. Owszem, zdaję sobie sprawę, że na ziemi mój wizerunek nie jest najlepszy, ale właśnie uświadamiając niewiedzę ignorantom, możemy sprawić, że będą się rozwijać! Dzięki mnie wszyscy ci, którzy czynią źle, będą mogli się poprawić. Czy w waszych ludowych

mądrościach nie jest powiedziane, że aby się wznieść, trzeba najpierw dotknąć dna? Pomagam więc ludziom dotknąć dna, żeby potem mogli się wznieść.

Nagle z jego twarzy znikł „szatański” wyraz.

- Właściwie jestem na usługach Dobra, ale jest to coś zbyt oryginalnego, żebyście mogli zrozumieć.

Stefania się zastanawiała. Ja zaś zrozumiałem już, o co chodzi. Przecież przynoszące śmierć konflikty nie wybuchają przez to, że ludzie się obżerają, kopulują czy upijają! Największe wojny zawsze toczono w imię Dobra, nie w imię Zła. A czy z tej samej mądrości ludowej, na jaką powoływał się Samael, nie wynika, że ze zła może płynąć dobro?

Kiedy się oddalił od nas, pojawił się po chwili inny anioł, który przedstawił się nam jako święty Piotr-Hermes-Aniel-Merkury, anioł roz pogodzenia, i wyjaśnił nam, że diabły są jedynie cieniami aniołów.

- A więc to pan jest świętym Piotrem! - krzyknęła głośno Stefania, która jako Włoszka nie zapomniała katechizmu. - To pan jest świętym Piotrem, który strzeże kluczy do Raju?

- Właśnie tak - odpowiedział. - Poprzedni Wielcy Wtajemniczeni wyznaczyli mnie, ponieważ bardzo często jestem jedynym aniołem, który ma czas na to, żeby udzielić informacji nowo przybyłym.

- Święty Hieronim-Xochipilli już zdążył nam co nieco wyjaśnić.

- No to mieliście szczęście.

- A co właściwie oznacza zwrot „klucze do Raju”?

Święty Piotr-Hermes pokiwał uprzejmie głową.

- Nie ma oczywiście kluczy w materialnym znaczeniu tego słowa. To tylko pewne wyobrażenie. W zasadzie daję klucze, które pozwalają zrozumieć, czym jest Raj.

Po czym wrócił do kwestii siedemdziesięciu dwóch głównych aniołów. Każdy z aniołów ma swoje mroczne przeciwieństwo i dlatego są siedemdziesiąt dwa diabły główne. Każdy z nich posiada własny pałac, który nazywany jest tutaj sferą. Wszystkiego razem jest ich sto czterdzieści cztery.

Święty Piotr-Hermes jest gadułą. Otwiera też inne zamki. Gabriel, Wielki Archanioł, jest projekcją samego Diabła i działa to również na odwrót. Trzem archaniołom odpowiadają trzej Wielcy Demoniczni Książęta: Belzebub, Szejtan i Yog Sottho, Antychryst opisany w Apokalipsie.

- Robi wrażenie, prawda?

Pokazuje nam czarnego prądkowanego anioła, który szybko przesuwa się nad rzeką zmarłych. Gdy tylko przemknął, wśród zgromadzonych powiało lodowatym chłodem.

- A czy można kontaktować się z aniołami, nie wspinając się aż tutaj? - zapytałem.

- Oczywiście. Każda istota ludzka ma swojego anioła stróża i osobistego demona.

A więc od najdawniejszych czasów ludowe wyobrażenia, które wydawały mi się tak bardzo naiwne, objawiały „najprawdziwszą” prawdę. Anioł stróż, osobisty demon...

Wielcy Wtajemniczeni przekazali swoją wiedzę w możliwie najprzystępniejszej formie i stąd też nie potraktowano jej poważnie, nazywając wszystkie te wierzenia zwykłymi przesadami. A jednak „ktoś o tym wiedział”. W każdym razie wielu ludzi o tym wiedziało, i to od dawna. Od zawsze.

- Anioł stróż i osobisty demon są nam przypisani w dniu narodzin. Później wstawią się za duszą w momencie, gdy będzie ona ważona przez archanioły. Istnieje bardzo prosty sposób na to, żeby się do nich zgłosić. Wystarczy modlitwa albo trzeba wywołać w sobie emocje w dziedzinie, za którą jeden z nas jest odpowiedzialny. Wtedy drgania poruszają południkiem jego kuli. Anioł zstępuje na ziemię, żeby się zorientować, czy konieczna jest interwencja. Funkcjonujemy wyłącznie w sposób pionowy, z góry na dół i z dołu do góry. Każdy z nas jest połączony z emocjonalnym południkiem i pełni funkcję windy, która jest zaprogramowana tylko dla jednego stanu: złości, spokoju, harmonii... Nie ma wolnej woli. Nie można też zmienić poziomu. Ja na przykład pomagam tylko tym, którzy chcą „zrozumieć”, ponieważ jestem świętym Piotrem-Hermesem, aniołem od kluczy i od wyjaśniania.

No właśnie. A więc to takie proste, bardzo „mechaniczne” rozwiązanie. Wystarczy tylko pomyśleć, żeby jakiś anioł podjął interwencję. Pojąłem wreszcie moc i znaczenie modlitwy. Modlić się, oznacza prosić o interwencję konkretnego anioła.

- Rzecz jasna usługa jest płatna - uściślił nasz rozmówca.

Zmarszczyłem moje ektoplazmowe brwi. Jak to? Usługi aniołów nie są bezpłatne? A w jakiej formie dokonywana jest płatność?

- W karmie. To handel wymienny. Trzeba być gotowym na odstąpienie części swojej energii, żeby życzenie się spełniło. Chyba że nasze wnętrze jest tak czyste, że można przyjąć anielską pomoc bez konieczności zapłaty. Ale zdarza się to bardzo rzadko.

Wymiana? Tak. Trochę jak w „Fauście”. Trzeba zaprzedać swoją duszę, żeby zdobyć władzę. Zapisywałem mentalnie klucze, jakie przekazał mi święty Piotr-Hermes:

1. Należy zawsze szanować anioły i nie dopuszczać do siebie jakichkolwiek złych myśli na ich temat.

2. Zawsze trzeba przestrzegać właściwego porządku: prośba musi być przekazana niższymi wyspecjalizowanymi aniołom przez anioły główne.

3. Za każdą prośbę trzeba zapłacić utratą energii, naruszeniem karmy, poświęceniem

własnej osoby, chyba że nasze zachowania są zachowaniami świętego.

4. Możemy kierować nasze prośby zarówno do anioła, jak i do diabła. Ich skuteczność jest identyczna, a zmienia się tylko cena, jaką należy zapłacić. Jeżeli chcemy się na kimś zemścić, lepiej jest zwrócić się do anioła sprawiedliwości niż do diabła złości.

5. Do konkretnego anioła możemy zwrócić się tylko z jedną prośbą. Jeden anioł odpowiada jednemu zadaniu i w określonym czasie.

6. Po wypełnieniu zadania należy uwolnić anioła, mówiąc mu: „Już cię nie potrzebuję”. Anioł nie powinien przebywać zbyt długo na ziemi. Wprowadza tam bowiem zamęt. Musi jak najszybciej powrócić do swojego pałacu. Jeśli bowiem jego pałac będzie pusty przez zbyt długi czas, wówczas negatywne energie mogą się przedostać do niższych obszarów.

Nienawiść wywołuje wibracje w obszarze odpowiadającym hierarchii różnych nienawiści, która zarządzana jest zapewne przez diabła niższych światów. Miłość uruchamia obszary położone w światach wyższych. Białe anioły są aktywowane umiłowaniem Dobra, a czarne umiłowaniem Zła. Tak czy inaczej wszystkie modlitwy są wysłuchane.

I nagle egzystencja staje się czymś bardzo jasnym. W życiu dostaje się zawsze to, czego się pragnie. A kiedy się tego nie dostaje, oznacza to, że nie pragnie się tego tak naprawdę. Anioły potrafią rozróżnić prawdziwe pragnienia od dziecięcych kaprysów. Spełniają tylko te pierwsze.

Po wysłuchaniu tej dobrej telepatycznej nowiny pomyślałem sobie, że gdyby cały świat dowiedział się, iż możliwe jest uzyskanie tego wszystkiego, czego się pragnie, dopiero wtedy zaczęłyby się problemy. Wielcy Wtajemniczeni, i to w każdej epoce, mieli rację, otaczając zawsze tajemnicą wiedzę, której dostąpili.

Święty Piotr-Hermes nagle poderwał się, jakby otrzymał jakieś wezwanie, po czym pośpiesznie pożegnał się z nami. Prawdopodobnie ktoś na Ziemi modlił się do niego, prosząc go o przybycie.

Amandine, Stefania, Raoul, Rose i ja zwiedzaliśmy kolejne miejsca, na tyle rzecz jasna, na ile pozwalały nam powiązane ze sobą pępowiny.

Serafini płasali niczym małe kolibry w ludzkiej postaci. Złapałem jednego i zauważyłem, że jest wyposażony w sześć skrzydełek podobnych do tych, jakie mają ważki.

- Dlaczego masz sześć skrzydeł, aniołku?

Przyjrzał mi się z pogardą.

- Tak jest napisane we wszystkich Bibliach. Mam dwa skrzydełka, żeby zakryć sobie twarz, dwa dalsze, żeby zakryć pleć, i wreszcie dwa skrzydełka po to, żebym mógł latać.

Mając naprzeciw siebie tego aniołka, który wyśmiewał się z mojej niewiedzy, odważyłem się zadać pytanie cisnące mi się na usta podczas spotkania ze świętym Piotrem-Hermesem. Zrozumiałem jednak, że wielki klucznik zgodzi się udzielić tylko tych odpowiedzi, których będzie chciał udzielić. A mój serafin nie miał z pewnością tak dużego doświadczenia w tej materii.

- Powiedz no, aniołku, widziałem tu zmarłych, widziałem anioły, archanioły, diabły... Ale czy nad wami jest tutaj Bóg?

Wykonał nieznaczny ruch, jakby wskazując gdzieś daleko, z tyłu, za górą.

- A skąd ja mogę wiedzieć? - odparł. - Nigdy nie zauważono tutaj Boga, ale niektóre anioły wierzą, że Bóg istnieje i że jest wszędzie. Ja osobiście jestem agnostykiem. Jak święty Tomasz, którego być może spotkasz. Wierzę tylko w to, co widzę.

I roześmiał się anielsko.

Ja także nie dawałem jednak za wygraną, wpatrując się w górę światła sądu ostatecznego.

- A czy tam, z tyłu, korytarz Raju ciągnie się gdzieś dalej?

- Kto to wie? - powiedział, filuternie się uśmiechając. - Może tak, może nawet prowadzi do Boga? Ale moje miejsce jest tu. A twoje miejsce jest tam, na dole.

Zamachał skrzydełkami i odleciał.

Rose namawiała nas, byśmy wyruszyli za tę górę i sprawdzili, czy rzeczywiście istnieje biała fontanna będąca przeciwwagą dla czarnej dziury, lecz nasze pepowiny były już tak mocno naprężone, że baliśmy się zapędzać jeszcze dalej. Poza tym Stefania nalegała, żebyśmy jak najszybciej wrócili do naszej cielesnej powłoki. Sporo czasu już minęło, odkąd wyruszyliśmy, i trzeba było się spieszyć, jeśli nie chcieliśmy ujrzeć po powrocie jedynie stosu martwych ciał.

Z żalem, bo z żalem, ale popędziliśmy w stronę tanatodromu.

218 - MITOLOGIA ARABSKA

Już w grobie zmarły poddany jest osądowi dwóch aniołów, które nazywają się Munkara i Nakira. Od nich zależy, czy grób zamieni się w przedsionek piekła, we wstępny czyściec czy we wstępny raj. Potem aniołowie będą mogli wstawiać się do Boga, żeby ratować potępionych. Dzięki nim wydostaną się z piekła i staną się wówczas podobni do tso'rom

(małych ogórków). W wyniku kąpieli w trzech kolejnych rzekach ich skóra ponownie stanie się biała.

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

219 - PIERWSZE KŁOPOTY

Zaraz po powrocie Raoul podskoczył na fotelu. Był bardzo podekscytowany. W jego mrocznym spojrzeniu pojawiały się błyskawice, a ręce latały mu wokół ciała jak dwa przebiegłe pająki.

- Co się stało? Widziałeś ojca?
- Nie, ale pewien anioł opowiedział mi jego historię.
- Święty Piotr-Hermes?
- Nie, on mi odmówił, za to Szatan bardzo chętnie odpowiedział na moją prośbę.

Pragnienie wiedzy było u Raoula zawsze tak mocne, że musiało wywoływać silne wibracje. Czyżby jednak prawda okazała się tak przerażająca, że tylko czarny anioł był w stanie mu ją przekazać? Wstrząsnął mną dreszcz, zanim jeszcze mój przyjaciel zaczął opowiadać.

Pod koniec - powiedział mi Szatan - państwo Razorbakowie nie byli już w stanie się ze sobą porozumieć. Francis kompletnie zaniedbywał żonę, poświęcając się całkowicie pisaniu pracy naukowej zatytułowanej „Śmierć, ta nieznajoma”. Im dalej posuwał się w badaniach, tym bardziej żona oddalała się od niego. Aż w końcu znalazła sobie kochanka, niejakiego Philippe’a.

To co było nieuchronne, stało się. Pewnego dnia ojciec Raoula zaskoczył gołąbki gruchające w najlepsze. Wściekłość. Kłótnie. Groźba rozwodu. Pani Razorbak potraktowała go z buta, zapewniając, że będzie walczyć o swoje do końca. A jeśli się rozejdą, to nie ze stratą, ale z korzyścią dla niej, zażąda bowiem wysokich alimentów i opieki nad Raoulem.

Tego samego wieczoru Francis Razorbak powiesił się na s płucze w ubikacji. Dla syna nie było to już samobójstwo, lecz morderstwo. Cudzołożąc, matka popchnęła ojca, tak przecież wrażliwego, do ostateczności. W ten sposób mogła spokojnie przejąć po nim spadek i korzystać zeń do woli razem ze swoim kochankiem.

Nikt się nie zorientował w oszustwie. Było bowiem czymś logicznym, że nauczyciel filozofii zafascynowany śmiercią sam sobie ją zadał, chcąc lepiej zrozumieć, co się kryje po

drugiej stronie lustra. Nawet Raoul w to uwierzył! Bez pomocy Szatana nigdy by nie poznał prawdy.

Prawda jest najgorszą bronią, a anioł ciemności nie omieszkął przedstawić wszystkich szczegółów i przyczyn. W zasadzie stało się tak, jakby po raz pierwszy policyjne śledztwo znalazło swoje rozwiązanie dopiero w Raju. Ileż nowych możliwości otwierał przed nami Ostateczny Kontynent!

Siedząc w penthousie z drinkami przygotowanymi przez Amandine, próbowaliśmy uspokoić przyjaciela. Ale wszystkie wysuwane przez nas argumenty zdawały się wywoływać skutek odwrotny do zamierzonego. Im bardziej przekonywaliśmy go, że cała ta sprawa należy już do przeszłości, im bardziej błagaliśmy go, by się z tym pogodził, zostawił zmarłych w spokoju i pozwolił żywym żyć ich własnym życiem, tym większa była wściekłość Raoula.

- Ona go zabiła, zabiła mojego ojca! - wykrzykiwał, łapiąc się za głowę.

- Nie, on popełnił samobójstwo. Nie możesz przecież wiedzieć, co się działo w jego głowie, kiedy przełożył ją przez łańcuch przy spleczce.

- Ja może nie, ale Szatan owszem. Mój ojciec kochał matkę, a ona zdradziła go, i tyle.

- Szatan tylko utwierdza ignorantów w ich niewiedzy - przekonywałem.

Raoul jednak nie był w stanie normalnie rozumować. Tak jakby wszystko wokół niego zdeformowane zostało przez tę obsesyjną myśl.

Doprowadzony do potwornej wściekłości wstał, przewracając krzesło i szklankę, po czym wypadł z pokoju i zbiegł pędem po schodach tanatodromu.

Domyślając się, co zamierza zrobić, zacząłem pośpiesznie szukać numeru telefonu jego matki, żeby ją ostrzec. Dodzwoniłem się do niej i powiedziałem, że jej syn, przekonany o tym, że to ona ponosi winę za śmierć ojca, biegnie do niej, żeby się na niej zemścić. Przysięgała mi, że Raoul się myli, i bez trudu się z tego wytłumaczy, ale po chwili szybko odłożyła słuchawkę.

Parę rzeczy pośpiesznie wrzuconych do torby i już jej nie było, gdy Raoul z twarzą wykrzywioną nienawiścią wyważył drzwi jej mieszkania.

Wrócił do nas wciąż ogarnięty wściekłością. Nie znalazłszy matki, popędził do owego Philippe'a, jej ówczesnego kochanka. Rzucił się na niego, lecz tamten był silniejszy i powalił go na ziemię. Wszystko to razem było groteskowe! Dumny tanatonauta stał się znowu rozzłoszczonym dzieckiem, które tupie nogą i chce wszystko porozbijać!

Jakże łatwo dać się ponieść nienawiści!

Po raz pierwszy zrozumiałem, że często lepiej nie znać prawdy. Lepiej do niej dążyć, aniżeli dotrzeć, i dlatego zapewne święty Piotr-Hermes zdecydował się milczeć. Czyż Freddy

nie zwykł mawiać: „Mędrzec szuka prawdy, podczas gdy głupek już ją znalazł”?

- Moja matka to najgorsza z dziwek - miotał się Raoul, kiedy już wrócił do nas.

- A kim ty jesteś, żeby mieć prawo ją osądzać? - uniosła się Stefania, kładąc mu na skroniach mokry ręcznik. - W końcu twój ojciec też nie był bez skazy. Zaniedbywał ją i interesował się tylko książkami. Sam mówiłeś, że tobą też się właściwie w ogóle nie zajmował. To ona cię wychowała!

Raoul jednak był w takim stanie, że nie dał sobie niczego wytłumaczyć.

- Mój ojciec był uczonym, filozofem - powtarzał. - Jego powołaniem była nauka. Otworzył drogę do badań nad śmiercią. A moja matka go zabiła!

Rose położyła chłodną dłoń na jego rozpalonym czole.

- Nic nie jest proste - wyszeptwała swoim dzwięcznym głosem. - Właściwie powinienesz podziękować matce. Doprowadzając do samobójstwa ojca, wywołała w tobie chęć zdobywania wiedzy, pragnienie, które musiało znaleźć jakieś ujście. Dzięki niej skończyłeś studia z biologii, wyspecjalizowałeś się w hibernowaniu świstaków, stałeś się pionierem tanatonautyki i udało ci się odkryć Ostateczny Kontynent.

- I także prawdę - wymamrotał Raoul.

- Jeśli może cię to jakoś pocieszyć, pamiętaj, że tam, w górze, ona też stanie pewnego dnia przed sądem. Jej dusza także zostanie zważona. Aniołowie są w posiadaniu wszystkich szczegółów tej sprawy, w tym świadectwa twojego ojca. Sprawiedliwości stanie się zadość. Tylko ludzka pycha sprawia, że wyobrażamy sobie, iż możemy wymierzać sprawiedliwość tutaj, na ziemi. A sprawiedliwość jest tylko złudzeniem.

- Tak - poparłem ją. - Zaufaj aniołom i przeznaczeniu. Tam, w górze, wyznaczą jej taką karę, na jaką zasługuje.

- A może sprawią, że urodzi się na nowo jako ropucha? - zasugerowała Amandine, chcąc go trochę pocieszyć.

Wypił jednym haustem koniak, który mu podała, i od razu poprosił o następny.

- Są też na pewno szczęśliwe ropuchy - powiedział naburmuszony. - Chciałbym, żeby wcieliła się w postać karalucha, którego mógłbym zmiażdżyć butem.

Ja też poprosiłem o kieliszek alkoholu.

- Wiesz co, Raoul? Wydaje mi się, że powinienesz sobie zafundować porządną psychoanalizę - westchnąłem - bo nie byłeś na dobrą sprawę przygotowany na rewelacje Szatana.

- Nie zapominajmy też, że Szatan jest mimo wszystko aniołem Zła - zauważyła Amandine.

Chwyciłem Raoula mocno za ramię.

- Pamiętasz, jak walczyliśmy razem z wyznawcami Szatana? A teraz sam szukasz u niego wsparcia, żeby rozwiązać swoje drobne osobiste problemy! Jesteś operetkowym Faustem.

Nagle zacząłem mieć już dość, widząc, jak się zachłystuje swoją wściekłością, i miałem ochotę potrząsnąć z całych sił tym smutnym zapitym wrakiem.

- Posłuchaj uważnie! - krzyknąłem. - Będziemy cię jeszcze potrzebowali na tanatodromie, każdego dnia i w każdej chwili. Więc daj sobie spokój ze swoją matką. Nie będziemy więcej tracić czasu.

Raoul ponuro się zaśmiał.

- A kim niby jest ten wszechwiedzący pan, który będzie mnie tu pouczał? Słuchaj no, widziałeś się w lustrze, Michael? O tobie zresztą też się dowiedziałem niezłych rzeczy.

Wzruszyłem ramionami.

- Niemożliwe - odparłem. - Szatan wyjawiał ci tajemnicę ojca, bo pragnąłeś tego z całego serca. Ale dlaczego miałby ci niby mówić o mnie?

- Mój przyjacielu, mój stary przyjacielu, mój najstarszy przyjacielu... Wibrowałem wystarczająco mocno, żeby przekazał mi dwie prawdy o tobie.

Wyczułem instynktownie, że prawdy te mogą mnie mocno zboleć. Jedynie prawdziwi przyjaciele wiedzą, gdzie nas trafić, żeby naprawdę zabolalo. Miałem ochotę krzyknąć: „No już, ty zmij, wypłuj z siebie wreszcie jad!”, lecz strach okazał się silniejszy. Zatkaną sobie uszy na czas, gdy ujawniał te swoje rewelacje. Po wyrazie twarzy wszystkich trzech kobiet zrozumiałem, że sprawa jest poważna. Zwłaszcza ta druga informacja najmocniej dotknęła Rose.

Ledwie zdjąłem dłonie z uszu, Raoul wybełkotał do mnie:

- Co? Nie dosłyszałeś? Chcesz może, żebym ci powtórzył?

- Nie chcę o niczym wiedzieć! - wrzasnąłem.

Ale zanim zdążyłem włożyć palce do kanalików słuchowych, już się wydarł:

- Twoi rodzice byli bezpłodni! Ty i Conrad jesteście adoptowanymi dziećmi! To była prawda numer jeden.

Czułem się, jakby przejechała mnie ciężarówka. Kwestia ta dręczyła mnie już od dawna. A teraz zrobiła ze mnie miazgę. Wokół mnie wszystko się osuwało. Moja przeszłość nie była więc moją przeszłością. Moja rodzina nigdy nie była moją rodziną. Mój ojciec nie był wcale moim ojcem. Moja matka nie była moją matką ani mój brat - moim bratem. A prababcia Aglaé...

Raoul przyglądał mi się zadowolony z siebie. Teraz nadszedł czas, żebym ja trochę pocierpiał! Z sadystycznym uśmieszkiem na twarzy już się przymierzał do wysłania drugiego pocisku.

- A teraz prawda numer dwa!

Kiedy przejedzie was ciężarówka, jest nefajnie. I nie ma mowy, żeby drugi tir przejechał po waszych jeszcze ciepłych krwawiących bebechach. Mocno, bardzo mocno wcisnąłem palce do uszu. Nie chcę wiedzieć. Za nic nie chcę wiedzieć. Litości, dajcie mi się chociaż oswoić z pierwszą usłyszaną prawdą. Ale wszystko na nic. Raoul musiał już wypowiedzieć po raz kolejny tę drugą prawdę. W oczach Amandine, Stefanii, a zwłaszcza Rose można było wyczytać głęboką rozterkę. Wściekły oderwałem ręce od głowy, żeby zadać bolesny cios w podbródek tego, który był niegdyś moim najlepszym przyjacielem.

Kiedy rozmasowywał sobie delikatnie zuchwę, na jego twarzy pojawiła się jednocześnie złość i zachwyty.

- Dzięki ci - powiedział. - Lubię solidne ciosy... Z w ł a s z c z a o d n a j l e p s z y c h p r z y j a c i ó ł.

Musiałem odpowiedzieć cokolwiek, żeby ostatecznie go pogrzyżyć. Nie miałem jednak czasu, by wymyślić coś zgrabnego. Wyraźnie akcentując słowa, wygłosiłem zdanie, które nie znaczyło właściwie nic, ale zrobiłem to tak, jak się wypowiada mądrą sentencję:

- Kto to mówi, sam taki jest!

220 - MITOLOGIA ŻYDOWSKA

„Ujrzą świat, który jest dla nich teraz niewidzialny, i ujrzą czas, który teraz jest przed nimi ukryty. Co więcej, czas nie spowoduje, że się zestarzeją, gdyż pozostaną na wysokościach tego świata na podobieństwo aniołów i gwiazd, przeobrażą się w taką postać, w jaką będą chcieli, w postać piękna, łaski, światła i blasku sławy. Przed nimi bowiem rozciągać się będzie Raj. Ich oczom ukaże się niezwykle piękno żywych u stóp tronu, ujrzą też armię aniołów, którym teraz słowem moim zakazałem ukazywać się i nakazałem im moim przykazaniem pozostawać na miejscu dopóty, dopóki nie nadejdzie czas, gdy się wam objawią”.

221 - KARTOTEKA POLICYJNA

Informacja skierowana do właściwych służb

Poufne informacje zostały przekazane śmiertelnikom przez niezbyt skrupulatne anioły. Ryzyko poważnych konsekwencji. Konieczna interwencja w celu zakończenia tej niebezpiecznej historii.

Odpowiedź właściwych służb

Zawsze wpadacie w popłoch z powodu nieistotnych kwestii. Całkowicie panujemy nad sytuacją. Wszystko przebiegało zawsze bardzo dobrze. Nie ma żadnych powodów, żeby tym razem miało być inaczej.

222 - PODRĘCZNIK DO HISTORII

Trzeba być bardzo silnym, żeby stawić czoło prawdzie. Ilu z nas potrafi usłyszeć prawdę i zachować zimną krew? Kiedy już zrozumiano, jakie są nieoczekiwane złe skutki tanatonautyki, Ministerstwo Edukacji Narodowej bardzo szybko wprowadziło do programu zajęcia SSCP (Spokojne Stawianie Czoła Prawdzie). Nauczanie to objęło początkowo tylko szkołę średnią, ale wkrótce rozszerzono program na szkołę podstawową. Od niedawna również przedmiot ten można zdawać na maturze.

Podręcznik szkolny, kurs podstawowy, 2. rok

223 - SIEROTA

Gdy tylko znaleźliśmy się w naszym pokoju, Rose i ja zaczęliśmy się kochać. To ona rzuciła się na mnie. Szeptła mi do ucha, że chce mieć bardzo szybko ze mną dziecko. Dobrze się składało, bo i ja chciałem już od dawna, żeby urodziła moje dziecko.

Do tej pory mieliśmy tylko zwierzątka i rośliny. Dochodziliśmy do tego stopniowo: najpierw były zielone rośliny (monotonne), potem drzewko pomarańczowe (które rodziło niejadalne owoce), potem pojawiła się złota rybka (Lewiatan, którą pewnego dnia, nie wiedzieć dlaczego, ujrzeliśmy pływającą brzuszkiem do góry), potem była Zouzou, żółwica morska (wiecznie opychała się robaczkami), dalej świnka morska (którą nazwaliśmy Buj-Buj, bo cały czas piszczała „buj-buj-buj”, dając nam do zrozumienia, że jest głodna), dalej był kotek, który zjadł świnkę morską, a potem jeszcze pies (który pomścił świnkę morską, dręcząc bez przerwy kotka).

Dziecko byłoby teraz bardzo mile widziane. Choćby po to, żeby pomścić kota, ciągnąc mocno psa za uszy, ogon, łapy, powieki i nos. Dzieci w sposób całkowicie naturalny są wręcz stworzone do tego, żeby przywracać równowagę.

Jak zawsze stosując naukowe podejście, Rose popatrzyła na kalendarz.

- No cóż, daty chyba się zgadzają - oświadczyła.

- Przy odrobinie szczęścia może uda nam się nawet urodzić kolejne wcielenie Freddy'ego - zauważyłem.

Freddy powiedział, że będzie pędził do pomarańczowej krainy i spróbuje za rok przejść reinkarnację. Hm, trzy miesiące już upłynęły... Ale jeśli będziemy mieli trochę szczęścia, może nam się mimo wszystko uda.

W każdym razie idea zachwyciła Rose. Fantastycznie byłoby stać się rodzicami Freddy'ego po reinkarnacji.

Po raz kolejny byliśmy pionierami. Nikt przecież nie wpadł dotąd na pomysł, żeby dziecko, które ma się urodzić, przejęło wcześniej wybraną duszę. To było trochę tak, jakby wyprodukować wazon z myślą o zakupionych już wcześniej kwiatkach.

- W takim razie do roboty - powiedziałem ochoczo.

Baraszkowaliśmy radośnie, ale nagle zaskoczył mnie nieco smutny wyraz twarzy Rose, kiedy położyła głowę na poduszce.

Zapytałem ją natychmiast, co się stało. Westchnęła ciężko i kazała mi przysiąc, że zawsze będę zatykał sobie uszy, kiedy Raoul będzie chciał mi oznajmić drugą z prawd.

- Przejdzie mu - odparłem. - Jest rozgoryczony, bo załamała go wiadomość, że to matka doprowadziła do śmierci ojca. I ja go rozumiem.

- Ale nie ma w tym żadnej twojej winy - zaprotestowała. - Nie wiem, z jakiej racji, z jakiego zupełnie chorego powodu chce teraz za wszelką cenę ujawnić ci te obrzydliwe zwierzenia Szatana. W każdym razie nieźle mu przyłożyłeś. Nie sądziłam, że mój mąż jest tak utalentowanym bokserem! - powiedziała, przytulając się do mnie znowu.

Zrobiłem niewyraźną minę.

- Po raz pierwszy uderzyłem kogoś, komu naprawdę chciałem zadać ból... I straciłem w ten sposób najlepszego przyjaciela.

- Nie - zaproponowała zdecydowanie. - Raoul nic do ciebie nie ma. Jest tak, jak mawiał mój wujek Guillaume: „Kiedy ktoś złości się na ciebie, znaczy to tylko, że jest wściekły na siebie samego”.

Znowu kochaliśmy się. Starłem się przegonić natrętnie powracającą myśl: „Co ja właściwie robię...”, a na jej miejsce włączałem znacznie bardziej przyjemne myśli i doznania.

A potem Rose w czarującej nocnej koszuli wychyliła się na balkonie i przyglądała rozgwieżdżonej nocy. Księżyc był ogromny. Wokół niego gwiazdy rozmawiały ze sobą.

- Zastanawiam się czasem, czy nie bawimy się w uczniów czarnoksiężnika - powiedziała z rozżaleniem. - Pomyśl tylko, jak odkrycie ostatniej strefy Raju nastawiło jednych przeciw drugim.

- Nie będziesz chyba wspierać tej ciemnoty, która chciałaby, żebyśmy zaprzestali dalszych poszukiwań?

- Nie, oczywiście, że nie. Trzeba tylko ustawić jakieś zapory, żeby uniknąć nieprzyjemnych odprysków. Historia Raoula jest dla nas być może ostrzeżeniem. Wyobrażasz sobie, co by się działo, gdyby każdy, kto tam wyrusza, wpadł na anioła, który ujawniłby mu nieprzyjemne prawdy?

- Wystarczy zachować spokój. Raoul powiedział mi, że jestem sierotą, no i co z tego? W niczym nie zmieniło to mojego zachowania. Wręcz przeciwnie, jestem nawet bardziej jeszcze wdzięczny moim adopcyjnym rodzicom, że mnie przyjęli i wychowali.

Skusiło mnie, by zapytać ją o tę drugą prawdę i zobaczyć, czy jestem w stanie ją znieść. Odmówiła jednak. Kazała mi obiecać, że nigdy nie będę jej o to prosił. Wyczytałem w jej oczach, że jest przekonana, iż ta druga prawda wywoła w mojej głowie jeszcze większe spustoszenie.

Mimo to nie bardzo potrafiłem sobie wyobrazić, jakaż wiadomość mogła być gorsza od tej, że rodzice, których zawsze uważałem za swoich, nie są moimi prawdziwymi rodzicami.

Zasnęliśmy mocno wtuleni w siebie.

Rankiem nie zastaliśmy Raoula. Zniknął i nikt nie wiedział, gdzie jest.

Zostałem więc w tanatodromie sam z „moimi” trzema kobietami: Rose, Amandine i Stefanią. Na jednej ze ścian penthouse'u moja żona powiesiła olbrzymi plakat przedstawiający Galaktykę, a w środku - bezkresną studnię Raju. Często wpatrywałem się w ten obraz, który

był zwieńczeniem naszych wysiłków. Wszystko zaczynało się i kończyło właśnie tam. Wszelkie energie, całe światło, wszelkie idee i wszystkie dusze. Śmietnik i jednocześnie łożysko. Sens naszej egzystencji.

Raj.

Tam był teraz Freddy... I nie tylko Freddy, ale też wszyscy nasi pierwsi tanatonauci: Marcellin, Hugues, Félix, Rajiv... i cała masa więźniów z Fleury-Mérogis...

Czasami wieczorem siadałem przed odbiornikiem przy wielkiej antenie, którą zainstalowaliśmy na szczycie tanatodromu, i patrzyłem, jak na monitorze kontrolnym umarli unoszą się jak stada gołębi. Przyjemnej podróży, drodzy współcześni.

Każdy zielony punkcik oznaczał nieboszczyka. Jedni wznosili się szybciej, inni wolniej. Zapewne ich chęć opuszczenia tego świata była silniejsza. Bardzo rzadko zdarzało mi się ujrzeć duszę powracającą na ziemię. Czy był to jakiś ocalony przez medycynę czy też osamotniony tanatonauta, czy zakochany, który nie chciał opuścić swojej miłości, lub zamordowany, który chciał się zemścić pod postacią ducha? A może oddający się medytacjom mnich albo anioł, dyskretnie odwiedzający ludzką istotę, która wezwała go na pomoc?

Jeśli chodzi o Raoula, sądziliśmy, że błąka się gdzieś po tej jak najbardziej materialnej ziemi w poszukiwaniu swojej matki z krwi i kości. Właściwie nie był daleko. Nie mogąc jej odnaleźć, przybity tym, że musi walczyć z nami wszystkimi, włączył się od knajpy do knajpy w przekonaniu, że wlewanie w siebie alkoholu pozwoli mu w razie konieczności udoskonalić technikę odlotu.

Któregoś dnia na trzeźwo stwierdził, że czas już, by podjął sam ze sobą wielką debatę na temat sprawiedliwości. Wrócił do tanatodromu, zadzwonił do moich drzwi, przeprosił, że zadał mi ból, i obiecał uroczyście, że nigdy już nie będzie próbował ujawniać mi drugiej prawdy, której do tej pory szczęśliwie nie usłyszałem.

Podziękowałem mu bez większego zresztą przekonania. Świadomość, że istnieje informacja, która mogłaby wstrząsnąć całkowicie moim życiem, a nie zostanie mi nigdy ujawniona, nie do końca mi odpowiadała.

Wieczorem moja adopcyjna matka i przybrany brat przyszli do mnie z wizytą. Może byli to dla mnie tylko obcy ludzie, ale pojąłem też od razu, jak wielką rolę odegrali w moim życiu. Rodzice zawsze traktowali mnie jak własne dziecko, nie dając mi najmniejszych choćby powodów do niepokoju. Bardzo troszczyli się o mnie. Potrafili też zachować tajemnicę. Opieprzali mnie, wywołując chęć zbuntowania się przeciw nim, zupełnie jakbym naprawdę był ich dzieckiem. Mogłem się wyzbyć kompleksu Edypa dzięki mojemu

nieprawdziwemu ojcu, mogłem zakochać się nieświadomie w swojej obrzydliwej matce, mogłem też podjąć rywalizację z moim żalonym bratem. Za to wszystko, co od was dostałem, dziękuję wam tysiącrotnie.

Prawdziwa sprawiedliwość być może na tym właśnie polega: człowiek jest w stanie podziękować tym, którzy chcieli jego dobra, i nie lizać stóp tych, którzy mu zaszkodzili. Wydaje się to proste, gdy się o tym mówi w ten sposób, ale często się okazuje się, że robimy coś zupełnie odwrotnego, sami nie wiedząc dlaczego.

Ucałowałem ich tak, jak nigdy wcześniej, mówiąc sobie, że niezależnie od okoliczności nigdy nie chciałbym spotkać się tam, w górze, z moimi prawdziwymi rodzicami, którzy porzucili mnie, jak porzuca się starą ścierkę. Nie chciałem wiedzieć, jakie przyczyny ich do tego zmusiły (z pewnością jak najbardziej uzasadnione), nie chciałem nawet ujrzeć ich twarzy. Skoro mnie porzucili, ja też ich porzucałem. A tych, którzy mnie adoptowali, ja również adoptowałem.

Miałem tylko jedną prawdziwą rodzinę: moją przyciężką matkę i tego skretyniałego Conrada. Prawda, którą objawił mi Raoul, pozwoliła mi odkryć prawdę znacznie cenniejszą.

Nie wybiera się przyjaciół, ale... można wybrać sobie rodzinę!

224 - MITOLOGIA CHRZEŚCIJAŃSKA

„Jeżeli zatem głosi się, że Chrystus zmartwychwstał, to dlaczego twierdzą niektórzy spośród was, że nie ma zmartwychwstania? Jeśli nie ma zmartwychwstania, to i Chrystus nie zmartwychwstał. A jeśli Chrystus nie zmartwychwstał, daremne jest wasze nauczanie, próżna jest także wasza wiara [...]. Jeżeli tylko w tym życiu w Chrystusie nadzieję pokładamy, jesteśmy bardziej od wszystkich ludzi godni politowania [...]. Skoro zmarli nie zmartwychwstają, to jedźmy i pijmy, bo jutro pomrzemy”.

Pierwszy List do Koryntian, XV, 12-48

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznamoma* Francisa Razorbaka

225 - WYKŁADY

Wykorzystując to, że na razie tajemnica była dobrze strzeżona, wyruszyliśmy często w podróż, żeby jak najlepiej i w miarę możliwości aż do samego końca poznać najdalsze zakątki Raju.

Aniołowie przyzwyczaili się do wizyt, które składała im nasza grupka tanatonautów. Nazywali nas „cotygodniowymi Wielkimi Wtajemniczonymi”. Chcąc nie chcąc, odpowiadali na nasze pytania, tak jakby te spotkania wpisywały się w dobrze im znaną procedurę.

Kiedy się ich pozna nieco lepiej, okazują się mili i niezwykle mądrzy. Nic dziwnego, są przecież superbodhisattwami, elitą lamedwowników i najświętszych ze świętych.

Powoli coraz lepiej pojmowaliśmy sens życia, ale tylko my byliśmy w posiadaniu tej wiedzy. Pewnego dnia Lucinder uznał, że sytuacja ta trwa zdecydowanie za długo. Miał właśnie zacząć ubiegać się o trzecią kadencję. W każdym wymiarze, politycznym, gospodarczym i dyplomatycznym, bilans jego prezydentury był beznadziejny. W przedwyborczej batalii w rękę pozostał mu już tylko jeden atut: tanatonautyka. Opowieści o aniołach i Raju były bez wątpienia czymś bezpieczniejszym aniżeli wskaźniki dotyczące recesji, przerażająco szybko rosnąca stopa bezrobocia oraz całkowicie przygnębiający deficyt w wymianie handlowej.

Lucinder liczył więc na nas, chcąc odbudować własny wizerunek zwycięzcy. W końcu to on zainicjował podbój Ostatecznego Kontynentu, a projekt ten był doprawdy ambitny. Masy z całą pewnością chcą się dowiedzieć czegoś więcej na temat tego, co dzieje się po śmierci. A czy można do tego dojść inaczej, niż oddając głos na obecnego prezydenta?

Wszystko ma swoją cenę: jeden głos to jeden krok więcej w stronę wyjaśnienia tajemnicy śmierci. Taki był w swej istocie program wyborczy naszego przyjaciela.

Ja natomiast nie byłem przekonany, że nadszedł już czas na to, aby ujawnić ludziom, że za barierą Moch 6 rozciąga się zamieszkiwana przez anioły biała kraina, gdzie zmarli muszą zdać sprawę ze wszystkich dobrych i złych uczynków, jakie popełnili w życiu. Ostatecznie wiedziałem aż za dobrze, jakich spustoszeń może dokonać prawda.

A czegoż można by się dowiedzieć tam, w górze? Kto zlecił zamordowanie Kennedy’ego? Kto mataczył w sprawie śmierci Marilyn Monroe? Kto skłonił Ravaillica do morderstwa? Kim był człowiek w żelaznej masce? Gdzie ukryty został skarb Czarnobrodego? Tam, w górze, jeśli pragnęło się tego bardzo mocno, można było uzyskać wszystkie

odpowiedzi i rozwiązania. Czy było to jednak naprawdę czymś pożądanym?

Poza tym gdyby każdy wiedział, że wystarczy z całego serca wezwać na pomoc anioły, by ziściły się jego pragnienia, co za potworny bałagan by się zrobił! Pragnienia jednych bowiem stoją często w sprzeczności z życzeniami innych. Niektórzy pożąдают władzy, inni liczą na spadek, inni marzą o pokoju, podczas gdy jeszcze inni myślą tylko o dokonaniu rzezi. Jak zadowolić równocześnie wszystkich mieszkańców Ziemi?

Czyż świat, w którym wszystkie pragnienia spełniłyby się od razu, gdy poprosi się o to anioły, nie stałby się prawdziwym piekłem? „Uważajmy na marzenia, bo mielibyśmy się z pyszna, gdyby się ziściły”, mawiał Freddy. Pamiętam, że życzyłem śmierci wyjątkowo niesympatycznemu nauczycielowi geografii. Pamiętam też, jak marzyłem o tym, by mieć cały harem pełen uległych kobiet. Pamiętam, jak pragnąłem umrzeć. Całe szczęście, że anioły mnie nie wysłuchały, tak samo jak nie wysłuchały tak wielu tyranów, którzy chcieli stać się władcami świata!

- Nie - stwierdziłem z całą mocą - nie wolno ujawniać tego, że anioły istnieją. Ludzie nie są jeszcze na to przygotowani.

- Bez przesady, bez przesady - odrzekł z uśmiechem prezydent. - Mój drogi Michaelu, dowiedział się pan przecież, że jest pan adoptowanym dzieckiem, i nie robi pan z tego nie wiadomo czego!

To prawda. Lecz druga prawda, ta, której nadal nie znałem, bardzo mnie niepokoiła... Nie chcąc się przyznać do swojej obsesji, powiedziałem tylko:

- Być może, ale proszę pomyśleć o Raoulu i jego matce!

Jednym prztyczkiem poradził sobie z tym problemem.

- Razorbak potrzebuje odpoczynku. Razorbak za dużo pije. Przekonałem go, żeby się poddał kuracji odwykowej. Obiecał mi pomoc podczas kampanii prezydenckiej, jak tylko poczuje się lepiej.

- A co z jego matką, która wciąż się przed nim ukrywa?

- Już jej wybaczył.

Wiadomość ta zaskoczyła mnie.

- Jak udało się panu uzyskać jego wybaczenie?

Prezydent zatarł ręce zadowolony z siebie.

- Te anioły są naprawdę bardzo przydatne. To nie ja przekonałem Raoula, tylko Stefania. Szatan, czarny anioł, był powodem wszystkich kłopotów, ale udało jej się przekonać archanioła Gabriela, a więc jego białe *alter ego*, że trzeba to naprawić. Widzi pan, mój drogi Michaelu, do Raju należy mieć zaufanie. Zło, które wytwarza, może przeobrazić się też w

dobro.

I cóż na to mogłem odpowiedzieć? Zresztą kimże ja byłem, żeby sprzeczać się z głową państwa? Raoul owszem, mógłby mieć jakieś obiekcje, ale go tutaj nie było, nic zresztą dziwnego! A Stefania, Rose i Amandine nie widziały żadnego powodu, by nie ujawniać wszystkim ostatecznej tajemnicy. Podporządkowałem się więc woli ogółu.

I w ten oto sposób weszliśmy w epokę „show-biznesu”. Jeździliśmy z wykładami w różne zakątki świata, opowiadając tu i tam o spotkaniach z aniołami, archaniołami, serafinami, dżinami, a nawet z diabłami. Na początku jeździliśmy wszyscy razem, Stefania, Amandine, Rose i ja. Z czasem jednak okazało się, że tylko Amandine nadaje się tak naprawdę do tego rodzaju występów.

Okazało się, że urocza pielęgniarzka, która niegdyś milczała jak grób, a potem zachowywała dużą rezerwę, jest obdarzona niewątpliwym talentem oratorskim. Czasami tak bywa, że ci najbardziej milczący stają się znakomitymi mówcami, gdy tylko stworzy się im taką możliwość.

Amandine umiała przekazać innym pasję do tanatonautyki. Z zachwytem opowiadała o Raju, gdzie wyruszała zresztą coraz częściej, żeby odnaleźć tam (jak do tej pory bezskutecznie) Freddy’ego i porozmawiać ze świętym Piotrem. Co więcej, dzięki temu, że niedawno owdowiała, stała się jeszcze bardziej wiarygodna. Wdowa nie potrafiłaby przecież kłamać w kwestii, która dotyka jej tak blisko, zwłaszcza jeśli jej małżonek był najlepszym choreografem w dziedzinie tanatonautycznych odlotów!

Wykłady wygłaszane przez Amandine stały się prawdziwymi spektaklami. Pojawiała się w świetle reflektorów ubrana cała na białą, podczas gdy chór śpiewał uwerturę do „Carmina Burana”. Jako biały anioł w ciele kruka, coraz bardziej przypominała istotę z moich fantazji, którą spotykałem podczas pozaziemskich wypadów.

Któregoś wieczoru, kiedy wykład dobiegał już końca, jeden z dziennikarzy podniósł rękę.

- „Ważenie dusz” wydaje mi się niezrozumiałe. Czy chce pani przez to powiedzieć, że tam, w górze, naprawdę podliczają uczynki, tak jakby były to jakieś dodatnie i ujemne punkty?

Amandine zastanawiała się dłuższą chwilę, zanim odpowiedziała:

- Tak. Egzystencja jest trochę jak matura. Trzeba podchodzić do niej tak długo, aż uzyska się wymaganą średnią.

Wśród zgromadzonych na sali rozległ się szmer.

- Ale w takim razie - ciągnął dziennikarz - ile trzeba dodatnich i ujemnych punktów,

żeby dusza wyrwała się wreszcie z cyklu reinkarnacji?

Święty Piotr musiał jej jednak sporo powiedzieć o swoich kluczach. Amandine podała bardzo precyzyjne dane liczbowe:

- Sześćset punktów. Według wskaźnika narzuconego przez trzech sędziów archaniołów, wymagane jest sześćset punktów, żeby nie trzeba było zdawać ponownie egzaminu z życia.

Głośny szmer na sali. Czyż życie nie jest jedną wielką szkolną klasą, w której wszystko sprowadza się do tego, żeby zdobyć możliwie jak najwięcej punktów, unikając jak się da złych ocen i pał z wykrzyknikiem?

Ta „szkolna” wizja przeznaczenia mogła być dla wielu sporym rozczarowaniem, ale miała przynajmniej tę zaletę, że była spójna.

- Jeden dobry uczynek może pozwolić uzyskać od razu sześćset punktów - sprecyzowała Amandine.

Na sali dało się słyszeć wyraźne westchnienie ulgi. A więc wystarczy zachować się przyzwoicie chociaż raz w życiu i jest się uratowanym! Jednakże prelegentka uzupełniła swoją wypowiedź:

- Ale w taki sam sposób jeden zły uczynek może też zniszczyć całe życie. Można doprowadzić się do zguby lub uratować dzięki uczynkom, które w pierwszej chwili sprawiać mogą wrażenie nieistotnych, zwierzył mi się pewien anioł. Ważenie jest niezmiernie delikatną kwestią, a sędziowie wykonują długie i mozolne obliczenia. Właściwie nie znajdzie się nawet jeden zmarły na dziesięć tysięcy, któremu udałoby się uzyskać sześćset punktów i przeobrazić dzięki temu w czystego ducha. Większość zostaje odrzucona, a zatem musi przejść reinkarnację.

Natychmiast posypały się kolejne pytania.

- A czy tam, w górze, są również zwierzęta?

- Tak, a jeśli się dobrze zachowywały podczas zwierzęcego Cyklu, przeobrażają się w istoty ludzkie. Ludzie znajdują się na najwyższym szczeblu drabiny reinkarnacji, gdyż tylko oni potrafią myśleć abstrakcyjnie.

- Czy miałyby to oznaczać, że wszyscy byliśmy zwierzętami, zanim staliśmy się ludźmi?

- Z pewnością tak. Ewolucja przebiega od świata minerałów do świata roślin, dalej od roślin do zwierząt, od zwierząt do ludzi, a od istoty ludzkiej do czystego ducha. Taki jest sens życia.

Amandine ujawniła wszystkie tajemnice świata, mimo to wciąż pojawiały się kolejne

pytania:

- A czy możliwy jest regres?

- Oczywiście. Jeżeli w życiu prowadzimy się bardzo źle, wówczas powracamy do poprzedniej formy życia. Z istoty ludzkiej przeobrażamy się w zwierzę. Są to jednak szalenie rzadkie przypadki.

- W takim razie co się dzieje z ludźmi złymi, choć nie na tyle, żeby musieli powrócić do stadium zwierzęcia?

- Przeobrażają się w ludzi, których egzystencja będzie szczególnie nieprzyjemna, i w tym życiu będą musieli mimo wszystko wykazać się swoimi najlepszymi cechami. W istocie Piekło jest tutaj, na ziemi. Ci, którzy źle się zachowywali, odrodzą się w krainie nękaney wojnami lub nawiedzanej klęskami głodu. Będą biedni, chorzy, ułomni... W dramatycznych okolicznościach będą mieli więcej okazji, żeby się odkupić. Będą mogli poświęcić się dla innych w jeszcze bardziej widoczny sposób i łatwiej będą mogli się wykazać dobrą wolą.

Dziennikarz podniósł rękę.

- Czy rozumie pani przez to, że ci, którzy urodzili się na Zachodzie w bogatej rodzinie, są ludźmi, którzy odpowiednio się zachowywali w poprzednim życiu?

Amandine westchnęła.

- Byłoby to zbyt proste. Można być nieszczęśliwym, potwornie wręcz nieszczęśliwym, żyjąc w bogatej rodzinie na Zachodzie, i można też być szczęśliwym, bardzo nawet szczęśliwym w przyjaznej solidarnej wiosce gdzieś w Trzecim Świecie. Ostatecznie to w naszych krajach, uważanych za najbardziej rozwinięte, odnotowuje się największą liczbę samobójstw.

Wprawiona w zakłopotanie publiczność powoli zaczęła się kierować ku wyjściu.

226 - MITOLOGIA CHRZEŚCIJAŃSKA

„Podobnie rzecz się ma ze zmartwychwstaniem. Zasiewa się zniszczalne - powstaje niezniszczalne, sieje się niechwalebne - powstaje chwalebne; sieje się słabe - powstaje mocne; zasiewa się ciało zmysłowe, powstanie też ciało duchowe”.

Pierwszy List do Koryntian XV, 42-44

227 - PEPEK

Raoul wyruszył na poszukiwanie matki, która nie wiedząc nic o zmianie, jaka się w nim dokonała, wciąż pozostawała w ukryciu. Mówił teraz mniej, ale wydawało się, że wciąż przepelnia go wściekłość. Pozbawiony znieczulających właściwości alkoholu, z każdym dniem stawał się coraz bardziej zgorzkniały. Najpierw przez tak długi czas usiłował nawiązać kontakt z ojcem, teraz nie był w stanie odnaleźć matki. Ostatecznie były to całkiem typowe psychoanalityczne poszukiwania. Po raz kolejny dawał o sobie znać kompleks Edypa. Tyle że Raoul odwrócił całą tę sytuację. Był zakochany w ojcu, a zabić chciał mamusię.

Stefania próbowała go pocieszyć, jak tylko mogła, i długo ze sobą rozmawiali. Przy mnie jednak Raoul nie odzywał się, wstydząc się za poprzednie zachowania.

Amandine robiła teraz za gwiazdę. Stała się naszą tanatonautką numer jeden. Swój czas dzieliła między Buttes-Chaumont i Raj, gdzie święty Piotr, z którym była teraz w bardzo bliskich kontaktach, nazywał ją - tak przynajmniej twierdziła - swoją „małą wtajemniczoną”.

Notowania Lucindera szły w górę w przedwyborczych sondażach, a w tym czasie Rose i ja zajmowaliśmy się przede wszystkim uzupełnianiem mapy Raju. Co jest za strefą, gdzie odbywa się ważenie dusz? Zbliżyliśmy się do tego miejsca wielokrotnie, ale nigdy nie udało nam się okrążyć góry światła, żeby się dowiedzieć, co się za nią kryje, bo nasze srebrzyste pępowiny zawsze okazywały się zbyt krótkie. A ponieważ Rose była w ciąży, żadne z nas nie miało ochoty ryzykować życia, żeby się tego dowiedzieć.

Moja żona astronom była wciąż przekonana, że na końcu czarnej dziury znajduje się jej przeciwieństwo, to jest biała fontanna wyrzucająca dusze niczym garłacz. Zmarli byli wciągani z jednej strony, a następnie wyrzucani z drugiej, aby przejść reinkarnację. W oczekiwaniu, aż przekona się o tym na własne oczy, zajęła się bardziej prozaicznym badaniem promieni gamma posiadających większą energię aniżeli promienie X czy promienie ultrafioletowe. Opracowała nowe urządzenie do wykrywania promieni gamma, co umożliwiło nam obserwowanie z Ziemi obrzeży Raju i centrum Galaktyki.

Któregoś dnia, wychodząc z kąpieli, przyjrzałem się dłużej wodzie, która bulgocząc, spływała do dziury. Cała tajemnica astronomii właśnie w czymś takim się zasadza: w czarnej dziurze, do której mknie brudna woda. Krąg, którego środek wypełnia energia. Pomyślałem o zagadce, którą zadał mi kiedyś Raoul: jak narysować okrąg i jego środek, nie odrywając

długopisu?

Woda spływa do ścieku. Dokąd jednak uciekają nasze dusze? W każdym razie nigdy nie należy szukać tego co z przodu - trzeba się skoncentrować na tym co w środku. Stefania twierdziła, że nasze prawdziwe „ja” umiejscowione jest w dawnym korytarzu, który łączy nas przez jakiś czas z matką. Pępek. Tędy właśnie dostajemy pożywienie, krew i siłę, a później, z chwilą narodzin, drzwi się zamykają. Ale według Stefanii pępek pozostaje nadal bardzo ważnym punktem. Naszym środkiem ciężkości, a więc naszym rzeczywistym centrum.

Ponieważ pępek ma połączenie ze wszystkimi strefami, które niegdyś odżywiał, w razie choroby wystarczy go ogrzać, aby ciepło rozeszło się po całym ciele.

Dzięki pępkowi w brzuchu zaczynamy żyć. A w pępku Galaktyki - umieramy.

Wpatrywałem się dłuższą chwilę w pustą teraz wannę, po czym zarzuciłem szlafrok na wilgotne ciało.

228 - MITOLOGIA EGIPSKA

W starożytnym Egipcie, za panowania XVIII dynastii, ceremoniał balsamowania zwłok faraonów i niektórych wysokich dostojników podlegał bardzo ścisłym i precyzyjnie określonym zasadom. Najpierw ciało kładziono na plecach. Mistrzem ceremonii był zazwyczaj kapłan Ozyrysa przebrany za Horsa. Towarzyszyli mu czterej asystenci symbolizujący cztery strony świata. Depilowali ciało zmarłego, a później nacinali brzuch po lewej stronie na wysokości przepony. Kapłan Ozyrysa zanurzał rękę we wnętrzu rany i zaczynał wyjmować najważniejsze organy, które mogłyby zgnieć: wątrobę, śledzionę, płuca, jelita, żołądek. Po oczyszczeniu, zakonserwowane w roztworze z roślin, wkładano je z powrotem. Pomocnicy nacierali klatkę piersiową smołą, by ciało się nie pokruszyło. Potem brzuch wypełniano oliwą, tkaninami i mirrą, aby odzyskał poprzedni kształt. Tak samo postępowano z czaszką. W otwory nosowe zmarłego wkładano sztywny patyk w celu przebicia kanalików nosowych. W ten sposób balsamista mógł wprowadzić do środka zakrzywione na końcu narzędzie, za pomocą którego szatkowano drobno mózg, a następnie usuwano go, dmuchając w drugą dziurkę nosa. Gdy mózg wydobyto już na zewnątrz, mistrz ceremonii wykladał wewnątrz czaszki smołą. Rozprowadzał ją równomiernie na całej wewnętrznej powierzchni, delikatnie potrząsając we

wszystkie strony głową. Wreszcie ciało pokrywano lnianymi bandażami w kolorze szafranowym. Na twarzy kładziono sztuczne oczy wykonane z drewna, a potem maskę pośmiertną z podobizną zmarłego. Jego twarz musiała wyglądać młodo i spokojnie.

Według papirusu numer 3 z Bulaq (Kair)

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

229 - HISTORIE O ZWIERZĘTACH

Wykłady Amandine cieszyły się coraz większym powodzeniem. W sklepiku matki plakaty z jej zdjęciami, do których pozowała zawsze w bardzo seksownych strojach, lecz nigdy naga, sprzedawały się jak ciepłe bułeczki. Ich fenomenalny sukces znacznie wzbogacił małe rodzinne przedsiębiorstwo. Nie była to jednak najistotniejsza konsekwencja wielce popularnych występów Amandine.

Na początku przyciągały one tylko intelektualistów, osoby, które chciały usłyszeć o czymś oryginalnym, oraz ciekawskich spragnionych wszelkiego rodzaju ezoteryzmu. Metodą poczty pantoflowej dowiedzieli się o nich po jakimś czasie naukowcy. Później jedna ze stacji telewizyjnych wpadła na pomysł przeprowadzenia transmisji występu naszej tanatonautki. Telefonów było tak wiele, że linie się zablokowały. Nagle się okazało, że ludzie interesują się swoją karmą. Chcieli wszystkiego się dowiedzieć: kim byli w poprzednim życiu, kim staną się po śmierci? Szukali odpowiedzi na odwieczne pytania: Skąd pochodzę? Kim jestem? Dokąd zmierzam?

Któregoś wieczoru po kolejnym wykładzie, gdy siedzieliśmy razem w tajskiej restauracji, rozmowa zesłała na temat zwierzęcych reinkarnacji. Czy to możliwe, że wszyscy ci siedzący przy stole ludzie byli niegdyś ryjówką, żabą albo ślimakiem?

Podając nam aperitif o smaku róży i chipsy z krewetek, pan Lambert włączył się do dyskusji. Przyznał, że czasami odpoczywa, stojąc na jednej nodze. Pozycja ta daje mu wrażenie niezwykłego wręcz komfortu. Wywnioskował z tego, że kiedyś musiał być czapłą, i od razu pokazał nam, w jaki sposób potrafi stać na jednej nodze, zachowując idealną równowagę.

Amandine „przypuszczała”, że niegdyś była królikiem. Ona także starała się nam to

udowodnić, poruszała uszami - w sposób - muszę przyznać - dosyć widowiskowy. Poruszała nimi z przodu do tyłu i wyraźnie widać było, jak pracują jej mięśnie na policzkach. Nosem także potrafiła poruszać, a do tego przypomniła nam, że uwielbia marchewkę.

Jak się dobrze nad tym zastanowić, wydaje mi się, że moje wspomnienia mogą być wspomnieniami lisa. Fantazja czy złudzenie? W głębi odczuwałem doznania, jakie powstają, kiedy na czterech łapach biegnie się szybko przez trawy. Wiedziałem, jak naprężyć i rozciągać kręgosłup przy każdym skoku, jak utrzymać równowagę, machając przemyślnie długim futrzanym ogonem. Skoncentrowałem się jeszcze bardziej i przypomniłem sobie długie zimowe wieczory, gdy w ciepłe zaszywałem się w lisiej norce z lisicą i małymi liskami. Nie było niczego lepszego na świecie, gdy chodzi o odpoczynek.

A na wiosnę z zachwytem urządzałem sobie długie wycieczki po lesie, upajając się zapachem mchu i tymianku, który uderzał mnie w pyszczek, gdy pędziłem galopem. Skąd mogłem wiedzieć, czym jest bieg na czterech łapach? I skąd mogłem znać to uczucie ciepła w norze podczas zimy?

Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym bardziej moje wspomnienia z lisiego życia stawały się precyzyjne. Nie potrafiłem biegać wystarczająco szybko, żeby skutecznie polować. Pamiętam też bolesne spotkania z jeżami. Zapach lasu. Kiedy byłem lisem i wdychałem powietrze, ustawivszy się pod wiatr, powstawała dokładna mapa okolicy. Tak, pamiętałem doskonale. Ale jak to możliwe?

Pozostali również zaskoczeni byli pozaustrojowymi wspomnieniami.

Temat wciągnął wszystkich, którzy byli w restauracji. Wkrótce inni włączyli się do rozmowy. Pewien gruby jegomość o długim nosie przyznał się nam, że ma sporo wspomnień jako słoń, dalej jakaś nieśmiała pani wyznała, że niegdyś była przepiórką, potem z kolei wyciszony pan opowiedział nam o tym, jak był tyranozaurom, na dowód czego pokazał nam rzeczywiście bardzo spiczaste zęby. Po życiu zwierzęcym przeszliśmy do życia ludzkiego.

Dziwny szczegół: wiele chorób dawało się logicznie wyjaśnić dzięki karmie. Ci, którzy mieli delikatne gardło, byli niejednokrotnie wcieleniem osób zgilotynowanych podczas rewolucji francuskiej. Astmatycy byli niegdysiejszymi topielcami. Osoby dotknięte priapizmem zostały ongiś powieszzone. Cierpiących na klaustrofobię wrzucono do ciemnego lochu. Osoby z hemoroidami zostały dawno temu nabite na pał. Chorzy na parkinsona doznali porażenia prądem. Ci z wrażliwą wątrobą zostali otruci. Osoby z chorobą wrzodową popełniły w poprzednim życiu harakiri. Chorzy na łuszczycę zostali kiedyś spaleni. Ludzie cierpiący na migrenę popełnili samobójstwo, strzelając sobie w głowę. A krótkowidz był w poprzednim wcieleniu kretem.

Prawie każdy przypominał sobie całkiem dokładnie dziwaczne przeszłe wcielenia. W restauracji znalazło się rzecz jasna wielu byłych średniowiecznych rycerzy, ośmiu eks-faraonów, ale też eks-księża i eks-prostytutki.

Każdy miał jakieś wspomnienia z innego życia. Najprawdopodobniej były to sceny widziane w... telewizji i zapożyczone z hollywoodzkich filmów. O ile bowiem byłem gotów uwierzyć tym, którzy uważali się za dawnych wieśniaków, o tyle tym, którzy brali się za Indianę Jonesa, Barbarellę, Tintina, Asteriksa czy Herkulesa Poirota, trzeba było wyjaśnić, że postacie te nigdy nie istniały. Mimo wszystko bawiliśmy się świetnie.

Lucinder dołączył do nas w restauracji. Wydawało się, że i on jest w doskonałym humorze. Zjadł z apetytem makaron z bazylią, a potem zaczął nam opowiadać o polityce.

Po początkowym wzroście wyniki sondaży zatrzymały się na pewnym poziomie. Lucinder wyczuł, że nadszedł odpowiedni moment na wydarzenie, które ostatecznie wywrze wielkie wrażenie na wiecznie niezdecydowanej opinii publicznej. Gdyby Amandine mogła opowiedzieć o prawdziwym ważeniu dusz, zamiast przytłaczać ludzi pojęciami z filozofii i etyki, byłoby znacznie lepiej, stwierdził. Bo właśnie podczas tej ostatniej rozmowy, która stanowi niejako wstęp do reinkarnacji, wszystko się rozgrywa. Należy szczegółowo zapoznać się z całym systemem dodatnich i ujemnych punktów. I w ten sposób pojawił się pomysł „Rozmowy ze śmiertelnikiem”.

Nie można było wysłać tam, w górę, ektoplazmicznej kamery w celu sfilmowania sceny, którą widzieliśmy zaledwie przez krótką chwilę. Moglibyśmy oczywiście przyjrzeć się detalom i powtórzyć usłyszane zdania. Kto z nas jednak posiada tak świetną pamięć, by zarejestrować całą telepatyczną wymianę zdań między sędziami archaniołami a duszą, która niebawem ma przejść reinkarnację?

- Maxime Villain! - krzyknęła Rose. - Reporter ektoplazmiczny, dziennikarz z „Małego Tanatona Ilustrowanego”. Ten ma przecież nieprawdopodobną pamięć. Idealna do tego celu osoba.

- Doskonale! - wykrzyknął Lucinder. - Potrafi także przedstawić scenę w formie rysunku. Moi wyborcy będą w ten sposób mieli do dyspozycji obrazki z Raju, nie ruszając się w ogóle z fotela.

Już obliczał dodatkowe głosy, które zyska dzięki temu świadectwu!

Sam doskonale wiedziałem, że ektoplazmy posiadają znakomity wzrok, ponieważ patrzą wyłącznie sercem, a nie oczami. Czyż niewidomy Freddy nie był najwspanialszym z tanatonautów? A jednak za każdym razem gdy spotykałem Maxime'a Villaina, zastanawiałem się, jak on sobie radzi tam, w górze, mając okulary o tak grubych szklach.

Mały, okrągłutki, z kiepskim wzrokiem, małą bródką i ironicznym uśmiechem, Maxime Villain nieodparcie przypominał Toulouse'a-Lautreca.

Już następnego ranka ściągnęliśmy go do tanatodromu.

- Jakież to szczęście mieć tak niesamowitą pamięć - mizdrzyła się Amandine, kiedy zgodził się przyjąć nasze zaproszenie. - Bo jeśli ja natychmiast czegoś nie zanotuję, od razu zapominam.

Dziennikarz rozciągnął wargi w przepraszającym uśmiechu.

- Ze mną jest taki problem, że właśnie mam za dobrą pamięć. A czasami wolałbym o tym i owym zapomnieć.

Ponieważ na twarzy dziewczyny pojawiło się zdziwienie, wyjaśnił:

- Gdy jakaś informacja dostaje się do mojego mózgu, już nigdy stamtąd nie wychodzi. Jestem przeładowany zupełnie niepotrzebnymi danymi. Moja wiedza jest tak gigantyczna, że staje się to poważnym ciężarem. Z dziesięć razy zaczynałem już pisać książkę i zatrzymywałem się za każdym razem po kilku stronach, gdyż z tak wieloma odniesieniami do różnych utworów literackich miałem wrażenie, że popełniam plagiat. Żeby stworzyć jakieś naprawdę osobiste dzieło, należy zapomnieć o wszystkich innych utworach. A ja tego nie potrafię.

Ja, który zawsze zazdrościłem mu encyklopedycznej pamięci, odkryłem, że stanowi to dla niego przeszkodę. To prawda, że czasami tak przyjemnie jest o czymś zapomnieć... Gdybym tylko mógł ukryć gdzieś w dalekich zakamarkach mózgu tę drugą szatańską prawdę!

Lucinder, jak zawsze przekorny, postanowił przedstawić nam jako znakomitą cechę swoją „zdolność zapominania”. Dzięki temu mógł stosować rozwiązania zaproponowane przez poprzedników, które zresztą krytykował, gdy sam był w opozycji. Wybaczał też bez problemu wszystkim, którzy go atakowali, co pozwoliło mu cieszyć się opinią wielkodusznego i w znacznym stopniu przyczyniło się do wzrostu jego popularności.

Biedny Maxime! Ten nie potrafił zapomnieć. Dlatego też zawsze będzie dziennikarzem i nigdy nie spełni się jego marzenie, żeby zostać pisarzem!

Na razie zatem trzeba było jakoś wykorzystać te jego zdolności. Zaczęliśmy od ustalenia, na czym ma polegać jego zadanie. Opracowaliśmy następujący plan: Stefania, Rose, Amandine i ja wykonamy manewr, którego celem będzie rozmowa i odwrócenie uwagi aniołów, a w tym czasie Maxime postara się dotrzeć możliwie jak najwyżej na górę światła, aby posłuchać, co się dzieje podczas Sądu Ostatecznego.

Nie było sensu dłużej zwlekać. Trzy dni później nasza grupa odleciała, żeby przygotować reportaż jeszcze bardziej sensacyjny od poprzednich, poświęconych bitwom w

Raju, dzięki którym Villain stał się jedną z wyroczni w tej dziedzinie.

Maxime utrwalił w mózgu wszystkie dialogi. Wraz z odpowiednimi rysunkami zostały one opublikowane w „Małym Tanatonaucie Ilustrowanym”, a później ukazały się drukiem w „Rozmowie ze śmiertelnikiem”, drugiej książce wydanej przez Amandine Ballus. Oryginalny rękopis, dokument o historycznym wręcz znaczeniu, spoczywa dzisiaj w szklanej gablocie w Muzeum Śmierci przy Smithsonian Institution w Waszyngtonie.

230 - PODRĘCZNIK DO HISTORII

Tanatonauci zawsze okazywali aniołom najwyższy szacunek. Wystarczy zresztą ujrzeć anioła, prawdziwego anioła, żeby natychmiast zrozumieć, że trzeba go szanować. Anioły są być może tym, czym będą istoty ludzkie w roku 100 000. Są milion razy bardziej rozwinięte i subtelniejsze od nas. Inaczej niż my postrzegają czas. Istoty ludzkie są zablokowane między przeszłością, z którą muszą się pogodzić, i przyszłością, przed którą odczuwają lęk. Anioły zaś przenikają przez terażniejszość, przeszłość i przyszłość. Proponują nam całkowicie nowe pojęcie, „teraźniejszo-przyszłości”. Anioł bez przerwy dostrzega konsekwencje wszystkich czynów w krótkiej, średniej i długiej perspektywie czasowej i wybiera działanie w „teraźniejszo-przyszłości” tak, jak my byśmy się częstowali tym samym daniem ze szwedzkiego stołu. Już na wstępie, jeśli wybieramy tartą marchewkę, wiemy, jaki będzie miała smak w naszych ustach. Tak samo anioł, wykonując taki czy inny uczynek, wie już zawczasu, jakie będą jego konsekwencje.

Podręcznik szkolny, kurs podstawowy, 2. rok

231 - KRÓTKA BIOGRAFIA MAXIME'A VILLAINA

W dzieciństwie Maxime Villain był normalnym dzieckiem, może z jedną tylko różnicą: kiedy mówił, nikt go nie słuchał. Zaczynał zdanie i dziwnym trafem zawsze znalazł się ktoś, kto natychmiast mu przerywał. W domu przy stole przerywano mu na przykład zdaniem: „Możesz mi podać sól?”. A w szkole wychowawca oświadczał: „Dobrze, przechodzimy teraz do kolejnych zajęć”. Wystarczyło, że otworzył usta, a natychmiast uwaga pozostałych osób kierowała się na coś innego albo na kogoś, kto wycierał akurat nos.

Maxime był tym bardziej zdruzgotany, że sam słuchał bardzo uważnie swojego

rozmówcy i mógł siedzieć w milczeniu całymi godzinami, gromadząc wszystkie informacje, jakie mu przekazywano.

Zadowoleni, że słucha ich z tak wielką uwagą, znajomi przekazywali mu wiedzę z dziedzin tak różnych, jak hipnoza, ratownictwo, literatura epoki wiktoriańskiej, informatyka, zapasy w stylu klasycznym, astrofizyka, strategia wojen napoleońskich, matematyka, muzyka dodekafoniczna i wiele, wiele innych. Wszystko się przydawało, żeby zapełniać zbiornik jego myśli.

Jednakże Maxime'owi nie do końca się podobało, że słuchając, wciąż czerpie od innych, nie może natomiast wymieniać się z nikim poglądami. Na początku robił co mógł, żeby zwrócić na siebie uwagę. W końcu oczekiwał przecież tak niewiele. Lecz kiedy tylko rozpoczynał jakiś wywód, rodzice ziewali i zaczynali mówić o czymś innym, a nauczyciele z roztargnieniem wtrącali: „No cóż, bardzo interesujące, ale zupełnie nie na temat”. Tak samo było z jego przyjaciółmi.

Czy sprawiał to jego niski, łagodny i być może usypiający głos? Niskie tony, oddziałując na serce i klatkę piersiową, kołyszą i usypiają. Z kolei wysokie brzmienia pobudzają, gdyż docierają bezpośrednio do mózgu. Maxime powtarzał sobie, że ktoś o wysokim głosie, którym opowiada cokolwiek, ma większe szanse na wysłuchanie aniżeli ktoś, kto niskim głosem opowiada o naprawdę pasjonujących rzeczach.

Próbował więc zmienić głos, ale bez większych sukcesów. Z rozpaczy postanowił, że zostanie mnichem trapistą. Wśród ludzi, którzy złożyli śluby milczenia i z którymi rozmowa była niemożliwa, wreszcie poczuł się akceptowany i doceniany.

Miał teraz czas na to, żeby się spokojnie zastanowić nad swoją sytuacją, i w końcu całkowicie się z nią pogodził. Urodził się jako odbiornik i nigdy już nie stanie się nadajnikiem. Opuścił zatem spokojnie klasztor i nadal gromadził wiedzę, słuchając innych. Oczywiście nadal się tą wiedzą z nikim nie dzielił, gdyż wciąż nikt się nim nie interesował, ale stał się przez to olbrzymim ludzkim bankiem danych, który można było rozbudowywać w nieskończoność. Dzięki zgromadzonej wiedzy, którą wielu uznałoby za całkowicie niepotrzebną, byłby w stanie bez trudu wygrać każdy teleturniej, odpowiadając na wszelkie pytania z tak zwanej „wiedzy ogólnej”.

Maxime Villain jednak wciąż z zapałem dowiadywał się nowych rzeczy. Odkrył równocześnie, że dziennikarstwo pozwoli mu zaspokoić oczekiwania. Zajmował się różnymi działami: skandalami, nauką, plotkami, polityką, kulturą. A kiedy pisał, nie musiał się przejmować swoim głosem: wśród całej masy osób, które prenumerują gazety, znajdzie się co najmniej jeden uważny czytelnik.

Żeby być dobrze zrozumianym i przyciągnąć zarazem uwagę wymyślonego czytelnika, postanowił także rysować. „Słowa nie zawsze wystarczają - pomyślał. - Czasami obraz okazuje się konieczny, żeby uzupełnić wypowiedź”. Od tej chwili do wszystkich artykułów dołączał obrazek. I w ten sposób stał się najbardziej znanym kronikarzem „Małego Tanatona Ilustrowanego”.

Początkowo pisanie było dla niego jedynie ratunkiem. Zrozumiał szybko, że aby odpowiednio skonstruować opowiadanie, konieczne jest stosowanie bardzo rygorystycznych struktur. Zaczął się pasjonować pisaniem od chwili, gdy uznał, że można je traktować jak naukę ścisłą. Maxime Villain wierzył, że uda mu się napisać tekst, w którym po przeczytaniu pierwszego słowa każdy czytelnik wpadnie w zachwyt, będzie zafascynowany do tego stopnia, że nie będzie w stanie się od niego oderwać i przeczyta go do samego końca.

Taki właśnie tekst miał być zemstą na tych wszystkich, którzy nigdy wcześniej nie chcieli go słuchać.

Maxime zwykł mawiać: „W mojej hierarchii wartości bardzo wysoko stawiam literaturę. Wiem, że jej najwyższym celem nie jest konstruowanie ładnych zdań ani ukazywanie pięknych postaci, ani nawet zgrabna intryga. Najwyższym celem literatury jest to, by ludzie mogli wyruszać w swoich marzeniach jeszcze dalej!”.

Żeby ludzie dzięki marzeniom dotarli jeszcze dalej...

Niemniej mimo tak ambitnych planów Maxime pozostał dziennikarzem i nie udało mu się ukończyć żadnej książki. Być może zbyt wysoko ustawił sobie poprzeczkę.

232 - MITOLOGIA ŻYDOWSKA

„Kiedy dla człowieka nadejdzie chwila, gdy trzeba opuścić ten świat, dzień ten jest okrutny. Z czterech stron świata spływają oskarżenia, z czterech też stron spadają na niego kary. Cztery żywioły (woda, ziemia, ogień, powietrze) walczą ze sobą w ciele człowieka, a każdy z nich ciągnie w swoją stronę. Nadchodzi wtedy postaniec, którego głos dociera do siedemdziesięciu światów. Jeśli człowiek zasłużył sobie na przychylny głos postaćca, wówczas jest on przyjęty we wszystkich światach, a jego śmierć staje się świętem, które obchodzone jest radośnie we wszystkich światach. Jeśli jest jednak inaczej, jeżeli jest niegodny, wtedy biada mu!”.

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

233 - KARTOTEKA POLICYJNA

Nazwisko: Villain

Imię: Maxime

Włosy: ciemne

Wzrost: 162 cm

Znaki szczególne: brak

Uwagi: pionier tanatonauryki

Słabe strony: niepozorny wygląd

234 - ROZMOWA ZE ŚMIERTELNIKIEM

„Rozmowa ze śmiertelnikiem” - tekst wraz z ilustracjami autorstwa dziennikarza Maxime'a Villaina. Scena rozgrywa się na najdalszych kresach Raju, u stóp góry światła, gdzie zasiadają wielkie archanioły, arbitrzy naszego przeznaczenia. Występują: trzy archanioły plus Charles Donahue, osobnik, który niedawno zszedł. Anioł stróż Charles'a Donahue nie mógł przybyć na spotkanie, co w niczym nie zmienia sensu i wartości wydanego orzeczenia.

ARCHANIOŁ SĘDZIA GABRIEL: Dzień dobry, panie Donahue.

DUSZA: Gdzie ja jestem?

Zmarły patrzy wokół siebie i rozmasowuje ten fragment ektoplazmy, gdzie amputowano mu niedawno lewe ramię. Podnosi głowę i przygląda się wzgórzom Sądu Ostatecznego i trzem archaniołom sędziom, którzy poruszają niewidzialnymi nitkami z całą masą supełków.

ARCHANIOŁ SĘDZIA MICHAŁ: Jest pan teraz w centrum orientacji dusz i za chwilę przystąpimy do ważenia pana dawnej egzystencji.

DUSZA: Do ważenia?

ARCHANIOŁ SĘDZIA RAFAŁ: Odbędzie się sąd. Pana życie zostanie zbadane po to,

żebyśmy mogli osądzić pana zachowania i postanowić, czy w pana przypadku zasadne jest czy też nie zamknięcie cyklu reinkarnacji na Ziemi.

DUSZA: Byłem jak najbardziej w porządku.

ARCHANIOŁ SĘDZIA GABRIEL (przyglądając się dokumentom): Na razie tylko pan tak twierdzi.

DUSZA: Kiedy stałem w kolejce, słyszałem, jak ktoś mówił, że mamy prawo do anioła stróża, który występować może w roli obrońcy. Nie ma go tu?

ARCHANIOŁ SĘDZIA MICHAŁ: Rzeczywiście ma pan prawo do obecności anioła stróża, ale też do obecności osobistego demona. Okazało się jednak, że obaj są w tej chwili bardzo zajęci na ziemskim padole. Wie pan albo i nie, że anioł stróż przypisywany jest w dniu narodzin. Otóż osoba, która urodziła się tego samego dnia co pan, zwróciła się z pilną prośbą o wysłanie do niej anioła stróża i demona. Jakaś nieprzyjemna sprawa dotycząca zwolnienia z pracy bez wystarczających powodów. Są to wyjątkowe okoliczności, ale nie będziemy się nad tym za długo rozwodzić. Proszę się nie niepokoić: będzie to jak najbardziej sprawiedliwy i bezstronny sąd. Sumienia zarówno pańskiego anioła stróża, jak i demona unoszą się nad tą górą i będziemy mogli ich równocześnie wysłuchać.

ARCHANIOŁ SĘDZIA GABRIEL: Pański przypadek będzie zbadany w sposób całkowicie obiektywny. Jest pan tutaj w najważniejszym dla sprawiedliwości miejscu. Wiemy już o panu wszystko. Znamy też intencje, które przyświecały każdemu z pana czynów.

DUSZA (reagując gwałtownie): Nie mam sobie nic do zarzucenia. Byłem w porządku. Ożeniłem się. Miałem troje dzieci. Zanim umarłem, zostawiłem rodzinie całkiem spory spadek. A w tej chwili muszą być mile zaskoczeni, jeśli chcecie znać moje zdanie.

ARCHANIOŁ SĘDZIA RAFAŁ (podczas gdy Gabriel wyciąga przezroczystą nitkę z całą masą supłeków): Nie na tym polega „odpowiednie zachowanie”. Widzi pan te supły? Każdy przedstawia jakiś czyn w pańskim życiu.

Supły fosforyzują jak bańki wspomnień, które witają zmarłych po przekroczeniu pierwszej bariery komatycznej.

ARCHANIOŁ SĘDZIA RAFAŁ: Wspomniał pan o swojej żonie. Z tego co widzę, często przez pana wylewała łzy. Zdradzał ją pan, prawda? I do tego z jakąś idiotką.

DUSZA (z fatalizmem): No cóż, dzisiaj panuje dosyć duża swoboda obyczajów...

ARCHANIOŁ SĘDZIA GABRIEL (oschle): Po prostu cudzołóstwo. Za to 60 punktów ujemnych. (Przygląda się innym bańkom wspomnień). Mówił pan również o dzieciach. Naprawdę się pan nimi zajmował? Widzę tutaj, że zawsze pan się tak urządzał, żeby wyjechać na wakacje w momencie, gdy one przychodziły na świat, potem pod pozorem

wyjazdów służbowych unikał pan płaczu dzieci w nocy, a żona zawsze zostawała sama właśnie wtedy, gdy najbardziej pana potrzebowała.

DUSZA: Zawsze miałem potwornie dużo pracy i dlatego, że chciałem zapewnić rodzinie dobrobyt, tak rzadko bywałem w domu. Ale za każdym razem gdy wracałem, zasypywałem dzieciaki mnóstwem prezentów.

ARCHANIOŁ SĘDZIA MICHAŁ: I wyobraża pan sobie, że zabawki zastąpią obecność ojca? Przykro mi. Za to 100 punktów ujemnych.

DUSZA: A cóż to w ogóle za historia z tymi punktami ujemnymi?'

ARCHANIOŁ SĘDZIA RAFAŁ: Żeby zakończyć cykl reinkarnacji i stać się mędrce, trzeba uzyskać 600 punktów dodatnich podczas ostatniego pobytu na Ziemi. Na razie ma pan 160 punktów ujemnych. Jedźmy dalej. (Rozwija sznurek i zatrzymuje się przy kilku całkiem białych supłach.) Zamknął pan rodziców w domu starców trzeciej kategorii, gdzie odwiedzał ich pan nie częściej niż raz w roku.

DUSZA: Byli kompletnie niedołączni. A poza tym miałem tyle pracy, że nie byłem w stanie...

ARCHANIOŁ SĘDZIA GABRIEL: Kiedy oni pana wychowywali, pan też był „niedołączny”, jak to pan mówi. Co więcej, nie umiał pan utrzymać moczu. Hałaśliwy, nieporządny, gruby, ośliniony, niezdolny do tego, żeby stać prosto na dwóch nogach. Rodzice mieli jednak cierpliwość, żeby znosić pana kaprysy.

ARCHANIOŁ SĘDZIA MICHAŁ: A poza tym ta pana praca ładnie wyglądała! Porozmawiajmy raczej o pana sekretarce!

DUSZA (zaskoczona): Ach tak, o tym także wiecie?

ARCHANIOŁ SĘDZIA RAFAŁ: Tutaj wiemy o wszystkim, widzimy wszystko, liczymy wszystko. Rodzice byli zrozpaczeni, że w ogóle już pan się nie pojawia. Naprawdę za panem tęsknili. A do tego w domach starców im więcej osób odwiedza pensjonariuszy, tym lepiej są traktowani przez personel. Ci, którzy są opuszczeni przez bliskich, no cóż, pielęgniarki myślą o nich, że tak czy inaczej nikomu już na nich nie zależy. Więc siłą rzeczy nie troszczą się o nich tak jak trzeba.

DUSZA: Ale przecież wysyłałem im mimo wszystko sporo prezentów.

ARCHANIOŁ SĘDZIA MICHAŁ: Znowu ta sama śpiewka. Oni nie chcieli prezentów. Pragnęli jedynie pana obecności. Tak jak żona, tak samo jak dzieci.

DUSZA: Czy aby trochę nie przesadzacie? Nie byli znowu aż tak bardzo nieszczęśliwi w tym domu. Kiedy ich odwiedzałem, zawsze mnie zapewniali, że wszystko jest w jak najlepszym porządku...

ARCHANIOŁ SĘDZIA GABRIEL: Bo kochali pana i nie chcieli potęgować w panu poczucia winy. No i mamy kolejne 100 punktów ujemnych! Kiepsko, kiepsko to wszystko razem wygląda! Już jesteśmy na poziomie minus 260.

DUSZA: Chwileczkę. Wydaje się to trochę zbyt proste. Osądza się ludzi i skazuje ich. Można odnieść wrażenie, że już na wstępie wzięliście czyjąś stronę i bierzecie pod uwagę tylko złe aspekty. A przecież wykonałem też dobre uczynki na ziemskim padole.

ARCHANIOŁ SĘDZIA MICHAŁ: Co pan ma na myśli?

DUSZA: Założyłem fabrykę, gdzie produkowałem butelki! Zatrudniłem bezrobotnych, dzięki mnie całe rodziny mogły się wyżywić, wytwarzałem produkty, które ułatwiały ludziom życie. No...

ARCHANIOŁ SĘDZIA GABRIEL: No to porozmawiajmy o tej pana fabryce butelek! Zanieczyszczała całą okolicę.

ARCHANIOŁ SĘDZIA MICHAŁ: A jakie tam panowały warunki pracy! Wywoływał pan bezustannie konflikty między kierownictwem a pracownikami. Nastawiał pan jednych przeciwko drugim, żeby mieć wszystkich w ręku.

DUSZA: Wprowadzanie podziałów, żeby skuteczniej kierować ludźmi, jest jedną z podstawowych zasad nowoczesnego zarządzania. Nie możecie mi zarzucać tego, że skończyłem wyższą szkołę handlową!

ARCHANIOŁ SĘDZIA GABRIEL: Za fabrykę 60 punktów ujemnych. Mamy już 320 punktów poniżej dopuszczalnego poziomu. A teraz dorzucimy do tego hurtem drobne rzeczy.

DUSZA: Drobne rzeczy? O co tu chodzi?

ARCHANIOŁ SĘDZIA RAFAŁ: W trakcie całego życia popełnił pan, cytuję: 8 254 kłamstwa, które zaszkodziły panu otoczeniu, 567 zwykłych podłości, 789 podłości poważnych; 45 małych zwierząt zginęło pod kołami pańskiego samochodu. Co więcej, głosował pan zupełnie bezsensownie w wyborach, szanowny pan przepuszczał w grach hazardowych pieniądze z domowego budżetu, szanowny pan jeździł sobie głośnym samochodem, szanowny pan...

DUSZA (skonsternowana ektoplazma Donahue): Można by pomyśleć, że uważacie mnie za niezłego łobuza!

ARCHANIOŁ SĘDZIA RAFAŁ: Tego nie powiedziałem. (Przygląda się znowu sznurkowi pełnemu supłów, z których niczym bąbelki w szampanie wydobywają się bańki wspomnień): systematycznie oddawał pan krew dla szpitali. Mamy 20 punktów dodatnich. Uratował pan jakiegoś kierowcę na autostradzie, kiedy jego samochód stanął w płomieniach. Znow 50 punktów dodatnich. Przekazywał pan stare ubrania stowarzyszeniu charytatywnemu,

a mógł pan przecież wyrzucić je do śmietnika. Plus 10 punktów.

DUSZA: I proszę nie zapominać o okolicznościach, w jakich poniosłem śmierć.

ARCHANIOŁ SĘDZIA GABRIEL (wciąż wpatrując się w sznureczek): Rzeczywiście, zasługuje to na uwagę. Uderzył pan w drzewo, żeby nie potrącić rowerzysty, gdy z naprzeciwka nadjeżdżały dwie wielkie ciężarówki, które się wyprzedzały. Zresztą obaj ci kierowcy są tuż za panem i czekają na swoją kolejkę...

Ektoplazma Donahue odwraca się i widzi za sobą dwóch niecierpliwących się umarłych.

DUSZA: Ha!

ARCHANIOŁ SĘDZIA GABRIEL: Przynajmniej tym razem miał pan właściwy odruch, muszę to panu przyznać. Doliczamy 10 punktów dodatnich, ale mógł pan za to dostać więcej, gdyby poza rowerzystą udało się panu oszczędzić także drzewo.

DUSZA (oburzona): Co takiego?

ARCHANIOŁ SĘDZIA MICHAŁ: No tak, to był młody platan, drzewo, które chciało dalej rosnać i rzucać cień na drogę, a pan przełamał je na pół! Następnym razem niech pan się postara ominąć zarówno ciężarówki, rowerzystę, jak i drzewo i niech pan po prostu wjedzie do rowu. Być może wtedy pana samochód by się zapalił, a ciało zwęgliło. Bardzo wysoko cenimy śmierć w płomieniach.

DUSZA: Dlatego, że to okropna śmierć?

ARCHANIOŁ SĘDZIA RAFAŁ: Im boleśniejsza śmierć, tym bardziej przypomina męczeństwo. Śmierć w płomieniach przyniosłaby panu 100 punktów dodatnich!

DUSZA: Co pan miał na myśli, mówiąc o następnym razie?

ARCHANIOŁ SĘDZIA GABRIEL (tłumacząc cierpliwie): Trzeba zgromadzić 600 punktów dodatnich, żeby zakończyć cykl reinkarnacji, powiedzieliśmy panu o tym na początku ważenia. Tymczasem zakończył pan swoją egzystencję z wynikiem minus 230 punktów. Wygląda to bardzo marnie.

ARCHANIOŁ SĘDZIA MICHAŁ: Zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę, że szanowny pan już 193 razy wcielał się w ludzką postać. Możemy pana odesłać tylko do innego ciała. I proszę postarać się uzyskać coś więcej, niż te żalosne 230 punktów ujemnych przy następnym ważeniu.

DUSZA (przerażona): Do innego ciała?

ARCHANIOŁ SĘDZIA MICHAŁ: Inne ciało, inne życie. Życie, które pan za chwilę sam wybierze.

DUSZA (coraz bardziej zaskoczona): A więc można sobie wybrać jakieś życie?

ARCHANIOŁ SĘDZIA GABRIEL: Oczywiście, w życiu uzyskuje się zawsze to, co sami wybraliśmy.

ARCHANIOŁ SĘDZIA MICHAŁ: Poza tym jesteśmy tutaj na usługach dusz. Jesteśmy tu, żeby pomóc panu odkupić się. Dla pana dobra, żeby mógł się pan poprawić, przejdzie pan reinkarnację.

ARCHANIOŁ SĘDZIA RAFAŁ: Damy panu okazję naprawienia błędów popełnionych w poprzednich bytach. Pan sam wybierze sobie mocne i słabe strony na początku nowego życia. Spójrzmy, co też mamy w tej chwili na składzie na poziomie minus 230 punktów.

Trzy archanioły wzywają do siebie dwa serafiny, które unosiły się nad nimi podczas całej tej sceny. Przekazują im natychmiast sznureczki z wypełnionymi informacjami bańkami wspomnień.

ARCHANIOŁ SĘDZIA RAFAŁ: Mamy tutaj świeżo zaktualizowaną listę przyszłych rodziców, którzy właśnie się o tej porze kochają.

DUSZA: To będę mógł wybrać sobie rodziców?

ARCHANIOŁ SĘDZIA MICHAŁ: Ile razy mam panu powtarzać, że można wybrać sobie życie? Ale uwaga, nie wolno się pomylić! A zatem czy wolałby pan rodziców raczej surowych czy może takich bardziej na luzie?

DUSZA (niezdecydowana): Hm... A jaka to różnica?

Serafin przedstawia im telepatyczny film. Gruby facet z grubą panią leżą nadzy w łóżku, szukając takiej pozycji, w której jedno nie przygniecie i nie udusi drugiego swoim ciężarem. Po bezowocnych próbach, gdy on był na niej, a potem ona na nim, ułożyli się na boku, wpasowując w siebie jak łyżeczki.

Dzwoni telefon, ale kobieta daje mężczyźnie znak, żeby nie odbierał. Ten jest cały czerwony i spocony. Głośno jęczy. Kobieta wykrzywia twarz i odrzuca na bok włosy.

ARCHANIOŁ SĘDZIA GABRIEL: Państwo Dehorgne, bardzo sympatyczne małżeństwo. Mili, opiekuńczy, kochający. Jedna tylko wada: ich zawód. Pracują w gastronomii, a ich restauracja nie należy do szczególnie dobrze prosperujących.

Wieczorem będą więc pana zmuszać do zjedania wszystkich resztek; specjalność ich zakładu to regionalna potrawka i profitrolki w czekoladzie. Tak jak oni bardzo szybko stanie się pan otyły. No i jak, odpowiadają panu tacy rodzice?

DUSZA (przyglądając się z odrazą tej parze i ich niezgrabnemu baraszkowaniu): Oczywiście, że nie.

ARCHANIOŁ SĘDZIA GABRIEL: Wszyscy rodzice mają swoje wady i zalety. Ale

przy pana wyniku nie może pan też zbyt dużo wymagać.

Kolejny pokaz telepatycznego filmu.

ARCHANIOŁ SĘDZIA RAFAŁ: Polletowie. Ojciec prowadzi trafikę, dużo pali i o wiele za dużo pije. Jego żona to analfabetka posłuszna mu jak pies. Wieczorem pan Pollet wraca często kompletnie pijany i bije wszystkich w domu, w tym żonę i dzieci. Przy nim - zapewniam - uderzenia paskiem będą bardzo częste.

W tym właśnie momencie rzeczony Pollet łapie żonę mocno za pośladki i wbija w nie pazury aż do krwi. Bynajmniej się nie skarżąc, żona krzyczy w totalnej ekstazie.

DUSZA: To oni są sadomasochistami? Nie znoszę tego. Bardzo proszę o następnych!

ARCHANIOŁ SĘDZIA GABRIEL (zamyślony): Z wynikiem minus 230 punktów...

ARCHANIOŁ SĘDZIA MICHAŁ: Państwo de Sumach. Elegancy, bardzo „ę”, „ą”. Młodzi, wysportowani, zawsze na topie, rodzice z gatunku tak zwanych kumpli. Mają dużo przyjaciół, często wychodzą się zabawić gdzieś na mieście, dużo podróżują po świecie.

Wszyscy wpatrują się teraz w dwójkę ładnych młodych ludzi leżących pod prześcieradłem.

DUSZA (bardzo zainteresowana): No, wreszcie proponujecie mi coś innego, a nie jakieś odrażające potwory!

ARCHANIOŁ SĘDZIA GABRIEL: To nie takie proste. Zajmują się przede wszystkim sobą i pozwolą panu robić to, na co będzie pan miał ochotę, ale będą też tak bardzo dynamiczni, że przy nich zawsze będzie pan przytłumiony i zahukany.

ARCHANIOŁ SĘDZIA RAFAŁ: Najpierw będzie pan im zazdrościł, a potem ich pan znienawidzi. Oni zaś będą tak mocno w sobie zakochani, że nie będą panu poświęcać zbyt wiele uwagi ani też okazywać uczuć. Będzie pan dzieckiem ponurym i szybko stanie się pan zgorzkniały. Oni nawet w wieku sześćdziesięciu lat będą sprawiali wrażenie młodych. A pan już w wieku dwunastu lat będzie tylko starym malutkim. Ciężko będzie oswoić się z myślą, że nienawidzi się własnych rodziców, i bardzo szybko będzie pan miał pretensje do całego świata.

DUSZA: W porządku, zrozumiałem. Kogo tam jeszcze mamy?

ARCHANIOŁ SĘDZIA RAFAŁ: Naszym obowiązkiem jest pokazać panu dobre i złe strony wszystkich tych rzeczy, chociaż wiemy, że w związku z tym pana wybór staje się trudniejszy.

ARCHANIOŁ SĘDZIA MICHAŁ: Przyjrzyjmy się jeszcze państwu Gomelin. Są małżeństwem już od dawna i wydawało im się, że nie mogą mieć dzieci. Dzięki nowej technice zapłodnienia in vitro ta pani, która jest już po menopauzie, będzie mogła urodzić

dziecko. Pojawiłby się pan w tej rodzinie jako niespodziewany prezent. Będą pana rozpieszczać aż miło. Pokocha ich pan i oni też będą pana kochali.

DUSZA (coraz bardziej podejrzliwa): A w czym tym razem tkwi pułapka? Stanę się opasły, bo będą mi wciąż dawać cukierki? Będą mnie bili za każdą złą ocenę, bo będą chcieli być dumni z moich wyników w szkole?

ARCHANIOŁ SĘDZIA GABRIEL: Nie. Są starzy, to prawda, ale bardzo łagodni.

DUSZA: W takim razie mnie to pasuje.

ARCHANIOŁ SĘDZIA RAFAŁ: Tak pan sądzi? Będzie pan ich tak kochał, że nie zdoła się pan wydostać spod ich klosza. Będzie pan wciąż siedział w domu, zamknięty, niezdolny do otwarcia się na innych ludzi. Będzie pan tak zachwycony matką, że w pana oczach żadna kobieta nie będzie mogła jej dorównać. Żaden mężczyzna nie będzie też w stanie dorównać pana ojcu, który jest taki mądry i wyrozumiały.

ARCHANIOŁ SĘDZIA MICHAŁ: Ale oni są już starszymi ludźmi i niebawem umrą, zostawiając pana jako porzuconą biedną sierotkę. Zostanie pan sam jak pisklę, które wypadło z gniazda, zanim nauczyło się latać. Pograży się pan w żalu po ich zniknięciu.

DUSZA (zasmucona): Kogo tam jeszcze mamy w zapasie?

Jakaś para kocha się namiętnie na dywanie w pełnym przepychu salonie.

ARCHANIOŁ SĘDZIA GABRIEL: To państwo Chirouble. Wprawdzie obejmują się teraz czule, ale za kilka dni będą się już rozwodzić.

ARCHANIOŁ SĘDZIA MICHAŁ: Rodzice w separacji. Opieka nad panem zostanie powierzona matce. Już ma zresztą kochanka, który będzie pana nienawidził. Zamkną pana w szafie, żeby nikt im nie przeszkadzał, gdy się będą kochać. Będzie pana biła za każdym razem, gdy się pan rozplacze, bo będzie się obawiała, że przez pana kochanek od niej odejdzie. Ojciec będzie zabierał pana od czasu do czasu na weekend, ale on również będzie się bardziej interesował swoimi kochankami aniżeli panem.

DUSZA: No pięknie, nie ma co...

ARCHANIOŁ SĘDZIA RAFAŁ: Ależ nie, bo ci rodzice mają jednak kilka zalet. W panu będzie dojrzewała taka wściekłość, że będzie pan starał się zemścić na życiu. Będzie pan nienawidził kobiet, gdyż przypominać będą panu matkę. Taka obojętność sprawi, że żadna nie będzie w stanie się panu oprzeć i dzięki temu odczuwać pan będzie żądzę władzy, aby tym skuteczniej nad nimi dominować. Z takim właśnie nieszczęśliwym dzieciństwem człowiek staje się szefem dynamicznej firmy albo przywódcą państwa sprawującym rządy silnej ręki.

ARCHANIOŁ SĘDZIA MICHAŁ: A poza tym wystarczy, żeby pan przypomniał innym o swoim strasznym dzieciństwie, a wszyscy będą panu współczuli i wybaczą panu

różne niegodziwości.

ARCHANIOŁ SĘDZIA RAFAŁ: Jeśli zaś napisze pan autobiografię, to będzie się sprzedawać jak ciepłe bułeczki, a producenci będą wyrywać sobie prawa do jej ekranizacji. Ludzie uwielbiają wręcz opowieści o nieszczęśliwym dzieciństwie.

Ektoplazma Donahue wahał się chwilę. Na pierwszy rzut oka małżeństwo wydaje się urocze i chyba nieźle się bawią na tym dywanie. Mimo wszystko Donahue opanowuje się.

DUSZA: Nie mam ochoty być kimś takim jak Kozeta czy Gawrosz. Jest może jeszcze coś innego?

ARCHANIOŁ SĘDZIA GABRIEL: Minus 230, przykro mi, ale to wszystko, co mamy panu do zaproponowania. Opaśli restauratorzy, zapijaczeni właściciele kiosku z papierosami, dynamiczni państwo „ę”, „ą”, zramolali rodzice, no i ta szykująca się do rozwodu parka. Proszę szybko wybierać, bo zaraz trzeba będzie coś postanowić w sprawie pańskich problemów zdrowotnych.

DUSZA: Ale każecie mi wybierać między dżumą i cholera!

ARCHANIOŁ SĘDZIA RAFAŁ: Trzeba było wcześniej o tym pomyśleć. Gdyby się pan lepiej zachował w stosunku do własnych rodziców, żony i dzieci, gdyby miał pan lepszy wynik, z pewnością zaproponowalibyśmy panu coś lepszego. Nieboszczyk, który był przed panem, miał tylko minus 20 punktów i z takim wynikiem mogliśmy mu dać przyjemną rodzinę zajmującą się handlem winem. Uroczy ludzie, którzy zapewnią mu znakomitą edukację i zapewne też będzie miał szansę stać się na tyle mądrym, żeby nie być już zmuszonym do reinkarnacji.

ARCHANIOŁ SĘDZIA GABRIEL: Aha, istnieje też możliwość ponownego narodzenia się w jakimś kraju Trzeciego Świata. Chociaż nie będzie pan mógł się najeść do syta, będzie pan mógł cieszyć się niezwykle przyjaznym i ciepłym otoczeniem.

DUSZA: Skoro i tak mam cierpieć, a życie i tak nie będzie lekkie, wolę już nie zmieniać kraju.

ARCHANIOŁ SĘDZIA MICHAŁ: W takim razie, nie chcąc wywierać na pana nacisku, doradzałbym tę parszywą parę rozwodników. Im bardziej się pan nacierpi w życiu, tym większa szansa na zdobycie większej liczby punktów na poczet przyszłego życia. Trzeba patrzeć perspektywicznie. Jedno życie szybko przeleci.

Wokoło serafini pokazywali zdjęcia wszystkich proponowanych par.

ARCHANIOŁ SĘDZIA RAFAŁ: Mnie też się wydaje, że to dobry wybór. To pozwoli panu iść do przodu. Na początku będzie może trudno, ale wiek dojrzały to panu zrekompensuje.

DUSZA (zwracając się do Gabriela): A co pan o tym sądzi?

ARCHANIOŁ SĘDZIA GABRIEL: Ja zdecydowałbym się raczej na Polletów, na tego pijanego brutalnego kioskarza. Jestem przekonany, że nie należy się wahać i trzeba wybrać sobie naprawdę okropne dzieciństwo. Potem może już być tylko lepiej. Nadejdzie wreszcie taki radosny dzień, kiedy ojciec nie odważy się już pana bić, bo będzie pan silniejszy od niego, potem nadejdzie kolejny, jeszcze radośniejszy dzień, w którym opuści pan dom, trzaskając drzwiami i wyzwając się spod ich tyranii...

DUSZA: Ale przecież zarzucaliście mi, że zaniedbywałem rodziców w poprzednim życiu!

ARCHANIOŁ SĘDZIA RAFAŁ: Każde życie jest inne. Nie ma tutaj jakiejś jednej i absolutnej zasady. To normalne, że każdy chce się wyzwolić spod wpływu złych rodziców. Można będzie wybaczyć im później, co na pewno warte będzie kilka punktów dodatnich, a te z całą pewnością się przydadzą!

Ektoplazma Charles'a Donahue zastanawia się dłuższą chwilę, oglądając uważnie projekcje z życia każdej pary.

DUSZA (wzdychając ciężko): No dobra, to jedziemy z tymi paskudnymi rozwodnikami.

ARCHANIOŁ SĘDZIA MICHAŁ: Powtarzam, to właściwy wybór. Za dziewięć miesięcy, jeśli pan się zgadza, przejdzie pan reinkarnację i dołączy do rodziny Chirouble.

ARCHANIOŁ SĘDZIA GABRIEL: Zajmijmy się teraz kwestiami zdrowotnymi. Również w tym wypadku może pan dokonać wyboru. Z pańskimi 230 punktami ujemnymi musi pan wybrać dwie przypadłości z następującej listy: paraliżujący reumatyzm, wrzody żołądka, ciągłe bóle zębów, chroniczne nerwobóle twarzy, bezustanne załamania nerwowe, krótkowidztwo prowadzące do ślepoty, głuchota, zez rozbieżny, zez zbieżny, przykry oddech, łuszczyca, zatwardzenie, choroba Alzheimera, paraliż lewej nogi, jękanie, chroniczne zapalenie oskrzeli, astma.

DUSZA: Euuuu...

ARCHANIOŁ SĘDZIA GABRIEL: Proszę się pośpieszyć, inaczej będę musiał zdecydować za pana. Za panem jest jeszcze sporo ludzi!

DUSZA: W takim razie zdam się na los: wrzód i astma.

ARCHANIOŁ SĘDZIA GABRIEL (notując): Nieźle. Jest pan koneserem.

DUSZA: Chodzi o to, że w poprzednim życiu cierpiałem już na chroniczne zapalenie oskrzeli i ciągle bolały mnie zęby. Było to nie do zniesienia. Więc trzeba spróbować coś zmienić.

ARCHANIOŁ SĘDZIA GABRIEL: Jeszcze jedna drobna formalność. Czy chce pan się odrodzić jako mężczyzna czy jako kobieta?

DUSZA: A co za różnica?

ARCHANIOŁ SĘDZIA GABRIEL: Jako mężczyzna musi pan wypełnić obowiązek służby wojskowej, a pana długość życia wynosi średnio osiemdziesiąt lat. Jako kobieta, będzie pan rodził w bólach i przeżyje około pięćdziesięciu lat.

DUSZA: Zaraz, zaraz, jeśli odrodzę się jako kobieta, nie będę mógł stać się wielkim charyzmatycznym przywódcą ani pożeraczem niewieścich serc, jak mi pan obiecał.

ARCHANIOŁ SĘDZIA MICHAŁ: Oto typowy dla mężczyzn priorytet. Ale myli się pan, bo przyszłość należy do tyranów kobiet. Do „tyranek”. Wystarczy odwrócić role. Wszyscy mężczyźni będą u pana stóp i nikt nie będzie mógł przeszkodzić panu w osiągnięciu dominacji nad innymi. Zresztą obyczaje wciąż się zmieniają. Widzi się teraz coraz więcej kobiet, które stają na czele państwa czy przedsiębiorstwa.

DUSZA: Ale taki poród to musi być bardzo bolesna sprawa, nie?

ARCHANIOŁ SĘDZIA RAFAŁ: Proponowałbym znieczulenie zewnątrzoponowe. A poza tym wie pan, orgazm u kobiety jest dziewięć razy silniejszy od orgazmu mężczyzny. Tylko kobiety wiedzą, czym jest prawdziwa rozkosz.

DUSZA: Zapewne jest pan lepiej zorientowany ode mnie w tej materii.

ARCHANIOŁ SĘDZIA MICHAŁ: A jak pan sądzi, dlaczego rodzi się o wiele więcej dziewczynek niż chłopców? Ludzie najpierw się dowiadują, zanim dokonają wyboru.

DUSZA: W takim razie zgoda na płęć żeńską.

ARCHANIOŁ SĘDZIA GABRIEL: Przejdźmy może teraz do pana misji w wymiarze globalnym. Pewnie pan o tym nie pamięta, ale pana dusza pojawiła się już siedemset tysięcy lat temu, a jej zadaniem było wykonanie dzieła, które miało całkowicie zrewolucjonizować sztukę malarską. A cóż widzę w pana karcie? Ledwie kilka niezłe się zapowiadających grymołów wykonanych w szkolnym zeszycie na marginesie. Nie wykorzystał pan ani jednej z poprzednich egzystencji, żeby wypełnić swoją misję.

ARCHANIOŁ SĘDZIA RAFAŁ (rozczarowany): Oto dlaczego ludzkość wciąż zostaje w ogonie w tak wielu dziedzinach... Wystarczy, żeby ktoś nie wypełnił swojej misji na ziemi, i od razu cała dziedzina nauki czy sztuki nie rozwija się!

DUSZA: W czasie pracy tam, na dole, nie miałem nawet chwili na rozrywkę.

ARCHANIOŁ SĘDZIA MICHAŁ (skonsternowany): Kpi pan sobie z nas? Widzę tutaj, że w poprzednich wcieleniach polował pan na mamuty, był pan woźnicą, szambelanem na zamku, odkrywcą w Afryce, poławiaczem pereł, aktorem filmowym i nie znalazł pan

nawet jednego małego tygodnia, żeby namalować choćby jeden obrazek?

DUSZA: Obawiam się, że nigdy o tym nawet nie pomyślałem.

ARCHANIOŁ SĘDZIA GABRIEL: A teraz będzie trzeba pomyśleć. Cała ludzkość czeka na pana wkład jako rysownika. A przez pańskie lenistwo malarstwo wciąż nie może złapać drugiego oddechu. Setki malarzy i grafików czekają, żeby lepiej wyrazić i wzbogacić pana przesłanie. Niektórzy umierają, zanim cokolwiek namalują.

DUSZA: Jest mi naprawdę przykro. Tym razem będę się starał zrobić co tylko w mojej mocy. Ale mimo wszystko malarz to zawód, w którym przymiera się głodem. Często trzeba dożyć pięćdziesięciu lat, żeby wreszcie zostać docenionym.

ARCHANIOŁ SĘDZIA GABRIEL (kpiąco): A co, szanowny pan się gdzieś śpieszy, może chce zdążyć na jakiś pociąg? Będzie pan miał dziewięćdziesiąt lat, żeby się zastanowić i zakupić pędzle, nie wystarczy?

DUSZA: Poza tym jako kobiecie jeszcze ciężiej będzie mi się przebić...

ARCHANIOŁ SĘDZIA RAFAŁ: Trudności jedynie zwiększą pana zasługi. Jeśli pana dzieło będzie na tyle wstrząsające, aby spełnić nasze oczekiwania, jeśli namaluje pan tę swoją Giocondę, zobowiązuję się przyznać panu następnym razem 700 punktów dodatkich. Dzięki temu może pan sobie pozwolić na 100 punktów ujemnych i prowadzić całkiem rozwiązłe życie między malowaniem dwóch obrazów.

ARCHANIOŁ SĘDZIA GABRIEL: Jeśli się szanownemu panu bardzo śpieszy, możemy mu załatwić ten numer z Mozartem.

ARCHANIOŁ SĘDZIA MICHAŁ: Doskonały pomysł, numer z Mozartem!

DUSZA (wyraźnie zainteresowana): A cóż to takiego ten numer z Mozartem?

ARCHANIOŁ SĘDZIA GABRIEL: Tworzy pan bardzo szybko swoje arcydzieło, jest pan jakoś tam rozpoznawalny, zarabia pan tyle, żeby przeżyć, i nadal pan strasznie dużo komponuje, aż wreszcie hop! Umiera pan młodo. W wieku trzydziestu pięciu lat, tak jak Wolfgang Amadeusz Mozart. Możemy nawet dociągnąć do trzydziestu dziewięciu, jeśli to panu odpowiada.

DUSZA (zainteresowana): Kusząca propozycja. Zgadzam się, i to chętnie. Dzięki.

ARCHANIOŁ SĘDZIA GABRIEL: Zaraz, zaraz, jeszcze nie skończyliśmy. Musi pan jeszcze wybrać sobie śmierć.

DUSZA: Moją śmierć! Ależ ja jestem martwy!

ARCHANIOŁ SĘDZIA GABRIEL: Mówię o pana przyszłej śmierci. O wszystkim musimy zdecydować zawczasu.

DUSZA: Chce pan powiedzieć, że ostatni raz zdecydowałem się głupio na drzewo?

ARCHANIOŁ SĘDZIA GABRIEL: Ano tak! A teraz czego by pan sobie życzył? Kolejny wypadek samochodowy, przedawkowanie kokainy, zamordowanie przez jakiegoś fana albo zawistnego konkurenta? Dysponujemy wszelkimi możliwymi rodzajami śmierci: nadgorliwość policji, doniczka z kwiatkiem, która spada przypadkowo z balkonu, utonięcie, samobójstwo. Im śmierć jest bardziej bolesna, tym więcej jest punktów dodatnich. Dzięki 500 punktom dodatnim wielu tatarów wrzuconych do ognia mogło zakończyć cykl reinkarnacji. Śmierć w płomieniach była czymś bardzo modnym w tamtych czasach. Ale mamy teraz nowocześniejsze rozwiązania: 300 punktów dodatnich, gdy umrze pan jako niewinna ofiara skazana na krzesło elektryczne albo z powodu rozległego nowotworu.

DUSZA: Trudno, rezygnuję z dodatkowej premii. Chciałbym umrzeć szybko, nie zauważając tego, w łóżku. Zasnąć żywy i obudzić się martwy.

ARCHANIOŁ SĘDZIA RAFAŁ: Przykro mi, ektoplazmo Donahue, ale z pana 230 punktami ujemnymi nie możemy panu zaoferować tak przyjemnego zejścia. Pana odejście w zaświaty może się odbyć wyłącznie w gwałtowny sposób. Zresztą nada to pana twórczości dodatkowego smaczku. Niechże pan tylko pomyśli o van Goghu! Oto człowiek, który potrafił tak wspaniale malować, tak pięknie cierpieć i umrzeć w tak wielkim cierpieniu. Tym samym zasłużył sobie od razu na 600 punktów i mógł zakończyć cykl reinkarnacji. Stał się duchem w czystej postaci. Proszę wziąć z niego przykład.

DUSZA (płaczliwie): Ale ja nie chcę cierpieć!

ARCHANIOŁ SĘDZIA GABRIEL: Tak czy inaczej nie jesteśmy na ziemi po to, żeby się bawić. Poza tym z rodzicami, których pan sobie wybrał, początki nie będą wyglądały zbyt różowo!

DUSZA: Co za dno! No dobra, biorę samobójstwo. Ale takie błyskawiczne samobójstwo, szybkie i bezbolesne.

ARCHANIOŁ SĘDZIA GABRIEL: Skok z okna.

DUSZA: Niemożliwe. Zawsze miałem okropne zawroty głowy.

ARCHANIOŁ SĘDZIA RAFAŁ: A więc trzeba sobie przeciąć żyły w wannie z ciepłą wodą. Ale uwaga, jeśli chce pan, żeby się powiodło, trzeba mocno podciąć przeguby. Inaczej się nie uda. I proszę pamiętać, żeby dobrze naostrzyć brzytwę.

Przygnębiona mina ektoplazmy Donahue.

DUSZA: W porządku, zgadzam się na samobójstwo przy użyciu brzytwy...

ARCHANIOŁ SĘDZIA GABRIEL (gładząc supełki na sznurku): A zatem podsumujmy. Zgadzamy się więc co do tego, że odrodzi się pan jako kobieta, która będzie cierpieć na chorobę wrzodową żołądka i astmę. Rozwiedzeni rodzice będą tłuc pana na

kwaśne jabłko. Będzie się pan śpieszył, żeby namalować ten cholerny obraz. Umrze pan, przeciąwszy sobie żyły w wannie. Co do reszty, może pan improwizować. Następny!

ARCHANIOŁ SĘDZIA RAFAŁ: Jeszcze chwila. Pozostaje nam opracowanie karty z rysopisem.

DUSZA: A to co znowu?

ARCHANIOŁ SĘDZIA GABRIEL: Proszę się nie niepokoić. Chodzi o zdefiniowanie niektórych pańskich zalet. Ale w tym wypadku może pan zabrać głos, a my obliczamy.

ARCHANIOŁ SĘDZIA MICHAŁ: Wyliczam:

Siła fizyczna: poziom poniżej średniej.

Uroda: powyżej średniej.

Intensywność spojrzenia: powyżej średniej.

Brzmienie głosu: średni poziom.

Charyzma: poziom zdecydowanie wysoki.

Zręczność w grach umysłowych: poziom niższy.

Zdolność do kłamstwa: poziom wyższy.

Umiejętności techniczne: poziom niższy.

DUSZA: I cóż to oznacza?

ARCHANIOŁ SĘDZIA GABRIEL: To, że będzie pani ciężko zdać egzamin na prawo jazdy albo że nie będzie pani umiała sama naprawić pralki. To wszystko.

DUSZA: Pff! Jak będę piękna i inteligentna, zawsze znajdę kogoś, kto będzie chciał mi pomóc.

ARCHANIOŁ SĘDZIA MICHAŁ: Kontynuuję:

Inteligencja: poziom średni.

Zdolność uwodzenia: poziom wyższy.

Wytrzymałość: poziom niższy.

Upór: poziom wyższy.

Umiejętności kulinarne: poziom niższy.

Drażliwość: poziom wyższy.

DUSZA: Będę osobą porywczą?

ARCHANIOŁ SĘDZIA GABRIEL: Raczej tak.

ARCHANIOŁ SĘDZIA MICHAŁ (poirytowany tym, że ktoś mu bez przerwy przerywa):

Umiejętność gry na instrumentach muzycznych: poziom niższy.

Umiejętność strzelania z rewolweru: poziom wyższy.

Zamiłowanie do uprawiania sportu: poziom niższy.

Pragnienie posiadania dziecka: poziom średni.

DUSZA: No to ładnie wygląda ten wolny wybór. O czym jeszcze chcecie mnie powiadomić? Czy będę uzdolniona, jeśli chodzi o rozwiązywanie krzyżówek? Jak na wybraną reinkarnację jest jednak trochę za dużo elementów ustalonych zawczasu i niezależnych od mojej woli. Protestuję.

ARCHANIOŁ SĘDZIA MICHAŁ: No i widzi pani, już jest pani choleryczką! Kończmy z tym:

Zamiłowanie do bijatyki: poziom wyższy.

Popłakiwanie: poziom wyższy.

Zamiłowanie do przygód: poziom niższy.

No dobra, następny!

DUSZA: Jeszcze jedno pytanie. Czy będę o tym wszystkim pamiętała?

ARCHANIOŁ SĘDZIA MICHAŁ: Oczywiście, że nie. Nie będzie pani o niczym pamiętała, nawet o tym, że pani tu była. Byłoby to zbyt proste!

ARCHANIOŁ SĘDZIA GABRIEL: W pewnych chwilach jednak będzie się pani wydawało, że ma pani jakieś przeczucia, że intuicja coś pani podpowiada. Tyle właśnie zostanie pani z tej naszej rozmowy. I to pani musi zaufać lub nie swoim przeczuciom. Ale dość już tego gadania. Proszę się pośpieszyć i zjechać na dół, zanim pani rodzice przestaną się kochać, inaczej nie zdąży pani na ten pociąg. No już, hop!

Następny proszę!

235 - MITOLOGIA CHRZEŚCIJAŃSKA

„Staniemy się braćmi aniołów. Kiedy zjawimy się na niebiańskim dziedzińcu, jakże zachwycą nas cudowne anielskie chóry. I przez całą Wieczność będziemy bratać się z tymi miriadami Błogosławionych Duchów! Aniołowie są znakomitymi duchami, przy których nasi artyści i geniusze są zaledwie pigmejami”.

Kanonik G. Panneton

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

236 - PODRĘCZNIK DO HISTORII

DOKŁADNA MAPA TERYTORIUM ZMARŁYCH

1. Start.
2. Zanik oznak życia. Emisja sygnału radiowego - częstotliwość około 86 kHz.
3. Śpiączka.
4. Wyjście ze świata.
5. Lot w przestrzeni. Czas: około 18 minut.
6. Pojawienie się wielkiego wirującego kręgu światła nazywanego Ostatecznym Kontynentem. Kresy. Niebieska plaża.
7. Przybycie do Terytorium numer 1.

TERYTORIUM 1

Strefa: koma plus 18 minut. Kolor: niebieski.

Doznania: przyciąganie, woda, przestrzeń. Uczucie świeżości i zadowolenia.

Przyciąganie przez jasne światło.

Zalecenia dotyczące dalszego lotu: nie obawiać się przekroczenia pierwszej bariery śmierci. Koniec na poziomie Moch 1.

TERYTORIUM 2

Strefa: koma plus 21 minut.

Kolor: czarny.

Doznania: lęk, odraza, zimno, przerażenie.

Na dziewięciu coraz bardziej stromych skalnych półkach zetknięcie z najboleśniejnymi wspomnieniami.

Światło wciąż obecne, ale teraz przytłumione przez wspomnienia.

Zalecenia dotyczące dalszego lotu: należy zrozumieć swoją przeszłość i być w stanie stawić czoło każdemu ze swoich czynów.

Koniec na poziomie Moch 2.

TERYTORIUM 3

Strefa: koma plus 24 minuty.

Kolor: czerwony.

Doznania: rozkosz, ogień, ciepło, wilgoć.

Spotkanie z najbardziej perwersyjnymi i szalonymi wyobrażeniami i fantazjami. Tutaj właśnie wypływają na powierzchnię najsilniej wypierane pragnienia. Należy im stawić czoło, nie dając im się ponieść. W przeciwnym wypadku grozi przyklejenie do lepkiej ściany.

Zalecenia dotyczące dalszego lotu: pogodzić się ze swoimi fantazjami, nie angażując się w nie.

Koniec na poziomie Moch 3.

TERYTORIUM 4

Strefa: koma plus 27 minut.

Kolor: pomarańczowy.

Doznania: walka z czasem, silne przeciągi, potężny wiatr.

Widok zmarłych ustawionych w kolejce ciągnącej się w nieskończoność i posuwających się powoli przez olbrzymią równinę w kształcie walca.

Konfrontacja z czasem. Uczenie się cierpliwości dzięki minutom, które zamieniają się w godziny i godzinom zamieniającym się w miesiące. Możliwość spotkania i porozmawiania ze słynnymi zmarłymi.

Zalecenia dotyczące dalszego lotu: uwolnienie się od strachu przed marnowaniem czasu lub od chęci zaoszczędzenia go. Pogodzenie się z trwaniem w bezruchu. Działać i postępować tak, jakby się było nieśmiertelnym.

Koniec na poziomie Moch 4.

TERYTORIUM 5

Strefa: koma plus 42 minuty.

Kolor: żółty.

Doznania: pasja, siła, wszechmoc. Rozwiązanie wszystkich tajemnic, które do tej pory były niezrozumiałe. Odkrycie sensu czakramów i trzecie oko ukazujące się joginom. Odkrycie drogi czystego Tao przez taoistów. Rozwiązanie tajemnic Kabały przez żydów. Ukazanie się ogrodów Allaha muzułmanom i ogrodów Edenu chrześcijanom.

Miejsce wiedzy absolutnej. Wszystko znajduje swoją rację bytu. Odkrycie sensu życia, od nieskończenia wielkiego do nieskończenia małego.

Zalecenia dotyczące dalszego lotu: nie dać się zniewolić wiedzy. Pozwolić wypełnić się wiedzą bez łapczywego pożerania jej i traktowania jako pożywki dla ducha.

Koniec na poziomie Moch 5.

TERYTORIUM 6

Strefa: koma plus 49 minut.

Kolor: zielony.

Doznania: niezwykle piękno, odkrywanie nadzwyczajnych pejzaży, urocze i doskonałe wizje, precudowne kwiaty, wspaniała roślinność i wielobarwne gwiazdy. Zielona kraina jako kraina absolutnego piękna.

To jednak również miejsce, w którym jesteśmy poddawani nieoczekiwanym próbom. Widok absolutnego piękna prowadzi do negowania siebie. Czujemy się odrażający, niepotrzebni, grubiańscy i ograniczeni.

Nie jest to już uczucie pokory, lecz także wrażenie negowania samych siebie.

Zalecenia dotyczące dalszego lotu: pogodzić się z własną brzydotą.

Koniec na poziomie Moch 6.

TERYTORIUM 7

Strefa: koma plus 51 minut.

Kolor: biały.

Miejsce zaludnione aniołami i diabłami. Pośrodku długa rzeka zmarłych. W głębi świetlista góra Sądu Ostatecznego. Tutaj kończy się wędrówka dusz zmierzających do reinkarnacji. Trzy archanioły ważyć będą nasze zasługi.

Zalecenia dotyczące dalszego lotu: być przygotowanym na to, że trzeba będzie zapłacić za złe uczynki. Należy spontanicznie zażądać takiej reinkarnacji, która umożliwi nam naprawienie krzywd i niegodziwości popełnionych przez nas w poprzednich wcieleniach.

Koniec na poziomie świetlistej góry.

Podręcznik szkolny, kurs podstawowy, 2. rok

237 - POJMOWANIE

Wywiad z Charles'em Donahue, opublikowany wprawdzie tylko w skromnym piśmie, jakim był „Mały Tanatonauta Ilustrowany”, spotkał się na całym świecie z bardzo szerokim oddźwiękiem. Tekst przetłumaczony został na wszystkie języki, a komentowali go najsłynniejsi psychologowie, filozofowie, duchowni, psychoanalitycy i politycy.

Zaprzyjaźniony z nami prezydent okazał się rzecz jasna najbardziej rozmowny.

Zaprosił wszystkie stacje telewizyjne, żeby wygłosić przemówienie, w którym zapowiadał wejście w nową erę mesjanizmu. Stwierdził, że tanatonauryka otworzy szeroko wszystkie zamknięte dotąd drzwi. Od tej chwili będzie się mówiło o epoce przed odkryciem Ostatecznego Kontynentu i po nim. Słuchając go, można było się domyślić, że najchętniej nazwałby tę nową erę „Erą Lucindera”. Koniec z kalendarzem, w którym odniesieniem była data narodzin Chrystusa. Teraz mielibyśmy rok 68 od dnia narodzin Jeana Lucindera.

I chociaż Lucinderowi nie udało się przekonać do siebie wszystkich, wszyscy zrozumieli, że stało się coś naprawdę zasadniczego. Wielkie drzwi otworzyły się, pozwalając burzy przetoczyć się przez pokój, który przez długi czas był zamknięty.

Jakim wielkim wstrząsem była wieść o tym, że śmierć jest krainą, że w krainie tej żyją anioły i że archanioły osądzają nasze poprzednie życie... Rozmowa ze śmiertelnikiem uzmysłowiła nam ponadto, że żyjemy w świecie opartym na etyce.

Na ziemskim padole można zatem zachowywać się dobrze lub źle. Ludzkie istoty są na ziemi niczym uczniowie, których zadaniem jest odpowiednie nauczenie się lekcji, to znaczy zrozumienie, czym jest empatia, hojność, doskonalenie świadomości.

Było to tak dziecinnie proste i tak moralne. Wszelkiego rodzaju katechizmy o tym wspominały, lecz z upływem kolejnych stuleci coraz więcej ludzi przestało w to wierzyć. Iluż jednak duchownych różnych wyznań od zawsze przecież twierdziło, że przyszłość należy do uczciwych ludzi!

Było już zbyt późno na interwencję, kiedy zdałem sobie sprawę z ryzyka, jakie pociąga za sobą ujawnienie tej prawdy. Od tej chwili wszyscy ją znali. Należało oczyścić karmę z miazmatów i starać się unikać zbrukania własnej egzystencji jakimikolwiek haniebnymi czynami. Żyć, cierpieć, umrzeć: nic nie miało już znaczenia, wszystko było jedynie epizodem w drodze do przeistoczenia się w czystego ducha.

Zastanawialiśmy się nad tym długo, siedząc w penthousie. Przez przeszklone ściany oświetlone tylko małutkimi płomieniami świec mogliśmy dostrzec migocące w oddali gwiazdy.

A nasza gwiazda - Amandine - wyglądała teraz jak kapłanka. Ubierała się już wyłącznie w długie czarne chińskie suknie ze stójką i szerokie spódnice. Usunęła wszystkie lampy i na ich miejsce postawiła świeczniki. Byliśmy teraz zanurzeni w pomarańczowej poświacie.

Ja pierwszy przerwałem panującą w pomieszczeniu ciszę:

- Nastąpił krytyczny moment. To co się dzieje, przerosło nas. Nad wszystkim

utraciliśmy kontrolę. Tanatonautyka wymyka nam się z rąk.

- Można się było tego spodziewać, dotyka ona bowiem zbyt wielu zasadniczych kwestii - tragicznym głosem oświadczyła Amandine. - Odkrywając, czym jest śmierć, nadaliśmy życiu sens.

Reagując jak zawsze żywiołowo, Stefania uniosła się:

- Z Krzysztofem Kolumbem było tak samo. Owszem, odkrył Amerykę, ale jego powrót okazał się niewypałem. Wyobrażał sobie, że robi na ludziach wrażenie, przywożąc im papugi i czekoladę. Wypili go. My też zasłużyliśmy sobie na powszechne lekceważenie!

Wciąż ten Krzysztof Kolumb...

- Biedny Kolumb umarł w nędzy i zapomnieniu - dodała Rose. - Mimo wszystko z nami nie jest przecież aż tak źle.

- A najgorsze było to, że jego odkrycie kompletnie mu się wymknęło - zdenerwowała się jeszcze bardziej Włoszka. - Najlepszy dowód, że Ameryka nazywa się tak, jak się nazywa, dzięki Amerigowi Vespucciemu, jednemu odkrywcy oficjalnie uznanemu przez hiszpański dwór. Nas też chcą ograbić z owoców naszej pracy!

Podkreślając, że się z tym zgadzam, uderzyłem pięścią w stół, o mało nie przewracając szklanek z koktajlami przygotowanymi przez Amandine. Dostyc zabawne, że teraz, kiedy Raoul nas zostawił, czułem się w obowiązku ostro reagować, niejako go w tym zastępując. Tak jakby w każdej grupie musiał koniecznie być ktoś gwałtowny i porywczy!

- Powinniśmy zachować kontrolę nad tanatonautyką - powiedziałem z wściekłością. - To my byliśmy pionierami i mamy pełne prawo sprawować nad nią kontrolę.

- Ależ, kochanie, od momentu opublikowania „Rozmowy ze śmiertelnikiem” sprawy te nas przerosły - westchnęła Rose.

- Słyszeliście, co mówią w wiadomościach? - zapaliła się Stefania. - Liczba zbrodni i przestępstw gwałtownie spadła. Teraz tylko szaleńcy zabijają!

- No i co zrobimy? - zapytała rzeczowo Amandine.

- Nic - odparła Rose. - Będziemy mieli teraz do czynienia z falą niezwykle powszechnej dobroci. Świat nie poznał dotąd takiego stanu. Zobaczymy, jakie będą tego efekty.

W ciszy popijaliśmy drinki, trochę zbyt słodkie i nie dość mocne. Faj!

238 - MITOLOGIA INDIAN Z AMAZONII

Dawno, dawno temu Indianie z plemienia Guarani żyli w niebie razem z bogami. Zajmowali się pilnowaniem ognia gwiazd i blasku planet. Jednakże pewnego dnia młody niezręczny wojownik przebił strzałą z łuku sklepienie niebieskie. A wtedy w całej okazałości ukazała mu się ziemia ze wszystkimi swymi bogactwami. Stada, dzikie zwierzęta, ule z miodem, ryby i owoce wydały mu się tak apetyczne, że podzielił się swoim odkryciem z braćmi. Wykorzystując chwilę nieuwagi bogów, Guarani zrzucili lianę, żeby zstąpić na ziemię. Dotarli do wielkiej rzeki Orinoko, w samym sercu puszczy. Zajadali się ziemskim pożywieniem, lecz już wkrótce coraz rzadziej spotykało się zwierzęta. Deszcz zalał owoce, które szybko zgnęły. Trzęsąc się z gorączki, Indianie poprosili bogów, by pozwolili im wrócić. Było już jednak za późno. Sklepienie niebios zamknęło się i Guarani zostali skazani na życie na tej nieprzyjaznej ziemi, której wcześniej tak mocno pragnęli.

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

239 - ŚWIAT DOBROCI

Stopniowo świat stawał się coraz miłszy. Nie było już mowy, żeby splamić swoją karmę złymi uczynkami, gdyż można się było znaleźć pośród głodujących w Afryce, stać się bezdomnym w Nowym Jorku albo nędzarzem na żalonym zasiłku w Paryżu.

W żadnej z książek science fiction nie pojawiła się równie przyjemna rzeczywistość. Wszędzie, niczym zakaźna choroba, rozprzestrzeniała się uprzejmość.

Instytucje charytatywne nie wiedziały już, co robić z napływającymi darami. Trzeba było spędzić wiele godzin w kolejce, żeby przekazać czek albo swoje najlepsze ubrania. Obleżone szpitale zaczęły sporządzać listy oczekujących, którzy masowo zgłaszali się, żeby oddać krew.

Wszędzie na świecie zaczęły wygasać wewnętrzne konflikty, zmuszając handlarzy broni do zarzucenia swej działalności. Byli zresztą zachwyceni tym, że nie muszą już sprzedawać produktów generujących punkty ujemne. Wszystko co z bliska lub daleka mogło być postrzegane jako złe czyny, spotykało się z powszechną niechęcią. Narkomani nie byli już w stanie znaleźć dilerów. Wystarczyło tylko poprosić, żeby bankierzy przyznali kredyt z najniższym oprocentowaniem. Przestali sprawdzać zdolność kredytową klientów. Bankructwo spowodowane hojnością zapewniało dobre notowania w zaświatach.

Dobre dusze nacierały na miseczki żebraków. Ci zaś byli teraz wyposażeni w

terminale do kart kredytowych, a czeki przyjmowali wyłącznie wtedy, gdy ofiarodawca okazał dowód tożsamości.

Zaprzestano zamykania drzwi na zamek, niepotrzebne stały się wszelkie systemy alarmowe. Od tej pory można było zostawiać szeroko otwarte drzwi do mieszkań, samochodów i sejfów. Kradzież? Nikt o tym już nawet nie myślał.

Koniec ze skąpstwem, koniec z włamaniami, żadnych awantur ani przemocy. Za to handel rozwijał się żywo. Nie chcąc być posądzonym o sknerstwo, wszyscy wręczali wszystkim prezenty. Gdy tylko wydawało się, że jakiś niewidomy być może ma ochotę przejść na drugą stronę ulicy, od razu wyciągały się dziesiątki ramion, a wiele osób dotkniętych ślepotą znalazło się w ten sposób, wbrew woli, na przeciwległym chodniku.

Trzeci Świat otrzymywał bardzo duże dotacje. Wynikało to z obawy przed niezdanym egzaminem i koniecznością reinkarnacji w biednym kraju. Na wszelki wypadek lepiej, żeby ten kraj tymczasem nieco się wzbogacił, a w ten sposób życie będzie tam znacznie wygodniejsze. W interesie ogółu było to, żeby znacznie zmniejszyła się liczba nieprzyjaznych miejsc, w których można by się urodzić.

Na twarzach ludzi zagościł bardziej lub mniej wymuszony uśmiech, każdy się pilnował, aby nie wywoływać złości u bliźnich zmarszczeniem brwi, grymasem czy złym słowem.

Wszyscy dokładnie zapoznali się z obowiązującymi zasadami: cykl reinkarnacji trwa nieprzerwanie, jeśli dana osoba nie stała się wystarczająco dobra i mądra, żeby zasłużyć sobie na to, by przeobrazić się w ducha. Każdy więc starał się jak mógł.

Kursy malarstwa, muzyki, garncarstwa, a nawet gotowania były oblegane. Któż mógł wiedzieć, czy podobnie jak ektoplazma Donahue także nie jest obdarzony talentem, który należy jak najszybciej ujawnić? Zresztą nawet najbardziej odrażające wytwory znajdowały nabywców. Mecenas sztuki, starając się wspomóc biednych artystów, odważnie wystawiali ich prace w swoich salonach.

Uczyć się, rozwijać, poznawać, doskonalić. „Pracujcie nad pięknem duszy. Uprawiajcie ją niczym ogród” - można było przeczytać w reklamach szkół oferujących kursy korespondencyjne.

Pracodawcy błagali swoich pracowników, żeby zgodzili się na podwyżkę, lecz oni odmawiali, woląc raczej mieć więcej czasu dla siebie, żeby rozwijać talent. „Chcemy bibliotek - nie pieniędzy”. Ochotnicy murarze budowali je bez wytchnienia.

Równocześnie, co oczywiste, tanatonautyka znowu stała się popularna. Któż bowiem nie chciałby dostać się tam wysoko, żeby się spotkać z „drogimi nieobecnyymi” i dowiedzieć

co nieco na temat swojej karmy?

240 - MITOLOGIA INDIAN Z PLEMENIA NAWAHO

Indianie z Ameryki, a już zwłaszcza ci z plemienia Nawaho, odczuwają chorobliwy wręcz lęk przed śmiercią. Jest u nich tak silny, że potwornie ciężko im się zbliżyć do ludzkich zwłok. Kiedy ktoś umiera, grzebią go szybko z ogromną odrazą i bardzo się starają, żeby jak najmniej dotykać ciała. Ciało grzebane jest w nieznanym miejscu, daleko od wioski. Nie wolno też dotykać rzeczy, które należały do zmarłego, nie wolno zbliżać się do jego namiotu, a wszystko co było jego własnością, uważa się od tej chwili za nieczyste.

W mitologii Indian Nawaho jest mowa o dwóch Bohaterskich Bliźniakach, którzy niegdyś wykradli słońcu broń, aby pokonać potwory pragnące zabić Nawahów.

Tymi potworami są Starość, Brud, Nędza i Głód. To, że potwory te nadal żyją, należy zawdzięczać jedynie niedbalstwu Bohaterskich Bliźniaków. I nie należy się tym zanadto przejmować.

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

241 - W POSZUKIWANIU F. M.

Zajmując się głównie piciem, Raoul nie zauważył żadnej z tych rewolucyjnych zmian. Kuracja odwykowa nie zakończyła się sukcesem. Wciąż pił, chociaż coraz trudniej było mu znaleźć barmana, który zgodziłby się mu coś podać, jako że Raoul był już teraz na etapie zaawansowanego alkoholizmu.

W tanatodromie byłem więc wciąż tylko ja i moje „trzy kobiety”: Rose, Stefania i Amandine. Przez cały ten czas naszą ulubioną rozrywką było przeglądanie w gazetach rubryk poświęconych nowo narodzonym i poszukiwanie nowego wcielenia Freddy'ego: F. M., F. M., F. M...

A znaleźliśmy sporo niemowlaków o inicjałach F. M.! François Morlon, Fatima Maouich, Frank Mignard, Félicité Munin, Fernand Mélissier, Florent Mouchignard, Fabien Mercantovitch, Firmin Magloire, Florence Mervin... Za każdym razem umawialiśmy się na spotkanie ze szczęśliwymi rodzicami, lecz kiedy podsuwaliśmy dziecku, wśród dziesięciu

innych zegarków, długopisów i orderów, zegarek, długopis i order należące niegdyś do Freddy'ego, żadne z nich nie wyciągało rączki w stronę przedmiotów naszego drogiego nieobecnego przyjaciela.

- Jeszcze jest za wcześnie - pocieszała mnie Rose. - Pamiętasz tę długą kolejkę? Freddy pewnie gdzieś utknął w korku nieboszczyków na żółtym terytorium. Był tam nawet jeszcze Wiktor Hugo, który czekał na reinkarnację, a jeśli on tam czeka już od tak dawna, to co dopiero Freddy!

- Zmarli nie wędrują z tą samą prędkością. Wiktor Hugo, znany ze swego gadulstwa, ociąga się i wciąż dyskutuje. Inni z kolei się śpieszą. Pomyśl tylko, jak ekto plazmie Donahue spieszyło się, żeby przejść reinkarnację!

- Powinno się wykazać cierpliwością, a Freddy zawsze to potrafił - przypomniała mi Rose.

Podejrzewałem, że liczyła na to, iż właśnie ona wyda na świat kolejne wcielenie naszego rabina choreografa. Po długich dyskusjach daliśmy zresztą naszemu przyszłemu dziecku, niejako awansem, imię Frédéric Marcel. Między nami jednak nazywaliśmy go Freddyem juniorem.

Byłem obecny przy porodzie. Jakie to było piękne! Pocałunek, obejmowanie się, a dziewięć miesięcy później tak wiele miłości przeobraziło się w 3,2 kilograma uroczego i złaknionego uczuć pulchnego ciała. Nigdy wcześniej nie byłem tak wzruszony. Nawet wizja kontynentu zmarłych była niczym w porównaniu z tym jakże prostym cudem, powtarzanym przecież miliardy razy - z rodzącym się życiem.

Jeszcze kilka dni temu byliśmy we dwójkę w naszym mieszkaniu w tanatodromie w Buttes-Chaumont. Teraz była nas trójka. Czy istnieje cudowniejsza magia? Tanatonautyka i moja karma były przy tym czymś zupełnie nieistotnym. Teraz liczył się tylko on, nasz Freddy junior.

242 - KARTOTEKA POLICYJNA

Informacja skierowana do właściwych służb

Uważamy, że nastąpiła poważna pomyłka. Błędem było umożliwienie rozwoju tanatonautyki. Obecnie odnotowujemy ponad dziesięć odlotów dziennie. Stosowane są coraz bezpieczniejsze techniki. Przeszkadza to w pracy cherubinom, serafinom, aniołom i diabłom.

Odpowiedź właściwych służb

Nie przesadzajmy. Tanatonauryka - jak wszyscy wiemy - wpisuje się w długą tradycję. W tysiącletnią tradycję. Zawsze pozwalaliśmy wejść tym, którzy umieli wejść. Na razie nic nie uzasadnia tego, abyśmy przyjęli inną postawę.

243 - FILOZOFIA TAOISTYCZNA

„Każde życie jest jak sen. Nie należy martwić się śmiercią, która jest jedynie zmianą formy. Dlaczego mielibyśmy żałować domu, w którym mieszkaliśmy zaledwie przez jeden dzień?”.

Laozi

Fragment rozprawy *Śmierć ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

244 - JUNIOR

Czekaliśmy rok, zanim poddaliśmy naszego Freddy'ego juniora testom polegającym na zidentyfikowaniu osobistych rzeczy zmarłego Freddy'ego seniora.

Była to tybetańska technika stosowana w celu rozpoznania wcielenia. W Afryce niektóre plemiona posługiwały się podobną techniką. Zmarłemu odcinano jeden paliczek po to, żeby odnaleźć później płód, który urodzi się bez tego samego paliczka. Tybetański obrzęd rozpoznawania wydał nam się jednak odpowiedniejszy.

Kiedy my - Rose, Amandine i ja - klęczeliśmy, dziecko na czworakach wpatrywało się w zegarki, długopisy i ordery, których cała masa leżała przed nim niczym nowe i nieznane mu do tej pory zabawki. Zwykle tego rodzaju przedmioty trzymaliśmy z dala od niego w obawie, żeby ich nie popsuł albo co gorsza, nie połknął.

Malec zainteresował się najpierw zegarkami: potrząsnął radośnie kilkoma, potem rozbił dwa (potwierdzając w ten sposób moje wcześniejsze obawy co do należących do mnie dóbr) i wreszcie z miłością chwycił ten, który należał do naszego drogiego rabina.

Mieliśmy ochotę rzucić się sobie w ramiona. Freddy Meyer powrócił na ziemię pod

postać naszego syna! Rose jednak uspokajała nas.

- Nie dajmy się ponieść emocjom - szepnęła, a mały w tym czasie krążył między różnymi przedmiotami rozrzuconymi na dywanie.

Znowu podskoczyłem, kiedy z dumą wyciągnął w moją stronę długopis Freddy'ego. Wpatrzył go pośród wszystkich innych i wziął do ręki.

Nie miałem już wątpliwości i byłem od tej chwili przekonany, że odnaleźliśmy właściwego Freddy'ego Meyera. Chyba że może on nas raczej odnalazł tam, w górze, w momencie wyboru rodziców. Nasz mędrzec nie był przecież głupi. Dobrze wiedział, że go rozpoznamy! Jednego w każdym razie byłem pewien: Freddy Meyer i Frédéric Marcel Pinson mieli tę samą karmę.

Dzięki całej wiedzy, którą nosił już w sobie, uda nam się zaoszczędzić tak dużo czasu!

- Jak tylko będzie w odpowiednim wieku, zapiszę go na zajęcia z tańca i choreografii - zapowiedziała z entuzjazmem Rose.

- Będzie także chodził do szkoły talmudycznej - dodałem. - Poza tym kiedy opowiemy Freddy'emu juniorowi o życiu Freddy'ego seniora, pozwoli to wykonać olbrzymi krok naprzód, jeśli chodzi o cykl reinkarnacji.

- Od razu skorzysta z sześćdziesięciu lat doświadczeń. Zostanie pierwszym człowiekiem, który dysponować będzie wspomnieniami z dwóch egzystencji.

Rose nie ukrywała swoich ambicji, jeśli chodzi o nasze cudowne dziecko.

- W wieku dwudziestu lat będzie już wielkim mędrcem. Być może właśnie to stało się z Mozartem? Był nowym wcieleniem innego wspaniałego muzyka, a jego rodzice zrozumieli to już na samym początku.

Wspólnie, jedno przez drugie, zachwyceni roztaczaliśmy wspaniałe wizje przyszłości.

Nie zwracaliśmy przez dłuższą chwilę uwagi na naszego szkraba, kiedy nagle Freddy junior wylał na nas kubek zimnej wody, wypuszczając czarny długopis Freddy'ego seniora i biorąc do ręki znacznie bardziej ponętny inny długopis, tym razem pomarańczowy i fosforyzujący.

Z zapartym tchem przyglądaliśmy się jego wędrówce. Odrzucił na bok zegarek i order zmarłego strasburczyka, żeby chwycić jednorazową zapalniczkę w kolorze morskim i baton czekoladowy w złotym opakowaniu. Przechlapane. W jednej chwili spojrzeliśmy na naszego ukochanego syna jak na kogoś nieznanego. Ot, dalszy ciąg jakiegoś tam gościa, którego nigdy nawet nie spotkaliśmy!

Rose starała się nas pocieszyć i uspokoić przy tym sobie, zapewniając, że mimo wszystko musiał to być ktoś naprawdę w porządku, skoro wylądował w takiej rodzinie jak

nasza.

W każdym razie nie był to Freddy, a dziecko nagle wydało nam się... hm, jak by to powiedzieć?... obce. Byliśmy rozczarowani. Wydaliśmy na świat po prostu zwykłe dziecko, którego karma pochodziła od nie wiadomo kogo. Nie było ono zwieńczeniem życia kogoś świętego, lecz po prostu jakiegoś zwykłego człowieka.

Odnosiliśmy teraz wrażenie, że adoptowaliśmy małego Koreańczyka albo pomyliliśmy się przy wyborze towaru.

Cóż za rozczarowanie! Po tym wszystkim mały dostał nawet zgodę na to, żeby zjeść czekoladowy baton. Prawie z odrazą Rose wytarła mu twarz umorusaną czekoladą.

Wieczorem, już w łóżku, doszło między nami do małżeńskiej kłótni. Żona zarzucała mi, że lekkomyślnie dałem dziecku na imię Freddy. Teraz, kiedy wiedzieliśmy już, że to nie on, będzie za sobą włókł jak kulę u nogi całe to życie, które wcale do niego nie należało!

Złośliwie, co do tej pory nie leżało zupełnie w moim zwyczaju, odparłem, że to jej wina. W końcu w jej brzuchu powstało to „coś”. Nie w moim. Gdyby się trochę bardziej postarała, dzidzius lepiej by się jej udał! Wściekła powiedziała mi, żebym się od niej odczepił, bo przecież oboje wiedzieliśmy, że jest zaledwie jedna szansa na kilka miliardów, aby się powiodło. Jedna szansa na kilka miliardów, aby odnaleźć tego prawdziwego, rozpaczalem.

Ona także była zbita z tropu, lecz nie mogliśmy zapominać, że to dziecko jest przecież naszym dzieckiem, że ma jej i moje geny. Dlaczego więc nie miałyby się stać w przyszłości kimś naprawdę w porządku?

- Może powinniśmy je oślepić, żeby miało takie same szanse i taki sam talent jak ten pierwszy - zaśmiałem się.

Rose zdenerwowała się jeszcze bardziej. W końcu rozmawialiśmy o jej synu, a ona, jak każda matka, broniłaby go pazurami. Nigdy dotąd nie widziałem jej tak rozwścieczonej. Od razu wyrzuciła z siebie wszystkie dawne pretensje. Zarzucała mi brak inicjatywy i wieczną uległość wobec Raoula, a także to, że nie mam charakteru, nie potrafię zabronić matce i bratu panoszenia się w naszym mieszkaniu, zjawiają się, kiedy im się tylko podoba, bez zapowiedzi na kolacji, nie przejmując się w ogóle, czy ona ma czas zrobić zakupy, a poza tym jeszcze nigdy się nie zdarzyło, żeby przynieśli chociaż jakieś kwiaty, obrzydliwe sknery!

Odgryzłem się jej, zarzucając, że nie gotuje jakoś nadzwyczajnie, za dużo czasu poświęca astronomii, za mało się zajmuje swoim kochanym Freddy junior, a przecież jest jego matką.

I w ten sposób jedno zdanie stawało się pretekstem dla kolejnego, chociaż nikt nie

chciał ich tak naprawdę wypowiedzieć, ani ona, ani ja. Na koniec Rose ubrała się w to, co miała pod ręką, i uciekła, żeby schronić się u swojej matki.

Zostałem sam, jak idiota, w towarzystwie Freddy'ego juniora, który słysząc płacz, postanowił włączyć też własną syrenę. Na próżno wymachiwałem jego ulubionymi zabawkami, w końcu zabrałem go do swojego łóżka.

Kiedy syn już przysnął, powlokłem się do salonu i próbowałem wyciszyć, czytając jakiś dreszczowiec. Zazwyczaj czytanie beznadziejnych książek pozwala zrelatywizować drobne problemy, lecz tym razem nie byłem w stanie zapomnieć o moim absolutnie żenującym zachowaniu w stosunku do Rose i okropnych rzeczach, które jej powiedziałem.

Ten właśnie moment wybrał sobie kompletnie zapruty Raoul, żeby pojawić się znowu w moim mieszkaniu w tanatodromie.

Ledwo trzymał się na nogach, zorientował się jednak natychmiast, że jestem całkowicie rozbity. Opowiedziałem mu o kłótni z żoną. Raoul wyglądał dziwnie, a po chwili z typową dla pijaków pewnością siebie przysunął się do mnie i oświadczył:

- Michael, nadszedł czas, żebym ujawnił ci drugą tajemnicę.

Normalnie czym prędzej zatkałbym uszy albo przyłożył mu pięścią, żeby się zamknął. Teraz jednak byłem kompletnie zagubiony. Zapominając o obietnicach złożonych żonie, zachęcałem go wręcz, by zaczął mówić.

- Czy to ma coś wspólnego z Rose?

- No cóż, można tak powiedzieć.

- Więc gadaj wreszcie.

Zwalił się na wykładzinę na podłodze, z której usunięte zostały wszystkie relikwie po Freddy' seniorze. Położyłem się na brzuchu obok niego. Raoul śmiał się głupkowato, ślina ściekała mu z ust na dywan. Powstrzymałem się z trudem, żeby nim nie potrząsnąć. Obawiałem się, że zwymiotuje, plamiąc dywan na czerwono, a Rose nigdy by mi nie wybaczyła takich szkód.

- No więc jaka jest ta druga prawda? - zapytałem nerwowo, podnosząc z ziemi przyjaciela, żeby posadzić go w fotelu.

Głośno czknął.

- To... dotyczy... miłości.

- Miłości? - zdziwiłem się.

- No! Jest taka kobieta, która cię kocha i wciąż na ciebie czeka.

Przez chwilę jeszcze coś bełkotał, aż wreszcie zdobył się na bardziej spójną wypowiedź. Otóż w moim poprzednim wcieleniu pojawiła się jakaś wielka miłość. Bardzo

Wielka Miłość. Niezwykle namiętne chwile spędzone z cudowną kobietą. Niestety, w naszym poprzednim życiu kobieta ta była bezpłodna i nie mogliśmy mieć dzieci. Z tego powodu bardzo cierpiała, ja zresztą też. Któregoś dnia, pogrążona w żalu, nie uważała, przechodząc przez ulicę, i potracił ją samochód. Anioły myślały, że w taki właśnie sposób chciała popełnić samobójstwo. Ja w każdym razie tak bardzo cierpiałem, utraciwszy ją, że umarłem ze smutku kilka miesięcy później.

Mój przyjaciel, powoli trzeźwiejąc, wytłumaczył mi, że jeśli jakaś para kochała się tak mocno i nie mogła mieć dzieci, to oboje mają prawo spotkać się w następnym wcieleniu, żeby to nadrobić.

Muszę więc odnaleźć tę kobietę, ponieważ to ona jest moją prawdziwą żoną. Raoul wiedział o niej prawie wszystko. Szatan sporo mu o niej powiedział.

W obecnym życiu moja żona nazywała się Nadine Kent. Była Amerykanką, ale mieszkała w Paryżu. Zapewne nasze drogi przypadkowo skrzyżowały się kilka razy gdzieś na jakiejś ulicy, lecz ja, całkowicie pochłonięty tanatonaucyką, nie rozpoznałem jej.

- Nadine Kent! - powtarzałem rozmarzony.

- Tak, takie właśnie nazwisko podał mi Szatan.

- Szatan jest aniołem zła.

- Ale jego działanie rozciąga się również na zagubione dusze - powiedział Raoul równie kusicielski jak jego rozmówca z zaświatów.

Przeprowadził własne śledztwo. Nadine Kent była kobietą niespotykanej urody, a mimo to w jej życiu było niewielu mężczyzn. Kiedy pytano ją, czemu będąc tak piękną, z uporem żyje samotnie, odpowiadała z uśmiechem, że czeka na księcia z bajki. Ma teraz dwadzieścia dziewięć lat i jej rodzice obawiają się, że zostanie starą panną.

- No ale ten książę z bajki...

- To ty, skończony durniu, przecież ty nim jesteś, palancie! Zastanawiam się zresztą, co ona w tobie takiego niezwykłego widziała, i to nawet w twoich poprzednich życiach!

Atak kaszlu przerwał jego szalony śmiech.

- Zdajesz sobie w ogóle sprawę, mój pocziwy Michaelu? Fascynująca bogini czeka na ciebie od dnia narodzin. Pragnie tylko ciebie, bo wszyscy inni wydają jej się nudni i banalni. Ty to masz szczęście! Nie dość, że przeżyłeś wielką miłość, to jeszcze masz kolejną w zapasie!

Miłość, miłość... Nie chodzi o to, że nie chciałem kogoś pokochać, ale teraz wskazywano mi palcem - i miałem kochać tę konkretną osobę. Niejaką Nadine Kent, o której istnieniu do tej chwili nie miałem w ogóle pojęcia.

Nagle zrozumiałem, dlaczego miałem tak dużo problemów, żeby najpierw uwieść jakąś kobietę, a później dostosować się do życia we dwoje. Właściwie od samego początku byłem zaprogramowany w taki sposób, żeby począć dziecko z tą Nadine Kent. Co do Rose i Freddy'ego juniora, po prostu popełniłem błąd... Przynajmniej tak pomyślałem sobie w tym momencie.

Mocno zaniepokojony sięgnąłem po książkę telefoniczną i zacząłem szukać pod literą K. Kent Nadine, numer jej telefonu widniał tam czarno na białym, napisany małymi literami. Natychmiast wziąłem do ręki słuchawkę.

245 - MITOLOGIA ŻYDOWSKA

„W Raju istnieją dwie diamentowe bramy, a przy nich stoi siedemdziesiąt tysięcy usłużnych aniołów. Kiedy zjawia się Sprawiedliwy (istota o czystej duszy), zdejmują z niego całun, w który był owinięty w grobie, i ubierają go w strój utkany z obłoków sławy. Na jego głowę wkładają dwie korony, jedną z drogocennych kamieni i pereł, a drugą ze złota. W jego dłoń wkładają osiem gałązek mirtu, a potem prowadzą go do miejsca, gdzie płynie osiem strumieni wody wśród ośmiuset esencji róży i mirtu. Każdy ze Sprawiedliwych ma własny baldachim, z którego wypływają cztery rzeki, jedna z mleka, druga z wina, trzecia z nektaru i czwarta z miodu. Sześćdziesiąt aniołów staje przed każdym ze Sprawiedliwych i mówi: «Idź i skosztuj z radością miodu, gdyż starannie zajmowałeś się czytaniem Księgi» ”.

Jalkut, Księga Rodzaju 2

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

246 - NADINE

Głos starszej kobiety:

- Halo?

Czyżbym w całym tym pośpiechu wybrał inny numer?

- Czy mógłbym rozmawiać z Nadine? - odezwałem się niezbyt pewnym głosem.

Godzina była już późna. Wyczułem po drugiej stronie jakby wahanie. Pewnie była to jej matka.

- Bardzo panią proszę! - powiedziałem błagalnym tonem.

- Zaraz ją zawołam - zgodziła się, mówiąc to z nutką podejrzliwości, ochryplym głosem.

Czekam. Słysząc odgłos czyichś lekkich kroków. Delikatna dłoń bierze słuchawkę. Usta zbliżają się do aparatu.

- Halo? Kto mówi? - zapytał łagodny i znany mi od ciągnących się przez trzysta lat kolejnych reinkarnacji głos.

Nie miałem żadnych wątpliwości. To była ona.

- Halo!

Cisza.

- To ja - powiedziałem.

Po drugiej stronie usłyszałem coś jakby szloch. Szloch radości. Jednocześnie zaczęliśmy mówić do siebie głosem przerywanym łzami. Wypowiadaliśmy zdania, które były zupełnie bez sensu. Wyznania dwojga ludzi mówiących do siebie rzeczy, których nie odważyłyby się wypowiedzieć osoby zupełnie sobie obce.

Zajmując się tanatonautyką, przeżyłem już wiele trudnych chwil, ale nigdy nie zdarzyło mi się nic równie wzruszającego i przerażającego jak te następujące po sobie zdania, czułe i pełne ufności. Wiedziałem też, że ona odczuwa to samo co ja.

- Od tak dawna czekam na telefon od ciebie - powiedziała łagodnie Nadine.

- Wiem o tym - westchnąłem.

Znowu cisza.

- Halo? - odezwałem się przestraszony.

- Nie, nie odłożyłam słuchawki. Jestem tu. Dla ciebie zawsze będę.

Z trudem przełykałem ślinę.

Ten właśnie moment wybrał sobie Freddy junior, żeby pojawić się z buzią wymiętą od snu. I do tego wszystkiego wypowiedział swoje pierwsze słowo:

- Tato!

Mała pulchna rączka próbowała otrzeć łzy, które spływały po mojej nieogolonej twarzy. Wziąłem synka na ręce i zaniósłem go do jego pokoju. Kiedy już utuliłem go do snu, zamknąłem drzwi pomalowane przez moją żonę w niebiesko-białe chmury. Siedząc przy nim, nie chciałem już słuchać tych rozpaczliwych „halo, halo”, które dobiegały z telefonu.

A więc to tak. Poznałem tę osławioną prawdę! Przeklęty Szatan! Dlaczego musiałem się tego dowiedzieć? Dużo bym dał, żeby nigdy nie wiedzieć o tym, że na tej ziemi istnieje Nadine Kent.

Przeklinałem Raoula, przeklinałem anioły w ogóle, a Szatana w szczególności, przeklinałem całą tanatonautykę.

Ucałowałem moje dziecko, którego powieki opadały już na oczy tak niebieskie, jak niebieskie są oczy jego matki.

W salonie Raoul chichotał jak diabeł. Płaczliwe „Halo! Halo!” wciąż dobiegało z telefonu. Złapałem szybko za słuchawkę.

Miałem już dość.

Wolałbym nie być sobą. Nie mieć przeznaczonej mi kobiety. Czułem, że nie jestem w stanie wypełnić dawnej umowy, podpisanej niegdyś w poprzednim życiu.

Chciałem zedrzeć z siebie tę skórę, która okrywała mą duszę.

Rozdrapywałem dłoń paznokciami aż do krwi. Dlaczego postawiono mnie przed tak trudną do rozwiązania sytuacją? Nie mogłem nigdzie uciec, do żadnego kraju, wszędzie bowiem sytuacja ta i tak by mnie dopadła.

Zatrzymajcie tę planetę, chcę wysiąść.

Z a t r z y m a j c i e t ę p l a n e t ę , c h c ę w y s i ą ś ć .

Zebrałem się w sobie i wyszeptalem z niemożliwą do opanowania rozpacz:

- Zapomnij o mnie, Nadine. Miej litość, zapomnij o mnie w tym życiu. Znajdź sobie innego mężczyznę, błagam cię o to, Nadine, bądź szczęśliwa!

A potem bez ceregieli chwyciłem Raoula za kołnierz i wyrzuciłem za drzwi.

247 - MITOLOGIA EGIPTU

Formułka (którą należy wypowiedzieć dwadzieścia osiem razy każdego dnia przed zaśnięciem), żeby nigdy nie umrzeć:

„Jam jest Re, gdy wychodzi on z Nun. Moja dusza (ba) jest bogiem. Ja jestem stwórcą Pierwszego Słowa (Hu). Zło jest dla mnie obrzydliwością i nie oglądam go. Rozmyślam o prawdzie, pożywiam się pożywieniem i ofiarami. Nie zostanie on unicestwiony w tym moim imieniu duszy (żywej), która powstała do bytu

sama z siebie, wraz z Num, w tym moim imieniu Chepri, w którym powstaje do bytu każdego dnia.

Ja jestem panem światłości i wstrętna jest mi śmierć. Nie wejdę do miejsca, gdzie traceni są mieszkańcy zaświatów. To ja obdarzam Ozyrysa mocą duchową (achu) i czynię zadowolonymi serca tych, do których należą (dary) ofiarne, by wzbudzili oni strach przede mną, by wzbudzili oni szacunek dla mnie w (oczach) tych, którzy są na wyspach swoich".²²

Egipska Księga Umarłych

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

248 - INNE SPOŁECZEŃSTWO

Odkrycie siódmego nieba przynosiło każdego dnia nowe zmiany. Świątynie świeciły pustkami. Po cóż bowiem uczestniczyć w religijnych obrzędach, skoro ulotniła się tajemnica śmierci? Nawet duchowni tracili wiarę. Najwyżsi hierarchowie daremnie głosili, niezależnie zresztą od wyznawanej religii, że chociaż odkryliśmy anioły, wciąż przecież nie znaleźliśmy Boga. Przeminał czas żarliwej modlitwy i mistycyzmu.

Niektóre świątynie przekształcono w muzea, inne w zwykłe domy mieszkalne. Absolutnym hitem było wybudowanie w kościele basenu.

Wielobarwne światło witraży odbijało się w tafli wody, a muzyka organowa rozbrzmiewała podczas skoków do wody. A jednak w miarę jak poszczególne religie chyliły się ku upadkowi, tanatonauryka wciąż się rozwijała. Prywatne tanatodromy wyrastały wszędzie jak grzyby po deszczu. Niektóre z nich upodobniły się do zwykłych biur podróży: „Weekend w zaświatach. Zwiedzanie z przewodnikiem. Przyspieszone szkolenia w zakresie duchowości. Boostery wliczone w cenę. Zapewniona opieka mnicha posiadającego dyplom z tanatonauryki. Możliwość zorganizowania spotkań z aniołami”.

Rzecz jasna większość tych reklam zawierała kłamstwa. Zazwyczaj bowiem wycieczki kończyły się na trzeciej lub czwartej strefie. Drogo zapłaciliśmy, żeby się dowiedzieć, jak niebezpiecznie jest zapuszczać się zbyt daleko.

²² Przeł. M. Barwik.

Raoul może i zrezygnował z odnalezienia matki, ale wciąż był mocno etylowy i zgorzkniały zarazem. Po tym numerze z Nadine było mi wszystko jedno i nie miałem już ochoty się nim zajmować.

Na tanatodromie pałeczkę przejęły kobiety. Amandine i Rose (z którą szybko się pogodziłem) były w znakomitej formie, gdy tymczasem my, to znaczy Raoul i ja, sprawialiśmy wrażenie zmęczonych i zawiedzionych wojowników. Kobiety znajdowały olbrzymią radość w wychowywaniu Freddy'ego juniora, który stał się maskotką tego miejsca. Trzeba też przyznać, że dzieciak był uśmiechnięty, ciekawy wszystkiego i nie sprawiał nikomu większych kłopotów. Być może tak naprawdę dzieci są wielkimi mędrkami i jedynie trudy życia czynią dorosłych nierozumnymi?

Chociaż Freddy junior nie był wcieleniem Freddy'ego seniora, okazał się dzieckiem nad wyraz wesołym i dosyć wysportowanym, jeśli oceniać to podług jego skłonności do biegania i zagładania we wszystkie kąty.

Amandine łapała go, żeby go przytulić. „Tata”, „mama”, „siku”, „kupa” były czterema słowami, które lubił wypowiadać po kolei jedno po drugim. Później potrzebna będzie solidna psychoanaliza, żeby nauczył się wyraźnie oddzielać te cztery pojęcia.

Mój syn świadczył o tym, że życie trwa. Ludzkość ewoluowała. Moje geny odradzały się w jego komórkach.

- A ten znowu się bawi z dzieciakiem! - podśmiewał się ze mnie Conrad. - Musi już mieć serdecznie dość tatusia, co to klei się do niego jak lep! Ja moje bachory zostawiam w spokoju.

- Tata siku? - zapytał zniecierpliwiony Junior.

Mój brat roześmiał się i odpowiedział mu:

- Nie: tata kupa.

Podejrzewałem, że Conrad nie jest wybitnym pedagogiem.

Mój brat założył przedsiębiorstwo tanatonautyczne. Na zlecenie budował tanatodromy w różnych miejscach na świecie. Jako doświadczony deweloper wprowadzał pewne innowacje, nadając salom odlotowym, w zależności rzecz jasna od gustu klienta, oprawę mitologiczną lub mistyczną. Dzięki temu można było odlecieć z repliki piramidy Cheopsa albo z kopii Kaplicy Sykstyńskiej. Mniej zasobnym proponował tanatodromy indywidualne w postaci drewnianych chatek przypominających saunę, ale wyposażonych w całą niezbędną do odlotu aparaturę. Dodatkowo, za ryczałtową kwotę dwóch tysięcy franków, dostarczał też system nagłośnienia i takie same jak nasze skafandry dla tanatonautów.

Interesy prowadzone przez matkę szły wprost znakomicie. Otworzyła dom

wydawniczy, żeby publikować dzieła zebrane Amandine Ballus: „Vademecum umierającego”, „Kilka pomysłów na weekend w Raju”, „Tanatonautyka w dziesięciu lekcjach dla astmatyków, osób z chorobami serca i dla epileptyków: porady dla tych, którzy mają niebawem umrzeć”...

Wszystkie te pozycje stały się bestsellerami, a przecież konkurencja była niezwykle ostra. Podręczniki praktyczne z dziedziny tanatonautyki, tak samo zresztą jak opowiadania i relacje, ukazywały się w ogromnych nakładach.

Odłot był od tej pory w zasięgu wszystkich. A ci, którzy nie mieli środków, żeby zakupić cały zestaw u Conrada, zawsze mogli przecież opuścić ciało, medytując!

249 - FILOZOFIA HINDUSKA

„Stan ducha w chwili śmierci determinuje formę, jaką przyjmiemy w następnym życiu. W jaki sposób jednak pragnienie cnoty może zrodzić się w umyśle tego, kto przez całe swe życie postępował źle? Zdarza się mimo to, że dobre skłonności wyparte lub nagromadzone podczas poprzednich egzystencji zmieniają się diametralnie w momencie, gdy następuje śmierć duszy człowieka, który przez całe swoje życie trwał w błędzie”.

Ananda Moyi Ma

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

250 - SPRAWY SIĘ KOMPLIKUJĄ

Życie jest zatem jedynie pewnym etapem. Chcąc nie chcąc, w miarę jak wiedza o Ostatecznym Kontynencie rozprzestrzeniała się na ziemskim padole, idea ta docierała do najprzeróżniejszych ludzkich społeczności. Tak wiele było egzystencji przedtem, będzie ich również wiele w przyszłości, a dusza żyje także po śmierci ciała. O ile Raj nie był czymś namacalnym, o tyle określone zostało przynajmniej jego geograficzne usytuowanie we Wszechświecie: była to czarna dziura znajdująca się w samym środku Galaktyki. Niemal

każdy wiedział teraz, że istnieje „przestrenny” kontynent składający się z siedmiu niebios i że w ostatnim mieszkają anioły, które potrafią rozwiązywać wszystkie problemy.

Pierwszym, który ucierpiał z powodu tych rewelacji, okazał się nasz prezydent Lucinder.

Do wyborów został już tylko miesiąc, kiedy jeden z jego rywali, niejaki Richard Picpus, oznajmił, że wstąpił do Raju i dowiedział się tam od pewnego anioła, że jest wcieleniem Juliusza Cezara.

- Od jakiego anioła? - dopytywał się Lucinder w trakcie jednej z publicznych debat.

- Rzecz jasna pod Mumiah, tego, który wspiera nas w przedsiębiorczości - odparł Picpus, nie przedstawiając na to żadnych dowodów.

Lucinder, dla którego Juliusz Cezar był prawdziwym wzorem, a jego biografię znał na pamięć, bezskutecznie próbował go zapędzić w kozi róg. W obecności oszołomionych dziennikarzy Picpus opisał szczegółowo forum w antycznym Rzymie oraz problemy zdrowotne tego, który pokonał Wercyngetoryksa. Nawet sam Lucinder był na kolanach.

Nie wiadomo, czy była to mitomania czy może encyklopedyczna pamięć, dość, że po Picpusie-Juliuszu Cezarze pojawili się nowi kandydaci w osobach Roberta Mollina, który twierdził, że uosabia Napoleona Bonapartego, oraz Philippe'a Pilou, który zarzekał się, że jest Aleksandrem Wielkim. Wiedzieliśmy jednak doskonale, że anioły są niezbyt rozmowne, i wątpiliśmy w prawdziwość twierdzeń nowych pretendentów.

Lucinder mógł wprawdzie pochwalić się tym, że był pierwszą głową państwa, która dotarła do Raju i wróciła, lecz Cezar, Napoleon i Aleksander stworzyli przecież olśniewające imperia. Każdy z nich twierdził, że jest w stanie nie tylko przywrócić Francji jej międzynarodowy prestiż, ale również zawładnąć definitywnie Ostatecznym Kontynentem.

Jakże niebezpieczna pułapka! Lucinder trafił zatem na bardziej jeszcze „rajskich” przeciwników od siebie. Zebrał nas, żebyśmy razem spróbowali znaleźć rozwiązanie, które pozwoliłoby mu wyjść zwycięsko z tej sytuacji. Jeśli ci pseudo-Cesarowie, Napoleonowie i inni Aleksandrzy przekonają wyborców, znowu rozpocznie się walka, a Galaktyka bardzo szybko wymknie się spod kontroli!

To Rose wpadła na pomysł, żeby odwołać się do historyków. W końcu ci sławni ludzie nie mieli przykładowego życia! Byli rozpustnikami i tyranami, co do tego zgoda! Zdeprawowali całe kontynenty i doprowadzili do śmierci niezliczonej rzeszy ludzi. Wyciągnęliśmy stare dokumenty. Juliusz Cezar i wywołane przez niego wojny domowe doprowadziły do upadku Republiki Rzymskiej, Napoleon okazał się grabarzem rewolucji francuskiej, a jego niepotrzebne wojny wykrwawiły Europę. Aleksander Wielki miał cokolwiek wątpliwe

obyczaję, a wspaniałe imperium przetrwało za ledwie do końca jego krótkiego życia...

Tymczasem zupełnie nieoczekiwane wsparcie nadeszło ze strony dosyć dziwnych postaci. Awatar Wercyngetoryksa przypomniał w programie telewizyjnym, że Cezar nie zawahał się zagłodzić ludzi podczas oblężenia Alezji. Przez godzinę opowiadał o okrucieństwach, jakich dopuszczono się w czasie wojny galijsko-rzymskiej. A przecież galijskie ofiary tego właśnie konfliktu to nie kto inny, jak przodkowie dzisiejszych wyborców.

Nieoczekiwana reinkarnacja Józefiny wywołała w prasie kobiecej falę plotek na temat licznych zdrad cesarza. Przy tej okazji napiętnowała rzezie podczas wojny w Hiszpanii, mówiła o przyczynach klęski w kampanii rosyjskiej i błędach popełnionych na ponurej równinie pod Waterloo.

Aleksander Wielki poradził sobie z tym lepiej, gdyż do studia zaproszono tylko specjalistów od świata antycznego, którzy nie znali zbyt dobrze porażających szczegółów z życia władcy. Pojawiło się jednak kilka całkiem niezłych opowieści o masakrach i orgiach.

Wobec tego nawału informacji Lucinder zachowywał milczenie na temat swoich poprzednich wcieleń. Sama terażniejszość za nim przemawia - oświadczył - i tylko terażniejszość będzie determinować jego przyszłość. Ponieważ zdecydowana większość wyborców nigdy nie zetknęła się z aniołami z bliska czy z daleka i nie była w stanie pochwalić się bardziej lub mniej znamienitymi poprzednimi egzystencjami, dyskrecja Lucindera spotkała się z dobrym przyjęciem. Jego postawę doceniono tym bardziej, że nikt nie wątpił, iż to w oparciu o czyny w obecnym życiu zostanie później osądzony. A poza tym jak można się chwalić tym, że jest się ledwie Picpusem, skoro wcześniej było się nie kim innym, tylko Cezarem!

Niemniej Aleksander Wielki ze swoją anielską twarzą podobał się tłumom. Był dumny, pewny siebie, zarozumiały wręcz, mimo to się podobał. Na tydzień przed wyborami sondaże dawały mu 34 procent głosów, my zaś byliśmy daleko w tyle z 24 procentami. Juliusz Cezar i Napoleon byli na końcu stawki, uzyskując w sondażach odpowiednio 13 i 9 procent.

- Przydałby się nam jakiś cud w ostatniej chwili! - westchnął kandydat Lucinder.

- Mam pewien pomysł - wyszeptała rozmarzona Amandine.

251 - FILOZOFIA HINDUISTYCZNA

„O ile perspektywa bezustannego rozpoczynania wszystkiego na nowo wywołuje pewne znużenie wśród indyjskich myślicieli, o ile też dążą oni do położenia kresu tej uciążliwej grze w umieranie i kolejne odrodzenia, o tyle masy, wręcz przeciwnie, radośnie się z tym godzą”.

Alexandra David-Néel, L'Inde où j'ai vécu

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

252 - WYBORY, CIĄG DALSZY

Amandine rzeczywiście wpadła na pomysł, i to całkiem niezły. Dokładnie na dzień przed wyborami Maxime Villain, „ektoplazmiczny reporter”, dołączył do naszej przedwyborczej ekipy. Lucinder dostał swój „cud”.

Villain zwołał konferencję prasową, podczas której spokojnie ogłosił, że anioły opowiedziały się za Lucinderem. Dlaczego? Ano po prostu dlatego, że one i tylko one dysponują informacjami na temat wszystkich jego poprzednich egzystencji i na tej podstawie stwierdziły, że można mu zaufać.

Ta deklaracja okazała się decydująca. Niewielu było bowiem gotowych zaryzykować punkty ujemne, głosując na kandydata uznanego przez Niebiosą za nieodpowiedniego. Tylko chorzy i niepełnosprawni nie poszli do urn. Lucinder został ponownie wybrany na prezydenta, uzyskując 73 procent głosów.

Brawo, Maxime! Dzięki powszechnie znanym kontaktom z aniołami i legendarnej już uczciwości Lucinder znowu był prezydentem! Nikt nie odważyłby się podać w wątpliwość słów Villaina, który potwierdził autentyczność „Rozmowy ze śmiertelnikiem”.

Tymczasem ten drogi nam człowiek zarobił masę punktów ujemnych. Najzwyczajniej w świecie skłamał. Nigdy anioły nie wypowiedziały się w żaden sposób na temat tych wyborów. Prawdę mówiąc, nasze wybory były im kompletnie obojętne.

Na ziemi jednak, w nagrodę za popełniony grzech, Maxime Villain z rąk pana

prezydenta otrzymał medal tanatonautyki.

- Czy ty przypadkiem nie jesteś wcieleniem Machiavellego? - zagadnąłem go, żartując podczas ceremonii.

Mały człowieczek uśmiechnął się skromnie. - Wolałbym, żebyś porównał mnie z Dantem lub Szekspirem.

- Skłamałeś.

- Jesteś tego pewien? Nie wiem nawet, czy w ogóle możliwe jest kłamstwo. Prawda zmienia się w zależności od czasu i przestrzeni. Lucinder został wybrany? No cóż, oznacza to, że tam, w górze, spoglądali na to przychylnym okiem.

Co powiedziawszy, puścił do mnie oko.

253 - KARTOTEKA POLICYJNA

Informacja skierowana do właściwych służb

Ostrzegaliśmy was. Już jest za późno. Niebawem zaczną się kłopoty.

Odpowiedź właściwych służb

Sytuacja nadal pozostaje pod kontrolą. Nie należy nas nie doceniać.

254 - MITOLOGIA ŻYDOWSKA

„Zanim się przerwie srebrny sznur...”

Stary Testament, Księga Koheleta XII, 6

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

255 - PRZESZŁOŚĆ WYJAŚNIONA

Po reelekcji Lucindera tanatonautyka eksperymentalna przeobraziła się w tanatonautykę masową. Ludzie wyruszali coraz częściej w najdalsze zakątki Raju.

Oczywiście nie mogło to pozostać bez skutków.

Każdy mógł teraz twierdzić, że spotkał się z aniołem, i przywieźć stamtąd swoją małą, za to robiącą wrażenie sensację. Podano też w dzienniku telewizyjnym, że natrafiono na ślad Adolfa Hitlera. Podobno przeszedł reinkarnację i przeobraził się w drzewko bonsai.

- W bonsai! - zdziwiła się wielce Rose. - Sądziłam, że ludzkie ektoplazmy nie mogą powrócić do formy roślinnej.

- Z tego co wyjaśnił mi święty Piotr, wydaje się, że w niektórych przypadkach jest to jednak możliwe - powiedziała Amandine. - Zazwyczaj przechodzimy reinkarnację, by stać się lepszymi, ale jeśli w trakcie życia człowiek okaże się tak głupi jak zwierzę, wszystko rozpoczyna się na nowo od zwierzęcego poziomu. A jeśli jako istota ludzka byliśmy bardziej bestialscy od najbardziej drapieżnego zwierzęcia, powracamy do stanu roślinnego, a czasami można się nawet cofnąć do poziomu minerałów.

Byłem po prostu oszołomiony. Hitler jako stojące w salonie drzewko bonsai!

W oparciu o wskazówki pewnego niedyskretnego anioła odnaleziono ów bonsai pod wskazanym adresem. Awatar Führera należał do jakiegoś dzieciaka z dobrze sytuowanej rodziny. Chłopczek nie potrafił zrozumieć, dlaczego życie pod postacią bonsai ma być karą. On opiekował się swoim drzewkiem i bardzo był do niego przywiązany.

Przyjrzałem się drzewku i w jednej chwili pojąłem, o co chodzi. Życie takiego bonsai jest bezustannym cierpieniem. Wkłada się roślinkę w za małą jak na nią doniczkę, a potem odcina się regularnie wszystkie odrosty. Torturowanie rośliny wyniesione zostaje do poziomu sztuki. Bez wody, członki są bez przerwy podcinane, a bonsai, pozbawiony przestrzeni i pokarmu, jest wyłącznie cierpieniem.

Ponieważ uniemożliwia mu się wzrost, drzewko zostaje na zawsze karłem, gdy tymczasem wszystko co żyje na tej ziemi, posiada najbardziej podstawowe z praw: prawo do tego, by rosnąć.

To prawda, że Chińczycy przez długi czas uznawali, iż owijanie kobiecych stóp w ciasne bandażę tak, żeby nie rosły, jest uzasadnione. Sądziło się, że są dzięki temu ładniejsze. Ale w przypadku bonsai jest znacznie gorzej! Nie chodzi tylko o stopy. Odcina się drzewku nie

tylko gałęzie, a więc górne członki, lecz także korzenie, a zatem dolne członki. I tak każdego dnia.

Najbardziej wymyślną karą dla odrażającego wojennego przestępcy było przeobrażenie w japoński bonsai. Aż przeszedł mnie dreszcz, kiedy przypomniałem sobie, jak rodzice zmuszali mnie do wkładania zbyt ciasnych ubrań, które przedtem nosił mój brat Conrad, żeby na mnie zaoszczędzić.

Doprawdy znakomity pomysł, brawo, sędziowie archanioły! Znaleźli się jednak ludzie, którzy uważali się za sprytniejszych od nich, do tego bardziej sprawiedliwych! Zbierano podpisy pod petycją, żądając skazania bonsai na śmierć. Ostatecznie wykopano drzewko z ziemi, aż w końcu nastąpiła oswobodzająca śmierć, kładąc w ten sposób kres jego wiecznej męce, co przyjąłem zresztą z głębokim żalem.

Potem pojawiła się cała masa „rewelacji” łatwiejszych lub trudniejszych do zweryfikowania. Ja natomiast nie byłem w stanie uwierzyć, że anioły są tak chętne do rozmowy z tak wieloma ludźmi, toteż zawsze podchodziłem do tych informacji bardzo ostrożnie. Jeśli wierzyć niektórym turystom, którzy odwiedzili zaświaty, Ravallac nie ponosił winy za zamordowanie Henryka IV. Za Żelazną Maską miała się kryć siostra Ludwika XIV. Raoul Wallenberg, szwedzki dyplomata, który wsławił się uratowaniem węgierskich żydów podczas niemieckiej okupacji, został rzeczywiście zamordowany przez KGB, a członkowie ruchu oporu z „Affiche Rouge”²³ zostali wydani przez swoich „przyjaciół” z Francuskiej Partii Komunistycznej. John Lennon sam skontaktował się wcześniej ze swoim zabójcą, aby w ten sposób popełnić samobójstwo. Kawaler d'Eon był hermafrodytą. Nicolas Flamel dorobił się fortuny, okradając i mordując bogatych mieszczan, a później tłumaczył, że swoje bogactwo zawdzięcza rzekomemu odkryciu tajemnicy transmutacji metali. Kubą Rozpruwaczem był rzeczywiście William Guli, lekarz rodziny królewskiej.

Stwierdzono, że koniec końców najbardziej krwiożerczy tyrani ponieśli zasłużoną karę. Stalin wcielił się w szczura, na którym przeprowadzano doświadczenia naukowe, Mussolini był teraz psem występującym w cyrku, Mao - kaczką po pekińsku, a faszystowscy generałowie z Ameryki Południowej w większości wypadków wcielili się w gęsi, które tuczy się z myślą o *foie gros* podawanym na święta Bożego Narodzenia.

Jednakże pominąwszy tych „złych”, inni wykorzystywali cokolwiek wątpliwe rewelacje pochodzące rzekomo z niebios, żeby zabłysnąć.

²³ *Affiche Rouge* (Czerwony Afisz) - plakat propagandowy dystrybuowany przez reżim Vichy oraz Niemców wiosną 1944 roku w okupowanym Paryżu. Celem było zdyskredytowanie grupy francuskiego Ruchu Oporu.

Niezależnie od tego czy było to prawdą czy nie, dość, że wielu drobnych kombinatorów opowiadało o poprzednich wcieleniach, by uzyskać korzyści w obecnym życiu. Pewien paryski Azjata, właściciel sklepiu spożywczego, zapewniał wszystkich, że jest wcieleniem Modiglianiego, i wytoczył proces spadkobiercom dawnych marszandów, domagając się od nich znacznych kwot. Uroczą instruktorka aerobiku prezentująca swój program w telewizji zarzekała się, że jest wcieleniem Botticellego. Dzięki kilku jego obrazom odzyskanym z muzeów i sprzedanym na aukcji mogła otworzyć własną firmę.

Nie sposób było już nawet zliczyć wszystkich spraw i pozwów o odszkodowanie! Jeśli wierzyć niektórym, cała historia ludzkości powinna zostać zweryfikowana, wyjaśniona i zdemistyfikowana.

256 - MITOLOGIA CHRZEŚCIJAŃSKA

„Jest absolutnie konieczne, by dusza została uzdrowiona i oczyszczona, a jeśli nie nastąpi to w ciągu jednego życia na ziemi, to musi to zostać osiągnięte w przyszłych żywotach ziemskich”.

Święty Grzegorz z Nyssy

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

257 - POŚLIZG

Freddy junior rósł, a nasze zainteresowanie tanatonautyką spadało, gdy w tym samym czasie zainteresowanie nią wśród mas, wręcz przeciwnie, wciąż rosło.

Coraz więcej czasu poświęcałem wyłącznie swojemu prywatnemu światu, to znaczy rodzinie. Świat się otwierał, a ja w tym czasie coraz bardziej się zamykałem. W tym okresie życia byłem przekonany, że najistotniejszą sprawą jest małżeństwo, dzieci i stworzenie komórki rodzinnej tak silnej, by ten stan trwał jak najdłużej. Zdrowe życie rodzinne mogłoby w ten sposób wpisać się trwale w rozwój ludzkości, aż stałoby się atawizmem, dzięki czemu nie przychodziłyby na świat dzieci niezdolne, despotyczne lub apatyczne.

Byłem szczęśliwy. Kochałem Rose. Rodząca się we Freddym juniorze ciekawość

świata zachwycała mnie. Rozwijałem w nim zamiłowanie do tych samych książek, w które mnie wtajemniczał Raoul. Rose nauczyła go obserwować gwiazdy. Kiedyś patrzenie na gwiazdy pozwalało zrelatywizować ludzkie problemy. Przez nas wszystko to się zmieniło.

Sądziłem, że przekazując Freddy'emu zamiłowanie do czytania, daję mu tym samym możliwość doskonalenia siebie w przyszłości. Każdego wieczoru opowiadałem więc synowi to, co wydawało mi się najbardziej interesujące dla trzyletniego dziecka: legendy, bajki, krótkie historie z opisami pięknych miejsc.

Ale za ścianami naszego przytulnego mieszkania, choć z pewnym opóźnieniem, społeczeństwo zaczęło odczuwać pierwsze negatywne fale wywołane przez ruch tanatonautyczny, którego byliśmy pionierami.

Któregoś dnia Stefania wróciła mocno zdenerwowana. Jakiś nieznajomy zaczepił ją na ulicy, oferując okazałą sumę pieniędzy. Nie po to, żeby ją uwieść, ale ot, po prostu, żeby spełnić dobry uczynek! Musiała się z nim pobić, żeby facet zrezygnował ze swojej propozycji.

- Mam już dość wszystkich tych układnych, dobrych i ekliwych gości.

- A co, przemoc bardziej ci odpowiadała? - zapytała Rose. - Gadasz zupełnie od rzeczy!

Stefania zrobiła się czerwona na twarzy ze złości.

- Nie, nie gadam wcale od rzeczy. Dawniej ktoś był miły, bo tego chciał. Miał wybór między tym, żeby być miłym albo złym, i świadomie wybierał bycie uprzejmym. A teraz wszyscy są mili, bo są po prostu zabobonni! Być może wszyscy boją się, że tam, w górze, nie uda im się zdać egzaminu. Beznadziejne.

Jakiś żebrak w łachmanach, ewidentnie świadczących o jego kiepskiej sytuacji życiowej, ukazał się w drzwiach, których przecież nie było teraz sensu zamykać. Spokojnie wszedł do środka i skierował się od razu do lodówki. Kiedy już wziął sobie stamtąd kanapkę z wędzonym łososiem i dobrze schłodzone piwo, usiadł wygodnie, jakby chciał wziąć udział w naszej rozmowie.

Stefania rzuciła się na niego i zanim zdążyłem zareagować, wyrwała mu z rąk kanapkę i puszkę piwa.

- Chyba to już lekka przesada, nie? - wybuchnęła.

Mężczyzna popatrzył zdumiony na rozwścieczoną Włoszkę.

Od czasu gdy wszystkie drzwi były otwarte, podobnie jak jego koledzy przyzwyczaił się, że wchodzi się do każdego mieszkania i można się tam bez problemu obsłużyć.

- Ale... no ale... pani zwariowała - wybełkotał.

- Ty chamie, nie nauczono cię, że trzeba najpierw zapukać, zanim się do kogoś wejdzie?

Kloszard oburzył się:

- Jak pani może odmawiać mi jałmużny?

- Nie odmawiamy ci jałmużny, tylko nie możemy pozwolić, żebyś zasmrodził nam dom swoim brudem i cuchnącymi łachami.

Żałosny nędzarcz popatrzył na Rose i na mnie, biorąc nas na świadków.

- Coś się chyba porobiło w główce tej kobiecie! Chyba sobie nie zdaje sprawy... Jeśli odmówi mi jałmużny, jej karma nazbiera od cholery złych punktów!

Popatrzyliśmy z niepokojem na Stefanię.

- Olewam to! - wydarła się na niego. - Spieprzaj, dziadu!

Mężczyzna popatrzył na nią drwiąco.

- W porządku, idę sobie. Ale żebyś się potem nie zdziwiła, jak urodzisz się na nowo...
- przez chwilę szukał najgorszego rozwiązania - ...z nowotworem.

Stefania przysunęła się do niego bliżej, nie zważając na cuchnący oddech.

- Możesz mi to powtórzyć?

Uśmiechnął się kąpiąco i powiedział raz jeszcze z naciskiem:

- Urodzisz się na nowo z nowotworem.

Nie widziałem, jak ręka Włoszki wzięła zamach, ale na stole szklanki zadrżały i usłyszeliśmy dźwięk siarczystych uderzeń w twarz.

Mężczyzna był bardziej zdziwiony niż zły. Ta kobieta odważyła się na akt przemocy w stosunku do żebraka. Potarł obolałe policzki.

- Uderzyłaś mnie! - powiedział, wytrzeszczając oczy.

- No. I daruj sobie rzucanie na mnie tych swoich klątw. Rak? Bardzo dobrze. W takim razie muszę się jeszcze trochę zabawić w tym życiu. A tobie radzę zjeżdżać stąd jak najszybciej, zanim nakopię ci tam, gdzie się domyślasz.

- Ona mnie uderzyła, ona mnie uderzyła - nieomal podśpiewywał.

Nagle zdał sobie sprawę, że uderzenia w twarz wyniosły go niemal do poziomu męczenników. Stać się ofiarą gwałtownej agresywnej wiedźmy było z całą pewnością warte sporo punktów dodatnich.

Wyszedł od nas rozpromieniony.

Stefania odwróciła się do nas.

Otarła czoło.

- Jak pragnę zdrowia, wszyscy dostaniemy świra! - powiedziała.

Nie wiedzieliśmy, co odpowiedzieć. W tym momencie jednak Rose i ja zadrżeliśmy, bojąc się o naszą przyjaciółkę. Czy naprawdę będzie miała raka, kiedy się urodzi na nowo?

- Nie powinnaś była brać na siebie takiego ryzyka i uderzyć go. Nigdy nie wiadomo... - zacząłem.

Przerwała mi stanowczo.

- Czy wy nie rozumiecie, że w naszym świecie są już tylko same larwy i mięczaki? Żadnych emocji, żadnych lęków, żadnych konfliktów! Na tym padole są już tylko żałosne, tchórzliwe i przesądne istoty. Ci ludzie wcale nie są dobrzy. Oni są tylko egoistami. Przejmują się wyłącznie swoją karmą. Starają się czynić dobro tylko po to, żeby w przyszłym życiu zapewnić sobie lepszy status. Ale nuda!

Nagle uświadomiłem sobie, że ja także w głębi duszy jestem miły z egoizmu. Z lenistwa też. I żeby nie komplikować sobie życia. Kiedy jest się złym, trzeba myśleć o innych, przewidzieć, jak będą się bronić, trzeba też wymyślać różne podstępny. A bycie miłym pozwala nie dotykać nikogo i samemu nie być przez nikogo dotkniętym. Uprzejmość nie jest niczym więcej jak wybiegiem, który stosujemy po to, żeby mieć spokój.

Stefania chodziła po salonie jak lwica w klatce.

- Mam was dość. Mam już dość tej dobroci. Mam dość tego społeczeństwa od chwili, gdy ujawniliśmy to, co należało przed nim nadal ukrywać. Żegnam was, tanatonauci! Odchodzę.

I poszła sobie ot, tak po prostu. Zabrała swoje rzeczy i zostawiła mieszkanie w budynku w Buttes-Chaumont, nie żegnając się nawet z Raoulem, który chociaż pijany, wciąż był przecież jej mężem.

258 - MITOLOGIA ŻYDOWSKA

„Czy ciało i dusza są równe, stając przed sądem Bożym?

Ciało mogłoby oskarżyć duszę o popełnienie grzechu, ponieważ od chwili gdy je opuściła, ono spoczywa nieżywe na dnie grobu. Na co dusza mogłaby odpowiedzieć, że uwolniona od ciała grzesznika spokojnie unosi się teraz w powietrzu jak ptak.

Czy dusza i ciało mogłyby w ten sposób uniknąć sądu Bożego? Zadano to pytanie mędrcom. Jak wszyscy mędrcy opowiedział wtedy przypowieść o królu, który wybrał na strażników swojego sadu ślepego i człowieka bez nóg.

Człowiek bez nóg natychmiast zachwyił się dorodnymi owocami. «Pozwól mi wspiąć się na twoje plecy, żebym mógł je zerwać - zaproponował ślepcowi. - A potem zjemy owoce razem». Ślepiec nie potrafił oprzeć się pokusie i kiedy król powrócił, nic nie zostało z owoców w jego sadzie. Zdziwionemu monarsze ślepiec powiedział, że niczego nie widział, a człowiek bez nóg, że nie byłby przecież w stanie wspiąć się na drzewo, żeby zerwać owoc.

Król nie zastanawiał się długo. Rozkazał temu bez nóg, aby wdrapał się na plecy ślepca. Razem zostali obici kijem tak, jakby byli jedną osobą.

Tak samo razem przed sądem stawią się i dusza, i ciało. Wspólnie też zostaną osądzone".

Talmud Babiloński (Sanhedryn 9 alb)

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznanoma* Francisa Razorbaka

259 - PODRĘCZNIK DO HISTORII

Dzięki tanatonautyce na świecie zapanował pokój, dobrobyt i szczęście. Ludzkość osiągnęła wreszcie to, do czego dążyła od ponad trzech milionów lat, gdy człowiek pojawił się na Ziemi. Dotąd śmierć była postrzegana jako kara i cierpienie. Wraz z eksploracją Ostatniego Kontynentu obawy znikły. Wystarczyło dobrze prowadzić się na Ziemi, a tam, w górze, czekała nagroda.

Dzięki tanatonautom z powierzchni Ziemi zniknęły wojny, nienawiść, zazdrość i miała zacząć się nowa era. Amerykański paleontolog Thunder zaproponował zastąpienie określenia *Homo sapiens* bardziej nowoczesnym pojęciem *Homo thanatonautis*. *Homo thanatonautis* jest człowiekiem, który panuje nie tylko nad swoim życiem i śmiercią, ale też nad poprzednimi i przyszłymi egzystencjami.

Jakże wielki jest to krok dla ludzkości!

Podręcznik szkolny, kurs podstawowy, 2. rok

260 - WIZYTA W MUZEUM

Życie toczyło się dalej, także bez Stefanii.

Rose i ja postanowiliśmy wykorzystać weekend zielonoświątkowy, żeby zabrać Freddy'ego juniora do Waszyngtonu i zobaczyć słynne Smithsonian Museum, gdzie przechowywane są wszystkie pamiątki, jakie pozostały po naszej przygodzie. Rzeczywiście było warto tam pojechać. W imponującej budowli z betonu zobaczyliśmy nasz pierwszy fotel startowy, przeczytaliśmy też ze wzruszeniem listę pierwszych ochotników poświęconych na ołtarzu tanatonautyki, zatrzymaliśmy się dłuższą chwilę przed naszymi podobiznami wykonanymi z wosku i mającymi imitować codzienne czynności tanonautów.

Osobiście uważałem, że nie za bardzo jestem do siebie podobny z tym przedziwnym uśmiechem i wielką strzykawką w ręce. Postać Amandine w czarnej obszernej szacie, przypominająca filmową gwiazdkę, była znacznie bardziej udana.

W rogu sali znajdowała się cielesna powłoka Rajiva Bintou, indyjskiego tanonauty, który zatrzymał się na dłużej w świecie rozkoszy i wciąż był podłączony do kroplówki. Gdyby któregoś dnia miał ochotę wrócić na ziemię, będzie mógł nadal skorzystać ze swojego ciała przechowywanego w tej przezroczystej zamrażarce. Obok na kartce napisano, że jego pepowina jest nienaruszona.

Dalej znajdowała się makieta bunkra Bressona z opisem jego smutnej przygody. Marionetki unosiły się w powietrzu, tworząc różne figury tanatograficzne opracowane przez rabina Meyera na potrzeby grupowych odlotów. Olbrzymi fresk o długości trzydziestu i szerokości dziesięciu metrów przedstawiał dosyć wiernie bitwę o Raj. Naciskając guzik, włączało się udźwiękowanie i można było usłyszeć odgłosy walki, w tym na przykład: „och”, „a masz, ty kanalio”, „niewierne psy”, „uwaga, umieram”, jak również szcęk broni i dźwięk rozdieranej tkaniny, który miał przypominać odgłos rozrywanej pepowiny.

Tak naprawdę cała ta inscenizacja była głupawa, ponieważ ektoplazmy, nawet tanonautów, nie wydają żadnych dźwięków, a nawet gdyby powstawał przy tym jakiś hałas, to i tak nie dałoby się tego usłyszeć w międzygalaktycznej próżni.

Smithsonian Museum było olbrzymie. Wszędzie sprytnie porozmieszczane automaty wywoływały u zwiedzających wrażenie, że są w Raju, a jednocześnie goście mogli się opychać popcornem, hot dogami i pić dobrze schłodzone napoje. Amerykanie zawsze wiedzieli, jak się do tego zabrać.

W samym środku głównej galerii stała rzeźba przedstawiająca Féliksa Kerboza, który poprzez stulecia ściska rękę Krzysztofa Kolumba. Nie trzeba nawet dodawać, że ten uśmiechnięty potężny efeb z pomnika nie miał nic wspólnego z opasłym chamem, którego kiedyś znaleźliśmy.

Wyobraziłem sobie bez trudu, jak w przyszłości miałyby wyglądać jego grecki profil wybitny na monetach wraz z naszą dewizą: „Prosto przed siebie, wciąż prosto w nieznanne!”.

Ja jednak wolałem naszą poprzednią dewizę: „Wszyscy razem przeciwko imbecydom!”. Ciągle była przecież aktualna.

Zabawne było odtworzenie wywiadu przeprowadzonego z ekto plazmą Donahue. Trzy stare woskowe automaty z długimi białymi brodami umieszczono na przezroczystej górze z pleksi oświetlonej neonami (prawdopodobnie góra światła Sądu Ostatecznego), a poruszające się usta powtarzały niestrudzenie: „Tutaj zważone będą wszystkie dobre i złe uczynki twojego życia”.

Nieco dalej postawiono czytnik ekto plazmowego odlotu (wynalazek mojej żony Rose), wielką satelitarną antenę i monitor z namalowanymi zielonymi plamkami. Zupełnie jak w Buttes-Chaumont!

Ostatnią część wystawy stanowiła wspiana trójwymiarowa makieta, która miała przedstawiać Raj, wykonana na zlecenie dyrekcji muzeum. Stożek z papierowej masy, wysoki na trzydzieści metrów, rozszerzał się, a jego przedłużeniem był korytarz, który zwężał się na końcu do średnicy dwóch metrów. Wystarczyło wejść na ruchomy chodnik, żeby dostać się do środka i powoli sunąć korytarzami o zmieniających się barwach. Przejście przez każdą kolejną barierę komatyczną symbolizowała kurtyna, której grube plastikowe frędzle nie pozwalały dojrzeć, co się za nią znajduje.

Po przekroczeniu każdej z plastikowych granic Moch słychać było odgłos ssania, a potem przechodziło się na terytorium czarne, czerwone, pomarańczowe itd. W miarę jak posuwaliśmy się do przodu, wokół nas pojawiały się slajdy ilustrujące opowieści na temat kontynentu umarłych. Jakiś głos w tle komentował: „Proszę zwrócić uwagę na kilka przykładów demonów, jakie prawdopodobnie ujrzeli pierwsi tanatonauci po przekroczeniu Moch 1”. Satanistyczne obrazki w niczym nie przypominały naszego kolegi, prawdziwego Szatana.

Jeśli chodzi o strefę rozkoszy, organizatorzy nie chcieli wywoływać szoku u dzieci. Kilka postaci po prostu całowało się w usta. Na terytorium cierpliwości ruchomy chodnik zwalniał tak nagle, że wielu sądziło, iż nastąpiła awaria. W strefie wiedzy głos w tle podawał informacje, takie jak równanie Pitagorasa - $a^2 + b^2 = c^2$. Krótka powtórka materiału na użytek

uczniów. Jako wyobrażenie absolutnego piękna kilka rachitycznych motyli fruwało nad uśmiechniętymi delfinami.

Całe rodziny robiły sobie zdjęcia i wpadały w zachwyt, słuchając komentarza.

- Jak będziesz grzeczny, to pewnego dnia zwiedzisz Raj - zapewniał jakiś ojciec swoją pociechę.

Pilnowałem się, żeby nie opowiadać takich rzeczy Freddy'emu juniorowi!

Na końcu ruchomego chodnika znajdowało się po prostu wyjście. Po spędzeniu kilku godzin w zamknięciu w muzeum światło dnia miało pełnić funkcję białego terytorium! Dziękuję bardzo. Nie było lepszej nagrody dla nieco znużonych zwiedzających. W przestronnej sali znajdowały się kawiarnie, gdzie przyjemnie było usiąść i trochę odpocząć, były też sklepy z pamiątkami, jeszcze lepiej zaopatrzone niż sklepik matki: T-shirty, atrapy tronów startowych, makiety demonów, makiety aniołów, albumy z anielskimi lub diabelskimi obrazkami, zestawy jedzeniowe do wykorzystania przy prostych odlotach.

Freddy junior zajadał się watą cukrową i zażyczył sobie kilka breloczków do kluczy z imionami aniołów, których brakowało mu do kolekcji. Ja natomiast wahałem się, czy nie kupić kasety wideo z filmem, który w skrótowej formie miał umożliwić zapoznanie się ze wszystkimi odczuciami doświadczanymi podczas tanatonautycznego odlotu.

Ale w końcu zrezygnowałem z tego. Ostatecznie cały ten kram mocno mnie zniesmaczył. Skróciliśmy więc nasz pobyt w Ameryce.

261 - MITOLOGIA ŻYDOWSKA

„Narodziny człowieka na ziemi, jak również jego śmierć powodują tylko przemieszczenie się ducha, który zabrany zostaje z jednego miejsca i przeniesiony w inne. To właśnie nazywamy gilgulim, migracją dusz”.

Zohar

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

262 - KARMOGRAF

Tanatonautyka stała się naprawdę sportem masowym. To niesamowite, ile ludzi wyruszało w zaświaty, żeby mieć przedsmak ostatniej podróży. Było nie było, śmierć dotyczy każdego.

Z uwagi na tłok panujący w przestrzeni kosmicznej zmarli, którzy odeszli w danym dniu, z trudem torowali sobie drogę wśród „turystów” z nienaruszonymi pępowinami złąknionych nieznanymi doznań.

Najlichnijsi byli Japończycy. Dla nich tanatonautyka stanowiła sposób na poszukiwanie przodków, których otaczali wielką czią. Nic dziwnego zatem, że japońska firma pierwsza opracowała tak zwane „obiekty ektoplazmiczne”. Osoby uprawiające medytację zen zajęły się wysyłaniem tychże obiektów do Raju, wykorzystując moc swoich myśli.

Najbardziej znane firmy natychmiast rozpoczęły ektoplazmiczne działania marketingowe. W 2068 roku uwagę zmarłych i tanonautów po raz pierwszy przyciągnął plakat ustawiony przy drodze do reinkarnacji. Była to reklama coma-coli: „Coma-cola - ożywcza dla duszy”.

Firmy ubezpieczeniowe podążyły śladami firmy z Atlanty: „Jesteście tutaj? Popełniliście więc nieostrożność. Nie róbcie tego nigdy więcej. W następnym wcieleniu zgłóście się do Londyńskich Ubezpieczeń Globalnych. LUG, bezpieczeństwo we wszystkich wcieleniach!”.

Reklamy początkowo ustawiano tylko przy zewnętrznym kręgu, ale już wkrótce pojawiły się też przed pierwszą barierą komatyczną, a później za nią.

Powstawały też wyspecjalizowane agencje. Nikogo nie pytając o zdanie, przywłaszczyły sobie obszary i miejsca, które nanieśliśmy na mapy. Wielu mnichów, koncentrując się na modlitwie, wyspecjalizowało się także w wysyłaniu do wybranej strefy ogłoszenia, które można było przeczytać na Ostatecznym Kontynencie.

Stawki ustalono w zależności od powierzchni. Rozmiary wynosiły od metr na dwa do dziesięciu na dwadzieścia. W niebie nie ma żadnych ograniczeń, a wszystko zależy od energii mediumicznego nośnika.

Chętnych nie brakowało. Po coma-coli i LUG-u zjawili się touroperatorzy organizujący podróże ektoplazmiczne („Z Air-Zgonem gwarancja podróży w jedną i w drugą stronę”), producenci pieluszek („Żeby dobrze się czuć w przyszłej skórze noworodka,

stosujecie pamperodloty, pieluchy, które łączą popuszczających starców z przyszłymi popuszczającymi noworodkami"), nabiału („Dzięki jogurtom transit wyruszyście lekko ku naturalnym rajom”), materacy („Materac Wieczny Sen, tajemnica udanych medytacji”), pojawiły się też fotele startowe produkowane przez mojego brata Conrada („Cesarski tron: marzenie każdego umrzyka - katapultą w zaświaty”), grupy rockowe („Muzyka Dead-Stroyów, ekstaza aniołów”), a nawet producenci alkoholu („Lucillius, aperitif tak mocno owocowy, że i serafin by się napił”).

Zdarzało się, że jakieś szczególnie uzdolnione medium przekazywało swoje komunikaty w pulsującej formie. Zbliżając się do czarnej dziury Raju, można było odnieść wrażenie, że jesteśmy tuż obok wielkiego supermarketu. Niezależnie od tego co Raoul by sobie o tym pomyślał, Ostateczny Kontynent został sprzedany handlarzom ze Świątyni.

Jednakże ONZ powołał w końcu międzynarodowy komitet etyki, żeby położyć kres tym jakże licznym nadużyciom. Na obrzeżach czarnej strefy złych wspomnień wprowadzono na przykład zakaz reklamowania leku reaktywującego pamięć („Z memoriksem przypomnisz sobie wszystkie popełnione głupstwa”). Zakazano reklamowania dmuchanych lalek w czerwonej strefie fantazmatów, zegarków w krainie cierpliwości, a także encyklopedii w krainie wiedzy; tak samo zachowano się w stosunku do galerii sztuki w krainie absolutnego piękna. W końcu - bez przesady!

W witrynach księgarni wystawiano całe masy nowych tytułów: „Śmierć i formalności”, „Raj - ziemia kontrastów”, „Umrzeć i co dalej?”, „Podręcznik savoir-vivre'u na użytek spotkań z innymi zmarłymi, przodkami i aniołami”, „Droga do reinkarnacji: dokładny plan i kilka rad, by się nie zgubić”, „Kilka przykładów choreografii ektoplazmicznej”.

Na Ziemi wszystko stało się proste i przejrzyste. Handel kwitł, ludzie się kochali, znikła nędza.

Koniec z religią. Koniec z odwieczną nienawiścią między narodami. Cały świat prowadził teraz walkę pod sztandarami dobrych uczynków.

Gdzie podział się cynizm, ironia, kpina? Nawet poczucie humoru nie było już zbyt dobrze widziane. Humor opiera się bowiem na szyderstwie, a podróże na kontynent umarłych udowodniły, że nic nie zasługuje na szyderstwo i każde zachowanie, nawet najdrobniejszy gest ma swoją cenę, wszystko jest obserwowane i podliczane tam, w górze.

Inny jeszcze problem: totalny fatalizm, który zawładnął ludźmi. „Po co podejmować się czegokolwiek - myśleli sobie ludzie - skoro poprzednie wcielenia określiły już moją karmę, a ja jedynie żyję tym, co nagromadziło się przez kilka tysięcy lat. Po co na próżno się trudzić, skoro moje przeznaczenie jest już i tak zapisane tam w górze, w Raju?”. I w ten

sposób ludzkość stawiała się nie tylko uprzejma, ale i coraz gnuśniejsza. Po co ciężko harować, skoro wystarczy wejść do sklepu albo do czyjegoś domu i obsłużyć się do woli?

Przy braku materialnej motywacji co mogło skłonić ludzi do przedsiębiorczości albo wymyślania nowych projektów?

Zawsze byłem skłonny wątpić w rewelacje na temat Ostatecznego Kontynentu. Mój niepokój wzrósł jeszcze bardziej, kiedy pewnego dnia stałem się świadkiem dziwnej sceny. Jakieś dziecko przechodziło przez ulicę, gdy nagle pojawił się sportowy samochód. Z prędkością, z jaką jechał, kierowca nigdy nie zdążyłby zahamować na czas. Pamiętając o moim wypadku, rzuciłem się, krzycząc: „Uważaj!”. Chłopiec zatrzymał się, spojrzał na mnie, popatrzył na zbliżający się pojazd i spokojnie powiedział:

- Ba! Jeśli takie jest moje przeznaczenie, nic tego nie powstrzyma.

I stanął z opuszczonymi rękami, czekając, aż rozjedzie go auto, nie zdając sobie sprawy, że moje ostrzeżenie również stanowiło część jego przeznaczenia! Skoczyłem więc i uratowałem go w ostatniej chwili.

- Ty mały kretynie, o mało nie zginąłeś!

Popatrzył na mnie z zrozumiętym wyrazem twarzy. - Wcale nie, skoro pisane mi było, że właśnie ty mnie uratujesz. Dzisiaj w każdym razie...

I poszedł sobie spokojnie, tak jakby chciał, żeby potrącił go jakiś inny samochód tylko po to, by zrobić mi na złość!

263 - KARTOTEKA POLICYJNA

Informacja skierowana do właściwych służb

Należy natychmiast z tym skończyć. Tanatonautyka stanowi ogromne zagrożenie. Ludzie doszli już do tego, że postawili reklamy na drodze do reinkarnacji. Mnóstwo bezsensownych relacji na temat Raju. Usilnie prosimy o podjęcie interwencji.

Odpowiedź właściwych służb

Tak. Sytuacja przyjęła nieoczekiwany obrót. Poważnie się nad tym zastanawiamy.

264 - APATIA

Czy to naprawdę możliwe, że cała ta nasza przygoda posłużyła jedynie temu, by uczynić ludzkość całkowicie apatyczną, fatalistyczną i pozbawioną motywacji?

W takim razie popełniłem straszny grzech i będę potrzebował wielu reinkarnacji, żeby naprawić ten potworny błąd. Gdy szedłem ulicą, miałem już dość przeskakiwania wyciągniętych na ziemi ludzi, którzy czekali, aż ich obecne życie dobiegnie kresu. To już nawet nie był fatalizm, ale kompletna rezygnacja!

Gdy przypominałem sobie obojętnego na wszystko chłopaczka, przesywał mnie dreszcz.

W tanatodromie w Buttes-Chaumont nastroje nie były wiele lepsze. Rose, Freddy junior i ja zamykaliśmy się coraz bardziej w naszej komórce rodzinnej, a Amandine kontynuowała swoje tournée z wykładami.

Dla Raoula zaś odejście Stefanii po tym, jak stracił rodziców, było kolejnym pretekstem do picia. Wydawało się, że w alkoholu szuka jakby kolejnego, innego świata, gdzieś poza życiem i śmiercią. Być może ostatecznie alkohol jest u kresu wszystkich poszukiwań. W takim razie lepiej było się pokłócić wcześniej z Raoulem, żeby nie dać się wciągnąć na tę równię pochyłą.

Pewnego wieczoru słuchałem sobie jazzu w penthousie. Podobało mi się zwłaszcza smutne, zawodzące solo na saksofonie, ten rodzaj muzyki, której dzisiaj nikt już właściwie nie słucha.

Po powrocie z kolejnego występu dołączyła do mnie Amandine. Prawie na nią nie patrzyłem. Przesunawszy jedną z roślin, osunęła się ciężko w wiklinowy fotel tuż obok mnie.

- Jesteś zmęczony? - zapytała.

- Nie. Jestem teraz chory na duszy.

- Na duszy? A któż nie jest?

Zapalając eukaliptusowego papierosa, które Raoul zostawiał dosłownie wszędzie, dodała:

- Pamiętasz, co mówił Freddy? „Mędracy szukają prawdy, a głupcy już ją znaleźli”.

Okazuje się, że cały świat odkrył prawdę.

- W takim razie cały świat jest głupi.

- Owszem, ale to nasza wina.

Zamilkłem pod ciężarem wyrzutów sumienia. Przypomniałem sobie dzień, w którym zapytałem matkę, co oznacza słowo „śmierć”. Znowu powrócił widok prababci Aglaé i jej lodowatej dłoni zwisającej spod prześcieradła. Ujrzałem też wyryty na zawsze w mojej pamięci zadziwiający obraz trzech świetlistych archaniołów, którzy wspólnie będą osądzać nas tam, w górze.

Właściwie oni wcale nie są życzliwi. Są raczej przerażający pomimo uśmiechu. Zaczynałem rozumieć Stefanię. Kiedy dobroć zostaje narzucona siłą, jest równie obrzydliwa jak owocowa papka z miodem i syropem z granatów.

Rose weszła do penthouse'u, klaszcząc w dłonie.

- Jeśli jesteście głodni, pośpieszcie się i zejźcie na dół. Jedzenie jest gotowe, a Junior właśnie wszystko pożera. Zaraz zostaną już dla was tylko okruszki.

265 - NAUCZANIE JOGI

Istnieje pięć reguł, których przestrzeganie pozwala być silnym w życiu:

- *Zdrowie. Ciało musi być w dobrym zdrowiu, jeżeli chcemy mieć jasny umysł. Trzeba być czystym i nigdy nie napełniać żołądka do syta.*
- *Zadowolenie. Trzeba cenić to, co się ma.*
- *Wytrwałość. Nie wolno pozwolić, by zawładnęły nami drobne emocje: lęk przed nieprzewidywalnym, obawa przed przeszkodami, łatwe przyjemności.*
- *Nauka. Pogłębianie wiedzy poprzez lekturę świętych tekstów i medytację.*
- *Ofiara składana Bogu. Nie żyjemy dla siebie, lecz dla czegoś w nas, co nas przerasta. Nade wszystko należy zachować pokorę.*

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznamoma* Francisa Razorbaka

266 - PODLICZANIE

Wiedzieliśmy już, od czasu „Rozmowy ze śmiertelnikiem”, że potrzeba sześciuset punktów, by zakończyć cykl reinkarnacji i przejść w stan czystego ducha. Jednakże kolejna rozmowa ze świętym Piotrem dostarczyła Amandine jeszcze precyzyjniejszych informacji. Przypomniała nam najpierw oficjalne dane.

PUNKTY UJEMNE

Kłamstwo:	od -10 do -60 punktów
Obmawianie:	od -10 do -70 punktów
Poniżanie:	od -100 do -400 punktów
Nieudzielenie pomocy osobie w niebezpieczeństwie:	od -100 do -560 punktów
Porzucenie dziecka:	od -100 do -820 punktów
Porzucenie rodziców:	od -100 do -910 punktów
Okrucieństwo w stosunku do zwierząt:	od -100 do -1370 punktów
Okrucieństwo w stosunku do ludzi:	od -100 do -1450 punktów
Zbrodnia prowadząca do śmierci innej osoby:	od -100 do -1510 punktów
Recydywa:	suma punktów ujemnych pomnożona przez 1, 5

(Liczba punktów ujemnych zmienia się w zależności od przypadku, pod uwagę brana jest chęć zaszkodzenia, *przyjemność*, jaką sprawia czynienie zła, brak odpowiedzialności, egoizm leżący u podstaw działań lub zaniechania.)

PUNKTY DODATNIE

Darowizna z wyrachowania:	od 10 do +50 punktów
Darowizna bezinteresowna:	od 10 do +90 punktów
Rozbawienie najbliższego otoczenia:	od 10 do +100 punktów
Pomoc udzielona zwierzęciu w niebezpieczeństwie:	od 50 do +120 punktów

Pomoc udzielona osobie w niebezpieczeństwie:	od 100 do +270 punktów
Stworzenie dzieła sztuki:	od 100 do +410 punktów
Oryginalny pomysł przyczyniający się do postępu:	od 100 do +450 punktów
Poświęcenie się na rzecz innej osoby:	od 100 do +620 punktów
Właściwe wychowanie dziecka:	od 15 do +840 punktów
Współczynnik mnożnikowy:	suma punktów dodatnich pomnożona przez 1, 2

Tak duża dokładność sprawiła, że ludzie stali się jeszcze bardziej rozdygotani. Zamiast ryzykować grzech, niektórzy woleli od razu popełnić samobójstwo po to, żeby - jak mawiano w tych czasach - wyzerować licznik. Określenie to nie było zresztą tylko metaforą. Pewna japońska firma rzeczywiście wprowadziła na rynek licznik dobrych i złych uczynków. Był to „karmograf”: urządzenie, które przypominało mały zegarek z ekranem ciekłokrystalicznym i cyfrową klawiaturą. Ludzie nosili go na prawej ręce, gdyż lewa nadal miała informować o aktualnej godzinie.

Przed pójściem spać wystarczyło zanotować czynności wykonane w ciągu dnia, żeby ustalić, na jakim etapie dokładnie jesteśmy, jeśli chodzi o naszą karmę. Kiedy liczba dobrych punktów była niewystarczająca, na ekranie karmografu pojawiał się koń. Był to pierwszy poziom karmicznego regresu, który następnie przechodził w psa, królika, ślimaka i amebę. Najcięższe przypadki przyjmowały postać natki pietruszki albo grzyba.

Dzięki karmografowi można było spokojnie umrzeć, wiedząc dokładnie, gdzie się sytuujemy na tej skali, i nie obawiać się osądu archaniołów. Oczywiście operacja dodawania i odejmowania punktów wymagała bardzo dużej uczciwości w stosunku do siebie.

W tanatodromie my także pobawiliśmy się przez chwilę tym urządzeniem. Rose stwierdziła, że ma 400 punktów dodatnich. Ja, znacznie skromniej, byłem gdzieś między +0 i +5 punktów. Nie popełniłem zbyt wielu świństw w życiu, ale świętym też nie byłem. Ostatecznie Raoul miał rację: nie byłem bohaterem a jedynie zwykłym, przeciętnym człowiekiem. Nawet w swojej karmie byłem przeciętny.

Natomiast Freddy junior był po prostu zafascynowany tym urządzeniem. Jego karmograf, niemal dziewiczy, wskazywał spokojnie +25 punktów. Ale dzieciak bardzo

mocno przejmował się tą kwestią. Kiedy na przykład na skwerku pociągnął jakąś koleżankę za warkocz, od razu sprawdzał karmograf, żeby się dowiedzieć, czy to poważna sprawa.

Aparat ten zastąpił z powodzeniem spowiedź.

267 - OFF-SIDE

Conrad nie był w stanie kupić praw do produkcji karmografu.

Japończycy byli niezwykle ostrożni, a ich patent świetnie chroniony. Mój brat zajął się więc komercjalizacją zupełnie innego produktu, mianowicie pigułek „off-side”, to znaczy specjalnych pigułek umożliwiających bezbolesne samobójstwo. „Lepiej mieć nowe życie, niż mieć życie nieudane” - takie było jego hasło reklamowe. Proste, a jednocześnie znakomicie wyrażało to, o co chodziło.

Conrad, który zawsze był sceptycznie nastawiony do tanatonautyki, teraz pierwszy zachęcał ludzi do wykonania wielkiego skoku. Najważniejsze, żeby interes się kręcił!

Ironia losu: wśród pierwszych klientów znalazł się jego syn, a mój bratanek Gustave, który wpadł w rozpacz, gdy nie udało mu się napisać sprawdzianu z matematyki. Zamiast listu pożegnalnego chłopak nabazgrał tylko następujące słowa: „Nie przejmujcie się. Wpadnę na chwilę do krainy umarłych i zaraz wracam w innej skórze”.

Jego rodzice byli przekonani, że pewnie miał rację, ale nie wiedzieli, pod jaką postacią mały się odrodzi. „Tyle wysiłku i staranna edukacja w tak głupi sposób zmarnowane przez jedną złą ocenę z matematyki. Można sobie z wściekłości wrywać włosy!” - żalił się Conrad, który zastanawiał się, czy należy oplakiwać śmierć własnego syna.

Rose i ja zaniepokoił się. A gdyby Freddy junior też odczuwał taką pokusę? Przykrości tak często się dzisiaj przecież zdarzają. Mimo że wiedzieliśmy, jak wygląda Raj, nie chcieliśmy, by nasze dziecko wyruszyło tam zbyt wcześnie i co więcej, własnoręcznie przecinając sobie pępowinę.

Aby skutecznie odwieść go od mody, która rozpowszechniała się w szkołach i liceach, zastąpiliśmy po cichu pigułki z cyjankiem „off-side”, które kupił sobie z własnego kieszonkowego, zupełnie nieszkodliwymi landrynkami. A żeby nie przyszła mu nagle ochota wyskoczyć przez okno, założyliśmy w nich kraty.

Rose robiła co mogła, żeby w każdych okolicznościach być po jego stronie. Jeśli wracał z dzienniczkiem pełnym złych ocen, dawaliśmy mu na pociechę zabawki. Nigdy na niego nie krzyczeliśmy, obsypywaliśmy go pieścizkami i stale zapewnialiśmy go o naszym

wsparciu.

Nasz syn powinien kochać swoje życie do tego stopnia, żeby był przekonany, że w innym wcieleniu nie znajdzie równie fajnych rodziców.

Nie wszyscy rodzice byli jednak tak skuteczni jak my. Samobójstwa dzieci zdarzały się coraz częściej, podobnie zresztą jak samobójstwa popełniane przez dorosłych.

Niezadowolenie, brak satysfakcji i od razu hop! Najwrażliwsi chodzili z kapsułką cyjanku włożoną w dziurę w zębie i przy najmniejszym problemie kończyli z życiem, które uznali za nieudane. Życie było grą, więc jeśli nie chciało się już w niej uczestniczyć, wystarczyło powiedzieć „zamawiam” i wyłączyć się z gry dzięki pigułce, która była w wolnej sprzedaży dzięki mojemu bratu Conradowi.

W rezultacie na ulicach nie widywało się już prawie w ogóle osób starszych (pierwsza zmarszczka i wyruszamy po nową młodość, zanim nastąpią nieodwracalne zmiany spowodowane wiekiem) ani też ludzi zatroskanych czy zbyt wrażliwych. Pozostały tylko niedojrzałe istoty ogarnięte obsesją czynienia dobra, z lenistwa czy z zabobonu.

Był to autentyczny społeczny problem. Przywódcy, tak jak i osoby kreatywne, są najczęściej ludźmi, którzy mieli trudne dzieciństwo, ale udało im się z tego wyjść i osiągnąć sukces, tocząc ciężką walkę i wyrabiając sobie charakter twardy jak stal. Teraz jednak, kiedy samobójstwo pozwalało wyzerować licznik w obliczu najdrobniejszych trudności, przyszłe elity znikają, zanim zdążyły dorosnąć.

Lucinder i jego rząd zrozumieli, na czym polega problem. W administracji mieli do czynienia wyłącznie z mięczakami albo zupełnie beznadziejnymi osobami, które nie potrafiły podjąć żadnej decyzji, gdyż obawiały się wyrządzić komuś krzywdę. Należało czym prędzej podjąć jakieś działania, żeby najbardziej inteligentni i wrażliwi spośród młodych ludzi przestali popełniać samobójstwa.

Jako że śmierć stała się czymś banalnym, należało też promować życie, tu i teraz, a nie gdzie indziej i w nie wiadomo jakiej przyszłości. A nie było to wcale takie oczywiste. Nikomu nie zależało na życiu aż tak bardzo, żeby walczyć o nie albo mocno zacisnąć zęby i mimo wszystko stawiać czoło trudnościom. Co gorsza, każdy zgadywał, w czyją postać się wcieli, trochę tak jak gra się w ruletkę czy w lotto. Tam, w górze, nie mogło przecież zabraknąć prawidłowych skreśleń!

I w ten właśnie sposób powstała KAPŻ, Krajowa Agencja Promocji Życia. Lucinder zatrudnił najlepszych specjalistów od reklamy, żeby wymyślili takie hasła, idee i pojęcia, które sprawią, że ludziom znowu będzie zależało na życiu i nie będą odchodzić w zaświaty z byle powodu.

Kto w ogóle byłby w stanie uwierzyć w coś takiego, zanim nastał XXI wiek? Ludzie pewnie umarliby ze śmiechu na myśl, że któregoś dnia trzeba będzie za pomocą reklamy nakłaniać ich do tego, by wreszcie docenili to co zasadnicze, naturalne i najprostsze na świecie, a mianowicie życie.

268 - REKLAMA

Życie - chwila bogata w emocje. Suzanne M., dwadzieścia lat, studentka, dzieli się swoimi przemyśleniami:

„Na początku nie za bardzo lubiłam życie. Uważałam nawet, że jest beznadziejne. Moi rodzice żyli, mój wujek, dziadkowie i wszyscy nieudacznicy w mojej rodzinie też żyli, a ja zadawałam sobie pytanie, jak też oni sobie radzą z tym, że trzeba się starzeć i powoli gnić, stając się ludzkim wrakiem. Co za kretyni!

Toteż życie odbierałam jako coś bezsensownego. Próbowałam od niego uciec, brałam narkotyki i piłam alkohol. Ale przez narkotyki i przez alkohol rozchorowałam się. Wtedy naszła mnie chęć oderwania się od życia. A potem wpadłam na pewien pomysł. Pomyślałam sobie, że zanim odejdę, mogłabym wyruszyć w podróż dookoła świata. I dzięki temu uświadomiłam sobie, że życie jednak jest super. Rośliny żyją, zwierzęta żyją, nawet kamienie żyją. Wówczas pomyślałam: a dlaczego i ja nie miałabym żyć?

Teraz nie żałuję swojego wyboru i kiedy widzę tych wszystkich wahających się młodych ludzi, mówię im: no, moi drodzy, wy też wyruszcicie w podróż dookoła świata. Zobaczycie, życie to coś, co będzie modne jeszcze przez dług. czas!''.

*Wiadomość nadana przez KAPŻ,
Krajową Agencję Promocji Życia*

269 - KARTOTEKA POLICYJNA

Informacja skierowana do właściwych służb

Wygląda to już na czyste szaleństwo! Jesteście silni, ale nie dajcie się ponieść pysze. Nie wahajcie się też przyznać do błędów. Wasza beczynność może doprowadzić do poważnych szkód. Bardzo poważnych. Polecamy się.

Odpowiedź właściwych służb

Strach was oślepia. Prosimy o zachowanie spokoju. Należy zwłaszcza unikać nerwowych ruchów. Zachowujemy czujność.

270 - MITOLOGIA JAPOŃSKA

„Jesteśmy tylko ziarenkami piasku, ale jesteśmy razem.

Jesteśmy jak ziarenka piasku na plaży, lecz bez nas, bez ziarenek piasku, nie byłoby plaży”.

Wiersz w języku yamato (język starojapoński)

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

271 - SAMOBÓJSTWO, CÓŻ ZA BŁĄD

Krajowa Agencja Promocji Życia robiła co mogła, ale wyniki były bardzo mizerne. Dopiero po tragicznym wydarzeniu, tak zwanej sprawie Lamberta, zakończyła się fala samobójstw.

Stało się to pewnej niedzieli na tanatodromie w Buttes-Chaumont. Pozwalaliśmy czasami znajomym skorzystać z naszych tronów startowych. Pan Lambert, właściciel naszej ulubionej tajskiej restauracji, zwrócił się do nas z prośbą o możliwość wypróbowania jednego z nich. Nie było powodu, żeby mu odmawiać, tym bardziej że pan Lambert był szefem naszej stołówki, więc zależało nam na utrzymaniu z nim jak najlepszych relacji.

Usiadł. Wyregulowaliśmy urządzenia. Odliczył „sześć, pięć, cztery, trzy, dwa, jeden, start”, po czym tak jak należy nacisnął gruszkę.

Do tego momentu nie wydarzyło się nic nienormalnego. Coś niezwykłego nastąpiło dopiero po powrocie. Kiedy pan Lambert otworzył oczy, odniosłem wrażenie, że mam

naprzeciwko siebie kolejnego Jeana Bressona. Był rozdygotany, nerwowy, nawet jego twarz w niczym nie przypominała twarzy pogodnego restauratora specjalizującego się w tajskiej kuchni. Przed nami siedział mężczyzna o twardym nieruchomym spojrzeniu.

Był to inny człowiek. Być może jakiś Mr Hyde, za którym do tej pory ukrywał się Dr Jekyll-Lambert?

- Dobrze się pan czuje, panie Lambert? - zapytałem.

- Ooo, taaak! Czuję się całkiem dobrze. A nawet bardzo dobrze. Nigdy dotąd nie czułem się lepiej.

- Zwiedził pan Ostateczny Kontynent? - zagadnęła go Amandine.

- Ooo, tak! Zwiedziłem, i to jeszcze jak. Naprawdę bardzo, bardzo interesujące miejsce.

Jego głos był głosem dawnego Lamberta, rysy także się nie zmieniły, ale przysięgłbym, że nie mamy do czynienia z tą samą osobą.

Potem zachowywał się w stosunku do nas pogardliwie i coś dziwnego pojawiło się w jego oczach. Zapomniał wszystko, jeśli chodzi o kuchnię, nawet nie pamiętał przepisu na znakomity makaron z bazylią. Zresztą gotowanie kompletnie go już nie interesowało. Nagle zdecydował się sprzedać restaurację. Niech dawni klienci, o których tak bardzo kiedyś się troszczył, chodzą jeść, gdzie im się podoba! On umywa ręce. Wyjechał z miasta i nie ujrzeliśmy go nigdy więcej.

Cała ta historia mocno mnie poruszyła. Rozmawiałem o tym z kolegami z innych tanatodromów. Zapewniali mnie, że zetknęli się już z podobnymi przypadkami. Tak jak ja pomyśleli o syndromie doktora Jekylla. Nazwa pozostała.

Postanowiliśmy zorganizować wideokonferencję, żeby przedyskutować ten problem. Pan Rajawa, kierujący indyjskim tanatodromem, zaproponował wyjaśnienie. Wprowadzie mistyczne, ale mimo wszystko wyjaśnienie.

Jego zdaniem zjawisko, które zaobserwowaliśmy, wywołane zostało przez samobójców. Kiedy ktoś zadaje sobie świadomie śmierć przed upływem terminu wyznaczonego podczas ostatniego sądu, jego ektoplazma przeobraża się w wędrującą duszę. Pozostaje ona niejako w zawieszeniu, unosi się nad ziemią w poszukiwaniu ciała, w którym mogłaby zamieszkać, aby przeżyć ten czas, który pozostał jej do życia. Tymczasem trudno jest znaleźć wolne ciała, toteż wielu samobójców błąka się w ten sposób już od tysięcy lat.

Żywi często nazywali te wędrujące dusze „duchami”. Ponieważ są biedne i zrozpaczone, zabawiają się, strasząc ludzi, chcąc się upewnić, że posiadają jeszcze jakąś moc. Wzbudzają przerażenie ludzi strachliwych i naiwnych, uderzając nocą w ścianę, unosząc do

góry podłogę albo potrząsając żyrandolami. W najgorszym razie mogą wywołać niespodziewany deszcz albo burzę. Ich działania są żalotne i powinny wzbudzać raczej litość niż przerażenie.

- Są one tym, co nazywamy złymi duchami - zaznaczył dyrektor tanatodromu w Dakarze.

- A my nazywamy je *blolos*. *Blolos bians* w przypadku mężczyzny i *blolos blas*, jeśli są to kobiety - dorzucił kierownik ośrodka w Abidżanie.

- Być może w związku z tą nową modą samobójczą w przestworzach pełno jest duchów poszukujących cielesnej powłoki - westchnął jego kolega z Los Angeles.

Pan Rajawa wyjaśniał dalej:

- Kiedy żyjąca osoba medytuje lub zajmuje się tanatonaucyką, porzuca na pewien czas swoje fizyczne ciało. Wystarczy, że jakaś błakająca się dusza znajdzie się w pobliżu i od razu wskakuje w to ciało.

Patrzyliśmy na siebie bez słowa. Jakże wielkie ryzyko braliśmy na siebie podczas rozlicznych podróży! Co gorsza, ze względu na tych wszystkich „turystów”, którzy dzięki nam wyruszyli w zaświaty, całe masy duchów miały teraz do dyspozycji sporą liczbę ciał, w których mogły się schować. Co za paradoks! Samobójcy, którzy wyobrażali sobie, że odlatują do lepszego życia, wnikali w pierwszą z brzegu egzystencję! I to jeśli mieli szczęście! Nie tak łatwo było znaleźć się tam gdzie trzeba w odpowiednim momencie i stanąć przed wolną cielesną powłoką.

Każdy miał do czynienia z jakimś przypadkiem „przywłaszczenia” ciała po powrocie na ziemię. Dopiero teraz nagłe zmiany nastroju i zachowania ludzi zostały wyjaśnione.

- Trzeba wszystkich ostrzec - powiedziałem. - Ludzie muszą przestać popełniać samobójstwa, powinno się też zabronić tanatonaucyki. To zbyt niebezpieczne!

Zorganizowaliśmy w swoich ośrodkach konferencje prasowe. Nie wszyscy nam uwierzyli. Znaleźli się sceptycy, którzy twierdzili, że chcemy uprawiać ten sport tylko we własnym gronie, podczas gdy stawał się on dostępny dla wszystkich i nawet robotnicy niedługo będą mogli sobie pozwalać na niedzielne wypadki tanatonauczne. I cóż można było na to odpowiedzieć? Mimo naszych ostrzeżeń tanatonauczne biura podróży nadal świetnie prosperowały. Zawsze znajdą się szaleńcy, którzy będą chcieli wyruszyć na najdalsze kontynenty przekonani, że wypadki mogą przydarzyć się tylko innym.

Niebezpieczeństwo, że podczas startu ktoś może nas okraść z ciała, zniechęciło niektórych. Nieprzyjemnie było wyobrazić sobie, że pech może sprawić, iż byle kto będzie się pod ciebie podszywał i przeniknie do twojej rodziny, a nawet wsunie się do łóżka twojej żony

i nikt nie będzie w stanie zauważyć różnicy.

W przypadku kandydatów do samobójstwa sprawa wyglądała inaczej aniżeli w przypadku turystów udających się w zaświaty. Jedni szukali mocnych wrażeń, drudzy bezpieczeństwa i szczęścia. Cóż z tego, że Conrad drastycznie obniżył cenę pigułek „off-side”, skoro i tak nie mógł znaleźć na nie nabywców. Przeobrazenie się, i to może na kilka najbliższych stuleci, w błakającą się, poszukującą ciała duszę nie było zbyt zachęcającą perspektywą.

Ludzie zrozumieli, że samobójstwo wcale nie prowadzi do wyzerowania licznika i życie należy obowiązkowo przeżyć do samego końca. Zaczęto znowu przyzwyczajać się do drobnych nieszczęść.

Wyjaśnienia mojego indyjskiego kolegi miały też inną zaletę: uspokajały rodziców dzieci lub nastolatków, którzy umarli zbyt wcześnie, w wyniku choroby lub w wypadku. Mogło tu chodzić o samobójców, którzy po wcieleniu się w obcą powłokę cielesną mieli przed sobą jeszcze kilka lat życia. Człowiek, który popełnia samobójstwo w wieku sześćdziesięciu lat, a miał umrzeć w wieku sześćdziesięciu sześciu lat, odrodzi się jako dziecko, które umrze w wieku lat sześciu.

Zarządzanie własną karmą stało się pełnoprawną nauką, każdy dzień przynosił kolejną porcję nowych zasad.

Raoul otoczył się murem milczenia. Wiedziałem, że bez przerwy myśli o Stefanii. Wiadomości o niej czerpaliśmy z gazet. Otóż okazało się, że Stefania zgromadziła wokół siebie bandę „złych”. Włoszka, wyznawczyni buddyzmu tybetańskiego, osoba, którą tak niegdyś kochaliśmy, głosiła teraz tu i tam, że dobro powinno równoważyć się ze złem. I że pomimo naszej obecnej wiedzy chęć popełnienia samobójstwa znowu pojawi się na tym jakże nijakim świecie.

Pod jej egidą horda łobuzów na motorach, ubranych w czarne skórzane kurtki, starała się jak mogła propagować czyny tak niemodne, jak kradzieże, morderstwa, gwałty czy rozbój. Ponieważ jednak obawa przed naruszeniem własnej karmy pozostawała zbyt silna, Stefania z trudem znajdowała zwolenników, a jej inicjatywa pozostawała odizolowanym zjawiskiem.

Ponieważ Stefania stanowiła coś w rodzaju ciekawostki narodowej, kiedy policjanci mieli nawet możliwość zatrzymania jej albo kilku osób z jej otoczenia, woleli tego nie robić. Obawiali się, że takie działanie może być odebrane jako agresja, i uważali, że tak czy inaczej tych bandytów spotka wystarczająca kara przy okazji reinkarnacji.

Ale dla Raoula - i dla mnie także - Stefania stanowiła poważny problem. Uosabiając zło, udowadniała, że jest jeszcze na tym świecie ryzyko, które można podjąć. W ten sposób

dobro nabierało innego wymiaru. A że poświęciła swoją karmę w celu uzdrowienia społeczeństwa, jej postępowanie było w ostatecznym rozrachunku czystym wyrzeczeniem.

Mieliśmy niejasne przeczucie, że wyklęta Stefania jest w rzeczywistości świętą. Nie wiedzieliśmy już, co robić. W końcu postanowiliśmy wyruszyć w zaświaty, żeby się zorientować, co się tam dzieje.

272 - REKLAMA

Pan Vinstack, czterdzieści dwa lata, stanu wolnego, kieruje agencją modelek. Kocha życie i tłumaczy nam dlaczego: „Według mnie życie to kobiety. Każda jest inna. Usta, oczy, nogi, piersi, zapach, to jak się poruszają, fryzury, szyje, wszystko jest inne. Nigdy nie wystarczy mi czasu, żebym poznał je wszystkie. Dlatego cieszę się, że życie jest jednak dosyć długie. Jestem żonaty po raz dwunasty. Chciałbym żyć sto lat, żeby poznać jak najwięcej kobiet. A że kobiety istnieją tylko w życiu, więc dziękuję życiu i dziękuję kobietom”.

*Wiadomość nadana przez
Krajową Agencję Promocji Życia*

273 - SPRAWY KOMPLIKUJĄ SIĘ JESZCZE BARDZIEJ

Wciąż nieprzebrane tłumy straceńców na drodze do Raju! No tak, odloty wyglądały teraz zupełnie inaczej niż na początku, kiedy właściwie byliśmy sami wśród nieboszczyków.

A teraz ledwie opuściliśmy Ziemię, od razu wpadliśmy w tłum ektoplazmicznych turystów z pępowinami zaplecionymi wokół pępowiny przewodnika, którym był wykwalifikowany mnich.

I znowu tyle samo, jeśli nie więcej, reklam! Filmy, które trzeba koniecznie obejrzeć w przyszłym życiu, reklamy dań gotowych, reklamy jedzenia dla kotów i psów, papierosów, egzotycznych podróży... No i oczywiście wielki plakat Krajowej Agencji Promocji Życia zachwalający zalety powrotu do życia!

Lucinder starał się zapewnić jak największe bezpieczeństwo na Ostatecznym Kontynencie. Od razu na wejściu billboard wysyłany przez wirującego derwisza z Turcji

nadawał odpowiedni ton:

„Witajcie w Raju. Znajdujecie się w odległości tysiąca lat świetlnych od Ziemi. Uwaga, niebezpieczeństwo! Zakaz samotnego podróżowania. Proszę starannie spleść pępowinę z pępowiną przewodnika”.

A poniżej pojawiały się różne ustawy wydane przy współudziale Narodów Zjednoczonych:

Artykuł 1. Raj nie należy do żadnego kraju ani do żadnego wyznania.

Artykuł 2. Raj otwarty jest dla wszystkich i nikt nie może zabronić do niego swobodnego dostępu.

Artykuł 3. Zakazuje się przecinania ektoplazmicznej pępowiny drugiej osoby. Taki czyn uznawany jest za przestępstwo i jako taki podlega karze.

Artykuł 4. Każde ciało fizyczne ponosi odpowiedzialność za działalność swojej ektoplazmy.

Artykuł 5 - Turyści tanatonauci proszeni są o pozostawienie tego miejsca w takim stanie, w jakim chcieliby je znaleźć po rzeczywistej śmierci.

Artykuł 6. Zakazuje się przeszkadzania aniołom w czasie wykonywanej przez nie pracy.

Artykuł 7. Zakazuje się zapamiętywania wspomnień i fantazji należących do innych. Każdy ma prawo do swobodnego dysponowania własnymi doświadczeniami tak w Raju, jak i na Ziemi.

Artykuł 8. Zakazuje się malowania ektoplazmicznych graffiti na reklamach umieszczonych w korytarzach.

Artykuł 9. Zakazuje się chowania się za wrotami komatycznymi w celu straszenia będących w tranzycie umarłych.

Artykuł 10. Zakazuje się rozmów z archaniołami podczas ważenia dusz.

Artykuł 11. Zakazuje się występowania na rzecz lub przeciwko duszy w momencie ważenia. Żadne zewnętrzne świadectwo nie może wywierać wpływu na decyzje archaniołów.

Artykuł 12. Raj nie jest parkiem rozrywki. Rodzice towarzyszący dzieciom proszeni są o trzymanie ich na smyczy za pomocą pępowiny.

Wszystko przewidziano, żeby turystom zapewnić komfort i bezpieczeństwo. Na poziomie pierwszej bariery komatycznej można było przeczytać: „Moch 1. Uwaga: agresywne wspomnienia. Osoby wrażliwe powinny zrezygnować z uczestnictwa. Osoby,

które nie są w stanie pogodzić się z własną przeszłością, proszone są o odcięcie pępownicy od przewodnika i powrót do ciała".

Pomimo ostrzeżeń zmarli z danego dnia oraz tanatonauci wciąż napływali. Niektórzy zabawiali się, walcząc z bolesnymi wspomnieniami jak zapaśnicy. Jakże wszystko to razem było nieprzyzwoite! Grecy turyści zachowywali się jak podglądacze, oglądając bańki, które w żadnym stopniu ich nie dotyczyły.

Wokoło reklamy wychwalały zalety psychoanalizy i prywatnych detektywów z myślą o tych, którzy jeszcze mieli możliwość naprawienia swoich błędów.

Jak zawsze gdy przekraczałem granicę czarnej krainy, pojawiał się mój wypadek samochodowy, utarczki z bratem, śmierć Féliksa Kerboza, dawna szalona miłość do Amandine, nie mówiąc już o całej masie mniej istotnych zdarzeń, których nigdy do końca tak naprawdę nie przetrawiłem. Powoli zaczynałem się do tego przyzwyczajać.

Moch 2 i powrót do czerwonej krainy rozkoszy. Niektórzy turyści fantazjowali w sposób mocno nieprzyzwoity. Co do mnie, myślałem, że to miejsce coraz bardziej przypomina ciepłe wilgotne wnętrze kobiecej pochwy. Być może Amandine z kolei wyobrażała sobie, że jest we wnętrzu penisa...

Tutaj pomimo przewidzianych kar reklamy dotyczyły sex-shopów, peep-shows i pornograficznych filmów wideo.

Odrzuciwszy fantazje na temat orgii i młodych ponadwymiarowych ogierów, Amandine pociągnęła mnie za sobą, żebym znowu nie wpadł na jej sobowtóra ubranego w czarną skórę. Jakaś kobieta ścigała mnie, krzycząc, że nazywa się Nadine Kent.

Wrzasnąłem do niej telepatycznie, żeby mnie zostawiła w spokoju, że jestem żonaty i mam dzieci. Nadine z moich fantazji przeobraziła się w obfite kształty Stefanii.

No cóż, moje fantazje dotyczyły wszystkich kobiet, które mnie otaczały.

Ogarnięta wątpliwościami Amandine chwyciła mnie za rękę i trzymała aż do granicy Moch 3.

„Uwaga. Tutaj Moch 3. Za chwilę wejdiesz do pomarańczowej krainy. Osoby niecierpliwie mogą zawrócić, póki jest jeszcze na to czas".

Przeprawa trwała tylko dwie lub trzy minuty, chociaż nam się wydawało, że trwa godziny. Wszędzie reklamy producentów zegarków. No cóż, nie ma chyba sensu przyjmować kolejnych ustaw, skoro i tak nikt ich nie przestrzega.

Nie wpadłem już w zachwyty na widok filmowych znakomitości i sławnych postaci. Chciałem po prostu jak najszybciej się stamtąd wydostać. Wszystkim można się znudzić.

Czas - jakże to groźny przeciwnik!

Żółta strefa. „Uwaga, Moch 4. Za chwilę znajdziesz się w krainie poznania. Wycofaj się, jeśli nie jesteś w stanie przyjąć do wiadomości wszystkich prawd tego świata”.

- Eureka! Eureka! - wydzielali się telepatycznie mocno podekscytowani greccy turyści.
Wreszcie Moch 6.

„Witamy w siódmym niebie. Tutaj kończy się przeznaczenie. Jesteś na świetlistym dnie czarnej dziury. Tym, którzy mają stanąć przed sędziami, życzymy udanej reinkarnacji. Innym przypominamy, żeby nie przeszkadzali aniołom w pracy” - nadawał oficjalny wirujący derwisz.

Posuwaliśmy się po białej strefie, gdzie odbywało się ważenie dusz. Anioły bez trudu nas rozpoznawały. Nie zwracały w ogóle uwagi na turystów, ale trzech z nich zbliżyło się do Raoula, Amandine i mnie.

Kilku Greków zadało pytania, lecz anioły udawały, że ich nie usłyszały.

- W porządku - mówili Hellenowie - tutaj jest Olimp, ale gdzie jest Zeus?

Ci idioci niczego nie zrozumieli. Nie ma Zeusa, Jowisza, Quetzalcoatl, Thora czy Izydy. Anioły nie mają swojego przełożonego. Tak samo anioły nie mają imion, a raczej noszą wszystkie imiona. Anioły nie są jednej narodowości, one są wszystkich narodowości, wyznają wszystkie religie i wszystkie filozofie. Jaką głupotą jest cały ten szowinizm, który nakazuje wierzyć, że nasze bóstwa muszą być oczywiście ważniejsze od bóstw, w które wierzą inni!

Nie od razu się zorientowałem, że telepatyczny krzyk, jaki wydał jeden z Greków, nie był krzykiem zdziwienia, lecz przerażenia. Wszystko stało się jasne, kiedy zawył w swoim języku, który telepatycznie wszyscy rozumieliśmy:

- Moja pępowina jest przzerwana!

- To niemożliwe! - odpowiedział spokojnie przewodnik. - Jest wciąż przywiązana do warkocza naszej grupy.

- Nie - pochlipywał tamten. - Na dole ją odcięto!

Oznaczało to, że kiedy ektoplazma spacerowała sobie tutaj, ciało tam, na Ziemi, zostało zamordowane. Ponieważ pępowina była rzeczywiście przywiązana do innych, ektoplazma była nadal razem z nimi. Dopiero kiedy grupa rozwiąże supły, nieszczęsny i zarazem świeży nieboszczyk zostanie wciągnięty w następną reinkarnację. To okropne dowiedzieć się, że się umarło gdzie indziej, tak daleko stąd!

Ledwie zrozumieliśmy tę sytuację, ktoś inny zaczął krzyczeć, że popełniono kolejne morderstwo! Jeden po drugim osiemnastu greckich turystów stwierdziło tę samą smutną prawdę. Motek pępowin był rzeczywiście nietknięty, ale nic już nie łączyło ich z Ziemią.

Każdy z nich utracił materialne ciało! Razem odlatywali, by dołączyć do długiej rzeki zmarłych.

No tak, cielesna powłoka jest w każdej chwili podatna na uszkodzenie i zawsze niebezpiecznie jest z niej wychodzić. Mocno zaniepokojeni Raoul, Amandine i ja skróciliśmy natychmiast naszą podróż, żeby jak najszybciej odnaleźć z powrotem wygodne zbroje w postaci naszych ciał.

Popołudniowe gazety wytypowały sprawców ostatnich niebiańskich wydarzeń: mieli nimi być Stefania i jej banda. Włoszka bowiem przesłała komunikat do największych agencji prasowych, informując, że teraz zaatakuje tanatodromy i wyśle na Ostateczny Kontynent wszystkich amatorów pozaziemskich spacerów. W ten sposób chciała przywrócić śmierci jej tajemnicę i związany z nią lęk. Szeroko zakrojony program!

- Stefania ma rację! - krzyknął Raoul. - Posunęliśmy się za daleko.

Zaprotestowałem:

- Ale to ty pierwszy chciałeś się dowiedzieć wszystkiego na temat śmierci! A teraz, kiedy już zgłębiliśmy jej tajemnice, żałujesz?

Mój przyjaciel rzeczywiście zmienił się nie do poznania. Chodząc po penthousie, obwieścił wszystkim:

- Zrobilibyśmy lepiej, gdybyśmy trwali w niewiedzy. Oppenheimer również żałował, że wymyślił bombę atomową.

- Za późno już, żeby cofnąć czas - wyszeptalem.

- Nigdy nie jest za późno, żeby uczynić coś dobrego - stwierdził Raoul.

Amandine, Rose i ja pokiwaliśmy głowami. Raoul nagle przyjął podobny ton jak jego żona:

- No dobrze, udało nam się położyć kres samobójstwom. Spójrzcie jednak tylko dookoła, jak bardzo ludzie stali się nijacy! Kompletnie nic się już nie dzieje. Żadnych wojen, żadnych przestępstw, cudzołóstwa, po prostu żadnych emocji. Jedna Stefania zdobyła się na odwagę.

To prawda, że świat stał się nie do zniesienia. Zająłem się tanatonaucyką, żeby walczyć z nudą, a właśnie tanatonauczka uczyniła cały świat przeraźliwie nudnym!

Przez szybę dostrzegłem chłopaka, który pośpiesznie przyklepał ukradkiem jakiś plakat. Był to czarno-biały portret Stefania z wielkimi czerwonymi literami: „Wszyscy razem, żeby odtworzyć zło!”.

274 - FILOZOFIA RÓŻOKRZYŻOWCÓW

„Dzięki pragnieniom przyciągacie życie. Wokół was panuje mentalna atmosfera, która przyciąga wszystko, lecz nie w ten sam sposób. Owa mentalna atmosfera utkana jest z waszych pragnień. Tworzą ją również wasze lęki będące negatywną stroną pragnień. To dwie strony tej samej monety. Poza świadomymi pragnieniami istnieją też nieświadomione pragnienia i lęki. W ten sposób przyciągacie osoby i wydarzenia, które tworzą kanwę waszego życia. Działanie nie jest niczym innym jak skonkretyzowanym pragnieniem.

Możemy uwolnić się jedynie poprzez rozwiązanie emocjonalnych węzłów powstałych w sytuacjach przeszłych i obecnych”.

Max Heindel, „Kosmogonia różokrzyżowców”

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

275 - ZŁODZIEJKA DUSZ

Rose i ja nagle zerwaliśmy się na równe nogi, słysząc krzyk siedzącego przed telewizorem Freddy'ego. Emisja portorykańskiej kreskówki, którą oglądał z zainteresowaniem, nagle została przerwana. Białe i czarne paski przebiegały zygzakiem po małym ekranie.

- Tato, zepsuło się.

Ale to nie była usterka. W telewizji zamiast pasków pojawiła się Stefania.

- Udało jej się zająć najpopularniejszy pięćdziesiąty trzeci kanał, do tego w godzinach największej oglądalności! - krzyknęła z podziwem Rose.

Kazaliśmy siedzieć cicho synkowi oburzonemu, że został pozbawiony ulubionej audycji, i daliśmy dźwięk trochę głośniejszy, żeby lepiej słyszeć słowa wypowiedane przez naszą przyjaciółkę.

Gdzieś w jakimś lesie, siedząc na zarośniętym trawą pagórku, Stefania przemawiała do niewielkiej grupki ludzi. Kamera pokazała zbliżenie jej twarzy niegdyś tak radosnej, a dzisiaj wyraźnie spiętej.

- Dziękuję wszystkim za przybycie - mówiła. - Wiem, jak wielkiej trzeba odwagi, żeby

obietac, że będzie się czynić zło, ryzykując tym samym splamienie karmy. Postanowiliśmy jednak działać dla dobra całej ludzkości.

Rozległ się pomruk aprobaty. Najazd kamery na chłopców w czarnych podkoszulkach, z wytatuowanymi rękami i dziewczyny o długich włosach w podartych dżinsach. Stefania zwracała się jednocześnie do milionów widzów i do swoich zwolenników.

- Świat nie jest sam w sobie ani dobry, ani zły. Natura, Bóg czy też jakakolwiek zasada, która naszym zdaniem rządzi życiem, nie prowadzi ani do nagrody, ani do kary. To do nas należy wyciąganie wniosków z własnych doświadczeń. Istnieje tylko jeden grzech: ignorancja. Cała historia ludzkości jest pełna podłości i okrucieństw. I to my musimy z tego wyciągnąć wnioski. Wiedza, którą zdobywamy w bólu, jest zawsze skuteczniejsza aniżeli wiedza, którą uzyskaliśmy w radosny sposób.

- Tymczasem, mogę was o tym zapewnić, w godzinie Sądu Ostatecznego przeżyjecie na nowo wszystkie radości i wszystkie cierpienia, które sprawiliście lub zadaliście waszym bliźnim. Pojawią się przed wami wszystkie doświadczenia. Ziemia bowiem jest miejscem doświadczeń. W chwili śmierci zrozumiecie sens i wagę wszystkich swoich czynów. Zapewniam, że kiedy archanioły wskażą wam najbardziej naganne z waszych czynów, nie spotka was z ich strony ani złość, ani oburzenie. Będą sobie po prostu kpić z waszej głupoty.

- Celem egzystencji nie jest dobroć. Celem egzystencji jest bowiem spełnienie samego siebie. Celem egzystencji nie jest to, żeby być miłym, ale żeby być zawsze świadomym. Celem egzystencji jest wykorzenienie ignorancji. We Włoszech w ciągu trzydziestu lat panowania rodziny Borgiów toczono wojny, panował terror, były morderstwa i otrucia, ale w tym samym czasie tworzył Leonardo da Vinci, Michał Anioł i powstał cały duchowy nurt Renesansu. W Szwajcarii panuje braterska miłość, od pięciu wieków trwa pokój i demokracja. I co stworzyli Szwajcarzy? Zegarki, żeby dokładnie mierzyć czas ich niekończącej się nudy. - Od zarania dziejów Dobro walczy ze Złem, Piękno z Brzydotą, Prawda z Fałszem, Yin z Yang i z tej właśnie ciągłej konfrontacji wyłaniała się wiedza i postęp, ponieważ jedno nie może istnieć bez drugiego. Tymczasem poznając Ostateczny Kontynent, poprzez jakże typową dla człowieka skłonność do upraszczania wszystkiego, ludzie sprowadzili cel egzystencji do jednej i tylko jednej kwestii, a mianowicie do dobroci! Cóż za potworny błąd! Tak naprawdę bowiem, stwierdzam kategorycznie raz jeszcze, Zło jest nieodzowne dla zachowania równowagi na ziemskim padole.

Jakieś pięćdziesiąt dziewczyn i chłopców, o mocno niepokojącym wyglądzie, krzyczało, stojąc wokół niej:

- Przywrócimy Zło! Przywrócimy Zło!

- Dziękuję wam, moi drodzy. Dziękuję. Podejmując pierwszą próbę doprowadzenia ludzkości do prawidłowego postrzegania rzeczywistości, odesłaliśmy już w zaświaty grupę greckich turystów, domorosłych tanatonautów, którzy w Raju nie mieli właściwie nic do roboty. To zaledwie początek i naszą walkę będziemy prowadzić dalej. Zapewniam was raz jeszcze, że na tym nie poprzestaniemy.

W ciemnych oczach Stefanii pojawiły się błyskawice. Jakby odmieniła ją chęć przekonania do słuszności swoich racji.

Kudłaty brodaczek doskoczył do niej.

- Groźbą i przemocą sterroryzujemy tanatonautów. Doprowadzimy do zamknięcia tanatodromów. Ktokolwiek będzie chciał spróbować odlecieć, zostanie przez nas skazany na śmierć. To ostatnie ostrzeżenie, jakie kierujemy do turystów śmierci!

Śmiechy, oklaski, warkot motocykli.

Głos jakiejś punkowy o oczach mocno podkreślonych czarną kredką i szkarłatnych ustach przebijał się przez ogólny harmider:

- Nie tylko tanatodromy! Zło musi dotrzeć wszędzie! I trzeba wreszcie skończyć z tą wszechobecną clikiwością! Możemy to osiągnąć bardzo prostymi działaniami!

- Co proponujesz? - zapytał ktoś zachrypniętym głosem.

- A dlaczego by nie powrócić do hard rocka? Teraz w sklepach i we wszystkich stacjach radiowych słyszy się już tylko muzykę klasyczną albo *space music*. Można tego mieć naprawdę dość. Ja chcę odlotowych koncertów rockowych!

- Rock, rock, chcemy rocka! - skandowali zwolennicy Zła.

- Chcecie tego? Mam coś dla was.

Kamera najechała teraz na amatora rocka. Jakiś nieogolony facet z papierosem w ustach i przepaską na czole stanął na motorze i w wyciągniętej dłoni, niczym relikwię, trzymał kasetę. Na niej widniała nazwa grupy, AC/DC, i tytuł, chociaż bardzo stary, jednak wielce obiecujący: „Highway to Hell”. Jego motocykl był wyposażony w odtwarzacz. Włożył do niego kasetę, na którą wszyscy patrzyli z pożądaniem.

Włączył głoś na pełny regulator i powietrze wypełniły ostre dźwięki, które wciąż przybierały na sile.

Wszyscy zaczęli od razu podrygiwać i wykonywać coś, co przypominało barbarzyński taniec plemienny; otaczali swojego wodza, Stefanię, i powtarzali teraz jej zmysłowe ruchy.

Ogarniało ich coraz większe podniecenie. Byliby w stanie sami obudzić świat.

- Jeśli istniejemy, to znaczy, że Bóg tak chce! - krzyczała Stefania.

- Jeśli zabijamy, to znaczy, że Bóg tak chce! - wydzierał się brodaczek.

- Jeśli kochamy hard rocka, to znaczy, że Bóg tak chce! - włączyła się punkowa.

- Bóg jest dobrem, ale Bóg jest także złem, gdyż Bóg jest wszystkim - podjęła na nowo Stefania, z trudem łapiąc oddech. - Tam, w górze, spotkałam Szatana i jestem przekonana, że to naprawdę ktoś, kto zasługuje na szacunek! Wyłącz muzykę, Billy Joe.

Motocyklista natychmiast wykonał polecenie. Nikt z tańczących nie zaprotestował, a przecież wszyscy byli jak w transie, zupełnie jak wirujący derwisze. Stefania była najwyraźniej ubóstwiana w stworzonym przez siebie kręgu wyznawców Zła i wystarczyło, że skinęła palcem, a wszyscy jej słuchali.

- Nie tylko hard rock zniknął. Zniknął również alkohol. Ludzie nie mają już odwagi się napić, bo obawiają się, że będą źle się zachowywać pod wpływem alkoholu. Prawie wszystkie gorzelnie zniknęły z powierzchni ziemi. Otwórzmy więc nielegalne gorzelnie i rozprowadzajmy alkohol, gdzie tylko się da.

Pomyślałam, że powinna była zobaczyć od czasu do czasu swojego byłego męża. On przynajmniej, jako jeden z niewielu, z tego nie zrezygnował! W dodatku doskonale wiedział, gdzie można znaleźć flaszkę.

Niemniej zwolennicy Zła uznali, że to znakomity pomysł. Upowszechnienie pijaństwa - oto idea, która im pasowała. Alkoholizm gwarantował w dalszej perspektywie pojawienie się mężczyzn, którzy będą bić ile wlezie żony i dzieci, pijanych kierowców rozjeżdżających uczciwych ludzi, i gwałcicieli, skoro wszystkie popędy zostaną uwolnione! Świetny kamyczek wrzucony do ogródka uprzejmości!

- No. Brawo dla alkoholu!

- A poza alkoholem są jeszcze...

- Narkotyki - podsunął Billy Joe, który najwyraźniej chwycił wszystko w mig.

- Narkotyki! - zgodziła się z nim Stefania. - Musimy odtworzyć sieć dilerów narkotyków. Gdzieś na przedmieściach muszą być przecież jeszcze jakieś zapasy. Wystarczy grzecznie zapytać dawnych szefów. Oddadzą nam kokę bez problemu, bo przecież będą święcie przekonani, że wykonują dobry uczynek, przychodząc z pomocą narkomanom na głodzie.

Dźwięki AC/DC znowu zabrzmiały, tworząc agresywne tło, zanim jeszcze Stefania podsumowała:

- Przyjaciele, wszyscy teraz doskonale wiecie, co należy robić: trzeba zdobywać nowych adeptów, mordować tanatonautów, rozprowadzać alkohol i narkotyki. Razem, zapewniam was, uda nam się przywrócić świętą równowagę Dobra i Zła.

A potem, patrząc prosto do kamery i zwracając się do widzów, spokojnie

stwierdziła na koniec:

- Zło właśnie się odrodziło. Wy wszyscy, którzy nas oglądacie, drzyjcie albo dołączcie do nas!

Jakby mgła wypełniła mały ekran, a po chwili Freddy junior mógł z powrotem oglądać dalszy ciąg ulubionej kreskówki.

276 - KARTOTEKA POLICYJNA

Informacja skierowana do właściwych służb

Nie mamy z tym nic wspólnego. Zrodził się spontaniczny ruch społeczny. Nie potrzebowaliśmy Stefanii Chichelli, żeby unieszkodliwić tanatonautów. Naturalna reakcja na zbyt daleko posunięty liberalizm, który trwa już zbyt długo.

Odpowiedź właściwych służb

Nie ma żadnego znaczenia, czy jesteście w to zamieszani czy też nie. Nadal wierzymy w dawną politykę otwarcia.

277 - MITOLOGIA ZARATUSTRYZMU

Jedna piąta zmarłych powstanie z ziemi wraz z ciałem i wyglądać będzie jak w chwili śmierci, z miejsca gdzie z ich ciała wydobyło się ostatnie tchnienie. Pojawiać się będą parami, ojciec z synem, żona z mężem, mistrz ze swoim uczniem, ten, kto rozkazuje, z tym, kto słucha.

Wstańcie, istoty cielesne, wy, którzy byliście posuszni jazatom, wy, którzy zmarliście na tej ziemi!

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznanoma* Francisa Razorbaka

278 - BILANS

Pomimo całego zapału i elokwencji Stefani nie udało się ożywić sił Zła. Nigdy nie zebrała więcej niż setki łobuzów, którzy oddawali się przestępczej działalności, spotykającej się jednak z powszechną obojętnością.

Włoszka rozrzucała tysiące ulotek, które ludzie podnosili z ziemi i nie czytając, wrzucali od razu do najbliższego kosza na śmieci. W ten sposób przyczyniali się do utrzymania czystości w mieście i tym samym niewielkim kosztem zdobywali dodatkowe punkty.

W kilku gazetach wydrukowano tekst ulotki, ale i tym razem nie dało to żadnych rezultatów. Mimo to znalazły się w nim interesujące rzeczy:

Co właściwie jest grzechem?

Zabijanie? Jeśli jakikolwiek Bóg istnieje, nigdy nie przeszkodził przecież ludom wyrzynać się między sobą. Wręcz przeciwnie, dzięki wojnom unikano przeludnienia i uniemożliwiano ludziom unicestwienie innych gatunków.

Kradzież? A kimże jesteśmy, żeby twierdzić, że cokolwiek należy do, nas, a nie do kogoś innego? Kradzież nie jest grzechem, jest nim raczej odmowa oddania czegoś innej osobie.

Brak szacunku dla Boga? Jeśli Bóg istnieje, jest istotą mądrą i inteligentną, a więc wolną od pychy i zarozumiałości. Bóg, jeśli istnieje, drwi sobie całkowicie zarówno z tych, którzy go wielbią, jak i z tych, którzy go poniżają.

Brak poszanowania dla świętości? Nic nie jest święte. Duchowni, którzy utrzymują, że są głosem Boga, sami popełniają grzech pychy. Kto śmie twierdzić, że takie czy inne miejsce, taka czy inna rzecz są święte? To wyraz pychy, wyłącznie pychy.

Anioły nie o wszystkim wiedzą. Nad nimi jest jeszcze inna władza. Możecie ją nazwać Bogiem, jeśli chcecie, lecz pamiętajcie, że Bóg za nic sobie ma dobre uczynki i uprzejmość.

Narody świata, obudźcie się! Nie ma nic gorszego niż uprzejmość.

Nasza przyjaciółka w przypiływie wściekłości cisnęła na śmietnik „Tybetańską Księgę Umarłych”, swój niegdysiejszy brewiarz, żeby teraz rzucić się łapczywie na „Czerwoną Książeczkę” Mao Zedonga. Przewodniczący Mao imponował jej chęcią działania.

Podobnie jak on uważała, że rzeczywisty świat ujawnia się dzięki sprzecznościom, toteż chętnie porównywała się z Wielkim Sternikiem, opowiadając o konieczności prowadzenia permanentnej rewolucji i przygotowując się także do Długiego Marszu. Sprzeczność jest motorem wszelkiego rozwoju, mówił Mao. Rewolucja poprzez Zło jest dla ludzkości koniecznością, uzupełniała tę teorię Stefania Chichelli.

Mao miał swoją Armię Czerwoną, ona zaś czarną armię. Podległe jej oddziały dobrze się bawiły, pławiąc się w rozpuście. Tym lepiej, bo to zawsze coś. Skoro tam, w górze, przyjdzie im zapłacić wysoką cenę, trzeba najpierw zakosztować; trochę przyjemności, czyniąc zło tutaj, na dole.

Niełatwo jednak wrzucić wsteczny bieg w świecie, którym zawładnęła dobroć! Mówiono o nich „biedni”, odnosząc się z litością do nieszczęsnych propagatorów zła, których karma była już tak bardzo nadwreżona!

Mimo to dzięki nim właśnie życie stało się mniej nudne. Wyczekiwano na ich następny zły uczynek, który doda nieco pikanterii jakże mdłej rzeczywistości. Mieli zresztą swoich wielbicieli, którzy wychwalali ich altruistyczną odwagę. Poza tym dzięki owym „złym” można było uzyskać bez trudu kilka dodatkowych punktów.

Teraz, kiedy wszystkie ubrania zostały przekazane stowarzyszeniom charytatywnym, gdy tylko ktoś znalazł przypadkiem narkotyki, alkohol albo broń ukrytą na strychu, natychmiast wysyłał je do czcicieli Zła. I chociaż udało im się doprowadzić do śmierci wielu turystów udających się do Raju, nie przeszkodziło to wcale wyspecjalizowanym biurom turystycznym prosperować coraz lepiej. Morderstwo czyniło z denata ofiarę męczeńskiej śmierci.

279 - SYTUACJA WCALE SIĘ NIE POPRAWIA

W tym właśnie czasie Lucinder postanowił pożegnać się z życiem. Przechodnie znaleźli jego zmasakrowane ciało u stóp wieżowca Montparnasse. Prezydent przeskoczył przez balustradę w pewien deszczowy dzień, gdy jezdnia lśniła jak lustro.

Skok w pustkę wymaga sporo odwagi. Zwłaszcza kiedy jest brzydka pogoda. Poza tym wielu spośród tych, którzy wyskakują przez okno, wychodzi z tego cało. Trzeba powiedzieć, że zazwyczaj wybierają skok z czwartego lub piątego piętra, a wtedy albo lądują łagodnie na masce samochodu, albo na stosie śmieci, albo też mają połamane nogi i kończą sparaliżowani na wózku inwalidzkim.

Lucinder jednak nie zostawił sobie najmniejszej szansy przeżycia. Wyskoczył z pięćdziesiątego ósmego piętra. Pragnąc jak zawsze zresztą być skutecznym, wykonał skok głową do przodu, w pozycji spadochroniarza, żeby było to niezawodne i szybkie.

Tylko czemu się zabił, skoro notowania w sondażach miał znakomite? Patrząc na to z pewnej perspektywy czasu, zastanawiam się, czy nie ogarnęło go, tak jak Stefani, uczucie odrazy do tego mdłego, nijakiego społeczeństwa, do którego stworzenia sam się przecież przyczynił. Musiał mieć do siebie sporo pretensji, bo wiedział przecież, że w ten sposób stanie się błądzącą duszą!

Sprzątaczką odnalazła testament, który zmarły zostawił na biurku:

„Wreszcie zrozumiałem, że sława niczemu nie służy - napisał nasz przyjaciel. - Nieśmiertelność to nuda. Chcę, żeby wykreślono moje nazwisko ze wszystkich podręczników do historii i encyklopedii. Chcę, żeby zburzono wszystkie moje pomniki. Chcę, żeby z ulic zdjęto tabliczki z moim nazwiskiem. Pragnę, żeby mój pogrzeb był jak najskromniejszy, bez pompy i bez konduktu. Nie chcę być pochowany w trumnie pod marmurową płytą. Żadnych kwiatów, wieńców, łez, żadnego *Requiem* ani mowy pogrzebowej. Proszę, by pochowano mnie pod drzewem. I bez żadnej steli świadczącej o mojej tam obecności. Pragnę powrócić do ziemi, chcę, żeby oplotły mnie korzenie i zżerały ślimaki, dżdżownice i inne robactwo. Być może pomimo samobójstwa przemienię się w żyzną próchnicę? Skoro moje ciało na niewiele się przydało za życia, niech przynajmniej posłuży za dobry kompost po śmierci.

Dużo czasu potrzebowałem, by to zrozumieć, ale teraz już zaczynam pojmować sens życia. Prezydent czy kłozard, król czy niewolnik, wszyscy jesteśmy tacy sami. Niczym małe ziarenko piasku zagubione gdzieś we wszechświecie. Domagam się przywileju uznania mnie przez ludzkość jedynie za ziarenko piasku. Byłem może tylko ziarnkiem piasku, to prawda, ale wiem też, że bez ziarenek piasku nigdy nie byłoby plaż”.

Minister spraw wewnętrznych postanowił rzecz jasna natychmiast spalić ten jęczący tekst.

Wydawało się, że śmierć prezydenta Lucindera powinna zahamować po raz kolejny rozwój ruchu tanatonautycznego. Tymczasem nic takiego nie nastąpiło. Po imponującym pogrzebie, wbrew nieznanym prawie nikomu ostatniej woli zmarłego, poświęcono mu całe rozdziały w podręcznikach do historii i postawiono gigantyczny pomnik na placu przed Ratuszem. Rząd tymczasowy wydał dekret stanowiący, że stworzony przez prezydenta tanatodrom w Buttes-Chaumont nazywać się będzie od tej pory tanatodromem Lucindera, tak samo jak medal tanatonautyczny nazwany zostanie orderem Lucindera. Nie sposób już dzisiaj zliczyć miasta i wioski, w których aleje, ulice i place nazwano jego imieniem.

Czasem można wybrać sobie życie, ale trudno jest wybrać własną śmierć!

Richard Picpus z łatwością wygrał wybory prezydenckie. Jego pierwsze wystąpienie było hołdem złożonym Lucinderowi. Potwierdził, że jego jedynym celem będzie kontynuowanie dzieła wielkiego „twórcy tanatonautyki”.

Gdy wszystkie te ceremonie dobiegały końca, Raoul zwierzył mi się, że ma zamiar ponownie się ożenić. Stefania tak bardzo się od niego oddaliła, że uważał się za człowieka wolnego stanu.

280 - REKLAMA

Na telewizyjnym ekranie uśmiechnięty mężczyzna około czterdziestki przed czarną tablicą.

„Witam państwa, nazywam się Filipini. Jestem wykładowcą i naukowcem. Od dawna zajmuję się badaniami na temat życia. Proszę spojrzeć na ten wzór (profesor wskazuje linijką na tablicę), to jest wodór. Jeden atom, jeden elektron, nic prostszego. Proszę teraz spojrzeć powyżej (linijka przesuwa się w górę tablicy). A to jest wzór DNA. Kwas dezoksyrybonukleinowy. Raczej skomplikowany, prawda? No cóż, życie jest właśnie tym i jest go bardzo niewiele we wszechświecie. Wszechświat składa się w 99 procentach z wodoru i znajdujemy w nim zaledwie 0,00000001 procent DNA, tak bardzo bowiem życie jest złożone. Nawet człowiek nie jest w stanie stworzyć życia.

Nie marnujcie więc własnego życia. Każde życie jest cenne. Jeśli nie szanujecie siebie, uszanujcie przynajmniej chemiczne życie, które jest w was”.

Łagodny kobiecy głos w tle:

„Był to komunikat Krajowej Agencji Promocji Życia”.

281 - MITOLOGIA MEZOPOTAMII

„Ty, Gilgameszu, napełniaj żołądek, dniem i nocą, abys wciąż był wesół, codziennie sprawiaj sobie święto, dnie i noce spędzaj na grach i płasach! Niech jasne będą twoje szaty, włosy czyste, obmywaj się wodą, patrz, jak dziecię twój

ręki się trzyma, kobiecą sprawę czyń z chętną niewiastą: tylko takie są sprawy człowieka".²⁴

Epos o Gilgameszu

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

282 - ZAŚLUBINY

Wybranką Raoula była Amandine. Nie spodziewałem się tego. Ani Rose, ani ja nie zauważyliśmy żadnych czułych spojrzeń, muśnięć dłoni, skrytych pocałunków podczas wieczornych spotkań w naszym penthousie. Nie słyszeliśmy też w nocy odgłosu otwieranych drzwi między ich mieszkaniami. Co więcej, w trakcie niekończących się pijackich występów Raoul bez przerwy opłakiwał Stefanię.

W każdym razie fakty były właśnie takie, a małżonków rozpierała radość.

Dziewięć miesięcy później Amandine wydała na świat małą Pimprenellę. Wydarzenie to diametralnie zmieniło osobowość Raoula. On, którego życie zawsze było w jakiś sposób podporządkowane rodzicom, stał się ojcem i znalazł się niejako po drugiej stronie. Od tej chwili zupełnie inaczej patrzył na swoich protoplastów.

Sporo czasu spędziliśmy, dyskutując na ten temat w salonie. Raoul, który znowu zaczął myśleć jasno, zrozumiał, dlaczego jego matka mogła odwrócić się od mężczyzny, który ją zaniedbywał i zajmował się wyłącznie śmiercią. Owszem, ona znienawidziła jego ojca, zdradziła go, ale przecież nie zamordowała go własnymi rękami. To on, uświadomiwszy sobie własną samotność na tym świecie, którym przestał się interesować, postanowił się powiesić. Żona nie przywiązała go przecież do spłuczki w ubikacji!

Mówił, a Pimprenella w tym czasie wydzierała się wniebogłosy. W taki właśnie sposób komunikowała się ze światem. Gdy nie poświęcano jej wystarczająco dużo uwagi, kiedy nie podsuwano jej natychmiast żądanej zabawki, od razu zaczynała wyć. Amandine zajęła się uspokajaniem jej.

Przy dużej liczbie decybeli emitowanych przez małą Raoul podzielił się ze mną swoimi refleksjami:

²⁴ Przeł. R. Stiller.

- Istnieje tylko jeden sposób wyrażenia miłości do rodziców: trzeba im wszystko wybaczyć, cokolwiek uczynili. A potem pozostaje już tylko wybaczyć sobie samemu, że nie wybaczyliśmy im wcześniej.

Mój przyjaciel przypomniał sobie o różnych drobnych sprawach, z których potem rodzą się wielkie dziecięce pretensje. Kiedy był mały, nie cierpiał, gdy jego matka zmywała naczynia, zamiast się nim zajmować. „Zaczekaj dwie minutki” - mówiła do niego. Miał do niej żal, że go zaniedbuje i nie ulega natychmiast jego tyranii. Zamykał się w swojej miłości, żeby ją ukarać, ale jednocześnie pozbawiał sam siebie tej miłości.

Jeśli głębiej się nad tym zastanowić, jego relacje z rodzicami były dosyć podobne do moich!

Pimprenella wciąż była, więc teraz przyszła kolej na Raoula, żeby się nią zajął. Kiedy wziął ją na ręce, powoli zaczęła się uspokajać. Czy ona także będzie umiała wybaczyć mu któregoś dnia, że nie podbiegł do niej szybciej? Czy będzie umiała wybaczyć mu pewnego dnia, że nie podarował jej całej miłości i wszystkich zabawek, jakie istnieją na tym świecie?

283 - REKLAMA

Wysoki, niezgrabny ubrany w dżinsy chłopak ze zmierzwioną czupryną siedzi niedbale w fotelu z płowej skóry.

„Cześć. Nazywam się Thomas Frilinet. Najbardziej pasuje mi spędzać życie z kumplami. Jak się samemu żyje, też jest niezłe, ale z kumplami dopiero jest ekstra. Co razem robimy w życiu? Gramy w karty i jeszcze... no, tego, głównie gramy w karty. Bo po prostu lubimy karty. I życie też, to chyba jasne. Bo bez życia, bez kart i kumpli byłoby kompletnie beznadziejnie, nie? Więc kochani, niech żyje życie!”

Słodki głos w tle:

„Był to komunikat Krajowej Agencji Promocji Życia”.

284 - FILOZOFIA WEDYJSKA

„Człowiek ten ma tysiąc głów, tysiąc oczu, tysiąc stóp. Napętnia on ziemię ze

wszystkich stron i sięga poza nią tak daleko jak dziesięć palców. [...] Właśnie ten Człowiek jest tym wszystkim, co kiedykolwiek było i co kiedykolwiek będzie. Jest on władcą nieśmiertelności, gdy wyrasta ponad wszystko dzięki jedzeniu".²⁵

Hymny Rigwedy o stworzeniu świata

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

285 - SPRAWY KOMPLIKUJĄ SIĘ CORAZ BARDZIEJ

Tej nocy miałem sen.

Sen był tak wyraźny, tak realistyczny, logiczny, spójny i tak przerażający zarazem, że zaraz po przebudzeniu czym prędzej spisałem jego treść w najdrobniejszych szczegółach. A oto tekst, który napisałem tego właśnie ranka:

„Archanioł Gabriel schodzi na Ziemię, żeby wystąpić przed Zgromadzeniem Ogólnym Narodów Zjednoczonych. Przemówienie jest proste i bezpośrednie. Ponieważ ludzie bez przerwy się rozmnażają, jego służby są całkowicie przytłoczone zmarłymi z danego dnia. Siedem miliardów ludzi to o wiele za dużo! Co zrobić, żeby zważyć wszystkie te dusze, gdy ma się do dyspozycji tylko trzech sędziów aniołów, nawet jeśli pracują 24 godziny na dobę?! Pomarańczowa kraina jest przepełniona oczekującymi na swoją kolejkę duszami. Sprawy są zamykane, ale popełniono też pomyłki. Mędrcy przeszli reinkarnację i wcielili się w gangsterów, gdy tymczasem obrzydliwe kanalie stały się czystymi duchami ze skróconym i niesłusznie przerwany cykl reinkarnacji.

Archanioł Gabriel proponuje więc ludziom pewien wybór: albo nastąpi wreszcie odpowiednia regulacja narodzin, albo trzeba będzie wysłać jakąś pomoc do nieba. W końcu skoro ektoplazmy pochodzące z żywych ciał docierają aż do obrzeży Ostatecznego Kontynentu, dlaczego nie miałyby tam pozostać na dłużej i pomagać przy spisywaniu i kontrolowaniu karmicznych kart?

Zebrani na sesji zorganizowanej w trybie nagłym szefowie państw tej planety doskonale rozumieją, na czym polega problem. Przyznają też, że nie są w stanie narzucić

²⁵ Przeł. B. Mikołajewska.

ściślejszej kontroli narodzin. Opowiadają się więc za drugim rozwiązaniem, a mianowicie za wysłaniem ekto plazmicznych urzędników do Raju.

Pojawia się wtedy nowa kasta urzędasów. Osoby, które do tej pory zajmowały się papierkową robotą, każdego ranka przeobrażają się w ekto plazmicznych agentów i zasiadają na tronie startowym, tak jak inni o tej samej porze wsiadają do metra albo do podmiejskiego pociągu. Tam, w górze, anioły przewidziały dla nich biura, w których analizować będą karty klientów.

Oczywiście wszyscy ci międzynarodowi urzędnicy zostali zaprzysiężeni. Ale jeden z nich popełnia pierwsze nadużycie, ostrzegając swojego syna, po zapoznaniu się z jego kartą, że jeśli nie przestanie terroryzować kolegów z klasy, to w następnym wcieleniu zostanie zamieniony w ślimaka.

I chociaż wydaje się to błahe, przysięga zostaje złamana.

Nikt nie jest doskonały, a ponieważ administracja wciąż się rozrasta wraz z rosnącą liczbą ludności, zaprzysiężone ekto plazmy stają się niebawem tak liczne, że wzrasta również liczba incydentów.

Na przykład ojciec młodego człowieka, który okropnie się zachowuje, w końcu odrobinę zmienia ten jego sznureczek, żeby nieco poprawić karmę krnąbrnego syna. Dodaje 100 punktów. Hop! Nikt nawet nie zauważy i nikt nie przyłapie go na gorącym uczynku.

Jest jednak nie tylko rodzina, są również przyjaciele. No i przyjaciele przyjaciół... A także ci dobrze poinformowani, którzy wiedząc, że urzędnicy, nawet zaprzysiężeni, nie są znowu aż tak dobrze opłacani, starają się poznać ich tożsamość i wsunąć im do kieszeni kopertę, żeby załatwili sprawę. Kilka banknotów i porządna reinkarnacja zapewniona!

Stopniowo powstaje prawdziwy czarny rynek dobrych reinkarnacji. Bogaci płacą, żeby się dowiedzieć, na jakim dokładnie etapie znajduje się ich karma i na popełnienie ilu grzechów mogą sobie jeszcze pozwolić. Już zawczasu zapewniają sobie ponowne narodziny w bogatej i cieszącej się dobrym zdrowiem rodzinie. W ten sposób w kolejnym życiu bogaci pozostają bogatymi i zdrowymi. Biedni zaś pozostają biednymi i chorymi w następnej egzystencji.

To już nie sen, ale koszmar. Pojawia się nowa kasta: tanatokraci.

Niezależnie od naszego zachowania na Ziemi niemożliwa staje się reinkarnacja na wyższym poziomie, jeśli nie mamy środków finansowych, żeby przekupić ekto plazmicznego urzędnika. Kiedyś tym, co najbardziej przerażało ludzi, było popełnianie grzechów. Teraz najgorzej jest być biednym, ponieważ wiadomo, że takim już pozostaniemy na zawsze, przez wszystkie kolejne reinkarnacje, nie mając żadnych szans, by wyrwać się z zaklętego kręgu

niepowodzeń.

Wszystkie zasady gry zostają zmodyfikowane. Żyje się już tylko dla pieniędzy. Każdy sposób jest dobry, żeby je zdobyć: kradzież, prostytutka, oszustwa, zbrodnia, handel narkotykami. A więc przeciwieństwo cnotliwych czasów. Każde działanie ma na celu wyłącznie zdobywanie kasy.

Mój syn Freddy jest gnębiony przed wejściem do liceum przez łobuzów ściągających haracz. Mojej żonie Rose w supermarkecie ktoś kradnie portmonek.

Mafia odradza się z popiołów. Nikt już nie waha się zatrudniać zawodowych morderców, żeby przywłaszczyć sobie czyjeś dobra albo pozbyć się konkurenta w handlu. Posiadanie pieniędzy pozwala na odtworzenie karmicznego dziewictwa, więc czym się tu przejmować?

Świat zostaje całkowicie zdominowany przez pieniądź. Pozostałości różnych religii rozpoczynają kampanię, żądając, by ludzie przestali się mieszać w sprawy Raju.

Lecz rezygnacja z zaświatów oznaczałaby ponowne przekazanie całej odpowiedzialności aniołom, a te nie są przecież w stanie poradzić sobie z siedmioma miliardami mieszkańców na naszej planecie. Świat dziczeje i coraz powszechniejsza staje się ignorancja”.

Obudziłem się drżąc, zlany potem. Czy to możliwe, żebyśmy aż do tego stopnia zostali wprowadzeni w błąd?

Byłem przekonany, że anioły przekazały mi wiadomość tradycyjnym sposobem komunikowania się, mianowicie poprzez sen właśnie. Przesłanie było jasne: należy się zatrzymać, zanim sytuacja pogorszy się na tyle, że wszystko wymknie się spod kontroli.

Wziąłem szybki prysznic, ubrałem się i zszedłem do kafejki, żeby zjeść śniadanie z przyjaciółmi. Ale spotkałem tam tylko Raoula. Junior już poszedł do przedszkola, Amandine zaś i Rose na zakupy.

W kafejce patrzyłem na kota. Wyglądał na spokojnego. Był z tych kotów, które wszystko już zrozumiały i teraz wylegają się, czekając na nowe wcielenie. Szczęśliwy zwierzak. Pewnie odrodzi się pod postacią kogoś bardzo wyluzowanego.

Nagle do kawiarni wpadł policjant, głośno się wydzierając. Nie bardzo można było zrozumieć, co on tam bełkocze, ale z grubsza brzmiało to jak: „Wasz tanatodrom, rozwalają wam wasz tanatodrom!”.

286 - FILOZOFIA ŻYDOWSKA

„Tak samo jak ciało człowieka składa się z członków i różnych części, między którymi zachodzą akcje i reakcje, tworząc jeden i ten sam organizm, tak samo rozległy świat składa się z całej hierarchii stworzonych rzeczy, które kiedy są powiązane ze sobą poprzez odpowiednie akcje i reakcje, tworzą jedno organiczne ciało”.

Zohar

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

287 - PRZEMOC W BUTTES-CHAUMONT

Byli to wyznawcy Zła. Stefania wydała zapewne rozkaz zniszczenia naszego tanatodromu. Przez okna na parterze i w sklepiku widzieliśmy, jak rozbijają wszystko za pomocą kijów bejsbolowych i łańcuchów do rowerów.

Raoul trącił mnie lekko łokciem.

- Ty i ja przeciwko imbecyloom?

W jednej chwili to zdanie przywołało wspomnienia z czasów, gdy Raoul i ja byliśmy jeszcze najlepszymi przyjaciółmi na świecie i kiedy robił na mnie tak wielkie wrażenie, wykorzystując swój niski głos przeciwko wyznawcom Belzebuba. Wyzwanie było wtedy trudne, a przecież nam się udało. Tym razem zwycięstwo wydawało się poza naszym zasięgiem, ale wszystko się we mnie zagotowało, kiedy patrzyłem na splądrowany sklepik matki, na porozbijane bańki wspomnień z padającym śniegiem, z których teraz wylewała się jakaś ciecz, widząc porozdzierane plakaty z Rajem, poszarpane T-shirty i zdjęcia Amandine, na których dorysowano wąsy.

Weszliśmy do środka. Najpierw nikt nie zwrócił na nas uwagi. Raoul zdążył nawet chwycić długą metalową rurę do pakowania dużych plakatów i podał mi ją.

Przekazał mi niejako pałeczkę. Od razu zapomniałem, że jesteśmy ze sobą skłóceni, że stał się alkoholikiem. Ująłem mocno tę przypadkową broń.

Byliśmy razem. On i ja przeciwko imbecyloom. On i ja przeciwko całemu światu.

On także trzymał w ręku aluminiową rurę. Stało tam dwóch dosyć przerażających obwiesi. Byli rozczochrani, cuchnący, ich ciała pokrywały tatuaże z trupimi czaszkami i symbolami piekła, a na twarzach rysował się dziki grymas wściekłości.

Jeden z nich zajmował się rozszarpywaniem nożem chustek z mapką Raju, a drugi rozrywał zębami laleczki przedstawiające najpopularniejsze anioły.

- Dość tego! - zawył Raoul.

Nasze wejście mocno ich zaskoczyło. Byli przekonani, że na tym jakże łagodnym świecie nikt nie odważy się im przeciwstawić. Wcześniej bez większego trudu poradzili sobie z policją i wojskiem. Czuli się niezwycięzeni.

Zdziwieni na chwilę przestali, po czym równie szybko się pozbierali. Wyższy podszedł do nas z uśmiechem na twarzy. Wyciągnął rękę, jakby chciał uścisnąć nam dłonie, a potem, stojąc już całkiem blisko, kopnął mnie potężnie w podbrzusze. Powinienem był zachować czujność. Zapomniałem, że wyznawcy Zła nie szanują niczego i nie uznają żadnego kodeksu honorowego.

Osunąłem się na ziemię zgięty wpół. Kątem oka zdążyłem tylko dostrzec, jak Raoul podrywa się do walki i uderza drania wielką aluminiową rurą w głowę. Teraz dopadł do nich ten drugi.

Wywiązała się regularna bitwa. Podniosłem się z ziemi i walczyłem jak umiałem. Ku mojemu zaskoczeniu biłem się całkiem nieźle. Być może rajskie wojny sprawiły, że stałem się trochę bardziej pewny siebie. W końcu czyż nie odniosłem zwycięstwa - fakt, że przy pomocy Amandine - nad groźnym przywódcą asasynów?

Chwyciłem gipsową statuetkę przedstawiającą Féliksa i rozbiłem ją na głowie wyższego z bandytów. Typ przewrócił się. Dzięki ci, Félix. Drugi wołał nie czekać na swoją kolej i uciekł w stronę korytarza, żeby ściągnąć posiłki. Popędziliśmy za nim.

Na szóstym piętrze zaskoczyliśmy czterech uzbrojonych w siekiery mocno napakowanych gości, którzy zabawiali się rozwalaniem wszystkiego, co było pod ręką. Zniszczyli fotele, rozbili jeden po drugim wszystkie monitory kontrolne, a także oscyloskopy, które umożliwiały śledzenie odlotów.

Twarz jednego z nich, pewnie ich szefa, wydała mi się znajoma. I po raz pierwszy rozpoznaliśmy się nawzajem.

- Popatrz, popatrz, kogóż to ja widzę? - powiedział.

Raoul również go rozpoznał. Był to gruby Martinez. Nasz wróg z klasy, którego życie oszczędziliśmy przy okazji jednego z pierwszych tanatonautycznych odlotów. Przypomniałem sobie jedną z nauk Meyera: „Jeśli ktoś wam zada ból i nie zemścicie się,

będzie miał do was duże pretensje. Jeśli ktoś wam sprawi ból i nie dość, że nie zemścicie się, ale jeszcze uratujecie mu życie albo zrobicie dla niego coś dobrego, będzie was potwornie nienawidził. Mimo to trzeba kochać swoich wrogów choćby dlatego, że będzie im to mocno grało na nerwach".

I dokładnie tak było. Nie odczuwając żadnej wdzięczności, że oszczędziliśmy mu ryzykownych doświadczeń we Fleury-Mérogis, Martinez nienawidził nas za to, że pozbawiliśmy go sławy, jaką zyskał Félix. Pędził z siekierą, którą Raoul nieporadnie próbował zablokować aluminiową rurką. Rurka rozpadła się na dwie części.

W tym samym momencie dwaj goście z byczymi karkami rzucili się na mnie.

Raoul dobrze wymierzonym kopniakiem trafił w zaciśnięte na siekierze palce. Broń sieczna upadła na podłogę.

- Ty draniu, zaraz cię dorwę! - powiedział nasz dawny kolega z klasy.

Złapał Raoula za głowę i zaczął go dusić. Mój przyjaciel jednak, giętki i smukły, wyrwał mu się i chwycił go w pasie.

Nie miałem czasu, żeby dalej śledzić ich pojedynek. Moi przeciwnicy wczepili się we mnie. Biliśmy się jak małe dzieci, ja ciągnąłem ich za włosy, oni wbijali mi długie brudne paznokcie w szyję. Tarzaliśmy się po ziemi. Niewiele już brakowało, bym przegrał z kretesem, gdy nagle rozległ się czyjś głos:

- Jestem z wami, chłopaki!

Maxime Villain przybył nam z pomocą uzbrojony w nunchaku. Z tą swoją wschodnią bronią był dosyć śmieszny, ale trzeba przyznać, że pojawił się w odpowiednim momencie. Dobrze jednak jest mieć kolegów.

- Trzeba wezwać policję! - krzyknąłem.

- To nic nie da - odpowiedział Villain. - Nie odważą się bić, nawet gliniarze boją się naruszyć swoją karmę!

Zaczęła się potworna rozróżba. Przedmioty fruwały w powietrzu, trafiały w twarz, uderzenia kijem bejsbolowym rozrywały powietrze na przemian z głuchym dźwiękiem zadawanych pięściami ciosów. Byliśmy tak bardzo zajęci okładaniem się nawzajem i duszeniem, że nie zwróciliśmy uwagi na warkot motoru, po czym usłyszeliśmy odgłos kroków na schodach.

W drzwiach pojawiła się czyjaś sylwetka.

To była Stefania.

- Dość tego! - krzyknęła.

Wycelowała w nas duży pistolet automatyczny kaliber 9 milimetrów. Podnieśliśmy

ręce do góry.

Okragła Włoszka mocno schudła, przebywając w lesie. Ciężko się wyżywić kasztanami i wiewiórkami. Była piękna w czarnej pelerynie z czerwonym podbiciem. Teraz wyglądała jak Stefania z moich fantazji z trzeciego terytorium. Patrzyła na nas z zachwytem.

- Od dawna pragnęłam tego spotkania - powiedziała.

- Wystarczyło zadzwonić. Umówilibyśmy się - zauważył drwiąco Raoul.

Najwyraźniej nie odpowiadało jej już poczucie humoru prezentowane przez byłego męża. Stożące za nią zbiry wydawały groźne pomruki.

- Przestań opowiadać głupoty, Raoul - rzuciła, przyjmując ton wojskowego dowódcy, którym się zresztą stała.

- Ależ słucham cię, Stefanio, zamieniam się w słuch.

- Więc musisz wiedzieć, że ja i moi ludzie zjawiliśmy się tutaj, żeby zniszczyć tanatodrom. Długo się nad tym zastanawiałam, Raoul. Pomyliliśmy się. Poszliśmy złą drogą już na samym początku. Trzeba teraz zniszczyć potwora, którego sami stworzyliśmy.

Martinez, który krwawił z ust, zaproponował, rozcierając policzek:

- A gdybyśmy tak na początek zniszczyli tych gości tutaj?

- Nie - powiedziała stanowczo. - To moi przyjaciele.

Podeszła do mnie bliżej, niemal się o mnie ocierając.

- Jesteście moimi przyjaciółmi, Michael, Raoul, Maxime. Wam nie zrobię nic złego. Ale trzeba zniszczyć wszystko, co tutaj jest. Do roboty! - rozkazała.

Jej banda znowu zaczęła rozbijać i niszczyć. Roznieśli na strzępy trony startowe, porozbijali urządzenia i aparaturę, potłukli fiolki.

- Raoul - błagała Stefania, wciąż celując do nas z broni palnej. - Zlitujcie się i skończcie już wreszcie z tanatonaucyką. Inaczej sytuacja będzie się tylko pogarszać.

Raoul opuścił ręce i podszedł do niej. Byłem przekonany, że do niego strzeli, lecz kula nie wyleciała z lufy, gdy pocałował ją w usta.

Meyer miał rację, kiedy nam powtarzał: „Trzeba kochać naszych wrogów choćby dlatego, żeby im zagrać na nerwach!”. Całowali się, a ten moment przemocy zawieszony na czas pocałunku miał w sobie coś magicznego. Zbyt magicznego. Martinez nie był w stanie tego znieść. Wykorzystując ogólne zaskoczenie, podniósł z podłogi siekiere i wbił ją Raoulowi w plecy.

Wszystko stało się tak szybko, że nie miałem czasu, by zareagować.

Raoul otworzył szeroko oczy ze zdziwienia, a potem rozumiejąc, że został zamordowany, uśmiechnął się i znowu zaczął namiętnie całować Stefanię. Ją właśnie kochał

najbardziej i chciał odejść, całując ją po raz ostatni. Odkrył śmierć, ostateczny sens życia, a jednak gdy zbliżał się już koniec, myślał tylko o ostatniej chwili rozkoszy. Kochać jeszcze przez chwilę na tej ziemi, zanim trzeba będzie wyruszyć gdzie indziej.

Potem osunął się na kolana z wbitą w plecy siekierą.

- Szybko! - krzyknąłem. - Jeszcze nie jest za późno, trzeba tylko uruchomić tron startowy i odzyskamy go, zanim jego dusza dotrze do świata zmarłych!

- Nie! - powiedziała Stefania łamiącym się głosem. - Pozwólcie mu umrzeć w spokoju.

Dała znak swoim zbirom, którzy nas skrepowali.

Ze związanymi rękami rzuciłem się przed siebie, żeby znaleźć się bliżej Raoula. Jeszcze nie całkiem odpłynął. Otworzył oczy, rozpoznał mnie, uśmiechnął się i wyszeptał coś, co tylko ja byłem w stanie usłyszeć:

*Oto przychodzę do was - ja,
który jestem bez grzechu i bez winy.
Nie ma we mnie zła
i nie ma świadectwa (przeciwko) mnie.*

Po czym doczołgał się, by ucałować nogi Włoszki, a po chwili wydał ostatnie tchnienie.

Traciliśmy bezcenny czas, byłem wściekły. Stefania jednak podjęła już decyzję: Raoul miał umrzeć w „normalny” sposób. Tak jak kiedyś, gdy nikt nie starał się nikogo zatrzymać. Dawniej, pamiętam, ludzie umierali i ich bliscy zajmowali się tylko pogrzebem i swoim smutkiem. Dzisiaj pogonie za umierającymi tak często się zdarzały, że o tym zapomniałem.

Dusza Raoula odchodziła z pocałunkiem, który był jego ostatnim wspomnieniem z „ziemskiego” świata.

Doprawdy piękna śmierć! Chciałbym, żeby moja była równie udana. Pomyślałem o tym, że Raoul potrafił kochać. Kochał swojego ojca do tego stopnia, że podążył za nim w jego przygodzie. Kochał swoją matkę tak mocno, że potrafił jej wybaczyć również to, że nie dość go kochała. Kochał książki. Kochał mnie tak bardzo, że wciągnął mnie w swoje sprawy. Kochał Amandine. Kochał Stefanię. Meyer mówił: „Trudno jest kochać naprawdę. Zwykle mamy na to tylko jedno życie i nie wolno nam tego życia zmarnować”.

Trup Raoula spoczywał w ramionach Stefanii. Jego oczy zaszyły mgłą. Wokół nas jej zbiry nie bardzo wiedziały, co robić. Ich przywódczyni tonęła we łzach: oto dokładne

zaprzeczenie wszystkich zasad wyznawców Zła! Stali ze zwieszonymi rękami.

- Zabieramy się stąd - powiedziała w końcu Stefania.

Silniki motocykli zawarczały. Wyznawcy Zła zniknęli równie szybko, jak się pojawili.

Patrzyłem na zwłoki przyjaciela. Dusza opuściła już zapewne cielesną powłokę. Czy było jeszcze możliwe, by w tej masie mięsa znalazł się z powrotem duch?

Teraz było już za późno, dusza Raoula pewnie dotarła do pomarańczowego terytorium, dołączając do miliardów zmarłych. Nigdy już go nie odnajdziemy. Kiedy upewniłem się, że jest martwy, nieodwołalnie martwy, zrozumiałem, że Raoul był moim bratem. Moim jedynym starszym bratem.

Miałem ochotę wyć do księżycy jak kojoty na pustyni. Auuuuuu. Nikt jednak nie byłby w stanie pojąć, że to mój naturalny sposób na wyrażenie żalu. Kiedy umiera najlepszy przyjaciel, nie trzeba wyć do księżycy jak kojot, ale trzeba płakać. Wszyscy o tym wiedzą.

288 - PODRĘCZNIK DO HISTORII

W roku 2068 Maxime Villain, jeden z mistrzów tanatonautyki, powiedział:

„Dopóki człowiek jest śmiertelny, może być wyluzowany”.

Była to odpowiedź udzielona ponad sto lat później na pytanie, które postawił amerykański filozof Woody Allen.

Rzeczywiście, cóż bowiem może być bardziej przerażającego od nieśmiertelności? Wyobraźcie sobie życie, które wciąż trwa, bezustannie się powtarza i ciągnie w nieskończoność...

Szybko wszystko nas nudzi, stajemy się smutni, zgorzkniali, brak nam motywacji. Nie stawialibyśmy sobie żadnych celów na przyszłość, nie byłoby nadziei, ograniczeń, lęku. Nie potrafilibyśmy doceniać mijających niemal mechanicznie dni. Wielce uzdolnieni przywódcy mogliby rządzić nami bez końca. Wszystko byłoby wszędzie blokowane przez najsilniejszych, którzy nigdy by się nie starzeli. Nikt nie miałby też możliwości popełnienia samobójstwa.

Nieśmiertelność jest tysiąc razy gorsza od śmierci.

Na szczęście nasze ciała się starzeją, nasz czas na Ziemi jest ograniczony, nasza karma się odnawia, a każde nowe życie wypełnione jest niespodziankami i rozczarowaniami, radością i zdradą, podłością i wielkością.

Śmierć jest dla życia czymś nieodzownym. Naprawdę, bądźmy wyluzowani... gdyż na szczęście pewnego dnia umrzemy!

Podręcznik szkolny, kurs podstawowy, 2. rok

289 - EKTOPLAZMA RAZORBAKA

Archanioł Gabriel powitał ekto plazmę Raoula Razorbaka z szacunkiem należnym Wielkiemu Wtajemniczonemu.

- Tym razem jestem tutaj już na dobre - oświadczył Raoul.

Po krótkich obradach trzech sędziowie archaniołowie przypomnieli sobie, że w przypadku Wielkiego Wtajemniczonego nie jest w ogóle potrzebne ważenie ani też prowadzenie negocjacji na temat przyszłego życia. Ta dusza była już o wszystkim poinformowana, toteż i procedura była zupełnie inna.

Archanioł Rafał wyjaśnił pokrótce Raoulowi, że jego zasługi w poprzednich życiach pozwoliły mu umrzeć dosyć szybką śmiercią na skutek uderzenia siekierą w plecy. Te same zasługi umożliwiły mu również zdobycie upragnionej wiedzy, ale dzięki temu przede wszystkim stał się Wielkim Wtajemniczonym. A jednak nie nadszedł jeszcze czas, aby jego dusza mogła się przeobrazić w czystego ducha: zbyt często popełniał grzech pychy, oddawał się pijaństwu i przejawiał chęć zemsty.

Niemniej w przypadku Wielkiego Wtajemniczonego, biorąc pod uwagę cechy, które pozwoliły mu osiągnąć ten status, zwyczajowo archanioły rezygnowały ze swoich prerogatyw jako sędziowie. Do ekto plazmy Raoula Razorbaka należała decyzja co do przyszłej reinkarnacji.

Dusza naszego przyjaciela podziękowała z wdzięcznością. Sam najlepiej wiedział, że nie zgromadził sześciuset punktów niezbędnych do przerwania cyklu reinkarnacji.

- Po śmierci chcę zamienić się w drzewo - oznajmiła ekto plazma Razorbaka.

- W co? - wystraszył się archanioł Gabriel.

- W drzewo - powtórzył zdecydowanym głosem Raoul.

Archanioł Michał próbował go odwieść od tego zamiaru:

- No dobrze, ale przecież orientuje się pan, że świadomość ewoluuje, przechodząc od minerału do rośliny, od rośliny do zwierzęcia i od zwierzęcia do człowieka. Natomiast tego rodzaju regres przewidzieliśmy tylko dla obrzydliwych kanalii. Drzewo nie będzie pana godne.

- Być może, ale jestem już tak strasznie zmęczony! I naprawdę będąc w pełni władz umysłowych, proszę was o wyrażenie zgody na ten regres. Jestem znużony bieganiną w świecie ludzi. Nawet zwierzęta za dużo się ruszają. Chcę odnaleźć bezruch roślin. Dla mnie

nie będzie to regres, tylko ukojenie.

- Niech się zatem stanie zgodnie z wolą twoją! - westchnął archanioł Gabriel.

- Bardzo dobrze - powiedziała dusza, która wyraźnie odzyskała werwę. - Pokażcie mi zatem, co możecie mi zaproponować, jeśli chodzi o roślinność. Musi gdzieś przecież być jakaś parka roślinek, które właśnie kopulują, jakiś pyłek margerytki wchodzący w kontakt z męskim słupkiem tegoż gatunku. Zróbcie ze mnie ziarenko, bulwę albo cebulkę! A potem wyrosnę z ziemi, żeby spędzić całe życie zdrowo i nieruchomo. Spokój, wreszcie będę miał spokój.

- Ale rośliny wcale nie mają łatwego życia! - zakrzyknął archanioł Rafał. - Wiatr je smaga, ptaki skubią, deszcz zatapia, zwierzęta i ludzie niszczą, nie zwracając na nie uwagi.

- Tak, ale rośliny przynajmniej nie cierpią, ponieważ nie mają systemu nerwowego.

Jeden z serafinów puścił kilka baniek przedstawiających miłość wśród roślin. Było to nawet dosyć poetyckie. Raoul i archanioły wspólnie przyglądali im się z ciekawością.

- Hej, popatrzcie tutaj! - krzyknął archanioł Michał. - Szczep winorośli sauternes jest w trakcie zapylania gdzieś we Francji. To château-yquem, doskonałe wino. Spójrzcie na ten szczep! Jest wystawiony na odpowiednie słońce, ma wystarczająco dużo wilgoci, a producenci wina obchodzą się z nim z miłością. Fajnie byłoby stać się małym krzaczkiem winorośli.

Raoul popatrzył z rozrzewnieniem na roślinkę, która miała być jego rodzicem. Przyszły ojciec wydał mu się trochę za bardzo spięty, ale był jednocześnie bardzo sympatyczny. Postanowił zatem być winogronem.

290 - FILOZOFIA HINDUISTYCZNA

Każdy ma swoją „Księgę życia”. Na Dalekim Wschodzie jest ona nazywana „Kroniką Akaszy”. Na jej stronach są zapisane czyny i myśli ze wszystkich poprzednich egzystencji i również z egzystencji przyszłych, niezbędnych do uspokojenia karmy. Duch może zdecydować się wybrać tę lub inną, spłacić długi zaciągnięte podczas życia, które toczyło się w XVII wieku, zamiast tych, które zaciągnął w swym ostatnim bycie. Zło zadane podczas ostatniego wcielenia zostało już być może zrekompensowane przez dobro dokonane w trakcie wcześniejszej egzystencji.

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

291 - KARTOTEKA POLICYJNA

Informacja skierowana do właściwych służb

No a teraz?

Odpowiedź właściwych służb

Mieliście rację. Najwyższy czas interweniować.

292 - POWIĄZANIA

Kotka w rui miauczy na chodniku o godzinie 2.11 w nocy. Cierpiący na bezsenność mocno rozdrażniony gość klnie, otwiera okno i rzuca pantoflem w jej kierunku. Pocisk nie trafia w cel i ląduje na przedniej masce samochodu. Kierowca gwałtownie hamuje. Tym lepiej dla kotki, która przebiegła szybko przez jezdnię, ale tym gorzej dla jadącego z tyłu samochodu, bo kierowca nie zdążył się zorientować, co się dzieje, i wjechał w samochód przed sobą.

Zderzenie spowodowało wyciek paliwa z baku. Wszyscy wysiadają z pojazdów. Kiedy rozmawiają o szkodzie i ubezpieczeniu, jakiś przechodzień rzuca niedopałek papierosa w kałużę. Benzyna się zapala. Oba samochody eksplodują. Jeden z błotników unosi się w górę i spada po chwili na kubek ze śmieciami, gdzie schowała się kotka. Ta przerażona rzuca się w kierunku murku, potrącając po drodze pustą puszkę po konserwach, w której schronił się olbrzymi szczur. Zaniepokojone zwierzę kieruje się w stronę zarośniętej chaszczami działki.

Tam w świetle latarni dwóch osiłków gra w koszykówkę, trenując wsady do kosza. Jeden z nich na widok szczura podskakuje z wrażenia i posyła piłkę wysoko ponad ogrodzeniem. Lecąca z dużą szybkością piłka trafia w szybę w chwili, gdy jakaś kobieta rozmawia przez telefon z mężem. Obsypana rozbitym szkłem krzyczy wniebogłosy. Tymczasem jej mąż, kontroler lotów, rozmawia z nią w czasie pracy. Słyszając w słuchawce przeraźliwy krzyk żony, wykonuje ruch w bok. To wystarcza, żeby przesunąć jeden z suwaków na pulpicie.

Tak się złożyło, że ten właśnie suwak pokazał pilotowi samolotu rejsowego podchodzącego do lądowania dokładną pozycję w stosunku do pasa startowego.

293 - PODSUMOWANIE

Na moim zegarku jest godzina 2.13 w nocy. Powiedziałem już wszystko.

O, nie! Zaglądam do notatek i stwierdzam, że zapomniałem opisać, w jaki sposób można narysować okrąg i jego środek, nie odrywając ołówka.

Wystarczy zagiąć róg kartki papieru. Proszę zaznaczyć duży czarny punkt tak, żeby widniał i na zagiętym skraju, i na papierze obok. Zaczynając od tego punktu, narysujcie półokrąg na zagiętym rogu. Kiedy dojdziecie do kraju zagięcia, wystarczy rozprostować kartkę, nie odrywając ołówka, i dorysować drugą połowę okręgu wokół punktu będącego osią. Orzeł wsparł tym samym reszkę.

Dzięki temu przeniknęliście do innego wymiaru, chcąc wykonać coś, co pozornie wydawało się niemożliwe. Wykorzystać inny wymiar...

Raoul miał rację, że jeśli chce się rozwiązać pewne problemy, należy przyjąć założenie, że możliwe jest wejście w inny rodzaj przestrzeni, w której dysponujemy pełnią praw. Wykracza to poza wszelkiego rodzaju mistycyzm. Chodzi tylko o poszerzenie naszego umysłu. Trzeba zabawić się w poszerzanie naszego umysłu. Jak mawiał Maxime Villain, to powinien być jedyny cel pisarzy: „Sprawić, by nasze marzenia dotarły jeszcze dalej”. Marzyć po drugiej stronie kartki. Marzyć po drugiej stronie śmierci. Wszystko jest możliwe w pisarstwie, dlatego więc z tego nie skorzystać?

Czasami kiedy piszę lub czytam, naprawdę dostaję się w inny wymiar.

Myślę, że tak samo jest z ludzkim życiem. Aby osiągnęło pełnię, musi zaczynać się w jednym wszechświecie, a kończyć w innym.

Gdybym zadał sobie raz jeszcze jakże bliskie mi pytania: „Skąd pochodzę?”, „Kim jestem?”, „Dokąd zmierzam?”, wydaje mi się, że mógłbym już spróbować na nie odpowiedzieć.

Wiem, że jestem istotą ludzką, która żyje tu i teraz. Po co żyję? Żeby móc uczestniczyć w odkryciach tanatonautyki. Wiem, że ludzka myśl może wszystko: potrafi latać i pokonywać materię z prędkością wyobraźni, może gromadzić się w książkach, potrafi też wszystko wytworzyć, zmodyfikować, unicestwić. Wiem, że czas, przestrzeń, wiedza, piękno, wszystko to jest w nas. Wszystko jest w środku. Na zewnątrz istnieje tylko odbicie.

Wiem też, że jestem jedynie trupem w zawieszeniu.

Czytam raz jeszcze, powiedziałem już wszystko. Wszystko już napisałem i mogę o wszystkim zapomnieć.

Dziękuję aniołom, że dały mi czas na to, bym opowiedział historię podboju Ostatecznego Kontynentu. Czy powinienem jednak ją publikować? Czy ten mój wkład będzie Dobrem czy też Złem dla ludzkości?

Orzeł - publikuję. Reszka - nie publikuję. Wciąż te same wahania nad jedną i drugą stroną medalu. Rzucam monetą.

Pieniążek potoczył się pod fotel. Poruszam się teraz na czworakach, patrzę: orzeł.

Jeszcze jedno zdanie do mojej książki: „Do ostatniej chwili obawiałem się, że nie pozwolą mi napisać tej książ...”.

294 - PRZECZYTANE W GAZECIE

Michael Pinson, Amandine Ballus, Rose Pinson, słynni pionierzy tanatonauryki, zginęli wczoraj wieczorem w niezwykłych okolicznościach. Boeing 787 spadł prosto na ich tanatodrom. Przyczyną katastrofy był prawdopodobnie błąd człowieka, w tym wypadku kontrolera lotów. W szczątkach rozbitego samolotu eksperci szukają czarnej skrzynki, co pozwoli uzyskać szczegółowe informacje na temat wypadku.

Ich śmierć była natychmiastowa. Prowadzącym dochodzenie udało się ustalić, że w chwili śmierci Michael Pinson pisał przy swoim biurku. W pożarze wszystkie kartki spłonęły, w związku z czym nie dowiemy się, jakie przesłanie chciał nam przekazać pionier tanatonauryki.

W chwili obecnej są już z pewnością w Raju, do którego odkrycia przyczynili się w tak znacznym stopniu. Niech ich dusze spoczywają w pokoju.

(W przyszłym tygodniu w sprzedaży znajdzie się dodatek specjalny poświęcony dziełu i życiu francuskich tanatonauryków.)

295 - MITOLOGIA INDYJSKA

Według pewnej hinduskiej legendy był taki czas, kiedy wszyscy ludzie byli bogami. Jednakże tak bardzo nadużywali swojej boskości, że Brahma, władca bogów, postanowił odebrać im boską moc i ukryć ją w miejscu, w którym nikt nie będzie mógł jej odnaleźć. Kłopot polegał na tym, żeby znaleźć odpowiednią kryjówkę.

Wezwani na pomoc, by rozwiązać ten problem, bogowie niższego rzędu podsunęli

następującą myśl: „Schowajmy ludzką boskość w ziemi”. Brahma odpowiedział: „To nie wystarczy, ponieważ człowiek zacznie kopać i odnajdzie ją”.

Niżsi rangą bogowie zaproponowali więc: „W takim razie wrzucimy boskość w najdalsze głębiny oceanu. - Nie, odrzekł Brahma, ponieważ wcześniej czy później człowiek dotrze do morskich głębin i jest pewne, że któregoś dnia odkryje ją i wydobędzie na powierzchnię”.

Niżsi bogowie doszli więc do następującego wniosku: „Nie wiemy, gdzie ukryć boskość, ponieważ jak się wydaje, nie istnieje na ziemi ani na morzu miejsce, do którego pewnego dnia człowiek nie byłby w stanie dotrzeć”.

Brahma zamyślił się i wydał wreszcie werdykt: „Oto co zrobimy z boskością człowieka: ukryjemy ją wgłębi niego samego, gdyż to jedyne miejsce, w którym nigdy nie będzie jej szukał”.

Od tego czasu, jak głosi legenda, człowiek okrążył Ziemię. Odkrywał, wspinał się, nurkował i kopał, lecz nigdy nie odkrył tego, co jest w nim.

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznajoma* Francisa Razorbaka

296 - PODRĘCZNIK SZKOLNY

QUIZ

W ramach przygotowań do matury proszę wykonać test z zakresu wiedzy o tanatonautyce, odpowiadając w ciągu pięciu minut, z zegarkiem w ręku, na następujące pytania:

1. Podaj nazwisko i imię pierwszego tanatonaury, który oficjalnie odbył z powodzeniem podróż ekto plazmiczną.
2. Zacytuj zdanie słynnego amerykańskiego filozofa Woody'ego Allena.
3. Ile barier komatycznych znajduje się na Ostatecznym Kontynencie? (Uwaga: barier, a nie terytoriów.)
4. Wymień trzy podstawowe techniki, które umożliwiają odcieleśnienie.
5. Co to jest tachion?
6. Jak nazywał się pierwszy tanatonaury, któremu udało się przekroczyć drugą barierę komatyczną?
7. Gdzie w Paryżu został zbudowany wielki tanatodrom?

8. Jakie jest pierwsze odczucie w trakcie odlotu ektooplazmicznego?
 9. Gdzie znajduje się Raj?
 10. Co Freddy Meyer wniósł do tanatonauryki?
 11. Podaj datę bitwy o Raj.
 12. Jak brzmią chrześcijańskie imiona trzech archaniołów, którzy osądzają nasze życie?
 13. Jak przeprowadzić medytację, żeby osiągnąć odcieleśnienie?
 14. Dlaczego Stefania Chichelli się zbuntowała?
 15. W jaki sposób należy chronić srebrzystą pepowinę podczas odlotu duszy?
 16. Co może się przydarzyć ignorantom?
 17. Co może się przydarzyć mędrcom?
- Podręcznik szkolny, klasa maturalna

297 - KARTOTEKA POLICYJNA

Informacja skierowania do właściwych służb

Czekamy na rozkazy. Jesteśmy w pełnej gotowości.

Odpowiedź właściwych służb

Do dzieła.

298 - CZAS ZAPOMNIENIA

I znowu lecę do Raju w towarzystwie przyjaciół. Tym razem jednak nasze pepowiny pękły i wiemy już, że w tym istnieniu będzie to nasza ostatnia podróż.

Rose, Amandine i ja zginęliśmy w mieszkaniach w tanatodromie w Buttes-Chaumont jako ofiary zwariowanego boeinga. Villain potknął się u siebie w kuchni i uderzył z całej siły głową w ostry kant zmywarki do naczyń. Wszyscy wystartowaliśmy dokładnie w tym samym czasie. Bez urządzeń, bez tronów, nie naciskając gruszki. Nie wypowiadając też powoli naszych słynnych już „Sześć... pięć... cztery... trzy... dwa... jeden. Start”.

Nie jesteśmy tanatonautami. Jesteśmy nieboszczykami zmarłymi tego właśnie dnia, mimo wszystko zadowolonymi, że wspólnie odbywają ostatnią podróż.

Błyskawicznie przelatujemy przez Układ Słoneczny i jego peryferie. Lecimy swobodnie, kierując się w sam środek Galaktyki.

Nie odczuwamy żadnych obaw, stając u wrót śmierci. Na Ostatecznym Kontynencie czujemy się jak u siebie w domu. Odwiedzaliśmy to miejsce tak często, jak inni jeżdżą do Palavas-les-Flots czy do Trouville.

Nie zwracam uwagi na to, że kobieta z trupią czaszką w białych atłasach puszcza do mnie oko. Od dawna już nie obawiam się jej pustych oczodołów i szczerbatego uśmiechu.

Przekraczamy wszystkie barwy zwykłej śmierci. Niebieski, czarny, czerwony, pomarańczowy, żółty, zielony, biały. Wydaje się jednak, że tam, w górze, chcą nas zobaczyć jak najszybciej. Przebijamy się przez tłum oczekujących w kolejce, jakbyśmy byli jeszcze tanatonautami.

Po chwili docieramy do góry światła. Nie pomyliliśmy się. Archanioły już na nas czekają. Żeby z nami spokojnie porozmawiać, zatrzymują rzekę umarłych, nie zważając zupełnie na protestujące niecierpliwie ektoplazmy.

Święty Piotr wydaje się zmartwiony. I to on, jak zwykle, ma wszystko wyjaśnić. Od najdawniejszych czasów zawsze istnieli tanatonauci, którzy chcieli poznać Ostateczny Kontynent. Anioły uprzejmie przyjmowały rzadkich gości i chętnie powierzały im tajemnice Raju. Po powrocie na Ziemię niektórzy pragnęli podzielić się z innymi ludźmi tymi „rewelacjami”. Abraham, Jezus, Budda, Mahomet i wielu innych przekazali swoje świadectwa. W ten sposób powstała Biblia, Tybetańska Księga Umarłych, Ewangelie, Koran, chińskie Tao-te-king... i wszystkie święte księgi świata.

Anioły uczyły z tych ludzi Wielkich Wtajemniczonych, a ci nie okazali niewdzięczności. Chcieli, żeby z ich wiedzy korzystały wszystkie kolejne pokolenia po to, by dokonywał się postęp, ludzie się doskonalili i zbliżali coraz bardziej do stanu czystego ducha. W ten sposób Wielcy Wtajemniczeni działali zarówno z korzyścią dla ludzi, jak i dla niebios.

Jednakże otoczyli swoje „odkrycia” tajemnicą, mistycyzmem i hermetycznymi symbolami. Ukrywali je pod płaszczykiem legend i dziwnych mitologii. A co my tymczasem zrobiliśmy? Złamaliśmy tajemnicę, zdradziliśmy, a tym samym wprowadziliśmy w błąd naszych pobratymców i zasialiśmy niepokój na Ziemi.

Anioły zawsze były przychylnie nastawione do Wielkich Wtajemniczonych, gdyż wszyscy, którzy pojawili się przed nimi, byli mędrkami. My zaś byliśmy ludźmi, którzy działali nie do końca świadomie. Ujawniliśmy wszystkim sens życia i śmierci.

Rozpowszechnialiśmy tę wiedzę na lewo i prawo. Zachęcaliśmy wszystkich, by podążali za nami. Ściągnęliśmy całą masę turystów tam, gdzie tajemnica powinna pozostać tajemnicą, a sekret - sekretem.

„Mędrzec szuka prawdy, głupiec zaś już ją odkrył”.

Rozdrażniony archanioł Gabriel opowiada o naszym „dziele”. O bitwach, których celem było przywłaszczenie sobie Raju, o reklamach ustawionych w korytarzu śmierci, o „Rozmowie ze śmiertelnikiem” opublikowanej przez wielkonakładową prasę, o masowej sprzedaży karmografów... Ha! Co za bałagan! Naprawdę był już najwyższy czas, żeby położyć kres naszym nierozważnym działaniom.

- Bardzo dobrze - powiedziała Rose. - Wrócimy na Ziemię i odkręcimy to wszystko, cośmy zrobili!

- Już nie warto - zaśmiał się Szatan. - Już nie potrzebujemy was tam, na dole. Zająłoby nam to sporo czasu, ale w końcu pozwoliliśmy anielskiej policji interweniować. Popatrzcie tylko, co się tam teraz dzieje.

Jeden z cherubinów prezentuje nam bańki z obrazkami. Tanatodromy duże i małe, oficjalne i nieoficjalne znikają niszczone piorunami. Wszędzie walają się porozbijane trony startowe. Podręczniki do historii tanatonauryki zamieniają się w pył. Muzeum Śmierci w Smithsonian Institution w Waszyngtonie ogarnia pożar, to samo dzieje się ze sklepikiem mojej matki. Reklamy ekto plazmiczne rozmywają się na naszych oczach. Na Ziemi szaleje tajfun, który na swojej drodze zmiata wszystko, co jest bardziej lub mniej związane z tanatonauryką, wymazując ją na zawsze z ludzkiej pamięci. Wszystko, czego dokonaliśmy w poprzednim życiu, powraca do nicości.

- Chcieliście się zabawić w bogów - grzmi archanioł Gabriel. - Ale ludzie muszą sami zrozumieć prawdę o sobie. Święta wiedza nie może być dostępna dla wszystkich.

Nagle przychodzi mi do głowy pytanie:

- To dlatego już wcześniej zabiliście Raoula?

- Tak. On był pierwszym i najbardziej niebezpiecznym spośród was.

Gniew ogarnia nawet uroczego serafina.

- Gdyby ta wasza mania rzucania światła na wszystko to, co powinno pozostać w ciemnościach, nadal trwała, na drodze do reinkarnacji pojawiłyby się latarnie, a pod nimi prostytutki.

Nieśmiało próbuję nas bronić:

- Jesteśmy zwykłymi ludźmi i jak wszyscy ludzie popełniamy błędy.

- Nie - grzmi dalej archanioł Michał. - Jesteście Wielkimi Wtajemniczonymi. Zamiast

korzystać z tego, nie mówiąc o niczym nikomu, opowiadaliście na lewo i prawo o sensie życia, unicestwiając w ten sposób najważniejszą siłę napędową egzystencji, a mianowicie ciekawość, chęć uczenia się i podążania drogą wiedzy.

- Ale przecież właśnie tego chciał Raoul!

- I dzięki temu stał się Wtajemniczonym. Ale tej wiedzy nie można nadużywać. Nawet członkowie najbardziej dziwacznych sekt, nawet jednodniowi nawiedzeni zawsze wiedzieli, że trzeba zachować milczenie i wypowiadać się tylko poprzez metafory. A wy myśleliście, że jesteście sprytniejsi od innych. Chcieliście spopularyzować „śmierć” i wszystko popsuliście...

Archanioły zaczynają czytać listę naszych grzechów.

- Sporządziliście i sprzedawaliście geograficzne mapy Raju - obwieszcza zmartwionym głosem archanioł Rafał.

- Wydaliliście... przewodniki turystyczne.

- Skonstruowaliście maszyny do umierania.

- Powtarzaliście nasze słowa.

- Spowodowaliście pojawienie się tysięcy błądzących dusz, namawiając do samobójstwa.

- Patrzycie na nas bez przerażenia.

- Nie okazujecie nam należnego szacunku.

- Uważacie nas za swoje sługi, a nie za swoich panów.

Umarli stojący w kolejce do sądu przestają się niecierpliwić, wykazując teraz duże zainteresowanie sceną, której są świadkami. Odkąd się tutaj znaleźli, nigdy nie zdarzyło im się zobaczyć aniołów tracących cierpliwość i aż tak bardzo denerwujących się na biedne ektoplazmy.

- Zdrajcy, jesteście zdrajcami i niczym więcej!

Od samego początku tej kłótni dręczy mnie jedno pytanie. Przerywam im, żeby w końcu je zadać:

- No dobrze, a dlaczego w takim razie pozwoliliście nam działać?

Kilku aniołów uśmiecha się szyderczo. A może są to ci „niebiańscy policjanci”, którzy interweniowali przeciwko nam? Ci tutaj, jak się wydaje, chcieli nas unieszkodliwić już od samego początku. To inni, ci, którzy teraz się denerwują, pozwolili nam dalej działać.

Archanioł Gabriel czuje się nieswojo.

- Chcieliśmy się dowiedzieć, jak daleko odważycie się posunąć.

- My również odczuwamy czasami ciekawość w stosunku do ludzi - dodaje zawstydzony archanioł Michał. - Mają czasami tak pokrętny sposób myślenia... W sprawie

ojca Raoula odbyło się już kilka narad. Swoją rozprawą pod tytułem „Śmierć, ta nieznajoma” przekroczył wszelkie granice. Opublikowanie jej odsłoniłoby zbyt wiele tajemnic.

- A potem, kiedy jego syn przejął pałeczkę, zastanawialiśmy się, co zrobić z tanatonautami, którzy postrzegają odkrywanie śmierci jak dyscyplinę sportową. Niektórzy byli ciekawi, tak jak ja, więc byli za spokojnym czekaniem. Po drugiej stronie jednak pojawili się przeciwnicy tego i policja niebiańska, która bez przerwy wciskała sygnał alarmowy. Ale tu, na górze, większość z siedemdziesięciu dwóch głównych aniołów i ich siedemdziesięciu dwóch czarnych odpowiedników uznała, że trzeba poczekać i przyjrzeć się temu dokładniej. Radzili naszym aniołom tam, na dole, naszej policji, żeby nie panikowała. Tanatonautyka, jak sądziliśmy, i tak sama się zniszczy. Zwykli ludzie nie będą w stanie skoncentrować się wystarczająco, żeby udało im się przeprowadzić tak zasadnicze doświadczenie. Wy nie byliście zwykłymi ludźmi. Dotarliście aż do nas i zasługujecie na to, by stać się Wielkimi Wtajemniczonymi. Tyle że jednocześnie spowodowaliście zbyt wiele strat. Ach! Te ektoplazmiczne biura podróży... Nawet przy jak najlepszych chęciach anioły nie mogły dłużej tolerować takiej ingerencji w ich tajemny świat. Nie mogły też dłużej znosić ludzi, którzy mówili: „Wiem wszystko”. Powinniście byli zastanowić się nad biblijną alegorią Adama i jabłka poznania. Nie wolno osiągnąć wiedzy absolutnej. Wolno tylko do niej dążyć...

- W każdym razie w pana przypadku zabawa się już skończyła - ucina archanioł Rafał.

- Tanatonautyka umarła razem z panem.

- Ale już jest za późno - lamentuje Rose. - Zbyt wielu ludzi przeczytało nasze książki. Troska o karmę weszła wszystkim w krew.

Archanioł Gabriel przerywa jej lekceważącym gestem.

- Znowu popełniacie grzech, wątpiąc w naszą moc, a przecież zesłaliśmy już kiedyś potop, który zatopił wszystkie grzechy ludzkości. Po zobaczeniu tych wszystkich obrazów, które wam pokazaliśmy, nadal sądzicie, że nie jesteśmy w stanie wszczepić zapomnienia w pamięć? W każdą pamięć?

- Nikt nie będzie pamiętał o waszych czynach - oświadcza święty Piotr. - Będziecie tylko jedną z wielu niejasnych legend, w które nikt tak do końca nie wierzy, jak w potwora z Loch Ness, w yeti w Himalajach albo w Trójkąt Bermudzki. W mitach zapewne będą się pojawiać tanatonauci, lecz zapamiętajcie jedno: nikomu nie przyjdzie nawet do głowy, że tanatonautyka naprawdę istniała. Przysięgam wam to uroczyście. Będzie tylko mglistym wspomnieniem ludzi wyjątkowo wrażliwych.

- A Stefania? - pytam.

- Stefania również zapomni. Lecz w przeciwieństwie do was zostanie oszczędzona,

ponieważ starała się kontynuować dzieło Szatana w czasach, w których mając do czynienia z ludźmi mdłymi, uprzejmymi albo przesądnymi, potrzebował naprawdę pomocy.

Szatan przytakuje zadowolony.

Matki niepokoją się:

- A co z Freddym juniorem?

- Co z Pimprenellą?

- Oni także zapomną. Nie obawiajcie się o nich. Nie zostaną ukarani za grzechy rodziców.

299 - MITOLOGIA MEZOPOTAMII

„Burza idzie sześć dni, siedem nocy,

burza południowa ziemię równa potopem

Kiedy dzień siódmy się uczynił, poniechała burza południowa

Potopu, zmagañ, co srożyły się jakoby wojska,

Co miotały się jak żona rodząca

Morze się uspokoiło, ucichła burza, potop walić przestał

Otwarłem dymnik: na oblicze światło mi padło.

Na morze spojrzałem: cisza nastąpiła i zaprawdę cała ludzkość gliną się stała.

Ziemia płodna była jak dach płaska.

Padłem na kolana, usiadłem w płaczu, po obliczu moim łzy popłynęły.

*I wszystko dobiegło kresu”.*²⁶

Epos o Utnapisztimie

nazywanym również... Noem w Biblii

Fragment rozprawy *Śmierć, ta nieznaną* Francisa Razorbaka

²⁶ Przeł. R. Stiller.

300 - MITOLOGIA ŻYDOWSKA

Według Kabały płód jest wielkim mędrce. Kiedy jeszcze jest w brzuchu matki, zna wszystkie tajemnice świata. Jednakże tuż przed przyjściem na świat pojawia się anioł, który zmusza go do milczenia. Kładzie mu palec na ustach, mówiąc: „Ciiii...”. Płód wtedy zapomina o wszystkim. Tylko jego podświadomość pamięta mgliście o „wielkich tajemnicach”. I właśnie z powodu tego kontaktu z aniołem mamy pod nosem zagłębienie nazywane „bruzdą nosowo-wargową”.

Freddy Meyer, notatki

301 - ROZWIĄZANIE

Wciąż stoimy przed górą światła.

Żaden z aniołów nie chce nas wziąć w obronę, Rose, Amandine, Villaina i mnie. Wszyscy wysyłają tylko takie samo światło świadczące o tym, że ich decyzja jest ostateczna i nieodwołalna. Archanioł Gabriel zabiera głos:

- Kiedyś jednak, kiedy upłynie bardzo wiele czasu, być może za wiele tysięcy lat, inni Wielcy Wtajemniczeni pojawią się tu, prawdziwi Wtajemniczeni, gdyż nie zgodzimy się już nigdy więcej na turystów. Opowiemy im o waszej przygodzie i powoli, bardzo powoli odkryją wasze dokonania.

Marna to pociecha! Napiszą kiedyś, nie wiadomo zresztą kiedy, kolejną „Odyseję”, a może Biblię, jakąś powieść albo nie wiadomo już co! Raoul miał rację, twierdząc, że za wszystkimi tymi rzekomymi „mitologiami” kryje się prawda.

- Co z nami zrobicie? - niepokoje się Amandine.

- Podążycie tą samą drogą co wszyscy. Tak jak wszyscy inni zmarli, którzy nie uzyskali 600 punktów, przejdziecie reinkarnację i rzecz jasna w nowym wcieleniu nie będziecie zupełnie niczego pamiętali z poprzedniego życia.

Wbijam sobie teraz uparcie do głowy: „Byłem tanatonautą, byłem tanatonautą, byłem tanatonautą”. Jeśli uda mi się wtłoczyć do mojej duszy tę pewność, że tanatonautyka naprawdę istniała i byłem jednym z jej prekursorów, być może będę o tym choć trochę

pamiętał w następnym wcieleniu.

- Ruszajcie - rozkazuje archanioł Gabriel. - Chcieliście przecież dowiedzieć się, co kryje się za świetlistą górą sądu, prawda? - Uśmiecha się. - Jeszcze kilka kroków i dowiecie się.

- Zgadza się wreszcie pokazać nam to, co jest w głębi Raju? - dziwi się zachwycona Rose.

- Oczywiście, skoro już nie wrócicie na Ziemię, żeby opowiadać wszystkim wokoło o tym, coście zobaczyli.

Moja żona idzie przed siebie jak we śnie. Nawet w tej chwili, jako astronom, jest szczęśliwa, że będzie mogła zaspokoić ciekawość. Prawie biegnie, by odkryć, co jest po drugiej stronie czarnej dziury.

- A teraz ty, Michael.

- Nie stanę przed sądem?

- Dla Wielkich Wtajemniczonych nie ma sądu. Wyjaśniłem to już Raoulowi. Zaufajcie nam. Jesteś jeszcze młody. Do tej pory istniałeś w zaledwie stu pięćdziesięciu trzech ludzkich postaciach. Przewidzieliśmy dla ciebie bardzo miłą i niewielką reinkarnację.

Podchodzę bliżej. Rose patrzy na mnie z niepokojem.

- Ty i ja przeciwko imbecydom - mówię telepatycznie.

Podbiega do mnie, a jej ektoplazma wpija się mocno w moje usta. Moje wargi nic nie czują, lecz dusza jest głęboko wzruszona.

- Ty i ja - powtarza za mną.

Teraz ja przechodzę przez górę światła, a to co widzę, jest naprawdę niezwykle. Przerasta wszystko, co do tej pory widzieliśmy we wszystkich innych strefach Raju.

Nagle wszystko rozumiem. Jakże odbiega to od oczekiwań! Nikt nie byłby w stanie tego przewidzieć. Niesamowite, po prostu niesamowite.

Widzę teraz dno czarnej dziury i jestem całkowicie oszołomiony. Coś zupełnie innego, niż sobie wyobrażałem. Cały drzę z emocji. Teraz już wiem.

Po drugiej stronie śmierci jest...

PODREĆCZNIK DO HISTORII

KILKA DAT, KTÓRE WARTO ZAPAMIĘTAĆ

1492: Pierwszy krok na kontynencie amerykańskim

1969: Pierwszy krok na Księżycu

Podręcznik szkolny, kurs podstawowy, 2. rok

PODZIĘKOWANIA NIECH PRZYJMĄ:

David Bauchard, Jean Cave, doktor O'Brian, Jérôme Marchand, Frédéric Lenorman, Olivier Ranson, Patrice Serres, Richard Ducousset, Guillaume Aretos, Catherine Werber, doktor Loïc Etienne.